

Mazo De La Roche:

Rodzina Whiteoaków

Tom pierwszy:

- Budowa Jalny

Tytuł oryginału:

Whiteoak S FAMILY

Tytuł tomu w oryginale:

THE BUILDING OF Jalna

CHRONOLOGICZNA KOLEJNOŚĆ TYTUŁÓW SAGI "RODZINA Whiteoaków"

1. Budowa Jalny (The Building of Jalna )

2. Poranek w Jalnie (Morning at Jalna )

3. Mary Wakefield (Mary Wakefield)

4. Młody Renny (Young Renny)

5. Dziedzictwo Whiteoaków ( Whiteoak Heritage)

6. Bracia Whiteoakowie (The Whiteoak Brotken)

7. Jalna ( Jalna )

8. We dworze Whiteoaków ( Whiteoaks)

9. Fortuna Fincha ( Finch's Fortune)

10. Pan na Jalnie (The Master of Jalna )

11. Żniwa Whiteoaków ( Whiteoak Harvest)

12. Droga Wakefielda (Wakefield's Course)

13. Powrót do Jalny (Return to Jalna )

14. Córka Renny'ego (Renny's Daughter)

15. Zmienne wiatry w Jalnie (Variable Winds at Jalna )

16. Stulecie Jalny (Centenary at Jalna )

Wyjaśnienie wraz z komentarzem dotyczące kolejności wydawania przez KAW w

Poznaniu poszczególnych tytułów w obecnej edycji "Rodziny Whiteoaków" zamieścimy w słowie "OD WYDAWCY" w następnym tomie, który ukaże się jeszcze w br.

Mazo de la Roche

Budowa Jalny

Tłumaczyła Julia Rylska

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA POZNAŃ 1989.

Opracowanie graficzne:

JACEK PIETRZYŃSKI Redaktor:

JACEK RATAJCZAK Redaktor techniczny:

ALOJZY CZEKAŁA Korekta:

PAWEŁ ŁUCZAK

z3-M

Copyright by Krajowa Agencja Wydawnicza Poznań 1989

ISBN 83-03-02634-8

Wydanie oparto na przekładzie Julii Rylskiej Wydawnictwo "Dobra Książka" Wrocław  
1950

Akft

Krajowa Agencja Wydawnicza RSW "Prasa-Książka-Ruch", Poznań, ul.

Palacza 87a.

Wydanie IV.

Nakład 180.

000+350 egz.

Ark.

wyd.

20. Ark- druk.

21,25.

Oddano do składu w marcu 1988 r.

Druk ukończono w lutym 1989 r.

Drukowano na papierze offsetowym III 70 g szerokość roli 61 cm.

Skład: Dom Słowa Polskiego Warszawa, ul.

Miedziana 11.

Druk; Poznańskie Zakłady Graficzne im.

M. Kasprzaka, Poznań, ul.

Wawrzyniaka 39.

Z-9z32870675z89.

## I. W Anglii

Adelina myślała, że nigdy, nigdy jeszcze w życiu nie widziała nic równie pięknego jak tę "Cygańską dziewczynę".

Romantyczność, jaką owiana była fabuła tej operetki, podziałała na nią jak światłość księżyca, kiedy przenika szkiełka witrażu, dokonując w nich cudownej przemiany.

A ta muzyka!

Słowa i melodia poprostu opętały ją czuła się niby we śnie.

Kiedy uwieszona u ramienia Filipa, wychodziła z teatru Drury Lane, miała uczucie, że ziemia pod jej stopami utraciła swą materialną zwartość, a tłum wokoło i ona z nim kołyszą się niby łódź na wodzie.

Spojrzała na Filipa, by dostrzec, jakie wrażenie maluje się na jego twarzy.

W jednym z dużych zwierciadeł o złożonych ramach ujrzała bowiem przelotnie własną twarz i ucieszył ją wyraz zachwytu, jakim jaśniała.

Spodziewała się, że twarz Filipa wyglądać będzie tak samo.

Lecz Filip wyglądał całkiem tak, jak w chwili, kiedy schodzili do gmachu opery.

Był kontent, że jest w teatrze spokojnie zadowolony z siebie i z niej cieszył się, że znajduje się znowu w Londynie.

Przycisnęła się do jego ramienia, a usta Filipa rozchyliły się w uśmiechu.

Na pewno żaden mężczyzna w całym tym tłumie nie posiadał takiego pięknego, tak męskiego profilu jak Filip myślała.  
Nie był nikim, kto by miał tak silne i tak pięknie osadzone ramiona, jak prostoplecy!  
Filip zwrócił ku niej głowę i patrzył na nią.  
Jego jasnoniebieskie oczy zajaśniały dumą.  
Spojrzał wokół, by przekonać się, czy jej uroda zwraca uwagę innych mężczyzn.  
Skonstatował, że nie mogło być żadnych wątpliwości co do tego: dwaj dzentelmeni, kroczący po drugiej stronie Adeliny, byli zainteresowani jej urodą żywiej nawet, niż ona to dobry smak pozwalała.  
Całkiem bez ceremonii po prostu wpatrywali się w nią!  
Adelina musiała zauważyć to również. Świadczył o tym silny rumieniec na jej policzkach i śmiałe spojrzenia, jakie rzucała na nich ukradkiem, nie przestając przy tym uśmiechać się do niego.  
Byli już teraz.

przy wyjściu i Filip musiał użyć całej swej zręczności, by ją przeprowadzić szczęśliwie przez drzwi, bowiem falbany jej szerokiej.

taftowej krynoliny wzdymały się wokoło niej jak morskie bałwany.

Nic dziwnego, że ci jegomości przypatrują się jej myślał Filip.

Nieczęsto spotyka się twarz tak przykuwającą uwagę.

I czyw ogóle byładrużna na świecie, mogąca równać się z jej twarzą?

Już samjej koloryt sprawiał, że ludzie odwracali się, bypatrzećna nią: włosyjej bogate ipuszyste byłykoloru ciemnokasztanowatego, a w słońcu potrafiły zapłonąć na rudo.

Cera łączyła białość marmuru zplatkami róży oczy zmienne w barwie, okalały czarne rzęsy.

Leczchoćby nawet jejkoloryt nie miał nic uderzającego, torysy, tchnące śmiałością i dumą, wyniosłe łuki brwi, orli nos i ruchliwe, śmiejące się usta wzbudzały podziw i zachwyt.

Rozległ siętętentkopyt końskich po bruku.

Podjeżdżały, jeden zadrugim, bogato lśniące, prywatne ekwipaże.

Adelina spoglądała tęsknym okiem na nie; ona bowiem i Filip musieli czekać, aż z kolei podjadą dorożki.

Przepchali się wreszcie do krawężnika.

Całą uwagę Filipa pochłaniała ciągle troska o krynolinę żony.

Nagle, jakby wyłonił się z rynsztoka, ukazał się przed nimi grajekuliczny.

Był wychudły i w łachmanach, ale umiał grać.

Przygarbion nad skrzypcami, prowadził smyczek gwałtownymi, jakby pełnymi rozpaczycy ruchami.

Nikt prócz Adeliny nie zwracał nań uwagi.

Człowiek ten gra naprawdę z rozpaczą w duszy pomyślała.

Patrz, Filip!

zwróciła się żywo do męża jaki biedny człowiek!

Filip spojrzał trochę niezadowolony, odrywało to bowiem niepotrzebnie jego uwagę od czatowaniana przejeżdżające dorożki.

Adelina jednak nie dała za wygraną.

Daj mucoś!

Filip właśnie zatrzymałdwukonną dorożkę i stanowczym ruchem popchnął Adelinę ku niej.

Woźnica zlął ciężko z kozła i otworzył drzwiczki pojazdu.

Pod naporem cisnącego się tłumu i popychana przez Filipa, Adelina znalazła się w jego wnętrzu.

Lecz nędzarz dostrzegł współczucie w jej spojrzeniu i nim konieruszyły, jego wynędzniała sylwetka ukazała się w oknie pojazdu.

Oczy patrzyły błagalnie.

Filip sięgnął do kieszeni i wyjął szylinga.

Niech wam Bóg odpłaci, panie!

Niech Bóg odpłaci ci, pani!

powtarzał biedak, dziękując.

Jego twarz wyglądała upiornie w świetle gazowych latarni.

Zatętniły kopyta na bruku.

Filip i Adelina, twarzami zwrócenido siebie, patrzyli sobie w oczy z triumfem.

Każde z nich było przekonane, że postawiło na swoim.

Po latach spędzonych w Indiach gwar tłumnych ulic, blask jaśniejących światel działały na nich upajająco.

Prawdę mówiąc, Adelina nie знаła dotąd Londynu; rodzinnym jej miejscem było County Meath, a Dublin jedyną stolicą, jaką znała za panięskich czasów.

Przetańczyła kilka karnawałów w tym mieście, lecz mimoswej urody i wdzięku nie zrobiła partii, jakiej spodziewali się rodzice.

Jej adoratorami byli chłopcy z dobrych rodzin, często aż zbyt przystojni, lecz nie posiadający środków na założenie rodziny.

Adelina zmarnowała sporo czasu na flirtach z nimi.

Wreszcie jej starsza siostra, Judyta, wyszła za oficera, służącego w garnizonowym w Indiach, i zaprosiła ją do siebie.

Adelina z radością wyjechała do Indii.

Było jej ciasno w Irlandii;

przy tym pokłóciła się z ojcem, który był usposobienia jeszcze gwałtowniejszego i despotyczniejszego niż ona.

Przyczyną tego poróżnienia był legat, pozostawiony Adelinie przez cioteczną babkę.

Jej ojciec był całe życie ulubionym siostrzeńcem owej starszej damy i z całą pewnością liczył na to, że odziedziczy majątek.

Spadek ten nie był bardzo znaczny, lecz w ówczesnym jego położeniu zdawał się mu wspaniałą fortuną. Ojciec Adeliny gorzko żałował teraz, że córkę ochrzcił imieniem staruszki.

To było przyczyną całego nieszczęścia myślał.

Toi podlizywanie się Adeliny!

Adelina poznała u Judyty oficera huzarów.

Filipa Whiteoaka.

Pochodził on z rodziny z dawną osiadłą w hrabstwie Warwick.

Whiteoakowie od kilku stuleci gospodarowali na swoim majątku.

Nie płaszczyli się nigdy przed nikim, uważając, że nie są mniej warci od innych; ród ich był dawniejszy od większej części parowskich rodów w hrabstwie.

Był czas, kiedy posiadali znaczną fortunę, która z ojca przechodziła na syna.

Przeważnie miewali nieliczne potomstwo, ale za to dzieci ich odznaczały się pięknnością.

Powodziło im się dobrze do czasu, kiedy majątek objął dziadek Filipa.

Pan ten popadł wnałóg, tak ogólnie panujący w owej epoce:

stał się graczem.

Zadłużył majątek rodzinny i w końcu zmuszony był sprzedać go.

Tylko dzięki zdrowemu rozsądkowi swego ojca i skromnemu życiu, jakie ten szlachcic wiejski prowadził, mógł Filip wstąpić do wojska i rozporządzać dostatecznymi środkami, by utrzymać się godnie na stanowisku oficera.

Filip i Adelina od razu spodobali się sobie nawzajem.  
Po kilku spotkaniach byli już namiętnie rozkochani w sobie.  
Jednakżew tym ogniu szalonej miłości zarzył się szlachetny metal.  
Nawetwśród częstychstarć, w jakie obfitowało ich małżeńskie pożycie,wiedzieli oboje, że stworzeni są dla siebie, że nikt inny nie byłbyw stanie zastąpić jednego z nich drugiemu, że najdalsza możliwość czegoś podobnego nie istniała nawet!  
Filipowi inne kobietywydawały sięnawne i płytkie w porównaniu z Adelina ; każdy jejgesti poruszenie miały dla niegoznaczenie.  
Ciepła zażyłość ichwspółzyciabyła nieustanną radością.  
Poczucie, że w każdym wypadku, bez względu na jej porywczność, może ją zawsze opanować,podniecało jego dumę.

Ją zaś zachwycała męska uroda Filipa, a przy niej owa świeżości jasność jego twarzy, której nie zdołały zgasićlata przeżyte w Indiach, ta śmiałość w spojrzeniu niebieskich oczu i chłopięcyrysunek jego warg.

Czy istniał jakiś mężczyzna o piękniejszej postawie myślała często.

Taki szeroki w barach, a wąski w biodrach!

Nie lubiła zarostu na męskich twarzach i pozwalała mu jedynie na krótkie, szerokie na palec faworyty, biegnące wzdłużuszu.

Mówiła, żegdyby ośmielił się nosić obfity zarost, nie pocałowałyby go nigdy!

Lecz bardziej jeszcze niż uroda Filipa, radowała jajegoprzewaga nad nią jego rzetelność.

Jegomałomówność, częste zamykanie się przed nią w milczeniu miały dla niejurok jakiejś tajemnicy; ilekroć, używając swego wrodzonego, celtyckiego sprytu, starała się przyciągnąć go z powrotem do siebie,miałauczucie igrania z tą tajemnicą.

Ślub ich był niebywałym zdarzeniemw indyjskiej stacji garnizonowej Jalna .

Onamiała lat dwadzieścia dwa, on był od niej odziesięć lat starszy.

Był kochany przez żołnierzy byliby poszliw ogień dla niego lecz w jego stosunkach z pułkownikiem dawało się często odczuć pewne napięcie.

Filip nie był człowiekiem,który potrafiłby z uśmiechem ulegać.

Nosiłw sobie niewzruszonapewność, że ma zawsze rację, a fakt, że rzeczywiście miewał ją naogół zawsze, pogarszał jeszcze sytuację.

Kiedy Filip przeciwstawiał się komuś, Adelina trzymała zawszejego stronę.

Kiedyprzeciwstawiał się jej, mogła się przekonać, jak dalece potrafił byćuparty i zacięty.

Judyta, q dwa lata starsza siostra,poradziła jej, by zamówiłasobie jaknajwspanialszą wyprawę w Dublinie, bo jak mówiła będzie to ostatnia sposobność dla niej, bywydostać cokolwiek

od ojca.

Młodzi spędzali więc bardzo miłe dni, wypisując listę,według której matka Adeliny miała poczynić zakupy.

Pocziwa lady Honoria, któraniem potrafiła nigdy oprzeć sięw czymkolwiek któremuś dzieci, uganiała teraz całymi dniami pomagazynach dublińskich.

O wszystkim,co córka zapomniała wyszczególnić w liście.

otym pomyślałamatka.

Trzeba też było całego regimentu skrzyń, by pomieścić wyprawę Adeliny ,która wywołała niebywałą sensacjęw Jalnie .

Suknieo ogromnych, falbaniastychspódnicach,staniki o rękawachszerokich jak pagody, zielona, aksamitna peleryna, zdobna w puszystą pianę koronek, kapuza i zarekawek dostosowane do niej, płaszcz ze szkockiego materiału w kratę, podbity niebieskim jedwabiem, balowe suknie ogłębokich dekoltach i osiej cienkości w talii, z trenami

wijącym się jak spieniony ślad okrętu na wodzie, szale ze złotymi frędzlami i koronkowe mitynki, wyszywane złotem wszystko to kłębiło się, wydobywane ze skrzyń.

Adelina szła do ołtarza, jakby płynęła w srebrzystym błoku swej ślubnej sukni.

Pokoje w bungalowie Judyty zasłane były bibułą, kiedy otwierano skrzynie wydobywano z nich teskarby.

W takich chwilach nawet Filip nabierał czasowo drugorzędnego znaczenia.

Młoda para założyła więc dom i zaczęła prowadzić życie świetne i błyskotliwe, jak tego wymagała ich pozycja w garnizonie.

Nie obyła się bez nich żadna zabawa.

Byli tacy weseli!

Winou nich było najlepsze, ubierali się najwykwintniej i posiadali najpiękniejsze konie w garnizonie.

Był toteż prawdziwy cios dla nich, kiedy okazało się, że Adelina będzie mieć dziecko. Nie pragnęli dzieci.

Przy tym dzieci przychodzące na świat w Indiach były często słabowite i musiano wysyłać je na wychowanie do Anglii.

Ta nieunikniona rozłąka z dziećmi była cieniem na anglo-indyjskim życiu.

Adelina była przerażona na myśl o wszystkim, przez co będzie musiała przejść.

Miała uczucie, że jest pierwszą kobietą na świecie, którą czekała męka.

I rzeczywiście czekała ją ciężka próba: poród miała trudny, a po nim nastąpiło wielkie osłabienie i głęboka depresja psychiczna.

Dziecko nie chowało się dobrze i napełniało dom żalnym płaczem.

Jakże zmieniło się ich szczęśliwe, bez troski, dotychczasowe życie!

Pobyt na górzystej północy nie przyniósł wielkiego polepszenia w stanie Adeliny. Zdawało się, że nie wyjdzie już z tych niedomagań.

gań. Wszystkie te troski odbiły się na usposobieniu Filipa.  
Doszło do ostrego starcia między nim a pułkownikiem.  
Filip miał uczucie, że los zawział się na niego.  
Zaczął odczuwać tęsknotę za szerszym, swobodniejszym życiem.  
Drażniła go ciasnota i konwenanse wojskowego życia.  
Jeśli miał pozostać w Indiach, musiałby przenieść się do innego pułku starcie z pułkownikiem  
było natury tak poważnej, że nie dawało się załagodzić.  
Jego myśl wróciła się do Nowego Świata.  
Miał on stryja również wojskowego stojącego garnizonem w Quebecu, który pisywał listy,  
pełne zachwyty nad tamtejszym życiem.  
Filip zastanawiał się, czy też klimat Kanady odpowiadałby Adelinie.  
Zasięgnął rady lekarza.  
Ten oświadczył, że nigdzie na świecie nie można by znaleźć klimatu odpowiedniejszego dla  
stanu jej zdrowia, ani też bardziej wzmacniającego powietrza.  
Filip był przygotowany na to,  
że kiedy powie o swym zamiarze Adelinie, ta odeprze z oburzeniem myśl o takiej zmianie.  
Porzuciło barwne życie w Indiach dla surowej, pionierskiej prostoty Nowego Świata  
wyobrażał sobie,  
że będzie to ponad jej siły.  
Lecz Adelina zadziwiła go: przyjęła zrozkoszą perspektywę tej nowej przygody.  
Podniosła nagie ramiona w zachwycie (miała na sobie jeden z jedwabnych peniuarów,  
które teraz prawie stalenosiła) i oświadczyła, że nic niepodobałoby się jej bardziej, niż  
pojechać do Kanady.  
Dość już miała Indii i wszystkiego, co miało łączność z nimi; znużyły ją pały i kurz, znużyły  
plotki garnizonowe i te roje tubylców wszędzie -- a przede wszystkim ma już dość tego  
poczucia, że zanikają jej przyrodzone siły i żywotność.  
Lecz mimo zgody Adeliny Filip wahał się jeszcze czas jakiś.  
nim zdecydował się puścić na tak bystre wody.  
Kiedy tak wahał się i namyślał, umarł stryj w Quebecu, zostawiając mu tam znaczną  
posiadłość.  
To rozstrzyga sprawę!  
zawołała Adelina.  
Nic nas już irie powstrzyma!  
Tak więc Filip wystąpił z wojska, sprzedał konie i kucę do gryw polo, Adelina  
spieniężyła umeblowanie.  
Zatrzymała tylko pewne rzeczy, które dla niej miały wartość jako pamiątki z pobytu w Indiach;  
a więc meble ze swej sypialni, obite malowaną skórą,  
kantorek i skrzynię, wybite mosiężnym ornamentem, kilka jedwabnych, haftowanych makat i  
dywanów, rzeźbione wkościsko i nerkowcu cacka.  
Wszystkim tym chciała zaimponować ludziom w Quebecu.  
10  
Wsiadli na statek w Bombaju razem z małą Augustą i jej hinduską niańką, która  
pielęgnowała ją od urodzenia.  
Ayah tak nazywają niańki tubylcze w Indiach była przerażona perspektywą podróży przez  
wielkie morze na drugą stronę świata, aletak bardzo kochała małą Augustę, że zgodziła się  
jechać wszędzie, byle nie rozłączać się z nią.  
Lecz najważniejszą sprawą wśród gromadki podróżnych we własnym przekonaniu  
przynajmniej należało się papudze Adeliny.



Był to ptak młody i silny, barwnie upierzony, niezmiernie mądry i gadający z wielką biegłością.

Papugata była żywym zaprzeczeniem teorii, że szare papugi gadają z większą łatwością niż inne; wymawiała bowiem wyraz czysto i posiadała bogaty, choć nie zawsze przystojny, słownik.

Kochała jedną tylko Adelinę i jej też jednej pozwalała się pieścić.

Adelina nazwała ją Bonaparte, żywiła bowiem skryte uwielbienie dla Małego Kaprała, jak w ogóle dla wszystkiego co francuskie.

Była już od wielu lat żoną Filipa, kiedy dopiero pod jego wpływem nabrała wiernopoddańczych uczuć dla angielskiej korony.

Filip ze swej strony czuł tylko wzdęty i nienawistny dla Napoleona.

Jego ojciec zginął pod Waterloo.

na kilka miesięcy przed jego urodzeniem.

Dla wszystkiego co francuskie miał też tylko umiarkowaną sympatię.

Wołał na papugę .

Boney"; to zdrobnienie jej imienia wymawiał tonem żartobliwej drwiny.

Podróż z Indii do Anglii zdawała się nie mieć końca, lecz na ogół była raczej przyjemna.

Wyruszyli na nowe życie.

Na statku było sporo osób z ich środowiska.

Whiteoakowie byli po prostu nowu rozrywani!

Pogoda była piękna i stan zdrowia Adeliny poprawił się podczas morskiej podróży.

Lecz kiedy znaleźli się w szarej i burzliwej Zatoce Biskajskiej, zaczęli już z utęsknieniem wyglądać na wybrzeża angielskich.

Wylądowali w Liverpoolu na tydzień przed Bożym Narodzeniem.

Wraz z dzieckiem: jego nianką i górami bagażu odbyli długą podróż dyliżansem z Liverpoolu do znanego dzięki swej pięknej katedrze miasta Penchester.

w jednym z południowo-zachodnich hrabstw, gdzie niecierpliwie oczekiwała ich przyjeżdżająca siostra Filipa, Augusta.

Jej też imię nadali Whiteoakowie swej pierworodnej.

Była ona żoną dziekana owej katedry, człowieka znacznie starszego od niej, prawdziwego molaksiażkowego i zdecydowanego wroga wszelkich zmian i zamieszania w domu.

Był to szczęśliwe małżeństwo na tej zasadzie, że Augusta była najzupełniej oddana mężowi i żyła w ustawicznej trosce o niego, on.

zaś nie sprzeciwiał się nigdy w niczym jej woli.

Podobna była do Filipa, lecz usposobieniem łagodniejsza i nie tak przystojna jak on.

Jedynym smutkiem dla niej była bezdzietność.

Wyglądała skwapliwie przyjaźnią swej imienniczki, lecz tu czekało ją wielkie rozczarowanie.

Mała Augusta była tak dzika, że z trudnością dawała się wyrwać z ramion swej ayah.

Ta zaś, z egoistycznych względów, rozwijała jeszcze ową wrodzoną dzikość małej.

Chciała, by dziecko kochało ją tylko, nikogo innego.

Ze swej strony Hinduska przywarła do Gussie całą dziką, zaborczą miłością swej wschodniej natury.

To właśnie stanowiło gorzkie rozczarowanie dla siostry Filipa.

Jednakże miała nadzieję, że powoli przezwycięży lęk, jaki mała okazywała, gdy zbliżała się do niej.

W skrytości ułożyła sobie, że uda się jej zatrzymać dziecko, kiedy rodzice wyjadą do Quebecu.

Była pewna, że przekona dziekan i uzyskaję zgodę na to.

Gorąco zawsze pragnęła mieć taką dziewczynkę, którą mogłaby kochać.

Czarne włosy i oczy małej Augusty, jej ciemna i matowa cera, miały dla niej romantyczny urok.

W jaki sposób oni spłodzili takie dziecko?

pytała męża.

Filip z tymi różowymi policzkami i Adelina z tymi kasztanowatymi włosami i cerą jak mleko.

Spytaj o to lepiej tego radzę, o którym Adelina ciągle prawi z takim zapalem zauważył dziekan.

On by może mógł powiedzieć coś o tym.

Żona spojrzała na niego ze zgrozą.

W ciągu całego ich małżeńskiego pożycia dziekan nie pozwolił sobie nigdy na równie rubaszną uwagę.

Ita jeszcze o kim?

O żonie jej rodzonego brata!

No dorzucił w obronie własnej dziekan widział przecież ten wspaniały pierścień rubinem, jaki jej dał.

Fryderyku!

wykrzyknęła bardziej jeszcze oburzona.

Chyba nie mówisz serio!

Oczywiście, że nie odparł bardziej miękko.

Czy nie potrafisz poznać się na żarcie?

Dodał jednak zaraz:

Ale dlaczego właściwie radzą podarował jej ten pierścień?

Zauważyłem, że Filip nie lubi go.

Radza podarował jej pierścień wdzięczności.

Adelina ocaliłażycie jego syna.

Jechał konno z chłopcem, kiedy nagle jego koń stanął dęba.

Był to ognisty, arabski rumak i chłopak stracił nad nim władzę.

12

Dziekan uśmiechnął się raczej złośliwie.

Adelina zaś była piękną, irlandzką dziewczyną, pochwyciła za uźdę ognistego, arabskiego rumaka i ocaliłażycie dziedzicowi tronu wielkiego radży!

Co?

Tak jest zapewniła Augusta, patrząc lodowato na męża.

A czy Filip był obecny wtedy?  
Czy pomagał przy tym cudownym ocaleniu?  
Nie przypuszczam.

Czemu pytasz?

Bo radza byłby może nie wynagrodził oficera brytyjskiego tak wspianale.  
Fryderyku, jesteś szkaradny!

zawołała i pozostawiła go jego własnym, zgryźliwym myślom.

Adelina wpadła na pomysł, aby korzystając z pobytów Anglii, kazali się oboje sportretować.

Może już nigdy nie zdarzy się taka sposobność ku temu mówiła.

A już napewno nie będą nigdy piękniejsi, jak w tym właśnie okresie życia.

Aprzedewszystkim musi koniecznie mieć prawdziwy portret Filipa niezaden z tych dagerotypów, które nie dają pojęcia o kolorycie.

Chce mieć portret Filipa jako oficera, w całej wspianłości huzarskiego munduru!

Rodzina Whiteoaków dostarczyła w przeszłości wielu przystojnych oficerów do tego pułku huzarów, jak ido trzeciego pułku liniowego "Buffs", lecz w mniemaniu Adeliny żaden z nich nie był tak dzielny, ani nie miał tak szlachetnego wyglądu jak Filip.

Myśl ta spodobała się również Filipowi, chociaż cena, jaką miał zapłacić artyście, była raczej zawrotna.

Lecz było w modzie zamawiać u niego portrety, szczególnie w kołach wojskowych.

Nie tylko bowiem umiał namalować mundur tak, jakby rzeczywisty i prawdziwy występował z ramy obrazu, lecz jeszcze potrafił nadać najbardziej nieznaczącemu i najsilniej cierpiącemu naniestrawność oficerowi marsowemu "rozkazujący" wygląd.

Cosię zaś tyczy kobiecych modeli, biegły był w oddawaniu karnacji pięknych pań ich loczkówi mieniających się jedwabiami.

Mówił, że portrety Filipa i Adeliny były najbardziej udane ze wszystkich, jakie wyszły spod jego pędzla ciągu całej jego kariery.

Był niepokieszony, że miały być wywiezione z Anglii i nie będzie można ich pokazać na wystawie Akademii.

Wydał jednak duże przyjęcie w swej pracowni, aby je ludzie mogli obejrzeć.

Na to przyjęcie zaprosił również Whiteoaków.

Odbyło się ono właśnie w wilię dnia, kiedy Filip i Adelina byli w teatrze na "Cygańskiej dziewczynie".

13

i.

Chęć posiadania swego portretu i portretu Filipa w rozkwiciemłodości nie była jedynym celem Adeliny, kiedy podsunęła mężowi ten ekstrawagancki pomysł. Wiedziała, że wymagać to będzie kilku tygodni pobytu w Londynie dla pozowania; powiedziała sobie, że póki danym jej było przebywać w Anglii, chce wykorzystać ten czas w jak najprzyjemniejszy sposób.

I tak jeździli trzykrotnie do Londynu.

Obecny ich pobyt miał już być ostatni.

Nazajutrz mieli powrócić do cichego, śpiącego cienia starej katedry, Penchesteru.

Kiedy znaleźli się w hotelu, Adelina rzuciła się w ciężki, aksamitny fotel i zawołała dramatycznym głosem:

Jestem tak zachwycona, że chciałabym umrzeć!

Za bardzo przejmujesz się rzekł Filip na to.

Wolałbym, abyś brała rzeczy chłodniej jak ja.

Popatrzył na nią niepokojem i dodał:

Pobladaś.

Zadzwoń i każe ci podać szklanę portersucharki.

Nie!

Nie portera!

Każ podać szampana!

Jak można pić coś tak prozaicznego, jak piwo, po tak boskiej operze!

Nie zapomnę nigdy dzisiejszego wieczoru!

Ten niebiański głos Thaddeusa!

Adelina jaka urocza!

Filip, czy możesz przypomnieć sobie melodię którejś z arii?

Musimy kupić nuty!

Spróbuj zaśpiewać.

Śnilem, że mieszkam w marmurowych salach".

Nie potrafię.

To spróbuj.

Jasność dawnych dni".

O, spróbuj, Filip!

Zanic na świecie!

Nie mogę!

Zerwała się z fotela.

Jej wieczorowy, obramowany futrem płaszcz zesunął się na ziemię.

Zaczęła chodzić i z powrotem do pokoju.

Głos miała ciepły, ale nie był bardzo wyrobiony inieni miała bardzo dobrego słuchu, lecz udało się jej pochwycić pierwsze takty ulubionej arii opery.

Śnilem, że mieszkam w marmurowych salach, Wokół mnie wesele i poddani.

Śpiewając, odchyliła głowę w tył, ukazując w tym wygięciu piękną linię śnieżnobiałej szyi.

Z uśmiechem triumfu patrzyła na Filipa.

Olbrzymia, z jasnoniebieskiej tafty, krynolina falowała wokoło niej wszystkimi swymi falbankami, obszytymi wąziutkimi aksamitkami.

Ponad mocno wciętą talią wykwiwały krągłe piersi w obłoku białej koronki, okalającej głęboki dekolt stanika.

Koronka była przetykana turkusowymi sprzączkami i drobnymi bukietkami aksamitnych kwiatków.

W świetle świecej ramionałśniły

cudowną bielą.

Lekko dotykały jej karku kasztanowateloki, spływające z upięcia obfitych splotów.  
Patrzac na nią, Filip widział jej urodę; lecz widział także nadmierną szczupłość ramion,  
zamocny karmin warg, za żywo świecące oczy.

Wstał i pociągnął zasznurowany od dzwonka.

Kiedy zjawił się numerowy, kazał przynieść portera.

Dała za wygraną przestała śpiewać.

Teraz już melodiawymknęła się jej zupełnie.

Lecz nie była w stanie usiąść spokojnie.

Odchyliła ciemnoczerwone zasłony u okna i zaczęła wyglądać na ulicę.

Gazowe latarnie tworzyły okrągłe sadzawki światła na mokrym asfalcie, a konie dorożkarskie,  
o zlepiionych przez deszcz grzywach i nasiąkniętych wodą uprzężach, przebiegały,  
wybijając podkowi monotonne klop-klop na bruku.

Jakaś dziwna tęsknota ogarnęła ją, kiedy tak myślała o tajemniczym życiu ludzi, zamkniętych  
w tych pojazdach.

Odwróciła się i zapytała Filipa:

Wrócimy tu, od czasu do czasu prawda?

Oczywiście.

Gwarantuję ci, że przywiozę cię tu zawsze razna dwa lub trzy lata.

Przecież nie zagrzebiemy się całkiem jakimś pustkowiem!

I nie zapominaj o Nowym Jorku.

Pojedziemy tam także.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go leciutko.

O mój aniele!

rzekła.

Gdybym miała znaleźć się tejnocy z kimś innym w łóżku, a nie z tobą, rzuciłabym się z  
tego okna!

Całkiem słusznie!

zauważył Filip.

Odskoczyli od siebie, by zachować pozory przyzwoitości, bowiem ukazał się kelner,  
niosąc przekąskę.

Zasłał śnieżnobiałą serwetą owalną taflę marmurowego stolica i ustawił na niej  
butelki portera, sucharki, ser, pasztet z jarząbków na zimnodla Filipa i filiżankę gorącego  
bulionu dla Adeliny.

O! Jakże to wszystko pięknie wygląda!

wykrzyknęła, kiedy zostali znów sami.

Wiesz, wraca mi apetyt!

Czy myślisz, że nie zaszkodzi mi ten ser?

Ja ubóstwiam ser!

Co za wyrażenie!

Ubóstwiasz mnie i ubóstwiasz tak samo ser!

Zdaje mi się, że nie bardzo umiesz różnicować twoje uczucia!

Ty przemiły głupcze!

zaśmiała się.

Po czym ujawszy się dołmi wpasie: Naprawdę Filip rzekła będziesz musiał rozsznurować  
mnie, zanim spróbuję zjeść cokolwiek, albo nieznajdę więcej miejsca w sobie jak na  
suchareczek!

Podczas gdy mozolił się z zawitym zapięciem u jej sukni, odezwał się z wielką powagą:

Nie wybijesz mi z głowy, że takiesznurowanie się jest zgruntu niezdrowe.

Doktor okrętowymówił mi nawet, że bywapowodem wielu ciężkich porodów.

Doskonale!

oświadczyła.

Jak staniemy w Kanadzie, rzucam gorset i będę chodziła po świecie jak wór kartofli, przewiązany w środku!

Wyobraź sobie tylko mnie w tym dzikim kraju.

Na przykład: wyjechałam konno na polowanie.

Właśnie złapałam w sidła czy zastrzeliłam jelenia, bobra, czy coś w tym rodzaju.

Wracam już do domu z moją zdobyczą przewieszoną przez plecy.

Nagle czuję, że coś jest niewyraźnie ze mną.

Przypomina mi to, że jestem brzemienna.

Może to już nadszedł krytyczny moment.

Upatruję sobie wygodne miejsce u stóp oliwnego drzewa.

Nie ma tam oliwek.

Nieszkodzi!

Wystarczy jakiegokolwiek drzewo.

Rzucam z pleców ubitą sztukę i wydaję na świat dziecko prawie bez jęku!

Zawijam je w moją spódnicę spodnią, przez plecy z powrotem przewieszam jelenia czy bobra i jadę dalej - do domu.

Rzucam ci dostóp zwierzyńcę, a na kolana niemowlę.

"Ale, ale zauważam mimochodem oto twój syn i następca tronu".

Na Boga!

Tak być powinno!

zawołał, mocując się z kobyłkami i konikami stanika.

No nareszcie, aniele!

Wyleźże teraz tej matni!

Niebieska tafta opadła jasną kaskadą na podłogę, lecz rusztowanie krynoliny sterczało dalej, od pasa po ziemię, wokoło niej, a ponad nim osiadała jej talia zdawała się wątlą podstawą dla gorsu iramion.

Zdołał jednak jakoś wydobyć ją z obręczy krynoliny, z spódnicy spodniej, ze złożonego z samych klinów staniczka.

Lecz nabiedził się, zanim udało mu się rozsznurować gorset, który gotasiemka oczywiście! splątała się i zacisnęła w węzeł.

Zanim uwolnił ją z niego, jasna jego twarz była czerwona z irytacji.

Dał jej upust, zakławszy kilkakrotnie.

Adelina stała przed nim, zgrabna i wdzięczna, w samej tylko koszuli.

Lecz zamiast pocałować ją jak tego oczekiwała odepchnął nagłym ruchem i rzekł:

Włóż peniarz, zjemy teraz.

Stał.

przypatrując się jej z miną na pana i władcy, nawpół pieszczotliwie, podczas gdy naciągała na siebie fioletowy, aksamitny szlafrok i zdejmowała bransoletki z rąk.

Siadając do

16

stołu, Adelina zaśmiała się z wyrazem błogiego zadowolenia.

Jej oczy ślizgały się po ustawionych potrawach.

O! jakaż jestem głodna!

oświadczyła.

I jak to wszystko smacznie wygląda!

Muszę spróbować tego sera!

Uwielbiam ser!

Znowu!

zawołał, szykując dla niej kawałek sera.

Mówiłem ci już: uwielbiasz jedzenie i uwielbiasz mnie!

Jakaż wtakimrazie jest różnica?

Nie mówiłam nic o uwielbianiu ciebie odrzekła, wbijając zęby w kawałek sera.

I śmiała się jak żarłoczna dziewczynka.

A Filip myślał, że to właśnie składało się na ten urok, jaki posiadała w sobie, że potrafiła siedzieć tak oto i jeść żarłocznie, a przy tym wyglądać powabnie.

Zdawała się nie przywiązywać wielkiej wagi do tego, co robiła lub mówiła, lecz namiętna jej miłość do niego, pragnienie, by dać jej miłości wyraz, by podporządkować się ukochanemu nawet w chwilach, kiedy kobiecość jej odnosiła nad nim triumf, podnosiły najdrobniejszy z jej gestów lub ukradkiem rzucane spojrzenia do znaczenia symbolu.

Siedział więc tak, przypatrując się jej, i poczuł nagle, że w niewytłumaczony jakiś sposób fakt, że jadła żarłocznie, że jej ramiona były za wąskie, że ścisnęła się zanadto gorsetem wszystko to jeszcze zwiększało pożądanie, jakie budziła.

Wstała wreszcie, by zbliżyć się do niego.

Boże!

pomyślał.

Czy kiedykolwiek jakaś kobieta potrafiła poruszać się tak!

Ona się nigdy nie postarzeje!

Podeszła do niego i rzuciła się w jego ramiona.

Przywarła doń całym ciałem, jakby chciała zatracić się w nim, dobrowolnie stać się tylko istotą, którą do życia powołał mocą swej miłości.

Starła się zrównać rytm swego oddechu z jego oddechem tak, aby nawet serciami były zgodnym ruchem.

Pochylił ku niej głowę i ich usta spotkały się.

Odwróciła szybko twarz.

Po czym znowu, zwróciła do niego, przymknęła oczy i zaczęła całować go w uniesieniu.

Lecz nazajutrz rano poczuła się smutna.

Mieli tego dnia opuścić Londyn.

Kiedyż zobaczy go znowu?

Może już nigdy.

Tak liczne niebezpieczeństwa podróży morską dzielą ją od niego!

Co też spotka ich w Nowym Świecie?

Jakiż jest ten daleki dom, w którym żyć im przyjdzie?

Podróż z Londynu do Penchesteru trwaławiele godzin.

Kiedy Adelina.

- wysiadła z pociągu, była bardzo zmęczona.

Głębokie sińce dyciemu jej oczy.

Wyglądała, jakby była chora.

Lecz po

17.

wóz dziekana, który czekał na nich na stacji, miał miękko wyściełane siedzenia i latarnie jego jasno świeciły w mroku.

Ulice miasteczka były ciche; potoczyli się spokojnie wzdłuż nich.

Niedługo jasnością zachodu niebie ukazała się potężna sylweta katedry.

Jej okna zachowały jeszcze odbłask ostatnich promieni słońca.

Wyglądała jak zjawia eteryczna, a jednak obdarzona wiecznym trwaniem.

Adelina pochyliła się naprzód przyglądając się jej przez okno pojazdu.

Chciała wyryć ten obraz w pamięci i zabrać go z sobą do Quebecu.

Poczuła nagle, że nawet dziekan miał dlatego piękna takiej miłości i takiego, zrozumienia, jakiego ona miała w tej chwili.

A te uroczyste uliczki, skupiające się wokoło świątyni takie mroczne, takie ciche, tak stopione z tradycją ubiegłych wieków!

A sam dziekan!

Kiedy zajechali przedzeń, Adelina pomyślała, że chciałaby go posiadać.

Wyglądał tak spokojnie i gościnnie tak ciepły był w kolorze!

I rzeczywiście, sądząc po masie jej bagaży, zalegających hali, słysząc ostry głos męża, wydającego rozkazy służbie i krzyk dziecka, którego echem rozbrzmiewał cały dom, widząc papugę, która usłyszawszy jej głos, jak szalona darła się w niebogłosy, w erotycznym wprost podnieceniu manifestując w ten sposób swą miłość dla niej i radość z jej powrotu można by łatwo przypuścić, że ona była tu panią.

Augu.

sta i dziekan byli po prostu niczym we własnym domu.

Adelina rzuciła się ku papudze przykutej łańcuszkiem do swego preta w salonie.

Boney!

Słodki mój!

Wróciłam!

wołała do papugi przysuwając swą piękną, orlą twarzą do dzioba ptaka.

Perło harem!

wrzeszczał Boney po hindusku.

Dolkhoosa!

Nur Mahal Mera la!

i delikatnie szczytał dziobem.

nozdrza Adeliny.

Jego czarny język drżał, muskając jej wargi.

Od kogo ten ptak nauczył się tego wszystkiego?

pytał dziekan.

Adelina śmiało spojrzęła mu w oczy.

Od radzy odcięła się odradzy, który mi go podarował.

Nie powiem, żeby to było bardzo ładne.

rzekł dziekan.

Bo też Boney wcale nie jest ładny.

Jest piękny, zły -- i fascynujący!

odrzekła Adelina.

Słuchaj, Augusto przerwał im Filip czy to dziecko darło się tak przez cały czas naszej nieobecności?

18

Augusta zachmurzyła się.

Mąż wyręczył ją w odpowiedzi:

Rzekłeś!



Prawdę mówiąc, między waszą małą a waszą papugą nie byłam w stanie znaleźć kąta w domu, gdzie bym mogła w spokoju układać moje kazania!

Lecz zaraz dodał skwapliwie:

Ale to nic!

To nic!

W rzeczywistości jednak nie było to "nic".

Filip wiedział dobrze, że dziekanowi bardziej potrzeba spokoju niż oficerowi huzarów i był strapiony z powodu małej Augusty.

Miała prawieroki powinna była okazywać już trochę więcej rozumu.

Kiedy więc tylko znalazł się sam przy niej, wziął małą do raportu.

Ujął ją mocno rękami i podniósł tak, że ziemista warzyczka dziecka była na wysokości jego jasnych, świeżych policzków przemówił:

Ty zuchwała, głupia dziewczyno!

Toty nie wiesz, gdzie dla ciebie chleb może być masłem posmarowany?

Tu wuj twój i ciotka bezdziećni, a ty ty, dziewczyno akurat czego im potrzeba!

W każdym razie mogłabyś pozostać tu u nich, póki ja i twoja matka nie urządzimy się w

Kanadzie, a gdybyś zachowała się odpowiednio, zrobiliby cię swoją spadkobierczynią.

Teraz słuchaj, czego żądam od ciebie: masz mi zaprzestać tych ryków, ilekroć ciotka spojrzy na ciebie.

Nie wolno ci płakać rozumiesz?

Ale co Gussie rozumiała przede wszystkim, to swoje własne dolegliwości.

Dziecko cierpiało na ustawiczną biegunkę.

Z powodu nieracjonalnego odżywiania, a bardziej jeszcze z powodu

nieracjonalnego opychania go lekarstwami, kiedy miało zaburzenia w trawieniu.

Ale ayah była zdania, że ona jedna tylko umiała pielęgnować dziecko: miłość i bezinteresowne oddanie, którymi otaczała małą, zdawały się jej wystarczającą tego ręką.

Gussie była dzieckiem nadwzrostnie rozwiniętym, częściowo dzięki wrodzonej inteligencji, a częściowo dzięki losowi, jaki jej przypadł w udziale, to jest ciągłej zmianie otoczenia, w jakim żyła.

Zrozumiała, że potężna istota, która uniosła ją w górę i trzymała w mocnym ujęciu swych dłoni, przemawiając grmącym głosem, nakazywała jej nie płakać, lecz dusić w sobie wszystkie męki i niedole, których powodem był czy to ból fizyczny, czy też wrodzona dzikość. Kiedy następnym razem ciotka, w przypływie naglej czułości, chwyciła ją i zaczęła kołysać, mała zdobyła się na coś, co było dla niej niesłychanym bohaterstwem: zdławiła w sobie ochotę do płaczu.

Utkwiła w twarzy ciotki Augusty żalosne spojrzenie,

19.

skrzywiła usteczka w podkówkę, oczy nabrzmiały jej łzami, alenie dała im się potoczyć i połknęła je dzielnie.

Augusta była oburzona, widząc taki wyraz na twarzyczce małej.

Cóż to?

rzekła z przerażeniem.

Dzieckonie możeznieść mego widoku?

Widzę to wjej oczach!

Głupstwapleciesz, moja droga rzekł Filip.

To tyłkonięśmiałość.

Wyleczy się z tego!

i palcem pogroził córce.

Nie!

Nie wyleczy się.

Robiłam, comogłam,aby zjednaćjasobie!

A teraz spojrziała na mnie z taką rozpaczą!

Tak, jakby najwiękzym wysiłkiem chciała pohamować krzyk przerażenia namójwidok!

Weź ją odemnie, Adelino .

Adelina wzięła córkę i zaaplikowałajej niezbyt pieszczotliwegoklapsa natyłeczek.

To było już ponad siły Gussie.

Sprężyła się cała.

i uderzyła wryk.

Wtej chwili wszedł do hallu dziekan,naciągając płaszcz na siebie.

Pójdę chybado zakrystii rzekł.

Możetam znajdęspokój.

Wtedy Adelina i Filip zdali sobie sprawę, że papuga krzyczałarównież.

Bogudzięki, żedziekan nie rozumiał po hindusku, bosłowa, które Boney wykrzykiwał, należały do najbezpieczniejszych wjego repertuarze; wyuczył się ich bowiem na statku.

Filip i Adelina zaczęli odczuwać, że czas już zakończyć swojąwizytę wdomu dziekana.

Filipowi śpieszyło sięzacząć nowe życie,lecz Adelina chętnie pozostałaby jeszcze w cichym Penchesterze,urozmaicając ten pobyt wyjazdami do Londynu.

Podobał jej sięokolony murami ogród za domem, gdziekwitły krokusy, a pąkizonkili zaczynały już nabrzmiwać, choć to dopiero był luty.

Jednego ranka Augusta zaprowadziła brata do swego zacisznegosalonikui rzekła:

Zdaje mi się, Filip,że nie dostałeś wszystkiego,co należałoby ci się ze spuścizny po naszych rodzicach.

Oczy Filipa ożywiły sięprzyjemnym oczekiwaniem.

Czymasz zamiar podarować mi coś,Augusto?

zapytał.

Tak czy myślisz, że potrafisz dowieźć bezpieczniepięknemebledo Kanady.

Niezniosłabym myśli,że cenne przedmioty, doktórych od tyłu pokoleń rodzina nasza była przywiązana, mogłyby ucierpieć.

Nie ucierpią zapewnił ją żywo.

Opakuje sięje wskrzynie, a ja osobiściedopilnuję załadowania ich i wyładowania.

20

Płyniemy na szybkobieżnym kiprze.

Powiadają,że podróż takimstatkiem nie trwa wiele dłużej niż parowym, ale wygodą i czystoścą nim są znacznie większe.

O! Jakżebym chciała, żebyście niepłynęli!

westchnęła Augusta.

Ledwie doczekaliśmy się was z Indii na to, by stracić wasz nowu!

I tak się boję tej podróży dla małej!

Augusto, jeżeli byś chciała zatrzymać małą na jakiś czas.

Nie, nie!

przerwała mu to na nic.

Augusta nie może przekonać się do mnie.

I ciągle krzyczy.

To drażni Fryderyka.

. Przyjedźcie do mnie, jak będzie starsza.

Filip niezadowolony zmarszczył brwi, lecz zaraz twarz rozjaśniła mu się.

Słyszałem, że dom, który zostawił nam stryj Mikołaj, jest zbudowany solidnie, w stylu francuskim.

Chciałbym go pięknie umeblować.

Zabraliśmy trochę rzeczy z Indii.

Jak wiesz, Adelina wzięła swoje piękne, malowane łóżko i kilka wykładanych mosiądzem kantorków.

Mamy też trochę pięknych dywanów.

Damysobie jakoś radę nietroszcz się o nas!

A właśnie, że się troszczę.

Chciałabym, żebyście zajęli w Quebecu odpowiednią pozycję, a nie da się tego zrobić, jak dom wasz będzie nędznie umeblowany.

Jakoś to będzie.

Zdaję mi się, nieczęsto widuje się tam oficera huzarów a Adelina jest wnuczką markiza, jak wiesz.

Tak i wygląda też bardzo dystyngowanie.

Czypokazywała ci broszkę z perłą i bransoletkę, które podarowałam jej?

Tak.

Są bardzo piękne.

Tobie zaśdaję meble, które otrzymałam z naszego domu.

Są to w większej części prawdziwe chippendale i mogą być ozdobą każdego salonu.

Ja ich nie potrzebuję.

Dom ten był kompletnie umeblowany, kiedy Fryderyk wprowadził mnie do niego.

Anie mam dzieci, żeby im je zostawić.

Czy miłoci będzie mieć je, Filipie?

Strasznie miło!

wykrzyknął Filip.

To bardzo pięknie z twojej strony, Augusto!

Adelina była zachwycona hojnością Augusty.

Nie posiadała się z radości.

Jej śmiech, paplanie i tupot obcasów napełniły dom.

Filip nie odczuwał pragnienia ciszy i spokoju.

Ale jakże bardzo pragnęli ich dziekan i Augusta!

Kiedy goście wreszcie opuścili ich dom razem z górą bagaży (łoskot przy pakowaniu mebli doskrzyń przyprawił nieledwie o szaleństwo dziekana), z rozwrze21.

szczanym dzieckiem i jego niańką, która robiła wieczne zamieszanie w kuchni, żądając przedziwnych potraw, z wrzaskliwą iwykrzykującą bezceństwa papugą, stateczna para małżeńska byłado cna wyczerpana nerwowo.

Najszczerzym życzeniem ichbyło,by nieprędko zobaczył się znowu, zwłaszcza na dłuższy pobyt.

Filip i Adelina odczuli przy pożegnaniu pewneozębienie atmosfery i uraziło ich to. Teraz wyruszyli, by odwiedzić rodzinę Adeliny w Irlandii.

Znajdziemy tam zawołała, rozsiadłszy się głęboko wpolstrowanym siedzeniu powozu irlandzką gościnność, szlachetne serca i prawdziwe ciepło!

## II. W Irlandii

W ciągucałej, długiej morskiej podróży zIndii niewycierpiała Adelina tyle, co podczas przepływania Irlandzkiego Morza.

Fale były krótkie,zmienne igwałtowne.

Nigdy niebyło im dośdęczyć nieszczęsny statek z jednej tylko strony.

Atakowały gościenie z północnego wschodu, aby potem z rykiem rzucać sięna z zachodu.

Czasem zdawało się Adelinie , że okręt nie poruszasięwcale naprzód, że nie poruszy się już więcej, lecz będzie takkołysał siędo sądnego dnia wśródtego szarego rozlewiskarozszalałej wody!

Twarz ayah zzieleniała tak, że można byłoprzestraszyć sięna jej widok.

Gussie, która nie cierpiałana morskąchorobę podczas pierwszej swej podróży, chorowałateraz tak, że ledwie ducha nie wyzionęła.

Do szaleństwadoprowadzał Adelinę widok Filipa, białego i różowego,jak zazwyczaj, z wilgotnymi odobryzgów fali pełnymi policzkami i przysłuchującego się, z wyraźnym upodobaniem, łoskotowi fal.

Lecz faktycznie Filip zachowaniem swoim podtrzymywał na duchu wszystkich, którzyznajdowali się w jego towarzystwie.

Wagony irlandzkich kolei były brudne, zadymione, siedzenia w nich twarde, lecz wydały się imrajem po przebyciu Irlandzkiego Morza.

Cierpiętnicy powoli podnosili umęczone głowy i zaczynać spoglądać wokoło, okazując na nowo zainteresowanie dla życia.

Gussie wzięła w rączkę sucharka i próbowała żuć go z trudem.

W rezultacie więcej okrucichów byłorozianychcho szacieayah, niż dostało siędo żołądka Gussie.

Nastacji oczekiwał ich okazały powóz zaprzężony w parę siwków,którymi powoził Patsy O'Flynn.

Patsy, od maleńkości prawie, był w służbie rodziny Courtów.

Był doskonałym stangretem.

Lekki wietrzyk muskał pola, którezaczynały zielenieć, a pąki nadrzewach pękały nieledwie w oczach.

W powietrzu unosiła się lekka mgiełka, jakby delikatnazasłona zawisła między słońcem a zie23.

mią. Gęganie gęsi, ryk osłów i krzyki bawiących się dzieci rozczulały Adelinę do łez.  
O jak dobrze być u siebie, w kraju!  
wołała.

I dobrze zobaczyć znowu jaśnie panienkę!  
przemówił zkozłaPatsy.  
Wstyd doprawdy, że panienka myśli opuścić nasznowu!  
O, zostanę tu uwasdłużej.  
Tyle mam do pokazania mężowi!  
I muszę odwiedzić całą rodzinę.  
Myślałam, że ojciec wyjedziepo nas na kolej.  
Czy chorymoże?

Ale!  
Ma się nieźle.  
Tylko pojechał złożyć skargę na panaJohna Lafferta że towody wezbrane spływają jego  
majątku izabagniają nasze grunta, a jego bydło gzi się na naszych łąkach.

A matka moja, czy zdrowa?  
Zdrowa.  
Tylko biedaczka nie wie już,co wymyślić, żebydom przygotować godnie naprzyjęcie państwa  
i tejmurzyńskiejpiastunki, i papugi, itego wszystkiego.

Czy któryś z moich braci jest w domu?  
A jest tych dwu chłopaków, cotoich pan posłał doangielskiej szkoły,żeby  
nabralinowego akcentu.  
Ale rzucili się tam najednego nauczyciela i pobili go.  
To ich wyrzucili isą w domu,póki nie wymyślą, co ze sobą zrobią dalej.  
Noi jest też naturalniepan Tim.  
Wyrósł, gracki chłopak z niego.

Adelina papłaładalej z Patsym, coFilipa dziwiło ibawiło zarazem;widział ją w  
nowym świetle na tym wyłaniającym się przednim tle jejdawnego życia.  
Droga była tak błotnista po świeżymdeszczu i zpowodu roztopów, że kołazapadały się  
prawiepoosie,lecz Patsy zdawał się nie przejmować tym.  
Strzelał zbata,okładającwyczyszczone na glanc boki siwków i dodawał im ducha potokiem  
soczystych wyzwisk.  
Czasem, na progu przydrożnejchaty, pod niskimokapem dachukrytego strzechę, ukazywały  
siękobiety i poznawszy Adelinę ,podnosiły z ziemi dzieci, żeby je zobaczyła.  
Wszędzie po chałupach i wokoło nich kręciły się kury,grzebiąc i dziobiąc wziemi.  
Panowałatu atmosfera niedbałegodobrobytu; dzieci były zdrowe,pyzate, lecz nie można  
powiedzieć,żeby były czysto utrzymane.

Adelina była uradowana widokiem tak matek, jak idzieci.  
Witała się z nimi głośno i obiecywałaprzyjść donich później w odwiedziny.  
Patsy najwidoczniej niebył zadowolony z tego, bo zacinał konie i popędzałje energicznie.  
Pola wokoło były modrawo-zielone jak morze, a trawa na24  
nichfalowała łagodnie w lekkim wietrze.

Bydło stałow niej pokolana.  
W powietrzu śmigwały jaskółki.  
Adelina spojrziała het, poza pola, tam gdzie dach rodzinnego jej domu wyglądał  
sponadrdzew parku, poktórym daniele przechadzały się, pasąc.

Filip!  
zawołała.  
Patrz tam mój dom!

Boże!

Pomyśleć, że blisko pięć lat go nie widziałam!

Patrz patrz!

Czyniewspaniały!

Rozlatuje się cały w kawałki rzuć przez ramię Patsy.

Nikt nie wybuli nawet pięciu funtów za tę rudę, choćbyś gokrajał wplasterki.

W rzeczywistości był topiękny, stary dom, choć nie tak okazały, jak spodziewał się tego Filippo opowiadaniach Adeliny .

Lecz chociaż nie był znawcą w kwestiach architektury, mógł zauważyć, że w różnych epokach dobudowywano do pierwotnego gmachu nowocześnie w rozmaitych stylach; wszystko to zlewało się w dość harmonijną całość, choć było dalekie od owej szlachetnej wielkości, o której mówiła Adelina .

Zaraz na pierwszy rzut oka mógł dostrzec ślady zniszczenia.

Nawet zielony płaszcz bluszczu, który okrywał dom, nie zdołał przysłonić kruszących się, kamiennych ścian.

Adelina wyciągnęła szyję jak żuraw ponad okalający mur, by dojrzeć każdą część domu.

Filip!

wołała czyż to nie piękny dom!

Rzeczywiście, piękny jest odpowiedział.

Domek twojej siostry niczym jest wobec niego!

Dom Augusty zbudowany był za czasów królowej Anny.

Co mnie królowa Anna obchodzi!

zaśmiała się.

Królowa Anna umarła i martwa jest ta duszna miejscina razem z swoją katedrą!

Dajcie mi wieść!

Dajcie mi Irlandię i stary mój dom!

i łzy spływały jej po policzkach.

Dam ci klapsa rzekł Filip jeśli nie pohamujesz trochę tych uniesień.

Nic dziwnego, że jesteś coraz chudsza.

O, czemuż wysłałam za flegmatycznego Anglika!

zawołała.

A ja myślałam, że będziesz szalał z zachwytu nad County Meath!

Spodziewałaś się więc, że zachowam się jak wariat, którym nie jestem.

Pojazd zatrzymał się przed bramą.

Kilka oswojonych danieli podeszło, by przyjrzeć się, jak wysiadali z powozu.

Adelina twierdziła, że poznaje każdą sztukę i że one również pamiętają ją.

25.

Lokaj, który otworzył drzwi, miał na sobie elegancką, choć nieco przyciasną liberię.  
Witał Adelinę bardzo serdecznie:

A niech Bóg błogosławi panience, panno Adelino !

Jakże to miło widzieć panienkę znowu!

O Boże mój, ależ to panienka schudła w sobie!

I cóż to panience zrobili w tych dalekich krajach!

A ten piękny pan to mążpanienki?

Witam, witam jaśnie pana!

Proszę wejść, proszę wejść.

Patsy, zajmij się rzeczami państwa niemarudź z tym!

Odwrócił się i wymyślał trzy psy, które zaczęły głośno ujadać.

Filip poczuł się nagle zakłopotany.

Nie bardzo wiedział, jak ma się przywitać z rodziną żony.

Wszystko, co opowiadałam oswoich bliskich Adelina, czyniło ich dlań raczej mniej niż bardziej realnymi.

Był przygotowany na to, że nie polubi ich, że oni również krytycznie patrzeć będą na niego.

Ujrzał wysokiego mężczyznę, który, szedłszy szybkim krokiem ze schodów, wyciągnął doniego rękę z uśmiechem pełnym szczerości.

Jak się masz, kapitanie Whiteoak !

mówił, ujmując rękę Filipa w swoją szczupłą, lecz muskularną dłoń.

Witaj w Irlandii!

Bardzo się cieszę, że cię widzę.

Darujcie, że nie wyjechałem powasną kolej, ale miałem nudne czynności w sądzie, które musiałem osobiście załatwić.

A teraz ty, dziewczyno!

Niech żeci się przypatrzą!

I chwycił w ramiona Adelinę i zaczęła całować.

Teraz Filip mógł przyjrzeć się lepiej.

Adelina mówiła oswojemu ojcu, Rennym Courcie, jako o pięknie zbudowanym mężczyźnie.

Lecz Filipowi wydał się za wąski w plecach; przy tym plecy te były nieco zaokrąglone w łopatkach, a nogi jego niezupełnie proste.

Zabawnym było, jak prześlizgnęły się Adelinie wymodelowane na podobieństwo suchej, męskiej twarzy, o orlim profilu.

Włosy jego musiały być kiedyś takżekasztanowate, bowiem siwizna mieniła się jeszcze miejscami rdzawym odcieniem.

Oczy jego były całkiem jej oczyma.

Nagle Filip spostrzegł, że inne jeszcze osoby weszły do hallu.

Była to kobieta w średnim wieku, a z nią trzech chłopców.

Mamo, oto jestem!

Adelina oderwała się od ojca i zarzuciła ramiona na szyję matce.

Lady Honoria Court zachowała jeszcze swą piękność, wyraźnie hiszpańskiego typu. Typ ten przechodził z pokolenia na pokolenie w jej rodzinie od czasów Wielkiej Armady, kiedy to pewien hiszpański pan pozostał w Irlandii i ożenił się z jedną z jej prababek.

Lady Honoria była córką markiza Killieeggana, który wespół ze sławnym markizem Waterfordem podniósł sport wyścigów z przeszkodami, nie ciesząc się dotąd zbyt dobrą opinią, do jego obecnego znaczenia.

Jeden z psów, ostrowłosy gończy irlandzki, stanął na tylnych łapach i oparł się przednimi na ayah, by spojrzeć w twarzyczkę Gussie.

Niańkai dziecko wrzasnęły jak jeden mąż, zdjęte trwogą.  
Renny Court przebiegł szybko przez hali, pochwycił psa za kolczastą obrozę, odciągnął go i wziął na smycz.

Czy widział kto kiedy takiego psa!  
zawołała śmiejąc się lady Honoria.

Przepada za dziećmi!

O, jakież to przemile maleństwo!

Mamy tu wmiasteczku człowieka, który robi prześlizgnięte dagerotypy.

Musisz kazać zrobić portret twojej małej, Adelino, kiedy jesteś tutaj.

Na ogół lady Honoria śmiała się bardzo dużo.

Na nieszczęście brakowało jej jednego zęba przedniego i za każdym razem, kiedy wybuchła śmiechem, spiesznie przykładła wskazujący palec do warg, by zakryć lukę.

Miała piękne ręce Adelina odziedziczyła je po niej, a śmiech jej dzwigał radośnie, działając zaraźliwie na otoczenie.

Filipowi wystarczyły dwa dni pobytu w jej domu, by przekonać się, że lady Honoria, choć bała się wybuchów furii mężowskiej, umiała jednak doskonale podejść do męża i pokrzyżować nieraz jego plany.

Kiedy udało się jej dokonać tego, promieniowała triumfem; on zaś przybierał minę bacznie wyczekującą, jakby czyhał na sposobność, by odpłacić jej pięknym za nadobne.

Często dnia młodzi małżonkowie nie mówili do siebie, lecz ze obojgiem poczucie humoru, jedno bawiło się wtedy kosztem drugiego i wzajemne ich dąsanie się na siebie przerywał częsty wybuch nagłego śmiechu, który z trudem starali się stłumić.

Lady Honoria urodziła jedenaścioro dzieci, z których czworo zmarło niemowlętami, lecz pozostała wdzięczna w ruchach i wygląd jej nie wykluczał możliwości, że i dziś jeszcze byłaby w stanie powiększyć swą już dość liczną rodzinę.

Adelina ścisnęła teraz po kolei trzech swoich młodszych braci.

Po czym, rumianopodnieceniem, zblyszczającymi ze szczęścia oczyma, iż oto znalazła się znów w rodzinnym domu, podeszła z nimi do Filipa.

Kapelusz opadł jej z głowy na plecy i kasztanowate włosy piętrzyły się w lokach na jej czole.

Tu masz moich trzech chłopców!

wołała.

Conway, Szolto, Tim, uściśnijcie rękę waszemu nowemu bratu!

27.



Wszyscy trzej wyciągnęli rękę do Filipa; dwaj starsi nieśmiało, najmłodszy aż nazbyt zdecydowanym ruchem.

Filip auderzyło coś niesamowitego tym chłopcu.

Wszyscy trzej byli uderzająco do siebie podobni.

Włosy ich były jasnorude, oczy jasnozielone.

Twarze mieli pociągłe i rysy ostre; nosy ich, o szczególnie pięknym i dumnym rysunku, miały delikatnie wykrojone nozdrza.

Filip męczył się, by przypomnieć sobie, do kogo był podobny najstarszy z nich, Conway.

Było w nim podobieństwo do kogoś, kogo znał dobrze.

Aż nagle odkrył, że chłopiec był żywym obrazem waletakaro w jego ulubionej talii kart!

Przypatrzcie sięm!

zawołał Renny Court, pogardliwym ruchem ręki wskazując nad dwóch starszych chłopców.

Skompromitowali mnie haniebnie!

Odesłano ich do domu z angielskiej szkoły, bo rzucili się na jednego z profesorów!

Wziąłem ich za łby i tłułem jeden o drugi, ale to nie zmieniło rzeczy; mam ich znowu na karku i Bóg jeden wie, co z nimi robić!

Chyba zagonię ich do roboty w stajniach albo w polu.

Do tego tylko mogą być zdolni!

Bom się wiedzieć wrócił się do Filipa z mamą jeszcze dwóch starszych synów, także przystojnych chłopców.

Ale co dotychczas, to moja żona byłaby dobrze zrobiła, gdyby wzięła nawstrzymanie, nim ich urodziła!

Conway i Szolto podśmiewali się z zmiłą łobuzów, a młody Tim zarzucił znowu ręce na szyję Adelinie i zaczął jąściskać.

O, jak to cudownie mieć cię znowu w domu!

mówił.

Przygotowałem sobie różne piękne rzeczy, żeby ci je opowiedzieć, -ale teraz wyleciały mi wszystkie z głowy i mogę tylko cieszyć się tobą!

E, co ty tam masz do opowiadania!

przerwał mu ojciec.

Same psoty, łotrostwa i chytre kłamstwa, od rana do wieczora!

Kapitanie Whiteoak, masz tylko jedno dziecko.

Daj sobie spokój, nie miej ich więcej!

Dzieci, nie co innego, napędzają zgrzytą moją rudy łeb!

Lady Honori przerwała mu.

Czas już było zatroszczyć się o wygodę przybyłych!

Zaprowadziła ich sama do przygotowanych dla nich pokoi.

Goście wykąpali się, przebrali i zeszli do jadalni.

Żonaty syn Courtów, który mieszkał niedaleko, zdążył jeszcze przyjechać na obiad.

Był to piękny, smagły człowiek.

Przyjechała wierzchowca, która kupił tego właśnie dnia i na którym zamierzał wziąć udział w wyścigach w Dublinie.

Wszyscy obstąpili konia i zachwycali się jego wyglądem.

Było widoczne, że ten właśnie

nie syn był chwilowo faworytem ojca.

Nie mógł dość nachwalić się go jako znakomitego jeźdźcę i świetnego znawcę w handlu koniami.

Jadalnia posiadała pewnego rodzaju uspaniałosałość, a obiad podawało dwóch lokajów w liberiach.

Jedzenie i wino były dobre i wmiarę jak obiad postępował, Filip zaczął czuć się bardziej swojsko w gronie swych nowych krewnych.

Wszyscy mówili i śmiali się nawyści.

Nawet dwaj chłopcy zapomnieli o niełasce, w jaką popadli, i brali głośny udział w rozmowie. Lecz ilekroć ojciec rzucił w ich stronę surowe spojrzenie, cichli i przez chwilę nie było ich słychać.

Do stołu przysiadł się również starszy dzentelmen, niejaki pan O'Regan.

Mówił mało pił zato dużo.

Adelina powiedziała później Filipowi, że był to stary przyjaciel rodziny, który pożyczylim kiedyś znaczną sumę, a ponieważ nie mógł doczekać się spłacenia tego długu, przyjechał i zamieszkał u nich.

Twarz pana O'Regana była chmurna, a raczej nosiła wyraz ostrożnego zaabsorbowania, jak gdyby obliczał z chorobliwym zainteresowaniem ciągle umniejszanie się długu, który Renny Court zaciągnął u niego.

Renny Court, ze swej strony, traktował swego gościa z pewnego rodzaju jowialnością, zmieszaną z okrucieństwem.

I tak naprzykład nalegał nań, by jadł pił jak najwięcej, równocześnie wypytyując go troskliwie o stan jego zdrowia.

Panu O'Reganowi zdawała się nie w smak ta zyczliwość dłużnika i nie dawał ścisłych odpowiedzi na jego pytania.

"O mięk?"

rn cię niezłe mówił.

Potrąm jeszcze, potrąm.

" ale nie mówił bliżej, do jakiego okresu.

Renny Court nie należał do tych dziedziców irlandzkich, którzy puszczały swe ziemie w dzierżawę, by zamieszkać w Anglii i żyć tam z czynszów, płynących z niszczonego powoli majątku.

Nie zatrudniał też u siebie niesumiennej rządu, lecz sam osobiście zajmował się interesami swego majątku, znając każdego mężczyznę, kobietę czy dziecko, zamieszkałych w jego obrębie.

Pobyty Whiteoaków w County Meath upływał miło, z wyjątkiem kilku gorących starć między Adelina a jej ojcem.

Prawdą mówiąc, nie byli oni w stanie przebywać dłużej razem, żeby nie doszło do kolizji między wolą jednego a wolą drugiego.

Adelina była jedynym dzieckiem Renny'ego, które nie bało się go i kochało go też mniej, niż kochała reszta dzieci.

Przywiązana była raczej do matki, z którą rozstanie przerażało ją.

Lady Honoria nie mogła nawet w ogóle mówić bez łez o wyjeździe ich do Kanady.

Co

się zaś tyczy Renny'ego Courta, to ten nie krępował się, by wyrażać swą pogardę dla całego tego planu.

Cóż toż życie dla dżentelmena!  
mawiał gwałtownie.

Bo i cóż tam zastaniecie?

Nic, tylko niedostatek i niewygoda!

Tonie jest miejsce odpowiednie dla takiej dziewczyny jak Adelina !

Jadę tam chętnie przerywała mu córka.

: Moim zdaniem, wspaniale będziemy tam żyli!

Acóż ty wiesz o życiu tamtejszym?

Na pewno więcej od ciebie!

Filip miał listy od swego stryja, w których opisywał mu życie w Quebecu.

Zna on również niejakiego pułkownika Vaughana, który mieszka w prowincji Ontario i bardzo musi tam podoba.

Mieszka w Ontario i bardzo mu się tam podoba!

powtarzał ojciec wlepiając w nią przenikliwe spojrzenie.

A czy pułkownik Vaughan z Ontario mówił Filipowi, jak wyglądają tamtejsze drogi?

Czy mówił mu o wężach i komarach, i dzikich zwierzętach, spragnionych twojej krwi?

Znam Człowieka, który zajeżdżał tam z żoną do jednego z najlepszych hoteli.

Na środku pokoju zastali błotnistą kałużę, a pod łóżkiem przez całą noc skrzeczała im żaba!

Żona tego jegomościa była tym tak przerażona, że następnego dnia, jakie na świat wydała, miała całkiem żabę twarzą!

No ico powiesz na to, Adelino ?

spytał, uśmiechając się do niego złośliwym triumfem.

Jeżeli mówisz tu o panu Mac Creadym odparła tożona jego nie potrzebowała jeździć aż do Ontario, żeby mieć dziecko z żabią twarzą.

Wystarczy sampan Mac Cready, żeby.

Pan Mac Cready miał najpiękniejsze rysy w całym hrabstwie!

oponował Renny Court.

A ja twierdzę, że miał żabią głowę!

Filip wmixał się do rozmowy:

Adelina i ja puściliśmy się w drogę do Nowego Świata i żadne namowy nie odwiada nas od tego.

Jak pan wie, stryj pozostawił mi piękną posiadłość w Quebecu.

Muszę jechać tam, by ją oglądać.

Jeżeli to, co pisał, jest prawdą, w mieście tym znajdziemy bardzo przyzwoite towarzystwo.

Poza tym okolice Quebecu obfitują w najwspanialsze tereny do polowania, a pobliskie rzeki dostarczają połowów, o jakich tylko dusza może zamarzyć.

Wróćcie tu, nim rok minie!

oświadczył Renny Court.

Zobaczymy!

upierał się Filip i szeroko rozwarł, niebieskie oczy błyskały wojowniczo, kiedy patrzył na teścia.

30

Obaj chłopcy, Conway i Szolto, zapalili się do myśli, by towarzyszyć Whiteoakowi do Kanady.

Perspektywa życia w nowym, półdzikim kraju, zdawała odojcowskiej władzy, upajała ich.

Nielotrafili mówić o niczym innym.

Oblegali Adelinę, błagając ją, by zgodziła się połączyć ich los ze swoim.

Adelinie podobał się ten projekt.  
Kanada nie wydasię jej tak daleką, myślała, gdy będziemiała dwu braci ze sobą.  
Co dziwniejsze, lady Honoria nie sprzeciwiała się temu.  
Nacierpiała się tyle wskutek niesnasek z mężem z ich powodu, że myśl o rozstaniu z nimi nie trapiła jej zbyt.

Obiecywali zresztą, że wrócą po roku.  
Renny Court zaś rad byłby pozbyć się kłopotu, jaki mu ci dwaj sprawiali.  
Filipowi nie bardzo uśmiechała się myśl brania na siebie takiej odpowiedzialności; leczby przypodobać się Adelinie, godził się zabrać ich z sobą.  
Czuł się siłach pokierować lepiej chłopcami, niż udawało się to ich rodzicom.  
Z pewną sadystyczną przyjemnością myślał o dyscyplinie, jaką nałożył na nich, która miała uczynić z braci Adeliny prawdziwych mężczyzn.

Nawet mały Tim mówiło wyemigrowaniu do Nowego Świata, ale nikt nie brał tego oczywiście na serio.  
Tim mówił silnym irlandzkim akcentem; przebywał bowiem długo pod opieką swej starej niani, która wychowywała go od najmłodszych lat.  
Tim miał ładną twarzyczkę, ale było w niej coś dziwnego; był też tak demonstracyjnie przyjacielski względem Filipa, że ten ostatni czuł się tym zażenowany.  
Widać było, że jakaś surowa uwaga ojca przejmie chłopca trwogą, jednak za chwilę już słyszało się jego beztrudny śmiech.  
Miał płowoblonde włosy, usiane piegami policzki irzadko spotykane, piękne ręce.  
Filip odkrył, że ręce te były raczej lepkie, bowiem co chwila spostrzegał brak czegoś w swym pokoju; raz były to złote spinki do mankietów, to znów jedna z najpiękniejszych jego krawatów, to pistolety o wykładanej perłową masą rękojeści, to złoty scyzoryk.  
Przedmioty te zwracała mu Adelina, znajdowała je w pokoju Tima.  
Lecz Adelina nie brała tego do serca; oświadczyła mu spokojnie, że Tim poprostu nie może oprzeć się pokusie.  
Ale Filipa gniewiło to, nie mógł się z tym pogodzić.

Prawdę powiedziawszy, im dłużej przebywał wśród rodziny, tym mniej sympatyczni wydawali mu się jej członkowie, z jednym tylko wyjątkiem lady Honorii.  
Odczuwał, że Renny Court, mimo owego przywiązania do swojej ziemi i swoich ludzi, o którym tyle gardłował, w gruncie rzeczy źle się obchodził tak z jedną,

jak i z drugimi.

Zadużoczasu i pieniędzy trwoniono tu równieżna polowanie z przeszkodami.

Co do polityki zaś, prawie że nieśmieli zaczęli o ten temat, tak dalece byli przeciwnych zapatrywań.

RennyCourt lubił jednak podszczuwać pana O'Regana, atenzaczynał rozwodzić się nad niesprawiedliwościami, jakich dopuszczała się Anglia w stosunku do Irlandii.

Filip nie był w staniebronić skutecznie swej ojczyzny; stary dżentelmen bywał naprawdę zbyt arogancki a na dobitkę był jeszcze głuchy,co utrudniało bardzo wszelką dyskusję.

Pan O'Regan zasiadał wtedy przyplonącomkominku, opierał swą zaognioną po sutym obiedzietwarz na czarnej gałce laskico robiło wrażenie spłonionegogniewem słońca, wyglądającego sponad czarnej, brzemiennej piorunami chmury i z ust jego toczył się strumień gwałtownychsłów.

Wszystko to w sumie stwarzało zbyt napiętą atmosferę w domu,by dała się długo wytrzymać.

Filip i Adelina przyjęli zaproszenie jednego z kuzynów, Corrigan Courta, który mieszkał niedaleko, i wybrali się doń konno na krótkieodwiedziny.

Wyjechaliw piękny, wiosenny poranek, pozostawiając Augustę, jej niańkę iBoneyapod opieką lady Honorii.

Renny Court towarzyszył im napłochliwej, siwej klaczy, która tańczyła przez całą drogę po błotnistym gościńcu, robiąc wszystko, co było w jej mocy, by znarowićich wierzchowce.

Długa aleja wjazdowa, wysadzona lipami, wiodła do domukuzyna okazałej siedziby, zdwoma obrośniętymi bluszczemwieżyczkami po bokach.

Liczne okna błyszcząły, odbijając wiosenne słońce.

Gospodarze wyszli na taras, by przywitać gości.

Corrigan Court żonatybył ze swoją kuzynką.

Lecz małżonkowie byli zgoła podobni do siebie.

On był smagły, miałwysokosklepione czoło,minę dumną i wyrazoczu apatyczny.

Ona była rumianą, pełną energii blondynką.

Nie mieli dzieci,mimo iż pobrali się kilka lattemu.

Pragnęlibardzo mieć syna.

Brygida Courluściskała serdecznie Adelinę, kiedy tazsiadła z konia.

Jak się masz, droga Adelino!

Jakże się cieszę, że cię widzę wołała.

A totwój mąż!

Jakże pięknie dobraną tworzycieparę!

Witamy was, witamy serdecznie!

O, Biddy!

Jak to miło, że widzimy się znowu!

mówiła Adelina ,odpowiadającgorącym uściskiem na uścisk tamtej.

LeczFilip miał wrażenie, że obie panie w rzeczywistości dalekie byłyod żywienia dla siebie sympatii, którą tak żywo markowały.

32

Posypały się tysięczne pytania natemat podróży i planówosiedlenia się wKanadzie.

Renny Court.

oczywiście, nie ominąłsposobności, bydyskredytować ich zamiar.

Wieczorem, na obiad, zjawił się jeszcze jeden gość;był nimstary lord Killiekeggan, dziadek ze strony matki Adeliny.

Był topiękny, starszy pan.

Bawiło Filipa, kiedy patrzył na Adelinę, stojącą między dziadkiem a ojcem, bo będąc podobną do jednego i drugiego, potrafiła wziąć z każdego z nich to, co było w nich najlepszego.

Jakże ślicznie wyglądała w tej żółtej, atlasowej sukni wieczorowej! myślał.

Żadna kobieta nie może równać się z nią!

Rozmowa przy stole obracała się wokół polowań i przeszkód.

W tym punkcie zapatrywania starego markiza i jego dzieci były najzupełniej zgodne.

Żaden z nich nie interesował się sprawami wojskowymi, które również nie zajmowały gospodarza.

W ogóle Corrigan Court trzymał się raczej daleko od rozmowy, jakby chciał zaznaczyć, że osobiste jego zainteresowania sięgały wyższego, intelektualnego poziomu.

Panowie pozostali po obiedzie w jadalni, pijąc obficie, bowiem portwajny podany przez gospodarza był znakomity.

Przechodząc z gospodynią do salonu, Adelina zatrzymała się zdumiona przed obrazem, który wisiał na ciemnej boazerii hallu.

Wszystkie inne portrety przedstawiały mężczyzn w strojach myśliwskich, w aksamitnych, dworskich szatach lub w zbrojach.

Ten jednak obrazek był portretem małej, ośmioletniej dziewczynki: świeża jak kwiat, twarzyczką jej występowała na tle wieńca kasztanowatych włosów.

Ależ to jestem ja!

krzyknęła Adelina.

Chciałabym bardzo wiedzieć, Biddy, co ja tu robię?

Brygida Court zawahała się chwilę, zakłopotana.

To obrazek Corry'ego.

Twój ojciec winien mu być pieniądze i jako spłatę dałmu ten portret.

Nie, żeby pokrywał dług o, daleko do tego!

Chodźmy.

Adelino, okropnie tu wieje.

Lecz Adelina stała jak rażona piorunem.

Porwała świecę, którą była na jednej ze skrzyń i podniosła ją tak, że płomień oświetlił jasno twarzyczkę na portrecie.

Jakaż ja byłam śliczna!

zawołała.

Ta cudna twarzyczka!

Jakie to haniebne ze strony mego ojca, że taki skarb podarował Corry'emu!

I, zwracając się do kuzynki, zapytała: Ile wynosił dług?

Niewiem, odrzekła Brygida.

Wiem tylko, że wynosił dwa razy więcej, niż wart jest ten portret.

-Bildort.

i J;iln\

33

Ś.

W takim razie dług ten musiał być kolosalny, bo portretmalował jeden z najlepszych malarzy żyjących wówczas.

Chętnie wrócimy ci portret, o ile spłacisz dług twego ojca rzekła Brygida.

Płacę tylko moje własne długi.

Ale tak bardzo chciałabym mieć ten portrecik!

Byłoby tak miło zabrać go do Kanady i zawiesić obok mego ostatniego portretu.

Mówiłam ci, że kazałam sportretować się teraz.

Myślę, Adelino, że nie przestaniesz zamawiać swoich portretów, nawet gdybyś dożył stu lat!

Ten ostatni właśnie chciałabym zobaczyć.

Przypuszczam, że będziesz wtedy nadal porywająco piękna.

Tego nie wiem, ale że będę jeszcze wówczas chodziła po tej ziemi, tego jestem pewna.

A wątpię, czy uda ci się to samo odciąć się Adelina.

Ze świecą wręku przeszła z powrotem hali i z trzaskiem otworzyła drzwi jadalni.

Czterej panowie siedzieli, rozmawiając spokojnie.

Płomień kominka rzucał łagodne światło na nich, bo świece przygasaly już.

Lord Killiekeggan nieco drżąc ręką nalewał właśnie wina do swego kieliszka.

Dziwny z siebie ojciec zawołała Adelina z progu, przesywając ojca spojrzeniem żeby oddawać portret własnego dziecka na spłatę nędznego długu, nie wartego nawet złoczonej ramy, w jaką jest oprawiony.

Idę sobie hallem, aż tu nagle spostrzegam go na ścianie!

Miałam wrażenie, że portret płacze ze wstydu, iż kaza mu wisieć tutaj.

Ja sama byłam tak zawstydzona, że o mało nie wypuściłam świecy z rąk.

Pamiętam przecież, jak matka wzięła mnie z sobą do Dublina, żeby mnie kazać namalować.

Pamiętam, jak ten wielki artysta dał mi kwiaty i cukierki, żeby mi spokojnie siedziała.

Pamiętam, że miałam na sobie wtedy ten śliczny naszyjnik, który mi podarowała babka!

Dziadku, czyś ty wiedział o tym, że ojciec zrobił coś podobnego?

Czy ta dziewczyna oszalała?

zapytał Killiekeggan, zwracając się do zięcia.

Nie, tylko wpadła w pasję.

Dość tego rzekł ostro córki.

Obrazek ten niewart tyle hałasu.

Nie wart!

krzyknęła.

Mało więc wiesz o jego wartości.

Kiedy powiedziałam teraz w Londynie malarzowi, który robił mój portret, że w dzieciństwie malował mniem artysta, powie

34

dział, że z ochotą pojechałby choć to daleka droga do County Meath, by zobaczyć ten portret!

A jak się nazywał ten wielki artysta, Adelino?

zapytała nagle Corrigan Court.

Przez chwilę Adelina wpatrywała się w niego oniemiała, z nawpół otwartymi ustami. Potem podniosła rękę, ścisnęła palcami czoło i rzekła z żalem:

Wybiłeś mi to nazwisko z pamięci, Corry.

Przed chwilą jemiałam.

a nie mogę przypomnieć sobie.

Ale mówiłam ci o nim często, prawda, Filip?

zwróciła się do męża.

Tak odrzekł Filip bardzoczęsto.  
A pan zapomniał gotakże?  
pytał dalej Corrigan.  
Tak, wymknęło mi się z pamięci.  
Wystarczyłoby mi rzucić okiem na portret, choćby z odległości, przypomniabym  
sobie rzekła Adelina .  
I wróciła ze świecą do hallu.  
Czterej panowie powstali i poszli za nią, przy czym stary markiz nie zapomniał zabrać z sobą  
swego kieliszka.  
Na jakieś dziesięć kroków od portretu Adelina zatrzymała się i wyteńczyła oczy, wpatrując  
się w jego dolne rogi, miała niezwykle dobry wzrok.  
Nie mogłabym przecież nie odczytać tego podpisu z tej odległości, nieprawdaż?  
spytała.  
Nie odparł Corry nawet gdybyś nos przyłożyła do płótna, nie znajdziesz żadnego  
podpisu.  
Albo artysta uważał portretu za dość dobry, by wart był podpisu, albo stydził się swego  
nazwiska.  
Adelina ledwo powstrzymała się, by mu nie rzucić lichtarzaną głowę.  
To ty zamalowałeś podpis, Corry Court!  
krzyknęła.  
Zamalowałeś go, by zataić wielką wartość tego portretu!  
Wiedziałaś, że gdyby zobaczył go jakiś znawca, powiedziałby mojemu ojcu o tej twojej  
szacherce!  
Renny Court obrzucił podejrzliwym spojrzeniem kuzyna.  
Wziął świecę z rąk Adeliny i, przybliżywszy ją do obrazka, począł badać obaj jego dolne rogi.  
Tu jest jakiś dziwny placek z farby rzekł po chwili.  
Tak zawołała Adelina właśnie w miejscu, gdzie był podpis.  
Widzę go, miał taki śliczny, ozdobny zakrętas.  
Ale przypomnę sobie nazwisko, przypomnę je sobie na pewno, za chwilę!



Portret nie był nigdy podpisany upierał się Corry.  
Tysamawiesz o tym najlepiej.  
Ale to jest ładny obrazek i podobałmi się zawsze.  
Więc kiedy twój ojciec zaproponował mi tętransakcję, wziąłem go.  
Wiedziałemzresztą, że ponadto nie wydobstanęnic od niego na spłatę mego długu.  
Ach, ojczy, jak mogłeś to zrobić!  
rzekła żałośnie Adelina i łzy zabłysły w jej oczach.  
Niczego nie pragnęłabym takbardzo, jak tego portretu.  
Właśnie miałam poprosić cię.  
żebyś migo dałjako prezencik ślubny.  
Pisałeś przecież do Indii, że nie staćcię na to.  
by dać mi wiele z okazji megoślubu.  
Niewiele!  
krzyknął RennyCourt.  
A przecież siedzę wdługach po uszy przez twoją wyprawę!  
Jeśli ci tak na tym portreciezależy, to kup gosobie.  
Masz przecież te pieniądze po babce!  
Nie mam zamiaru rozstawać sięz nim rzekł Corry.  
Adeiina zwróciła się don z czarującymuśmiechem:  
Ciaglewięc jeszczekochasz się we mnie, Corry!  
Zamienili spojrzenia.  
Corry zaczerwienił się.  
Adeiina patrzyłananieeo zprzyjaznym współczuciem.  
Zachowaj go więc, mój drogi.  
Będzie mi miło pomyśleć, że masz go tu i że będzie przypominał tobie i Bidy mnie.  
O, ja niełatwozapomnę o tobie powiedziałaostro Brygida.  
Gdziekolwiek się zjawisz, wnosisz zamieszanie!  
Sza, dziewczynki!  
Sza!  
wmieszał się lord Killiekeggan.  
Nie kłóćcie się, gniew piękności szkodzi!  
Brygida wiedziała, że nie jest piękną niemniej słowa staregopana pogłaskałyją po sercu.  
Odrzuciła w tył głowę i patrząc wyzywająco na Adelinę, spytała:  
Czy nie przejdziemy teraz do salonu?  
Nie zostawiajcie mnie samąz Brygidą szepnęła błagalnieAdeiina, chwytając za ramię dziadka.  
Boję się jej!  
Zachowuj się przyzwoicie, proszę rzekł, dając jej lekkiego klapsa po palcach.  
Ale pozwoliłzaciągnąć sięwnuczcedo salonu.  
Corry nie pogniwał się, że ocalało mu w ten sposób nieco jego wytrawnego portwajnu, którego i tak wypito niemało.  
Był trochę niespokojny na myśl o awanturze, jaka czekała go z żoną.  
Filip wypiłdość po obiedzie i teraz ogarnął go stan pogodnejbeztroski.  
Zasiadł głęboko wwygodnym fotelu i przyjąłszyczyptę tabaki z wysadzanej diamentami tabakierki, którą mupodałstary markiz.  
Adeiinarozpostarłszy lśniące falbany swej  
36  
żółtej krynoliny, usiadła obok nich, pozerając oczyma błyszczącecacko.

Jakaż cudna tabakierka!  
rzekła.  
Adeina była zawsze najukochańszą wnuczką markiza; teraz odjeżdżała tak daleko.  
Weź ją sobie, stary pan.  
Kiedy jakiś wódz indiański zaoferuje ci fajkę pokoju, będziesz mogła zrewanżować się  
niuchem tabaki.  
Trudno byłoby znaleźć kogoś bardziej uroczyego, kogoś mniej egoistycznie  
nastrojonego, niż okazała się Adeina do samego końca pobytu u kuzynów.  
Niemniej jednak między nią a Brygidą pozostały mocno napięte.  
Były gotowe pożegnać się bez żalu, kiedy nadszedł dzień wyjazdu Whiteoaków.  
Podwoda podkufry czekała przed bramą, bowiem Adeina nie potrafiła ruszyć się gdziekolwiek  
bez fury bagaży.  
Ona sama stała w hallu, wysoka i smukła w ciemnozielonej amazonce, z włosami  
spłecionymi pod małym kapeluszem, z którego ciemny ośro zwisało namłeczną białość  
jej policzka.  
Czerwona usta rozchyłała przymilny uśmiech.  
Cóż za miły pobyt mieliśmy u was, zawołała ściskając Brygidę.  
Dzięki wam za wszystko, co zrobiliście dla nas.  
Kiedy będziemy już urzędni w naszym nowym domostwie, musicie przyjechać przynajmniej  
na rok do nas.  
Bo naprawdę nie wiem, czy rok starczy, by odwdziżyć się wam za waszą  
gościnność, moidrodzy!  
Brygida była niższego wzrostu niż Adeina.  
Oczy jej były ledwie na poziomie ramion kuzynki, kiedy ta obejmowała ją całując  
na pożegnanie.  
Nagle oczy te, już i tak nieco wytrzeszczone pod naporem uścisku Adeliny, rozwarły się  
jeszcze szerzej i utkwily nieruchomo w pustym miejscu na boazerii hallu, które ściągnęło  
jej uwagę.  
Nie!  
To niemożliwe, to niemożliwe!  
przebiegało jej w myśli, z okrzykiem podobnym do pisku Brygida zaczęła wyrwać się z  
silnych ramion, które ją obejmowały.  
Lecz zdając sobie sprawę z wściekłości kuzynki po drzeniu, które przebiegało ją całą, Adeina  
przyciskała ją jeszcze mocniej do siebie.  
Puść mnie!  
piszczała Brygida.  
Puść mnie!  
Panowie patrzyli na nie skonsternowani.  
Z krynoliną Brygidy, wzniesioną i falującą wokół nich, przywarła do siebie  
piersiami, splecione ramionami obie panie przedstawiały niesamowity widok.

Na Boga, co się stało?  
pytał Renny Court.  
On dalej obrazek!  
krzyknęła Brygida.  
Jaki obrazek?  
Portret Adeliny !  
Corry jej go dał!  
Nie ma gona ścianie!  
Wszycy spojrzeli na ścianę.  
Corrigan pobladł.  
Nie dałem go jej oświadczył.  
Jeśli zniknął, to ona zabrała go.  
Zmuszono Adelinę , by wypuściła Brygidę z uścisku.  
Ta zaś napadła na nią natychmiast, oskarżając zajadle.  
Tywzięłaś obrazek!  
krzyczała.  
Musi być w jednym z twoich kufereków i zawołała na lokaja: Zdejmuj kufarki zwózka!  
Zostaw moje kufarki rzekła do niego Adelina , a zwróciwszy się do kuzynów  
powiedziała spokojnie:  
Tak, zabrałam obrazek, ale wzięłam tylko to.  
co do mnienależy.  
Więc po co robić tyle zamieszania?  
Lokaj stał, trzymając kuferek w ramionach, nie wiedząc, czy ma go postawić na ziemi,  
czy nieść na górę.  
Jasne bokobrody zjeżyły mu się ze wzruszenia.  
Słuchajcie odezwał się Filip gotów lestem kupić ten obrazek, skoro Adelinie tak  
bardzo na nim zależy  
A ja jestem gotów go sprzedać rzekł na to Corry.  
Ale ja nie!  
wrzasnęła jego żona: Żądam, żeby otwarto te kufarki i żeby zawieszono z powrotem  
obrazek, na ścianie!  
Zbiegła ze schodów tarasu i chwyciła za jeden koniec kufarka, który lokaj trzymał  
ciągle, i poczęła odpinać zaciskający go rzemień.  
Adelina rzuciła się na nią i zaczęły teraz walczyć o kuferek, Adelina była silniejsza od  
Brygidy, lecz ta była nieprzytomna z wściekłości.  
Wyciągnęła rękę i pochwycając jeden z warkoczy Adeliny , szarpnęła nim tak, że wyrwała  
go z upięcia.

Proszę przestać!  
zawołał Filip, z kolei zbiegając ze schodów.  
Nie pozwolę na to!  
Nigdy jeszcze w życiu nie był wmieszany w podobną scenę.  
Pochwycił w przegubie rękę Brygidy i przytrzymał ją, drugą zaś usiłował odepchnąć Adelinę  
od kufarka.  
A Renny Court zaśmiewał się na ten widok.  
Proszę łaskawie przytrzymać rzekł do Corrigana.  
38  
Nie waż się tknąć mnie!  
krzyknęła Brygida na widok zbliżającego się męża.

Ten jednakostroźnie stanął między obiema paniami.  
Wtedy Filip rzekł ostro do żony:  
Dość tego!  
Powiedz zaraz, w którym kufierku schowałaś obrazek!  
Adelina drżącypalcem wskazała na kuferek, który trzymała ciągle lokaj.  
Postaw go na ziemi!  
rozkazał Filip.  
Lokaj usłuchał.  
Wtedy Filip otworzył kuferek.  
Na samym wierzchu leżał portrecik.  
Filip podał go Corriganowi.  
Dziesięć lat twarzyczka Adeliny wyglądała z portretu naiwnie zdziwionymi oczyma.  
Corrigan patrzył ponuro raz na obrazek, to znów na Adelinę.  
Zaś Renny Court, objawszy badawczym spojrzeniem wnętrze kufierka, zawołał:  
Czy widział kto kiedy takie ekstrawagancje?  
Nic dziwnego, że zrujnowała mnie zupełnie!  
Patrzcie na tę złotą zastawę toaletową!  
Na ten sobolowy płaszcz!  
A tu tabakierka mojego teścia!  
Na Boga!  
Zabrała i to!  
Dostała ją od niego rzucił ostro Filip i zacisnąwszy usta, opuścił wieko kufierka i zapiął na nim rzemienie.  
Po czym zwrócił się do Adeliny, która stała nieruchomo jak posąg, ściskając w ręce szpicrutę:  
Chodź rzekł pożegnaj się.  
Źle uczyniłaś, zabrawszy ten obrazek, ale muszę powiedzieć, że pani Court obeszła się też bardzo źle z tobą.  
Żegnaj, Corry rzekła Adelina.  
Łzy płynęły teraz po jej policzkach.  
Niech Bóg cię wspomaga w twoim małżeńskim pożyciu, bo jeśli kto, to ty masz prawdziwą sekutnicę za żonę!  
I w dzięcznym ruchu podeszła do swego wierzchowca.  
Filip podsadził ją na siodło, po czym obaj panowie dosiedli też koni.  
W zakłopotaniu zamieniano ostatnie słowa pożegnania.  
Kiedy ruszali już, Adelina odwróciła się, by spojrzeć ostatni raz na przeciwniczkę.  
Żegnaj, Brygido zawołała.  
Żyj jak najdłużej, żebyś długo mogła wyrzucać sobie, jak obeszłaś się mną!  
Nie życzę ci szczęścia ani spokoju.  
Niech północny wiatr gna cię na południe, a wschodni na zachód, póki nie dojdiesz tam, dokąd należysz!  
Zacięła konia szpicrutą i pogalopowała, a jeden z długich, kasztanowatych warkoczy leciał za nią,  
bijąc ją po ramieniu.

Stary lokaj Piotr, jadąc za nimi na skrzypiącej podwodzie zręczami, mruzczał do siebie:

To był paskudny kawał, który jej pani wycięła!

A ona takaniewinna, jak wtedy, kiedy ją malowali, na tymobrazku.

Natej wizycie nie skończyły sięich odwiedziny u familii.

Pojechali jeszcze do żonatego brata Adeliny .

Pobyli też czas jakiś ustarego markiza.

Lecz nic ztego,co widzieli i słyszeli, nie zdołałoosłabić w nich pragnieniaosiedlenia się w Nowym Świecie.

Był w nich obojgu jakiś isticiepienierskirozmach, niedostępny dla zniechęcenia, który rwał ichnaprzód ku nowemu, swobodnemu życiu.

Wreszcie nadszedłdzień,kiedy wszystkie przygotowania byłyukończone i mieli pozełgować nazachód.

Filip zamówił miejsca na żaglowcu; spodziewał się bowiem, żepodróżodbędzie się szybciej i warunki będą na nim lepsze niż naparowcu.

Rodzice Adeliny i mały Tim mieli odprowadzićich doportowego miasta, skąd wyruszali.

StangretPatsy O'Flynn zdecydował się towarzyszyć Adelinie do Kanady.

Był niezonaty, całe życie dotychczas spędził siedzącna jednym miejscu.

Teraz zachciało mu się wielkiej przygody.

Tkwiał w nim też poczucie podświadomej rycerskości: "Niezawielebędzie jeszcze jednego opiekuna dla panienki";nie uważałbowiem dwóch jej .

młodszych braciza dostatecznie pewnych opiekunów dla niej.

Poza tymbył przekonany, że jadą do zgoła niecywilizowanego kraju, gdzie drapieżne zwierzęta i dzicy Indianiewłóczą się wokoło" każdejosady.

P,atsy przedstawiał niezwykle widok, kiedy stał. czekając nazaladowanie w porcie.

Ranek był ciepły i pogodny, mimo toPatsy miał na sobie ciężki, gruby paltot; sądził bowiem,żebędzietonajlepszy sposób przewiezienia go.

Sporailość pakunków, poczawszy od największego, zaszytego w płótno, a skończywszy namalym węzełku w czerwonej chustcedo nosa, piętrzyła się na jegobarkach.

Spod nich wyglądała wesoła, drobna twarz o przemyślnym i pewnym sobie wyrazie, jakby on jeden spośród wszystkichpasażerów był świadom,jakie trudności stały przed nimi i jak immożna zaradzić.

W jednej ręce trzymał grubą laskę zkorzeniatarniny, wypolerowanaprzez wielokrotne używanie i wyglądającą groźnie.

U drugiej miał uwieszoną klatkę dla papugi, którejpstry lokator topzreskakiwał zpręta na pręt, to zwisał a sufitu głową w dół,toznów bił skrzydłami w szale podniecenia.

Boney niezapomniał je40

szcze podróży z Indii.

Widok morza i okrętu wprawił gow radośćnie do opisania.

Od czasu doczasu wyładowywałją wpotokuhinduskich wyrazów albo też wydawał przeraźliwewrzaski.

Aleani chwili nie siedział spokojnie.

Toteż ściągnął wokoło klatkitłum obszarpanych, zasmolonych dzieci, które podniecone jegokrzykiem,krzyczałyz nim wzawody, podskakującjak szalone.

Kiedy napierałyza blisko, Patsy odpędzał je, wymachując swągroźną lagą i krzycząc nanie po celtycku.

Ayah polubiła niezmierniePatsy'ego.

Wydawał się jej jakimśstrasznym tworem,nie pozbawionymjednakże dobroduszości.

Stała teraz tuz przy nim.

Draperie, w które była owinięta, wdzięcznie poruszały się na wietrze; na rękach trzymała dziecko.

Pobyt w Irlandii podziałał doskonale na zdrowie małej Augusty.

Policzki jej wypełniły się nie była już taka blada.

Włosy wyrosły tak, że można byłoby wiązać je w jedwabisty, czarny lok nad czołem, który wymykał się spod kryzy koronkowej kapuzy.

Siedziała prosto na rękach ayah, wodząca zdziwionymi oczyma wokoło, a kiedy zatrzymywała je na Patsym, wtedy w rozkosznym uśmiechu ukazywała cztery mlecznobiałe ząbki.

Przez cały czas pobytu w Irlandii piła mleko od tej samej kozy; podarowano jej ową kozę imiela terazjecha również do Kanady, aby dziecko nie ucierpiało nazmianie żywicielki.

Trzymał ją więc na rzemieniu kudłaty chłopak.

Koza stała nieruchomo, przypatrując się z niezmaconą pogodą, a nawet można by powiedzieć cynicznym spokojem, wszystkiemu, co działo się wokoło.

Nazwano ją Maggie, a lady Honoria uwiązała jej własnoręcznie naszyi małeńki dzwoneczek.

Wszystkie dalsze perypetie tej podróży odbyły się przy akompaniamencie srebrnego dzwonienia.

Młodych wujów Augusty wyekwipowała matka starannie na nowe życie.

Lecz, na gust Filipa, ubrania ich były zbyt „malownicze” w kolorze i w kroju, włosy za długie i ręce za białe.

Szczególnie Conway to ten właśnie przypominał Filipowi waleta karowego, wyglądał zbyt powabnie.

Chłopcy kręcili się nieustannie, pełno ich było wszędzie.

Czepiali się marynarzy, którzy wnosili na okrętklatki z kurami, gęśmi i kaczkami, pędzili świnie lub ciągnęli opierające się owce i płatali im kawały, wydając krotocwilne rozkazy.

Grupka nędznych emigrantów stała opodal, pilnując swych bagaży; ze łzami w oczach korzystali z tych ostatnich chwil, jakiedane im było spędzić z krewnymi, którzy przyszli, by odprowa41.

dzić ich na statek.

Był też jakiś ksiądz między nimi.

Wysilał się, by podnieść ich na duchu; wielkimi, szarymi oczyma badał horyzont i wróżył im dobrą pogodę w podróży.

Przyszedł tu, by odprowadzić na statek dwie siostrzenice, płynące dobrata za morze.

Ile razy spojrziała nie, oczynabiegały mu łzami.

Adelina miała na sobie długi, zielony płaszcz z szerokimi rękawami, obszytymifutrem.

Stała spoglądając na morze inapawała się radosną świeżością lekkiego wiatru, który bił w żagle okrętuniby tancerz, uderzający w bębenek.

Morze leżało przednią, skrząc się w słońcu, a za nim ten młody kontynent, gdzie z Filipem mieli założyć nowe swe ognisko.

Chciałyby, żeby się znalazła w tym okręcie sami tylko, we dwoje.

Oddaliła się odpłaczącychemigrantów, pociągającza sobą Filipa.

Wsunęła rękę jego dłoni ścisnęła ją.

Filip spojrział jejw oczy.

Czy jesteś pewna, że nie zapomniałaś czegoś?  
zapytał.

Niczego.

Nawet megoserca odparła.

To bardzo rozumnie z twojej strony.

Bogdyby było inaczej, musiałbym wrócić się po nie.

W tej chwili zbliżył się do nichksiądz.

Wybacz pani, milady (słyszał, że tak tytułowano matkę Adeliny i zdawałomu się, że należy użyć tego samego tytułu mówiąc do córki), chciałbym poprosić panią o pewną łaskę.

Jaką?

spytała łaskawie, bowiem owo "milady" pogłaskało ją mile po sercu.

Mam tu dwie siostrzeniczki, płynące tym samym okrętem.

Strasznie długa i niebezpieczna droga przed nimi.

Czy nie zechciałyby pani przemówić czasem do nich.

by dodać im odwagi.

gdyby były chore lub w kłopotach?

Gdybym mógł zanieśćich biednej matce nowinę, że jest ktoś, kto zajmie się nimi w potrzebie pewnościaprzyniosłoby jej to ulgę.

Czy zechce pani.

Oczywiście!

rzekła Adelina .

I jeśli zostawi mi ksiądz swój adres, napiszę, jak odbyła się podróży jak powodziło się siostrzenicom.

Ksiądz napisał swój adres na wymiętym kawałkupapieru i pełen wdzięczności odszedł, by dać jeszcze ostatnie wskazówki nadrogę dwu różowolicym, czarnowłosym dziewczętom, których bujne kształty zdawały się rozsadać swą obfitością staniki.

Zamieszanie nastatku osiągnęło apogeum.

Gdakanie kur.

ryki bydła, krzyki, trzaskanie drzwiami i tupot nóg marynarzy, znoszących bagaże na pokład, głośnie rozkazy oficerów, których zda

wało się nikt nie słucha, kwilenie kołujących w powietrzu mew, piski podnieconych tym wszystkim dzieci, trzepot i trzaskanie wielkich żagli okrętu wszystko to spletało się w

jedną wielką ymfoniepożegnania, której tony dźwięczeń miały zawsze w pamięci podróżnych.

Nadeszła wreszcie chwila rozstania.

Adelina obawiała się jej, lecz teraz, kiedy nadeszła, skonstatowała, że ona sama jakby znalazła się poza granicą wszelkiego odczuwania.

Wolałaby, aby twarz matki nie była mokra od łez.

Po cóż przypominała jej nimismutek rozstania.

Mamo droga, ja wrócę.

Wszyscy wrócimy!

Będę się pilnie opiekowała chłopcami.

Do widzenia!

Dowidzenia, ojcze!

Piszcie,

(pamiętajcie!

Żegnajcie.

Żegnajcie!

Przechodziła z jednych objęć w drugie.

Tuliła się do łona, które nosiło ją, zanim ujrzała świat, i do łona, które temu przyszłemu światu dało początek.

Czuła okropne rozdarcie wewnętrzne.

Wreszcie Filipotoczył ją ramieniem i powiódł płaczącą na statek.



### III. Pierwsza podróż morska

Trójmasztowiec "Alanna" należał pierwiej do floty żeglującej do Indii Wschodnich. Teraz celem jego podróży był Quebec, skąd miał powrócić wyładowany białym, sosnowym drewnem.

Kapitan "Alanny" nazywał się Bradley.

Był to krępy i krzepki obywatel z hrabstwa York.

Pierwszym oficerem był wysoki, chudy Szkot, o olbrzymich ustach, nazwiskiem Grigg.

Pasażerowie pierwszej klasy byli nieliczni.

Whiteoakowie trzymali się początkowo trochę od nich z daleka.

Podróż zapowiadała się długa i obawiali się, że mogliby dać się wciągnąć w za wielką zażyłość z ludźmi, należącymi do nieodpowiedniego dla nich środowiska.

A pozatym od czasu przyjazdu z Indii, Filip i Adelina byli tak nieustannie otoczeni krewnymi, że tęsknili teraz, by znaleźć się sami, we dwoje.

Urządzili się jak mogli najwygodniej, w ciasnej przestrzeni kabiny.

Filip zajął się układaniem rzeczy we wzorowym porządku.

Adelina, zawięta w koce, zasiadła w osłoniętym od wiatru kącie na pokładzie i zagłębiła się w lekturze.

Augusta i jej ayah usadowiły się w pobliżu.

Dziewczynka trzymała w objęciach pierwszą swą lalkę, elegancką, woskową panią, nieprawdopodobnie wyściskaną w pasie, ubraną w kraciatą, taftową krynolinę i w takiż kapelusz.

Conway i Szolto puścili się na odkrywczą wędrówkę po okręcie.

Patsy zaś i ko-, za starali się wyciągnąć, jakie się dało, korzyści, z prymitywnej kwatery, jaką im przeznaczono.

Irlandia leżała z nimi, tworząc amglony, niebieskawy garb na dalekim horyzoncie.

Wiatr był przedni i okręt powoli posuwał się naprzód, pomimo że wielkie żagle wzdymały się na masztach, a kto żyw nastatku, zdawał się ożywiony jednym pragnieniem: sunąć na zachód.

Mewy towarzyszyły okrętowi jeszcze kawałek drogi, jakby im żal było rozstać się z nim, albo jakby czekały, czy nie powierzy im któryś z podróżnych zlecenia, by zaniósł je do Irlandii.

Poza Whiteoakami nie było nawet tuzina pasażerów w pierwszej klasie, a z ich liczby zaprzyjaźnili się oni tylko z pięcioma.

44

Był to więc najpierw dwaj dżentelmeni irlandzcy, dobrze wychowani panowie, lecz mówiący mocnym irlandzkim akcentem; nazywali się d'Arcy i Brent.

Podróżowali dla przyjemności i zamierzali, zjeździć wzdłuż i wszerz Stany Zjednoczone.

Dalej była pani Cameron z Montrealu, której towarzyszyła córka, wątku piętnastoletnia dziewczyna.

Obie te panie odbyły daleką podróż aż do Chin, dokąd uprzednio wysłany został pan Cameron, by objąć tam ważne stanowisko w ruchu handlowym między Kanadą a Chinami.

Lecz kiedy przybyły na miejsce, dowiedziały się, że pan Cameron nie żyje.

Umarł na cholere, której epidemia szalała w Chinach.

Obecnie odbywały w odwrotnym kierunku tę samą ciężką podróż, by wrócić do Montrealu.

Pani Cameron i mała Mary siadywały całymi dniami na pokładzie, przytulone do siebie, owinięte tym samym szalem, wpatrzone w dal siniego horyzontu, jakby w sercach ich znikła już nadzieja, że wędrówka miałaby dobiec kiedyś kresu i że do sądnego dnia będą tak oto wędrowały, z okrętu na okręt, z jednego morza na drugie.

Młoda dziewczyna rzeczywiście nabrała dziwnego wyglądu.

Adelina mówiła, że podobna jest do wodnicy.

Płaszczek i kapelusz spłowiały nabrały szarego koloru fali ozimowej porze; włosy opadły na ramiona jak gładka, żółtawa wiązka sitowia; szeroko otwarte, jasne jej oczy zdawały się patrzeć i nie widzieć nic; twarz i ręce miała mocno opalone.

Jedynie usta zachowały kolor i między czerwonymi, zawsze wpółotwartymi wargami błyskały perłowo białe zęby.

Wskutek gryzoty i wyczerpania matka popadła w stan zupełnej depresji, zdana była zupełnie na opiekę Mary.

Czemuż ta kobieta nie robi nic, żeby rozjaśnić trochę życie tego dziecka, zamiast smęcić tak całe dni przy niej jak osowiała kwoka oburzała się już w drugim dniu podróży Adelina.

"Wiesz, Filip, ta kobieta irytuje mnie niesłychanie!

Powiem moim braciom, żeby zaprzyjaźnili się z Mary.

To przecież nie jest naturalne, żeby młoda dziewczyna wyglądała tak, jak ona!

I jak rzekła, tak zrobiła.

Jednakże upłynęło jeszcze kilkadziesiąt dni, zanim chłopcy zdołali nakłonić Mary, by oddaliła się od matki.

Pani Cameron w gruncie rzeczy niechętnie tylko godziła się na to, by tracić córkę z oczu choćby na chwilę.

Wyglądała raczej na straszną niż zadowoloną, kiedy wreszcie Mary dała się przekonać i zdecydowała się na przechadzkę z chłopcami popochyłym pokładzie okrętu, z jednej strony oparta na ramieniu Conwaya, z drugiej na ramieniu Szolta.

Przedstawiali niezwykle ciekawe trio: chłopcy w

eleganckich, nowych ubraniach, dziewczyna w wyświechtanej długą podróżą sukni; chłopcy żwawi, z oczyma błyszczącymi radością i ochotą do wszystkiego, co działo się wokoło, dziewczyna, jakby chodziła we śnie; chłopcy, płatający sobie ustawicznie figle nawzajem, dziewczyna w milczeniu spoglądająca kolejno w ichtwarze i zdająca się nie rozumieć tego, co mówili.

Ostatni pasażer, z którym Whiteoakowie zaprzyjaźnili się, było Anglik, niejaki pan Wilmott, który, tak jak oni, płynął, by osiedlić się w Kanadzie.

Był to człowiek wysoki, szczupły, o ostrych, lecz pięknie rzeźbionych rysach twarzy, obramowanej krótkimi, ciemnymi faworytami.

Cechowała go wielka rezerwa, jeśli chodziło o jego własną osobę i osobiste sprawy; brał natomiast żywy udział w dyskusjach na tematy polityczne.

Wilmott i obaj Irlandczycy wprost stali się źródłem wesołości dla reszty towarzystwa, przysłuchując się ich sporom, nie wnoszącym jednak żerozdźwięku w ich przyjaźń.

Wilmott - miał ironiczne nastawienie i często wykazywał cięty dowcip.

Irlandczycy posiadali duży zmysł humoru i skłonność iście irlandzką do blagi i hiperbolicznego wyolbrzymiania rzeczy.

Filip, który tak długo przebywał poza granicami Anglii, czuł, że niesprost byłby żadnemu z nich w tych politycznych dyskusjach.

Poza tym wiedział, że ilekroć dojdzie do sporu na temat stosunków angielsko-irlandzkich, znajdzie Adelinę po stronie swych przeciwników i ta myśl była mu wysoce niemiła.

A Adelina uwzięła się, by zbliżyć Wilmotta do pani Cameron.

Oto dwoje samotnych ludzi myślała (Wilmott, jak zauważyła, bywał często chmurny); dobrze byłoby, gdyby połączyli swe dole.

Co za opiekun, co za ojciec byłby z niego dla małej Mary!

Zdawała sobie sprawę, że pani Cameron dała się ogarnąć raczej zniechęceniu i melancholii niż rozpaczom z powodu utraty męża.

Niewidziała świata poza córką.

Adelina nie mogła zrozumieć, jak kobieta mogłaby być najpierw matką, a potem dopiero towarzyszką, żoną.

Tego nie potrafiłaby nigdy, przenigdy!

Ona, która czerpała siłę i piękność swoją z patrzenia w oczy Filipa!

Mąż dla niej będzie zawsze pierwszym.

Dla kobiet o zbyt rozwiniętych macierzyńskich uczuciach miała pogardę.

I tak nowy całkiem światek powstał dookoła nich na "Alannie", bardzo różny od tego, w jakim żyli na pokładzie okrętu, który przywiózł ich do Indii.

Był to świat skromniejszy, ciaśniejszy, bardziej odgradzający ich od dawnego życia.

Poza tym poprzedziła ich podróż wiodła do kraju, do domu.

Obecna wiodła ich na nowe życie, była podróżą w nieznaną.

Tamta była nawiązaniem do nowostarych więzów, ta była przecięciem ich.

Adelina odkrywała w sobie dziwne uczucie oderwania raczej radosnego

jak gdyby puszczała się na fascynującą przygodę, zarówno w odegłej sferze duchowej, jak i w materialnej.

Przez tydzień płynęli naprzód przy sprzyjającej pogodzie.

Potem wiatr wzmógł się znacząco, a okręt walczył z nim i z zielonymi falami, które rozwalaly się o jego dziób pokrywając pokład wodą.

Pozostawanie na pokładzie stawało się niemożliwe.

Spędzali długie godziny w kajutach, gdzie brakowało powietrza, a zapachy ich ciała dochodzący z innych części statku były nie do zniesienia.

Ayah cierpiała na chorobę morską i Adelina musiała zająć jej dzieckiem.  
Pani Cameron i Mary uwielbiały małą Augustę i przejęły lwią część opieki nad nią, ale nocami dzieckobyło niespokojne i ani Adelina, ani Filip nie spał dobrze.  
I Pewnego sztormowego wieczoru, kiedy kładli się do snu w (swych kojach, usłyszeli silne pukanie do drzwi i głos Conwaya:

– Filip!

Okręt nabiera wody!

– Co! krzyknął Filip i przestał odpinać swą kamizelkę.

– Okręt ma lukę!

On przecieka!

Potem usłyszeli ciężkie stąpanie nad sobą i krzyki oficerów.

Adelina zbladła.

W ramionach trzymała cicho kwilące dziecko.

– Czy okręt zatonie?

zapytała.

– Z pewnością nie!

Nie denerwuj się powiedział Filip.

Otworzył drzwi z całą siłą.

Stał tam Conway wspierający się miedzianymi poręczami, które biegły wzdłuż korytarza.

Miał na sobie szlafrok w wesołych kolorach i pomimo ogarniającego gopodniecia

Filip zauważył, jak ten strój podkreślał jego podobieństwo do waleta pik.

Opuszczają żagle!

krzyknął Conway, ale jego głos wydał się szeptem: Wieje z potworną siłą.

– Brat stanął z nim, trzymając się poręczy.

Choroba morską sprawiła, że był zielony.

Adelina powiedziała do niego:

– Wejdź i połóż się w mojej koi, Szolto.

Musisz potrzymać dziecko, a my pójdziemy zobaczyć się z kapitanem.

Potyknął się chłopiec posłusznie wszedł do kabiny i rzucił się na koje.

– Och, jaki jestem chory jęknął.

Adelina położyła dziecko koło niego.

47.

Ty nie pójdziesz ze mną, Adelino !  
krzyknął Filip.

Oczy jej zabłyśły przekornie.  
Przytrzymała jego ramię rękoma.

A właśnie, że pójde!  
krzyknęła w odpowiedzi.

Okręt zakołysał tak mocno, że wszyscy potykając się, wpadliw jeden z narożników kabiny.  
W drzwiach pojawiła się nagle paniCameron.

Głowę miała obwiązaną szalem i przytulała do siebieMary, sprawiającwrażenie, że nie chce się z nią rozstać w raziezatopienia okrętu.

Co się dzieje?  
zapytała.

Nic poza przeciekiem,proszę pani.  
Idziemy zobaczyć się zkapitanem głos Filipa, sama jego obecność działały kojąco.

My pójdziemy równieżsłowa te odczytali z ruchu jejust, ponieważ nie mogliich słyszeć.

Trzymając się kurczowo poręczy i siebie nawzajem, Filip i Adelina dotarli domostku.  
Znaleźlitam kapitana i pierwszegooficeranadzorujących opuszczenie żagli.

Ogromne płótna opadały ciężko na pokład, tak jakby się poddawały.

Ogołocone maszty sprawiały wrażenie delikatnych i nieodpornych.

Wiatr wiał z potworną siłą, a ściany zielonej wodyspiętrzając się waliły w płynący statek.

Adelina widziała jużprzedtem burze na morzu, były to burze tropików, aleokręt, którym wtedy płynęła, był większy, a załoga liczniejsza.

Podczastejburzy wydawało się, że ludzie są bardzosamotni.

Mała grupkabyłabezradna,a wiatr przenikliwie zimny.

Pomimo wszystko kapitan był zrównoważony.

To nicwięcej jak szkwałpowiedział ze swym serdecznym akcentem Yorkshire.

Opływałem Przylądek wiele razy ijest to paskudny, ale chwilowy wiatr.

Najlepiej więc będzie, jakwróćcie paniedo swych koi inie będziecie się tym zamartwiać.

Z zejścia pod pokłady, ponad hałasem spowodowanymprzezsztorm, dochodziłychaotyczne krzyki i ciężkie stąpanie.

Z dolnego pokładu napływalipasażerowie.

Ci prościludzie mieli przerażone oczy i widać było, jak bardzo są przestraszeni.

KapitanBradley poszedł w ich kierunku.

Co to ma znaczyć?  
zapytał.

Drugi oficer krzyknął: Nie mogłem ich zatrzymać na dole.

Woda przedostaje się tam wdużych ilościach!

Kapitan był ponury.

Przecisnąłsię przeztłum, polecając marynarzom pójść za sobą, co zrobili czyniąc wiele zamieszania.

Adelina usłyszała, jak krzyknął: Wszyscy do pomp!

Filip poklepał ją po plecach.

Uśmiechnął się do niej, a ona

48

odwzajemniła musież odwagą.

Podniósł głos i powiedział:

Szkwał mija.

Wszystko będziew porządku.

Wez pod rękę panią Cameron powiedziała.  
Wygląda, jakby miała zemdleć.  
Mary Cameron zostawiła matkę, a Conway Court obejmowała ją.  
Żadne z nich nie wyglądało na przestraszonych, przeciwnie sprawiali wrażenie rozbawionych.  
Filip pomógł pani Cameron dostać się do kabiny.  
Wiatr ustawał.  
Morze jednak nadal było wzburzone, a wiatr na tyle silny, żeby nadymać do kresu wytrzymałości żagle sztormowe, których żałogajako jedynych nie zwinęła.  
Wśród kotłujących się fal "Alanna" pozostawała w niebezpiecznym przechyle.  
Teraz zaczął padać ulewny deszcz, który nadszedł jak ścianawody, łącząc się z ogromnymi falami, jakby we wspólnym dążeniu do zatopienia wszystkiego, co było na pokładzie, ale kapitan Bradley nie poddawał się.  
Był wszędzie, mocno zaczerwieniony i gorzały, i wesoło wykrzykiwał rozkazy.  
Kiwające się latarnie dawały słabe światło i w niewielkim stopniu oświetlały przerażający obraz pokładu.  
Marynarze wiązali żagle i wpychali je w dziób statku, usiłując bezskutecznie za ich pomocą zastopować przeciek.  
Adelina czuła, że umarłaby ze strachu, gdyby zeszła nadół.  
Tutaj pozostając w centrum intensywnej aktywności miała wrażenie, że jest tak samo odważna jak Filip.  
Pociągnęła Mary Cameron i Conwaya, i trzymając się wspólnie, czekali na powrót Filipa.  
Dałem jej trochę koniaku powiedział po powrocie.  
Potrzebowała tego biedaczka, bo ledwie żyje, tak jest przemarznięta.  
Zwrócił się do dziewczyny: Czy mam cię zaprowadzić do twojej matki.  
Mary?  
Czy pytał o mnie?  
zapytała Mary nadasana.  
Nie, myślę, że śpi.  
Może lepiej będzie, gdy zostaniesz z nami.  
Conway Court wybuchnął śmiechem i zaśpiewał "Odplynęła Wyspy Kanaryjskie".  
Filip zmarszczył brwi, ale Adelina śmiała się również, a Mary spojrzała na Conwaya z uwielbieniem.  
Teraz podszedł do nich pan Wilmott.  
Oficerowie są spokojni powiedział ale przeciek jest dość poważny.  
Cztery pompy pracują jak diabli.  
Pan d'Arcy i pan Brent pomagają, jak mogą, a i ja jestem gotów do pracy, gdyby mnie potrzebowano.

Budowa Jalny

Z nadejściem ranka okazało się, że w ładowni jest 5 stóp wody.  
Pompy pracowały ciężko, akapitan powiedział, że sytuacja jest opanowana.  
Pokojowa przyniosła Adelinie śniadanie do kabiny.  
Adelina przebrała się w suche rzeczy, ale była niewyspana.  
W małej kabinie panował bałagan jej mokrej rzeczy, rzeczy Filipa i dziecka były porzucane wszędzie wyglądało to deprymująco.  
Ona sama była bardziej skonfundowana niż przerażona.  
Alegoryczna herbata, chleb i szynka przywróciły jej życie.  
Siedząca na brzegu łóżka kłóciła włosy.  
Białe promienie słońca wpadały przez bulaj.  
Spojrzała na swe przepiękne włosy.  
Nawet gdybym tonęła, wyglądałyby również pięknie, pomyślała rozgniewana.  
W srebrnym lusterku swojego nesesera zobaczyła, jak jest biała.  
Zagryzła usta, aby przywrócić im trochę koloru.

Jak sądzisz, kiedy dojdziemy do Nowej Fundlandii?  
zapytała szkocką pokojową.

Och, dojdziemy tam na czas.  
Jak daleko jesteście od Irlandii?  
Chyba sześćset mil.  
Jak się czuje dziś pani Cameron?

Niedługo staniecie na miejscu.  
A jej córka?

H

Śpi.

Tak jak i pani małżeństwo, biedny gołąbeczek sporządził na Adelinę z wyrzutem.

(

Mój brat opiekował się doskonale małą tej nocy powiedziała Adelina wyniosłe, ale przez całą noc nie pomyślała o małej Augustynie ani przez chwilę.

Powiedziałaś, że śpi mocno.

Czy jest ze swoją Ayah?

Tak.

Jest z nią, ale ta kobieta jest prawie umierająca.

-Pokojowa stała opierając się o poręcz i balansowała tacą z resztkami śniadania.

Dobre nieba!  
krzyknęła Adelina.

Co za godne współczucia towarzystwo tworzymy.

Przeszła korytarzem i zajrzała do kabiny Ayah, w bladym świetle słonecznym, tak niańka, jak i dziecko wyglądały mizernie, ale spały spokojnie.

Adelina wezwała pokojową.

Proszę sprzątnąć tę miednicę rozkazała cichym, lecz drżącym z wściekłości głosem.  
Proszę robić jak najmniej hałasu, ale proszę natychmiast doprowadzić do ładu tęabinę.

I poszła do kabiny pani Cameron.

Wszystko tam było w porządku, ale biedna kobieta leżała wyczerpana na

50

pośłaniu, po świeżym ataku morskiej choroby.

W powietrzu było duszno od zapachu wody kolońskiej, jakby ktoś rozlał całą zawartość butelki w kabinie.

Mary siedziała jak urzeczona przedmałąką toaletą, przyglądając się sobie w lusterku. Nie zauważyła nawet otwierania drzwi, ani nie odrywało jej to od wpatrywania się szeroko otwartymi oczyma w swoje odbicie w lustrze, że ilekroć okręt pochylił się silniej na bok, drzwi szafy otwierały się i zamykały na powrót z trzaskiem.

Adelina roześmiała się.

I co myślisz sama o sobie?  
zapytała.

O, pani Whiteoak!  
zawołała radośnie Mary.  
Jestem ładna, ładna!

Objechałam świat wokoło i do dziś nie wiedziałam o tym!

No zauważyła Adelina odkryłaś to w dziwnej doprawdy chwili.  
Ale jeśli ci to ma pomóc w położeniu, w jakim znajduję się, to bardzo się cieszę, że tak myślisz.

A pani nie myśli, że jestem ładna?  
Nie jestem teraz w nastroju, by sądzić o tym.  
Ale obiecuje przypatrzeć się ci dobrze później zaśmiała się znowu Adelina.  
Czy mogłabym pomóc w czym twojej matce?

Mówiła, że czuje się trochę lepiej i że przede wszystkim potrzeba jej spokoju.

A ty, czy spałaś trochę?

Trochę.

Ale nie jestem zmęczona.

Jesteś więc wytrawniejszą podróżniczką niż ja.  
Czy przynieśli ci śniadanie?

O, tak.

Pokojówka jest bardzo grzeczna.

I taka jest dzielna!

To dobrze.

A teraz pójdę zobaczyć, co dzieje się z chłopcami.

Czy mogę iść z panią?

Nie.

Zostań przy matce.

Adelina znalazła Szolta, dźwigającego się nieco po ciężkiej morskiej chorobie.

Popijał czarną kawę i przegryzał sucharkiem, lecz był jeszcze bardzo błądy.

Conway przebierał się w suche ubranie.

Adelinę uderzyło, że skóra jego była mlecznej białości, a piersi i kark miał pełniejsze, niż by się można było spodziewać sądząc po szczupłości jego twarzy.

O, Adelino!

zawołał Szolto.

I po co ja puściłam się w tę podróż!

Zatoniemy na pewno!

O, jakże chciałbym być powrotem w Irlandii, przy mamie i papie, i Timie, i wszystkich!

51.



Głupstwa pleciesz rzekła Adelina , siadając na skraju jego koi.  
Za kilka dni śmiać się będziesz ztego!  
Jedzże sucharka!

Wyjęła mu sucharka zrzękkii drobiącego, wkładała mu kawałkido ust, karmiąc jak małe dziecko.

Idź iprzyrowadź mi Filipa zwróciła się do Conwaya.  
Powiedz, że muszę się z nimwidzieć wważnej sprawie.

Co chcesz od niego?

Rób, jak ci każe i spojrzwała na niego groźnie.

Dobrze, pójdę zgodził się.

Ale Filip prawdopodobnie zechce przyjść i dalej wiązał przed lustrem krawatę z takąuwagą, jakby wybierał się na wizytę.

O, co za dudek z tego chłopca!

zawołała.

Będzie siętu bawił krawatką, a za chwilę możemy wszyscy znaleźć się nadnie!

Szolto rzuciłsię gwałtownie na poduszkach.

Powiedziałaś przed chwilą, że wszystko będzie dobrze!

Powiedziałaś, że będziemy się śmiali z tego!  
zajęczał.

Znowu zaczyna!

wykrzyknął Conway.

Otworzył drzwi,by wyjść, ale na próżnowysilał się, żebyje zamknąć za sobą.  
takbardzo rzucałostatkiem.

Adelina musiała wstać i oprzeć się o niecałymciążarem, wtedy dopierodrzwi dały sięzamknąć.

Żartowałam tylko mówiła, siadającnapowrót obokSzolta,by go uspokoić.

Gdybym naprawdemyślała, że mamyzatonać, czy wyglądałabym tak wesoło?

Nie wyglądasz wcale wesoło.

Wyglądasz dziwnie.

Jesteśjakby zmieszana.

Adelina oparła głowę na poduszce obok jego głowy.

Może iwyglądam dziwniepoczęła mówić ale to dlatego, że podejrzewam, iż Conway  
zawraca głowę tej małej Cameron.

Pozbyłam się go, żeby móc cięwpytać.

Szolto, powiedz mi, czy Conway mówił jej, że jest ładna?

Czy umizga się do niej?

Zielone oczy Szolta zabłyśły.

Pewnie, że tak!

Jak tylko jesteśmysami, we trójkę, zarazzaczyna swoje sztuczki: O, jakaśty ładna!  
mówi jejjakąmasz śliczną szyjkę, a te długie, złote rzęsy!

Przybliź się i pogłaskajmnie nimipotwarzy!

A ona cona to?

Aona głaszcze go rzęsami po policzku, a on kładzie jej rękę na piersiach.

52

A ona mu pozwala?

Pewnie!

I pręży w łuk szyję, jakźrebica, kiedy sięją głaszcze,i jakźrebica wytrzeszcza na niegotę swoje  
duże oczy!

Aleona jest niewinna, a Conway nie.

Naopowiadał niejedno tym chłopcom w angielskiej szkole!  
Adelina ściągnęła brwi w posępną, poprzeczną bruzdę.  
Powiem matce Mary, żeby ją trzymała z dala od tego łotra rzekła.  
Wiesz, Adelino, jeśli okręt ma zatonać, czy to nie wszystko jedno, że się zabawia?  
Okręt nie zatoni rzuciła z mocą.  
Drzwi otworzyły się Conway, trzymając się ich mocno, zajrzał do kabiny irzekł:  
Filip poszedł do waszej kabiny.  
Zmókljak szczur!  
Wejdz tu, Conway, i zamknij drzwi!  
rozkazała.  
Usłuchał i stał przed nią uśmiechnięty.  
Słuchaj rzekła żadnych figli z Mary Cameron!  
Jeśli jeszcze posłyszę tym, powiem Filipowi, a on sprawi ci takielanie, że będziesz szczekał zębami!  
Powinieneś wstydzić się.  
Rozkochiwać w sobietakie dziecko!  
Co ci naopowiadał ten przewijacz?  
zapytał Conway, z zimną wściekłością patrząc nabrata.  
Szolto począł się trząść, bo strach wywołał u niego nowy atak morskiej choroby.  
Nie potrzebował opowiadać rzekła Adelina.  
Onasama oznajmiła mi, że właśnie odkryła, iż jest ładna.  
Zresztą, śledziłam was.  
I ani słowa więcej o tym skończyła wstając.  
Conway chciał otworzyć drzwi i pożegnać ją z miną wyniosłą i dumną, lecz nagle zakłócenie statku rzuciło ich jedno o drugie.  
Uczepili się siebie na chwilę i Adelina, zbliżając twarz do jego twarzy, zapytała ciepło:  
Będziesz grzeczny, Conway prawda, mój drogi?  
Tak, obiecuję ci odrzekł.  
Wyprowadził ją, ale wróciwszy, pochylił się nad bratem i dał mu kilkanaście kułaków.  
Lecz cudownym jakimś sposobem zamiast sprowadzić nawrót morskiej choroby kuksanina ta zrobiła Szoltowi dobrze, bo w pół godziny później można było widzieć obu braci na pokładzie, przypatrujących się zgodnie marynarzom.  
próbującym nieśmiało rozpinać z powrotem żagle.  
Niecóż nadziei weszło im serca, słońce bowiem wyłoniło się jasne zza chmur i

białogrzywe fale znęcały się mniej okrutnie nad statkiem.  
Kiedy ujrzeli Mary na pokładzie, udali, że jej nie widzą.  
Ona ze swej strony zdawała się być pochłonięta własnymi myślami.  
Matka niepuszczała jej ani na krok od siebie.  
Pani Cameron zmobilizowała wszystkie swe duchowe siły, aby tchnąć je w statek; zdawało się jej, że dzięki tej nadprzyrodzonej pomocy "Alanna", stawszy się nietykalną dla wszystkich burz i fal, dowiezie je do upragnionego lądu, na którym Mary będzie mogła bezpiecznie postawić stopę.

Adelina znalazła Filipa stojącego na środku kabiny.

Był zagniewany na nią.  
Ubranie na nim było mokre i zmięte.  
Włosy, przylepione do czoła, tworzyły wdzięczną grzywkę.  
Wyglądał tak komicznie, że już miał się roześmiać, lecz powstrzymał ją mars namężowski obliczu.

Czemu posyłałaś po mnie?  
zapytał krótko.

Bo byłem niespokojna.  
Stoję tu chwilę i czekam na ciebie.  
Bardzo krótką chwilę.

Byłam u Szolta.  
Jest chory.

Nie on jeden.  
Wszyscy są chorzy na statku.  
Musiałem sam przynieść sobie śniadanie.  
Czego chciałaś ode mnie?

Chciałam, żebyś przebrał się w suche ubranie.  
Czy to wszystko, czego chciałaś?  
i Filip począł iść kudrzwiom.

Filip, nie wolno ci iść!  
chwyciła go za ramię.

Rozchorujesz się na śmierć!

Marny byłby naprawdę żołnierz ze mnie, gdyby to zaraziło mnie zabić!  
Ale coż ty możesz poradzić?

Przede wszystkim mogę dodać trochę odwagi pasażerom drugiej klasy i utrzymać ich w ryzach.

Jeszcze trochę a ogarnie ich znów panika.  
Ty zaś mogłabyś posprzątać trochę w kabynie.

Czego chcesz ode mnie?

krzyknęła.

Mam choredzieckoi na wpół żywą ayah na głowie!

Panią Cameron, którą muszę odwiedzić.

Zadręczam się z niepokoju o ciebie.

Pokojówka, pozaplotkami, niezdolna jest do niczego.

Okręt przecieka, a ty chciałbyś, żebym sprzątała kabine!

I w furii począła chwycić rozrzucone po kabynie ubrania i rzucać je jak popadło do kufrów lub zawieszać na kołkach wieszadeł.

Nie prosiłem cię, żebyś od razu wpadała we wściekłość rzekł spokojnie Filip.

54

Tak, jeszcze nie mam być wściekła!

Mam być spokojna, piękna i czysta, jak lalka z pudełka!

Czemuż więc nie jesteś taką!

Lecz zanim Adelina zdołała coś powiedzieć, papuga, która dotąd milczała, siedząc z głową wciśniętą w pióra, na szczycie kołyszącej się wraz z okrętem klatki, dostrzegłszy wzburzenie Adeliny wydała nagle krzyk najczystszej entuzjazmu i podniecona zaczęła fruwać wokoło kabiny.

Furkot jej skrzydeł i pęd powietrza, jaki nimi wzniesła, był nie do zniesienia dla i tak już napiętych nerwów obojgamałżonków.

Wreszcie Boney zatrzymał się namosiężnej klamrze u sufitu ten sposób, że zawisł na łapach, z głową spuszczoną w dół.

W tej pozycji począł wyrzucać z siebie potok hinduskich przekleństw.

Haramuzada!

wrzeszczał.

Haramuzada!

Horę!

Iflaton!

Iflaton!

Naprawdę, czasem to żałuję, że wzięliśmy tego ptaka z sobą rzekł Filip.

Wiem o tym odrzuciła Adelina i wiem także, że wolałbyś i mnie nie brać z sobą!

Wtedy, czy okręt tonie, czy świat się zapada, miałbyś wszystko w najpiękniejszym porządku wokół siebie!

Wtedy mógłbyś.

Twarz Filipa rozpogodziła się.

Adelino rzekł potrafisz uczynić komiczną każdą sytuację!

Chodź tużotko, nie kłóćmy się!

objął ją ramionami i przyłożył usta do jej włosów.

A teraz znajdź mi parę rękawiczek, mam ręce pełne pęcherzy od pompowania.

W mgnieniu oka serce Adeliny wezbrało czułą troskliwością dla męża.

Przede wszystkim wycalowała nabrzmiałe pęcherzami dłonie Filipa, potem wymoczyła je i przyłożyła do nich maść łagodzącą.

W końcu obandażowała i wyszukała parę obszernych rękawic w kuferku.

Pielęgnowany w ten sposób Filip stał się potulny, dał się namówić do przebrania w suchą odzież i pozwolił wyszczotkować wzburzone włosy.

A wszystko to działo się pod ironicznym, kpiącym spojrzeniem Boneya, wiszącego ciągle głową w dół u sufitu.

Filip?

spytała Adelina zwijając w węzeł swe włosy.

Czy sytuacja jest naprawdę tak prosta, jak mówią kapitan?

Jesteśmy w niebezpieczeństwie, czy nie?

Czy ten okręt dowiezie nas bezpiecznie do Nowej Fundlandii?

Kapitan mówił, że chce zatrzymać się tam, żeby porobić konieczne naprawy, nieprawdaż?

55.

Możemy dać sobie radę z luką w okręcie odrzekł Filippoważnie.  
I gdyby tylko ten przekłetywiatr zachodni opadł, apowiał przychylny, byłoby całkiem dobrze z nami.

Irzeczywiście, opanowano przeciekanie statku słońce świeciło, jak siępatrzy.  
Okręt doprowadzono mniej więcej do porządku,a wiatrzdawał sięopadać.  
Przy pompach zaprowadzono pracena zmianę i kiedy nadchodziła pora, dawał się słyszeć czeluściolbrzymich ust Grigga donośny apel: „Do pomp!

Hej!

Ho!".

Kapitan był nadal pogodny.

"Alanna" przepychała się wśród objajającycho jej boki bałwanów.

Zdawała się płynąć prosto w rumianą zorzę zachodu.

Lecz w pewnej chwili jeden z marynarzy podbiegł do kapitana rozmawiającego zFilipem ipanem Wilmoltem.

Ładunek zluzował się!  
rzuciłbez tchu.

Filip skierował się w róg pokładu, gdzie Adelina i jej braciaznależli osłonięty niecood wiatru kącik.

Chłopcy byli zmęczeni ileżeli wyciągnięci bezwładniena deskach pokładu, po obu stronach siedzącej Adeliny .

Conway wsparł głowę na jej ramieniu, aSzolto położył swoją na jej podołku.

Słowo daję pomyślał Filipwyglądają całkiem jak ci emigranci z dołu.

Adelina podniosłaoczy znad kartek książki, którą czytała.

Poważnywyraz na twarzy Filipa uderzył ją.

Wyprostowała się.

Co się stało znowu?  
zapytała.

Conway obudził się i skoczył na równe nogi.

Był nieprzytomny i bełkotałbezładnie:

Co to, Filip, coto?

Adelino , patrz, patrz na pokład!

Tak rzekł Filip balastzerwał się i ruluje; okręt kładzie sięmocno na boki.

Kapitan mówi, żenie pozostaje nam nicinnego,tylko zawrócićdo Galwayi poddać tam okręt naprawie.

Zawrócić do Galway!

powtórzyłizgodnie i jednymtchem Adelina i Conway.

A potem nagle Conwayzaśmiał się.

Co za heca!

izaczął potrząsać brata zaramię.

Szolto, obudź się!

Ujrzyszwnet naszą starą Irlandię!

Jak to długo możepotrwać?

pytała Adelina .

Przy tm wietrze, który mamy, ale pchającym nas do tyłu,dopłyniemy za kilkadni.

Nie damyznać mojej matce, że jesteśmy w Galway.

To bynią takwstrząsnęło!

Uparłaby się przyjechać doGalway i zaczęłoby się nanowo pożeganie!

Zgadzam sięnajzupełniej z tobą rzekł Filip skwapliwie,

56

bo nie uśmiechała mu się wcale perspektywa nowego spotkania z teściami.  
Szoltozaś okazywał niezwykłą, niezrozumiałą radość.  
Nazajutrz rano wiatr opadł na tyle, że można było spuścić nawodę pierwszego oficera w łódce kapitańskiej dla zbadania luki, wyrwanej w boku okrętu.  
Morze było jaskrawoniebieskie i fale, miotane wściekłym wiatrem z zachodu, tworzyły wiry.  
Wszyscy na pokładzie śledzili z napięciem ruchy oficera.  
Ten otworzył wreszcie usta i wykrzyknął jakieś tajemnicze słowa, podając swespostrzeżenia wychylonemu poza reling kapitanowi.  
Podniósł rękę i obmacywał zraniony bok okrętu niby chirurg, namyślając się nad operacją.  
Po czym wciągnięto go z powrotem na pokład.  
Wszyscy otoczyli oficera.  
Nie bardzo był skory, by usmierzyć niepokój pasażerów i tylko obecność ciągle pogodnego kapitańskałoniła go do powiedzenia:  
Sądzę, że wytrzyma, jeśli nie zdarzy się znów szkwał.  
Narazie luka znajduje się cztery stopy nad linią wody.  
Wytrzyma, ale musimy dalej pracować przy pompach.  
Chyba, że morze wzburzyłoby się gorzej.  
"Alanna" zawróciła, oznajmiając ten manewr łomotem żagli.  
podobnym do grzmotu, po czym poddała się wiatrowi, z którą walczyła od tyłu dni.  
Pozwoliłam się nieść teraz ku Irlandii, nadymając każdy cal swych żagli, by dotrzeć tam w jak najkrótszym czasie.  
Lecz z powodu przetaczania się ładunku, od jednego jej boku kudrugiemu, w czeluściach ładowni, ruchy jej były niezdarne.  
Ani na chwilę nie dało się zapomnieć, że „Alanna” zatrwajał się na boku.  
Wszyscy na statku wyglądali, jakby nagłe porażeni zostali kalectwem; nie sposób bowiem było chodzić prosto po pokładzie.  
Pompy musiały pracować bez ustanku, wypychając z okrętu słone strumienie wody, która w potwornej masie przewalała się wokoło czyhając tylko, by móc wtargnąć z powrotem do jego wnętrza.  
Krzyże omdlewające z bólu ręce.  
początkowo pokryte pęcherzami, stwardniałe teraz od grubych modzeli, wlokące się monotonnie godziny, które przędły się w dzień i noc, splatając się w łańcuch jednostajnego zmęczenia i nudy oto, co składało się teraz na podróż.  
Od czasu do czasu w miejsce nudy rodziła się trwoga widok poszarpanej chmury, wpływającej na horyzonty mogącej nieść nowy szkwał swym łonem.

Ze wszystkich pasażerów na statku Adelina wykazywała najwięcej żywotności. Strojna w swe piękne suknie, taknieodpowiednie w tych okolicznościach, wносиła wesołość i pewność siebie, gdziekolwiek się pokazała. Mimo wszelkich sprzeciwów Filipaupała się wziąćrównież udział w pracyprzy pompach. Wyuczyła się pieśni marynarskich od załogi i śpiewała je, chociaż, jak zawsze, nie bardzo czysto. Zrodziła się dziwna zażyłość między pasażerami, jak gdyby się znali wszyscy od lat. Twarze, ruchy, właściwości każdego z nich utrwaliły się nazawsze w pamięci towarzyszy podróży. Wreszcie, ósmego dnia, niewyraźny kontur Irlandii zarysował się na horyzoncie.

#### IV. Reperacje w porcie

Z atoka Galway, błękitna i cicha, leżała w słońcu i dzwony kościelne dzwoniły na nabożeństwo, kiedy trójmasztowiec, melancholijnie pochylony, wolno wpłynął do portu. Po raz pierwszy od dziesięciudni ustało dudnienie tłoków w pompach i bębni pasażerów, uwolnione od niego, zdolne były chłonać w siebie dźwięk dzwonów i śpiew ptaków.

Adelina stała na dziobie statku, wdychając lekki powiew niosący zapach ładu.

Nozdrza jej drżały i zaśmiała się cicho.

W tej chwili właśnie podszedł do niej pan Wilmott.

Jakaż pani szczęśliwa, pani Whiteoak, że może się pani śmiać!

rzekł.

Dla mnie ten powrót jest przygnębiający w najwyższym stopniu!

Popatrzyła na niego przez ramię.

Białe jejęby błyszczały w półotwartych wargach.

Więc nierad pan odetchnąć znowu zapachem ziemi, usłyszeć dźwięk dzwonów?

Ale nie zapachem ziemi tego Starego Świata, aninie te dzwony chciałbym usłyszeć!

odrzekł z goryczą.

Nie spodziewałem się znaleźć kiedykolwiek tu z powrotem.

Czego pragnę, to Nowego Świata!

Dostanie się pan tam, cierpliwości tylko.

Proszę pomyśleć.

jak łatwo mógł pan znaleźć się na dnie morza!

Wdzięczna jestem niebu, że żyję!

Pani to co innego.

Jest pani młoda i pełna nadziei.

Ależ pannie jest stary!

I opowiadał mi pan o swoich ciekawych planach.

E, to taki przelotny nastrój tylko.

Przejdzie!

Pewnie, że przejdzie śmiechnął się blade.

Trudno jest zaiste czuć się długo smutnym w obecności pani.

Ayah stała niedaleko z dzieckiem na ręku.

Jasna jejszata powiewała wokół wychudłego ciała.

Po raz pierwszy od czasu swej

59.

choroby wyszła tego dnia na pokład; wydawało się, że nie zdoła utrzymać się na nogach, a cóż dopiero udźwignąć dziecko!

Leczoczy jej, o ciężkich powiekach, błyszczały radością na widok zieleni naładzie.

Mała Augusta wyciągała rączki ku mewom, które krążyły wokoło okrętu.

Filip podszedł ku nim.

Mam już wszystko gotowe do wylądowania rzekł.

Niemyślę zostawiać rzeczy na statku.

Kapitan mówi, że nic im tu nie grozi.

Hm, w każdym razie będą nam potrzebne naładzie.

Niewygląda na to, żeby okręt dało się naprawić w mgnieniu oka.

Czy widziałeś moich braci?

zapytała.

Nie wiem, czy spakowali swoje rzeczy?

Szolto cina to odpowiedział Filip, patrząc surowo nachłopcę.

Szolto zbliżał się właśnie, objuczony wszystkim, co posiadał.

Powiązane to było w sposób wysoce przypadkowy i beładnie.

Błada twarz jego jaśniała rozradowaniem.

Nie mogę doczekać się, żeby już zaraz poczuć pod nogą nasze stare, kochane, irlandzkie błoto!

wolał z daleka pod wpływem podniecenia, wpadając w najmocniejszy, na jaki go stać było, irlandzki akcent.

Chwała Bogu, wyśpię się w porządnym łóżku i wbiję zęby w jakieś uczciwe jadlo!

W miarę jak szedł, opadały z niego, jeden po drugim, tobołki.

lecz zdawał się niezauważać tego.

Gdzie jest Conway?

zapytała Adelina .

Nie mogę go poruszyć z posad!

Jeszcze w łóżku!

Mary Cameron jest przynim.

O Boże litościwy!

krzyknęła Adelina .

Filip rzucił im obojgu ostrzegające spojrzenie.

Pan Wilmott dyskretnie sunął się poza zasięg ich głosów.

Pakuje jego rzeczy ciągnął dalej Szolto.

Conway mówi, że nie może tego robić sam, że jest zmęczony ita głupia dziewczyna w to wierzy!

Wierzy zresztą we wszystko, co Conway powie i robi wszystko, co jej każe!

Zajmę ja się nim!

powiedziała z pasją Adelina .

Żwawym krokiem, jak zawsze, przeszła po pochyłym pokładzie.

Zbiegła szybko po schodach wiodących do kabin i szła spiesznie przez wąski korytarz, po obu stronach którego były wejścia do kabin.

Większą ich część, zamiast drzwiami, oddzielała od korytarza firanką.

Adelina czuła, że nigdy w życiu nie

60

zapomni zapachu, jaki unosił się stale w tym korytarzu!

.Wszystkie wyziewy spod pokładu zdawały się tu koncentrować: smród kuchni, żywego inwentarza i ustępów!

Ileż nacierpiała się wskutek tego!



W tej chwili zalatujący tu świeży powiew od lądu czynił zaduch panujący w korytarzu  
prawiedotykalnym.

Tak, przeżyłaona na tymstatku tyle niewygódi strachu!

Przystanąła, nasłuchując pod drzwiami Conwaya, lecz na statku panował takiruch i  
hałas, tyle było krzyku, że nie mogła nicusłyszeć.

Otworzyła drzwi.

Conway leżał wyciągniętyw swojej koi.

Uśmiech zadowoleniapromieniał na jego twarzy,jasnewłosa opadły mu naczóło.

Wodził swymi podłużnymi, zielonkawymioczymi za każdym ruchemMary Cameron,  
któraschylając się nadotwartą walizką, układaław niej przybory toaletowe, pod jego  
kierunkiem.

No, wiesz!

To jest naprawdę piękny widok!

krzyknęła Adelina .

Con!

Ty leniwy świntuchu!

Wstawaj mi natychmiast ipakuj się sam!

Mary, nie wstydzisz się?

Czemunie pomagasz wpakowaniu matce?

Mary podniosła znad walizy spłonioną twarz i7.

odcieniemzuchwałego wyzwania odparła:

Zrobiłam wszystko, co było potrzeba, dla matki.

Teraz leży i wypoczywa, czekając na lądowanie.

Idź więc isiądź przy niej!

Czynie wiesz, że to nie przystoi,żeby młoda dziewczyna siedziałasama z młodym  
człowiekiem wjego kabinie?

Objechałaś światnaokołoi nie nauczyłaś się niczego!

Mama kazała mi bać się Indian, Chińczyków i Francuzów.

ale nie mówiła mi nigdy, że trzeba się baćIrlandczyków odrzekła Mary.

Adelina z trudnością powstrzymała śmiech i powiedziała,jakmogła najpoważniej:

Źle więc zrobiła, bo Irlandczycy są najgorsi ze wszystkich.

A teraz zmykaj!

Jeśli Con potrzebujepomocy w pakowaniu,przyszłam tu po to.

Wypchnęła Mary za drzwi, poczym podeszła do bratai pociągnęła go za ucho.

Pochylona nadnim, twarzą dotykając prawie jego twarzy, zapytała:

Con, czy dopuściłeś się kiedy czegoś, czegoś brzydkiegowzględem tej dziewczyny?

Lecz Con,z całym bezwstydem dziecka, zareagował tylko na

61.

ból, jaki sprawiała mu, targając go za ucho i skrzywiony boleśnie odrzekł:

Puść mnie!

Nie powiem ci!

Powiesz.

I naczaj każę Filipowi, żeby cię wypytał.

To ci sięna pewno nie uśmiecha, co?

Conway dosięgnął ustami jej ramienia i pocałował je.

Moja słodka siostrzyczko! powiedział.

Odpowiedz mi.

Con!

Przysięgam ci.

że nie powiedziałem nigdy Mary czegoś.

czego byś ty albo jej matka niemogła usłyszeć.

Adelina puściła jego ucho.

Bogu niech będą dzięki odetchnęła.

A teraz wstawaj pakujrzeczy!

Alebyła na tyle dobra, że pomogła mu.

Piękny port Galway leżał przed nimi; szare, kamienne miastowznosiło się ponad nim, a wyżej jeszcze ciemny łańcuch wzgórz Clare.

Stary, feudalny zamek stał naszczywie jednego z nich.

Wporcie gromadzili się ludzie, by przyjrzeć się statkowi, rzadko bowiem okręt tak znacznego tonażu zawiązał do niego.

Teraz zaczęło się zamieszanie przy lądowaniu.

A tym ludziom zdawało się, że nie opuszczą statku, aż zawinie do Quebecu!

Wychodzili teraz z niego, dźwigając bagaże bledsi, niż kiedy nań wstępowali.

Jedni mieli twarzęstroskane, inni nawet wężach!

Pędzono i popychano nieszczęsne bydła, brudne i ogłupiałe, niektóre sztuki były tak osłabione, że ledwie iść mogły.

Drób stosunkowo lepiej zniósł całą tę przygodę.

Maggie, koza przeznaczona na żywicielkę małej Augusty, była jedynym wyjątkiem wśród czworonogich pasażerów.

Nie było znać na niej skutków przykrych przeżyć dreptała rażno na lśniących kopytkach, pobrękując dzwoneczkiem.

Jeden z marynarzy polubił ją szczególnie i cesał codziennie jej srebrzystą sierść.

Kiedy sprowadzono ją z.

mola.

ujrzała małą kępkę zielonej trawy, pospieszyła od razu kubnącej kilka ździebeł i zaczęła żuć je z rozkoszą.

Boney również zniósł podróż doskonale, kołysanie okrętu stanowiło dla niego przyjemność.

Jedną z ulubionych jego rozrywek było zawisnąć głową wdół.

Opuścił okręt, siedząc na ramieniu Adeliny.

Rozwarł zakrzywiony dziób, co robiło wrażenie, że śmieje się triumfalnie.

Czarny jego język wzbudził podziw tłumu, który wnet zebrał się wokoło.

Powinnaś była wsadzić go raczej do klatki rzekł Filip.

62

Masz rację odrzekła i chętnie zrobiłaby to teraz, ale klatka została z rzeczami.

Zresztą taka jest ciężka do niesienia.

Ale w gruncierzeczy rada była z sensacji, jaką wywołali.  
Uśmiechnięta kiwała tłumowi głową, ku wielkiej jego uciecze.

Patrzcie!

Patrzcie!

Jaka piękna pani z papugą!

krzyknął ktoś.

Popatrz!

wołał ktoś innego takiego niewidziałem nigdy!

Usuńżeten łeb, zakrywasz mi ją!

Nic nie widzę!

popychał jeden drugiego.

Tłum powiększał się.

Jeśli widok Adeliny z papugą wywołał podziw ogólny, to ukazanie się ayah w jej powiewnych szalachi.

biało ubranym dzieckiem na ręku.

które przyciskało do siebie piękną.

woskową laleczkę, wzmogło ów podziw do granic głośnego entuzjazmu.

Obaj Irlandczycy, panowie d'Arcy i Brent, musieli ramionami rozpychać zwarty tłum.

Patsy wywiedziało się już o powozie, który można było wynająć, i obecnie wehikuł,

zaprzężony w nędzną, siwą szkapę, która jednak o dziwo!

dość żywo jeszcze potrafiła się ruszać, zajechał turkoczając po kamieniach.

Adelina odszukała siostrzenicę księdza i zapytała je, gdzie zamierzają zamieszkać podczas trwania reperacji statku.

Dziewczęta ugiwały się pod ciężarem zawiniątek i paczek, lecz wyglądały prawie tak rumiane i rześko, jak wtedy, kiedy wyruszały w podróż.

Okazało się, że miały znajomych w mieście, u których chciały złożyć rzeczy.

Same zaś zamierzały puścić się doodlegiej o dziesięć mil plebanii wuja przenocować tam i podążyć nazajutrz dalej, dorodzielskiego domu.

To ostatnie zdawało się jebardziej trwożyć, niż cieszyć.

Naprawdę mówiła starsza z dziewcząt poprzednie pożegnanie o mało niezabiło matkia to, co teraz nastąpi, może być jeszcze bardziej bolesne dla niej.

Ale wydawałoby się jej todziwne, a nawet okrutneL naszej strony, gdybyśmy nie widziały się z nią.

Niemogę się doczekać oświadczyła druga kiedy ujrzę ją iojca, i maleńkie rodzeństwo! Będziemy miały tyle do opowiadania i totakich rzeczy, że włosystaną im nagłowie!

Nie róbcie tego rzekła Adelina .

Przeciwnie, opowia.

dajcie, że morze było gładkie jak cynowa misa, a wiatr nie był silniejszy niż dech śpiącego dziecka.

Powiedzcie im, że tylko to.

taka maleńka deseczka obłuźniła się w okręcie, lecz kapitan, zezbytku

63.

ostrożności, przywiózł nas z powrotem do Galway, żeby ją umocować.  
Powiedźcie jej też, że nie spuszczałam was z oka przez cały czas i zamierzam nie spuszczać dalej, dopóki nie wylądujemy w Kanadzie.

Dobrze, miladyzgodziły się, ukazując w szerokim uśmiechu piękne zęby powiemy jej, co nam kazałaś.

Nie piśniemy słowa, które mogłyby przerazić ją!

Adelina palrzyła za nimi.

Widziała, jak objuczone pakunkami, wlokły się mozolnie, błyskając bielą pochyłonych karków spodciemnych kędziorów.

Pomyślała teraz o pani Cameron i Mary, i westchnęła ciężko, poczuwszy nagle cały ciężar odpowiedzialności za los tych słabszych, od siebie istot, który na niej spoczywał.

Filip właśnie wsadził do powozu matkę i córkę.

Ayahi Guss siedziały już w nim.

Zobaczywszy Adelinę, zawołał:

Spiesz się.

moja droga!

Wydostańmy się już raz stąd!

Głęboka bruzdza niecierpliwienia marszczyła jego jasne czoło.

Powóz ruszył, turkocząc po kamieniach, a część tłumu podążyła za nim.

Był to przeważnie chłopcy małe dziewczęta, którzy wykrzykiwali z uciechy, podskakując wokoło powozu.

Filip i młodszy Courtowie szli piechotą.

Filip przykrością tylko godził się brać udział w tej procesji, lecz jego młodszy szwagrowie żartami i figlami podniecali jeszcze uciechę tłumu.

Nieco później, wyglądając okna hotelowego pokoju.

Adelina spostrzegła, że na ulicy wywiązała się bójka.

Chłopcy biurowi, czeladnicy rzeźniccy, żebracy każdy z osobna i wszyscy razem darli się i walczyli to na kije, to na pięści.

Towarzyszyło temu wycie i ujadanie psów.

Nagle ukazała się oddział policji.

Bójka ustała w mig.

Tłum stopniał w jednej chwili, rozpraszając się w wąskich uliczkach lub skacząc przez okienka do piwnic.

Ulicę zaległacisza, jakby to był święty dzień szabatu.

Filip ubawiony przypatrywał się tej scenie sponad ramienia Adeliny.

Co to za dziwne typy ci twoi krajanie!

rzekł, kiedy na ulicy wszystko już było skończone.

Są tacy, jakimi ich stworzył Pan Bóg odcięła się, stając od razu w defensywie.

Ale, czy jesteś pewna, że to Pan Bóg, kochanie?

No, może mu ktoś z boku trochę dopomógł zgodziła się.

Prawie nie widzieliśmy się na osobności, odkąd puściliśmy

64

się na morze mówił Filip, całując ją.

Jak nie dziecko, to twoi bracia albo Mary byli ciągle przy nas.

O Boże!

Jakże będą rad, kiedy to wszystko będzie już zanami i zamieszkamy w Quebecu.

Ja również!

Nie zgadłbyś nigdy, co powiedział mi pan Wilmott, kiedy wysiadaliśmy na ląd.

No,co?

Powiedział; wie pani, nie spodziewałem się nigdy, że moja stopa dotknie jeszcze kiedykolwiek ziemi na tych wyspach.

Powiem więcej: cieszyłem się tą nadzieją!

Jak to, zdziwiłam się, niemyślał pan nigdy przyjechać tu, choćby na krótki pobyt?

Nigdy!

odpowiedział i wyglądał przy tym tak pośepnie, jak bohater romantycznej powieści.

Robiłam, co mogłam, by wywołać zbliżenie między nim i panią Cameron, ale okazało się to beznadziejne!

Wiesz wdowa i do tego cierpiąca na chorobę morską, nie jest bardzo pojętna odparł Filip.

Zresztą, sądząc po oczach, jakimi wodzi za tobą, mam wrażenie, że raczej uczucia jego grawitują ku tobie.

Radziłbym temu panu być ostrożnym.

Co? Ten trzeźwy i pełen rozwagi jegomość!

zaśmiała się Adelina .

Nie jest wcale w moim guście.

Alego lubię jak towarzyszka i mam nadzieję, że osiedzi w Quebecu, niedaleko nas.

Zdajemy się jednak, że powinniśmy powiadomić twoich chrodziców, że jesteśmy tutaj zmienić nagle temat rozmowy Filip.

Naprawa statku potrwa dobry tydzień i, jeśli dowiedzielibysię o tym zinnego źródła, byłiby raczej urażeni.

Nie!

Nie!

krzyknęła Adelina .

Nie zniosłabym nowego pożegnania!

Niewyszłoby tona dobre nikomu.

Moglibyśmy prosić ich, by nie przyjeżdżali.

Nic nie zdołałoby powstrzymać mojej matki, a ojca także.

Przyjechałby tu i narobiłby zamieszania.

Przed wszystkim nawymyślałby kapitanowi, że żegluje na starej krypie, nie na okręcie.

Ale mogą dowiedzieć się o tym z gazet.

Wolę już zaryzykować.

W przyszłym tygodniu mieli jechać z wizytą do dziadka; nie będą mieli czasu na czytanie gazet!

I postawiła na swoim.

Zabrali się teraz do zorganizowania życia podczas tego nieoczekiwanego interludium w podróży.

Zwiedzali ulice starego, kamiennego miasteczka.

Filip i pan Wilmott puszczał się narybackie wyprawy wokolicę.

Adelina , w towarzystwie braci i Mary Cameron, pięła się po stromych ścieżkach wzgórz Clare lub wędrowała wzdłuż wybrzeża, znosząc do domu

Budowa Jalny

65.

pełne kieszenie muszelek dla małej Augusty.

Do programu dnia należało też codzienne przesiadywanie na statku, by przypatrywać się robocie cieśli.

Codzień też przybywali tłumnie ludzie ze wsi, by podziwiać cuda, znajdujące się na "Alannie". Przyjemnie było patrzeć, jak wpięknę, wiosenne wieczory urządzali tańce napokładzie, jak gibkie ciała parobków i dziewcząt wiejskich przeginały się i unosiły w tańcu przy gwizdaniu tak donośnym, jakby kto napiszczałce grał.

Strzelali palcami i okręcali się w szalonym wirze.

Mieli duży wdzięk w linii i wruchach, i coś hiszpańskiego w rysach.

Nigdy jeszcze nie bawiono się tak ochoczo na "Alannie".

Jednego wieczora tańczono przyświecnie księżycu.

W pewnej chwili chmura zakryła jego tarczę tak, że tancerzenie mogli rozeznac się w ciemności.

Był między nimi jeden piękny chłopiec; w granatowej bluzie, któremu Adelina wpadła w oko. Odłączył się od swojej partnerki i, przesuwając się tanecznym krokiem obok niej, dotknął ręką jej ramienia.

Adelina stała z braćmi i Mary Cameron ta ostatnia, jak zawsze, zawieszona na ramieniu Conwaya.

Adelina zaśmiała się, kiedy ręka chłopca musnęła jej ramię.

Chłopak dojrzał błysk jej białych zębów w mroku i przetańczywszy wokoło pokładu, znalazł się za chwilę znów przyniej.

Objął ją ręką i Adelina puściła się z nim w taniec.

Wirowali jak szaleni, wrytm gwizdania i tak zgodną, tak piękną tworzyli parę, iż szkoda zaiste, że nikt nie mógł ich widzieć.

Lecz było to raczej szczęśliwe dla Adeliny, że Filip również nie mógł jej widzieć.

Była upojona ruchem i rytmem, lecz nie straciła głowy: nie spuszczała z oka chmury na księżycu i skoro tylko kontur jej począł się lekko osrebrzać, uderzyła kułakiem w pierś swego tancerza.

Puść mnie, ty czarciu!  
szepnęła.

Ikiedy znów księżyc począł lać swą światłość na pokład, widziano smukłą i wyniosłą postać Adeliny, stojącą obok Szolta.

Spostrzegła wtedy, że Conway i Mary byli także między tańczącymi.

Conway podśmiewał się, patrząc na nią.

Mam teraz bicz na ciebie, siostruniu rzekł.

Radzę ci, nie opowiadaj plotek o mnie!

Rozległ się dzwon wszyscy musieli opuścić statek.

Nazajutrz zaczęła się słońca: było mglisto i mżył deszcz.

Ustały tańce na pokładzie.

Dnie wlokły się leniwie.

Kapitan obiecał, że naprawa "Alanny" będzie ukończona za dziesięć dni, lecz upłynęły dwa tygodnie, nim wszystko było gotowe i mogli wyruszyć znów.

Ten drugi wyjazd odbył się w jakimś dziwnym nastroju:

66

podróźni byli podnieceni, lecz podniecenie to nie miało nic radosnego w sobie.

Wszyscy byli teraz świadomi niebezpieczeństw, jakie mogliby być narażeni.

Wiara w okręt, który ich niósł, była w nich zachwiana.

Oczywiście, każdemu okrętowi mogło się przydarzyć, że otworzy się luka w jego kadłubie pocieszali się.

Kapitan Bradley zaręczał zresztą, że "Alanna" obecnie jest zdrowa jak rydz.

W niedzielę przed wyruszeniem na morze poszli wszyscy dokościoła.

Adelina, Filip, pan Wilmott i pani Cameron udali się do gotyckiego opactwa, gdzie pięknie żebrowane luki sklepienia irzeźbione rozety nikły pod grubymi warstwami wapna, którym jebielono w ciągu lat i gdzie nielicznie zgromadzeni wierni, ginęli, rozrzućeni w ogromie świątyni.

Irlandczycy zaś, d'Arcy i Brent, wróćiwszy z katolickiego nabożeństwa, opowiadali, że nie zdołali dostać się do wnętrza, gdzie odprawiano mszę, lecz musieli klęć, wespół zresztą tłumem, na cmentarzu kościoła.

Conway, Szolto i Mary poszli na przechadzkę wzdłuż wybrzeża, uprosiwszy starszych o zwolnienie z nabożeństwa, a pani Cameron nie umiała odmówić córce niczego.

Zresztą chodziły wieści o jakiejś zaraźliwej gorączce, szerzącej się w mieście.

Dla Mary będzie znacznie bezpieczniej na spacerze, pod opieką obuchłopców, niż w kościele rozumowała matka.

Nadszedł dzień wyruszenia na morze i cała masa bagaży, które niedawno znieśli na ląd, odbyła teraz powrotną drogę nastatek, dudniąc i chrzęszcząc po kocich łebkach bruku, wytrząsane na nich niemiłosiernie.

Znowu popychano opierające się, nieszczęsne sztuki bydła i pędzono na statek, by je zamknąć w cuchnących klatkach.

Jedną tylko kózka Maggie dreptała równie ochoczo na pokład, jak i schodziła zeń kilka tygodni wcześniej.

Ayah zdawała się mniej mizerna potych tygodniach spędzonych na lądzie, lecz kiedy wstępowała na okręt, niosąc małą na ręku, twarz jej była pełna smutku, jakby nie wróżyła nic dobrego dla siebie w tej podróży.

Gussie zaś przyciskała do siebie swą woskową lalkę w jedwabnej krynolinie i kapuzie.

Lalka była za wielkim ciężarem dla drobnych ramionek małej i kiedy ayah stanęła z nią na dziobie okrętu, przyglądając się kłębiącej wodzie, którą pruć okrętu trusząc z przystani, Gussie pochyliła się naprzód w jej ramionach i upuściła lalkę do morza.

Obejrzała się chytrze na swoją ayah.

"Po szła!

" skonstatowała i to było pierwsze słowo, jakie wypowiedziała.

Kilka razy jeszcze różowa buzia woskowej pani zabłysła wdzięcznym uśmiechem z pian; przez chwilę jeszcze barwna, kraciasta jej krynolina, wyдутa jak balon, unosiła się na fali i było po wszystkim.

Ayah wybuchnęła potokiem hinduskich wyrzekań, potrząsając gniewnie małą. Gussie rozumiała dobrze, że ściągnęła na siebie gniew ayah, nie przejęła się jednak tym zbyt; wiedziała, że ayah jest jej niewolnicą.

Jasne słońce wyrzało z zachmur, by ozłocić chwilę odjazdu podróży. Pośpiech i krzątanina na statku ustały; wszędzie było schludnie, wyszorowane pokłady świeciły czystością.

Mosiężna poręcz relingu iguziki na mundurach oficerów połyskiwały w słońcu. Rozpięte żaglenabrzmiały lekko, nabierając w pierwszą łyk wiatru, jakby próbowały jego jakość i moc a potem zaraz wciągnęły pełną piersią całą siłę jego podmuchu i rozdęły się w śnieżne kule wokoło masztów.

Nie było teraz tego strasznego pochylenia pokładu; pozioma i równa jego powierzchnia wstrząsana była lekko, niby drzeniem radosnym, kiedy "Alanna" ruszyła, nurzając się w drobnych falach.

Filip i Adelina stali, trzymając się za ręce, na pokładzie i spoglądali na oddalający się ląd.

Miasto, wzgórze Clare, ruch postaci ludzkich na pierwszym planie były wyraziste jak wymalowany obrazek.

Dostrzegli jakąś wysoką, ciemno ubraną kobietę, która zapędzała do wody świnię.

Trzymała ją na sznurku, uwiązany do tylnej nogi.

Wpędziwszy ją pod kosał spódnicę i brodziła zanią.

Potem zaczęła szorować ją z całej siły, a świnię kwiczała w niebogłosy.

Potem widzieli, jak wyprowadziła ją z wody, bielutką jak perłka, bo cały brud jej pochłonęło morze.

Wyglądała tak czysto i niewinnie, że mogłaby zasłużyć na imię "aniołka świńskiego rodu".

Jaka śliczna świnię!

zawołała z zachwytem Adelina .

Szkoda, że nie ma tu moich braci, żeby ją zobaczyli!

Ale czemu oni siedzą na dole w kabinie?

Wiesz Filip, ta mała Mary poprawiła się bardzo.

Żebyś widział, jak gorliwie pomagała matce wprowadzić się z powrotem do kabiny, jak krzątała się, żeby jej przynieść filiżankę herbaty!

Ale patrz, patrz!

Jakaś karetę zajeżdżaczworką do portu!

Boże miłosierny to ojciec i matka, i mały Tim z nimi!

A konie całe w pianach!

Filip, zatrzymaj statek!

krzyczała już teraz.

Przez chwilę Filip, skonsternowany, stał bez ruchu.

Widział,

68

jak teść zeskoczył z kozła, rzucając lejce stangretowi i pomagając mu wysiąść z karety.

Widział, jak zdjąwszy kapelusz, powiewał nim, dając znak okrętowi, by stanął.

A odległość między nimi zwiększała się ciągle!

Filip puścił się biegiem przez pokład, lecz po kilku krokach zatrzymał się.

Kapitan nie zrobi tego powiedział.

Musi zrobić!



oświadczyła Adelina z mocą i sama poczęła biec ku sterowi, gdzie był pierwszy oficer.

Panie Grigg!

zawołała musi pan zawrócić!

Ojciec mój matka są na molo przyjechali, by zobaczyć mnie jeszcze.

Niemogę zostawić ichtak!

To niemożliwe oświadczył Grigg.

Nie zrobiłbym tego nawet dla samej królowej Wiktorii.

To jest wbrew przepisom!

Biorę odpowiedzialność na siebie!

Nie mogę!

W takim razie wyrwę panu koło z ręki i sama zawrócę!

Nie pozwolę pani zrobić tego!

Ale Adelina ujęła już koło w objęcie i, szarpiąc się z Griggiem, starała się obrócić je w przeciwnym kierunku, a że była silna, statek istotnie zaczął zmieniać kierunek.

Jak pani śmie!

krzyczał przerażony Grigg.

Wpędź nas pani na skały!

Kobietko, puśćster!

Pasażerowie zbiegli się ukazał się też Filip i chwycił ją za rękę.

Chodź rzekł.

Rozmawiałem z kapitanem.

Nie może zawrócić.

Chodź na tył okrętu i pożegnaj się bodaj z daleka z rodzicami, inaczej i nato będzie za późno.

Adelina wybuchnęła płaczem, wyrwała się mui pobiegła szlochając na tył okrętu.

Łzy zalewały jej oczy tak, że w pierwszej chwili miała przed sobą tylko zmacony obraz rodziców, stojących na molo.

A kiedy obraz ten stał się wyraźny, była przerażona, jak postacie ich już zdołały zmaleć w oddaleniu.

Rodzice jej nie byli więksi od lalek.

Ojciec, mężczyzna olbrzymiego wzrostu, wyglądał jak pajac, wygrażający pięścią oddalającemu się.

okrętowi!

A może to jej tak wygrażał?

Może nigdy nie dowie się, komu?

Ostatni może obraz ojca, jaki uniesie na resztę życia, będzie z tą pięścią, wygrażającą jej czy okrętowi?

Przykładała dłoń do drżących ust i posyłała pocałunki ku szybko niknącym postaciom rodziców i najmłodszego brata.

Wtedy zobaczyła Jamesa Wilmotta, stojącego obok niej.  
Zauważyła dziwny wyraz na jego posępnej twarzy, a głosu, jakim się odezwał, nie słyszała u niego dotąd:

Droga, nie płacz!  
rzekł.

Nie mogę patrzeć na to!  
Błagam nie płacz!

W tej chwili Filip stanął-zdrugiej strony obok niej.  
Żeby odwrócić myśli jej od przykrego zawodu, jakiego doznała, zapytał:  
Gdzie się podzieli Conway i Szolto?

Powinni byli przyjść pożegnać rodziców.  
Za późno już!

Zapóźno!  
odrzekła z żalem.

Czy mam iść po nich?

Jak chcesz.

I Filip poszedł.

Wporcie, w pobliżu rodziców, Adelina spostrzegła grupkę krewnych pasażerów drugiej klasy.  
Stali skupieni, jakby to zbliżenie we wspólnej niedoli miało złagodzić boleść rozstania najbliższymi.

Silny wiatr wziął teraz statek w obroty.  
"Alanna" wspinała się na podbiegające pod jej dziób bałwany.

Liny na niej były sztywno napięte, żagle mocno wzdęte.

Okręt kołysał się i dziarsko sunął naprzód, jakby się radował pokonywaniem wodnej przeszkody.

Łąd skrył się.

Fale zasłaniały ziemię w oddali; a kiedy czasem ukazywała się na chwilę, była już tak daleko, że wszelka łączność między nią a okrętem ustała.

Wilmott podał ramię Adelmie.

Czy mogę odprowadzić panią do kabiny?  
zapytał.

Dziękuję odrzekła z wdzięcznością, opierając się na nim.

Mam nadzieję, że pani zechce przebaczyć i zapomnieć słowa, które wyrwały mi się przed chwilą.

Jestem człowiekiem samotnym i przyjaźń pani jest rzeczą niezmiernie cenną dla mnie.

Łzy pani poruszyły mnie.

Ale wiem, że nie miałem prawa powiedzieć tego, co powiedziałem.

Jest pan bardzo miły i jest pan naszym przyjacielem, wszystko inne nie ma znaczenia odrzekła i spod wilgotnych jeszcze spojrzała łagodnie w jego oczy.

Szli powoli pokładem ona ciągle oparta na jego ramieniu.

Mewy fruwały kołując nad nimi.

Jedna z nich usiadła na szczybie masztu i pozostała tam nieruchoma, jak wykuta w kamieniu.

70

## V. Druga podróż morska

Kiedy Adelina weszła do kabiny i zobaczyła piętrzący się niej stos ręcznych waliz i zdała sobie sprawę, że czeka ją znowu kilkutygodniowa podróż w tej sześciennej norze, przez chwilę ogarnęła ją rozpacz.

Jakichże nowych przeżyć mogą się oboje z Filipem spodziewać?  
Pozostawili za sobą wszystkich, których znali i kochali, i dążyli w nieznane.  
Jaśniej zdała sobie tego sprawę tym razem, niż wyruszając w pierwszą podróż.  
Myśl o matce, stojącej we łzach na molo, wracała, odnawiając jej udramę.  
Nawet ojciec wydawał się jej w tej chwili wzruszający.  
Nie mogła się zdecydować zacząć od razu rozpakowywać rzeczy.  
Musiała najpierw zobaczyć, co się dzieje z Ayah i Gussie.  
Wysłana korytarz, otworzyła drzwi naprzeciw i zajrzała.  
Ayah leżała wyciągnięta w swej koi.  
Do czoła przyciskała rękę, naprzeciw której leżała kilka srebrnych obręczy i spodołonyte  
ręki spójrzały na Adelinę tęsknie, czarne oczy.  
Adelina spytała ją w rodzinnym dialekcie, którym władała biegle:  
Czy jesteś chora?  
Nie, mem sahib, ale położyłam się, by wypocząć.  
Dziecinama się doskonale i jest wesola.  
Widzę to.  
Ale myślę, że lepiej byłoby wam na pokładzie.  
Dziecko mogłoby bawić się tam muszelkami.  
Usłyszawszy słowo „muszelki”, Gussie podniosła rączki w każdej z nich trzymała po  
muszli.  
Przyłożyła je do uszek.  
Twarzyczka jej wyrażała bezmierny zachwyt, kiedy zasłuchiwała się wtajemniczy ich szum.  
Wyniosła ją natychmiast na pokład, mem sahib rzekła Ayah posłusznie.  
Z rezygnacją podniosła się i wsparła na łokciu, by wstać.  
Lecz nagle opadła z powrotem na poduszki.  
To powietrze tu, nadole, jest niedobre dla was obu rze71.

kła stanowczo Adelina .

Gdzie lalka Gussie?

zapytała, rozglądając się po kabinie.

Nie widzę jej.

Srebrne bransolety na ręce, opartej o ciemne czoło ayah, zabrzęczały.

Schowałam ją, memsahib, żeby się jejco nie stało.

Gdzie?

Do kuferka, w którym są pieluszkimalej.

Dobrze zrobiłaś.

Dziecko jest za małe, żeby ocenić taką zabawkę.

Schowamy ją dlaniej, jak będzie starsza.

Po-szła!

wymówiła nagle Gussie.

Czy mała powiedziała coś?

zapytała Adelina .

Nie, memsahib, dziecko jeszcze nie mówi ani jednego słowa.

Kiedy Adelina wracała do swojej kabiny, natknęła się na panią Cameron.

Jeszcze niezdjęła z siebie okrycia i kapelusza; ujrzawszy Adelinę , zwróciła na nią oczy, pełne żalu i wyrzutu.

Mary musiała się znowu gdzieś zawieruszyć z tymi panibraćmi.

To nie do wiary, żeby dziewczyna mogła zmienić siętak!

Wiedziałam zawsze dokładnie, gdzie się to dziecko znajduje;

nigdy przecież nieoddalała się od mego boku.

A teraz, przeważnie, nie mam pojęcia, gdzie się podziewa.

Sympatia Adeliny , którą dotąd ogniskowała namatce, naglecała zwróciła się ku córce.

Wie pani odrzekła ostatecznie Mary jest młoda.

Trzeba jejtrochę rozrywki, wesołości.

Rozrywki, wesołości!

powtórzyła z goryczą pani Cameron.

Jakże w ogóle może istnieć dla niej rozrywka, zabawa, potym.

co przeszły śmy!

Nie może pani przecież żądać od dziecka, żeby bez końca chodziło pograżone w żalobie!

odrzekła trochę szorstko Adelina .

Była zmęczona, a pani Cameron wyglądała naprawdę zbyt przygnębioną w tym czarnym dolmanie i żalobnej kapuzie.

Cóżdziwnego, że dziewczyna stroniła od niej i wolała towarzystwo rówieśników!

Mary skończywszy szesnaście lat mówiła matka niedługo stanie się kobietą.

Widzę, że nie zdaje sobie sprawy z tego, choć ciągle jej to powtarzam.

Prawdziwy trzpiot z niej!

Widziałam, jak przykładnie niosła przed chwilą filiżankę herbaty dla pani  
broni dziewczyny Adelina .

Mam nadzieję, że pani nie chce przez to powiedzieć, że nie

72

doceniam własnego dziecka, pani Whiteoak !

wybuchnęła pani Cameron.

Mary jest wszystkim, co posiadam na świecie.

Jest jedyną myślą moją i troską.

Wolałabym zginąć raz, ale tysiąc razy, niż żeby spadł jeden włos z jej głowy!

A właśnie dobrze zrobiłaby pani, gdyby czasem odwróciła się od niej odparła Adelina  
Stanowczo pani Cameron męczyła ją.  
Statek uniósł się nagle.  
Wyglądało to, jakby wpięrow ześlizgnęła się po stromym zboczu, a teraz mozolnie piał się, by  
stać nad drugim.  
Adelina poczuła nagle dziwną cikliwość wewnątrz.  
Czyżby ona miała dostać morskiej choroby?  
Lepiej położyć się nachwilę na wznak na koi.  
A pani Cameron wybuchnęła płaczem, co widząc Adelina zawołała:  
Nie chciałam przez to powiedzieć, że pani jest złą matką.  
Pozwoli pani, że pójdę poszukać Mary i przyprowadzę ją pani w tej chwili.  
Powiem też moim braciom, żeby trzymali się z daleka od niej.  
Proszę, niech pani pójdzie się położyć.  
Mówię pani, że przyprowadzę ją za minutkę.  
Pani Cameron zawróciła, potykając się, do swej kabiny.  
Adelina zaś stanęła pod drzwiami chłopców i przyłożyła do nich ucho.  
W kabinie panowała zupełna cisza weszła więc.  
Na środku ciemnego pokoiku stały dwie walizy.  
Na dolnej kołczyły porzucone jakieś resztki, papiery i sznurki.  
Ale cóż to leżyna poduszce?  
Pochyliła się, by zobaczyć.  
Z niewiadomego powodu serce jej zaczęło bić silniej.  
Była to koperta, przyspilona do poduszki i adresowana do niej niewprawnym  
pismem przykładając się do tego kunsztu uczeniaka.  
Poznała pismo Szolta.  
Ręka jej drżała, kiedy rozrywał kopertę, choć pojęcia nie miała, co wyczyta.  
A Szolt pisał:  
„Moja najdroższa siostruniu!  
Conway każe mi pisać to; mówi, że on sam jest człowiekiem czynu, a ja jestem  
człowiekiem pióra.  
Niech i tak będzie: ale bardzo mi nieswojo wyjawic ci to, co muszę.  
Piszę do hotelu, w przeddzień odjazdu okrętu.  
Pójdziemy jutro z naszymi rzeczami na statek a potem, kiedy zrobi się zamieszanie przed  
odjazdem, wrócimy do portu i skryjemy się w mieście, póki nie będziecie na morzu.  
Droga Adelino, niegniewaj się, że nie pojedziemy z wami do Quebecu.  
Po tysiąc razy podczas ostatniej podróży pragnęliśmy znaleźć się z powrotem w Irlandii!  
Trudno nam było uwierzyć w to szczęście- 73.

cię, kiedy okręt zawrócił po burzy za domem.

    tak bardzotęsknonam było

    Teraz przychodzi to, co Conway powinien był napisać sam: aley wiesz, jaki on jest śmierdzący leń.

Maryzdecydowała się takżenie jechać do Kanady.

Postanowiła pozostać w Irlandii i wyjść zaConwaya.

Nie chciałbym być w jego skórze, kiedy stanie przed ojcem z Mary podrękę.

Mary próbowała napisać do matki,ale płakała tak, żecały papier zniszczyła nanic.

Prosi cię więc, drogasiostruniu, żebyś powiadomiła o tym paniąCameron oczywiściejak możesz nazogłędniej i ze współczuciem.

Mary mówi, że będzie toprawdziwym ciosem dla niej,lecz ponieważ mówiłazawsze, żeszczęście Mary ma przedewszystkim na względzie, to, kiedy zastanowi się, pogodzi się z tym, co Mary zrobiła.

    Kiedystanieciew Quebecu, prosimy was, żebyście wszystkie nasze rzeczy (oczywiście z rzeczami Mary włącznie) załadowali napierwszy okręt wyruszający do Europy, tylko prosimywaspodajcie dokładnie nasz adres.

Nie chcielibyśmy, aby nam zginęło cośkolwiek,zwłaszcza teraz,kiedy ojciec przez dobrych kilka lat nie przeboleje tychwydatków napodróżCona i moją,i będzie jeszcze bardziej skąpy dla nas niż dotąd!

    Marynapisze długi listdo matki i wyśle go następnym okrętem.

Conway także napisze.

    Wszyscy troje życzymy wam „bon voyage”, żadnych burz podrodze, żadnych dziur w okręcie i bawcie się dobrze w Quebecu.

    Twój zawsze cię kochającybrat Szolto Court”.

    Adelina stała, jak gromem rażona, przeczytawszy ten list.

Zdjął ją paniczny strach.

Miała jedną myśltylko: uciec do swojejkabinie, rzucić się na posłanie, zagrzebać w nim,kołdrę naciągnąć głowę i pozostać tak, póki nie dojadą do Quebecu.

Potemnasunęła jej się kojącawątliwość: to musi być tylko żart!

Braciazawsze skorzy byli do figli.

To nie może być prawda!

Pójdzie otodo Patsy'ego O'Flynna on pewnie będzie wiedział coś o tym;

    będzie wiedział, gdzie ukryło siętychtroje!

    Przeszła spiesznie korytarz, zbiegła stromymi schodkami domiędzy pokładzia.

Tam, wewspólnej kabinie, pasażerowie drugiejklasy rozpakowywali się na drugą podróż, rozwiązując rzemieniami pościągane pakunki, otwierając paczki z prowiantem, pijąc zblaszanych filiżanek herbatę, którą rozlewali bosi posługacze okrętowi.

W kącie zobaczyła jakąś przyzwoicie wyglądającą Szkotkę, która zebrawszy wokoło siebie gromadkę swych dzieci, rozda74

    wała im wielkie, drożdżowe placki, podczas gdy najmłodsze, niemowlę jeszcze, pożywiało się, uczepione u jej piersi.

Adelina zapytała ją:

    Czy niewie pani, gdzie ma kwaterę mój służący, Patsy O'Flynn?

    On jest tam, gdzie wsadzono kuryodrzekła, wskazując plackiem, którytrzymała w ręce, kierunek.

Czy mam go zawołać, pani?

    Nie, nie!

Dziękuję.

Pójdę sama do niego.

Znalazła Patsy'ego, wyciągniętego na swoim pałtocie, który miał na sobie kocyk z drobiem.  
Przy akompaniamencie piania i gdańskimi słowami posilał się kromką chleba z serem, przyspiewując  
sobie marynarską pieśń: "Hej, hej!  
Wicher dmie" między jednym kęsem a drugim; chciałby w ten sposób przeciągnąć  
rozkosz jedzenia, jak mógł najdłużej.  
Kózka Maggie z wolną się zawięzła stojąc obok niego skubała pyskiem sznurowadło, które  
dyndało u jednego z jego butów.  
Oboje stworzyli doskonały obraz bez troski i zadowolenia z życia.

Patsy Joe!  
zawołała Adelina .

Czy nie wiesz, gdzie są moi bracia?  
Niemogę znaleźć ich nigdzie na okręcie.

Patsy zeskoczył z kojca, połykając spieszenie ogromny kęs chleba z serem.

Nie wiem, jaśniepanienko odrzekł, wysuwając brodę naprzód, bokę utknął mu w  
gardle.

Ale pójdę poszukać ich  
zaraz.

Patsy Joe, miałam list od Szolta.

Piszem, że wrócili do miasta z okrętu i mała panna Cameron z nimi.

Nie śmiem myśleć nawet, że pisze to serio; to przecież zabiłoby biedną jej matkę;  
moi bracia godni byliby potępienia.

Czy mówili do ciebie o tym, że chcą cię odwiedzić do domu?

Oj, nieraz wyrzekali, żeby diabli wzięli ten okręt, żeby już nigdy nie spojrzeli na niego!

Powinieneś być mi powiedzieć, że tak mówili, Patsy.

Boże mój!

Myślałem, że tylko ty gadają!

I mówi jaśniepanienka, że ta panna Cameron jest z nimi?

Tak.

Nie dziwi mnie to wcale.

Tuoczka Patsy'ego zmrużyła się chytrze.

Widziałem ją ich na wybrzeżu zeszłej niedzieli i pomyślałem sobie, że bardzo ta panienska  
poufała jest z panem Conwayem.

A on cóż miał innego do roboty, jak figlo<sup>75</sup>.

wać z nimi?

I mówi jaśnie panienska, że poszli sobie na dobre z okrętu?

Widziała, że traci tylkoczas, chcąc dowiedzieć się czegoś odniego.

Kiedy dochodziła do pokładu schodkami, zobaczyła czekającego tam na nią Filipa.

Wystarczyło im spojrzeć na siebie, byodgadnąć, że coś się stało,takmieli oboje twarze zatroskane.

Czy słyszałeś coś?

zapytała.

Jakiś marynarz mówi, że widział twoich braci i Mary Cameron, jak każde z nich zosobna wracało do miasta, na chwileprzed wyruszeniem statku.

O Boże!

Aczemuż nie powiedział nam.

o tym?

Myślał, że to za naszą wiedzą.

Widząc zajeżdżającą karetętwoich rodziców, był pewny, że przyjeżdża po nich.

A ty, od kogosię dowiedziałaś?

Ztegolistu wyciągnęła list Szolta z kieszeni i podałam.

Ci chłopcyzasłużyli, żeby ich oćwiczyć rzekłFilip, przeczytawszy list.

Boże!

Żeby przynajmniej nie brali ze sobą Mary!

Jakże tomatce powiedzieć teraz?

biadoliła Adelina .

Źle robiłaś, zachęcając do tej przyjaźni, Adelino .

Widzisz, w jakie tarapaty wpadliśmy teraz!

Adelina schwyciła się poręczy i dwie duże łzy stoczyły się pojej policzkach.

Wiem otym teraz, kiedy już zapóźno!

powiedziała drżącym głosem.

Lecz już za chwilę porwała się!

Musimy zawrócić po nich!

Poniosękoszty z własnej kieszeni!

To niemożliwe, wiesz przecież.

Cóż te kilka godzin dłużej czy krócej znaczą takich okolicznościach!

Słuchaj Adelino , odwołuję się do twojego rozsądku.

Jeżeli przypuszczasz, że tych troje nicponiów czeka wporcie, wyglądając, czy rychło się ich przyłapie, to możesz zrobić, jak mówisz.

Ale oni przecież nie chcą wrócić naten okręt.

Nie mażadnychwątpliwości, że w tej chwili są już daleko, nadrodze w przeciwnym kierunku.

No i co ja mam robić?

jęknęła.

Musisz iść do pani Camerona powiedzieć, co zrobiła jej córka.

Zresztą to jej wina.

Gdyby dziewczyna była należycie chowana, nie śniłoby jej się robić coś podobnego.

76

Filip, mój drogi, czynie zechciałbyś ty zanieść jej tę wiadomość?

Filip oniemiał na tę propozycję.

Ależ ja nie mogę, absolutnie!

musisz to zrobić.

wyrzekł wreszcie.

- bo nawypadek.



Ty  
To przynajmniej chodź ze mnąwała.  
ur  
Na wypadek czego?  
zapytał ostrożnie.  
Będzie strasznie załamana prawdopodobnie zemdleje.  
Będę w pobliżu; wrazie czego będziesz mniemogła zawołać, ale nie chcę, by mnie  
widziała.  
To już wystarczy.  
A możemyabyśmy napisać do niej tak jak Szolto napisał do mnie.  
Jak myślisz?  
Boże!  
Gdybym tych chłopców dostał w ręce!  
Dobrze, napisz do niej.  
Jeśli wolisz powiadom ją tą drogą.  
A może, może ty napisałbyś ten list.  
Mam wrażenie, że przyjmie to lepiej od ciebie niż ode mnie.  
Ja nie jestem mocny w pisaniu listów odrzekł opryskliwie.  
Za twoją rodziną celuje w tym i wziął ją pod ramię.  
Chodź do salonu, dam ci się napić kieliszek sherry.  
To ci da odwagę.  
wie.  
W pokoiku, nazywanym pompatycznie .  
salonem", Adelina popijała małymi łykami sherry i z rozpaczą w sercu myślała o tym, co  
czeka ją za chwilę.  
Raz wykrzykiwała z pasją: "O ciędnicy!  
" to znów: "Ta nieszczęsna matka!  
"lub "Lepiej byłoby, gdyby okręt poszedł na dno z nami wszystkimi!  
". Lecz w rezultacie sherry zrobiło jej dobrze i ostatecznie zerwała się, wołając:  
Zrobięto zaraz i będę miała całą historię z sobą!  
No widzisz!  
Jaką potrafisz być grzeczną dziewczynką!  
Lecz Adelina nachmurzyła się gniewnie.  
Tylko proszę daj mi spokój z "dobrymi dziewczynkami"!  
Prawdę powiedziawszy, to ty powinieneś powiadomić panią Cameron.  
Jesteś mężczyzną, a zbroił tutaj twój rodzony szwagier.  
Adelino nie mogę!  
Lecz odprowadził ją do drzwi kabiny pani Cameron.  
Trzęsła się na całym ciele, kiedy pukał do nich.  
Kto tam?  
usłyszała głos z wewnątrz.  
Pani Cameron mam coś do powiedzenia pani.  
Proszę, niech pani wejdzie.  
77.

Zastała panią Cameron układającą rzeczy.  
Miała ciąglejesczeminę urażoną.  
Ale było w niej coś wzruszającego.  
Była drobna, niesłychanie schludna w wyglądzie i można było od razu widzieć, że przeszła wiele w życiu.  
Adelina odezwała się łagodnie:  
Przed chwilą powiedziała pani, że przypuszcza, iż Mary zawieruszyła się gdzieś z moimi braćmi.  
Miał pani rację: Mary jest z nimi.  
Pani Cameron patrzyła na nią bez słowa.  
Poszła z nimi ciągnąć dalej Adelina poszła całkiem zokrętu uciekła do naszego domu.  
Czy pani oszalała!  
zawołała pani Cameron.  
Cóż to za brednie opowiada mi pani?  
Mówię prawdę.  
Opuścili okręt wszyscy troje.  
Mary razem z moimi braćmi, ale są w drodze do naszego domu.  
Żadne niebezpieczeństwo Mary niegrozi.  
Pani Cameron zbladła śmiertelnie.  
Podniosła rękę do gardła i zapytała:  
Kto pani powiedział o tym?  
Szolto zostawił list do mnie.  
Poza tym jeden z marynarzy, który ich widział wysiadających, powiedział o tym memu mężowi.  
proszę pokazać mi ten list!  
wykrztusiła pani Cameron chrapliwie.  
Adelina podała go jej.  
Pani Cameron wpiła się weń oczyma, jakby chciała wydrzeć skreślone słowa z papieru.  
Wreszcie zatoczyła się nieprzytomnie.  
Lecz opanowała się zaraz.  
Stała wściekła przed Adelina rękami podparła się pod boki i krzyknęła:  
To pani wina!  
Wszystko to z pani winy!  
Pani zachęcała ich, pani nalegała tak, że pozwoliłam wreszcie Mary włączyć się z tym zepsutym chłopakiem!  
Och!  
W tej chwili uprzytomniła sobie nagle wszystko, co może zająć w danej sytuacji i głos jej stał się przeraźliwym wrzaskiem: Co on zrobił z nią!  
Taka była jak jagnię niewinna!  
Tak czysta jak śnieg!  
Nie trzeba było wstępować na ten przeklęty okręt!  
Och!  
Czyż żadnej rady nie ma?  
Gdzie jest kapitan?  
Odepchnęła Adelinę, wymknęła się rękami Filipa, który chciał ją zatrzymać na korytarzu i pomknęła w górę schodkami na pokład.  
Przepierzenia kabin były tak cienkie, że wybuch jej wywołał ogólną konsternację.  
Ludzie biegli zewsząd; niektórzy myśleli, że nowa klęska zagraża okrętowi.

Adelina i Filip podążali za panią Cameron, przybici świadomością tego, co w rzeczywistości zaszło.

78

Co się stało?

Cosię stało?

pytał kapitan, zaniepokojony widokiem pani Cameron.

Ta zaczęła krzyczeć histerycznie, czepiając się jego ramienia:

Ocal ją!

Ocalmoją córkę!

Gdzież ona jest?

pytała kapitan swym tubalnym głosem.

Tam!

i ręką wskazywała w kierunku lądu.

Uciekła z statku z tymi okropnymi chłopcami i tymi Irlandczykami!

Każdy może zaświadczyć, że była czysta jak śnieg!

O Boże!

lcóż ja zrobię?

Co to wszystko znaczy?

zapytał kapitan Filipa.

Dziewczyna rzeczywiście uciekła z moim młodszym szwagrem, osiemnastoletnim chłopcem odpowiedział Filip cierpko.

Lecz z listu, który zostawili, wynika, że mają zamiar udać się wprost do domu jego ojca.

Drogi kapitanie wmieszała się Adelina gdyby pan zechciał zawrócić po nich, z ochotą pokryję koszty.

Na niekorzyść kapitana wypada tu zaznaczyć, że odniósł się on z większym współczuciem do Adeliny niż do pani Cameron, której jękliwy toni przygnębiający wygląd był w istocie mało pociągający.

Czy pan myśli, że ten młody człowiek ożeni się z jej córką?

zapytał po cichu kapitan Filipa.

Jestem przekonany, że zamierza to uczynić odparł Filip, wkładając w ton tego oświadczenia więcej pewności, niż czuł jej rzeczywistości.

Spokojnie!

Spokojnie!

Może nie jest tak źle, jak pani wyobraża sobie pocieszał kapitan panią Cameron.

Zwracając się zaś do Adeliny rzekł: Proszę spojrzeć za siebie, pani Whiteoak.

Statek płynął cały czas jak na skrzydłach!

Musi pani to zrozumieć, że jest niepodobieństwem dla nas zawrócić po tych młodychbiegów!

Wszystko to jest jej wina!

wykrzykiwała pani Cameron.

Ona jest tak samo zepsuta jak jej brat!

Niepotrzeba nam kobiet tego rodzaju w naszym pięknym, młodym kraju!

One są złe!

Tu pani Cameron wpadła w histeryczny atak.

Ztrudem tylko udało się kapitanowi, z pomocą posługacza, zaprowadzić ją do kabiny, którejnie opuściła już aż do końca podróży.

Na szczęście dla niej przy odjeździe z Galway wsiadło na statek dwoje nowych pasażerów, z którymi zaprzyjaźniła się.

Było to małżeństwo pochodzące z Nowej-Fundlandii.

Mąż był zatrudniony w handlu rybnym.

bami; towarzystwo żony, osoby głęboko religijnej, było wielką pociechą dla pani Cameron.

Reszta pasażerów pierwszej klasy, a przede wszystkim pasażerowie drugiej klasy zdecydowali, że należy uważać ucieczkę młodych ludzi za młodzieńczy wybryk, pełen romantycznego wdzięku panią Cameron zaś za tyrańską matkę.

Conway Court był ulubieńcem wszystkich nastatku i wszyscy byli teraz zdania, że tanieladna dziewczynawygrałalos na loterii, uważanobowiemogólnie za rzecz przesądzoną, że Conway ożenisię z nią.

Wiatr był pomyślny, okręt szybko sunął naprzód.

Ubywałocoraz więcej sztuk bydłana statku.

Jakaś uboga kobietaz Liverpoolu urodziła dziecko w warunkach urągających najelementarniejszej wygodzie i dyskrecji.

W "salonie"kapitan Whiteoak , panowie d'Arcy i Brent oraz Wilmott grywalikażdego wieczora wbezika, popijając francuski koniak z maleńkich, zielonychkieliszków, które napelniano z oplecionej łykiem butelki.

Rozpostarłszywdzięcznie fałdy szerokiej swej sukni, Adelina zasiadła obok nich.

Z brodą opartą na dłoni wodziła kolejno oczyma po twarzachgrających.

Potem pewnej nocydzarzyła się rzecz okropna.

James Wilmott wstał właśnie,by postawić przed Adelina kieliszek koniaku,bo wyglądała blado i była zmęczona owego wieczoru, kiedy nagleadał się słyszeć odgłos stapaniapo schodach, prowadzących z międzypokładzia i groźny pomruk głosów.

Adelina zerwała sięnawpół z krzesła, czterej mężczyźni zwrócili głowy ku drzwiom "salonu"; ujrzeli, że drzwiamitymi wtargnął tłum wzburzonych, dzikowylądających mężczyzn.

Byli uzbrojeni w laski, kije, w jakąktóry z nich mógł pochwycićbroń.

Białka ich oczu połyskiwały wświetle kołyszącej się usufitu lampy.

Jeden z nich podniósł włochate ramię, wskazującna Wilmotta.

To ten!

krzyknął.

Z groźnym pomrukiem towarzysze jego ruszyli, jak jeden mąż,ku Wilmottowi,który spoglądał nanich chłodno.

Nie rozumiem, o cowam chodzi rzekł.

Ty jesteś Tomasz d'Arcy dziedzic i wielmożny pan?

Nie, nazywam sięWilmott.

Ja jestem Tomasz d'Arcy oświadczyłd'Arcy i uśmiechnął się lekko.

Tak to on ten łajdak!

Tenkrwiożerczy łotr!

To bydłębez serca!

80

I napierali nań, wykrzykując przekleństwa,powiększej części niezrozumiałe, bo wdialekcie irlandzkim.

O cóż to właściwie chodzi?

krzyknął Filip zrywając się istanął naprzeciw tłumowi w całej swej sile iokazałości.

Prowodyrnapiastników wysunął się naprzód i krzyknął:

Niech pan się usunie!

Mamy sprawę ztym nędznikiem,d'Arcym.

Nie zostawimy muani jednej kości całej w ciele, chpćbypiekło stanęło nam na drodze, rozprawimy się z nim!

Niewyrządziłem krzywdy żadnemu zwas wyrzekłd'Arcy pogardliwie, choć policzki jegopoblady.

Nie wyrządziłeś, he?

A nie wyrugowałeś to zmieszkania starych rodziców Toma Mulligana?  
I to wzięcie, w nocy, na mrozi ciemności!  
A przecież zalegały tylko trzy miesiące z czynszem za tę walącą się szopę, którą domem nazywali!

Czy nie umarł jęgodobny staruszek ojciec zimna i wilgoci, a matka serce zezgryzoty!  
O, tu jest sam Tom; on ci pierwszy głowę rozwali!

Na te słowa oderwał się od tłumu krępy mężczyzna i wywijając długimi ramionami, zamierzył się pałką pana d'Arcy'ego krzycząc groźnie:  
Masz, ty podły morderco!  
I byłby mu rozwalił czaszkę potężnym ciosem.

Lecz, na szczęście.  
d'Arcy porwał krzesło i zasłonił się nim.  
W jednej chwili Adelina stała się świadkiem straszliwej sceny.  
Filip, Brent i Wilmott również porwali krzesła i ramie przy ramieniu stanęli przy panu d'Arcym.

Uciekaj, Adelino!  
krzyknął Filip do żony.  
Uciekaj tamtymi drzwiami!

Lecz zamiast posłuchać, Adelina rzuciła się na wzniesione ramie przywódcy, chwytając rękę, w której dzierżył młot.  
W tej chwili kapitan Bradley i pierwszy oficer ukazali się, zbiegając spiesźnie schodkami.  
Wręku mieli pistolety.

Kto zwas ma ochotę dostać kulę w łeb?  
krzyknął kapitan Bradley.  
Rzucić minaty chmiast te pały!

Jak niespodzianie cichnie nagle powstały szkwał, tak wściekłość tłumu znikła w mgnieniu oka.  
Stali teraz spokojnie odprężeni, jak żagle, z których wiatr ustąpił.  
W milczeniu patrzyli na kapitana.

Ludzie ci zaczęli wyjaśniać d'Arcy'emu myślą, zdaje się, że to ja wyrzuciłem z domu rodziców jednego z nich i byłem przeto przyczyną ich śmierci.  
Nie uczyniłem nigdy nic podobnego!

Budowa Jatny  
81.

Bo zrobił to twój rządcą odparł przywódca napastników.  
To ten krętacz Mac Charty ich wyrzucił, ten łotr i morderca!  
Tyś wtedy siedział na wyścigachw Dublinieczy Liverpoolui nie troszczyłeś się o to, jak się  
obchodzą z twoimi chłopami!  
Wszystko ci było jedno, bylebyś łapy na czynszu położył!

Prawdę mówi!  
poparł go Tom Mulligan.  
A moibiedni starzy życiem to przyplęcili!  
Hańba mu!  
zawołała Adelina .  
Gdybym była wiedziała, powaszej stronie nie po jego walczyłabym!  
Była nieprzytomna z uniesienia; w uszachmiałaświat wiatru łośkot fal.  
Ta brutalna scena poruszyła w niej coś dzikiego.  
Chłopi otoczyli ją kołem.  
Dziękujemy ci pani!  
Niech ci Bóg błogosławi!  
Niechcięższyscy święci w opiece mają!  
Niech dzieci napociechę rosną!  
Dlaczego napadliście namnie właśnie dziś?  
zapytałspokojnie d'Arcy.  
Przecież od wielutygodni podróżujemy razem.  
Bo dziś dopiero odkryliśmy, kim jesteś, ty czarciu!  
I znów tłum poruszył się groźnie.  
Jeszcze trochę, a męstwo Adeliny mogło zostać wystawione na próbę.  
Lecz stanowczy rozkaz, wydany tubalnym głosem kapitana Bradleya zrobił swoje;  
cofnęli się niby wzburzony wałwodny, choć mruczeć nie przestali.  
Filip był zażenowany wrogim wybuchem Adeliny przeciwkapanu d'Arcy'emu.  
Przewidywał, że stosunki między nimi stanąsięraczej niemiłe w ciągu reszty podróży.  
D'Arcy patrzył na nią terazgniewnie, kiedy podniecona jeszcze zajściem, chodziła tam  
izpowrotem po pokoju i deklamowała na temat okrucieństwa dziedziców, nie  
administrujących osobiście majątkiem.  
Opowiadała zzapalem, jak jej ojciec nie opuszczał nigdy majątku i znałosobiciędzieje  
każdego mężczyzny, kobiety czy dziecka, którzy pracowali na jego ziemi.  
Ojciec pani może byćnaprawdę wzorem wszystkich doskonałości, pani Whiteoak  
przerwał jej wreszcie d'Arcy ale niemoże pani kłaść na mój rachunek wszelkich krzywde, które  
dziejąsię w Irlandii!  
Nie macie wsobiemiłości ani do ziemi, ani do ludu odrzekła.  
Sercem nie jesteście z nimi.  
Cóż więc innego możecieprowadzić na kraj, jak nienieszczęście?  
No,co domnie rzekł Brent to sprzedałem, co do akra, całą ziemię, jaką posiadałem w  
Irlandii icieszę się ztego!

82

Byłbym wyszedł na tym lepiej,gdybym zrobił to samo oświadczył d'Arcy.  
Adelina obrzuciła ich spojrzeniem pełnym pogardy.  
Nie macie więc żadnej litości wsercu dla cierpień tych biedaków zawołała.  
Cicho cicho, Adelino wmieszała się Filip.  
Późnojuż zresztą.  
Powinnaś iść spać.

tu zwrócił się do pana d'Arcy'ego: Widzi pan, ona jest zmęczona i rozdrażniona.

Nie tknę głową poduszki tej nocy.

Za dużo widziałam dziś!

Zostanę tu, z panem d'Arcym i panem Brentem, i przedyskutuję z nimi tękwestię, choćby do rana przyszło nam siedzieć!

Przykro mirzekł d'Arcy ale, co do mnie, myślę, że powinienem położyć się trochę.

I mówiąc to podniósł rękę doczoła.

Wtedy spostrzegli, że koło skroni miał zaognionego guza naczole.

Adelina zbliżyła się, by przypatrzeć się obrzmieniu.

Więc jednak trafił pana!

O, jakże mi przykro!

Cała złość jej minęła.

Postarała się o miednicę z gorącą wodą isama obmyła mu stłuczone czoło.

W ten sposób przyjaźń ich naprawiła się.

Lecz nazajutrz rano Adelina poczuła się niedobrze.

Niemiała się opuścić kabiny.

Pogoda była burzliwa.

Dokuczały jej nudności.

Kiedy później Filip wszedł do kabiny, zastał ją siedzącą na skrajukoi, pobladłą i tonącą we łzach.

Lecz nie byłonic ławego wejgłosie; drżał on raczej hamowaną złością, kiedy zapytała go:

No, i jak myślisz, co mi się przytrafiło?

Czy jest ci gorzej?

Ojej i jak jeszcze!

Wpatrzyła się posepnie w kołyszącą się podłogę kabiny.

Po chwili utkwiała pełnewyrzutu spojrzeniem mężui rzekła: Jest mi gorzej, a będzie jeszcze daleko gorzej, nim się pozbędę tego.

Będę miała znowu dziecko!

O, Boże!

krzyknął Filip i kieliszek sherry, który przyniósł dla.

niej, wypadł mu z ręki.

O, cóż za gapa z ciebie!

I pomyśleć, że on rzuca o ziemię kieliszkiem na tę wiadomość!

To mi raczej należałoby ciskać w pasji rzeczami po kabinie!

Nie rzuciłem kieliszkiem.

Wypadł mi z ręki.

To niema znaczenia, zważywszy chwilę, jaką przeżywamy.

83.

A tak byłabym się napiła tego sherry!

Czy jesteś pewna?

Że napiłabym się sherry?

Żebędziesz miaładziecko.

Chciałabymbyć tak pewna, że ten okręt zawiezie nas doportu, jak tego!

Na Boga!

Żebyś przynajmniej była poczekała z tym, aż zagospodarujemy się w Quebecu!  
wyrwało się nieopatrznie Filipowi.

Na te słowa blada dotąd twarz Adeliny spłonęła gniewem.

To ja mogępowiedzieć, żebyś ty był poczekał!

rzuciłaz pasją.

Ale nie!

Aniby ci to do głowy nie przyszło!

Milordmyślitylko o swojej przyjemności, a potem: dziej się, cochce!

Alepoczekać miałamja!

Dobrze, że Bóg w mądrościswojej dał kobietom cierpliwość i słodycz, inaczej nie zniosłyby  
wszystkiego, comają do wycierpienia przez głupotę i egoizm mężczyzn!

Tak,masz rację, oboje mogliśmy poczekać, nimposzliśmy dooltarza!

O, moja droga, byłaś ostrożna:nie pokazałaś mi się nigdyw jednym z twoich napadów  
furii, zanim ożeniłem się ztobą!

A ty czy dałaś mi kiedy taki powód do furii, zanimwyszłam za ciebie?

powiedziała patrząc mu w oczy.

Filip wybuchnął śmiechem.

Jesteś naprawdę nieoceniona!

rzekłi poszedłprzynieśćjej drugi kieliszek sherry, i

Kiedy wrócił i zobaczył ją skulonajak wpiernwa skraju koi,zawiniętą w dużyszal w  
czerwonepasy izapłatającą bezmyślniejego frędzle, przeszył gogwałtowny ból.

Bo, mimo iż Adelina była słusznego wzrostu i okazałejbudowy, w tej chwili wyglądałajak  
biedne, opuszczone dziecko.

Usiadł obok niej iprzyłożył kieliszek do jej warg.

Jedynypowódzaczął dla którego pragnałem, bytostało się później, jest wzgląd na  
niewygody, najakie będziesz narażona w twoim stanie podczas morskiej podróży.

Wytrzymam jakoś odparła i chwyciwszy jego rękę, uśmiechnęła się wysiłkiem.

Filip dał się jejznów napićłyk wina i po chwili rzekł:

Jeżeli będziechłopiec, nazwiemy go Mikołaj, po moimstryju.

Mnie by się podobało Filip odrzekła.

Nie.

Nie chcę innego Filipa w twoim życiu, prócz mnie.

S4

To ślicznie!

Będzie więc Mikołaj.

Ale nigdy Mik, ani Miki żadnych zdrobnień!

Nigdy!

zgodził się Filip.

Wtej chwili ktoś zapukałdo drzwi.

Była to owa wiecznie zapracowana pokojówka,która przyszła imoznajmić, że ayah dostała  
znowu morskiej choroby i nie jest w stanie zająć się dzieckiem.

Okręt teraztarzał się niby w korycie utworzonym przez falei sam również zdawał się cierpieć,  
bo jegowiązaniawydawałyznaczące trzaski imelancholijne jęki.



Pasażerowie nie mogli zapomnieć "Alannie", jak zawiodła ich w poprzedniej podróży i byli przygotowani na to, iż lada chwila usłyszą, że znowu otworzyła się dziura w jej pudle.

Proszę przynieść tu dziecko polecił Filip.

Pokojówka przyniosła Augustę.

Mała była uśmiechnięta, trzy-łmając muszelkę przy każdym uchu.

Czy mogłaby panienka zająć się dzieckiem?

zapytał Filip pokojówkę.

Żona moja jest chora.

Wynagrodzę to dobrze panience.

Zrobię, co będę mogła, dla tego biedactwa.

Ale ja sama ledwie stoję na nogach.

Połowapasażerów znowu choruje.

Kiedy dziewczyna poszła, Adelina wybuchła:

Nie lubię tej dziewczyny!

Nigdy niemówi inaczej o Augustcie, tylko "to biedactwo".

Jakbyśmy zaniedbywali dziecko, albo źle obchodzili się z nim!

Żeby się swoiła z moją siostrą, tak jak powinna być, mówił Filip, sadzając córkę na kolanach to w tej chwili czułaby się w Anglii jak w niebie, zamiast dodawać nam tujeszcze kłopotu!

Gussie rzuciła muszelką na podłogę i wyciągnęła rączki do łańcuszka od złotego zegarka w kamizelce Filipa.

Ten wyjął olbrzymią, złotą "cebulę" z kieszonki i przyłożył ją doucha małej.

Tykanie zegarka sprawiło Gussie w taki zachwyt, że zaczęła podskakiwać radośnie na jego kolanach.

Burza wzmagała się; trudno było zapomnieć o niej.

Dzień ino nie ustawała walka między nią a statkiem.

Wicher, wzburzone bałwany i ulewa waliły weń, rzucały nim i siekły go nieustannie.

Marynarze wspinali się na wrota wysokość wierzchołków masztów, by ulżyć walce statku z żywiołem.

A okręt parł naprzód i z każdą godziną ubywało przed nim drogi.

O, gdybyż ląd chciał się już ukazać.

Adelina czuła się tak źle, jak nigdy dotąd w życiu.

85.

Ledwie mogła utrzymać się na nogach.

A jednak musiała zwlecsię zposłania i slaniając się przechodzić do kabiny ayah, by dać jej tę odrobinę ulgi, jaką było można jej przynieść.

Musiała bawić Gussie, która z natury już beksa, płakała teraz ciągle.

A kiedydziecko przypadkiembyło cicho i Adelina mogłaby przespać sięnieco, wtedy strzelało nagle coś do głowy papudze i głośnymwrzaskiem zaczynała wyładowywać nieposkromioną swą radość.

Nagle stan ayahstał się zatrważający.

Drobna jej postać skurczyła się jeszcze; twarz jej stała się nieledwie zielona.

Jedynie duże, czarne, płonące oczy, podkute głębokimi cieniami, zdawały się żyć w twarzy.

Spękane gorączką usta chorej paplały nieustannie o odległych, rodzinnych Indiach.

Adelina była w rozpacz, widząc ją taką.

Zebrała ostatnie siły, by pielęgnować ayah.

Podtrzymywała jąw ramionach i co kilka minut ocierała pot z zapadłych policzków swą chusteczką.

Srebrne obręcze nadrobnych, brązowych rękach Hinduskidzwoniły bez ustanku, podczas gdy dłonie poruszały się niespokojnie na piersiach.

Nagle w trzecim dniu strasznej choroby oczyjej rozwarły się szeroko, szeroko.

Spojrzała żałośnie wtwarz Adeliny, jakby chciała ją o coś zapytać.

Czego chcesz, Haneefo?

spytała Adelina.

Zdawała się nie słyszeć jej, lecz zaczęła układać ciężkie, czarne sploty na czole.

Brała pasmo popaśmie i okręcała włosy naokołowychudłych palców, jakby się chciała na święto ustroić w loki.

Adelina ułożyła ją napowrót na poduszkach.

Chwiejąc się nanogach, wysłana korytarz i przerażona zawołała Filipa.

Lecz Filipa nie było w pobliżu, znalazł się natomiast James Wilmott.

Usłyszał ją przybiegł, zaniepokojony.

Proszę przyjść, prędko!

mówiła.

Haneefa umiera!

Wilmott wszedł do ciemnej kabiny, przepełnionej kwaśnym zapachem potu umierającej.

Trzeba zwołać doktora rzekł.

Ale, na domiar ich nieszczęścia, doktor kilka dni temu pośliznął się na pokładzie i zwichnął nogę w biodrze.

Ledwie mógł ruszać się z bólu; lecz przywłókł się, oparty na ramieniu Wilmotta.

Był to młody człowiek, o niedużym lekarskim doświadczeniu, jednakże wystarczyło mu rzucić okiem na ayah, by odgadnąć, co nastąpi niebawem.

Polecił Wilmottowi wyprowadzić Adelinę z kabiny, lecz ta odmówiła stanowczo.

Za chwilę Haneefa już nie żyła.

Śmierć jej spadła jak cios na Adelinę, a pośrednio też na Filipa.

lipa.

Od czasu, jak pobrali się, Haneefa szła z nimi jak wierny cień najpierw jako pokojowa Adeliny, a później jako niania małej Augusty.

Mogli zawsze liczyć na jej przywiązanie i oddanie.

Ponieważ wąż Hinduskani nigdy nie była naprawdę zdrowa, ostatnia jej choroba nie zaniepokoiła ich zbyt.

Nawet żółtaczką, która wywiązała się jako komplikacja przy jej morskiej chorobie, nie wydawała się im szczególnie groźną.

Teraz mieli uczucie, że Haneefa własnowolnie ich opuściła ta Haneefa, której bezwzględne przywiązanie do siebie uważali zapewne absolutny.

Teraz dopiero poznali, jak silną podporą w ich życiu było wątłe ciało Hinduski.

Nawet śmierć ayah nie wpłynęła na żelazny żal i urazę, "jaką czuła pani Cameron do Adeliny .

Pozostawiała zamkniętą w swojej kabine, dopuszczając do siebie jedynie swą nową przyjaciółkę.

Adelina sama ubrała zwłoki Haneefy.

Ustroiła ją w najpiękniejszą jej szatę i złożyła ręce na piersiach.

Po raz ostatni zadźwięczały wtedy srebrne obręcze nawałtych rękach Hinduski.

Poczym Adelina przyniosła do kabiny małą Augustę, by po raz ostatni spojrzeć na swą ayah.

Widok ustrojonej pięknie ayah ucieszył małą tak, że zaśmiała się i wychyliła ku niej ręką matki.

Pocałuj ją rzekła Adelina pocałuj ją na pożegnanie.

Gussie wycisnęła wilgotnymi usteczkami głośnego całusa na

brązowym policzku Haneefy i przyłożyła do jej ucha muszelkę,

którą miała w ręczce.

O Boże!

Boże!

, czemuż odeszła!

jęczała Adelina .

Byłaby oddała wszystko, co posiadała, aby przywrócić Haneefę do życia.

Przesłoniła ją szmakiem cichą twarzą Hinduski i wyszła z kabiny.

Gussie nie obejrzała się nawet na tę, którą była jej niewolnicą.

Przykladała teraz muszelkę do ucha matki i objąwszy ją za szyję, pochyliła się naprzód, by zajrzeć jej w twarz.

Zdziwiło ją niepomiarownie, że Adelina nie tylko nie śmieje się, lecz że łzy ciężko suną po jej policzkach.

Był szary, chłodny dzień, kiedy zebrali się wszyscy na pokładzie, by oddać falom ciało biednej ayah.

Morze tego dnia nie bardzo było wzburzone; jednakowoż fale nie przestawały wzdymać się, podstępne i uparte, wokoło statku.

Na wyszorowanym starannie pokładzie ustawili się rzędem marynarze; oni również wyglądali tego dnia czysto i schludnie, stawiając białe stopy na wilgotnych jeszcze deskach pokładu.

Pasażerowie drugiej klasy zebrali

się tam także, łącznie z całą dzieciarnią.

Kobiety miały chustki na głowach.

Irlandki a te były w znacznej przewadze wśród nich miały już gotowe, na ustach, rytualne zawodzenia nad zmarłą;

lecz powstrzymały się.

Patsy O'Flynn był również na pokładzie w swoim grubym paltocie i w dziwnie wyglądającej, wełnianej czapie na głowie, która zachodziła mu aż na krzaczaste brwi. Przyniósł z sobą zawiniątko.

zawierające najcenniejsze przedmioty, jakie posiadał, i z którymi nie chciał rozłączyć się ani na chwilę; postawił je obok siebie na podłodze pokładu.

Uprosił, by pozwolono mu trzymać na rękach małą Augustę podczas ceremonii.

Mała miała na sobie białą płaszczki koronkową kapuzę.

Patsy był tak dumny z niej i tak przejęty ważnością swej roli jako niańki, że nie mógł skoncentrować myśli na ceremonii pogrzebowej, lecz rzucał zadowolone spojrzenia na towarzyszy podróży, żeby się upewnić, iż zauważyli go.

Dziwnym było widzieć pana d'Arcy'ego.

stojącego twarzą w twarz z ludźmi, których wściekłości był przedmiotem kilka dni przedtem.

Na pozór obie strony, jakby zapomniały o tym, co zaszło.

Adelina stała między Filipem a Wilmottem.

Napięcie nerwów wdało jej siły.

potrzebne na ten dzień, lecz wypieki na policzkach zdradzały, że miała gorączkę i Filip zwracał na nią co chwila pełne niepokojące spojrzenia.

Wilmott stał surowy i nieruchomy jak posąg.

U stóp kapitana leżało ciało Haneefy, zaszyte mocno w żaglowe płótno.

Kapitan głosem czystym i donośnym począł odczytywać modlitwę pogrzebową.

Niesamowitym było widzieć go na pokładzie bez czapki o złotych galonach.

Zaczynał łysieć nieco i kępki jasnoniebieskich włosów, pozostała na czubku głowy. Jeżyła się i opadała z podmuchem wiatru.

Adelina zauważyła, że wśród wszystkich mężczyzn, stojących z odkrytą głową, jeden tylko Patsy zachował czapkę.

Dawała mu znaki, by zdjąć ją z głowy.

Lecz Patsy nieprędko pojął, o co chodzi.

Robił najrozmaitsze komiczne ruchy, usiłując wykonać rozkaz, którego nie rozumiał.

Toprzenosił dziecko z lewego ramienia na prawe, to chował za siebie zawiniątko, leżące u jego nóg, to znów starał się przybrać okolicznościowy, bardziej żałobny wyraz twarzy.

Potem nagle pojął, czego od niego chcą i szeroki uśmiechem spiesznie zdarł czapkę z głowy.

Stał teraz ze swą mierzwią czupryną w wietrze.

Kapitan Bradley.

odczytawszy poważnym głosem modlitwy zmarłych, zakończył je stosownymi do okoliczności słowami:

Tak więc powierzamy ciało Twoje głębini, żeby tam uległo zepsuciu, oczekując na zmartwychwstanie ciała, na życiowe zasprawę Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

Ten, kiedy przyjdzie.

Boską swą mocą, która wszystko może uczynić podległym sobie, zmieni nasze nędzne powieki tak, iż staną się podobne do Jego uwielbionego Ciała.

Marynarze poruszyli się; liny, na których miano spuścić ciało, napięły się.

Dźwignięto je z pokładu, potem ponad reling, apóźniej powoli, łagodnym ruchem, z jakąś majestatyczną powagą spuśczone je i zanurzone w morzu.

Adelinie, którą wychylna poza reling, zegnała ostatnim spojrzeniem wierną służbę, wydało się, że tałe rozstały się, by przyjąć zwłoki w swe łono, a potem bezszelestnie zasunęły się ponad nimi i ogarnęły je, zakrywając przed oczyma patrzących.

Świeży podmuch wiatru wydał żagle, które przywitały go gromkim trzaskiem, i okręt rażno ruszył naprzód.

Jakby przyspieszyć chciał dobiec do celu i dosyć miał tych ciągłych opóźnień w podróży.

Objęta bezpiecznie silnymi ramionami Patsy'ego, Gussie patrzyła i widziała, jak ciało Haneefy zniknęło w falach.

Wtedy zwróciła twarzyczkę ku niemu i, patrząc mu w oczy, powiedziała głośno: Po-szła!

A niech cię Bóg ma w swej opiece, dziecko!

zawołał Patsy.

I, zwracając się do tych, co stał blisko, dodał: Ona rozumie wszystko!

Taką ci ma mądra głowę i tak powiedzieć umie, że zbijez nóg człowieka!

Teraz z piersi obecnych wzniósł się hymn: "Ojcze odwieczny!

Wszemogący Zbawco nasz.

którego dłonie kochają fale.

Śpiewali wszyscy; dźwięk własnego głosu, sama możliwość przeżeniapierśi tym śpiewem, jakoteż tchnące ufnością słowa hymnu napełniały ich pociechą.

Mizernie szczątki doczesne cichej i pokornej Hinduski, których widok przed chwilą jeszcze przytłaczał ich dusze majestatem śmierci i przejmował serca żalobą, zostały daleko, za nimi ludzie poczuli odprężenie.

Pasażerowie drugiej klasy powrócili do zwykłego dla nich zaduchu w międzypokładziu, a Gussie przeszła z ramion Patsy'ego w ramiona matki.

Dopiero teraz poczuła Adelina, jak była wyczerpana.

Zaniósładziecko do osłoniętego odwiatru kąta na pokładzie; tam usadziła małą, dając jej woreczek z muszelkami do zabawy, a sucharek w

rączkę do jedzenia.

Wilmott usiadł obok małej Augusty z fajką w zębach i numerem "Quarterly Review" w ręku. Stanowili niezwykłą parę; ale istniało między nimi coś w rodzaju cichego zrozumienia. Pozostawiając ich tak, Adelina poszła do kabiny i wyciągnęła się na posłaniu.

Dnie, które nastąpiły teraz, pozostawiły Filipowi wspomnienie złej nocy sennej.

Adelina zapadła na gorączkę, która po kilku godzinach przeszła w nieustanną, maligną. Rozprawiała głośno, gwałtownie i bezładnie.

Raz zdawało się jej, że jest w Indiach, to znów, że jest młodą dziewczyną w County Meath lub, że w Kanadzie żyje w trwodze przed dzikimi Indianami.

Czasem trzeba było całej siły fizycznej Filipa, by utrzymać ją w koi.

Młody lekarz okrętowy, choć cierpiący jeszcze srodze z powodu zwichniętej nogi, nie odstępował prawie chwilę chorej.

Bona nauczyła się siadać na wezgielcu jej posłania i rzecz zgoła nieoczekiwana, kiedy mającena Adeliny przybierały formę najgwałtowniejszą, krzyki papugi działały na nią kojąco.

Bona, przechyliwszy na bok głowę, przysłuchiwała się najpierw uważnie i z wielkim zainteresowaniem jej bełkotaniu; potem, kiedy bełkot chorej stawał się coraz głośniejszy, zaczynał wydawać z siebie przeraźliwe wrzaski, jak gdyby chciał pokazać, że potrafi przekrzyczeć ją.

Wstrętnym było dla Filipa, iż nie mogło być mowy o tym, by czuć się jak u siebie w własnej kabinie.

Przepierzenia były tak cienkie, że sąsiedzi, 7.

konieczności, słyszeli wszystko, co się u nich działo.

Pani Cameron była podobno również chora.

Co było pewne, to fakt, że nie pospieszyla im z pomocą, ani nawet nie okazała tego ochoty.

Ona i para Nowofundlandczyków tworzyli ściśle zamknięte kółko na statku.

Pokojówka, o ile mogła, zabierała do siebie Augustę.

Lecz było wielu chorych na statku i ci odrywali ją ciagle.

Wtedy Wilmott brał Gussie na ręcei śpiewając jej.

nosila godzinami po pokładzie.

Ale czasem zdarzało się, że piastowanie Gussie spadało na kark Filipowi; na darmo wysilał wtedy cały swój dowcip, aby poradzić sobie z zawiłymi kwestiami żywienia i ubierania małej.

Często zostawiano ją samą sobie w kabinie, w której zmarła Hinduska.

Pokojówka zaopatrywała ją wtedy w blaszany talerz i łyżkę stołową, i tymi to przedmiotami Gussie starała się ożywić monotonię długich, samotnych godzin.

Przypinano ją silnymi agrafkami do pościeli w koi, aby kołysanie statku nie rzuciło jej na podłogę.

W stosunku do Filipa okazywała zainteresowanie, niepozbawione jednak nieufności.

Kiedy coś robił

90

koło niej, patrzyła na niego z wyrozumiałą pobłażliwością, jak by myślała: "O ile lepiej zrobiłaby to Haneeta!

Trzeciego dnia Adelina przestała majaczyć.

Niedawno jeszcze bełkotała w malignie, a kiedy uciszył ją swoim wrzaskiem Bona, leżała przez chwilę spokojnie, wodząc ogromnymi, żalnymi oczyma wokoło.

Wreszcie odezwała się normalnym głosem:

Męczy mnie krzyk tego ptaka!

Filip pochylił się nad nią troskliwie.

Czy mam go wynieść stąd?

Nie, nie.  
Ale daj mufigę, to się uspokoi.  
Figi są w blaszanym pudełku w szafie.  
Patrzyła na niego, gdy posłusznie szukał fig, apotem zaśmiała się cicho: Jak ty śmiesznie wyglądasz!  
Tak, jakbyś się od wielu dni nie golił!  
Bo też nie goliłem się.  
Czy byłem bardzo chora?  
Dosyć.  
Lecz teraz już mi lepiej.  
Bogudzięk!  
Papuga dreptałaboczką wzdłuż pręta, zbliżając się do podawanej figi.  
Przyjęła ją od niechcenia i zaraz zaczęła wydierać z niej dziobem małe kawałeczki, które wypływała natychmiast, lecz dzięki tej zabawie była cicho.  
Filip usiadł na brzegu posłania żony.  
Adelina ujęła w swe wychudłe, wybladłe dłonie jedną z jej opalonych rąk cichutko głaskała ją.  
Wargi drżały jej tak, że musiała je zagryźć.  
Pomyślała o Haneefie rzekła.  
Nie wolno ci myśleć o przykrych rzeczach odparł całując ją.  
Myśl o tym.  
żebyś wyzdrowiała jak najprędzej.  
Nie powinniśmy byli zabierać jej z Indii.  
Przecież to ona sama chciała jechać z nami.  
Byłaby zroźpaczona, gdybyśmy odmówili jej.  
Tak, wiem.  
Adelinie było naprawdę lepiej.  
Wypiła trochę rosołu i byłaby usnęła, gdyby w kabinie naprzeciwko Augusta nie zaczęła bić łyżką w talerz.  
Ta muzyka podziałała podniecająco na Boney'a zaczęła się drzeć.  
Adelina, rozdrażniona do ostateczności, położyła się na swej nie przewlekanej od dawna poduszce i chwyciwszy się oburącz za włosy, zaczęła jęczać.  
Czy nie może mieć człowiek chwili spokoju i ciszy a tym okręcie!  
zawołała.  
Cóż to za nowy hałas?  
91.

Filip wszedł do Gussie, odebrał jej talerz i łyżkę, a w zamiandał do zabawy talerzyk z muszelkami.

Leczmała rzuciła muszelkina podłogę i uderzyła w posepny ryk.

Filip zadecydował, że chyba zaniesiejądo Wilmottai poprosi,by zabawił ją przez jakąśgodzinke.

Wrócił więc do małej.

Siedziała na podłodze; spod zaciśniętych powiek wyływały duże łzy, zrozwartej w kwadrat buzi dobywał się ryk; wszystko wokoło niejbyło rozrzucone po podłodze, tak daleko, jak na to pozwalała siłajej małych piątek.

Filip podniósł nie bardzo łagodnie dziecko z ziemi, przy czym po wilgoci jejspódniczekskonstatował,żemała potrzebuje gwałtownie przebrania.

Zaklął i zadzwonił napokojówkę.

Czekałnikt się niejawiał.

Nie było rady kapitan Whiteoak zaczął przebierać w stosie pomiętych łachów, któreteraz stanowiły garderobę Gussie, aż znalazł dwie sztuki, którewydały mu się odpowiednie.

Odwróciłmałą,przełożył ją sobieprzez kolano i jakoś udałomu się założyć jejpieluszkę.

Ale stanąłbezradnie wobecbiałej, flanelowejspódniczki, którą prała już pokojówka i która skurczyła się w praniu niemożliwie.

Zmęczona leżeniem wniewygodnej pozycji, z głową spuszczoną wdół, Gussie,która przestała płakać, z chwilą, gdy podjął ją z ziemi, zaczęła musieć wydzierać i, oczywiście, znowu ryczeć.

Filip pomyślał, że prędzej dałby radę dokonać pacyfikacji buntowniczego szczepu górskiego w Indiach, niż uciszyć tę maleńką, rozwrzeszczaną istotkę.

Zobaczy} przy tym,że dolnacześć ciałamałej była zaczerwieniona i odparzona.

Filip zaklął znowu.

I w tej chwili ukłął Gussie agrafką.

Czemużu diabła nazywająte szpilki "szpilkami bezpieczeństwa"!

Na widok krwitryskającejz ranki pot rześisty występował Filipowi na czoło.

To nieumyślnie!

Klnę się na Boga nie chciałem!

wyjąkał.

Ale Gussie nie wierzyła mu.

Kiedy ją usadził z powrotemprosto nas\wych kolanach, zrobiła z buzi "sanki" i zamilkła, wpatrzona weń ogromnymi oczyma.

"Co też on zrobizemną teraz?"

" pytałyjejnięprzytomne ze strachuoczy.

To, co Filip zrobił teraz z córką, było aktem rozpaczy; poniósłją wzdłuż korytarza, potem zszedł znią na dół schodkami dowspólnej kabiny pasażerów drugiej klasy i tam nie położył, alerzucił małą na podolek owej szkockiej niewiasty, matki pięciorgadzieci, polecając jej, by zajęła się dzieckiem, jak umie najlepiej.

Okazało się,że najkorzystniej na tym wyszła Gussie.

ZacnaSzkotka pielęgnowała jąumiejętnie i zczułością, zaniedbującna92

wet po trochuz lego powodupiątkę własnychtęgich urwisów.

Filipplącił jej zresztą za to sowicie.

Jakby nie dość było jesczew ciągu tej podróży niepowodzeń,"Alanna" o mało nie zderzyła się teraz z lodowcem.

Ponieważniebyła tojeszcze pora wędrówek gór lodowych po morzu, może zamało liczonosięna statku z możliwością tego niebezpieczeństwa.

Jednego ranka o świcie upiorna zjawą, kształtem przypominającaarchitekturę gotyckiej katedry, o niepokalanej bieli,wyłoniła się zmgły namorzu.



Zapewne wskutek niezwyklej o tej porze rokucieploty potworny blok oderwał się od ławicy lodowej.

Mając żyłw oddali, pędzony nurtem Gollsztromu, niby ucieleśnienie zimnej,destruktywnej złości.

A jednak miał kształt gotyckiej świątyni!

Nastatku rozległy się krzyki, nawoływania, przestrogi.

Griggbył właśnie przysterze i przeszedł zaiste sam siebie, by zażegnać niebezpieczeństwo, grożące "Alannie".

Udało musię to ostatecznie, ale byli o włos od zagłady, także w pewnej chwili zimno, wiejące odlodowego potwora, przeniosł pasażerów "Alanny" wsamśrodek mroźnej zimy!

Filip zbiegł spiesznie na dół do kabiny.

Od pięciu dni Adelina była w okresie rekonwalescencji.

Słyszac bieganinę na pokładzie, zaczęła już naciagać na siebie spiesznie suknię, kiedy wszedł Filip.

Czy mamy już wsiadać do łodzi ratunkowych?

zapytał przestraszona.

Nie!

Nic wielkiego.

Ale chodź na pokład zobaczyć lodowiec.

Jest zdumiewający!

Musisz go zobaczyć, Adelino!

Masz już pończochy i trzewiki na nogach; zarzuć tylko płaszcz na koszulę i chodź!

I zaniósł ją prawienapokład.

Lodowiec oddalił się już trochę.

Stracił nieco z swejgrozy, lecz zyskał napięknosci, bowiem słońce, którego skrawek wyłonił się właśnie na horyzoncie, dotknęło promieniami tysięcznych, szlifowanych na kształt brylantu, jego powierzchni i rozpałił w nich siedmiobarwną tęczę blasków.

Wyłaniał się zieleni fal, majestatyczny i zwiewny jak zjawia senna, bezcielesny i złudny jak nadzieja.

Lecz patrzący wiedzieli, że tam.

w głębi wód.

lodowajego podstawa przerasta wielokrotnie ogromem to, co ukazywał z siebie oczarowanym ich oczom.

Kiedy minęli Gollsztrom, nastalo znów zimno i fale piętrzyły się wokół statku.

Gdy "Alanna" nurkowała wśród wodnychwałów, wiatr od lądu napędził na nich śnieg.

Nawałnica śnieżna zaciemniła morze wokoło tak.

że ledwie można było dostrzec najbliższe.

zej rozbijające się fale.

Gdyby wtedy więcej lodowców wałęsało się po morzu, byłiby całkowicie zdani na ich łaskę. Wartownicy, ukryci wysoko w żaglach na masztach, nie widzieli nic, prócz miliardów białych płatków, kłębiących się wokół; smagały do żywego ich skórę, oślepiły oczy i oblepiając ich, zamieniały w śniegowy bałwan.

Było tak zimno, że pianafal zamarzała na bokach statku, tworząc lodowe stalaktyty, niby zęby wyszczerzone w zły muśmiechu.

Pasażerowie pierwszej klasy, z wyjątkiem pani Cameron i jej dwojga towarzyszy, zbierali się w "salonie".

Wszyscy byli niecosmutni wiedząc, że długie ich współzycie i zażyłość dobiegały końca. Lecz obiecywali pisywać do siebie nie zapominając o sobie.

Siedzieli okutani w pledy, żeby się ogrzać.

Filip postarał się, by stopy Adeliny oparte były zawsze o ogrzaną w piecu cegłę.

Mężczyźni ciągnęli małymi łykami gorący grog, lecz dłaniej znalazł się zawsze kieliszek portwajnu.

Otulona w futro i pled, czuła się doskonale.

Miała uczucie, że nie tylko ta wspólna podróż kończy się dla niej, ale że wróciła niedawno z innej podróży, z dalekiej drogi, którą odbyła sama, która zawiodła ją na granicę śmierci.

Kiedy myślała o Haneefie, to jak o kimś dawno już straconym.

D'Arcy i Brent przynieśli swoje przewodniki i mapy; z ożywieniem rozpowiadali o zamierzonych wędrowniach po Kanadzie, szczególnie po Stanach.

Okrągłe okienka "salonu" zdawały się oblepione watą.

Mgła ta tłumiła wszelkie odgłosy na statku.

Tylko napięte liny skrzypiały, smagane wiatrem.

Lecz o zachodzie słońca wydobył się z ławicy mgły i wypłynęli naciemnogranatowe przestrzeń, na której skraju jarzył się ognistą purpurą słoneczny krąg. Na falach kołysały się pióropusze pian, a w lodowych stalaktytach, wiszących u boku statku, zapaliły się ognie, niby w diamentach.

I o cudzie cudów!

W tej chwili właśnie usłyszeli kwilenie mewy i szary cień białego ptaka przesunął się po pokładzie.

Była to pierwsza mewa, ale wnet nadleciały z nią inne, kołując nad okrętem i krzyżąc, jakby mu niosły powitanie z Nowego Świata.

Strzelista fontanna wytrysnęła nagle z morza i zajaśniała w słońcu.

Wieloryb sprawca tego cudu przepłynął bliskowzdłuż statku, zdziwiony rozmiarami tego cudacznego tworu po czym, dając potężnego susa, wyłonił się cały z fal i uniósł namgnienie oka w powietrze, ukazując ociekającą wodą, gładkie, lśniąco jak jedwab, olbrzymie swe cielsko.

Wszyscy wybiegli z kajut

biny na pokład, a potwór wyczyniał dalsze ewolucje w wodzie. jakby się chciał popisać swą siłą i zwinnością przed nimi.

Kapitan Bradley, oparłszy ogorzone dłonie o reling, stał promieniejąc zadowoleniem.

Za kilka dni wylądujemy w Ouebecu mówił.

Ile razy wijamy do portu po takiej podróży, zawsze jestem na nowo zdumiony ogromem dobroci Boga, że nas bezpiecznie przeprowadził.

Kiedy pomyślę o wszystkim, co się zdarzyło, odkąd po raz pierwszy opuściliśmy Irlandię! A oto teraz maluczko, a zobaczymy ziemię przed sobą!

Zapomina pan dodać wtrącił Filipże w dużej mierze zawdzięczamy to również pańskiej znakomitej znajomości żeglugi.

Lecz Opatrzność Boska to grunt nic bez niej!  
odrzekł kapitan.

Nazajutrz ujrzeli ląd.

Umęczeni podróżni drugiej klasy wyległi tłumnie na pokład, by zobaczyć upragnioną ziemię.

Dzień był mroźny, lecz cichy, bez wiatru.

Drobniutkie zmarszczki biegły pogrzbicie długich fal.

Stalaktyty lodowe na bokach statku zaczęły tajać, potem odpadły, kiedy wpłynęli w zatokę św. Wawrzyńca.

Bo wreszcie "Alanna" wtoczyła się w koryto potężnej rzeki.

Zielone brzegi wznosiły się nad nim i przechodziły dalej w ciemne bory.

Gdzieś ukazywały się wioski obiałych domach, skupionych jak pisklęta pod skrzydłami matki wokoło białych kościółków; krzyże świeciły ze szczytów strzelistych ich wież.

W pobliżu wiosek usadowiły się, dla bezpieczeństwa, farmy.

Bydło pasło się nad brzegiem wody; zorane role słały na powitanie podróżnym słodki i mocny zapach ziemi.

Czyż to możliwe, że jeszcze kilkadziesiąt dni temu szalała wokół nich burza śnieżna, że lodowe stalaktyty wisiały u boków statku?

A że to był niedzielny ranek, więc wobec zgromadzonych pasażerów kapitan Bradley odczytał nabożeństwo niedzielne.

Głos jego brzmiał ciągle jeszcze pragnieniem zadośćuczynienia i wdzięcznością względem Stwórcy.

Potem Wilmott zasiadł do fischerharmonii i akompaniował do wtóru śpiewanym hymnom.

Głos pasażerów brzmiał silnie i pewnie, jak gdyby nigdy niezachwiała nimi trwoga.

Wymawiali słowa hymnu z przejęciem:

Wśród rozhułkanej toni

Wśród nocnej cimy

Gięty się nasze wiosła,

Bijąc w biel pian.

95.

Drżeliśmy wszyscy z trwogi,  
Bliski hyl zgon.  
Wtedy rzekł Pan do burzy:  
Zmilknij!

To Ja!  
Zniżtwe spienione waly,  
Odmęciwód.  
Ucisz twe wycie.

, wicherze,  
I przestań dąć!  
Ciemności, ustąp!

Nie dręcz  
Strwożonych serc,  
Bo Imię moje Światłość.  
Wasz Pan ToJa!

Teraz Filip i Adelina zabrali się do pakowania.

Chociaż niejedno zginęło lubzniszczyło się w czasie długiej podróży, z największą tylko trudnością zdołali zacisnąć rzemienie waliz.

A ciąglejszcze wyłaniały się jakieś zapomniane przedmioty i trzeba było zaczynać od nowa pakowanie!

Filip był zły, tym bardziej że niechcąc urazić Adeliny, musiał trzymać na wodzy zły humor. Jakże chętnie byłby wyładował swą irytację, wyrzucając jej brak porządku i ładu!

I zaiste mógł mieć żal do niej, wyciągając najnowszy zeszyt tużurków spod olbrzymiego stosu rzeczy, na które składały się pledy podróżne, cały regiment trzewików Adeliny i jej własny neser!

Kiedy wreszcie mimo że zprzeszkodami ukończyli pakowanie, przypomnieli sobie o kabynie ayah i wszystkim, co w niej było natłoczone i porzrucane.

Boney, wściekły, że wsadzono go do klatki, dał się i miotał w niej, bijąc zielonymi skrzydłami; zezłości rozrzucił pokabinie siemię izwir.

Nerwy Adeliny były już tak rozstrojone, że sama niepoznała swego głosu, kiedy krzyknęła nagle:

Nie mogę już!

A któż żąda od ciebie więcej?

burknął Filipi wchodząc do kabiny ayah dodał: Zrobiłaś aż nadto, jeżeli chodzi o nieład i nieporządek!

Coś ty powiedział?

krzyknęła.

Lecz Filip nie odpowiedzieli wyszedł.

Adelina była jeszcze osłabiona, lecz ani nie potknęła się, ani nie upadła wyczerpana na łóżko ayah, ani nie schwyciła się ręką za serce, kiedy wpadła za nim do kabiny.

Głosem, zduszonym z wściekłości do szeptu, zapytała powtórnie:

Coś ty powiedział?

96

Powiedziałem i mówię: że do wszystkich diabłów!  
nie widziałem w życiu takiego nieładu!

Dobrze mi tak!

Powinienem był wziąć ze sobą służącego mężczyznę z Anglii!

Powiedziałeś, że ten cały nieład i nieporządek to moja wina!

Gadasz głupstwa!

Co z tym zrobić?

zapytałaście, chwytając pełnągarść porzuconych sukienek Gussie.

Czy nielepiej zostawić to tu, a kupićjej nowe sukienki w Quebecu?

Zostawić!

wrzasnęła nieledwie.

Toż to są sukienki znajpiękniejszego irlandzkiego batystu i do tego ręcznie haftowane!

Ani jednejz nich nie zostawię!

Otwórz tę czarną walizę, pewniebędzie w niej miejsce.

Z twarzą czerwonajeszcze od gniewu Filipotworzył walizę.

Adelina zajrzała do niej.

A gdzież ta lalka?

zawołała.

Jaka lalka?

Ta śliczna lalka, którą podarowała Gussie twojasiostra.

Haneefa trzymała ją w tej walizie.

Ale nie ma jej tu.

Musi być!

Poszukaj.

Filip, klęcząc przed otwartą walizą, aż opadł na własne pięty zoburzenia.

Niebieskie jego oczy cisnęły gniewne spojrzeniena żonę.

Na to mi więc przyszło krzyknął żemam szukać lalki, kiedy mamy lądować!

Nie dość, że musiałem pakować pieluchy,teraz każesz mi czołgać się na rękach i kolanach, żeby znaleźć lalkę!

Na Boga, Adelino !

Mniejszao tę lalkę powiedziała prędko, przestraszonywyrazem jego oczu.

Nie szukaj jej.

Musi być w naszej kabinie.

Mimo wszystko pozbierali jakoś swoje rzeczy.

Znalazło sięrównież dwóch posługaczy, którzy przenieśli je przy akompaniamencie krzykówBoneya na pokład i ustawili obok wejściana pomost.

Filip jedną ręką niósł klatkę z papugą, drugą opasałwół Adelinę i podtrzymawał ją.

Czasem myślę, żelepiejnam było nie zabierać ze sobą tegoptaka westchnął Filip,

Zostawgo na statku zawołała jeśli takim ci jest ciężarem!

Możesz kupić sobieinną papugęi poszukać sobie teżinnej żony wQuebecu!

Filip uszczypnął ją w ramię.

- Budowd Jalny

97.

Zachowuj się przyzwoicie!

Ludzie mogą usłyszeć!

Nie dbam o to.

Aleja dbam.

W tej chwili zjawił się obok nich Wilmott.

Jakazskoda, że nie było państwa przed chwilą na pokładzie.

Mieliśmy wspinały widok na miasto.

Czemu nie spakował państwo rzeczy wcześniej?

Czy nie mógłbym pomóc w czymś?

Wobec tego Filip wetknął mu w rękę klatkę z papugą.

Na statku wszczął się zgiełki zamieszanie.

Powietrze pełne było krzyku i wilenia mew.

Olbrzymie, białe żagle statku opadły jak zmęczone skrzydła.

Bosi marynarze uczepli u want, przypatrywali się tłumowi, zebranemu na molo.

Adelina zwróciła się z uśmiechem do Wilmotta:

Co byśmy poczęliby z pana!

rzekła.

Pani wie, że przyjemnością jest dla mnie przysłużyć się pani odparł nieco sztywno, lecz rumieniec przeszedł po jego zapadłych policzkach.

Czuje się pani lepiej, nieprawdaż?

dodał.

Gdyby było inaczej, nie żyłabym już w tej chwili!

Byłoby dobrze, gdyby pani znalazła kogoś, kto mógłby zająć się dzieckiem.

Boże litościwy!

wykrzyknęła Adelina.

Gdzie jest Gussie?

Och, Filip, gdzie jest Gussie?

Ta okropna Szkotka pewnie wysiadła już i uciekła z nią!

Statek nie przybił jeszcze do brzegu odparł spokojnie Filip.

Ta Szkotka to przepocziwe stworzenie i nie potrzebaj jeszcze jednego dziecka, bo mąpięcioro swoich!

Załatwiłem z nią wszystko i zapłaciłem jej.

O, idzie Patsy z Augustą donas.

Spojrzenie, jakim Filip obrzucił swą córkę, było raczej posępne.

Gussie siedziała na ramieniu Patsy'ego, obejmując go za szyję.

Płaszcz na niej był wymięty i poplamiony, twarzyczka i rączki miały dziwny, szarawy odcień.

Można było odgadnąć, że ręcznik, którym wytarto je, wysłużył się już przedtem pracowicie.

Jednakowoż wyglądała stanowczo zdrowiej teraz, niż kiedy Filip przeniósł ją do wspólnej kabiny pasażerów drugiej klasy.

Zobaczywszy Adelinę, poznała ją, lecz przywitała matkę bez zapału.

Kochanie moje zawołała całując ją Adelina i zaraz dodała po cichu: O, Gussie!

Jakże typachniesz nieprzyjemnie!

Boney postanowił opuścić statek w tej samej pozycji, w jakiej wsiadł nań, to znaczy wisząc do góry nogami.

Uczeplony czamy 98

mi szponami u pułapu klatki, wodził oczyma za znajomymi osobami, kręcącymi się wokoło.

Poczuł majowy powiew w powietrzu, które miało zgoła inny posmak niż powietrze pod pokładem, do którego już przywykł.

Nabrał go w dziób, posmakował na języku, nie mogąc zdecydować od razu, czy zmiana ta przypadnie mu do gustu.

Wilmott był słusznego wzrostu i trzymał klatkę wysoko, mógł więc, ponad barami stojących wokoło dostrzec ciemną sylwetkę forticy na tle białych chmur, które zebrały się za nią.

Adelina poczuła dziwne osłabienie, kiedy zrobił pierwszy krok kupomostowi.

Zbladła i zachwiała się.

Zaraz zjawili się przed nią d'Arcy i Brent.

Zrobili z rąk "stołeczek" i ofiarowali się przeniesić ją na ląd.

Adelina spojrzała pytająco na Filipa, czy też pozwoli

Jej?

A to dobra myśl oświadczył.

Bardzo panom dziękuję!

Adelina będzie zachwycona!

Boney, zobaczywszy, że niosą jego panią, krzykiem dał znać, że pochwała również pomysł tych panów.

Uderzyły go pokrzykiwania po francusku bagażowych, zdziwiły zaprzęgnięte w koniepowozy, stojące rzędem z boku przy molo.

Na niektórych podróżnych oczekiwali krewni i znajomi.

Inni nie mieli nikogo, kto by ich witał; stali markotni i onieśmieleni obok kupki swych ba"gaży.

Były między nimi owe dwie irlandzkie dziewczyny, lecz niewyglądały już tak hoźo, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy wsiadała na statek.

Adelina dała im swój adres i kazała przyjść do siebie na jutro.

Kiedy d'Arcy i Brent zesadzili ją ze "stołeczka" na ziemię, ucałowała każdego z nich w policzek.

Brent zawołał wobec tego:

Czy nie trzeba zanieść pani jeszcze gdzie indziej?

Zaiste nie pogniewałbym się, gdyby mi przyszło zanieść panią na szczyt Cytadeli!

dodał d'Arcy.  
Nagle Szkotka wyrwawszy się z gromadki swych piskląt przybiegła złożyć ostatni, pożegnalny pocałunek na usteczkach Gussie.

Moj biedne maleństwo!  
wykrzykiwała.

Lecz własne jej dzieci myśląc, że opuściła je, przybiegły z rykiem zaniać.  
Pozbierała je i przepadła z nimi w tłumie.

O Boże!

Iluż tu księży!

myślała Adelina.

I jak wszystkowi wygląda obco!

Czuła się teraz lepiej poweselała.

Chciałaby jak najprędzej zobaczyć swój nowy dom.

Filip najął powóz dla niej.

Trzej ich przyjaciele zamierzali zamieszkać w hotelu.

Przelotnie zobaczyła panią Cameron, witając się ze znajomymi.

Widziała

99.

zdziwione ich miny i tragiczne gesty, z jakimi pani Cameron odpowiadała na ich pytania. W pewnym momencie zobaczyła, jak ręka matki Mary, obciśniętą czarną rękawiczką, wskazuje znajomym na nią i na Filipa.

Chwilę stała nieporuszona, potem posłała grupie tych ludzi uśmiech.

Lepiej im pokazać, że nic sobie z nich nie robię pomyślała.

Ci ludzie nienawidzą mnie i moich braci;  
niema na to rady.

Filip podsadził ją do powozu i wziął Gussie na kolana.

Koła potoczyły się po kamykach bruku i powóz zaczął wspinać się stromymi uliczkami pod górę.

Nagle Adelina zaczęła się śmiać histerycznie.

Filip z niepokojem spozjrzał na nią.

Przypomniałam sobie, jak pani Cameron popatrzyła na mnie wyjaśniła.

Oczywiście dla niej ucieczka młodej dziewczyny z ukończonym jest rzeczą potworną i przekonana jest, że jakierowałam całą tą sprawą.

Ale powiem ci: moim zdaniem, mała Mary zrobiła bardzo dobrze dla siebie że uciekła!

## VI. Dom przy ulicy św.

Ludwika

Stał przed nimi wysoki, trochę surowy, zdając się patrzeć na nich licznymi oknami swej fasady.

Kołatka uciężkich drzwi wejściowych przedstawiała gębę gotyckiej chimery.

Filip ujął ją silną dłonią i uderzył.

Pukanie echem poniosło się pod dom.

Adelina stała przypatrując się oknom o drobnych szybach, których ramy pomalowane były naczarno i miały wąskie, złożone listewki.

O! zawołałam gębie doskonale wyobrazić sobie, jak wyglądało tu w dawnych czasach: mężczyźni w krótkich, atłasowych spodniach, białe peruki i tak dalej.

Przyjemnie pomyśleć, że to jest nasze!

rzekł Filip.

Zaprawdę!

zgodziła się.

Gussie, siedząca na ramieniu ojca, wychyliła się naprzód i wetknęła paluszki do rozwartej gęby chimery.

Ulica wygląda dziwnie i cudzoziemsko odezwał się Patsy, czekający również obok nich, piastując klatkę z papugą; tobołki swoje ustawił na bruku.

A czy przy tym domu mamy jakiś kawałek gruntu?

Filip nie pogodził się do tej pory z mieszanym się do rozmowy Patsy'ego.

Zmarszczył się i zapukał powtórnie.

Tym razem drzwi otworzyły się.

Niska, tęga kobieta, w czarnej sukni, stała przed nimi.

Wyglądała na Francuzkę, lecz na szczęście mówiła po angielsku.

Oznajmiła, że zgodził ją tu na kucharkę adwokat, który zajmował się interesami nieboszczyka, pana Mikołaja Whiteoaka.

Bez wątpliwości kapitan Whiteoak porozumiał się z nim.

Co do niej, to pragnęłaby gorąco nadać się państwu.

Na imię miała Maria.

Powierzchność jej budziła zaufanie.

Filip kazał Marii zrobić dla Adeliny herbatę.



Gdy weszli, rozglądał się z zadowoleniem po obszernym salonie.  
Maria wydała nagle krzyk zachwyty i rzuciła się ku Gussie.

Ach!

La pauvre petite!  
wykrzyknęła.

101.

Patsy stal dotąd w ciemnym hallu.  
Gussie, onieśmielona, siedziała cichutko na jego ręku.  
Widząc zachwyty Marii, Patsy pokazał olbrzymie zęby w przymilnym uśmiechu, od którego bokobrody jego rozeszły się szeroko.  
Maria od razu wzięła w posiadanie Gussie.

Och!

madame!

Niech mi pani zrobi tę przyjemność i pozwoli nakarmić to dziecko!  
Wygląda biedactwo takie zmęczone i blade!

Adelina z wdzięcznością przystała natę.

Kiedy zostali sami, Filip rzekł po raz drugi:

Przyjemnie pomyśleć, że to należy do nas!

Dom wygląda solidnie zbudowany i będzie w nim dość miejsca na rzeczy, które przywieźliśmy ze sobą.

Adelina rozwarła masywne, na bordo pomalowane okiennice i majowe słońce zalało pokój, który najwidoczniej tylko pobieżnie sprzątnięto i zamieciono na ich przybycie.

Byстрыm spojrzeniem objęła cały pokój.

Zobaczyła czarne, złocone, hebanowe meble i przeładowany ozdobami świecznik, o czterech walcowatych umbrach z czerwonego szkła, zwisający z sufitu na aksamitno-szkarłatnych sznurach.

To jest ohydne!

wykrzyknęła.

Naprawdę myślisz tak?

A ty nie?

No wiesz, nie wszystko mi się tu podoba.

Lecz można by coś z tego zrobić.

Czy taki był gust twojego stryja?

Chyba nie.

Kupił ten dom wraz z meblami tak, jak go widzisz.

Podeszła do niego i zarzuciła muramiona na szyję.

Och!

Filip!

Tak by mnie bawiło przemeblować go całkiem!

Mówię ci, nigdy nie cieszyłam się na myśl o czymś tak bardzo!

Chodź, oglądnijmy cały dom.

Nie, najpierw musisz posilić się trochę.

Pamiętaj o swoim

stanie.

Na litość boską!

Czemu mnie ciągle kłujesz tym w oczy?

Nie mogę kiwnąć palcem, żebyś mizaraz nie wypominał: pamiętaj o swoim stanie!

W tej chwili weszła Maria, niosąc tacę, a na niej czajnik z herbatą i lukrowane ciasteczka.

Twarz jej promieniała w uśmiechu.

Ta pauvre petite jest czarująca!

wykrzyknęła.

102

Zjadła już trzy ciastka i wypila filiżankę cafe au lait.

Kawa jest dla niej o wiele zdrowsza niż herbata.

Cóż to za inteligencja u tego dziecka, jakie savoir faire, jaka jest śliczna!

Tenczłowiek, który ją przyniósł, mówi, że odbyła tę całą podróż aż z Indii i że jej hinduska niańka zmarła na statku.

Ale proszę, niech państwo nie troszczą się: będą jej doglądała lepiej, niż ktokolwiek dotąd!

Przywiązanie Marii do małej Augusty nie stygło, a raczej stawało się z dnia na dzień czulsze.

Kiedy usłyszała, że rodzice myślą o zgodzeniu piastunki, oburzyła się strasznie.

W Ouebecu mówiła nie ma dobrych piastunek.

Ona jedyną była zdolna otoczyć Gussie opieką, jakiej potrzebowała.

Wystarczy, żeby.

państwo na-cjęli jakiegoś chłopca do ciężkiej roboty w domu.

Ona zresztą zna chłopca, który byłby do tego odpowiedni; jest to nawet jej siostrzeniec i jakąś rozgarniętą dziewczynę na pokojówkę.

Jedną z jej siostrzeniec doskonale odpowiadałaby wszelkim wymaganiom w tym względzie.

Co zaś do Patsy'ego, znajdzie się dla niego robota i to niejedną, w tak dużym domu!

Przed wszystkim musichodzić koło kozy, musichodzić czyścić i utrzymywać w należytych porządku ogród.

Koza może siępaść w pobliskim sadzie, który również należy do kapitana Whiteoaka.

Teraz nastały dla Filipa nader przyjemne dni, w ciągu których danym mu było zapoznać się bliżej z rozmiarami spadku, jak i dziedziczył.

Miewał dłuższe konferencje z adwokatem zmarłego stryja, panem Prime.

Strona prawna była w najzupełniejszym porządku.

Nie było najmniejszego powodu do niepokoju w tym względzie.

W towarzystwie dwóch Irlandczyków, panów d'Arcy'ego i Brenta, którzy mieszkali w pobliskim hotelu, i Wilmotta, mieszkającego skromniej w pensjonacie na tej samej ulicy, Filip zwiedzał stare miasto.

Chodzili czasem na górę do Cytadeli, gdzie zostawali na obiedzie u oficerów w forcie.

Ilekcóż była pogoda, Filip wynajmowałna popołudnie powóz i zabierał Adelinę i jednego z panów naprzejażdżkę za miasto.

Krajobraz był uroczy; spóźniona wiosna kanadyjska rozkwitała pełnią zieleni i kwiatów.

Spoglądali z góry na majestatyczną rzekę i wspominali przygody, wspólnie przeżyte w ciągu podróży, która powoli zaczynała przybierać dla nich mglistość sennego widziadła.

Ożywcze powietrze Kanady i doskonała kuchnia Marii wnet przywróciły świeże kolory policzkom Adeliny, a w miejsce osłabienia odżyły dawne jej siły.

Rzeczy z Anglii dojechały w doskonałym stanie.

Usunięto najszpetniejsze meble, pozostałe po stryju Mikołaju, a zamiast nich ustawiono wytworne, chippendalowskie egzemplarze.

Dywany, które przywieźli z Indii, porozkładane na wyfroterowanych posadzkach, robiły wspaniałe wrażenie.

Kryształowy pająk zastąpił żyrandol z czerwonymi umbrami.

Z trudnością przyszłoby teraz stryjowi Mikołajowi poznać swój własny dom!

Często rozmawiali o nim i zastanawiali się, jakim człowiekiem był za życia ten stryj-dobrodziej; lecz bardzo mało znaleźli w domu danych, by móc odtworzyć sobie jego postać i życie.

W całym domu nie było ani jednej jego podobizny; w salonie wisiał tylko portret księcia Kentu, pod dowództwem którego pułkownik Whiteoak przybył do Quebecu.

Adwokat, pan Prime.

mówił o nim jako o mężczyźnie o pięknej powierzchowności, niecoporywczegousposobienia, bardzo gościnnym i znakomicie znającym się na winie.

Lecz nadarmo Filip przeszedł każdy zakątek w piwnicy nie znalazł ani jednej butelki w nagrodę za swój trud.

Był to bardzo dziwne, bo przypuszczać należało, że umierając, stryj musiał zostawić pokaźny zapas dobrego wina w piwnicy.

Również w papierach, pozostałych po nim, znaleźli niezmiernie mało danych, które by zdradziły, jakiego rodzaju był człowiekiem.

Nie pisywał dziennika, ani nienotował wspomnień swych i myśli.

Znalazło się jednak kilka listów, miłosnej treści, od jakiejś Francuzki z Montrealu.

Były one związane kawałkiem tasiemki, a na ostatnim z nich widniały, napisane drobnym, lecz czytelnym piśmem pułkownika, słowa: "Małgorzata umarła 30 stycznia 1840 r.

".

Ponieważ odczytanie listów, pisanych po francusku, przedstawiało trudność tak dla Filipa, jak i Adeliny, niewiele mogli wywnioskować z nich; zrozumieli tylko, że Małgorzata była żoną, że nienawidziła swego męża, że kochała do szaleństwa pułkownika Whiteoaka.

Jakież to szczęście myślał Filip, że nie była wolna i nie mogła poślubić go.

Rzecz prosta, że "wtedy ten piękny majątek byłby dla niego stracony!

Pułkownik Whiteoak zachował również listy od siostry Filipa i dziekana, jej męża. Te ostatnie Filip i Adelina odczytywali z zapałem i pewnego rodzaju melancholią, było bowiem w listach parę wzmianek o nich i o szalonym ich życiu w Indiach.

Nieminęły dwa miesiące, a Filip i Adelina zadomowili się szczęśliwie we francusko-kanadyjskim mieście i znali w nim już wszystkich, z którymi warto było zaznajomić się. Zdrowie Adeli 104

ny poprawiło się znacznie stan jej prawienie kępował uczestnictwa w czynnym życiu, jakie prowadziła.

Była z natury gościnna lubiła przyjmować znajomych i bywać u nich.

Znalazła w Quebecu więcej ciekawych ludzi, niż mogła się spodziewać.

Pisywała długie listy do domu, rozwodząc się w nich nad ożywieniem i wytwornością, cechującymi przyjęcia, wydawane w wykwiśniętym, miejscowym towarzystwie.

Chciała, by ojciec wiedział, że nie żyje w warunkach pierwotnego barbarzyństwa, jak to sobie wyobrażał.

Jako młodziwczynka miała ongiś francuską guwernantkę i choć trudnością czytała po francusku, mówienie szło jej jakoś łatwiej;

teraz zabrała się do pracy, by rozszerzyć swoje francuskie wiadomości.

Dzięki swej żywotności i wesołości potrafiła przyciągnąć do siebie tak francuskie, jak i angielskie miejscowe towarzystwo.

Między nią sąsiadującym z dwóch stron domami wywiązała się wnet zażyła przyjaźń.

Państwo Balestrier, sąsiedzi z lewej strony, byli ludźmi żywego i miłego usposobienia. Obdarzeni byli sześciorgiem dzieci.

Pani Balestrier przypadła do serca Adelinie i obie spędzały wspólnie długie godziny; pani Balestrier powierzała Adelinie najtajniejsze szczegóły i plotki o ludziach w Quebecu. Jeździły razem na spacer, razem chodziły na zakupy.

Obie rodziny urządzały pikniki nad brzegiem rzeki, gdzie krajobraz rozkwitał teraz całą wspaniałością lata.

Jedyną, czarną stroną zażyłości z państwem Balestrier było zachowanie się ich dzieci.

Młodszy bracia Adeliny byli psuciprzematką i Adelina poprzysięgła sobie, że nigdy nie będzie tak ustępliwa dla swych własnych dzieci.

Co zaś do dzieci państwa Balestrier, nie to było najgorsze, że były takie psotne, ale to, że niemożna było ani na chwilę zapomnieć o nich.

Życie rodzinne państwa Balestrier było jedną nieprzerwaną walką między rodzicami i dziećmi.

Te ostatnie nie usłuchały nigdy rodziców bezgwałtownego protestu.

Zachowanie ich względem Whiteoaków było bez zarzutu, lecz do rodziców nie odzywały się inaczej, jak narzekaniem i utyskiwaniem.

Nawet najstarsze z nich, chłopak liczący już czternaście lat, nie wyzbył się jeszcze tego niemiłego przyzwyczajenia.

Sąsiadami z drugiej strony było rodzeństwo de Granville.

Byli to ludzie już starsi, urodzeni we Francji, gdzie rodzice ich zginęli na gilotynie podczas Wielkiej Rewolucji.

Do Kanady wywieźli ich, dziećmi jeszcze, dalecy krewni.

Panna de Granville miała około pięćdziesięciu lat i umiała prowadzić inteligentną rozmowę.

Była pełna życia i życzliwości w obejściu.

Całe lata poświęcała trosce o zdrowie i wygodę brata.

Samabyła prawie niemowlęciem w czasach Wielkiej Rewolucji.

Lecz na starszym od niej panu de Granville krwawe obrazy terroru zrobiły wrażenie tak silne, że nie dały się wymazać z jego pamięci.

Miewał nagle napady nerwowości, które nachodziły go w chwilach najbardziej nieoczekiwanych; na przykład podczas zebrania towarzyskich i przyjęć.

Milknął wtedy, wpatrzony przed siebie, z wyrazem zgrozy w oczach, nie słysząc, ani nie widząc niczego, co dzieje się wokoło, zmrożony obrazem jakiegoś okropnego zdarzenia, którego wspomnienie, choć mgliste, zachował z dzieciennych lat.

W takich wypadkach siostra umiała po mistrzowsku poprowadzić rozmowę w ten sposób, by skupić na sobie uwagę towarzystwa, póki pan de Granville nie odzyskał przytomności.

Wtedy brał zaraz żywy udział w rozmowie i był, jak zawsze, dowcipny, wesoły, czarujący.

Miał piękne, wykuintnersy twarzy, w przeciwieństwie do pospolitości, która cechowała twarz jego siostry.

Adelina nie przyznałaby się nigdy dotego Filipowi, lecz wskrytości serca odczuwała fakt powrotu braci do Irlandii jako ulgę.

Obecność Conwaya i Szolta mogłaby okazać się kłopotliwą w Ouebecu.

Cóż za rozrywki wymyśliliby sobie, nie mając nic do roboty!

Na pewno dochodziłoby do starć z Filipem.

Matka pisała o ich powrocie do domu z Mary Cameron i o awanturze, którą wybuchła w jego następstwie.

Lady Honoria opisywała ją na przestrzeni kilkunastu stron, cytując tyradę, na przemian pełną wściekłości, to znów szyderstwa, którą Renny Court przywitał trójką zbiegów.

Pisała dalej, że nie zdarzyło się jej dotychczas spotkać dziewczyny, tak całkowicie opętanej miłością, jak ta piętnastoletnia Mary.

Miłość czyniła ją głuchą na wszystko.

Było to aż żenujące, zważywszy jej wiek, szczególnie, że Con\ay również był smarkaczem, nieledwie jeszcze w wieku szkolnym.

Nie pozostawało jej nic innego, jak trzymać pilnie straż nad ifłodą parą, chociaż pilnowanie ich teraz po swobodzie, jakiej zażywali na okręcie i potem w Galway, zakrawało raczej na farsę.

I to wszystko musiało się zdarzyć właśnie teraz, zaliła się kiedyś cieszyła się natroszę spokojem!

Ido tego mąż jej jak zawsze!

zwalał całą winę na nią!

Dostał również list od pani Camero.

Ona pisała dalej, w którymś momencie twierdziła, że Adelina wiedziała o wszystkim, co się święci, i w którym żądała, by wsadzono Mary na pierwszy okręt, odchodzący do Montrealu, przydawszy jej odpowiedzialną

106

opiekunkę.

Tak, jakby tej dziewczynie przydała się jeszcze na coś opieka!

Renny Court napisał też krótki, lecz pełen wyrzutów list do

- córki.

Przyjechała więc z tak daleka, bo aż z Indii, po to, by wciągnąć taki kłopot na rodzinę!

Byłoby lepiej pisać dalej, gdyby, zamiast odsyłać rzeczy chłopców, pozostawione na statku, przysłała mu czek nasumę, odpowiadającą ich wartości.

Rzeczy te bowiem nie przydadzą im się nancie w Irlandii, a tam w tym dzikim kraju, przedstawiają niewątpliwie wielką wartość.

O! Ta jego chciwość!  
Toskapstwo!  
wybuchnęła Adelina .  
Byłby w stanie zdjąć miedziaki z powiek umrzyka.  
Odarłbypchłę ze skóry, żeby nie darować jej posagu!  
Na co mogą się przydać achy tych chłopców, nie albo komukolwiek tutaj?  
Niepośle mu ani centa.  
Nie zapomnę, kiedy zerwałam zaręczyny z Edwardem O'Donellem, Edward nie chciał, bym zwróciła mu pierścionek.  
Mówił, że bym zrobiła z nim, co mi się podoba.  
Ojciecbył ,  
-zdania, że byłby towstyd, gdybymnosiła go; dał mi za niegodwładzieścia funtów.  
Dowiedziałam się potem, że sprzedał go czterokrotnie drożej, a kiedy murobiłam wyrzuty o to, powiedział, że potrzebował tych pieniędzy, by zapłacić długiego brata Esmonda.  
A ponieważ Esmonda kochałam najbardziej z rodzeństwa, cóż miałam robić?  
Itakie ma bezczelne bezwstydne oczy!  
Nie potrzebuje nic mówić, wystarczy, że spojrzy na ciebie!  
To prawda zgodził się Filip.  
Jednakowoż myślę posłać mu ten czek, zatrzymać rzeczy chłopców.  
Kufry i walizy są lepszym gatunku, niż te, które widzisz tutaj.  
Broń myśliwską i sprzęt rybacki przydadzą się zawsze.  
A co się tyczy ubrań, przypuszczam, że zawsze znajdzie się ktoś, kogo będzie można uszczęśliwić nimi.  
Następnym razem, jak Adelina otrzymała od lady Honorii, przyniosła świadomość o ślubie młodocianej pary, który się odbył w kaplicy domowej na zamku Killiekeggal.  
Po dojrzałym namyśle wszyscy doszli do przekonania, że Conway musi naprawić krzywdę, jaką wyrządził dziewczynie.  
Mary oświadczyła, że posiada osobisty, wcale pokaźny majątek; powzięto informacje i te potwierdziły ten fakt.  
Tak więc i honorowi dziewczyny, i przezornej ostrożności stało się zadość.  
Mary jest łagodną, miłą dziewczyną i rodzina zaczyna się powoli do niej przywiązywać.  
Wypadałoby kończyć by Adelina i Filip przysłali młodemu jakiś piękny prezent ślubny.

Tymczasem minęło lato.

Upłynęło wartko i przyjemnie tak, jak płyną wody rzeki św.

Wawrzyńca w jej letnim nastroju.

Upał czasem był wielki, lecz dom przy ulicy św.

Ludwika był stosunkowo chłodny.

Jakżeż byłomilo wieczorami przechadzać się po esplanadzie i plotkować ze znajomymi, gdy tam w dole mrugały latarnie dolnego miasta, a światła statków lśniły niby drogie kamienie na piersi rzeki.

Czasem żalosne wspomnienie o biednej ayahnawiedzało Adelinę .

Wyobrażała sobie drobne kości, ogołocone już pewnie ze smagłego ciała, na dnie morza.

Tajemniczezniknięcie lalki Gussie nie zostało nigdy wyjaśnione.

Co zaś do Gussie, to ta niepowtórzyła już słowa "Po-szłaF.

Uczyła się teraz paplać po francusku, a kiedy przemówił kto do niej po angielsku, odwracała głowę z obrażoną miną.

Umiała już teraz dreptać, uczepona ręki Marii i miała rozczulający sposób podnoszenia wysokonóżki za każdym krokiem, jakby pracowicie zabierała się do pokonywania stopni na schodach.

Patsy O'Flynn był teraz jej niewolnikiem.

Przepadała zamocnym zapachem jego fajki i namiętnie lubiła dotknięcie szorstkiej, siwiejącej czupryny.

Podobało się jej, że choćby nie wiedzieć, jak za nią ciągnęła, czupryna nie dawała się wyrwać.

James Wilmott był codziennym gościem w domu przy ulicy św.

Ludwika.

Filip dostarczał mu angielskich gazet, które otrzymywał regularnie.

Godzinami dyskutowali o polityce, na tyle tylko nie zgadzając się w zapatrywaniach, by rozmowy ich nie były całkiem pozbawione "pieprzu".

O ile przypadkiem dyskusja zaogniała się, Wilmott zęgnął się i odchodził, jak gdyby nie ufał sobie, czy nie doprowadzi do kłótni z Filipem.

Cóż to za nudna figura mawiał Filip.

Czasem siedziwie, za co go lubię, ale lubię go naprawdę.

Lubisz go, bo jest inteligentny odpowiadała Adelina .

On ma bardzo dobrze poukładane głowie.

Dziwimnie, że niedoszedł do czegoś więcej w życiu.

Mówił mi, że krucho z nim finansowo i że nie stać go na to, by żyć tu dalej.

Chce kupić kawałek ziemi i uprawiać ją.

A niechby mu się poszczęściło, biedakowi!

Powiem ci, Adelino, że i ja miałbym na to samo ochotę.

Czyż nie jest ci dobrze w Quebecu?

Tak, ale widzisz życie tu bardziej sfrancuziałe, niż spodziewałem się.

I tyle tu zabaw, przyjęci plotek, że właściwie moglibyśmy równie dobrze pozostać w Indiach.

Nie wiem dlaczego,

108

ale czuję jakieś niezadowolenie.

Tu Filip włożył ręce w kieszenie i w zamyśleniu zaczął przechadzać się tam z powrotem popokoju.

A przecież tak dobrze bawisz się u tych oficerów w forcie.

Miałeś kilka cudownych połowów.

Jesienią masz jechać strzelać kaczki i rogacze.



Filip zmarszczył się i wysunął pogardliwie dolną wargę.  
Strzelać rogacze!  
wykrzyknął.  
Cóż to jest dla człowieka, który polował konno na jelenia!  
Strzelać rogacze to barbarzyństwo!  
No to nie jedź narogacze.  
W oczach Filipa, kiedy spojrzał na nią, błysnęło rozdrażnienie.  
Przecież ja powinienem coś robić nie rozumiesz?  
Człowiek nie może siedzieć cały dzień i kręcić młynka na brzuchu!  
Adelina właśnie zajęta była szyciem sukienki dla dziecka, które miało się narodzić.  
Była ona z pięknej, białej flaneli i miała wyhaftowany szlaczek z kiści winogronowych na tle zielonych liści, wzdłuż wyciętego wązkiego obrąbka u dołu.  
Bo Adelina celowała w robotach ręcznych i nie leniła się nigdy, jeżeli chodziło o upiększenie roboty.  
Przeciwnie utrzymywała, że nie warto zadawać sobie trudu szycia rzeczy prostych i nie ozdobionych niczym.  
Teraz igła Adeliny zawisała w powietrzu, a ona sama uważnie przypatrzyła się mężowi, po czym zauważyła:  
Wiesz, co jest z tobą?  
Jest ci za dobrze!  
Gdybyś był chory i czuł się tak marnie jak ja, byłbyś szczęśliwy, że możesz siedzieć cicho.  
Nie jesteś wcale chora odparł.  
A czułabyś się lepiej, gdybyś nie ścisnęła się tak niebnie gorsetem!  
Chciałbyś się pokazywać ze mną między ludźmi, podobną do kopy siana?  
Założyłbym się, że matka twoja nie ścisnęła się tak, kiedy spodziewała się przybytku w rodzinie.  
A właśnie, że tak!  
Nikt nigdy nie wiedział, kiedy miała mieć dziecko!  
Nic więc dziwnego, że pochowała ich czworo.  
Adelina rzuciła o ziemię sukienkę w winogronowe wieńce i skoczyła na równe nogi.  
Wyglądała wspaniale!  
W tej chwili Maria wprowadziła do salonu Wilmotta.  
Obrzucił  
Adelinę zachwyconym spojrzeniem, skłonił się przed nią ująwszy jej rękę, ucałował ją.  
109.

Słowo dając wykrzyknął Filip trancuzieje pan na całej linii!

Francuskiemaniery odpowiadajętemu pokojowi ipani Whiteoak również odparł, nie zażenowany tym zgoła.

Wilmott.

Francuskie maniery!  
wycodził pogardliwie Filip.  
Sentymentalne i pajacowate!

Pajacowate!  
powtórzył Wilmott, oblewając sięrumieńcem.

Tak rzucił Filip nadaśany.  
Wilmott zaśmiał się i spojrziała Adelina .  
A mnie się podobająświadczyła.

Maniery nie mogą być nigdy zanadto wytworne dla mnie.

Co kraj, to obyczaj rzekł Filip.  
Co do mnie, jestemzadowolony z tych, którepanują w Anglii.

Jest o wiele przyjemniej mówiła dalej Adelina kiedycię pocałują wrękę.  
niż kiedy ścisną ci ją tak.  
że wszystkie pierścionki wbijają ci się w palce, jak to czyni pan Brent naprzykład imasz ochotę krzyknąć z bólu.

Podniosła z ziemi robótkę i usiadła z nią z powrotem.  
Wilmott zajął krzesło w kącie.

Filip odsunąłczerwoneokiennice i otworzywszy okno wyrzwał na ulicę.  
Ukazał się na niej wózekmleczarza, zaprzęgnięty w osiołka.

Mosiężne bańki świeciły w słońcu.  
Sześć zakonnicprzeszło tuż pod oknem.

Czarne habity falowały, a surowe twarze zdawały się wyrzeźbione w wosku.  
W jesieni Filip pojechałnakaczki i wrócił bardzo ożywiony i wesoly.

Polowanie udało się znakomicie i pogoda była piękna.  
Rzeka św.

Wawrzyńca, o tej porze hiacyntowo-niebieska, sunęłamiędzyswym i wspaniałymi brzegami,  
które ostreprzymrozki październikowe ustroiły w barwne kolory.

Adelina czuła się nadzwyczaj dobrze, w porównaniu do tego, jak czuła się przed  
urodzeniemGussie.

Chodziła na przechadzki, jeździła powozem naspacer, bywała na przyjęciach  
sama przyjmowała u siebie.

Przyjaźń między nią a Wilmottem zacieśniała się.  
Wilmott miał ładny, barytonowy głos i sam sobie akomponował na fortepianie.  
Czasem śpiewali razem; mając oparcie w jego głosie.

Adelinie udawało się śpiewać czysto.  
Śpiewali ulubioną jej piosenkę i arie z "Cygańskiej dziewczyny".  
Oparta o fortepian, patrząc mu w oczy, Adelina, śpiewając razem z nim „Czasami śnię, że  
mieszkam w marmurowych salach” lub "Będziesz więc pamiętał mnie", zastanawiała się,  
jaka mogła być przeszłość tego człowieka.

Był zawsze

110

powściągliwy w tym względzie.

Często wspominał o konieczności szukania jakiejś pracy dla siebie, lecz nic nie robił, by ją  
znaleźć.

Wyprowadził się z pensjonatu, gdzie mieszkał dotąd, i znalazł inny.

tańszy.

Filip i Adelina podejrzewali, że posiłki, jakie jadał, były za skąpe; mimo to Wilmott odnosił się nieledwie że z pogardą do jedzenia, jeśli kiedy zasiadł do obfitych posiłków, jakie u nich podawano.

Mówił coraz częściej o zamiarze kupienia kawałkami.

Ostre zimno, wichury i śniegi, jakie nastały nagle w listopadzie, były dla nich przykrą niespodzianką.

Jeśli listopad wyglądał tak, to co będzie w zimie? myśleli.

Filip kupił Adelinie piękny płaszcz z selskinu, mieniący się bogatymi odcieniami, od złocistego brązu po ciemnobrunatny.

Dobrano do niego duży zarękawek, a francuska modniarka zrobiła toczek z tego samego futra.

Filip oświadczył, że nie widział jej nigdy piękniejszą.

Brązowe tło selskinowego futra podkreślało świetnie jej włosy, oczy i nadawało większej jeszcze żywości czerwonym ustom.

Dla siebie zaś Filip zamówił płaszcz podbity wydrą, z takimże kołnierzem.

Najjasne włosy nakładał z fantazją, trochę nabakier, skrojoną w kliny czapę, również z wydry.

Widząc go tak ubranego po raz pierwszy, Adelina nie mogła się powstrzymać, by niewyraźnie głośno zachwytu.

Filip, wyglądasz cudnie!

zawołała i ucałowała go w obapoliczki.

Jeszcze jeden zwyczaj francuski, którego nabrała.

Oboje zaś byli dumni z wyglądu Gussie.

Teraz stąpała już pewnie w obszytych futerkiem maleńkich bucikach, dumna z futerka z białego baranka, z takiegoż zarękawka i z aksamitnej kapuzy bleu de roi.

Maria sadzała ją w śnieżnobiałych saneczkach, ozakrzywionych w górkońcach płóz, i z dumą wozila po stromych.

śliskich uliczkach.

A kiedy stawała, by odpocząć, gaworzyły po francusku.

Jeden tylko Wilmott nie zaopatrzył się odpowiednio, by ochronić się przed zimnem.

Utrzymywał, że musi być bardzo ostrożny ze swą gotówką.

Mówił zresztą, że nie jest wrażliwy na zimno, choć wyglądał na wpół zmarzłego, kiedy mu otwierano drzwi u Whiteoaków, i zaraz szedł prosto do kominka ogrzać się.

Przynosił czasem gazetę wychodzącą w Ontario i czytał im ogłoszenia osprzedaży gruntów w tej prowincji, o stosunkach politycznych w niej i życiu towarzyskim.

111.

Filip zamówił najlepszego miejscowego doktora do porodu

Adeliny ; ale ta umyślnie, jak mu sięzdawało pospieszyła się o całe dwa tygodnie przed spodziewanym terminem.

Zamówiony doktor wyjechałsaniamidowsi, odległej o dwadzieścia milw dół rzeki,by asystować przy innym porodzie, kiedy u Adeliny zaczęły się bóle.

Siedziaławłaśniez Filipem w salonie i grała znimw warcaby.

Było to przed wieczorem, firanki naoknach byłyzaciągnięte i ogień paliłsię w kominku.

Boney siedzącna swoimpřecie, prowadził sam ze sobą cichą rozmowę po hindusku.

Wydałpiers, szyję wciągnął wramiona i na przemian to zaciskałszponyjednej łapy na přecie, to roztwierał je.

niby nerwowe palceuręki.

Nagle Adelina wydała krzyk ichwyciła się ręką za bok.

Boli!

zawołała.

Strasznie boli!

Zwinęła się we dwoje, opadła na stolik,rozrzucając wokołoczarne i białe krążki.

Filip zerwał się.

Przyniosę cikoniaku!

rzekł i poszedł spieszenie do jadalni, skąd zarazpowrócił, niosąc nalany kieliszek.

Adelina trzymała się ciągle za bok, leczuspokoila się nieco.

Lepiej ci?

zapytał Filip.

Tak.

Ale daj mi koniaku!

i poczęłaćić drobnymi łykami z kieliszka.

Musiałaś zjeść coś niestrawnegomówił, patrząc na nią zniepokojem.

Tak.

to te orzechy.

Nie powinnam jeść brazylijskichorzechów i dalejłykała po trosze koniak.

Chodź, połóżsię na kanapie.

, Pomógł jej wstać.

Postąpiła krok i znów krzyknęła.

Boney odpowiedział jej również krzykiem,spoglądając naniapytająco.

O Boże!

jęknął Filip.

Poślijpo doktora prędko!

Prędko!

Prędko!

zawołała.

Dziecko już w drodze!

To niemożliwe!

Doktor zresztą wyjechał.

To poślij po innego!

Wyrwała mu się z rąk, pobiegła dokanapy i rzuciła się na nią, trzymając się oburącz za boki.

SprowadźdoktoraBerty Balestrier!

Zawołaj Marię!

W pół godziny późniejsi, korpulentny, francuski doktor,zczarnymi, szpiczastymi wąsikami, wszedł do jasno oświetlonej sypialni, dokądMaria zaprowadziła słaniającą się Adelinę .

Filip,

112

pełen niepokoju, chodził nerwowo tam i zpowrotem po hallu opiętro niżej.

I nimminęła godzina.

Whiteoak omurodził się syn.

Szybkość, z jaką odbyło się wszystko, w porównaniu doprzyjścia naświat Gussie, i łatwość, z jaką wróciła po tym przejściu do zdrowia, wydawały się Adelinie cudem.

Była przekonana.

że zawdzięcza to doktorowi St.

Charlesowi, śpiewała hymnypochwalne najego cześć przed każdym, kto przychodził odwiedzającą.

Nawet zdrowy i silnywygląd dziecka przypisywała jegozasłudze.

I, mimo że Filipowi nie bardzo podobał się ten pomysł,do wybranegojuż imienia dla syna dodała imię St.

Charles.

Achoć BożeNarodzenie przypadało dopiero zatrzytygodnie, przydała mu jeszcze imię Noel.

Czuła się prawdziwie szczęśliwa.

Okazało się, że może karmić Mikołaja, czego zabroniono jej przyGussie.

Znalazła dlasyna angielską niańkę, która z arogancją,właściwą jej zawodowi,wzięła dziecko prawie że w wyłączne posiadanie.

Maria jednakże nie chciałaustąpić jej Gussie i takobie te panie utworzyły dwa wrogie obozy w domu.

Angielskianiańka miała tę wyższośnad przeciwniczką, iż wiedziała, że jest Adelinie niezbędna.

Maria zaś wiedziała, że Filip przepada za sufletamii moregami, którymi go raczyła.

Kiedyprzychodziło doostrej wymiany zdań, Maria miała znów tę przewagę nad Angielką,że mogła wylewać z siebie potok słów francuskich,zmieszanych zangielskimi.

Te ostatnie wprawdzie, w miarę, jak rosła jej zapalczywość,stawały się coraz mniej zrozumiałe, lecz Angielka mogłaodpowiadać na nie tylko zabójczym spojrzeniem i gwałtowną gestykulacją.

Niańka wynosiła pod niebiosa pięknoswego pupilka,według niej najpiękniejszego dziecka w Ouebecu.

IstnyJezusekz obrazka!

mówiła.

Maria kwestionowała to podobieństwo a jeśli kto, to ona, jako dobra katoliczka, wiedziała przecież,jakwyglądało Najśłodsze Dzieciątko!

Opowiadała natomiast, jakprzechodnie zatrzymują ją na ulicy, by podziwiać la petite

Augustine w jej białym, barankowym płaszczyku i niebieskiej, aksamitnej kapuzie.

Mikołaj był rzeczywiście pięknym dzieckiem, a wciągu następnychmiesiący stawał się z każdym tygodniem jeszczepiękniejszy.

Cera jego podobna była do mlecznobiałych płatkówkwiatu.

Orzechoweoczy miały złotawe błyski, zdradzając przedwczesną figlarność i żywość.

Nie urodził się łysy, jak to się zdarzau dzieci, lecz ciemnię jego pokrywała warstwa brunatnego puszku,

X Budowa Jalny

113.

który zaczął rosnąć tak prędko w czuprynę, że kiedy Mikołaj liczył pięć miesięcy, niańka mogła zwijać mu nad czołem piękny lok, który stanowił największą chlubę jej życia.

Adelina dopatrywała się w nim uderzające podobieństwo do swej matki; lecz silna budowa dziecka dawała się zapowiadać, że wzięło po Whiteoakach ich wspaniałą, męską postawę.

Filip zaś utrzymywał, że mały jest żywym portretem Adeliny.

Tylko bez jej złotorudych włosów, za co znowu Adelina w skrytości serca dziękowała Bogu. Miała nadzieję, że żadne z jej dzieci nie odziedziczy po niej koloru włosów; uważała bowiem, że rude włosy raczej szpecą, niż zdobią.

I stało się, jak tego pragnęła: dopiero najstarszemu z jej wnuków sędzone było odziedziczyć włosy poniej i to w jeszcze silniejszym stopniu rude.

Chrzest Mikołaja był wielkim zdarzeniem w Quebecu.

Przysłano z Irlandii suknię chrzcielną, w którą na tę ceremonię przybrano niegdyś Adelinę i całe jej rodzeństwo, by ustroić w nią teraz Mikołaja.

Chrzest odbył się w kościele garnizonowym, a po nim Whiteoakowie wydali u siebie przyjęcie.

Wygłoszono podczas niego efektowne, aczkolwiek krótkie mowy i wypito dużo szampana za zdrowie i szczęście Mikołaja Noela St.

Charlesa.

W śródpoście Whiteoakowie wydali większe przyjęcie.

Proszono gości, by wystąpili w strojach z epoki Ludwika XVI.

Pudrowane peruki, muszki, wytworna elegancja kostiumów, zmieniły wszystkich nie do poznania.

Filip i Adelina byli czarujący w roli gospodarzy.

Czulisię w swoim żywiole.

Ściany domu przyulicyśw.

Ludwika rozbrzmiewały echem śmiechów, muzyki i tańca, jaknie zdarzyło im się to od czasów księcia Kentu.

Podczas kolacji, ku ucieście gości, rozbrzmiewał chór sztucznych, śpiewających ptaków, których całą klatkę Filip podarował im na gwiazdkę.

Pan Balestrier wypił trochę za dużo szampana.

Adelina trochę za często tańczyła z Wilmoltem, choć nie było w tym nic naprawdę dziwnego; Wilmott bowiem tańczył znakomicie, akrótkie, atlasowe spodnie i obcisłe, jedwabne pończochy odkryły, jak kształtnie miał w rzeczywistości nogi.

Nieopatrzny był jego strony mówił że wydał tak dużo pieniędzy na kostium, który miał służyć mu na jedną tylko noc, i patrząc z nieco smutnym uśmiechem w jej oczy, dodał, że jest to widomy znak złego wpływu, jaki miała na niego.

Pan de Granville i jego siostra ubranibyli w autentyczne stroje z epoki przedrewolucyjnej, które przywiezione były niegdyś z

114

Francji.

Pan de Granville wyglądał nadzwyczaj wytwornie w stroju swego dziada, choć jak zawsze robił raczej melancholijne wrażenie.

Lecz w miarę, jak ubywało nocy, melancholia jego zaczęła przechodzić w nienaturalną wesołość.

Właśnie tańczył z Adelina kadryla, kiedy nagle zatrzymał się w środku jednej figuryj wpatrzył w partnerkę z wyrazem trwogi.

I Co się stało?

spytała zaniepokojona.

Mamo!

wykrztusił zdławionym głosem.

Mamo!

NieSpuszczaj mnie!

Stał, jak rażony piorunem, a piękna jegotwarz zastygła wmaszkę przerażenia.

Siostra podeszła spiesznie i wyprowadziła gozsalonu.

Dla tych gości, którzy zauważyli ów incydent, był to tylko jeden ze zwykłych atakównerwowych, jakim podlegał biednypan de Granville; lecz siostra dostrzegła wnim coś groźniejszegoinazajutrz posłała po doktora St.

Charlesa.

Doktor niewielemógłzrobić, by opanować gorączkę imalignę, które wywiązały się upana de Granville'aw następstwie zajścia na balu.

Obsesja grozy, której cień legł na całym jego życiu, zaatakowałateraz jegoumysł siłą letniej burzy, która fosforycznym blaskiem błyskawicywydobywana jaw rzeczy, najgłębiej ukryte w cieniu.

Nieszczęsnemuwróciłaterazpamięć wszystkich okropności, które widziałw dzieciństwie tym razem już nie jako mgliste obrazy z przeszłości, lecz z wyrazistością taką, jakby je poprzedniego dnia widział.

Stan ten trwał blisko tydzień; potem gorączka ustąpiła i chorynie pamiętał w ogóle, co się zdarzyło.

Mówił zżalem o tym, że musiał opuścić tak miłe przyjęcieu Whiteoaków i prosił siostrę, żeby dopilnowała, by jego kostium był starannie złożonyi schowana.

Tej samej nocyumarłwe śnie.

Śmierć pana de Granville'a zrobiła na Adelinie bardzo silnewrażenie.

Urodziny izgon, jedno zaraz po drugim, nawiedziływięc dwa sąsiadujacedomy.

Gdyby nie urządziła tej zabawy, biedna panna de Granville nie chodziłaby teraz na mszę, jakbyprzygięta do ziemicieżaremgrubych, czarnych krep i z podkrążonymi sinooczyma.

Adelina nie wychodziła teraz z domu zpowodubronchitu, którego się nabawiła.

Przykremrozy dawały się weznaki.

Zima tego roku byłaostra i naprawdęczas już był, byprzyszła wiosna.

Leczz dnia na dzień byłocoraz zimniej.

Wielkieśnieginie pozwalały przejść przez ulicę; śnieg przywalił dachy domów, a kiedy zebrało się go za wiele, by mógł utrzymaćsię napochyłości, zsuwał się z ogromnym łoskotem na ulicę.

Całymi

dniami ludzie, okutani szalikami i osłonięci nausznikami, odgarniali śnieg, tworząc zeń po obu stronach jezdni wysokie wały, także nie można było dojrzeć idących przeciwnym tropem.

Mleko przywożono w zamrożonych blokach.

Mięso zamarzało.

Pewnego ranka Patsy O'Flynn znalazł na progu sztywne zwłoki zamrożonego psa.

Filip odmroził sobie uszy.

wracając raz zobaczył Forcie.

Termometr opadł do trzydziestu stopni poniżej zera.

Światła w dolnym mieście migły blado, niby małe, z.

imn gwiazdki wśród nocnych.

Słońce, niewidzialne w dzień, kuzach od wioz rozżarzało się wspaniałą purpurą nad rzeką.

Wawrzyńca, skutą lodowym pancernem.

Metaliczny dźwięk dzwonów kościelnych, niby emanacja lutego mrozu, unosił się rankami i wieczorami nad miastem.

W tym suchym, mroźnym powietrzu Adelina mogła słyszeć, jak Maria zamyka bramę, a potem, jak śnieg skrzypi pod jej nogami, kiedy rankiem spieszy na mszę.

Gussie zrobiła małą kapliczkę w kącie kuchni; białe pudełko, nakryte serwetką, a na nim obrazek Najświętszego Serca Pana Jezusa stanowiący ołtarzyk.

przed którym paliła się świeczka w cynowym lichtarzyku.

Gussie przykładała, ilekroć przechodziła przed tą kapliczką.

Czasem klęczała przed nią, żegnając się i poruszając wargami, jakby się modliła.

A przecież miała ledwie dwa lata!

Oczy Marii napęły się łzami na ten widok.

Powiadają, że takie świątobliwe dzieci nie są dla życia na tym świecie.

Niania Mikołaja zaś mówiła zjadliwie do Adeliny :

To dziecko przekabaca się na papistkę, proszę pani!

I totu, nanażych oczach!

Nie ma w tym nic tak daleceżłego.

Matylda odpowiadała Adelina .

Jeśli się małej podoba mieć kapliczkę, nie będę jej sprzeciwiała.

Jeszcze jeden mieszkaniec przybył do domu przy ulicy św.

Ludwika i to taki, który zabierał niemało miejsca!

Był nim Nero, olbrzymi, czarny pies, nowofundlandczyk.

Mimo młodego wieku, odznaczał się niezwykłą grubością oraz władczyimi tendencjami.

Zachowywał się tak, jakby był panem domu, a kożuch na nim był tak gruby, że Nero wahał się

jak ma interpretować lanie, które mu administrowano: miałażby to być kara czy zabawa?

Wracając ze spaceru, nie omieszkał nigdy wytarzać się w śniegu, wszedłszy zaś do domu, otrząsnąć się zeń.

Wytwarzał w ten sposób okazałą zawieję śnieżną: po czym rozkładał się spokojnie na

116

r

najpiękniejszym dywanie, u nóg Filipa, i zabierał się do lizania swych ogromnych, ośnieżonych łap.

Nero zajmował honorowe miejsce w środku pierwszej zbiorowej fotografii rodziny Whiteoaków.

Fotograf posadził Adelinę na krzeselku Louis Quinze, które zresztą bufiastaję spódniczka zakryła całkowicie.



Na kolanach trzymała Mikołaja, na sobie miała selskinowy płaszcz i czapkę, spod której wymykały się w grubych lokach włosy.  
Dziecko na jej kolanach okryte było białymi skórkami króliczymi; spod nich widniały tylko jego bosa nóżka, upiękzone dołeczkami.  
Gussie prawie równie szeroka jak wysoka, w swoim futerku z białego barankastała obok matki.  
Filip w podobnym futerku płaszczu stał dumny obok swej rodziny.  
U ich nóg leżał Nero, tak samo jak reszta rodziny zaopatrzonej znakomicie, nawet na dwudziestostopniowy mróz.  
Grupa siedziała na trawie, przedstawiającym coś w rodzaju greckiego pejzażu; ten jednakże znajdował równowagę w delikatnej zawiei śnieżnej, wśród której siedziała w futra przybrana rodzina.

Filip, Adelina i ich znajomi przypatrywali się z zachwytem tej fotografii.  
Filip kupił powiększające szkło, by móc przez nie lepiej ocenić szczegóły.  
Zamówił dwa tuziny odbitek, z których dwadzieścia trzy opakował starannie i wysłał do znajomych w Anglii, Irlandii i w Indiach, Z wszystkich tych krajów nadeszły niebawem listy, pełne zachwytów, żartów i współczucia w odniesieniu do klimatu w Ouebecu.  
Dwudziesta czwarta odbitka, oprawiona w ramki obite brązowym aksamitem, stała na marmurowym blacie stolika w salonie, razem z alabastrową szkatułką i figurkami z żad, przywiezionymi ze Wschodu.

Zimno było rzeczywiście niezmiernie przykre.  
Nadszedł kwiecień, a zima trzymała jeszcze.  
Wihott powziął stanowczą decyzję udania się do prowincji Ontario Robił, co mógł, by namówić Whiteoaków.  
żeby zrobili to samo.  
Filip miał tam przyjaciela, spensjonowanego, angloindyjskiego pułkownika, który osiadł na urodzajnym wybrzeżu jeziora Ontario.  
Pułkownik Vaughan był starszy od Filipa, z którym poznał się w Indiach, a teraz w Kanadzie odniósł się doń prawie po ojcowsku.  
Nalegał nań, by przeniósł się do prowincji Ontario, gdzie byłiby sąsiadami.  
Zimy tu pisały się łagodne, mamy mało śniegu, a w ciągu urodzajnego lata ziemia niesie obfity plon zboża i owoców.  
Tworzy się tu małe osiedle dobrze myślących, szanowanych rodzin.  
Ty, mój drogi, i

twoja utalentowana pani znajdziecie tu przyjęcie, jakie należy się ludziom o waszej pozycji. Jeśli się zdecydujecie przyjechać tu, dom nasz będzie waszym domem, póki niewybudujecie sobie odpowiedniej rezydencji.

Żona moja z całego serca przyłącza swe zaproszenie do mojego.

Dom nasz jest stosunkowo obszerny, choćyżemy skromnie.

Mam nadzieję, że będziecie czuć się u nas wygodnie.

Przeniesienie się do Kanady podnieciło awanturniczą żyłkę, tkwiącą w naturze Adeliny. Teraz byłaby gotowa jeździć z prowincji do prowincji, jeśli by tego zaszła potrzeba, dopóki nie znalazłaby idealnego miejsca na osiedlenie się.

Zadzierzgnęła wprawdzie wiele przyjaźni w Quebecu, ale przecież mogła przyjeżdżać tu w odwiedziny myślała.

Zdrowie jej jednakże nie poprawiło się w Quebecu tak, jak spodziewano się tego.

Bała się spędzić jeszcze jedną zimę tymolbrzymim, pełnym przeciągów domu.

Śmierć pana de Granville'a dotknęła ją bardzo.

Czuła się, wprawdzie w małym stopniu, ale poniekąd winną jej.

Otulona w żałobne krepy postać panny de Granville przypominała jej otym ciągle.

Lecz bardziej jeszcze niż te względy odgrywało tu rolę pragnienie, by nie stracić Wilmotta jako przyjaciela.

Przyjaźń jego znaczyła dla niej więcej, niż wszystkie znajomości, jakie zawarła w Quebecu.

Gdyby pojechała do prowincji Ontario, znaczyłoby to stracić go.

I zgodziła się na przeniesienie nad jezioro Ontario.

Kiedy już Filip i Wilmott pozyskali Adelinę dla swego planu, zabrali się całym sercem do przygotowań do podróży.

Posiadłość Filipa w Quebecu została sprzedana, jednakże za niższą sumę, niż się spodziewał.

Pakowanie mebli i niezliczone, drobne przygotowania zabrały im masę czasu i energii.

Zaledwie rok upłynął od chwili, kiedy z takim zapalem wzięli się do przerobienia domu przy ulicy św.

Ludwika na siedzibę odpowiadającą ich gustom, a teraz dom stałogołocony ze wszystkiego.

Wrócił mu jego poprzedni, pośpny wygląd.

Krótki ich pobyt nie pozostawił w nim śladu.

Cała rodzina Balestrier oblewała łzami ich wyjazd.

Począwszy od pana Balestriera w dół, płakali wszyscy, a im bliżej końca w kolejności, tym objawy żalu stawały się bardziej niepoahamowane.

tak że kiedy doszło do beniaminka rodziny, mały Lulu ucepil się szyi Adeliny, wydając niesamowite wrzaski i rozdzielając kopniaki wszystkim wokoło.

Żeby go pocieszyć, Adelina podarowała mu małą pękę, która nakręcona, ślicznie tańczyła, aktora malec od

118.

dawna już z chciwością podziwiał.

Łzy od razu zmieniły się w radość.

I tak jak pierwiej żal, jakby fala przeniosła się kolejno najstarszego członka rodziny aż do najmłodszego, tak teraz radość Lulu odbijała się falą w odwrotnym kierunku, aż wreszcie, dosięgnąwszy papy Balestriera, zdołała wywołać uśmiech na jego wargach, kiedy na pożegnanie całował Filipa w oba policzki; zaklinał go przy tym, by wrócił do Quebecu, kiedy Ontario okaże się nie do zamieszkania co, jego zdaniem, miało nastąpić niechybnie.

Meble miały pozostać na składzie w Quebecu, póki nie przyśląpo nie.

Tylko osobiste ich rzeczy i żywy inwentarz w postaci Nera i kózki Maggie miały jechać z państwem i ich dwójkiem służby.

Rozstanie Marii z Gussie było rozdzierające.

Maria płakała tak, że nie widać jej było z opuchnięcia oczu.

Gussie płakała także, choć drugiej strony cieszyła się, że jedzie w podróż z mamą i tatą.

Byłaby chętnie zostawiła w Quebecu Mikołaja, bo jakoś dotądnie obudziły się niejsiostrzane uczucia.

Otaczała zatopredziwnością Nera i Maggie.

Jak przez sen pamiętała coś niecoś z drugiej morskiej podróży i kiedy zobaczyła, że mają znowu płynąć statkiem, zrobiła po dawnemu z buzi "sanki" i chwyciła się mocno spódnicy niańki Matyldy.

Lecz okręt, na który wsiedli, był piękny i jazda nim w górę jasnej rzeki odbyła się w warunkach zupełnej wygody i bezpieczeństwa.

Wylądowali w Lachine, gdzie załadowano ich do ślicznych "bateux", ciągniętych przez śmigła, franko-kanadyjskie trabery.

Gussie była zachwycona; aż krzyknęła z rozkoszy, kiedy Patsy podniósł ją w górę, mówiąc:

Spójrz, jasna panienko, zobaczysz coś pięknego!

Kto są ci panowie?

zapytała Gussie.

kalecząc przy tym angielski język.

Powiedzieli mi, że to gubernator północno-zachodniej prowincji wraca do swojej stolicy.

Takie życie to coś dla mnie!

Spójrz, jakie ma piękne ubranie i na tych Czerwonoskórych, pomalowanych w wojenne kolory, którzy otaczają go czółno.

Całe towarzystwo zatrzymało się, by przyjrzeć się gubernatorowi.

Tłum zebrał się wokoło i podniosły się okrzyki.

Gubernator otaczali oficerowie w mundurach.

Osiem wspianych członków, których załogę tworzyli Indianie, stanowiło jego eskortę.

Brązowe twarze Indian wyglądały dziko, umalowane jak na bitwę; kaftany ich, haftowane jaskrawymi paciorkami, pióra, opadające z ich

kruczych włosów na muskularne ramiona, zachwyciły Adelinę .  
Wuniesieniu jedną ręką chwyciła za ramię Filipa, drugą Wilmotta, między którymi stała.

O! Jakież ja list napiszę do domu!

wołała.

Wszystko to opowiem ojcu w taki sposób, że onimieje ze zdumienia!

Okazała czółna mijały ich, płynąc wolno, z godnością.

Trzytuziny wiosł topodnosiły się, to zanurzały w wodzie, jakby kierowane jednym ramieniem.

Na dziobiekądegoczołna brytyjskaflaga rozwijała w słońcuswoje krzyże.

Wiosłując, Indianie śpiewali potężnymigłosami tęskną, francuską piosenkę:

„A la claire fontaine  
M'en aliant promener  
J'ai trouve l'eau si helle  
Que je m 'y suishaigne  
Il y alongtemps que je t 'aime  
Jamaix je ne l'ouhlierai".

Gussiezaczęła im wtórować, słyszała bowiem często, jak Maria śpiewała tę piosenkę.  
Śpiewała ją teraz dla swojej osobistejprzyjemności, nikt bowiem wśród panującej wrzawy nie słyszał jejgłosiku.

Kanałami i jeziorami, na brzegu których kwitły sady, bystryminurtami rzek, to znów łagodnymiich spadami, raz na łodzi, raz wdyliżansie, upływała przyjemnie podróż rodzinie Whiteoaków.

Turkusowe, wysoko sklepione niebo i słoneczny pejzaż śmiały się do nich obietnicą szczęścia.  
Kraj był tak bogaty, że zdawało się, iż możliwośćosiągnięcia korzyści zeń niebyło końca!  
Jadąc dyliżansem zatrzymywali się w oberżach o malowanych podłogach, gdzie podawanoim francuskie potrawy.

I tak jechali dalej, aż dotarli do okolic, gdzie oberże nie miały już malowanych podłóg, a mocnespirytualialały się w nich strumieniem.

Wszyscy: Filip i Adelina, Gussie, Mikołaj i jegoniańka Matylda, Patsy O'Flynn, Nero, kózka Maggie i Wilmott, który studiował mapę, inieprzestawał boleć nadrozrzutnością, z jaką Filip siał pieniędzmi wokoło wszyscy oni dążyli na zachód, do nowej ojczyzny.

Jednakże Wilmott nie dojechał tak daleko jak rodzina Whiteoaków, lecz zatrzymał się w najbliższej od celu podróży, by zasięgnąć informacji w sprawie kupna dla siebie kawałeczka ziemi w okolicy.

120

## VII. Vaughanlands

Dawid Vaughan nabył odrządu po nader umiarkowanej cenie kilkaset akrów pięknie zalesionej, urodzajnej ziemi i wybudował na niej bardzo wygodny dom.

Skromny, bez żadnych pretensji, posiadał obszerną werandę wzdłuż frontu, na której, o ile pogoda pozwalała, cała rodzina spędzała po większej części dnie.

W domu tym Vaughan mieszkał od trzech lat i uważał za najlepsze w życiu.

Należał on do tych szczęśliwych ludzi, którzy patrząc wstecz na najważniejszą rzecz, jakich dokonali w życiu, mogą powiedzieć sobie, że dokonali ich dobrze, i którzy mogą patrzeć przed siebie, w przyszłość, ze spokojną pewnością, że osiedlili się tam właśnie, gdzie osiąść pragnęli i nie potrzebują liczyć się już z możliwościami zmian miejsca pobytu.

Kochał głęboko i podziwiał swą żonę.

Był dumny ze swego syna.

Najgorętszym życzeniem jego było przyciągnąć ludzi tego samego, co on pokroju do skrawka prowincji, w którym osiadł i z ich pomocą zaprowadzić tam zwyczaje i tradycje angielskie; liczył, że ludzie ci potrafią wpoić w swych potomków wierność i przywiązanie do tych tradycji.

Lecz to nie było wszystko.

Vaughan pragnął owoić szerokim tchem wolności Nowego Świata tradycje, przywiezione ze starej Anglii.

Uważał tę kombinację za idealną, bo łączyła ona w sobie wygodę, tolerancję i bogatą treść życia.

Uważał, że Filip Whiteoak, taki, jakim go znali pamiętał, nadawałby się znakomicie do życia, zorganizowanego na tych zasadach.

Nie znał jego żony, lecz mówiono mu, że jest to osoba o wytwornej powierzchowności, żywa i rozmowna.

Zdawało mu się, że warto czynić wysiłek i namówić ludzi, tak pożądanym dla jego planów, by osiedlili się blisko niego.

Lecz pani Vaughan, na którą miała spaść cała ciężar przeciągającego się pobytu rodziny Whiteoaków w ich domu zapatrywała się mniej entuzjastycznie niż mąż nacał sprawę.

W głębi serca żywiła nadzieję, że Whiteoakowie nie pozostaną u nich tak długo, jak to zaproponował mąż.

Na wszelki wypadek jednak przygoto121.

wała dwie sypialnie jedną dla niańki i dwojga dzieci, drugą dla ich rodziców.  
O tych tylko osobach wiedziała, bowiem w zapaleradosnego oczekiwania na wyjazd, Filip  
zapomniał nadmienić w swym liście o istnieniu Patsy'ego O'Flynna, Nera i kozy.  
Wokolicy najbliższej, nieledwie przed bramą domostwa Vaughanów, była taka obfitość  
zwierzyny i ryb, że wyżywienie gościnie było żadną kwestią.  
Na lato znów poziomki, maliny, a później borówki i ożyny dostarczą owoców.  
Cosię zaś tyczy chleba i masła, nie byłoby lepszych niż te, które robiło się u niej.  
Niechby też próbował ktoś twierdzić, że wyrabia lepsze sery niż ona!  
Nie, tonie kwestia jedzenia wisiała groźbą nad nią, ale myśl ociągłej obecności obcych ludzi  
domu, wkraczających w ich prywatne życie.  
Czuła urażędo męża, że zdawał się nie mieć nic przeciwtemu.  
Co się zaś tyczy Roberta, ich syna, ten był zachwycony tą perspektywą.  
Ale czegoż innego oczekiwać od dziesiętnastoletniego chłopca, któremu czasem życie na wsi  
musiało się wydawać zbyt spokojne?

Był piękny wieczór jednego z pierwszych dni czerwcowych, kiedy Adelina i Filip  
ujrzeli poraz pierwszy krajobraz, nad którym miała płynąć reszta ich życia.  
Dawid Vaughan wysłał ponich do najbliższej stacji dyliżansu powóz, zaprzężony w  
parę silnych siwków oraz lekki wóz folwarczny po rzeczy.  
Konie przyszyły wieczorem i przenocowały w stajni zajazdu.  
Były więc świeże, wypoczęte i pięknie wyczyszczone, kiedy wyruszyły w powrotną drogę do  
domu.

Whiteoakowie również przenocowali w miasteczku i wstali rześcy i świeży.  
Lecz niewybrukowana szosa była mocno wyboista.  
Szczęściem dla nich było już powiosennym wezbraniem wód, bo w tym okresie zdarzało się, że  
całe odcinki drogi bywały zmyte przez powódź.  
W obecnym czasie droga, choć pełna wyboi, była w użyciu.  
Powietrze było rozkosznie świeże, krajobraz uroczy.  
Między drzewami przeblyskiwało od czasu do czasu zwierciadło jeziora, które wydało im się  
wielkie jak morze.  
Rankiem, jak daleko oko sięgało, połyskiwało srebrną łuską drobnych fal, po południu leżało  
ciche, wniebieskawe mgiełce, a o zachodzie gorzało odbiciem ognistych chmur.  
Kuropatwy na polach, agłuszce w lasach, przeżywały właśnie pracowity okres troski o świeżo  
wyklute potomstwo.  
Mniejsze ptaki fruwały ochoczo w żywym powietrzu wiosennym.  
Śpiew ich był słyszeć mimo tętentu kopytkońskich ibrzku uprzęży.

Vaughanowie wyszli na werandę, by ich przywitać.  
Dawid Vaughan i Filip nie widzieli się od czasu małżeństwa tego ostatniego.

Uścisnęli sobie serdecznie dłonie, po czym każdy z nich przedstawił drugiemu swoją żonę, a  
panie przedstawiły się sobie nawzajem.  
Pani Vaughan i Adelina przypatrzyły się sobie z niemalą ciekawością.  
Pani Vaughan postanowiła sobie, że polubi Adelinę; lecz zdjęło ją złe przecucie, kiedy  
spojrzała w jej oczy, choć Adelina rozmyślnie przybrała twarz w słodki, przymilny uśmiech.  
Nie zdaje mi się, abym mogła polubić ją.  
pomyślała Alicja Vaughan.

Lecz jakże piękną cerę i zęby ma ta kobieta!

Adelina zaś ujrzała w Alicji Vaughan przede wszystkim żonę, matkę, gospodynię,  
kobietę, której myśli nie sięgały nigdy dalej niż mąż, dzieci, dom.  
Była to kobieta przystojna, już po czterdziestce.

Przedwcześnie posiwiałe włosy okalały jej twarz, niemalprostokątną, o regularnych rysach idużych, szarych oczach.

Ceremiała jasną, naturalne rumieńce krasily jej policzki.

Miała na sobie czarną, jedwabną suknię, lecz spódnicy jej nie wydymały obręcze krynoliny.

Jedyną ozdobą tego surowego stroju byładużabrosza z kameą.

Na gładko przyczesanych włosach miała maleńkistroikz białej koronki.

Objęła Adelinę badawczym spojrzeniem izawahawszy sięchwileczkę, ujęła obie jej ręce i ucałowała ją.

Witam panią w nowym jej domu rzekła.

Jakżemiłe ze stronypanite słowa!

wykrzyknęła Adelina i ciepło, z jakim oddała pocałunek, zmieszało panią Vaughan.

Bo to ma być dom wasz, żebyściepaństwo pamiętali!

wmieszalsię pułkownik Vaughan póki nie zbudujecie sobiewłasnego!

Tu Dawid Vaughan zwrócił się żywo i z czułością do dzieci.

Gussie wyglądałzmęczona, mimo żetwarzyczkę jejopaliło słońce na nienaturalnie czerwony kolor.

Za toMikołaj, którego trzymała na rękach niańka, wyglądał wspaniale.

Spod białej kapuzyzwiślał mu ciemny lok nad pięknymi, orzechowymi oczyma.

Buziajego wyrażała doskonałe.

samopoczucie, jakimsię cieszył.

O, jakież miłe dzieci!

zawołałapani Vaughan.

Tenmały jest prześliczny!

Czy pani myśli, że zechce mi dać się wziąćna ręce?

O, to jest niesłychanie towarzyska szelma zaśmiał się Filip.

Zjednał sobie masę przyjaciół podczas całej podróży zOuebecu.

Młody Robert Vaughanstał cały czas na boku, przysłuchującsię spokojnie tej wymianie serdeczności.

Był podobnydo ojca,który miał wyglądraczejpoety niż żołnierza.

Robert był smukły,

123.

miął myślące, niebieskie oczy i obfite, piękne, dość długie blondwłosy.  
Pierwsze dziesięć lat życia spędził w Indiach, po czym wysłano go do szkół w Anglii.  
Do Kanady przyjechał po raz pierwszy dopiero rok temu.  
Teraz, w jesieni, miał zapisać się na uniwersytet w Montrealu.  
Nie wgrzył się jeszcze w kanadyjskie życie i nieoswoił dotąd z rodzicami.  
Te dwa przesiedlenia w warunki tak różni i to w tak krótkim czasie miały ten skutek, że chłopak stał się trochę niesamowity; zamknął się w sobie, był nieufny, nie kochał nikogo.  
Wyraz jego oczu był tak chłodny i obojętny, że niedopuszczał do żadnego zbliżenia.  
Był jednak uprzejmy w obejściu, a teraz starał się skwapliwie pomagać matce w zajęciu się gośćmi.  
Ci zaś, odświeżywszy się nieco po podróży, w swoim pokoju, zeszli do ocienionej dzikim winem chłodnej jadalni, gdzie oczekiwali ich państwo Vaughan, i zasiedli do kolacji.  
Nad stołem wisiała gałąź cedru, albowiem mówiono, że muchy, których tak trudno pozbyć się z domu na wsi, nie znoszą jego zapachu.  
Na stole postawiono posiłek: pasztet z jarząbków, wyborną szynkę i salaterkę dużych liści głowiastej sałaty.  
Patrząc na nich, trudno było uwierzyć, że Filip i Adelina mają z sobą tak długą podróż.  
Filip był ubrany ogolony tak starannie, jak gdyby wybierał się na promenadę w potarasy w Quebecu.  
Adelina zaś, chcąc osłonić nieco zmiętą w podróż suknię, zarzuciła na ramiona długą, jedwabną pelerynę w szkocką kratę.  
Na rękach miała czarne, jedwabne mitenki, które podnosiły białoskość jej palców; prócz obrączki nie miała żadnych pierścionków.  
Biżuteria jej leżała bezpiecznie na górze, w podróźnej torbie.  
Włosy, wyszczotkowane starannie i zaczesane gładko, lśniły i uwydatniały kształt jej głowy.  
I jak mitenki podnosiły białoskość jej rąk, tak piękne, czarne brwi i rzęsy dawały blasku jej oczom.  
Obrzuciła stół głodnym spojrzeniem.  
Przyznam się rzekła, że nie zasiadłam do ucziwego posiłku, odkąd opuściłam Ouebec.  
Umieram z głodu!  
Przyjechała pani do krainy mlekiem i miodem płynącej oświadczył Dawid Vaughan i zaraz zagadnął Filipa: Czy lubisz polować?  
Nie ma dla mnie nic nad polowanie odrzekł Filip.  
Toś dobrze trafił!  
Wystarczy wychylić się z domu, aby ustrzelić parę tych ptaków i wskazał na pasztet z jarząbków.  
A jakże przedstawia się turybołówstwo?  
Wierz mi albo nie odparł Vaughan ale ci powiem, że  
124  
łoś morski podpływa przez jezioro aż do naszej rzeki!  
Nie minął jeszcze miesiąc, jak tu, na moich gruntach, złowiłem prawdziwego smoka!  
Słyszysz!  
Słyszysz, Adelino?  
Słyszę.  
W każdym razie nie pomrzemy z głodu w tym kraju.  
Jakże znakomity jest ten pasztet!



unosila się Adelina .

Może pozwolipani sałaty?

pytała pani Vaughan.

Tonaszaduma.

Bo musi pani wiedzieć, że my jednitylkohodujemytu sałatę.

Zaopatrujemyw nią całasiedztwo.

A jakież macie tusasiedztwo?

informował się dalej Filip.

Z tego, co pisałeś, wnoszę, że muszą to być ludzie sympatyczni.

O, samizacni i szanowni ludzie!

Jestem pewny, że polubicie się nawzajem.

Wszyscy są bardzo poruszeni waszym przyjazdem.

Nie wątpię, że zainteresowanie ogólne nie osłabnie, skorodacie się poznać.

i oczy jego zzachwytem spoczęły na Adelinie .

W Quebecu zostawiliśmy dobrych przyjaciół powiedziała.

Dla mnie to zanadto sfrancuziałe miasto rzekł Filip.

Takie samo miałem wrażenie potwierdziłDawid Vaughan.

Dążędo tego, by nadać temumalemu osiedlu czysto brytyjski charakter.

Gdyby to ode mnie zależało, pozwoliłbym osiedlaćsię w Kanadzie tylko Anglikom, Szkotom i Walijczykom.

A Irlandczykom nie?

zapytała Adelina .

Lecz zanimVaughan zdążył odpowiedzieć, Filip wmieszał się:

Przestrzegam cię, Dawid: żona moja ulepionajest z najczystszejirlandzkiej gliny!

Z otwartymi rękami przyjąłbymtu jedną tylko irlandzkąłady odparł szarmancko

Vaughan i uczyniłbym ją królowąnad nami wszystkimi!

O,jak mojemustaremuzebrało się na kwiecistość!

Nie zdobyłbym się na to!

Alewidzę, że to podoba się tej pani myślałRobert, wpatrzony w Adelinę , która uśmiechała się do jego ojca.

Teraz Dawid Vaughan zaczął opowiadaćpo kolei dziejewszytskichznaczniejszych rodzin w sąsiedztwie.

W zapale opowiadania zapomniał o jedzeniu, aż dopiero żona przywołała go doporządku.

Kiedy pokolacji zasiedli na werandzie, gospodarzprzyniósł sporządzonąprzez siebie mapę okolicy i pokazywał naniej gościom bieg rzeczek,drogi i lasy oraz rezydencje rodzin, o

125.

których opowiadał wpięrw.

Tysiącaków bogato zalesionego gruntu, przylegającego do jego posiadłości, było właśnie wystawionych na sprzedaż, radził więc Filipowi, by kupił je.

Upewniał go, że w całej prowincji nie znajdzie tak dobrej sposobności i tak odpowiedniego punktu na osiedlenie się.

Nigdzie nie napotka lepszej ziemi pod uprawę, ani lepszego terenu dopolowania i doujeżdżania konia i to w takiej bliskości od kolegi oraz od miasta.

Nigdzie też nie trafi na gościnniejszych, poczciwszych i lepiej wychowanych ludzi, niż w tej okolicy.

Nie doznają też nigdzie serdeczniej szego przyjęcia, jak w tym zakątku.

Kiedy Filip i Vaughan stali pochyleni nad mapą, zachodzące słońce oblało ich twarze purpurowym blaskiem.

Adelina, w swej barwnej szkockiej pelerynie, siedziała obok pani Vaughan.

Młody Robert, siedząc na balustradzie werandy, na wpół tylko słyszał, oczym mówili panowie, nastawiał za tochciwie ucha, bychwytać głos Adeliny, którego modulacje miały dla niego coś egzotycznego w sobie.

Chłodne jego oczy obejmowały nieśmiałym spojrzeniem linię jej ramion, piękność gładkiej, kasztanowatej głowy, gdy tak siedziała, oparta na poręczy fotela.

Czy też ona w ogóle wie o mojej obecności na werandzie?

myślał.

Zdawałoby się, że nie.

Lecz kiedy rozległ się w powietrzu niesamowity, melancholijny krzyk ptaka whip-pool-will zwróciła się żywo do niego:

Co to za ptak?

Whip-pool-will odrzekł.

Żyją setkami tutaj wokoło.

Nigdy nie słyszałam jeszcze tego ptaka.

Ładne to, ale

smutne.

Ładne, kiedy się go słyszysz pewnej odległości.

Z bliska zanadto jest głośny.

Głos ptaka powracał uparcie.

Potem zamilkł na chwilę; widocznie ptak podleciał bliżej, bo żalosne trzy nutki jego krzyku zabrzmiały teraz wyraźniej, jakby obwieszczała tragiczną jakąś nowinę.

Niebona zachodzie poblądło i zaraz głębokie cienie zmierzchu poczęły spływać z koron potężnych drzew, rosnących wokoło domu, który stał w zagłębieniu terenu.

Gdy się znaleźli w swoim pokoju, Filip zauważył:

Nie popełnię tego błędu, co Vaughan nie zbuduję naszego domu w kotlinie.

Za jakieś pięćdziesiąt lat zieleń zadusi tendom.

Jeśli nie znajdę odpowiedniego wzniesienia, to zbuduję przynajmniej dom na otwartej przestrzeni.

126

Czy jest tu gdzie „otwarta przestrzeń” w tym kraju?

zapytała Adelina, stojąc w otwartym oknie.

Drzewa, drzewa, nie tylko drzewa, wszędzie.

Nie pamiętasz, ile to, jak mówił pułkownik Vaughan, naliczono ich gatunków w Kanadzie?

Zapomniałem.

Ale chciałem powiedzieć, że każę wyrąbać dużą polanę pod naszym domem i wybiorę nań najwyższy punkt na naszych gruntach.

Niepodoba mi się taka duża, łyśa przestrzeń.  
Chciałabym mieć drzewa wokoło domu.  
Lubię mieć park.  
    Obiecuję ci; będziesz miała park, a w nim daniela.  
    O, jak to cudownie!  
A w którejże stronie leżą te nasze posiadłości?  
Czy patrzę w tej chwili nanie?  
    Tak.  
Zdaje mi się przynajmniej.  
    Adelina wciągnęła głęboko powietrze w płuca.  
    I pomyśleć, że oddycham w tej chwili powietrzem z naszego kawałka ziemi!  
Bo tam, naprzeciwko, leży nasza ziemia miejsce, z którego wyrosną fundamenty naszego domu!  
Czy dom nasz będzie z kamienia?  
    To zależy od materiału, jaki dostaniemy.  
Codo mnie, topodoba mi się ładny, głęboki ton cegły.  
To tak ciepło wygląda natle drzew, tak przytulnie i gościnnie.  
    A ja lubię raczej takie białe, drewniane domy, jakie budują wsiach, w Quebecu.  
    To za słabe.  
    Powiadają jednak, że nie.  
    Nie podobają mi się takie domy.  
Więc nie chciałabyś ładnej, ciemnej cegły?  
- .  
    Jeśli nic lepszego się nie znajdzie.  
    A cóż mogłoby być lepszego?  
zapytał ostro.  
    Nie wiem.  
    Więc po co sprzeciwiasz mi się?  
    Nie sprzeciwiam ci się wcale.  
    Przecież mówiłaś, że chciałabyś drewno.  
    Mówiłam, że lubię drewno.  
    Ale nie masz nic przeciw cegle?  
    Nic zupełnie!  
Filip zaczęła, siadając mu na kolanach przez cały dzień nie byliśmy ani chwili sami, we dwoje!  
Nie chce mi się wierzyć, że jesteśmy rzeczywiście tutaj!  
    O, jakże nam tu będzie dobrze, słodka moja!  
mówił,  
    127.

przytulając ją do swej szerokiej piersi.

Będziemy szczęśliwsi, niż byliśmy kiedykolwiek a to już dużo znaczy prawda?

Wyglądasz blado, Adelino .

O, bo jestem zmęczona odrzekła opadając całym ciężarem na niego.

A jednak jestem zanadto podniecona, by móc zasnąć.

Ciało moje mdłe, ale duch ochoczy.

Filip znalazł ustami jej oczy.

Przymknij oczy!

Rozkazujęci: zamknij oczy!

I trzymaj je zamknięte, dopóki nie ucałuję każdego oka dziesięć razy!

Lecz kiedy jeszcze to mówił, podniósł głowę zaczął nasłuchiwać.

Z daleka dochodził turkot wozu, a potem ujadanie psów.

Przyjechali!

wykrzyknął.

Nero i Maggie!

zerwała się Adelina .

A ja zapomniałam powiedzieć o nich Vaughanom!

Mozety powiedziałeś?

A, do kaduka!

Zapomniałem także!

Ale oni wiedzą przecież, że miał nadejść wóz z naszymi rzeczami.

Sprawę psa i kozy wyjaśnię Dawidowi jutro.

Szkoda, że nie zostawiłaś tej przeklętej kozy w Quebecu.

Gussie nie potrzebuje już teraz jej mleka.

Maggie!

Zostawić Maggie!

Przecież ona nosi na szyi ten śliczny dzwoneczek, który moja rodzona matka jej zawiązała!

Toby nam przyniosło nieszczyście!

Cóż to znaczy: jedna biedna, mała koza!

Na pewno znajdzie się dla niej miejsce na tym dużym folwarku.

Turkot kół wozu ustał, za to doszły ich teraz warczenia, wyciaj skowyt psiej bitki.

Ludzie krzyczeli również, by uspokoić walczące kundle.

Psy tutejsze zagryzają Nera!

krzyknęła Adelina .

Leć Filip, leć!

Ocal go!

Prędko!

Nero da sobie sam radę obruszył się Filip; jednakowoż wybiegł spiesźnie.

W hallu paliła się jeszcze mała lampka.

Na dole przed werandą zastał Dawida Vaughana z zapaloną latarnią.

Poszli razem ku stajniom.

Adelina stała woknie, przysłuchując się odgłosom strasznej, psiej walki.

Potem wszystko umilkło.

Zaczęła rozbierać się.

Ale to głębokie milczenie niepokoiło ją.

O, żebyż Filip już wrócił!

myślała.

Lecz obawiała się zarzemu nowiny, jaką mógłby jej przynieść.

Upłynęło trochę czasu, nim Filip zjawiał się z powrotem.

Więc powiedział więcej było hałasu niż rozlewu krwi.  
Ale buldog Vaughana i jego collie dali dobrą nauczkę naszemu Nerowi.  
Marozdarte ucho i pogryzione czoło.

128

O, te bestie!

krzyknęła.

A on, czy nie mógł odpłacić się im?

Wbił zęby w łapę collie, buldog też był skrwawiony, ale myślałem, że była to krew Nera.

Mam nadzieję, że pan Vaughan będzie trzymał swoje psy na uwięzi!

Lepiej nie spodziewaj się tego.

Muszę przyznać, że Vaughan znalazł się bardzo porządnie.

Na razie przeznaczył dla Nera klatkę w stajni.

A co z Maggie?

Zdrowajak rydz!

Pobrzękuje dzwoneczkiem, jak zawsze.

Adelina nagle zaczęła płakać.

Ta historia z psami to była ostatnia kropla dla moich nerwów oświadczyła.

Nie zasnę tej nocy.

Patrz, jak mi serce bije!

Filip przyłożył rękę do jej koszuli, poniżej prawej piersi.

O, Boże!

zawołała.

Przecież serce nie tu!

Filip zaczynał mieć już dość tego wszystkiego.

Wyrwał jej rękę tym razem przytknął do właściwego miejsca.

Nie bije mocniej, niż zazwyczaj oświadczył.

Widzę resztą, że dyszysz umyślnie, żeby przyspieszyć jego bicie.

Chodź, nic ci nie jest, moja droga!

Nie zasnę tej nocy!

upierała się Adelina.

Lecz nim stary, pradziadowy zegar w hallu wybił wpół, Adelina była już w County Meath, ze swymi braćmi choć głowa jej

spoczywała na ramieniu Filipa.

9 Budowa Jalny.

## VIII.

Własny kawałek ziemi

Nie mogło być piękniejszego, czerwcowego poranka!

Zdawalioby się, że ani jedenszczegół nie został pominięty, by pozwolić mu osiągnąć doskonałość.

Ponadłasnami rozpinano kopułę turkusowe, bez jednej chmuryniebo.

Drzewa stały silne, wspaniałe i swobodne, nieciasno skupione, żeby walczyć musiały o każdą piędź ziemi dla swego istnienia; rozsypały daleko korzenie wokoło podstawy, wznosiły dumniekonary ku pysznym koronom.

Wskrośich zieleni słońce łażozłotona ciemną glinę iwyczarowywało wniej kobierce mchu, paproci itakie bogactwo leśnego kwiecica, że niesposób było postawić stopę, by nie zmiażdżyć czegoś bardzomięłego idelikatnego.

Wiatru było właśnie tyle, ile potrzeba, by zakołysać miękko gałęziami iby łagodny cień ciepłosłonecznych promieni mogłykłaść się kolejno natym bogactwie różnorodnej roślinności.

Pędyczkiego wina otulały pieńpotężnego wiązu, który tak wysokowystrzelił pniem, nim rozłożył widlaste ramiona konarów, że śmiało mógł udawać, iżnie wie nic o wątłej roślince, miłośnie tulącej się do jego stóp.

Nieco dalej potężny pniak ściętego olbrzyma stał się królestwem bladego, wątłego powoju, który co godzina otwierał świeżą bielnowego kwiatu.

Miejscami ciągnęły się łaty mchu, o tak misternie wyrobionych, zielonych piórkach, że noga zagłębiała się weń, jak w żyjący plusz.

Dalej jeszcze zimotrwaferośliny połyskiwały niby mata, zaścielając ziemię lśniącazielenią grubych, odpornych na mrózliści.

Gdzieindziej pnący arbustus wysuwał delikatnie wąsy, otwierał woskowe kieliszki kwiatków ispieszyłnaprzód, ciągle naprzód, chciwie obejmując gruntw posiadanie.

Motyle fruwały nie pojedynczo aniparami, aletłumnie, czasemwieszały się u gałązek niby kwiaty i nagle kwiatrzywał się, jakby poruszony jakimś tajemniczym, a przemożnym popędem.

Wzbijały się wtedy wysoko ponad wierzchołki drzew, trzepocząc drobnymi skrzydełkami na tle lazurunieba, by chwilę opaśku ziemi, przyciągniętą samą tajemniczą mocą,

130

która kazała im dążyć ku słońcu i zawisnąć znowu u gałązek jaworu.

Ptaków nie widziało się dużo o tej porze.

Wiodły swoje unormowane, ciche życie wśród bogatej zieleni, od którego nic naświecie nie było w stanie ich odwieść.

Lecz słyszało się je w każdym zakątku lasu; począwszy od krystalicznych tonów podobnego do piszczałki śpiewu dzikiego kanarka i wymyślnych kadencji drozda, aż dogłębokiego, basowego gruchania dzikiego gołębia.

Kiedy przelatywały z gałęzi na gałąź wśród szelestu liści, ukazywały się w ich zieleni to szpiczaste skrzydełko, to znów barwnie upierzone piersi któregoś z mieszkańców lasu.

A dołem, w jamach i norkach krety, jeże, lisy, dzikie króliki hodowały swe młode, w świętym przekonaniu, że spełniają najważniejszą misję we wszechświecie.

Filip i Adelina stali na swoim własnym kawałku ziemi.

Filip niósł przewieszony przez ramię koszyk, zawierający posiłek.

Dwatygodnie minęły od ich przyjazdu.

Przez ten czas obejrzeni posiadłość, poczynili konieczne kroki w urzędach państwowych, zapłacili żadaną kwotę, otrzymali papiery, opatrzone imponującymi, czerwonymi pieczęciami i teraz mogli powiedzieć sobie: "Ten kawałek ziemi jest nasz!"

".

Istnyraj!  
wołała Adelina , obracając głowę na wszystkie strony.  
Istny raj!  
i należy do nas!

Dziś po raz pierwszy przyszli tu sami, bez świadków, przyjrzeć się swemu królestwu.  
Dotąd bowiem zawsze ktoś z rodziny Vaughanów lub urzędowa figura towarzyszyła im w oględzinach.

Trzeba było dyskutować o granicach, to o jakichś finansowych szczegółach.

Ale dziś przyszli tu sami.

Niepotrzebowali bawić rozmową Vaughanów, choć ludzie ci naprawdę byli bardzo mili.  
Mogli zatrzymać się, kiedy chcieli, by nasycić oczy coraz to nowym widokiem, który się przed nimi otwierał.

Mogli, jak niecierpliwe dziecię, puścić się na odkrycia, wołając jedno na drugie:

"Patrz!

Patrz!

". Jakże przeklinała Adelina swą długą spódnicę, wspominając z żalem dziewczęce lata w Irlandii, kiedy to podkasywała śmiało sukienkę i dawała zwawym nogom swobodę ruchów!  
Pewnego razu, kiedy mocowała się z jednym z braci, tenzdarł z niej całą spódnicę i została w samych majteczkach.

Jakaż to była rozkosz!

Skakała wyżej i gonila chężej niż wszystkich łąpey!

Ale przyłapano ją na tym i dostała w skórę.

Dziś ze śmiechem wspomina tę przygodę.

131.

Mogłoby nam się zdawać, że jesteśmy Adamem i Ewą rzekł Filip jedyną parą ludzką na ziemi.

Słowo daję.

ta ziemia jakby wiedziała, że do nas należy!

Patrz, śmieje się do nas!

Filip, aniele stajesz się poetą!

Nie.

tylko czuję.

No, nie mogę wypowiedzieć.

Wiem, że to brzmi śmiesznie.

Wcalenie!

Prawda z ciebie mówi!

Dzisiejszego ranka wszystko tutaj wygląda inaczej niż w pierw.

Będiesz się śmiała.

Z czego?

Przecież nie z tego, że jesteś poetą czy to ciobiecuję!

Wiesz, co ja myślę?

Że to tak, jakbyśmy dostali klucz.

Niesam tylko ten kawałek ziemi, ale klucz do wszystkiego.

Tak, rozumiem.

To tak, jakbyśmy narodziли się na nowo.

O patrz, Adelino!

Doszliśmy do parowu całkiem inną drogą!

Patrz!

Stali ramię przy ramieniu, patrząc w dół w zielony mrok parowu, gdzie strumień, obrośnięty dzikimi irysami, zwał się i krył w zaroślach czeremchy.

Dalej rosły cętkowane, ogniste lilie, wśród nich stała na sztywnych nogach dwie czaple.

Nie mogli zejść prostopadłe po ścianie parowu, tak gęsto był zarośnięty krzewami.

Mogli tylko widzieć, jak poniżej strumień pieniał się i rwała wielkich złomach skalnych, które kiedyś stoczyły się po zielonych brzegach parowu do jego łóżyska.

Dom nasz musi stanąć niedaleko tego parowu zawyrokowała Adelina.

Tak sobie to wyobrażam: wychodzę z domu, idę kszamitnym, zielonym trawnikiem, dochodzę do szerokiej, niskiej bramki, otwieram ją i przed sobą mam ścieżkę, która wiedzie dół na brzeg tego strumienia!

Zbudujemy na nim drewniany mostek ciągnął dalej Filip.

Zdaje mi się, że ścieżka, po tamtej jego stronie, doprowadzinaś prosto do Vaughanlands.

I to mówisz ty, który niby tak dobrze orientujesz się!

zawołała.

Vaughanlands jest właśnie w przeciwnym kierunku.

Filip wyjął małą busolkę, którą nosił przy zegarku.

To ja mam rację!

zawołał z triumfem.

Dom Vaughanów jest na wprost nas, po tamtej stronie.

Postawię most na strumieniu iotrzymamy doskonały skrót!

Ale czy damy radę oczyścić kiedy to miejsce z zarośli?

Jeśli

132

któreś dzieci zaszyje się w niekiedyś, gotowiśmy nie zobaczyć go więcej!



Bardzo to szczęśliwie dla nas mówił Filip że mam tu prawie samotne drzewo; zdaje mi się, że to jest faworyt.

Widzę jawory, dęby, białe jesiony.

Kilka dobrych siekier, a zaparę dni twój las przetrzeźwi się na park!

Chodź!

i Adelina pociągnęła go za rękę.

Wyberzemy miejsce pod dom.

Ja już mam upatrzone miejsce.

Żebym je tylko mógł odnaleźć!

Vaughan pochwalił mój wybór!

To musi być gdzieś tu, niedaleko.

Jest tam coś w rodzaju polany i źródło.

Och!

nic tak nie podoba mi się, jak źródło w lesie!

Zasadzę przynajmniej rzeźuchę i miętę pieprzową, i kozienicę.

To miejsce, o którym myślę, jest też stosunkowo niedaleko drogi.

Musimy mieszkać blisko drogi.

Ach, patrz!

Widzisz, tam!

To szatan wtargnął do naszego raju!

W oddali zobaczyli wysoką postać męską; lecz dopiero kiedy podeszła bliżej, poznali w niej Wilmotta.

Filip odwiedził go w hotelu, kiedy jeździł do miasta dla załatwienia sprawy kupna w urzędach i oznajmił mu, że nabyli tysiąc akrów.

Wilmott obiecał, że przyjedzie, by obejrzeć przyszłą ich siedzibę.

Odrzucił konwencjonalne ubranie miejskie; nosił teraz brązowe spodnie i wysokie buty, miękką koszulę z wykładanym kołnierzem i kapelusz szeroką kryzą.

Był nieco zażenowany i przywitawszy się z nimi, zapytał niepewnie:

Jak najdłużej mnie państwo?

Wygląda pan jak straszny wróbel!

odrzekł Filip.

A ja myślałem, że powinienem ubrać się odpowiednio do życia, jakie będę prowadził zdziwił się Wilmott.

Nie ma pan przecież zamiaru zostać drwalem!

Nie.

Ale będę musiał pracować fizycznie i to ciężko a chcę zaoszczędzić ubrania, które przywiozłem ze sobą.

Nieprędko będę mógł pozwolić sobie na nowe!

A ja panu powiem, że pan wygląda uroczo rzekła Adelina z wyjątkiem faworytów, które są bez sensu i kłócą się z tym strojem.

Wilmott spojrział na nią przenikliwie, a kiedy Filip, idący przodem, oddalił się o kilka kroków, zapytał po cichu:

Czy pani naprawdę nie podobają się moje faworyty?

133.

Tak jest odrzekła, patrząc mu śmiało w oczy.

Dziś wieczór nie będzie po nich śladu.

W jaki sposób znalazł się pan tutaj?

zapytał Filip przezramię.

Nająłem wóz; woźnica zatrzymał konie, żeby zapytać odrogię jakiegoś człowieka, który jechał jednokonną bryczką.

Okazało się, że to był wasz Patsy O'Flynn.

Nie wiem dlaczego, ale wydało mi się nagle tak śmieszne, widzieć najednokonnej bryczcei na takiej kiepskiej drodze tego samego Patsy'ego, którego widywałem w Galway i na okręcie, a potem w Quebecu, że zaczęliśmy śmiać i śmiałem się bez końca.

Dłaniegomusiałem pewnie tak zewyglądać śmiesznie, bo też zanosił się od śmiechu.

Filip i Adelina nie widzieli nigdy Wilmotta tak wesołym.

Uwielbiam swobodę tego kraju mówił z zapalem.

Nie wyobrażajcie sobie państwo, że pozbędziecie się mnie tak łatwo!

Jadąc tu, odkryłem mały, drewniany dom.

Właściciel ma zamiar przenieść się dalej na północ.

Powiada, że chce uciec z tych stron, bo cywilizują się za prędko.

Krótko mówiąc, mam zamiar kupić jego posiadłość to jest drewnianą, z grubych bierwion zbitą chałupę pięćdziesiąt akrów ziemi, która częściowo jest mokradłem.

Leży to wszystko nad brzegiem rzeki i jak mimówił ten człowiek, rzeka ta jest większa od waszej tutaj, moi państwo!

Filip spojrzał nań, nie wiedząc, co otym sądzić.

Po pierwsze, obawiał się, że Wilmott gotów zrobić zły interes, a po drugie chociaż w gruncie rzeczy lubił go myśl, że będzie go miał jakobliskiego sąsiada, nie uśmiechała mu się zbyt.

Było coś niepewnego, coś niejasnego wokół osoby Wilmotta.

Pozatym miał on dziwny sposób przybierania w stosunku do Adeliny szczególnie tonu, jakby zaznaczał, że między nim i nią istnieje jakieś pokrewieństwo duchowe, jakby oboje patrzyli na rzeczy pod tym samym kątem widzenia.

Lecz Filip lubił go i szczerą jego twarz rozjaśniła się zaraz.

Bardzo to pięknie, człowieku!

zawołał, klepiąc go po ramieniu.

Ale przyprowadzę Vaughana, niech obejrzy tę pańską chałupę z bierwion, zanim wyłoży pan gotówkę za nią.

On powie, czy warta jest tego.

Nic mnie nie odwieź od tego kupna odparł Wilmott.

Marzyłem zawsze o takim domu i w takim własnym miejscu.

I o takim mokradle, co?

134

Właściciel mówił mi, że doskonale udaje się na nim cebula.

Cebula!

A cóż pan będzie robił z cebulą?

Sprzedam.

Machnie pan niezłego kozła, jeśli pan będzie budował nadzieję zrobienia pieniędzy na cebuli!

To mokradło jest prawdziwym rajem dla wodnego ptactwa.

Wszystkie możliwe jego rodzaje gnieźdzą się na nim.

Chodźcie, zobaczycie państwo sami!

Lepiej niech nam pan pomoże wybrać miejsce pod dom.

Zgodziłem już cieśli, a nie wiem jeszcze, gdzie go postawię!

A czy pan jest pewny, że nie zbłądziliście w lesie?  
Filip znowu spojrzął na busolę.

Absolutnie!

odparł.

I szli dalej lasem.

Chciałbym, żeby tak d'Arcy i Brent mogli was widzieć mówił Wilmott.

Kilka dnitemu miałem listodnich.

Są w Nowym Jorku.

Piszą, że bardzo tam życie ciekawe.

I dziwne zwyczaje: spluwaczki na każdym kroku i Murzyni, w niewiarygodnych ubraniach!

Widzieliw teatrze Panny Kemble, ale mówią, żezanadto się zgrywa.

Czy pani widziałakiedy Fanny Kemble?

zwrócił się do Adeliny .

Nie.

Najbardziejpodoobała mi się wLondynie "Cygańskadziewczyna".

Mówię panu nie zapomnę nigdy tego wieczoru!

To było boskie!

To tu!

Znalazłem moje miejsce!

krzyknąłnagleFilip.

Wyprzedził ich i teraz stał, czekając na nich na otwartej wśródlasu przestrzeni.

Może, w dawnychczasach, jakiś osadnik wybrało miejsce na siedzibę, bo grube pniaki ściętych drzew wskazywały granicę, do której las wytrzebiono.

Lecz pnie te były już dziśpokryte mchem lub ginęły w bujnych pędachoplatającego je dzikiego wina.

Polana miała miły, przytulny wygląd.

Słońcepadała na nią w pełni, a nieliczne drzewa, któreoszczędzono, rozrosły siędoniebywałej piękności.

Wysoka, młoda, srebrzysta brzoza trzepotała jedwabistymi liśćmi, a jej lśniąca, atlasowa kora była niepokalanie biała.

Kiedy zbliżyli się do niej, stado błękitnych piegż zerwało się z gałęzi i frunęło ku niebu, którego lazur wchłonał niebieskie ich piórka.

Adelina nigdy nie słyszała osentymentalnym wierzeniu, że błękitnapiegza jest ptakiem przynoszącym szczęście; lecz zachwyciłyjąte maleńkie, strojne w błękitne piórka ptaszki.

135.

O, jakie one śliczne!  
Tu wybudujemy nasz dom!  
Czuję się taka szczęśliwa, że mogłabym umrzeć ze szczęścia!  
I rzeczywiście chciała zasugerować się i zemdleć, żeby okazać swoje wzruszenie, ale  
jakoś nie udało się jej.  
Słaniała się tylko nieco na nogach.  
Zauważyło Filip.  
Co ci się stało?  
zapytał.  
Czy nie widzisz, że mdleję!  
odrzekła.  
Bzdury!  
powiedział, lecz mimo to patrzył nią trochę zaniepokojony.  
Niech pani usiądzie poprosił Wilmott i podprowadził ją do jednego z  
niskich, obrosniętych mchem pniaków.  
Usiadła i przymknęła oczy.  
Wilmott zdarł spiesznie kapelusz z głowy i zaczął ją nim wachlować.  
Ona niemdleje odezwał się Filip.  
Proszę spojrzeć na kolor jej ust!  
Adelina przyłożyła rękę do warg i westchnęła.  
Nagle poczuła jakieś poruszenie pod sobą.  
Zerwała się.  
Olbrzymia żmija przepłynęła przez pniak i zniknęła w trawie.  
Adelina krzyknęła tak, że krzyk jej można było usłyszeć w Vaughanlands.  
Obaj mężczyźni przerażeni patrzyli na nią.  
Waż!  
krzyczała.  
Waż jadowity tam w trawie!  
Chwycili kije i ruszyli za żmiją, bijąc nimi zarośla, by ją wystraszyć.  
Kiedy wrócili, Adelina ochłonęła już.  
Czy zabiliście ją?  
spytała.  
Tak rzekł Filip.  
Czy chcesz ją zobaczyć?  
Wolę nie.  
Miała chyba jard długości mówił Wilmott i grubą byłą jak moje ramię!  
To okropne!  
Nic sobie nie rób z tego uspokajał ją Filip.  
Pozbędziemy się ich wnet.  
Vaughan mówił, że pokazują się tu czasem.  
Jak oczyścimy las z podsycia, to i żmije się skończą.  
To jest przepiękne miejsce pod dom dla państwa mówił Wilmott.  
Ten pagórek jest jakby stworzony nato.  
Dom będzie wrócony na południe.  
Zdawało się, że zapomniał o niedawnym przestraszeniu Adeliny.  
Przemierzał krokami polanę, znacząc rozmiary fundamentów.  
Filip poszedł dalej, do źródła.  
Wrócił, niosąc blaszany kubek, napełniony wodą.  
Patrzył z niepokojem na żonę, podając jej wodę.

Dziwię się, że robisz tyle historii  
136

wszystkich węzach, które widziałas w Indiach.

Węże tutejsze nie  
są szkodliwe.

Adelina potulnie łykała lodowato zimną wodę źródlaną.

Tak, ale nie siedziałam nigdy dotąd na wężu!

- i wzdrygnęła się na to wspomnienie.

Jeśli chodzi o fundamente, możecie państwo iść śmiało włąb wołał z daleka Wilmott  
grunt jest znakornity i dobrze zdrenowany.

Radziłbym zrobić suterenyw nich kuchnię i kredensy.

Będzie tam ciepło w zimie, a chłodno w lecie.

Na dole musicie państwo mieć kwadratowy hali i salon po jednej stronie, a jadalnię i bibliotekę  
po drugiej.

Głęboki podjazd wyglądałby dobrze od frontu.

Zobaczysz, za chwilę powie nam, jak mamy nazwać dom rzekł Filip cicho do Adeliny .

Jak się czujesz?

Lepiej, ale jeszcze nim wąż się pokazał, byłam bliska zemdlenia.

Tylko dlaczego to ja miałam zemdleć wtedy?

Zapomniałem już.

Ach!

Już wiem!

To te błękitne piegże!

Taka się czułam szczęśliwa na ich widok!

Powinnaś starać się hamować swoje wzruszenia.

Kiedy takie sążywe silne!

To spróbuj je zakorkować jak wino zęby niestraciły na sile.

Wino utrzymasz uczucia nie!

Za głównymi schodami wołał znowu Wilmott będziemy się na jeszcze jeden  
obszerny pokój.

Dom musi być solidny i pakowny, musi mieć gościnny wygląd!

Dopilnuję tego rzekł kwaśno Filip.

Radziłbym wyciągnąć trzecie piętro.

To robi dom okazalszym, a jak rodzina się powiększy.

Nie projektujemy zbyt licznej.

A jednak ja bym wybudował trzecie piętro - upierał się Wilmott, wracając ku nim.

Jestem tak głodna!

wykrzyknęła nagle Adelina .

Zjedźmy kanapki.

Raczej rzekł Filip.

Prosimy pana, panie Wilmott.

Ale czy państwo macie zapas na trzy osoby?

Nietroszcz się o mnie jedna kanapka mi wystarczy.

Usiedli na ogrzanej przez słońce trawie, z konieczności gniotąc małe, różowe  
kwiatuszki, którymi była gęsto przetykana.

Filip

137.

otworzył koszyk i wyjął kanapki, ciastka, obszytą w skórę manierkę z winem i składany kubek do picia.

Pamiętacie państwo nasze pikniki w Quebecu?

O, jak bawiliśmy się wtedy doskonale!

zawołała Adelina z pełnymiustami.

Właśnie mruknął Filip z bachorami Balestrierów,którychnie możnabyło pozbyć się nigdy!

Jeślibymnie potrafiłwychować lepiejmoich dzieci, to niech mnie powieszają!

A jak się miewa urocza, małaAugusta?

zapytał Wilmott.

Psuje japani Vaughan odparł Filip.

Tylew tym dobrego, że zapomina mówić pofrancusku, a uczysię po angielsku.

Proszęjej powiedzieć, że przyniosę jej prezent lalkę, żebyzastąpić tę, którą ukradziono na statku.

Czy tęskni jeszcze zaswoją ayah?

Nie, zapomniała już o niej.

Zapadło na chwilę milczenie; myśli ich wróciły wstecz, doowego pogrzebu na morzu.

Wilmott rzekł:

Komary są prawdziwą, tutejszą plagą.

Przechodzę męki;

nocą swędząmnie dawneich ukąszenia i spać niemogę od tego ohydneho brzęczenia, kiedy na nowo kłują mnie te potwory!

Napiszę do Anglii, żebyprzysłano mi siatki przeciw moskitom rzekłFilip.

Okryjemy nimi łóżka, jak wybudujemynasz dom.

Vaughanowie, zdaje się, dali za wygraną i pogodzili s-ież faktem, że pożerają ich tegady żywcem.

Żeby być ścisłą, powiem, że komary gardzążerowaniemnaVaughanach, a uczują prawdziwie naFilipie rzekła Adelina .

Mamytylko jeden kubek zauważył Filip, zabierając siędo manierkiz winem.

Miałem zamiar dać go Adelinie , a sampić z manierki.

Skoro jest nastroje, możemy z Adeliną napić się zflaszki oboje.

Proszę mi dać blaszany kubek rzekł Wilmott.

Ale, ale!

Gdzieżeś ty znalazł ten kubek, Filip?

zapytała Adelina .

Przy źródle.

Byłyteż ślady stóp wokoło.

Vaughanmówiłmi, żejest tu obokdrewniana buda i że jakiś,stary Szkot, zwanySkrzypkiem Jockiem, obrał sobie w niej siedzibę.

Vaughan mówi, żejest nieszkodliwy.

Jak duża jestta buda?

zapytałWilmott.

Może bymja mógł zamieszkać w niej?

138

Filipwybałuszył oczy.

A co by pan robił bez polaprzy niej?

Rzeczywiście!

zgodził się Wilmott.

Muszę mieć pole.

A czy nie moglibyśmy sprzedać mu pięćdziesiąt akrów?  
zapytała cicho Adelina.

Co! W samym środku majątku!  
zakrzyknął Filip.  
Nigdy!

O, ja jestem całkiem zadowolony z tej chałupy, którą znalazłem rzekł prędko Wilmott.  
Będzie żywił się jagodami, rybami i drobiem i przeczytam wreszcie wszystkie książki,  
które chciałem przeczytać w życiu.

A skądże pan je dostanie?

Przywiozłem je z sobą.

Whiteoakowie patrzyli na niego zdumieni.

Wiem, że pan przywiózł trochę książek rzekła Adelina bo pożyczył mi pan ich kilka,  
ale nie myślałam, że pan ma ich tyle, by wystarczyły panu na długo.

W mieście znalazłem całkiem uczciwąypożyczalnię książek.

Poza tym d'Arcy wymyszkował mi parę rzadkich i wartościowych książek w Nowym Jorku.

Po raz setny Whiteoakowie zadali sobie w tej chwili w myślipytanie, jakie też może  
być majątkowe położenie tego człowieka?

Czasami potrafił mieć dziwnie szeroki gest to znów mówił osobie jako o nędzarzu.

A jak przedstawia się sprawa sąsiedztwa?  
spytał teraz Wilmott.

Czy są tu zajmujący, inteligentni ludzie wokoło?

Bardzoichwiele odrzekł Filip.

Zacznijmy od Vaughanów.

Kilka dni temu dali na naszą cześć proszony obiad i poznaliśmy na nim sąsiadów.

Bardzo godne szacunku i dobrze myślące kółko ludzi.

Jest między nimi niejaki pan Lacey, który maszynaw marynarce, dalej pan Pink pastor, doktor  
Ramsey, nieco kłótniwy gość, ale człowiek nieposzlakowanego charakteru i, jak mi się zdaje,  
zdolny lekarz.

Było jeszcze półtuzina tutejszych rodzin.

Rozmawiano dużo o przyszłości tej prowincji.

Wszyscy pragną utrzymać ją wolną od cudzoziemców.

Chcą zaludnić ją powoli, ale samymi tylko rdzennie brytyjskimi osadnikami.

Na sercu leży im przede wszystkimzapewnienie swobody i uczciwości w tym kraju, a ja  
zobowiązałem się iść ręką w rękę z nimi.

Vaughan utrzymuje, że Stany Zjednoczone zapłacą kiedyś gorzko za otworzenie swych granic  
starej

Europie.

Bo przecież, prawdę powiedziawszy, o nic tak łatwo tymwszystkim ludziom ze wschodu i południa Europy, jak pchnąć ciężozem między łopatki!

Cała ich religia to jeden zabobon!

Za kilkafuntów gotowi są sprzątnąć cię!

Okrucieństwo i pastwienie się nad bliźnim mają we krwi!

Byłem długielata w Indiach i widziałem tam dość oszukaństwa i zdrady.

Lepiej nie działać prędko raczej powoli, a pewnie.

Zostańmy wierni naszemu brytyjskiemu pochodzeniu.

I irlandzkiemu wtrąciła Adelina .

Popieram całkiem państwa zdanie.

Piję za szczęście budowy waszego domu i tej prowincji rzekł Wilmott, podnosząc swój blaszany kubek.

Kiedy wychylił to zdrowie, Filip wyjął skórzane etui nacygarai poczęstował Wilmotta.

To będzie trzymało w przyzwyczajonej odległości komary rzekł.

Dzięki!

Nie paliłem cygara, odkąd poczęstował mnie pan po raz ostatni.

Filip i Adelina poczuli się znów zakłopotani.

Wilmott raz jeszcze zrobił luzję do swego ubóstwa.

Musiał zdać sobie z tego sprawę, bo obcinając koniec swego cygara rzekł:

Właściwie nie jestem palaczem.

Ale ja jestem rzekł żywo Filip i mogę pana zapewnić, iż to, że nie wolno mi palić u Vaughanów w domu, irytuje mnie!

Pani Vaughan jest przeciwna temu.

A Dawid Vaughannie pali?

Wypala jedną fajkę po pierwszym śniadaniu, drugą przed spaniem ale zawsze na werandzie.

Wilmott w zamyśleniu rozglądał się wokoło.

Zdaje mi się rzekł że te lasy ciągną się chyba aż do Oceanu Arktycznego.

Tak.

To jednak robi wrażenie, kiedy człowiek uprzytomni sobie ten fakt.

Wrażenie ich potęgi, chce pan powiedzieć?

Tak i wiecznej, rozrodczej siły.

Chyba nie zabraknie tu drzewa materiałowego po wsze czasy!

Tak, chyba że ludzie zaczną rabunkową gospodarę, podkładając ogień na zrębach, by oszczędzić sobie trudu czyszczenia ich!

140

Chciałabym obejrzeć to miejsce wokoło - rzekła Adelina wstając.

Ja tu zostanę powiedział Wilmott.

Idźcie państwo sami, wypalę cygaro rozmyślając, jaką by tu odpowiednią nazwę znaleźć dla waszego domu.

Do licha!

mówił Filip, kiedy znaleźli się sami.

Ten Wilmott jest zbyt usłużny!

Rozplanował dla nas dom według swego widzenia, a teraz ochrzci go jeszcze!

Zapowiadam ci, że nie zgodzę się na żadną nazwę, jaką by wybrał.

Filip!

Nie bądź głupi!



i nagle podskoczyła radośnie, ujęła w dwie ręce ciężką spódnicę razem z halką i zaczęła tańczyć w wysokiej trawie.

Tu będzie nasza kuchnia nasz kuchnia przyspiewywała sobie nasza kuchnia, z dużym kominem i kafłową podłogą!

Tu będzie spiżarnia spiżarnia spiżarnia i mleczarnia!

Tu będą pokoje dla służby tak mały, ładny pokój dla Patsy'ego O'Flynn.

A Filipna to ujął poły tużurka, wziął się pod boki i tańcząc również, szedł jej naprzeciw.

Tu moja piwnica jest moja piwnica moja piwnica i wino!

Niech w piasku suchym spoczywa niech się trawi powoli, powoli moje zacne wino!

Kiedy się zeszedli tańcząc tak, Adelina chwyciła go w objęcia i głowę oparła na jego ramieniu.

Żyjmy długo długo do samej starości!  
zawołała.

Żebyśmy jak najdłużej użyli życia razem!

Lata lata niech płyną!

Zrobię, co będę mógł przyrzekam!

Przyrzeknij, że dasz mi umrzeć przed sobą!

Dobrze, mi przyrzekam.

Ale jak w końcu nazwiemy ten dom?

Jeśli prędko nie wymyślimy mu nazwy, stanie się, jak mówisz: Wilmott wyręczy nas!

Ja bym chciał taką nazwę, która przypominałaby mi rodzinny dom.

Nie!

Ja nie chcę angielskiej nazwy!

Filip spojrzał na nią od razu gotów do sporu.

Ja bym chciała nazwy, która i dla mnie kojarzyłaby się z przeszłości.

Cobyś powiedział na "Bally"?

Nie skończyła, bo Filip przerwał jej ostro:

141.

Niech zginę, jeśli potrafię strawić irlandzką nazwę!  
Oczy Adeliny ciskały już skry, lecz spostrzegła Wilmotta, jakbiegł ku nim, wyciągając swe długie nogi.

Mam!  
krzyknął mam ją!  
Co pan ma?  
zapytał Filip.

Nazwę dla domu!  
Patrzyli na niego, zgodni teraz w defensywie.  
Nazwa pańskiej stacji garnizonowej w Indiach!  
mówił zożywieniem.  
Tam poznaliście się, tam pokochaliście!  
Pewnie już nigdy nie będziecie tak szczęśliwi, jak byliście tam!  
I pięknajest ta nazwa!  
Uderzająca ilarwa do zapamiętania.  
To jest.

" Jalna " rzekła zważaniem Adelina .  
Nie!  
rzekł ostro Filip i spojrział wyzywająco na Wilmotta.  
Nie podoba się panu ta nazwa?  
Nazwę lubię, owszem.  
A pani, pani Whiteoak ?  
pytał skwapliwie Wilmott, patrząc jej woczy.  
Ale oczy Adeliny odbijały w sobie zieleni tajemniczość lasu.  
Wyjął mi pan toślowo z ust rzekła.  
Myślałam właśnie: " Jalna ", " Jalna ".  
Wyteżałam umysł, ile mogłam, powtarzałam to słowo, kiedy pan zawołał.  
Twarz Filipa pojaśniała.  
Czy naprawdę?  
Teraz, kiedyś to powiedziała przyznam, że podoba mi się ta nazwa.  
" Jalna ".

To bardzo dobrze brzmi.  
To będzie na pamiątkę mego pułku niby pieczęć zamykającą przeszłość.  
I dobry omen na przyszłość dodała Adelina .  
Tak się cieszę, że przyszłami " Jalna " na myśl!  
Wilmott nie wiedział, co myśleć o tym.  
Do diabła!  
To świetna nazwa!  
wykrzyknął, już teraz zapałem, Filip.  
Jakie to dziwne, że pomyślałaś o niej, zanim Wilmott wpadł na nią!  
Przyszło to na mnie jak nagły błysk " Jalna " pomyślałam tu już pan Wilmott biegnie  
ima to słowo na ustach!  
Ale ja wymówiłam pierwsza: " Jalna "!

IX. Fundamenty  
pnie drzew echem odbijał się łoskot rąbania.  
Siekierami, zakrzywionymi sierpami na długich styliskach wytrzebiono najpierw młodniki i  
podszycielasu.  
Wtedy dopiero wzięto się do drzew.

Drwal brał rozmach obciążoną na brusie do niebywalej ostrości siekierą i wymierzalnią, z ukosa, zręczny cios w dumnie sterczący pień.  
Po tym następowalodrugie cięcie, wymierzonez dołu ku górze; a kiedy przecięło się z pierwszym, gładka, biała trzaska, jak wyłuskana, wyskakiwała ze zranionego drzewa. I tak ciągle na przemian, raz z góry, raz z dołu, padały ciosy aż pień został do połowy nadcięty. Wtedy siekiera atakowała go z drugiej strony.  
Huczały razy, atwarz drwalaociekąła potem.  
Nagle drzewo zadrżył lekko jakby zdziwione.  
Drżenie przebiega wzdłuż wszystkich jego konarów, gałęzi, aż do najmniejszych gałązek. Jeszcze jedno uderzenie, a już wśród liści wszczyną się niepokój.  
A drwal, jakby wściekłością zdjęty, tnie bez opamiętania i wreszcie brzoza pada.  
Najpierw chyli się wolno nie spieszącej aż nagle, jakby paniką zdjęta, wali się o ziemię z jękiem, ztraskiem, łamiąc w popłochu gałęzie i siejąc deszczem liści.  
Drwale pracowali metodycznie; nigdzie nie było widać bezładnych walonych na siebie pni ani zasieków z poćcinanych konarów.  
Olbrzymie pniaki i daleko rozbiegłe korzenie karczowano natychmiast.  
Stosy obciętych gałęzi rosły w lesie.  
Przeznaczone zaś do ozdoby parku drzewa rozciągały szeroko konary, pusząc się poczuciem bezpieczeństwa.  
Błysk siekiery otarł się o nie i minął.  
Stały tak szeroko od siebie, że wszędzie przejechać można byłoby parokonnym wozem między nimi.  
Las przybierał coraz bardziej fizjonomię parku.  
Później wokół niego miały ciągnąć się pola miało się orać i siać, i zakładać sady.  
Adelina ujrzała teraz Filipa w nowym świetle.  
On, który był zawsze tak wymyślny na punkcie ubrania prawdę mówiąc, który zakrawał trochę na dandysa wracał teraz do Vaughanów w

zabłoconych butach, w zmiętym ubraniu i z rękami podrapanymi w cierniach. On, który do Anglii posyłał do prania najparadniejsze swoje koszule bo nie było w Indiach pralni, która by go zadowolila ukazywał się teraz w zmiętej koszuli i nie tylko nie przejmował się tym, lecz cieszył się ze swego nowego życia. Próbował nawet sam brać siekierę do ręki, lecz ku swemu zmartwieniu musiał uznać, jak nikłe były jego wysiłki w porównaniu z tym, czego dokonywali wycwiczeni, żujący wieczni tytoni drwale. Spędzał jednak calednie przypatrując się postępowi, jakie czynila ich robota i, gdzie mógł, przykladał do niej ręki. Cięły go czarne, bydlęce muchy, kłuli niemiłosiernie komary. Opalił się na ciemny brąz. Musztra żołnierzy w Indiach i gra w polo niezahartowały go tak, jak to życie w lesie. Wieczorem jednak zmieniał się z powrotem w świetnego kapitana huzarów, skarbił sobie uznanie sąsiadów, otaczał należnymi względami panią Vaughan. Przed udaniem się na spoczynek nie zapominał usunąć się na werandę, by tam wypalić ostatnie cygaro.

Dawid Vaughan polecił mu zdolnego architekta.

Całe sąsiedztwo przyjęło jako zasadę stosować wielką prostotę w budowaniu domów, ale Whiteoakowie chcieli, by siedziba ich wypadła imponująco. Bez sadzenia się na fałszywe pretensje, chcieli mieć dom taki, na który warto by spojrzeć. Miał mieć dach okazały, odpowiednie dońciany szczytowe i szerokie kominy.

Nastąpiła wreszcie uroczysta chwila, kiedy odwalono pierwszą grudę murawy, by zacząć kopać pod fundamenty.

Majster podszedł do Adeliny z ostrą łopatą.

Upřednio już naznaczono i wzruszono darń w jednym miejscu.

Adelina zatarła dłonie, uchwyciła mocno stylisko, postawiła stopę na łopacie, obrzuciła figlarnym spojrzeniem zebranych wokoło drwali, nacisnęła stopę i wepchnęła głęboko łopatę w grunt.

Zgięła się we dwoje, oparła

całym ciężarem, lecz ziemia nie ustępowała.

Grunt jest trochę twardy rzekł majster poruszę go nieco.

Nie uparła się Adelina, oblewając ciemnym rumieńcem.

Cofnij się i wtedy dopiero naciśnij szepnął jej Filip.

Posłuchała ziemia puściła i wydarłszy jej pełną łopatę, Adelina pottrzymała ją chwilę, z triumfem patrząc wokoło, po czym odwróciła łopatę.

Gruda opadła.

Było to, jakby dom stawiał pierwszą stopę na ziemi.

144

Filip patrzył z podziwem na pracę ludzi: pracowali nie oszczędzając sił, zochotą czy w znojnym upale, czy w przejmującej wilgoci.

Jedynie podczas burzy i ulewnego deszczu skupiali się w drewnianej szopie, którą sobie wybudowali na schronienie.

Neroprzychodziłco dzień Filipem na budowę.

Biedak cierpiał tak, bardzo od gorąca, że pewnego dnia Filip, ująwszy go kolanami mocno za głowę, ostrzygł mu futro aż po łopatki, tak że nowofundlandczyk wygladał teraz na olbrzymiego pudła.

Wilmot dotrzymał obietnicy i zgolił faworyty.

Kiedy się ukazał przed Adelina, ogolony zupełnie, ledwie go poznała.

Przedtem wyglądał interesująco i godnie, teraz, kiedy cały kontur jego twarzy był widoczny, Adelina odkryła w niej jakiś pociągający wyraz, który mu dawał wygląd romantyczny. Twarz jego była piękna, a światło, padające na zapadłe nieco policzki, ubierało je w oryginalne płaszczyzny.

O! Jakże pan się zmienił!  
zawołała.

To dobrze.

Należy czasem odmienić wygląd odrzekł sucho.  
Przypuszczam, że wyglądam teraz mniej pętnie.  
Aleuroda nie był nigdy moim atutem.

Któż żąda urody od mężczyzny?

Pani.

Ja? Filip byłby dla mnie zawsze tym, kim jest teraz, choćbym miał perkaty nos i cofniętą brodę!

Mówi pani niedorzeczności, pani Whiteoak .

O, niechże pan nie będzie zawsze taki oficjalny !

Może mnie pan nazywać Adelina .

To nie wypada.

Tu, na tym pustkowiu?

Ależ na tym pustkowiu istnieje bardzo zamknięty i dbający o konwenanse świata!

O, jak i pan przezorny zawołała.

Jakież to szczęście, że pan nie jest żonaty.

Wilmott zarumienił się z lekka.

A może pan jest żonaty.

spytała uśmiechając się.

Nie odparł sztywno i Bogu niech zato będą dzięki!

A ja mówię, że szkoda.

Byłby pan na pewno przyjemniejszy wtedy.

Czyżby?

Wątpię.

Nie, nie mówiła teraz ze swoim ślicznym uśmiechem

10 Budowa Jalny

145.

właściwie jestem zadowolona, że pan nie jest żonaty.

Na pewno lubiłabym pańskiej żony!

Pan należy do tego typu mężczyzn, który wybrałby na żonę kobietę niesympatyczną dla mnie.

Byłbym wybrał panią, gdyby mi danym było wybierać!

Siedzieli, rozmawiając tak, na stosie świeżo okorowanych, pachnących żywicą belek i w takiej bliskości od robotników, że mogli być przez nich słyszani.

Lecz słowa Wilmotta tworzyły jakąś zamkniętą przestrzeń wokół nich dwojga, jakby stanowili portret mężczyzny i kobiety, zamknięty w złociste ramy.

I siedzieli tak, przysłuchując się łoskotowi siekier i dudnieniu łopat; nozdrza ich wciągały aromatyczny zapach żywicznych belek.

Lecz mieli uczucie, że nie stanowią już części tego rzeczywistego świata, który ich otaczał.

Oczy ich spoglądały prosto przed siebie, jakby naprawdę byli postaciami z portretu, którym się mówi, że jego oczy ścigają patrzącego.

Nero leżał u stóp Adeliny.

Położyła rękę na jego czołwie, ujęła pełną garścią kędzierzawą sierść psa i kołysała lekko jego głowę.

Nero znosił z niewzruszoną godnością afront tej bezceremonialnej pieczy.

Powiedział pan to mówiąc półgłosem pod wpływem atmosfery tego miejsca.

Dziwną ma ono moc, podniecającą naszą wrażliwość.

Zwróciła na nią opanowane już spojrzenie swych chłodnych oczu; lecz widziała, że wargi jej drżą.

Czy pani wątpi w moją szczerość?

Nie może pan zaprzeczyć, że czasem mówi pan rzeczy dziwne.

W tym, co powiedziałem, nie ma nic dziwnego: prawie każdy mężczyzna powiedziałby to samo.

Aczy pan widywał mnie kiedyś, jak wpadnę prawdziwie w złość?

Nie utrzymuję wcale, że pani jest doskonałością odrzekł cierpko.

Mówię tylko.

i urwał.

To bardzo miło ze strony pana, panie Wilmott pan, który mnie widywał przez cały rok i to w najgorszych okolicznościach.

Znowu pani mówi niedorzeczności!

;

A czyż nie lepiej tak?

Aby nadać inne znaczenie temu, co powiedziałem, prawda?

Niech pani się nie trudzi!

Nie myślę narzucać się pani.

Po

146

prostu naszło mnie takie niemądre pragnienie, żeby pani wiedziała o tym.

Uśmiech rozchylił usta Adeliny patrzyła nań niemal czule.

Pani śmieje się ze mnie!

' wykrzyknął zapalczywie Wilmott.

Chce pani, żebym żałował, że powiedziałem to pani!

Nie.

Śmiała się widząc, jak pan potrafi być impulsywny.

I bardziej jeszcze lubię pan teraz.

Jeśli pani sądzi, że Filip nie będzie miał nic przeciw temu, gdyby nazywał panią po imieniu, byłoby to dla mnie wielką radością.

Zapytam go.

Nie proszę nie pytać!

Wolęnie.

Filip właśnie zbliżał się do nich.

W bryczesach przesadzał swobodnie nierówności gruntu, na którym co dzień tysiącnekwiaty otwierały świeżekielichy i rozwijały się w pierzaste liście pastorałymiłodych pędów paproci po to, by miażdżyła je ręka i stopa ludzka.

Kiedy stanął przy nich, rzekł:

Muszę z budowniczym odebrać transport cegły.

Niewiem, jak długo zabawimy.

Panie Wilmott, czy zechce pan odprowadzić panią Whiteoak do domu?

O Boże!

Czemu nie nazywam się po imieniu!

zawołała Adelina .

Dokądże będziemy się ceremoniowali tak: pani Whiteoak , panie Wilmott, panie Whiteoak .

I to tu, na tym leśnym zaświeci u!

I owszem zgodziłem się Filip.

Nie mam nic przeciwko temu.

A więc James, odprowadź Adelinę do Vaughanlands.

Adelina nie widziała jeszcze moich majątków rzekł Wilmott.

Prawdziwio pańskarezydencja!

Chciałbym, żeby ona pierwsza obejrzała ją.

Doskonale.

Będiesz podziwiała, czego dokonał, Adelino .

No. ale teraz muszę uciekać!

I skierował się ku czekającemu nań budowniczemu.

Adelina i Wilmott usadowili się w starym, obdrapanym faetonie, wypożyczonym od Vaughana.

Siwa kobyła stała przywiązana do słupa, który znaczył miejsce, gdzie miała stanąć brama wjazdowa.

Nawykła już tak doczekania, że ruszyła leniwym kłusem, prosto na wykopany świeżo rów.

Cudem tylko nie wywróciła powozika.

Ta szkapa jest leniwa i tępa jak owca!

powiedział Wil147.

mott, biorąc lejce z rąk Adeliny .  
Chciałbym, żeby należała domnie.

Czy dlatego, że tępa?

Tak, chcę oddać się lenistwu i bezmyślnej gnuśności naresztę moich dni.

Nie może pan być gnuśny i bezużyteczny, jak długo Filip i ja będziemy pańskimi przyjaciółmi, James.

Bardzo to pięknie pani powiedziała, Adelino dodałszywno.

Kobyła wlokła się drobnym klusem zalaną słońcem drogą, głęboko wrytąw srebrzysto-białym piachu.

Drogata biegła przezgęsty las iwyglądała jak jasna wstęga, dzieląca na dwoje leśneuroczysko. Teraz jednak napotykali na niej ciężkie wozy, naładowane materiałami do budowy Jalny , to znów jakąś bosą dziewczynę, pędzącą krowę, albo stary, dwukołowy wózek, zaprzężonyw muła, załadowany rodziną indiańską i jej całym dobytkiem.

Malinyczerwieniły się krwawo w gąszczu na brzegu drogi.

Dzikiłubin, bładoniebieskiekwiaty cykorii i granatowe gencjany tworzyłybarwne plamy na tym zielonymtle.

Drzewa pełne były nieustannego ruchu; ptakiprzelatywały z jednego na drugie, wiewiórkiprzeskakiwały z gałęzi na gałąź.

Czasemukazywało się pole o kłosach ociążałych grubym ziarnem.

Miało się wrażenie, żebogata ta kraina na wyścigi dążyła do wypełnienia obietnic, jakieludziom czyniła.

Filip musiał przyznać, że Wilmott zrobił doskonały interes, kupując swójdrewniany dom i pięćdziesiąt akrów przynależnejdoń ziemi.

Obeszli dokładnie całą posiadłość i Wilmott.

zapłaciwszy cenę kupna, wprowadził się od razu do domu.

Jednakże niechciał, by Adelina widziała jego domostwo, póki według jegowymagańnie doprowadzi go do możliwego stanu.

Teraz ukazało się ono na małejpolanie, na brzegu silnie wezbranej rzeki.

Dom wyglądał solidnie, zdolny przetrzymać wszelkieburze isnieżne nawałnice.

Wilmott byłdumny zeń.

Było nieco chępliwości i pełnej godności powagi w jego ruchach, kiedy pomagał Adelinie zeskoczyćz wysokiego stopnia faetonu i prowadził jąścieżką wśród trawnikado drzwi domu.

Dochodził tu szum rzekii szept trzciny przybrzeżnych.

Na wodziekołysałosię stare czółno, przywiązane do zmurszałego pala.

Jakże tu ślicznie!

zawołała Adelina .

Nie wyobrażała148

łam sobie, że tu będzie takpięknie!

Czemu mi pantego nie mówił, James?

Chciałemzrobić pani niespodziankę odrzekł, ani nachwilę niewątpiąc w szczerość jej zachwytu; dla niegobowiemmiejsce to i dom były samą doskonałością.

Otworzył kluczemoporne nieco drzwi i pokazał jej swoje mieszkanie.

Stanowiła jejjedna tylko izba, z dobudówką w tyle.

Wnętrze pokoju wskazywało, żealbo Wilmottspodziewał się jej odwiedzin, albo byłniestychanie drobiazgowy w swych przyzwyczajeniach.

Nigdzie niebyłowidać porozrzucanych rzeczy, jak to Filip lubił robić zeswoimi.

Nie zasłana niczym podłoga wilgotna była jeszcze poświeżym szorowaniu.

Tylko przedkominkiem leżałdywanik, przedstawiający okręt.



Umeblowanie, widocznie wykonane przez poprzedniego właściciela, stanowiły: stół, dwa krzesła i tapczan, zasłany narzutą z łątek, zestawionych w barwne wzory.

Jedne okno zasłaniały czerwone firanki.

Na półkach na ścianie błyszcząca nowością serwis do herbaty z niebieskiej porcelany wnosił nutę starej Anglii.

Wzdłuż drugiej ściany Wilmott sam sporządził półki biblioteczne, wypełnione już starymi i nowymi książkami.

Złoceniaste skórzane grzbieciska połyskiwały w ukośnym promieniu, który słońce, jakby umyślnie, skierowało na nie.

Było coś wzruszającego w tej prostocie i w tym samotnym człowieku, żyjącym w niej.

Głos Adeliny zdrżał, jakby nigdy dotąd nie spotkała czegoś, co mogłoby się równać z tym, na co patrzyła:

I pan to wszystko zrobił sam?

rzekła z podziwem.

Tak.

Nie mogę pojąć, jak pan dał sobie radę?

Tu wszystko jest śliczne!

Ujdzie, ujdzie mówił niby skromnie.

I tak czysto wszędzie!

Gdyby pani zechciała zaglądnąć tu czasem.

I ten uroczy serwis do herbaty!

Kiedy pan go kupił?

Dwa dni temu.

Podszedł do półki, zdjął z niej dzbanuszek na śmietankę i podał go jej.

Podoba się pani wzór?

zapytał.

Na dzbanuszkach ujrzała pasterza i pasterkę, leżących w trawie pod drzewem nad brzegiem strumienia, a w głębi wznosiły się dumnie mury zamku.

Adelina przytknęła dzbanuszek do policzka.

Jaka śliczna, gładka polewa!

Tak sobie myślę, czy też napiję się kiedyś herbaty z tego serwisu.

149.

Zaparzę zaraz rzekł to jest, jeśli pani zechce zostaćna herbacie.

Nic niesprawilioby miwiekszej przyjemności!

Pomogę panu.

Ale cobędzie z konwenansami?

zawahał się.

Co ludzie na to powiedzą?

Żepiłam herbatę pana?

A niechmówią!

Mój Jamesiedrogi, przyjechałam tu, żeby w tym kraju spędzić resztę życia.

Lepiej więc niechludzie zacznęplotkować mnieod razu.

Z ochotądamim żeru do plotek!

i elastycznym swym krokiem, kołyszącfalbanami spódnicy, przeszła się po pokoju.

Wilmott postawił z powrotem dzbanuszek na półcei ożywionywrócił się do niej:

Zapalęwięc ogień rzekł.

Na kominku było wszystko przygotowane,także wystarczyłomu przytknąć palącą się zapalkę, a ogień buchnął od razu.

Wziąłblaszany kociołek i poszedł do studnipo wodę.

Patrzyła przezokno na wysoką jego postać, naruchy pełne umiaru.

Chciałabymwiedzieć, co też siedziw tej twojej głowie, człowieku?

myślała.

Ale lubię cię tak, lubię cię nawetbardzo, Jamesie Wilmott!

Rzuciła okiemna jego książki.

Dziela filozoficznejtreści i studia z zakresu historii suche treścią, po większej części.

Lecz było także kilka tomówpoezji i kilka powieści.

Wyjęła tom poezjiTennysona.

Niektóre ustępy w nim były zakreślone.

Przeczytała jeden z nich:

Daj nam długi wypoczynek lub śmierć,Głęboki cień śmierci lub jasnychsnów korowody".

Wilmott wszedł,niosąc ociekający wodą kociołek.

Czytam rzekła.

A co?

zapytał, przystając, by zajrzeć jejprzez ramię.

Och, to!

rzekł obojętnie i podszedł do kominka, by postawićimbrykna ogniu.

To niewydaje mi się wcale podobne do pana.

Czemu?

Bo jest zanadtobierne, ospałe.

Czyżbymbył tak energiczny?

Nie.

Ale wydajemi się, że pan umie postawić sobie cel i potrafi dążyć do niego.

Tutaj lepiejjuż odpowiada panu:

"Zbudowałem mej duszy wspaniałą pałac.

Gdzie mogłaby pędzić piękne dni.

"

150

To powinien pan zakreślić!

OBoże!

zawołał.

To dopieroniepodobne do mnie!

Iżaluję, że tak nie jest.

Dusza moja jest bezdomna.

W takim razie brak mi przenikliwości odrzekła, odkładając książkę na miejsce.

Zdejmę kapelusz.

Irzeczywiście odpięła z głowy figlarny kapeluszik z dwoma wstążeczkami, fruującymi z tyłu.

Od razu jakaś ciepła, przytulna atmosfera zrodziła się w izbie.

Wilmott rozglądał się, zakłopotany, jakby czegoś szukał, jakby zapomniał, gdzie postawił potrzebne mu przedmioty.

Ja zrobię herbatę rzekła Adelina.

O nie!

Nie mógłbym znieść tego!

Nie mógłby pan znieść megowidoku, kiedy robię herbatę?

zaśmiała się Adelina.

Nie to.

Ale to byłoby za piękne odrzekł z trochę smutnym uśmiechem.

Takie rzeczy to nie dla mnie.

Zaparzył dosyć zrećnie herbatę, ustawił na stole nowy serwis półmisek, na którym złożył plaster miodu.

Wtedy poprosił ją, by usiadła do stołu.

A przez cały czas mówił; opowiadał jej o żonie farmera z sąsiedztwa, która piekła dla niego chlebi dostarczyła mu tego miodu.

Kupił już krowę, dwie świnię i trochę drobiu.

Filip rozglądał się zaparą dobrych koni dla niego.

Owies i jęczmień zasiał jeszcze jego poprzednik.

Z czasem, twierdził Filip, Wilmott nauczy się gospodarować.

Z gospodarstwa i z dochodu od reszty kapitału, która mu pozostała, wyżyje całkiem dobrze.

Krótko mówiąc skończył, wykrawając kawał plastra miodu dla niej nie byłem nigdy w moim życiu tak szczęśliwy

i to posiadając całą świadomość swego szczęścia.

Adelina ugryzła spory kęs chleba z miodem, oczy jej świeciły zadowoleniem.

Ani jarzeka.

Wilmott zaśmiało się.

Założyłbym się, że pani nie zaznała nigdy ani godziny nieszczęścia!

A kiedy żegnała się z matką to nic?

A wtedy, kiedy ujrzała moją matkę na molo, a nie mogłam wrócić do nich?

A śmierć Haneefy?

I to wszystko w tym krótkim czasie, odkąd się znamy!

Potwierdziła pani w tej chwili to, oczym zawsze myślałam.

Co?

151.

Że pani jest najszczęśliwszą istotą, jaką kiedykolwiek znałem.

Nie obnoszę moich strapięń po świecie!

odrzekła.

starając się nadać wyniosły ton swym słowom, równocześnie dobierając miodu.

A czyżjato czynię.

Wilmott zaczerwienił się.

No. powiedział pan przed chwilą, że pan jest szczęśliwy z całą świadomością swego szczęścia odrzekła Adelina .

patrzac bacznie w jego oczy.

Może pan bywa czasem także nieszczęśliwy, z całym poczuciem swego nieszczęścia.

Ja zaś nie boję się życia, nie spodziewam się nigdy najgorszego.

Powiem pani coś o sobie rzekł nagle Wilmott.

Niezamierzałem nigdy uczynić tego.

ale zrobię to!

Adelina pochyliła się skwapliwie ku niemu.

O tak!

Niech pan mi powie!

Ale muszę prosić panią o zachowanie tajemnicy.

Nie pisnę nigdy słowa żywemu człowiekowi!

Wilmott wstał, postawił czajnik na kominku, nalawszy doń

więcej wody z imbryka i

trzymając go jeszcze w ręku.

odwrócił

się nagle ku niej.

Jestem żonaty rzekł.

O. nie!

Napewno nie!

wykrzyknęła, patrząc nań z niedowierzaniem.

Chyba ja wiem najlepiej zaśmiał się Wilmott.

Nie tylko mam żonę, ale i dziecko.

Nie do wiary!

Więc pan skłamał, kiedy powiedział pan, że jest nieżonaty!

Tak, skłamałem.

A przecież pan wydaje się skończonym typem kawalera.

Był czas.

kiedy nazywanomnie wzorowym małżonkiem.

Ach tak mówiła z przejęciem.

co wzmogło jeszcze irlandzkie modulacje w jej głosie.

Kimkolwiek pan był, celował pan w tym zawsze!

Zamyśliła się chwilę.

Zawsze. czy był pan kochankiem, czy kimś innym dodała.

Na przykład kłamcą, co?

Czy powie mi pan.

dlaczego pan skłamał?

spytała, patrząc mu w oczy.

Tak odrzekł.

siadając przy stole.

To znaczy, dlaczego pan ukrywał fakt, że pan jest żonaty?

Tak.

oczywiście.

Ja uciekłem.

152

Rzucił pan ją?

i dziecko?

Tak.

To chłopiec, czy dziewczyna?

Czternastoletniadziwczyną.

Był pan więc długi czas żonaty!

Piętnaście lat.

Miałem dwadzieścia pięć, kiedy się ożeniłem

i z nagłą gwałtownością dodał: piętnaście lat cierpień!

O, na pewno nie całe piętnaście!

Nie minęło pół roku, a już wiedziałem, że popełniłem wielką pomyłkę.

Pozostały czas upłynął mi na zdawaniu sobie coraz lepiej sprawy z tego.

Czyż nie mógł pan znaleźć jakiejś rady nato?

Nie.

Byłem załamany.

Beznadziejnie!

Nawet pani nie jest w stanie wyobrazić sobie, jak dalece byłem załamany!

Pani nigdy nie żyła takim życiem!

Adelina położyła rękę na jego dłoni, spoczywającej na stole.

Proszę, niech pan opowie mi o tym.

Przez otwarte drzwi dolatywał odgłos rzeki, szumiącej wśród trzciny.

Krowa, którą Wilmott kupił, zaryczała przed bramą.

Woła.

żeby ją wydoić zauważył Wilmott.

Umie pandoić krowy?

Mam młodego Indianina do pomocy.

O, naprawdę podoba mi się niezmiernie ta pańska siedziba!

wykrzyknęła Adelina.

Nie chcę myśleć, że mógłby pan być nieszcześliwy tutaj!

Mówiłem pani, jak bardzo jestem szczęśliwy!

Ale nie będę w porządku z sobą, dopóki nie powiem pani całej prawdy.

Pan jest niebezpiecznym człowiekiem!

Chce pani przez to powiedzieć.

że to niebezpieczna rzecz mówić prawdę?

Jazniosę każdą prawdę, ale niewszystkie kobiety potrafią to.

Może właśnie pańska żona nie była w stanie znieść prawdy.

Ona nie знаła mnie nigdy.

To jest, nie znalazł mnie prawdziwie.

Wiedziała, że zajmuję odpowiedzialne stanowisko w dużym towarzystwie żeglugi i to wszystko.

Ożeniłem się za wcześnie, to prawda, ale umiałem przysiedzieć fałdów przy robocie.

Byłem zdolnym rachmistrzem miałem dobrą opinię u szefów.

Nasiznajomi to jest znajomi mojej żony mówili, że jestem do 153.

brym mężem i ojcem.  
Niebyło wtym nic dziwnego: miałem takąszkołę!  
Ona niedawała minigdy spokoju!  
Porządki, sprzątanie, od rana do nocy, drobiazgowość krańcowa w każdym kierunku, to było wszystko, czego jej było potrzeba w życiu!  
To i jeszcze nabywanie ciągle nowych rzeczy.  
Ledwie kupiliśmy jednę rzecz, a ona już pożyła czegoś innego.  
Kryształ, srebro, dywany, firanki.  
suknie a wszystko to po to.  
by utrzymać te skarby w jaknajskrupulatniejszym porządku!  
Mowy nie było o tym.  
żeby mieć psa w domu!  
Obie służące bo doszliśmy do dwóch służących.  
kiedy wyjeżdżałam ciągle tylko szorowały i czyściły coś.  
.1 żeby jeszcze robiła wszystko cicho, spokojnie!  
Ale ta kobieta nie umiała nic robić spokojnie!  
Gadała nieustannie.  
Potrafiła rozwdzić się godzinami o jakimś błahym sukcesie lub niepowodzeniu towarzyskim, albo o przewinieniu którejś ze służących.  
Jeśli kiedy umilkła, to był znak, że trawiła zimną złość a to zniesć, było już ponad moje siły!  
Wolałem wtedy wywołać kłótnię, by przełamać to milczenie, albo poddawałem się jej potulnie.  
Bo widzi pani, ona miała więcej siły charakteru niż ja.  
A dziewczynka, córka pana?  
pytała Adelina, starając się domalować tło do tego nowego obrazu Wilmotta, jakiej przedstawił.  
Ładna "dziewczynka"!  
odparł cierpko Wilmott.  
To zwalista, ciężka dziewczyna, niezdolna do żadnego uczucia i o małej inteligencji.  
Żona była przekonana, że Hettie odziedziczyła po mnie muzyczne uzdolnienia.  
Hettie brała więc lekcje muzyki;  
rezultat był taki.  
że tłukła zawsze ten sam kawałek i zawsze z tymi samymi błędami.  
Moja żona gadała wiecznie, Hettie nie odzywała się prawie.  
Siedziała tylko tak i patrzyła wemnie.  
Słowo daję, dziwne było pańskie życie!  
rzekła Adelina.  
Nie potrafi pani wyobrazić sobie, jak dalece dziwne odparł Wilmott, uśmiechając się do niej ciepło.  
I cóż stało się potem?  
Przykładałem się coraz pilniej do mojej roboty.  
Zarabiałem coraz więcej, ale potrafiłem utrzymać to w tajemnicy.  
Zacząłem mówić przed nią o Azji, o Wschodzie, jak bardzo pragnąłbym pojechać tam.  
Przerywałem jej gładzenie o jakimś przyjęciu znajomych, by rozwdzić się nad pięknosciami Indii i Kaszmiru.  
Aprzez całą czas miałem zamiar jechać na Zachód.  
Żona moja nie mogła zrozumieć, skąd wzięła się nagle u mnie taka rozmowność.  
Teraz znów z kolei to, co ja mówiłem, nudziło ją niesłychanie.  
A

Heltie siedziała tylko, patrzyła przed siebie iustawicznie ssałacukierki z goździkowym zapachem.

Kiedymyśle o niej, czuję natychmiast zapach goździków!

Ach.

pan nic powinien był żenić się nigdy!

rzekła Adelina .

Czy by to mnie uodporniło na zapach goździków?

zapytał cierpko.

Chciałamprzez to powiedzieć, że pan nie był stworzony dociepla ogniska domowego.

To nie tak, jak mój ojciec.

Jego nie rzązą zapachy takie czy inne ani, czy kobieta gada lub milczy, mój ojciec ma prawdziwy talent małżeński!

słowo daję!

wykrzyknął Wilmott można bymyśleć, że pani współczuje mojejżonie!

O, co do niej, to myślę, że przydałoby się jej porządne lanie.

Czy byłaładna?

Tak, ładna potwierdził posepnie.

A czy zachowała urodę?

Tak.

A Hettie, czy ładna?

Ładna, o ile pudding z sadła może być ładny.

W kogóż więcwdała się?

Wmego teścia.

On znów zażywał bez ustanku tabakę.

Zawsze miał niaposypaną kamizelkę.

Znowu to samo!

Pan każdą drobnostkę zauważy!

Możetkwi w panu talent pisarski?

Mam pewne słabenadzieje w tym kierunku.

i Wilmottzaczernieniał się.

Niech je pan żywi i hoduje radziła Adelina .

Niech sięrozrosną żywiołowo!

Nie wierzę w słabenadzieje.

Niesłabyminadziejami.

zdobyłam sobie Filipa!

Wzmianka o Filipie podziałała jak tłumik na zwierzenia Wilmotta.

Zdawałomusię, że czuje obecność Filipa w pokoju.

I zaraz rzekłszytno:

Nie powinienem był mówić pani tego wszystkiego.

A dlaczego?

Na cóż byłaby przyjaźń wtakimrazie?

Pani pogardzamną.

Czyżmogłabym pogardzaćprzyjacielem?

Jamesie Wilmott, jest pan jedynym moim przyjacielem w tym kraju -mówiła toprzymilnie, by wzmóc jegoprzyjaźń i ożywić ambicję.

Lecz nagle

dodała spiesznie: Ale czy to jest aby pańskie prawdziwe nazwisko?  
Skinąłpotakująco głową.  
Ale czy pan na pewno niekłamie terazznowu?  
uśmiechnęła się do niego pieszczotliwie, aby chytrze wyłudzić prawdę.  
Zasłużyłem na to!  
rzekł.  
Ale tym razemmówię prawdę.  
Powinienem był może zmienić nazwisko, skoro uciekłem odniej.  
Uciekł pan?  
Dobrzepan zrobił!  
Jakże sięcieszę, zrzuciłpan tę nieznośną zrzędę!  
Jak pan to zrobił?  
Od pięciu lat wiedziałem już, że się tym skończy.  
Postanowiłem jednak, że nie zostawięjej w nędzy.  
Mogę panią zapewnić, że nie oszczędzałemsię!  
Przez te pięć lat nie wiedziałem, co to odpoczynek, żyłem w ciągłym napięciu nerwów!  
Wreszcieprowadziłemswoje interesy do stanu, jaki wyznaczyłem sobie.  
Henriettajest właścicielkądomu, w którym mieszka, i będzie miała, prócztego,przyzwoity  
dochód.  
Wszystko jestprzepisane na jej nazwisko.  
Potem napisałem do niejlist, że jadę na Wschód, by tamspędzić resztę życia, że już nieusłyszysz  
o mnie więcej.  
W biurzewzięłaemygodniowy urlopną przejażdżkę do Paryża.  
Ikupiłemnawet bilet do Paryża!  
Ale pojechałem do Liverpoolu, stamtądokrętem do Irlandii, a resztę to pani jużwie.  
Czypani myśli, żeona mogłaby mnie wytropić co?  
Nigdy!  
Nie wytropi pana nigdy!  
Jednak wolałabym, żebypan zmienił nazwisko.  
Jakoś nie mogłem wyobrazić sobie siebie inaczej, niż jakoJamesa Wilmotta rzekł,  
wstając.  
Zaczął teraz przechadzać siępo izbie.  
Żeby pani wiedziała, jaką radością jest dla mnie tonowe życie!  
Że jestem wolny i sam!  
Czasem umyślniezostawiamtęizbę w najstraszniejszym nieporządku po prostu, żeby  
udowodnić sobie, że jestem wolny!  
Czuję się, jak więzień wypuszczony z kaźni!  
I jużnie potrzebuję natężyć ciągleumysłu w jednym kierunku.  
Kiedy tak siedzę w czółnie i łowię ryby namojejrzece, umysł mójprzez długie godziny jest jak  
biała, czysta karta.  
Przeszłośćzaczyna wydawać się mi snem.  
Wszyscy będziemy szczęśliwi tutaj rzekła Adelina kocham ten kraj!  
A terazproszę mi pokazać pańską krowę.  
Itegomłodego Indianina, który pracuje u pana.  
Muszę go zobaczyć!  
Iświnie, i tę olbrzymią rybę, którą pan złowił!



W miarę jak upływało lato, ściany domu wyrastały z fundamentów, wysokie i silne. Idąc za radą Dawida Vaughana, Filip ofiarował płace tak wysokie, że przyciągnęły samych dobrych murarzy i cieśli.

Zamówił cegły w najlepszym gatunku i z nich wzniesiono ściany, napodmurowaniu z kamienia.

Cegła miała piękny, czerwony ton, który z czasem miał nabrać miękkości i soczystości ciemnoczerwonej dalii.

Sutereny były też wyłożone cegłą i mieściły w sobie obszerną kuchnię, dwa pokoje dla służby, spiżarnię, piwnicę, węgiel i wino.

Żaden dom w okolicy nie posiadał piwnicy na wino, a Filip obiecywał sobie jeszcze, że jego piwnica będzie dobrze zaopatrzona.

Przestudiował katalogi win rozmaitych firm i już przesłał duże zamówienie do tej, która wydała mu się najgodniejszą zaufania.

Nie żeby był pijakiem; nie zdarzyło mu się nigdy stoczyć pod stół po pijanemu, jak to zdarzało się niejednemu z jego przodków w czasach, kiedy nie przynosiło to ujmy dżentelmenowi.

Filip naprawdę dbał o swoje zdrowie; nie miał najmniejszej ochoty nabawić się podagry, stać się kiedyś stetrycznym staruszkiem, jakim pamiętał swego dziadka.

Podczas gdy rosły ściany domu, cała armia drwali karczowała grunty wokół.

Usuwanie drzewa, dające szlachetny materiał, by przygotować miejsce pod zbożowe łąki.

Ponieważ nie było gdzie pomieścić wszystkiego tego drzewa ani też sposobu zużycia go, gdyby dało się je przechować, przeto dużą jego ilość przeznaczono po prostu na spalenie.

Leżało teraz, czekając na swój ostateczny, który miał dokonać się w jesieni, kiedy nie istnieje już niebezpieczeństwo pożaru lasu.

Odrąbano olbrzymie konary i okryte jeszcze zielonymi liśćmi gałęzie i układano je w osobne stosy; gniazda ptasie leciały przy tym we wszystkich kierunkach, liście miazdzone zaścielały ziemię, a bujne pnącza wszelkiego rodzaju, które owijały bogatymi splotami pnie i konary, wyrwane teraz z korzeniami i poszarpane, zwisały powiedle, dzie 157.

łąc klęskę drzewa.

Chmiel i dzikie wino wędły z gorąca, darמושukając, o co by zaczepiły zielone wąsy i wiotkie łodygi.

A z ranwpniach olbrzymów leśnych ciekła żywiczna posoka, sycąc powietrze ostrym, smolnym zapachem; dzięcioły goniły po pniach naczepiowych łapkach, żarłocznie łykając miriady owadów gnieźdzących się w korze powalonych olbrzymów.

Dzikie królikii jeżekryły się w poobcinanych gałęziach; podczas południowego odpoczynku robotnicy, dla zabawy, wylapywali je iubijali.

Niektórzy z nichporobili sobieproce i doszli do mistrzostwa w strzelaniu z nich do ptaków wiewiórek, choć Adelina nie hamowała swegoostregojęzyka, ilekroć przyłapała ich na takiej zabawie.

I tak, zjednej strony na budowaniui tworzeniu, z drugiej naniszczeniu i zabijaniu upływaływ pogodnej kolejności letniednie.

Pierzaste liście sumaku zczerwonych stały się brązowe; kiściejarzębiny dojrzały i wisiały, jak purpurowe plamy krwi wśród zieleni listowia, bezpieczne jednak przed żarłocznością ptasią dziękicierpkości swych jagód.

Borowiki wystrzeliły całymi koloniami naoczyszczonym gruncie; gdzie indziej bielily się grubymi czapami jadalne pieczarki, o podszewce z różowawych, delikatnych blaszek

i piękni ich pobratymcy, na smukłych korzonkach stojące, psiepieczarki, z postrzępionymi w frędzle parasolami kapeluszy.

Śmierć czaiła się w śnieżnobiałych ich parasolach, tak jak czyhaław karmazynowych i purpurowych muchomorach.

Często na stoleu Vaughanów zjawiały się smażone dania z pieczareki innych jadalnych grzybów.

Adelina nigdy w życiu nie cieszyła się takim apetytem, jak teraz.

Pewnego dnia na początku września Adelina i młody Robert Vaughan wybrali się razem ścieżką, która powstała w ciągu lata, łącząc Vaughanlands z budującą się siedzibą Whiteoaków.

Przecinała ona płaskie pole, pokryte terazzłoto-rudym ścierniskiem

pobogatym z niwiejęczmienia potem biegła przez las mieszany dębów i sosen, poczym

schodziła stromo po ścianie parowu, gdzie strumień w obecnej porze zasługujący nieledwie na to miano

mknął chyżo po skrzącym siępiasku i płaskich kamykach.

W miejscu, gdzie zwęzał się między zielonymi brzegami, rzuconoprzezeń prowizoryczną kładkę z belek.

Ostra woń żywicy, sączącej się z nasyconych nią belek, mieszała się z wilgotnym zapachem ziemi w głębi parowu.

Stawiając kroki na tej dróżce, Adelina miała zawsze szczególnie żywe odczucie wielkiej przygody, jaką przeżywała.

Z dumą uprzytamniała sobie, że tej ścieżce teraz tak

158

starannie oczyszczonej z krzewów i znaczącej się tak wyraźnie odciskiem tyłu nóg, które wyryły w niej swój ślad ona i Filip swym stopami dali pierwszy zarys.

Miejsce, gdzie teraz biegła, byłowówczas dziewicze, nie ruszone stopą człowieka, a ona i Filip zrobili z niej to, czym była dziś, to jest pasmem, łączącym dawne ich życie z dzisiejszym.

Przechodziła nią w każdą pogodę piękna, czysta i zdrowa.

A dziś, w ten wrześniowy dzień, myślała, że nie widziała jej nigdy jeszcze tak przyjazną, tak gościnną.

Pora komarów już minęła powietrze miało w sobie nieledwie dotykającą słodycz.

Pełno w nim było ptasiego świergotu, bo młode pokolenie przyłączało już swe głosy do rodzicielskiego chóru.

A strumień szemrał miarowo, nieprzerwanie.

Kiedy przechodzili przez kładkę, młody Vaughan podał jej ramię, by przeprowadzić ją. Adelina mogła całkiem dobrze przejść po kładce sama i nieraz już tak robiła, nawet gdy kładka była śliska i ociekała deszczem.

Lecz teraz oparła się silnie na ramieniu chłopca i ręką uchwyciła jego dłoń.

Zbudujemy z czasem drewniany mostek mówiła.

Wtedy nie będzie pani już potrzebowała mojej pomocy.

rzekł, przyciskając lekko jej ramię do swego.

Ale teraz przydała mi się bardzo.

Żeby pani wiedział począł mówić, czerwieniąc się czym obecność pani tutaj jest dla mnie!

Nim pani przyjechała, nie wiedziałem naprawdę, co począć ze sobą!

Wie pani, nie oswoiłem się jakoś jeszcze naprawdę z rodzicami.

Żeby być szczerym, to mam uczucie, że znam panią lepiej od nich.

Bo ze mną łatwo można się żyć.

Nie, to nie to!

Ja czuję, że pani rozumiemnie, pani jednarozumie mnie tutaj!

Bardzo pan jest miły, Bobby!

Drażniło to do żywego rodziców Roberta, kiedy Adelina nazywała go zdrobniale "Bobby".

Usiłowali okazać swoje niezadowolenie, podkreślając naciskiem jego prawdziwe imię, ilekroć zwracali się doń.

Lecz Adelina, czy nie zauważała tego naprawdę, czy też jak przypuszczali państwo Vaughan przekorność jej znajdowała przyjemność w robieniu imna złość.

Teraz oboje zaczęli się piąć w górę przeciwległą ścianą parowu.

Matka moja była trochę niezadowolona dziś rano mówił chłopak.

159.

Mam nadzieję, że powodem tego niezadowolenia nie byłocoś, co zrobiłam ja albo mój mąż, albo któreś z moich dzieci, albo mój pies, albo moja koza!  
przerwała mu.

Nie!

Nic podobnego!

To z powodu jednej z naszych kuzynek, Daisy Vaughan.

Przyjedzie do nas a matka wolałaby, żeby nie przyjeżdżała, właśnie teraz.

Czemu więc nie napisze do niej, żeby się wstrzymała z przyjazdem?

Nie może.

Ojciec uważa, że powinniśmy przyjąć Daisy.

Jest jedyną córką brata ojca i sierotą.

Mieszkała dotąd u krewnych z strony swej matki w Montrealu.

Posprzeczała się z nimi i napisała patetyczny list do ojca.

Więc ojciec zaprosił ją, by przyjechała na kilka miesięcy do nas.

Przyznam się rzekła Adelina że to jest raczej niemiłe.

Dom i bez tego pełen jest ludzi ja i moim zabieramy dość miejsca.

Nie dziwię się, że pana matka nie jest zadowolona.

Jakoś sobie poradzi.

Matka zawsze daje sobie radę!

Czy pan zna tę Daisy?

Tak.

Bywałam w domu jej ciotki w Montrealu.

Było tam kilka córek.

Nie wydaje mi się, żeby między nią a nimi były najlepsze stosunki.

Czy jest natrętna, albo zuchwała?

Jeśli tak, to ja potrafię przyciąć jej nosa!

Jest prawie w wieku pani, ma około dwudziestu pięciu lat.

Jest efektowna, ale według mnie nie jest interesująca.

Jeśli mam powiedzieć prawdę, to perspektywa jej przyjazdu jest mi niesłychanie przykra.

Do tego jeszcze myśl, że rok na uniwersytecie zacznie się niedługo i że będę musiał wyjechać.  
mówił to, zwróciwszy ku Adelinie swoją wrażliwą, chłopięcą twarz i patrząc jej w oczy.

Niech pan się nie martwi, Bobby!

, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi i zawsze z nimi zostaniemy.

Nie myślę o tym, co będzie odrzekł.

To, co jest dziś, przedstawia wartość dla mnie!

Ale pani bierze lekko to, co ja czuję.

Naprawdę, tyle pani o niego dba, co o zeszłoroczny śnieg!

A właśnie, że dbam!

Jestem tu obcym przybyszem.

Pan dużo zrobił, żeby mi czuć się dobrze protestowała, patrząc na swymi szeroko otwartymi, orzechowymi oczyma.

Cóż to za sposób gadania, Bobby!

Gdyby pan miał więcej doświadczenia życiowego, nie martwiłby się pan takimi rzeczami!

160

To właśnie cały kłopot odparł posępnie że nie mam doświadczenia!

Panią zajmują tylko ludzie, którzy mają za sobą dużo doświadczeń.

Na przykład pani przyjaciel Wilmott, który tak się nosi dumnie, jakby kij połknął!

A cóż pan wie o nim?

O, nic tylko tyle, że można się po nim spodziewać dziwnych rzeczy.

Nie mogę go znieść!

Tymczasem doszli do szczytu stromej ściany; byli nieco zdyszani, bowiem wspinając się w górę nie przestali ani na chwilę rozmawiać.

Przed nimi ukazały się ściany domu, nie okryte jeszcze dachem.

Okna, bez ram, ziały pustką wnętrza; nie wykończone podłogi bieleły się deskami podkładów.

Z obu stron dom upiętrzyły się sterty cegieł i żwiru.

Stosy pachnącego świeżością budulca leżały, gotowe do użycia.

Robotnicy mieli właśnie godzinę przerwę południową po spożyciu posiłku wypoczywali.

Leżeli wyciągnięci na ziemi lub na deskach, z wyjątkiem dwóch Francuzów-Kanadyjczyków.

Byli to specjaliści w obróbce budulca, których wysokie płace, zaoferowane przez Filipa, ściągnęły na budowę.

Teraz, jakby nie dość jeszcze mieli całodziennego ruchu przy pracy, puścili się, z wielkim zacięciem rozmachem, w tany.

Podskakiwali, przytupywali, wirowali, wykonując skomplikowane kroki, strzelając palce i błyskając białymi zębami w uśmiechu.

Jeden z nich, w średnim wieku, miał czerwoną chustkę, owiązaną wokół chudej szyi, na której występowały ścięgna, grube łąksznury; drugi, młody, przystojny chłopak.

Jęczmiej zwinny, niedorównywał w tańcu starszemu koledze.

Przygrywał im dotąd castary człowiek, siedzący na szerokim pniaku sosnowym.

Był to Skrzypek Jock.

Spodziewał się, że nowi właściciele każą mu się wynosić z jego rudery w lesie.

Lecz Whiteoakowie, zainteresowani jego niesamowitością, pozwolili mu pozostać.

Filip podarował mugontów na naprawę przeciekającego dachu i nieco nowych szyb, by zastąpić wybite w ramach okiennych.

Nikt nie wiedział, skąd ta chałupa wzięła się w lesie; prawdopodobnie wybudował ją jakiś osadnik, który dawno już umarł lub wyniósł się tego odludzia, znudzony samotnością.

Adelina nazwała ją "Chatą Skrzypka".

Zobaczywszy go teraz, zawołała:

Brawo, Jock!

Jakaż to skoczna melodia!

Graj dalej niech tańczą!

Stary człowiek kiwał żywo głową do taktu i, puściwszy z rozmachem smyczek po strunach, przyśpieszył jeszcze rytm tańca,

11 Budowa Jalny

161.

tak że stopy tancerzy zdały się opętane szalem.  
Robert Vaughan jak zwykle w takich okolicznościach nie wiedział, czy śmiać się, czy gorszyć.  
Postępowanie Adeliny z ludźmi wprawiało go zawsze w zakłopotanie.  
Nie byłby jej pragnął widzieć inną, niż była, lecz odczuwał z przykrością fakt, że takie  
nieliczenie się z konwenansami narażało Adelinę na krytykę sąsiadów.  
„Niech diabl biorą ich nakrochmalone maniery!  
Ona jest doskonała!  
" mówił sobie.  
Niemniej Adelina wprawiała go często w zakłopotanie.  
Francuzi usiedli wreszcie, bez tchu.  
Stary Szkot Jock ujął blaszany kubek z herbatą i przytknął go do niewidzialnych ust, bowiem  
dolna część jego twarzy była zakryta gęstwą siwiejącej brody.  
Miał na sobie szary Spencer i kraciasty kilt, tak już spłowiały przez lata, że nikt nie odgadłby  
po zestawieniu kolorów, do jakiego klanu szkockiego należał jego właściciel.  
Spod kiltu wystawały gołe kolana, chude i owłosione.  
Zdawał się być tak twardy i trwały jak drzewo, rosnące na zboczu pagórka, lecz z szeroko  
otwartych jego niebieskich oczu wyzierała tęsknota i mała melancholia samotności.  
Adelina klaskała w dłonie.  
Powinieneś zagrać im jakiś irlandzki taniec, Jock!  
zawołała.  
Gdyby usłyszeli irlandzką melodię, zagrana na irlandzkich piszczałkach, dopiero byś widział,  
co znaczy taniec!  
Nie ma bardziej ognistych melodii jak szkockie odparł z przekonaniem Jock.  
A co do tańca, to założyłbym się, że żaden żyjący Irlandczyk nie zakasowałby tych  
Francuzów.  
O, żebyś widział, jak tańczyli w Galway upierała się.  
Gwizdali do tańca tak czysto i z wawo, jakby ktoś grał na piszczałce!  
Mamy tu dwóch Irlandczyków odrzekł Jock.  
Tyle w nich ruchu do tańca, co w tej bryle ziemi!  
To znaczy, że są z Belfastu ci twoi Irlandczycy i zwróciła się do Francuzów: Jevous  
admire beaucoup!  
Merci madame!  
odkrzyknęli jednogłośnie.  
Czy pani urządzi bal na oblanie nowego domu?  
zapytał Jock Adelinę.  
Oczywiście odparła.  
Chętnie bym wtedy zagrała do tańca moich skrzypkach.  
Nauczę się nawet na tę okoliczność irlandzkiego "gigue", jeśli pani pozwoli.  
Zamawiam cię więc 7 miejsc na grajka!  
162  
Ani grosza nie wezmę, proszę pamiętać.  
To będzie wywdzięk za to, coście dla mnie zrobili.  
Kiedy oddalili się od pracujących, by podejść do domu, Robert wybuchnął:  
Nie może pan pozwolić, żeby ten człowiek grał na przyjęciu u państwa!  
Dopiero by ludzie plotkowali!  
Ależ on gratuluje na wszystkich weselach i chrzcinach!  
zdziwiła się.  
Ale nie u ludzi pani sfery.  
A kim my jesteśmy?

Prości emigranci oświadczyliainiczym nie chcą różnić się od innych emigrantów.

Kapitan Whiteoak nie zgodzi się nigdy na to!

Zobaczymy!

Weszli po prowizorycznych schodach i stanęli przed pustą ramą wejściowych drzwi.

Lecz Robert nie rozchmurzał się.

Kobieta wywierza duży wpływ na mężczyznę rzekł.

Uśmiech wyłoblił dołeczki w policzkach Adeliny i znikł.

Jeżeli kobieta jest tą.

Jedyną", "wymarzoną", nie macie nic przeciw temu,co? zapytała.

Taka kobieta owinęłaby mnie sobieokoło palca! oświadczył.

Musimy więc rozglądać się za taką.

Ale niech sobie pannie da zawrócić głowy, póki nie obejrzą jej.

Chodźmy, Bobby obejrzymy dom.

Wzięła go za rękę i wprowadziła do środka.

Czyż nie jest to uroczo?

Poprzedniego dnia oglądali dom również; lecz od wczoraj dodziś wmurowano belki i dodano kilkanowych rzędów cegieł wokoło; od wczoraj do dziś zaprawa między wczorajszymi rzędamimusiała stwardnieć, a wszystko to było niezmiernie zajmujące! Ściany nie dźwigały jeszcze żadnego ciężaru,prócz eterycznej kopuły nieba; stałyproste i masywne, jakby w oczekiwaniu gotowe wziąć na siebie i podeprzeć ciężar, który miano nałożyć na ichbarki.

Czyż to nie jest urocze!

powtórzyła Adelina .

I pomyśleć: wszystko, co dzie siębędzie w tych ścianach!

Ta myśl wystarczy, bystrachem przejąć człowieka!

Jakby to było dziwnie,gdyby architektprzynosząc nam plan tego domu, stawił przed nasze oczy, również wzarysie, wszystko, co nas w nimczeka!

Nie jestpowiedziane, że pani spędzi resztę życia w tym domu!

Może pani przyjdzie ochota przenieść się gdzie indziej, w in 163.

na stronę Kanady, albo w ogóle wrócić do Starego Kraju.  
Wielu już zrobiło tak.

Nigdy!

Ani Filip, ani ja!

Przyjechaliśmy tu, żeby tu pozostać.

I kości nasze złożymy w Kanadzie!

A Jalna będzie naszym domem na zawsze!

nagle oczy jej napęliły się łzami.

Czypan wie, Bobby, że w tej chwili po raz pierwszy nazwałam ten dom " Jalna ", całkiem naturalnie i po prostu.

Teraz już nazwa tanależy doniego, tak jak należymy Filip i ja!

Lecz uwagę młodego Vaughana zaprzętała w tej chwili postać, zgięta we dwoje, zajętą z wzniesionych do połowy wewnętrznych ścian.

Przycisnęła lekko ramię Adeliny i wskazując na postać szepnęła;

Tam za ścianą jest jakiś Metys, pewnie kradnie coś, przypatrzmy się.

Przysunęli się cicho do ściany, by dostrzec, jak chłopiec napęlił kieszenie gwoździami śrubami, czerpiąc je ze skrzynki, w której cieśle trzymali ich zapas.

Kiedy zobaczył, że obserwują go.

nie śpiesząc się wcale, wyprostował się i patrzył chłodno w ich oczy.

Musiał być mniej więcej w wieku Roberta.

Był szczupły i bardzo smagły.

Rysy jego, delikatnie rzeźbione, były zdumiewającej piękności; twarz orlego, indiańskiego typu, lecz o konturach nieco bardziej łagodnych; policzki miały cieplejszy ton, a włosy zamiast szorstkie i proste, jak u Indian, były miękkie i w lokach opływały szczupłą jego twarz.

Ubrany był w lachmany.

Cóż torze kła Adelina na ładnych sprawkach chwytamy cię.

Ja pracuję upana Wilmotta odrzekł grzecznie budując mu kurniki zabrakło mi gwoździ.

Pomyślałem, że cieśle tutejsinie będą mieli nic przeciwtemu, jak wezmę sobie parę.

Twoje szczęście zauważył Robert że nie oni chwycili cię na tym!

To dla pana Wilmotta powtórzył Metys, patrząc uparcie na Adelinę .

Ta podeszła żywo do niego.

Bierz wszystko, czego ci potrzeba zawołała.

Tu masz gwoździe wszelkiego rodzaju i każdej wielkości.

Pokaż, jakie już wzięłeś?

Ociągnął się chłopak wyjął z kieszeni kilka sztuk, na pokaz.

Ależ to mało!

i pochyliła się nad skrzynką.

Patrz, tu jest kawał płótna; rozłóż je.

Czy przydałyby ci się te śliczne za 164

wiaski i haczyki?

A tu znów jakiś taki cudaczny przedmiot, ale musibyć do czegoś potrzebny.

Chłopak ukląkł skwapliwie obok niej i zaczął zagarniać wszystko, co wpadło mu w oko.

Na litość boską!

zawołał Robert.

Niechże pani daspokój!

Cieśle dobrze wiedzą, ile mają zapasu i mogą potrzebować tego!

To kupimy im nowe odparła Adelina .

Zresztą tu są całe tony gwoździ.

Cóż znaczy ta odrobina, którą bierzemy?



Metys zręcznie zrobił węzełek z płótna napelnionego gwoździami i wysunął się cicho  
lecz, nim znikł, uśmiechnął się z wdzięcznością do Adeliny .

Dziwiłbym się zaczął Robert gdybyw ciągu dwóch dni nie znikło stąd wszystko, coda  
się ruszyć z miejsca!

Ilu złodziei jest w okolicy, wszyscy zbiegną się do tego domu!

Przecież mówią, że Indianie są uczciwi.

Pański ojciec nawet mówił mi to.

Ale nie Metysi.

Proszę mi powiedzieć, co pan wie o tym chłopcu.

Wiem niedużo.

Tyle, że nazywa się Tytus Sharrow.

Nazywają go Titisz.

To nicpoń.

Nie rozumiem, dlaczego ten Wilmott przyjął go nasłuchującego.

Bo mówili mi, że sypia nawet u niego.

Skąd on się wziął?

Czy rodzice jego żyją?

Nie przypuszczam.

Ten chłopak ma jedną czwartą francuskiej krwi w sobie.

Ojciec jego matki był francuskim Kanadyjczykiem.

Hańba doprawdy, jak ci ludzie obchodzili się z kobietami indiańskimi!

Ten chłopak jest uroczy!

No! Wie pani!

Taki epitet w odniesieniu do Metysa i złodzieja!

Ależ on nie kradł!

Więc pani myśli, że pan Wilmott przysłał go tu po gwoździe?

Pewnie!

zawołała trochę porywczo, jak gdyby kwestionowaną uczciwość Wilmotta albo jej przyjaźń  
dla niego.

O, nadchodzi tu kapitan Whiteoak .

Opowiedzmy mu o tym!

Na litość boską.

Nie!

Ani słowa o tym, proszę!

Filip rzeczywiście zbliżał się do nich.

Adelino wołał z daleka mam masę rzeczy do omó165.

wienia z tobą!

I zachwilę zagłębili się w roztrząsanie całej masy pasjonujących szczegółów, tyjących się budowy.

Upłynęły dwutygodnie ibratanica państwa Vaughanów zjechała do nich.

Był to gość niepożądany dla wszystkich.

DawidVaughan widział ją po raz ostatni jako dziesięcioletnią dziewczynkę.

Skąpe wiadomości, jakie miał o niej od tego czasu, nie były zachęcające.

Wiedział, że przyjazd jej skomplikuje jeszcze bardziej prowadzenie domu żonie a już pobyt Whiteoaków skomplikował je wystarczająco, jak na przeciętną wytrzymałość kobiecą.

Lecz DawidVaughan miał żyworozwinięte uczucia rodzinne.

Daisy była jedynaczką, sierotą po jedynym jego bracie.

Napisaładość wzruszający list.

Cóż mógł zrobić innego, niż zaofiarować jej gościnę w swym domu?

Co zaś do pani Vaughan, to nie zrodziłoby się w jej głowie, że mogłaby sprzeciwić się woli męża; lecz czuła się urażona.

Chodziła w atmosferze hamowanej dobrym wychowaniem urazy, która niby delikatną aureolą otaczała jej głowę srebrzystych włosów.

Adelina ,w tym wypadku, była całkowicie po jej stronie.

Droga pani Vaughan mówiła do niej to już ostatniakropładla pani.

Rozumiem to!

Filip i ja, i cała nasza gromadka toż nadto było dla pani!

A tu jeszcze krewna męża spadająca na kark!

To już dobija panią!

Przyrzekam pani, że jak tylko dojdzie do naszego domu, zwiżamy tu nasze manatki!

Ależ niechże pani da spokój odpowiedziała pani Vaughan.

Dam sobie jakoś radę!

Co zaś do Roberta, to ten miał całkowitą pewność, że Daisy będzie zawsze kręciła się gdzieś w pobliżu, ilekroć będzie chciał pomówić z Adelina .

Jeśli będzie chciała spacerować dwoje, Daisy przyłączy się do nich.

Była to nieznośna, natrętna dziewczyna!

Wszędzie jej było pełno!

Zżymał się na samą myśl o niej.

Jeden tylko Filip poza tym, że z przyjazdem Daisy przybyła jeszcze jedna osoba do i tak już dość rojnego domu nie miał nic przeciw niej.

Samo imię "Daisy" podobało mu się.

Prawdopodobnie ta młoda dziewczyna będzie ruchliwa, wesoła, zabawna.

Zresztą był tak radośnie zaabsorbowany budową domu, że wszystko, co nie tyczyło się jej, obchodziło go mało.

Kiedy więc wszyscy domownicy, nadrabiając minę, wyszli na werandę, by powitać niepożądanego gościa, Filip stał w tyle i z rękami w kieszeniach przypatrywał się nowoprzybyłej.

Nie była ani drobna, ani ładna, jak wyobrażał ją sobie.

I nie

166

była w niczym podobna do kwiatu, którego imię nosiła.

Zaiste nie było w niej nic ze stokrotki!

Lecz, do kaduka myślał Filip że dziewczyna jest, co się zowie, pewnie siebie i wykazuje nie lada oryginalność, sądząc po jej ubraniu!

Możnato było bowiem zauważyć, choć suknienna niej były zmięte i nieświeże po długiej podróży.

Ucałowała stryja i stryjenkę i przedstawiła ją Whiteoak om.

Czyś bardzo zmęczona, droga moja?

zapytała pani Vaughan, która sama wyglądała na osobę mocno przemęczoną.

Ani trochę!

odparła Daisy.

Choć upał był potwornie kurzniesłychany na drodze.

Znajomi, z którymi jechałam z Montrealu, byli na wpół żywi, ale ja, zdaje się, mam podatność kauczuku na wszelkie niewygody!

Mówiąc to, rozwiązała wstążki budki: spod jej kryzy wyglądała żywatwarz dziewczyny i ruchliwe oczy, które pierwszym zaraz spojrzeniem zdawały się pochłaniać wszystko, co mogła dostrzec wokół.

Nie jest podobna do żadnego z Vaughanów, którzy kiedykolwiek chodzili potym świecie!

myślała jej stryj.

Oby tylko nie była kokietką, jak na to wygląda pomyślała pani Vaughan.

Boże!

Jakaż cienka w pasie!

zauważył w myśli Filip.

Brzydka, a leniebezpieczna osądziła ją w duchu Adelina, ależ to szczyrzy zęby, ta pannica!

Lepiej niech się nie zaczepi ze mną!

A głośno powiedziała: Nie jest pani wcale podobna dostokrotki.

Rodzice powinni się być lepiej przypatrzeć pani, zanim wybrali to imię.

Czy mogłaby pani znaleźć nazwę kwiatu, która odpowiadałaby mi lepiej jako imię? odcięła się Daisy, patrząc nanią z ukosa.

Bo rodzice moi chcieli koniecznie nadać mi imię jakiegoś kwiatu.

W Irlandii odparła Adelina, jest polny kwiat, który wieśniacy nazywają "lep na gile".

Stojący obok żony Filip chwycił jej rękę i ścisnął ją gwałtownie.

Miarkuj się!

szepnął i popatrzył badawczo na Daisy.

Adelina wyrwała mu rękę z miną dziecką, które dąsa się i mówi: "Zrobię tak, bo tak mi się podoba!

".

O, niepotrafi mnie pani obrazić!

zaśmiała się Daisy.

Jak już mówiłam: jestem podatna i wytrzymała jak kauczuku!

167.

Nic z tego nie rozumiem wmieszała się pani Vaughan.

Co Adelina powiedziała?

Pani Whiteoak wolałaby, żebym nosiła imię od nazwy jakiegoś kwiatka, który znów bierze nazwę od ptaszka.

O Boże, zapomniałam, jak go zwą matakierude podkreśliłapiórka napiersi.

Mówiąco zdjęła budkę, spod której ukazały się obfite, ciemne włosy, upięte w wymyślną fryzurę.

Pogardliwy akcent, z jakim Daisy podkreśliła słowo "rud e", zapalił ognie na twarzy Adeliny.

Szukała w myśli słów, które by mogła rzucić w twarz nowo przybyłej, a które by jednocześnie nie stanowiąły obrazy dla gospodarzy domu.

Jeśli to do moich włosów.  
zaczęła.

Na Boga!  
zawołał w tej chwili Filip.  
Mikołaj zleci zeschodów!

I rzucił się "na schody, skacząc po trzy stopnie naraz, i złapał dzieciaka, który, z wabionym poruszeniem na dole, przyrzekał do schodów, by zobaczyć, co się dzieje. Po czym Filip zbiegł na powrót do hallu, trzymając Mikołaja wysoko, by go zaprezentować gościowi.

Copani myśli o tym ułamku?  
pytał.

Ma dziewięć miesięcy!  
O, cóż za aniołek!  
unosila się Daisy Vaughan.

Mikołaj nie wiedział, co to nieśmiałość.

Siedział na ramieniu ojca, kręcone włosy zjeżyły mu się na głowie w koci grzebień i uśmiechał się szeroko do Daisy.

Był uosobieniem zdrowia i dobrego samopoczucia.

Kiedy Daisy wyciągnęła rękę do niego, dał się wiać chętnie i począł z bliska przyglądać się z wielką uwagą jej twarzy.

Była to twarz krótka, z szeroko rozstawionymi kośćmi policzkowymi, z przymrużonymi, skośnymi nieco oczami i zadartym nosem.

Usta, szerokie i pełne, świeciły białymi jak mlekozębami.

Kiedy dolna warga spotykała się z górną, co nieczęsto się jej zdarzało, broda cofała się nieco, lecz nie na tyle, aby zniekształcić twarz.

Daisy była szczupła, ale nie koścista.

W pasie była rzeczywiście nie do wiary cienka.

Ten właśnie szczegół jej osoby Adelina obrzuciła jadowym spojrzeniem; niedawno bowiem przekonała się, że miała mieć znowu dziecko.

Widok tej osiej talii, wobec perspektywy tego, co ją czekało, wystarczył, by zapalić jej wściekłość.

168

Nie znam się zgoła na dzieciach mówiła Daisy alechyba nie widziałam nigdy piękniejszego maleństwa!

Czy to jedyne pańskie dziecko?

zapytała, podnosząc na Filipa oczy.

„Mamy też córeczkę odparł.

Jest tam, na górze, z

[niańką.  
To piękne!  
A ileż ma lat?  
Nie powiem pani dokładnie.  
Adelino , ile Gussie ma lat?  
Żebyś mnie zabił, to nie wiem odrzekła Adelina cierp!  
ko. Ale co wiem, to to, że jąurodziłam!  
Powiedziała to cicho, byniezgorszyć pani Vaughan, która zaraz wykrzyknęła:  
Gussie jest przemiłai taka mądra!  
Zaprowadzę cię teraz dotwego pokoju, Daisy, i może cośzjesz potem dodała.  
Dawid Vaughan poszedłdo jadalni po flaszkę sherry.  
Robertpodążył za matkąi Daisy na górę, niosąc neseser kuzynki.  
Whiteoakowie zostali sami w hallu.  
Filip trzymał znów Mikołajanarękach.  
Spojrzał surowo nażonę i rzekł:  
Tak jakbyś chciała umyślnie kompromitować się.  
Licz się ztym, że Vaughanowie nie są przyzwyczajeni do takich rozmówek!  
Adelina spokojnie owijała lok swoich rudych włosów wokołopalcai odpowiedziała nieporuszona:  
Przyzwyczajają sięwięc do nich, zanimopuszczę ich dom.  
Może będziesz musiała opuścićgo w takim razie wcześniej, niż zamierzasz.  
Jestem przygotowana na wszystko!  
odpowiedziała, zapalając się już.  
A gdzież, myślisz, mogłabyś udać się, skoro dom nasz stoijeszcze bez dachu?  
Mogłabym zamieszkać u pana Wilmotta odpaliła, patrząc na niego szelmowsko.  
Filip zaśmiał się.  
Właśnie widzę już, jak Wilmott dałbysobie z tobą radę!  
Widać, że mało go znaszodparła.  
Dziwneco najmniej jest to powiedzenie.  
Czemu?  
Można bywywnioskować zniego, że znasz go szczególniedobrze.  
Znam się lepiej na charakterachludz.  
kich, niż ty.  
Ty, Adelino , skaczesz zaraz do konkluzji.  
Upatrzyłaś sobie  
169.

coś, całkiem bez powodu, przeciw tej Daisy Vaughan.  
Co domnie, zdaje mi się, że jest to interesujące stworzonko.

Pewnie!

A czemu?

Bo kokietuje cię!

Nie spostrzegłem wcale, żeby mnie kokietowała rzekł Filip, lecz widać było, że oświadczenie żony nie było mu niemiłe.

Och, Filip!

, jakty nie umiesz kłamać!  
zawołała.

W tej chwili Mikołaj wychylił się z rąk Filipa, żeby objąć Adelinę za szyję, wskutek czego głowy męża i żony znalazły się bardzo blisko siebie.

Wszedł na to z jadalni Dawid Vaughan.

Mam nadzieję, że panienie zabawią za długo na górze.

--I zaraz dodał: Jakąż śliczną grupę rodzinną tworzycie!

Zdajemy się, że Mikołaj czuje się o wiele lepiej, odkąd skrócono mu sukienki.

Rusza się o wiele swobodniej.

I więcej jeszcze broi wskutek tego rzekł Filip.

A Mikołaj tymczasem wsadził sobie w usta palec matki i ugryzł go.

Adelina wycierpiała ból ze spokojem; wiedziała, że chodź o wyklucie się nowego zęba!

## XI. Dach

Cudownie było patrzeć, jak dach zaczynał rosnąć ponad ścianami!

Jak najcudowniejsza muzyka, brzmiało ustawiczne tak-tap pobijających go cieśli, bacznie dopasowujących jeden gontw fugę drugiego.

Gonty były nowe, czyste i pachniały rozkosznie.

Robotnicy wspinali się naszczytowe ściany i pracując sunęli w dół, aż do okapu.

A wyżej, ponad wszystko, wystrzeliło pięć wysokich kominów nie pokalanych jeszcze dymem w oczekiwaniu na pierwszy płomień, zapalony na ognisku.

Dom nabrał już teraz fizjonomii domu usprawiedliwiał swe miano i dawał rękojmię ochrony.

Rysowała się na tle barwnego, jesiennego listowia, jak coś nowego i niespożytego, mającego zajmować odtąd należne miejsce w krajobrazie.

Nie miał jeszcze okien ani drzwi, nie wszędzie miał też jeszcze podłogi; ściany wewnętrzne nie wszystkie były wyciągnięte, lecz kiedy już raz dach załamał swą linię nad nim, dom przemówił po raz pierwszy.

Adelina i Filip potrafili stać, trzymając się za ręce i patrzeć nań w niemym podziwieniu.

Przez całe pokolenia tak jej, jak i jego rodzina żyły w starych domach, obciążonych tradycją przodków.

Jalna była jej i Filipa nikogo więcej!

Robert wyjechał na uniwersytet.

Stał się tak, jak przewidywał: Daisy popsuła mu ostatnie dni pobytu w domu.

Szczupła igietka jej figurka potrafiła wślizgnąć się wszędzie.

Miała coś dopowiedzenia na każdy poruszony temat, i choć starała się aż nadto usilnie by przypodobać się tym, co mówiła, często jakaś grzytliwa nutka, jakieś jadownicze słówko wślizgnęło się w jej mowę.

Adelina utrzymywała, że we wszystkim, co czyniła i co mówiła, tkwiła złośliwość.

Filip upierał się przy twierdzeniu, że Daisy była "interesującym stworzonkiem", wbrew swoim zwyczajom starał się być szczególnie przyjemny dla niej, aby jak mówił wynagrodzić chłód, jaki okazywała jej Adelina.

Ta zaś dowodziła, że Filip czyni to, ponieważ Daisy kaptuje go pochlebstwami.

Gdyby Daisy była wątłą istotką, Adelina łatwiej strawiłaby ją.

171.

Ale Daisy była giętka, silna i starała się we wszystkim naśladować Adelinę .  
Jeśli Adelina przechodziła szybkim krokiem przez prowizoryczną kładkę na strumieniu,  
Daisy puszczała się przez nią pędem.  
Piszcziała ze strachu, alebiegła!  
Jeśli Adelina wybrała się do lasu, by zbierać wielkie, lśniące, jak z czarnego  
szkła, ożyny, Daisy towarzyszyła jej i idąc tą samą, co ona drogą, wyprzedzała ją o parę  
kroków i zrywała najpiękniejsze jagody.  
Adelina miała wstręt do węży.  
Daisy okazywała chorobliwe upodobanie w nich.  
Żeby się popisać przed robotnikami, potrafiła podnieść z ziemi młodego węża, chwyciwszy go  
za ogon.

W pewnym oddaleniu od domu stawiano olbrzymią stodołę.  
Filip zamierzał wybudować później stajnię, narazie stodoła miała służyć za schronienie  
dla koni i bydła.  
W pewien piękny dzień babiego lata Adelina, w towarzystwie Daisy, wybrała się, by  
obejrzeć ją.  
Ażurowy szkielec zrębu stodoły rysował się naciemnym tłem jodeł i sosn, przetykanym  
gdzieś, niby strzępem łuny, kępką poczerwieniałych jaworów.  
Stosy budulca leżały wokoło, napełniając powietrze rozkoszną wonią żywicy.  
Grubetrzaski i kliny sosnowe wały się wszędzie po ziemi, mieniąc się różowo, jak wnętrza  
morskiej muszli.  
Płaty kory leżały rozrzucone na pasmach mchu i pogniecionych liściach paproci.

Była to pora odlotu ptaków i nagle stado jaskółek usiadło na rzębie stodoły, by  
wytchnąć.  
A że to była niedziela, robotników nie było na budowie.  
Panowała cisza, jakby zrodzona w prehistorycznych czasach ludzkości, przerywana tylko  
świergotem tysięcy jaskółczych gardziołków.  
Bo, istotnie, można je było liczyć na tysiące.  
Siedziały na żerdziach rusztowania, jeden przy drugim, tuląc się do siebie jak najciaśniej, tak  
że zmieniły świeżo ociosane żerdzie, z białoróżowych na ciemne pasy.  
A pod każdą z żerdzi zwisały, niby czarne frędzle, symetrycznie ułożone widlasteich ogonki.  
Tylko kilka z nich spełniając widocznie misję przewodniczek czy strażyczek w powietrzu.  
Kiedy te ostatnie ujrzały zbliżające się dwie młode kobiety, czy to głosem, czy znakiem jakimś,  
powiadomiły o tym towarzyszkę, bowiem wszczął się lekki ruch między zmęczonymi  
ptaszynami.  
Lecz niezaalarmowało ich to; siedziały dalej, czując się bezpiecznie.  
Bo przecież istnieje przymierze między jaskółką a człowiekiem: czyż te czarne ptaszyny nie  
są opiekunkami ziarna na jego roli, kwiatu i owocu w jego ogrodzie?  
Czyż nie są zawsze gotowe zwalczyć każdą plagę szkodliwych owadów, zagrażającą plonom i  
zbiorom?

Te tysiące

172

ostrych dzióbków, błyszczących, czarnych oczek i rącznych skrzydeł lekko czyhają tylko  
na tę sposobność!

[ Adelina podniosła trzaskę sosnową i podrzuciła ją w górę.  
Ruch ten obudził żyłkę niszczycielską Daisy; zaśmiała się i zaczęła  
; rzucać trzaskami w siedzące na żerdziach ptaki.

Te, początkowo zdziwione, pochyliły główki, by zobaczyć, skąd idzie atak;  
potem zerwały się naraz.



Wszystkie belki rusztowania i wszystkie żerdziezrębu opustoszały w jednej chwili.  
A jaskółki zerwawszy się, zbiły się w istną chmurę, pełną trzepotu i świergotania; jak od wiatru

; powietrzeszumiało od ichlotu.

Zataczały jeszcze koła nad ni?

mi, lecz lot ich zorientowany był stale na południe.

Nie odlatujcie!

Nie odlatujcie!

wołała do nich Adelina izwróciła się gniewnie do Daisy:

Czemu je pani przestraszyła?

To przyniesienieszczęście stodole.

Zrobiły tu postój chciały wypocząć a teraz odlatują!

k Pani pierwsza rzuciła trzaskę, pani Whiteoak .

IJa tylko rzuciłam maleńki kawałeczek, żeby zobaczyć, czyl zauważą nas.

Ale panirzucała ciągle, bez ustanku!

Rzucała pani ztpasją tymi trzaskami.

I śmiała się pani, szczyrzyła zęby z ochoty!

Ani jeden ptak nie został trafiony.

Ale widzi pani odleciały!

I nigdy już nie wrócą!

Proszępatrzeć, jak są daleko!

Jaskółki wzbiły się teraz wysoko.

Wyglądały, jak czarnachmura, to wznosząca, to opuszczająca się; jak ciemny osad nadnie odwróconej, świetlistej czary firmamentu.

Cóż w tym dziwnego?

Jaskółki w jesieni odlatują zawsze.

na południe odrzekła Daisy.

Chciałabym być jedną z nich!

„Nie jest więc pani zadowolona z pobytu tutaj?

zapytała Adelina , podnosząc łuki swychciemnych brwi.

A cóż ja mam tutaj?

odpowiedziała pytaniem Daisy.

A czegoż pani chce?

pytała Adelina , zdziwiona.

Chcę jakichś przeżyć.

Nie jestem już małą dziewczynką.

Najeździła się pani niemało, jak mi się zdaje.

Tak, ale zawsze pocudzych domach.

Paninie wie, cotoznaczy być biedną, pani Whjteoak.

Rzeczywiście!

zaśmiała się Adelina .

Ja nie wiem, coto znaczy być biedną, ja, która nie miałam nigdy dwóch gwineinaraz, żeby zadzwonić jedną o drugą, aż dopiero babka umarła izapisała mi majątek!

173.

O, jakież pani szczęśliwa!

Odziedziczyła pani majątek i  
ma pani takiego męża!

Tak, Filip to dobry chłopak odrzekła Adelina krótko.

Podeszła dostodoły; stały teraz u wejścia i zadarłszy głowy przypatrywały się wewnętrznym wiązaniom.

Od podstawy budynku ku belkowaniu sufitu wybudowano z obrzynków drabinę.

Daisy zaczęła wspinać się po niej.

Wspinała się wcale zwinnie, zważywszy, że miała nasobie szeroką, bufiastą spódnicę.

Doszedłszy doszczytu drabiny, weszła nabelkę i poczęła iść nią, opierając się ręką o sąsiednią.

Co za głupstwa pani robi!

zawołała Adelina, a w duchu pomyślała: Ta dziewczyna gotowa jest na wszystko!

O, ja przepadam zatym!

odkrzyknęła Daisy.

Niewiem, co to zawrót głowy, nawet na największej wysokości.

Powinna pani zostać tancerką na linie!

Widok stąd jest prześliczny!

wołała z góry Daisy.

Puściła teraz belkę, o którą opierała rękę, i szła, z rozkrzyżowanymi ramionami, balansując nimi, by zachować dość chwiejną zresztą równowagę.

Wygląda pani stąd jak karzełek!

Niech panitu przyjdzie!

Ani mi się śni!

Czemu?

Po pierwsze, nie mam najmniejszej ochoty a po drugie, jestem w ciąży.

To oświadczenie zrobiło na Daisy wrażenie, jakiego nie spodziewała się Adelina.

Doznała prawiewstrząsunerwowego.

Znieruchomiała na chwilę, potem wydała okrzyk, zachwiała się i opadła na belkę, po której dotąd szła.

Skuliła się naniej, drząc z trwogi, a spódnica jej, wydęta jak balon, stała wokoło niej.

Lecę!

zawołała.

Ratunku, pani Whiteoak!

Ja zlecę!

Adelina zbladła, lecz krzyknęła surowo:

Proszę wrócić tą samą drogą, którą pani przyszła!

To pani może zawsze zrobić!

Proszę opanować się i posuwać ostrożnie.

Nic się pani nie stanie!

Lecz Daisy dalej siedziała skulona na belce; odległość od miejsca, gdzie znajdowała się, do drabiny, była rzeczywiście znaczna.

Boję się ruszyć!

Proszę mi pomóc!

nalegała.

Prędko, bo zlecę!

Jednakże na myśl, że zostawia Daisy własnym jej siłom w tak niebezpiecznym położeniu, Adelina poczęła się wahać.

W tej chwili

li zobaczyła Filipa, wychodzącego powoli z lasu i kierującego się w stronę stodoły.  
Adelina podbiegła do niego.

To "interesujące stworzonko" jak ją nazywasz wślazło na szczyt stodoły i teraz mówi, że boi się ruszyć.

Mówi, że zleci.

Boże!

krzyknął Filip, patrząc

głęboko w górę na Daisy.

Możesz skręcić!

I poczęła wołać: Proszę się nie bać!

Zaraz przyjdę popaniać!

Proszę siedzieć spokojnie i patrzeć w górę!

Wszedł po drabinie i poczęła posuwać się ostrożnie wzdłuż belki.

Adelina poczuła nagle mdłości.

Przymknęła na chwilę oczy;

kiedy je otworzyła, Filip doszedł już do Daisy i prowadził ją z powrotem ku drabinie.

Kiedy już położył bezpiecznie stopy na pierwszym jej szczeblu, Daisy opadła mdlejąco na jego ramię.

Nie mogę!

wyłkała.

Nie zrobię ani kroku więcej!

Ależ jest paniką! Uspokaj ją Filip.

Proszę się uwiesić na mojej szyi, zniosę panią.

Daisy uwiesiła się tak dokładnie, że kiedy stanęli na dole, policzek jej opierał się o opaloną szyję Filipa.

Nie przestawała łkać przy tym.

O, jak mi przykro!

zawołała, kiedy delikatnie stawiała ją na nogi.

I jest czego!

odezwała się Adelina.

Napędziłam panią strachem i Filip ryzykował życie przez panią.

Wstydziałabym się na pani miejscu!

Filip ciągle jeszcze trzymał łkającą Daisy w ramionach.

Nie łaj jej rzekł do Adeliny każda młoda dziewczyna jest skora do szaleństw.

Szczęście, że panna Daisy jest tak lekka.

Gdybym tak ciebie miał znosić, miałbym się z pyszną!

Ja! Ja bym tam tkwiła na górze do sądnego dnia, a nie wołałabym cię na pomoc!  
i odwróciła się.

Patrzyła na ostatnią zapóźnioną jaskółkę, która przelatowała teraz spieszenie ponad drzewami.

Szedłem do Wilmotta mówił Filip.

Czy zechcecie panią wyprowadzić ze mną?

Panna Daisy.

czy czuje się pani na siłach zrobić ten spacer?

zapytał, wypuszczając ją z ramion.

Zrobię wszystko, co pani zechce odrzekła już bez łkań, słodziutko.

Ja wrócę raczej do domu oświadczyła chłodno Adelina.

- W takim razie wszyscy wrócimy do domu zawyrokował Filip.

175.

O, ja mogę wrócić sama upierała się Adelina ; lecz widaćbyło, że gotowa była dać się przekonać.

No, chodź, chodź!  
prosił pieszczotliwie.

Weszli na ścieżkę, dobrze już teraz wydeptaną przezczęsteużycie, i szli ku domostwu Wilmotta, oddalonemu o dwie mile.

Filip szedł przodem, odchylając gałęzie, które zawadzały w przejściu, ścinając laską ożyny i głogi, które mogły podrzeć sukniepań.

A wysoko nad nimi krążyła ciągle jeszcze chmura jaskółek, jakby im chciała wskazywać drogę.

Przygoda Daisy i ratunek, jaki jej przyniósł Filip, wytworzyły nieco naciągniętą atmosferę między nimi.

Mówili niewielei tylko natemattego, co widzieli wokoło.

Miejscami ścieżka zwężała się zarośnięta paprociami lub czerwieniejącymi pędamiostreżyn. Gdzie indziej znowu wysłana była igliwiami lub purpurowymi liśćmi klonu, które pierwsze opadają wjesieni.

Wystrzeliły wśród nich ogromne jak talerze pieczarki lub maszerowały ponich, jak żołnierze, całe szeregi drobnych grzybków.

W jednym miejscu, nagałęzi brzozy, siedziały rzędem matka-sowa i jej pięcioro młodych.

Filip podniósł rękę, chcąc zwrócić na nie uwagę towarzyszek.

Stara sowa, jak strzała, spuściłasię uderzył w niego z taką siłą, że się zachwiał, podczas gdy młode, nieporuszone, przypatrywały się temu.

Adelina chwyciła Filipa w ramiona.

Czy zraniła cię?

zawołała.

Pokaż, niech obejrzę!

I ująwszy jego głowę oburękami, oglądała zaczerwieniony policzek.

Jeszcze trochę, a zraniłaby cię do krwi!

mówiła, nie wypuszczając jego głowy.

Nie lubię tego kraju oświadczyła nagle Daisy.

Nigdy się tu nie wie, co może zdarzyć się za chwilę!

Mam tu ciągle wrażenie, że stanie się coś okropnego!

To jest przygnębiające!

Zdawałomi się, że pani tęskno jest doprzeżyć.

rzekła Adelina, puszczając się ścieżką za Filipem.

Myślałam o przeżyciach wewnętrznych, anieo guzach, najakie człowiek jest tu narażony.

Jeśli o guzy chodzi, to mogę zapewnić, że ta sowa nabiłamiporządnego!

rzekł Filip.

To jest zaiste przedziwne, jak macierzyństwo rozbudza złośliwość w samicy.

Palące oczy Adeliny wbiły się w plecy Filipa.

Odczuł to widać,

176

I bo pomiarkował się.

Odwrócił się i spojrzął na nią znacząco.

Przecieżnie myślałem o tobie!

rzekł cicho, a zerwawszy czerwony liść klonu założyłgo sobie zawstążkę u kapelusza i zasałutował żonie.

Zastali Wilmotta łowiącego ryby z czołna, na szerokim rozlewisku rzeki.

W następstwie burz, tak częstych w okresie równania dnia z nocą, rzeka wezbrała; lecz płynęła spokojnym nurtem, odbijając w sobie barwne kolory jesiennych liści na brzegach.

Wilmott siedział w swym czóźnie, z wyrazem prawdziwego wniebowzięcia na twarzy, z oczyma utkwionymi w maleńką, czerwona płamkę szałwika, kołyszącego się na wodzie.

To tak święci się niedzielę!

zawołała Adelina .

Wilmott powstał w czóźnie i wyciągnął wędkę z wody.

Uważam to za niezbędną pracę rzekł.

Łowię tu sobiemoją kolację.

A państwo, przypuszczam, wracają z kościoła, powysłuchaniu popołudniowego nabożeństwa, co?

Niech się pan nie wysilana sarkazm, James: nie było nabożeństwa dziś.

Co pan złowił?

Wilmott wyciągnął z dna czóźna młodego szczupaka.

Proszę łowić dalej rzekła Adelina .

Będziemy przypatrywać się panu.

Będzie to wypoczynek, który nam się należy powszystkim, cośmy dziś przeszli.

Muszę zejść tu kiedyś do pana, będziemy łowili razem rzekł Filip.

Tylko kiedy?

Ta budowa domu zabiera mi cały mój czas.

Ciągła robota!

Jedna goni drugą!

Wiem coś o tym odparł Wilmott.

To samotny, umnie.

Złożył szczupaka z powrotem na dnie czóźna i ujął wręce wiosła.

Leniwym ruchem zanurzył je w cicho płynącą wodę.

O!, buduje pan przystań!

Jakże ładna będzie!

zawołała Adelina .

Tak odrzekł podpływając czóźnem.

Pracujemy przynajmniej w wolnych chwilach z Titiszem.

Daisy to jest pan Wilmott rzekła przedstawiając Adelina .

A to jest panna Daisy Vaughan.

Wilmott zapałł wiosłami czóźno, by unieruchomić je, po czym ukłonił się z powagą.

Daisy odkloniła mu się.

Wszyscy stali teraz na budującej się przystani, przypatrując się jej.

Leżały tam porzucone narzędzia i przyrządy.

12 Budowa Jalny

177.

Ma pan ładną piłkę rzekł Filip, podnosząc narzędzie y.  
ziemi.

O, i młot nowy!

To nie moje, to Titisza odparł Wilmott.

On mabardzoporządne narzędzia.

Jakiś człowiek, u którego pracował, niemogąc wypłacić go gotówką, zapłacił nimi.

Co zabogactwo gwoździ!

unosila się Daisy.

Czy możeten człowiek spłacił go również gwoździami?

Znalazł te gwoździe na drodze.

Ktoś musiał je upuścić.

Kupiłem zapas dobrych narzędzi rzekł Filip.

Mająbrzydki zwyczaj:znikają jak kamfora.

Toteż wycinam swoje inicjałyna rączkach.

I mówiąc to,odwrócił młot, który trzymałw ręce.

O,tu jestcałkiem wyraźnie F.

W. wycięte na rączce!

zawołała Daisy, która oglądała zbliska piłkę.

Wilmott wyskoczyłz czółna i przywiązał je do pała.

Pochyliłsię nad trzymanym przez Filipa młotem.

Proszę pokazać!

rzekłi zaraz dodał: Niech mnie powiesz, jeśli naprawdę nie ma tu pańskich inicjałów, Filipie!

Tak to jest zawsze zMetysami rzekł lekko Filip.

Niech pan zatrzymate narzędzia, James.

Nie są mipotrzebne.

Niech panu służą.

O nie!

odrzekł Wilmott.

Zwrócę je, jak tylkoskończymy przystań.

Nie zatrzymam ich za nic!

Jakpan chce, James.

Ach!

Cóż toza uroczy domek!

zawołała nagleDaisy.

Czy zechce mi go pan pokazać wewnątrz?

Kiedy, zaproszeniprzez Wilmotta, weszli dodomu,

zobaczyliTitisza,jakspieszniezbierał różne przedmioty, rozrzucone po izbie i wynosił je do  
kuchni.

Nim znikł ostatecznie, posłał Adelinie swój zwykły, łagodny, trochę smutny uśmiech.

Daisy była zachwycona domostwem Wilmotta.

Rzeczywiście, izba miała wyglądzamieszkałej siedziby, choć nieco surowy.

Daisy unosila się nadwszystkim i głośnymi wykrzyknikami wyrażała swój zachwyt.

Najdziwniejszą wydała się jej tak duża ilość książek w drewnianejchałupie.

Strasznie lubię czytać!

mówiła.

Czy zechce mi panpożyczyć jakąś książkę?

Czyma pan ostatnią powieść Bulvera?

Niestety nie odrzekł Wilmott.

Ale jeśli znajdzie panina półce coś, co spodoba się pani, służę z przyjemnością.

Możepan pomoże mi wybrać zwróciła się do Filipa.  
 Chciałabym coś, co pan bymi polecił.  
 O, ja nie jestem bardzo czytany odparł Filip aleskoro pani chce.  
 I Daisy z Filipempodeszli do półekz książkami.  
 Adelina zwróciła się do Wilmotta:  
 Cóż, czy ciąglejeszczeczujecie się pan tak szczęśliwy tutaj?  
 Jestem tak cudownie, tak beztrosko szczęśliwy!  
 Mam poczucie tej szczęśliwości w każdej godzinie, którą dzieńniesz anawet  
 miałbymochotępowiedzieć, którą tak dzień, jaki noc niesie!  
 To jest właśnie życie, które mi odpowiada.  
 Sto latmógłbymtak przeżyć, nie skarżąc się nigdy na nic.  
 Brak mi tylko jednego.  
 Czegóż to?  
 Żebym częściej mógł patrzeć napanią.  
 Oczywiście wiem nie mam prawa mówić tego.  
 Ale widziećpanią, rozmawiać zpanią, to dodaje smakuwszystkiemu, co czynię.  
 Daisy wzięła ze stołu zeszyty przeglądała go.  
 Uczęczytać i pisać mego młodego Titisza wyjaśnił Wilmott.  
 On jest bardzo zdolny.  
 O, jakież wspaniałe zakrętasy!  
 śmiała się Daisy.  
 Kapitanie Whiteoak ,proszę spojrzeć, czynie ślicznie pisze?  
 Wilmott, może by go pan nauczył przede wszystkim odczytywać moje inicjały, co?  
 zauważył Filip.  
 Wilmott?  
 Wilmott?  
 powtarzała, jakby szukając czegoś wpamięci Daisy.  
 A ja myślałam, że pan nazywa się Wilton!  
 Nie.  
 Wilmott.  
 Co za zbieg okoliczności!  
 wykrzyknęła.  
 Nim wyjechałam z Montrealu, poznałam niejaką panią Wilmott.  
 Aledzielo ja jąspotkałam?  
 Ach tak, to było na przyjęciu u żony pewnego bankiera w Montrealu.  
 Owapani Wilmott zapamiętałam nazwisko bo takie niespotykane często, ta pani Wilmott  
 uderzyła mnie jako nieprzeciętna kobieta taka, co kiedy czegoś chce, dopnie tego na pewno!  
 Przyjechała tu z Anglii; zdaje mi sięmówiła, że ma się spotkać tu z mężem.  
 Wilmott wziął zeszyt Titisza doręki i pochyliwszy się nad nimprzerzucił od  
 niechcenia" kartki.  
 Adelina podeszła doń i zaglądając dozeszytu ponad jego ramię, powiedziałacicho:  
 Przyjdędo pana tutaj, jutro rano wcześniej zaraz pośniadaniu.  
 179.

Śmieszne się czasem zdarzają rzeczy z nazwiskami mówił Filip.  
Znałem drugiego Vaughana, w służbie wojskowej, w Indiach; nie był wcale krewnym stryja  
pani, panno Daisy, a nosiło samo nazwisko!  
I nawet był podobny do niego!  
Czy pani zauważyła, że ludzie, podobni do siebie z twarzy, mają też podobne głosy?  
Jutro rano szepnęła raz jeszcze Adelina w kartki zeszytu i prosi nie martwić się.

## XII. Henrietta

Pomimo niepokoju, z jakim jechała do Wilmotta, Adelina ściągnęła uzdę, by zwołać  
do stępa krok spokojnej, gniadej kobyły i móc spojrzeć na drogę dojazdową do Jalny .  
Nie było jeszcze bramy wjazdowej, a sama droga nie była jeszcze czynnym, jak  
prymitywną ścieżką.  
Stosy budulca, sterty cegieł i piasku szpeciły front domu; lecz on sam stał silny, z  
dobrze dopasowanym dachem, zeswoimi pięcioma mocnymi i wysokimi kominami, jakby już  
tylko czekał na nią i Filipa!  
Wyglądał, jakby miał swoje własne życie i zrozumienie, złość, jakimu przypadł w udziale, nie  
był ani szary, ani nikły: miał być domostwem dwójga ludzi kochających się nawzajem i  
kochających życie.  
Budowniczy obiecywał, że wczesną wiosną będą mogli wprowadzić się doń.  
Adelina ledwie mogła doczekać się tego dnia.  
Pięć miesięcy upłynęło, jak mieszkała u Vaughanów.  
Nie było chyba ludzi, którzy potrafiliby praktykować uczynności gościnności w tak  
miły sposób, jak oni.  
Jednakże dwie dorosłe osoby, dwoje dzieci i niania do nich było to pokaźne obciążenie w  
gospodarstwie domowym.  
Wprawdzie domowe siły robocze nie kosztowały drogo, lecz były niewykwalifikowane i  
niewykształcone.  
Adelina w ciągu całego swego życia była przyzwyczajona do tego, że ją obsługiwano.  
Jakoś wszystko było zawsze zrobione w domu, ale jak ikiedy?  
o tonie bolała ją nigdy głowa.  
W ciągu tych długich miesięcy życia pod jednym dachem widywała nieraz panią Vaughan  
przemęczoną.  
Lecz ilekroć próbowała pomóc jej w robocie, nie tylko kazywała się, że wszystko, co robiła,  
robiła źle, ale jeszcze w dodatku nudziło ją to niezmiernie.  
Opiekowanie się dziećmi, pranie i prasowanie ich rzeczy zabierało czas niani, o co ona  
sama resztą starała się skwapliwie.  
Wreszcie Adelina zabrała się stanowczo do Patsy'ego O'Flynn.  
Bój się Boga, Patsy!  
Rusz się i pomóż coś w domu!  
Bo 181.



jeśli nie możesz stać się użyteczny tutaj, to będę musiała odesłać cię do Irlandii.

Ja mam stać się użyteczny?

zawołał oburzony.

Jeśli nie jestem użyteczny tutaj, to chciałbym wiedzieć, kto jest?

A jakże jaśniepanienka dostałaby się tu z dziećmi, zkozą, z psem i z tym wszystkim, gdyby nie ja?

Sama panienka mówiła tak nieraz, a dziś rzuca mi w oczy, że jestem nieużyteczny.

I ja mam toprzeć, jakby nigdy nic?

Dobrze, Patsy odrzekła wzdychając. Adelina skorotak mówisz, to będę odtąd czyściła srebra, myła naczynia i ścierała łóżka sama.

No, zrobię wszystko, co mogę mruczał rozbrojony ale muszę powiedzieć, że nie byłem nigdy w życiu w takim małym i niewygodnym domu, jak ten tutaj.

A już służba, to jest najgorsza, jaką widziałem!

Ale zastosowałeś do tego, czego od niego żądano, i zaczął pomagać w domu.

Można go było słyszeć, jak mówił do pokojówki:

Jak ty się zachowujesz, ty nieokrzesana dziewczucho!

Masz się uklonić nisko, jak cię pani woła i powiedzieć: Słucham, jaśniepani!

Jak nie, to będzie śmierć twoja!

Lecz choźa dziewczęta przyjmowała takie gadanie z humorem.

Wszędzie, gdzie się kiedykolwiek pokazał, Patsy O'Flynn był ulubieńcem wszystkich.

Kopyta końskie stąpały bezgłośnie w głębokim kurzu na drodze.

Pomimo wczesnych deszczów jesiennych, ziemia była sucha jak huba.

Obfiterosy nocne były ledwie w stanie zwilżyć spragnione dżdzu rośliny.

Lecz tym barwniejsze kolory przybierały ich liście.

Z niedbałą rozrzutnością drzewa mieniły się ich całą gamą.

odciemnego brązu po ognistą purpurę.

Na polach pyszniły się ciepłym bławatem szerokie kwiaty cykorii i wonnym złotem swych kiści żółte łubiny.

Ciemnofioletowe baldachy jagódek dzikiego bzu tak były dojrzałe i ciężkie od soku, że zdawało się, iż lada chwila poczną kapać nim z gałęzi.

Łagodne, jesienne powietrze rozbrzmiewało metalicznym cykaniem świerszczypolnych.

Ileż efektów myślała Adelina potrafią ci mali muzykanci wydobyć z dwóch tonów!

Jeden z nich poważny, głęboki, drugi radosny i tymi dwoma tonami wyśpiewują wszystko, co chcą!

Spała mało tej nocy.

Musiała użyć całej swej władzy nad sobą, by pozostać w łóżku; bo zdawało się jej, że gdyby wyskoczyła

182

żeń, to chodząc tam na powrót po pokoju, łatwiej udałoby się jej znaleźć sposób uratowania Wilmotta przed odkryciem przez żonę.

Nieprzytomny ztrwogi wyraz w jego oczach przeraził ją poprzedniego dnia.

Co zrobi, jeśli przyjechawszy odkryje, że Wilmott uciekł z domu?

Wyglądał na zdecydowanego na wszystko, kiedy Daisy opowiadała o spotkaniu z jego żoną.

Wilmott w gruncie rzeczy nie jest człowiekiem takim, jakim się wydaje myślała.

Wprawdzie odczuwa się, że jest w nim coś tajemniczego;

lecz tajemnicę swą nosi w sercu, a nie na zewnątrz, na pokaz.

Niktby nie przypuścił, że ten człowiek uciekł i kryje się przed kobietą; a jednak tak jest w istocie i trzeba go wziąć w opiekę!

Miłość Adeliny do Filipa niedoznała nigdy najmniejszego wahania; lecz tam gdzieś, głęboko było w niej coś, coś pośledniego, a nieposkromionego, co miało tendencję „chodzenia swymi własnymi drogami” i to coś w niej kochało Wilmotta miłością, na którą składała się wrodzona jej dzielność i zmysł macierzyński.

Kawałek rzeki przy domostwie Wilmotta zdawał się gładką taflą sinoniebieskiego szkła, a sitowie na jej brzegach choć suche już całkiem stało tak cicho, że niedobywał się z niego najlżejszy szept.

Maleńka, świeżo zbudowana przystań, świeciła białoniepokalaną czystością. Na pomoście leżał porzucony sprzęt rybacki Wilmotta, a czółno kołysało się przycumowane doń.

Zakątek ten zalegała cisza tak kompletna, że Adelina nie mogła pozbyć się złego przeczucia, kiedy puknęła do zamkniętych drzwi.

Nikt nie odpowiadał na jej pukanie, lecz zauważyła, że róg firanki w oknie poruszył się i mignęła ciemna ręka Titisza.

Czy pan Wilmott jest w domu?  
zawołała.

Drzwi otworzyły się i na progu stanął Metys, bosy, w koszulicy i spodniach.

Proszę wejść, pani rzekł swoim miękkim głosem.

Mój pan chce widzieć panią.

Proszę poczekać, sprowadzę go.

Ale proszę zamknąć drzwi zasobą.

Adelina weszła.

Na stole zohaczyła otwarty zeszyt Titisza.

Widocznie zastała go przy pracy, bo atrament nie obsechł jeszcze na jego pracowitych kulfonach.

Serce jej cisnęło się litością dla Wilmolta, kiedy spoglądała po izbie, gdzie urządził sobie życie, tak wygodne dla ciała a tak przytulne dla ducha.

Wszędzie było czysto.

Choćby nie wiem, jak chciał myślała James nie potrafi nigdy pozbyć się tej manii drobiazgowości.

którą narzuciła

mu żona.

Teraz wszedł do izby i zamknął spiesznie drzwi za sobą.

Był błądy i powieki miał ciężkie z niewyspania.

Nie spał więc pan także zauważyła Adelina .

Niekładłem się nawet!

Ale przykro mi, że pani nie spała z tego powodu!

Doszedłem jednak do pewnej konkluzji: jest ostatecznie możliwe, że istnieje druga pani Wilmott, na którą małoczekuje tutaj z utęsknieniem uśmiechnął się posepnie.

Muszę postarać się wydobyć więcej szczegółów od panny Vaughan.

Wczoraj coś jakby sparaliżowało mi mózg odmówił służby!

Nigdy w życiu nie byłem tak bliski paniki!

Boję się, że może pan mieć słuszny powód do paniki odrzekła Adelina .

Kiedy znalazłam się sama z Daisy, naprowadziłam rozmowę na temat pani Wilmott i dowiedziałam się, że panita nie tylko przyjechała z Londynu, ale że mieszka tam w dzielnicy, gdzie jest pański dom.

Dalej, że jest to kobieta ładna i zawsze bardzo staranna w ubiorze, wysławiająca się niezmiernie pewnie i ściśle; głos ma wysoki, ostry i nieznaczny grymas w kącikach ust.

O Boże!

zawołał.

Nasunęła pani pewnie podejrzenia tej dziewczynie.

Nie przypuszczam.

Ale w każdym razie trzeba było dowiedzieć się.

Myślę, że mamy teraz pewność czyż nie?

Moja żona nie spocznie, póki mnie nie odnajdzie!

krzyknął z rozpaczą, patrząc wzburzony po izbie.

Niech pani robi takiej zrozpaczonej miny!

Jestem naprawdę zrozpaczony!

Mówię pani, Adelino, janie chcę żyć z moją żoną!

Raczej powieszę się na jednej z tych belek!

i pokazał na sufit.

Nie trzeba więc dopuścić, by odnalazła pana.

Odnajdzie mnie!

Pani jej nie zna!

Mówię pani: ona jest niezmordowana!

Nic nie powstrzyma jej!

Tak, teraz pan rozpacza zawołała zniecierpliwiona Adelina a lewybrał się pan do Kanady, nie zmieniając nazwiska.

Imieszkał pan w Ouebecu także pod własnym nazwiskiem!

I czegoż się pan mógł spodziewać innego?

Myślałem, że jednak pogodzi się z moją decyzją rzekł spokojnie.

Czy to było w jej zwyczaju?

O, proszę nie bawić się w sarkazmy, Adelino!

Pozostawił 184

łem ją doskonale zaopatrzoną.

Madziecko.

Po cóż więc przyjechała tu za mną?

Nie!

To przechodzi ludzkie pojęcie!

i Adelina załamała ręce, jakby nimi uwięzić chciała oburzenie, które rozsadało jej piersi.

Ta naiwność!

A cóż w tym dziwnego, że ta kobieta tropi pana?

Czy pannie widzi, jaką pustkę zostawił pan w jej życiu, uciekając?

Jakże ona może czuć się sobą, kiedy niema teraz kogodręczyć, komu dokuczać, kogo nękać!

Bóg znią!

Alewyobrażamsobie, że musi się czuć jak wodospad, któremu nagle zabrakło spadu!

Wszystko jedno!

Mnie nieodzyska już!

Ucieknę i stąd.

Pomyśleć, że w każdej chwili Henrietta mogłaby wejść tu, do tej izby!

Czy wspomniała pannie Vaughan o córce?

Tak, mówiła, że chorowała całą drogę na świnkę.

Lecz twarz Wilmotta nie zdradzała najlżejszej troskiojcowskiej na tę wiadomość.

Czyta dziewczyna podobna jest domatki?

Nie, ale jest całkowiciepod jej wpływem.

Któżby mu sięoparł!

zauważyła Adelina .

Kto zdołałby żyć pod jednymdachem z taką kobietą, a nie być pod jejwpływem?

Pannie oparłmu się również, James.

O, przez całe latapotrafiłem ukryć moją tajemnicęprzednią broniał się Wilmott.

Henrietta nie spodziewała się, żeopuszczę ją.

Dobrze panzrobił.

Co panpowiedział Titiszowi?

Żemoże będę musiał wyjechać.

Podeszła do niego, ujęła jego głowę w obie ręce i utopiła mocne spojrzenie w jego oczach.

Nie będzie pan musiał wyjeżdżać!

rzekła z mocą.

Wilmottodsunął się gwałtownie od niej.

Proszę mnie nie dotykać!

Nie dotykaćmnie!

Za bardzo kocham panią!

Ciągle muszę powtarzać sobie, że Filip jest moimprzyjacielem.

Filip właśnie!

Musimy dopuścić Filipado naszej tajemnicy!

opuszczała ręce wzdłuż ciała, jakby go nigdy nie dotknęła i patrzyła nań spokojnie.

Musimy powiedzieć mu wszystko.

Pojadęz nim do miasta i będziemy próbowali odnaleźć pańską żonę.

Bo słuszniepanpowiedział, miała dość czasu, żeby móczjawićsię tu niespodziewanie.

185.

Co Filip pomyśli o mnie!

Będzie po pańskiej stronie.

Wyzbył się pan majątku dla niej.

Czy ma się pan zaprzedać jej jeszcze ciałem i duszą?

Któryż mężczyzna żądałby tego od pana?

Że nie Filip, to pewnie!

Wolałbym, żeby nie mówić mu.

Niech mu pan sam powie.

Niech pan się zwróci do niego, jak mężczyzna do drugiego mężczyzny; zrozumie pana łatwiej.

Jeśli kogo zrozumiałby, to panią, Adelino.

O, jagotowa jestem zrobić to za dobrze!

iuśmiechnęła się.

Co pani chce przez to powiedzieć?

Że może ponieść mnie gotowam przedstawić tę sytuację za melodramatycznie i wtedy Filip wolałby może nie mieszać się do tej sprawy.

Przyślę go tu panu.

Opowie mu pan wszystko, zwłaszcza panu rezerwę.

A jednak myślę, że lepiej byłoby, gdybym usunął się stąd.

Nie ma potrzeby oświadczyła i dodała: Zresztą, jeśli się zjawi, powiem jej, że pan umarł.

Nieuwierzy pani nigdy!

zaśmiał się sardonicznie.

Nie uwierzy!

porwała się Adelina i mierząc go palającymi oczyma, krzyknęła: Jeżeli nie potrafię zapędzić w kozirógtakiej swarliwej sroki jak pańska Henrietta, to niech się nie nazywam Adelina Court!

Po czym ujęła jego rękę, jakby na znak przypięczętowania ugody i skierowała się do drzwi.

Kiedy je otworzyła, rzekła: Pomyśleć, że w każdej chwili Henrietta może kroczyć tą ścieżką i pokazała białe zęby w figlarnym uśmiechu.

Proszę zostawić Henriettę mnie.

Wilmott stał i patrzył na rudawę jej warkocze, wymykające się spod jej małego, aksamitnego kapelusza, na wdzięczną linię jej karku, spływającą ku ramionom. Trudno mu było uwierzyć w tej chwili w istnienie Henrietty.

Najważniejsza rzecz teraz, to odnaleźć Filipa rzekła w końcu i przysłać go tu panu.

O Boże!

cóż to będzie za rozmowa!

Odprowadził ją do miejsca, gdzie stał przywiązany koń i pomógł jej wsiąść.

Wszystko będzie dobrze!

zawołała ruszając.

Była już w pół drogi od Jalny, kiedy zobaczyła zbliżający się powóz.

Był wyraźnie z typu powozów, które wynajmuje się w

186

miejskich stajniach, zaprzężony w parę chudych szkap.

Na siedzeniu za stangretem spostrzegła jakąś panią i młodą dziewczynę.

Serce Adeliny zaczęło bić gwałtownie, lecz zacięła konia i jechała dalej.

Kiedy mijała zakurzony powóz, objęła szybkim, lecz dokładnym spojrzeniem osoby siedzące w nim.

Stangret miał na sobie wyświechtaną liberię i zrudziały odsłońca i deszczu cylinder.

Miał wyraz twarzy znękany, nieledwieże nie żaloszny.

Na pocieszenie żuł tytoń, smuga żółtejsłiny znaczyła brudny śladna jego brodzie.  
Zanim siedziała naniw wygodnym siedzeniu wyprostowanakobieta, drobna, z twarzą o  
żywychkolorach.  
Była ładna i nie wyglądała zgoła na matkę zwałistejdziewczyny, siedzącej obokniej.  
Spojrzała żywo na Adelinę ,poczym pochylała się naprzód i szturchnęła stangreta w plecy.

Zatrzymać konie!  
rozkazała.

Czy to z głupoty, czy z przekory stangret jechał dalej, oczymagoniacza muchami, które  
brzęcząca aureolą otaczały końskie łby.  
towarzysząc wiernie, krok w krok, powozowi.

Poskarżę się na was waszemu panu, możecie być pewni!  
oświadczyła.

Jesteście najgłupszym człowiekiem, jakiegokiedykolwiek widziałam.  
Proszę zatrzymać konie i starać się zwrócić uwagę tej pani na nas.

Stangret spojrzał na nią przez ramię, z wysokościkozia.

Jak pani powiedziała?

mruknął groźnie.

"Panu"?

Mytu „panów” nie mamy w tym kraju.

To wolny kraj!

Ale jeżeli pani chce, żebyśmy zawołał natę panią, to mogę.

Hejtam!

Proszę pani!

wrzasnął.

Potrzebują tu pani!

Konie nie czekały jego rozkazu, żeby stanąć, ale zobaczywszy trawę w przydrożnym  
rowie, poczęły kierować się ku niemu.

Człowiek szarpnął jećcami i krzyknął: Cóż to!

Nie możecie stać spokojnie?

Niedość, że człowiek tłucze się po tej zakazanej drodze, to jeszcze musicie wyrywać mu z  
pach ramiona!

I konie, pospuszczawszy łby, zrezygnacją przystanąły.

Adelina zawróciła i zbliżyła się powoli do powozu.

Twarz jej oblewał rumieniec.

Wydawała się bardziej opanowana, niż byławistocie.

Kiedy zrównawszy się z powozem zatrzymała konie, spojrzała pytająco oczy pani Wilmott,  
którarzekła:

Może zechce pani udzielić mi informacji o miejscu pobytu pana Jamesa Wilmotta.

Mówiono mi.

że kupił posiadłość w tej okolicy.

Tak odrzekła Adelina spokojnie swym głębokim głosem

187.

rzeczywiście kupił małą, drewnianą chałupkę, tam w górze nadrzeką, gdzie zaczyna się bagno, i dwa czy trzy akry ziemi z nią.

Miał przy sobie indiańskiego chłopaka.

Och!

wykrzyknęła pani Wilmott, a twarz jej wyrażała, jak bardzo przejęło ją to, czego dowiedziała się.

Naprawdę?

Bagno, mówi pani!

I młody Indianin!

O, jakież to poniżające!

No, kupił nietylko bagno ciągnęła dalej Adelina.

Miał także krowę, świnie i kilka kur.

Nie było mu pewnie tak źle

ostatecznie!

Czyż nie ma go tu już?

Wyjechał.

Pani Wilmott odetchnęła głęboko i pobladłymi wargami szepnęła nagle:

Chciałabym pomówić z panią na osobności i wskazała oczyma na stangreta.

Po czym rzekła: Wsiądziemy.

Możecie podjechać kawalek dalej, a ja porozmawiam chwilę z panią.

Trzymajcie mocno konie, podczas gdy będziemy wysiadały z córką.

Proszę uważać!

Czy trzymacie mocno konie?

Niech pani nie zapomina, że jestem płatny od godziny!

mruknął.

Wystawię paninie żły rachunek!

przesunął grudy toniu z jednej strony w ustach na drugą i spojrzał mściwie nią przez ramię.

Nie bójcie się, poskarżę ja się na was przed waszym panem oświadczyła.

Jesteście niesforni i bezczelni!

Nie ma tu "panów" zachnął się na nią.

Żadnych "panów" mówiłem już.

Żadnych słyszy pani?

Człowieku radzę wam, liczcie się ze słowami!

To dopiero maniery!

Manierów tu też nie ma nijakich i żadnego "człowiekowania" ludzi.

No, wysiadaj pani, czy dalej.

będzie pani labidzić w tym powozie?

Pani Wilmott wysiadła z wielkimi ostrożnościami z powozu, a za nią córka.

Stangret pojechał dalej drogą.

Adelina zsiadła również z konia i podeszła do kępy trawy przy drodze.

Koń jej zaczął zaraz skubać suche źdźbła.

Możemy spokojnie porozmawiać turzekła.

Może pani usiądzie zapraszała panią Wilmott, jakby przyjmowała ją we własnym salonie.

Pani Wilmott spojrzała badawczo na nią, lecz oczy, jakimi

188

Adelina odpowiedziała na jej spojrzenie, pełne były sympatii.

Odrą więc wyjaśniła, oco jej chodziło.

Jestem panią Wilmott mówiła.

Przyjechałam tu, aby odnaleźć mego męża.

Musi się to pani wydawać bardzo dziwne i dziwne to jest w istocie!

Mój mąż jest bardzo osobliwym człowiekiem.

Musiałam odbyć całą długą podróż z Londynu w poszukiwaniu go.

Mój ojciec, pan Piotr Ouinton, pochodzi od sir Ralfa Ouintona, wielkiego wynalazcy i uczonego, który żył w XVI wieku; musiała pani słyszeć o nim, tj.

o sir Ralfie Ouintonie, oczywiście nie o moim ojcu!

Nie żebym chciała powiedzieć przez to, że mój ojciec nie jest człowiekiem pewnym znaczeniu; był bowiem kilkakrotnie wybierany posłem ze swego miasteczka i nie miał nawet wielu kontrkandydatów przy wyborach!

Ale, oczywiście, nie jest tak ważną osobistością, jaką był sir Ralf.

Ojciec mój mówił do mnie, choć bardzo nie lubię powtarzać przedpostronną osobą prywatnych uwag, czynionych w kółku rodzinnym, jednak powtórzę pani jego słowa bo pani wydaje się osobą sympatyczną i na której można polegać powiedział więc do mnie ojciec, nie sir Ralf powiedział: "Henrietto, człowiek, który tak dalece wyzwał się sumienia i poczucia odpowiedzialności, że pojechał dla swej przyjemności na przejażdżkę w dalekie kraje i pozostaje tam od półtora roku, nie napisawszy ani razu do domu, nie jest wart, by jechać za nim i szukać go!

". Ale ja jestem innego zdania.

Miejsce małżonka jest przy boku żony takie jest moje.  
przekonanie.

Zgadza się pani ze mną nieprawdaż?

Tak, o ile to jest możliwe odrzekła Adelina, patrząc zewspółczuciem w oczy pani Wilmott.

Właśnie!

I nie spoczęłam, nie ominęłam żadnej drogi, póki nie wytropiłam Jamesa!

Musiała go pani spotykać tu?

Tak poznałam go.

I jakież wrażenie zrobił na pani?

Niech pani nie próbuje oszczędzać mi przykrości!

Przypuszczam, że musiał upaść bardzo nisko, jeśli, jak pani mówi, mieszkał tu w chałupie na bagnie, z krową i świnią.

Tak, rzeczywiście.

O Boże!

Sama myśl o tym jest upokorzeniem.

Tak poniżająca sytuacja.

A dokąd udał się, wyjechawszy stąd?

Ale muszę przecież poprosić o nazwisko pani!

Nigdy jeszcze w życiu nie zapomniałam tak dalece o formach towarzyskich!

Gdyby ktoś zobaczył mnie, siedzącą w tym zakurzoną rowie, nie uwierzyłby nigdy!



dy, jaką pozycję zajmuję w Londynie!

Ojciec mój, pan Piotr Quinton, o którym, zdaje mi się, wspominałam już.

W tym miejscu młoda dziewczyna ściągnęła na siebie uwagę matki: zaczęła bowiem z niesłychaną zapalczywością skrobać ukąszenia komarów na pulchnych łydkach.

Hettie!

krzyknęła pani Wilmott.

Przestań!

Nie mogę!

odrzekła Hettie chrapliwym, jęczącym głosem.

Swędzi mnie!

To i cóż?

Osoba z towarzystwa nie drapie się nigdy po łydkach w obecności osób trzecich!

Czy mogę wejść za ten płot i tam się drapać?

Nienie pozwalam, Hettie!

Ale kiedy mnie swędzi!

Powiedziałam nie i dość na tym!

I pani Wilmott zwróciła się znów do Adeliny: Miałam właśnie zapytać panią o nazwisko i dokąd pan Wilmott udał się, ale to dziecko doprowadza mnie do rozpaczki swymi ciągłymi niedomaganiem!

Jak wyjechałyśmy z Anglii, od razu wymiotowała w pociągu potem to samo na okręcie z powodu morskiej choroby potem dostałaś winkę, niestrawności, pokrzywki potem zaczął jej wrastać paznokieć u palca nogi a teraz pogryzły ją komary!

To tak swędzi!

biadała Hettie.

Oczywiście, że swędzi!

zawołała pani Wilmott, doprowadzona już do ostateczności.

Na to gryzą, żeby swędziało!

Nienawidzę komarów.

Możesz ich sobie nienawidzić, ale przestań drapać się!

znów zwróciła się pytająco do Adeliny.

Jestem pani White rzekła Adelina, połykając ostatnią głoskę nazwiska.

Przypłynęliśmy tu z mężem na tym samym statku, co pan Wilmott.

Wtedy przebywaliśmy dużo razem.

O, jakie to szczęście, że właśnie trafiłam na panią.

Jak zachowywał się mój mąż podczas podróży?

Bardzo nieszczególnie odparła Adelina.

Czy wspominał kiedy o swojej rodzinie?

Nigdy, ani słowem!

O Boże!

Cóż to za człowiek!

Bezserca!

A czy dawno opuścił te strony?

O, już jakiś czas temu.

A dokąd się udał?

Gdziekolwiek będzie, pojedę za nim!

Wyjechał w nocy, niemówiąc nic o tym nikomu.

Ale po 190

wiadają, że pojechał stąd do Meksyku i tam umarł na febrę.

Mogę pani dać adres dwóch panów obaj Irlandczycy są obecnie w Nowym Jorku.

Oni mogą powiedzieć pani więcej niż ja.  
Jeśli kto w tej części świata może pani pomóc odkryć prawdę, to właśnie ci dwaj panowie.

Umarł!

krzyknęła pani Wilmott, z odcieniem zawodu.

Mówi więc pani, że umarł.

Ach na pewno żyje!

Niechorował nigdy ani jednego dnia w życiu!

On nie mógł umrzeć!

Ktoś jednak mówił mi, że umarł w Meksyku powtarzała Adelina, wyskubując kępkę trawy.

Ale kto?

Muszę rozmówić się z tą osobą!

Nie pamiętam kto.

Tak ogólnie ludzi mówili.

Muszę się widzieć z tymi ludźmi!

Gdzie oni są?

O, opowiedzą pani z przyjemnością o mężu!

Kiedy wyjechał stąd, był tu winien pieniądze wszystkim ludziom naokoło.

Myślę, że pani popłaci jej dług!

Nigdy!

i oczy pani Wilmott zabłysły jak dwa ostrzaskalowe.

Nie mam tego obowiązku i nigdy nie będę go miała.

Dziwny tu kraj zauważyła Adelina nigdy się nie wie, co może wyjść na jaw przeciw komu.

James ciągle mówił o podróży na Wschód rzekła pani Wilmott zdawał się być pod absolutnym urokiem Wschodu.

Nie mogę pojąć, dlaczego przyjechał tutaj!

Zdaje mi się, że wybierał się rzeczywiście na Wschód odrzekła Adelina, układając z wyskubanej trawy coś w rodzaju mogiłki ale pomylił się i wsiadł na nieodpowiedni statek.

O Boże, Boże, Boże!

To samo już wystarczyłoby, żeby powiedzieć, że pozbyłam się go szczęśliwie!

Myślę, że tak jest w istocie!

powiedziała Adelina.

Człowiekowi takiemu jak on pisane jest, że zrobi coś całkiem desperackiego w życiu.

Gotuje się to w nim lata całe, a potem wybuchnie nagle!

Dziękuję Bogu, że moje dziecko nie jest ani odrobinę podobne do niego!

Hettie to portretowego ojca.

Nie lubię dziadzi oświadczyła Hettie.

Hettie!

Jak śmiesz mówić coś takiego!

zapiszczała z oburzenia pani Wilmott.

Nikt i pod żadnym względem nie może równać się z twoim dziadkiem.

Nie lubię go powtórzyła spokojnie Hettie.

Pani Wilmott zwróciła się do Adeliny z rozpaczą w głosie:

191.

Nie wiem, co zadano temu dziecku!

Nim wyjechałyśmy z domu, była najpotulniejszą, pełną uszanowania dziewczynką, jaką można by sobie wymarzyć, a teraz potrafi mówić rzeczy wprost nieprzyzwoite!

To podróże tak działają na dzieci rzekła Adelina .

Psują je.

Kiedy płynęliśmy tutaj, była na statku młoda dziewczyna, mniej więcej w wieku pani córeczki.

Płynęła z matką.

I jak panimyśli, co zrobiło to dziewczę?

W pierwszym porcie, w jakim zatrzymaliśmy się, uciekła z moim młodszym bratem, którego zabraliśmy ze sobą, płynąc tutaj.

Uciekła z nim, porzuciła matkę, biedną wdowę.

Nieszczęsną tę panią musiano ledwie żywą wynieść na noszach, kiedy przybyliśmy na miejsce!

Po twarzy Hettie przemknął nieznaczny uśmiech i oczy jej zabłysły żywiej.

Zaś pani Wilmott zbladła z wrażenia, do czego niezdolna doprowadzić jej wiadomość o śmierci męża.

Popatrzyły one ledwie zezgrozą na Hettie i zapytała Adelinę nieco drżącym głosem:

Co mi pani radzi uczynić?

Radzę pani pojechać prosto na Nowego Jorku zasięgnąć informacji od tych dwóch panów, których adresy mogę dać pani.

Potem, kiedy się pani uda dowiedzieć o miejscu pobytu męża albo o jego śmierci, może pani wsiąść tamna statek.

Słyszałam, że ich żaglowe statki są niezrównane pod względem komfortu, a ich nowe parowce również.

Tak zrobię, jak pani mówi!

Jeśli mi się uda dowiedzieć, gdzie przebywa mój mąż, zawdzięczać to będę jedynie pani!

Ja nigdy nie lubiłam, tak samo jak dziadzi wtrącała Hettie.

Pani Wilmott popatrzyła znacząco na Adelinę .

Przestań się drapać połydkach, Hettie powiedziała.

Kiedy swędzą!

Musisz panować nad sobą!

Nie cierpię komarów!

Jużes to powiedziała kilka razy.

A one pokąsały mnie także niezliczone razy!

Mamo, kiedy pojedziemy stąd?

Zaraz, zaraz, Hettie!

tu pani Wilmott otworzyła swą torbę i wyjęła z niej mały notesik.

Podając go Adelinie , rzekła: Może pani będzie tak uprzejma i napisze mi tu nazwiska i adresy tych dwóch panów w Nowym Jorku.

192

Przy podawaniu notesu ręce obu pań spotkały się.

W tej chwili Adelina starała się wzbudzić w sobie uczucie życzliwości dla pani Wilmott.

Wyobraziła sobie, że naprawdę opiekuje się nią, wskazując jej drogę, którą powinna iść.

Zamaszystym swym piórem nakreśliła w notatniku nazwiska Arcy'ego i Brenta oraz ich adresy i zwróciła go pani Wilmott.

Mówi pani, że to są Irlandczycy zauważyła pani Wilmott.

Tak.

Nie lubiłam nigdy Irlandczyków.

Złapałam cię!

wmieszała się Hettie.

Co chcesz powiedzieć, dziecko?

Mówisz to, co zakazujesz mówić mnie!

Hettie, czy chcesz, żebym cię ukarała?

A jak?

Dobrym kłapsem!

Owszem, daj mi klapsa tam, gdzie mnie komary pokąsały  
bardzo by mi się to podobało!

Proszęmi wierzyćmówiła wstając pani Wilmott że moja córka nie była taką w domu!

Wierzę.

To właśnie są skutki podróży.

Tosamo jest zmojącórka; nie jest już tak dobrze ułożona, jak była wpierw.

To jest doprawdy pożałowania godne!

westchnęła pani Wilmott, podając rękę Adelinie .

A więc do widzenia.

Nieumiem powiedzieć pani, jak wdzięczna jestem przypadkowi, który nas zbliżył!

Zapewniam panią, że ja również.

I mocnym, serdecznymściskiem ujęła drobną, suchą rękę pani Wilmott.

Byłabym poprosiła panią na herbatę do siebie, lecz moja córeczka makoklusz (to rzeczywiście było prawdą) panna Hettie mogłaby zrazić się od niej.

Sama myśl o możliwości czegoś podobnego zaniepokoiła panią Wilmott.

Razjeszczei oczywiście z wszelkimi szczegółami

wyliczyła wszystko, coprzeszła z Hettie od czasu, jak wyruszyły z domu, gdy wtem

Hettie przerwała jej, konstatując:

Powóz odjeżdża.

W istocie, wynajęte konie wolnym kłusem, ze smętnieopuszczonymi łbami, ruszyły  
przed siebie drogą.

Stangret zasnął bowiem i wypuścił lejce z ręki.

Pani Wilmott krzyknęła i puściła się biegiem za powozem.

13 Budowa Jalny

193.

Zatrzymam powóz i przyprowadzę go paniom rzekła Adelina .

Skoczyła do swego konia i prowadziła go za uzdę nadrogę.

Jednakże krzyki pani Wilmott obudziły stangreta.

Popatrzył na nią zjadliwie, pochwylił jejce i powóz stanął.

Kapelusz pani Wilmott opadł jej na kark, nie stracił jednakże przez to nic ze swej godności.

Dobiegłszy do powozu wyjęła z torebki chustkę do nosa i poczęła powiewać nią ku Adelinie i córce.

Obyśmy tylko nie odnalazły go!  
westchnęła Hettie.

Naprawdę?

- wykrzyknęła Adelina .

Tak.

Ja go nigdy nie lubiłam.

Zdjęta nagłą wesołością, Adelina wybuchnęła śmiechem.

Wskoczyła na konia i pokłusowała ku czekającej przy powozie pani Wilmott.

Kiedy zrównała się z nią, już tylko zdawkowy, okolicznościowy uśmiech rozjaśniał jej twarz.

Życząc pani przyjemnej podróży, pani Wilmott powiedziała swobodnie.

Dziękuję, dzięki raz jeszcze za pomoc pani.

Boże, mój Boże, kiedy myślenie o wszystkim, co mnie czeka!

A jak myślę o wszystkim, co już poza mną!

Bo musi pani wiedzieć, pani White, miałam inną szansę w życiu.

Pan Wilmott nie był jedynym, który starał się o mnie tylko tyle panipowiem!

I to jeszcze dodam, że drogi ojciec mój był zawsze przeciwny temu związkowi.

"Możesz zrobić lepszą partię, Henrietto" powtarzał.

"James Wilmott nigdy nie zrobi kariery w życiu.

Czuje się, że mu czegoś nie dostaje".

A ja się uparłam oto, co mam za to!

Śpiesz się, Hettie!

Czy widział kto kiedy taką niezdarę!

Noc zapadnie, zanim dowleczymy się do miasta!

Kiedy sobie uprzytomnię te niewygody i te wydatki, na jakie jestem wystawiona, to już wystarczy, żeby osiwieć!

Uniosła spódnicę i ostrożnie wsiadła do powozu.

Stangret ujął bat w rękę.

A Hettie nie śpieszyła się wcale.

Szła, powłócząc nogami.

Matka przynagliła ją ciągle i nie przestawała strofować.

Wreszcie siedziały obie obok siebie w powozie.

Pożegnawszy z panią White, Hettie, i podziękuj jej.

Do widzenia bąknęła nadąsana Hettie.

Dowidzenia, Hettie.

Stangret cmoknął na konie; kiedy ruszyły z miejsca, obejrzał się na Adelinę .

Skrzywił jeden policzek izmrużył oko w urągliwy grymas pod adresem pań, zajmujących wnętrze powozu.

Wśród kłębow kurzu, które zakryły go, powiewała biała chusteczka.

Jesienne deszcze

Adelina nie pojechała dalej w kierunku na Jalnę, lecz zawróciła do Wilmotta. Dziwnym wydał się jej ten powrót; tyle rzeczy zdarzyło się odchwili, kiedy wyjechała od niego!

Zapukała, jak poprzednio, do drzwi znowu smagła ręką Titisza ugięła ostrożnie firanki. Natychmiast otworzył jej drzwi.

Chce pani widzieć się z moim panem?

zapytał.

Lecz Wilmott już był przy nich.

Ładnie wyglądamożeżycie!

zawołał.

Jak zbrodniarza!

Zresztą do pewnego stopnia, zdaje mi się, że jestem rzeczywiście zbrodniarzem!

Możesz odejść, Titisz.

Kiedy zostali sami, Adelina wykrzyknęła jednym tchem:

Widziałam ją!

Chyba nie Henriette?

A właśnie!

Boże mój!

patrzył niedowierzająco.

Jest więc tutaj?

Była.

Odjechała.

Nie zdążyłam odszukać Filipa, bo kiedy dojechałam do drogi, zaraz spostrzegłam ją, jadącą w wynajętym powozie.

Powiedziałam pani rzekł zaciskając zęby że nie wrócę nigdy do tej kobiety!

Ale nie mam już co robić w tym domu!

Gdzież ona jest?

W tej chwili w drodze powrotnej do miasta.

Jutro wyjedź w poszukiwanie pana do Nowego Jorku.

Powiedziałam jej, że mówią tu, iż pan pojechał do Meksyku i umarł tam na żółtą febrę.

A co za kłamstwa potrafiłam nagadać jej na pański rachunek!

A ona uwierzyła pani?

pytał w trwożnym napięciu, patrząc jej w oczy.

Nie obchodziły go owe kłamstwa, o których wspominała.

A jak pan sądzi kiedy robię coś, czy robię to dobrze, czy nie?

Oczywiście, że uwierzyła mi!

Powiedziałam, że mieszkał

195.

pan tu, w okolicy z krową i świnia, i młodym Indianinem pospołu.

Żedom pana stał na bagniei że, kiedy wyjechał panstąd, zostawił pan za sobą długi u wszystkich sąsiadów!

Boże wielki!

jęknął skonsternowany.

Oto epitafium, jakie mi w Anglii wypiszą!

Henrietta rozpowie to wszędzie!

Niepotrafi utrzymać swego zjadliwego języka!

To proszę lecieć zanią i zaprzeczyć temu!

wpadła naniego rozwścieczona Adelina .

Nietrudno przyjdzie panu odnaleźć ją!

Wilmott, zdenerwowany, przeszedł się po izbie.

Proszę nie gniewać się na mnie rzekł po chwili.

Nie może się pani spodziewać po mnie, żebym gadał do rzeczy w takiej chwili!

Chyba pani wierzy, że jestem pelen wdzięczności dla pani.

Ale jestem zupełnie oszołomiony!

To wszystko stało się tak nagle!

Wiem ma pan żal, że rzuciłam cię na pańską opinię.

Ale któż dba o opinię!

Przecież nie szuka pan żadnego stanowiska, James; cała rzecz była w tym, by pozbyć się tej kobiety!

Pospolitość i okrucieństwo wyziera z całej jej osoby i z wszystkiego, co mówi!

Ileż pan musiał wycierpieć, żeby zadowolić ją!

Ona nigdy nie była zadowolona zemnie po upływie pierwszego roku naszego małżeństwa.

Niemam urazy, o to, co pani powiedziała jej.

Z całej duszy wdzięczny jestem pani!

i dotknął swą delikatną ręką ramienia Adeliny .

Oto mam przed sobą panią taką piękną i silną; opiekunkę moją i obrońcę, nie tylko przed Henrietta, ale przed tym, co zrobiłaby z mego życia!

Proszę mi nie dziękować!

Sprawiło mi to prawdziwą uciechę, wyprowadzić ją w pole.

Słowo daję, jeżeli kiedy wróci tutaj, jestem gotowa na nowo zmierzyć się z nią!

Żebyśmy tylko mieli możliwość dowiedzieć się, czy naprawdę pojechał do Nowego Jorku i wsiadła tam na okręt!

Mamy ją!

zawołała z triumfem.

Tomasz d'Arcy i Michał Brent doniosą nam o tym!

D'Arcy i Brent?

zapytał, stygnąc momentalnie Wilmott.

A cóż oni mogliby wiedzieć o tym?

Dałam jej ich adres, żeby znalazła u nich potwierdzenie wszystkiego, co ona opowiadała mi o wyjeździe pańskim do Meksyku!

Ależ to szaleństwo!

krzyknął Wilmott.

A cóż oni wiedzą o całej tej sprawie?

196

Nic nie wiedzą.

Ale napiszę do nich szybko list i zapowiem jej wizytę.

Znam dobrze tych dwu Irlandczyków.

D'Arcy toszczwany lis, a Brent to typowy dobry kompan.

Nic ich nie ucieszy bardziej, jak opowiadanie Henriecie bajek z tysiąca i jednejnocy, kiedy ich o to poproszę.

Ależ pani stawia się w dziwnym świetle wobec nich!

rzekł Wilmott.

Co ci ludzie pomyślą o pani?

Znowu!

Co ludzie pomyślą!

A ja panupowiem: ludzie będą myśleć źleo człowieku bez względuunato, co będzie robił!

To już leży w ich naturze!

Wolałbym stracić tysiąc funtów, ażeby ci dwaj panowie wiedzieli tego o mnie!

Więc dobrze, nienapiszę do nich!

Czyż pani nie potrafi rozumować na chłodno?

Nie.

Ja idę tylko za instynktem!

Czemu pan pyta o to?

Oczywiście, skoro pani posłała Henriettę do nich, muszę dowiedzieć się o wszystkim!

A cóż panu to szkodzi?

Nie zobaczy ich pan więcej!

Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie.

Ale czy panowie d'Arcy i Brent powstrzymają się po dobrym obiedzie od podzielenia się tą wesołą historyjką z przyjaciółmi?

Każę im zaprzysiąc tajemnicę.

A pani myśli, że oni pamiętać będą o tym, kiedy się napiją?

Nie!

I wszyscy ich znajomiznać będą tę historię.

Acóż to panu może szkodzić?

Przecież pannie żyje!

Lepiej byłoby dla mnie, żebym nie żył!

odrzekł z goryczą.

Patrzyli teraz chłodno na siebie.

Wreszcie Adelina, doprowadzona do stateczności, wykrzyknęła:

A czegoż, na Boga, spodziewał się pan?

Czy myśli pan, że kiedy natknęłam się, tak zniemacka, na pańską małżonkę, to miałam już cały plan w głowie?

I bez żadnego w nim słabszego punktu?

Zdaję mi się, że dokonałam wielkiej rzeczy.

Ale dobrze mitak: jakiejże wdzięczności może się człowiek spodziewać, kiedy się w miesza w sprawę między mężem a żoną!

Henrietta nie jest moją żoną.

Już pięć lat temu przestałam nią być.

Czemuż więc zaprzętać sobie nią głowę teraz, kiedy daleko jest od pana?

Mogę dodać jeszcze, że Hettie nie pragnie wcale pańskiego powrotu!

197.



Wilmott spojrział na nią z niedowierzaniem.

Czy Hettie byłaz nią?

Taki jak powiedziałam, nie wykazywała bynajmniej pragnienia odnalezienia swego tatusia!

Cóż za rodzina z nas!

zaśmiał się zgoryczą.

Naprawdę, niegodni jesteście zajęcia, jakie pani okazuje nam.

Jeżeli pan jeszcze będzie mówił "nam", mówiąc osobie itych dwojgu, umyłam ręce od wszystkiego!

Nie będę już!

wykrzyknął.

Oświadczam, że jestem wolny.

Nie byłem nigdy w życiu tak szczęśliwy, jak jestem tutaj.

Położę całą moją ufność w dobroć Opatrzności i będę dalej szczęśliwy!

Lepiej niech pan zaufa mnie zauważyła Adelina .

Twarz Wilmotta ożywiła się nagle i w oczach stanęły mu łzy.

Jeśli jestem szczęśliwy tutaj wyrzekł z przejęciem to dlatego, że pani jest blisko mnie!

Adelina zaśmiała się.

Zabieram pana ze sobą do Jamyrzekła.

Nie chcę zostawiać panasamego tutaj.

Zdawałoby się, że tonie zanadto wygórowane pragnienie, jeśli wszystkim, co człowiek chce, jest posiadanie w spokoju takiej drewnianej chałupy rzekł rozglądając się po izbie a jednak, nie jestem całkiem pewny, czy uda mi się urzeczywistnić je!

Nie zostanie pantu samdzisiaj powtórzyła.

Pójdziemy do Jalny obejrzeć klatkę schodową.

Właśnie budują ją, a Filip znalazł snycerza, który rzeźbi piękny słup, wokół którego ułożą schody.

Słup będzie z orzecha, a rzeźbiony w kształt winogronowej liście.

Na szczycie będzie z nich duży bukiet.

Cóż, James, nie ma pan ochoty zobaczyć tych cudów?

Nic by mnie ucieszyło bardziej.

To mówiąc wziął kapelusze.

Nie nosił już teraz swego stroju leśnego człowieka, w który się ubrał, gdy pierwszy raz przyjechał do nich, lecz tak jak przyrzekł, zgolił faworyty.

Adelina raz jeszcze konstatawała, jak bardzo wskutek tego wyprzystojniał.

Oświadczam panu, że wygląda pan bardzo dystyngowanie, pozbywszy się faworytów.

Właściwie moje faworyty nie były wcale duże.

zauważył,

Każde faworytysą za duże!

Nie chce pan, żeby panu mówić, iż wygląda pan dystyngowanie?

198

Cokolwiek pani raczy powiedzieć, jest tak ważne dla mnie, że muszę krytycznie zastanowić się nad tym.

Ależ ma pan "charakterek", jak mówią u nas w Irlandii!

James, wie pan, że czasem łapię się natym, że w skrytości ducha żal mi Henrietty!

Szli krętymi drózkami, prowadzącymi do Jalny przez las on, prowadzącej konia, ona, zarzuciła ramię tren swej amazonki.

W Jalnie zastali Filipa w towarzystwie pułkownika Vaughana.

Wszyscy zgromadzili się wokoło budujących się schodów, roztrzaskując szerokość ich stopni, wygięcie łuku balustrady i rysunek projektowanego słupa.

Adelina oświadczyła, że nie spotkała nigdy wygodniejszych schodów.

Mogłaby mówić biegnąc ponich z dołu do góry i z góry na dół przez cały dzień dzieckiem na każdej ręce.

Pułkownik Vaughan zaprosił Wilmotta, by razem z innymi jego gośćmi spożył tegodnia obiad u niego.

Na ogół nie zapraszano zbyt często Wilmotta do Vaughanlands; byłoby inaczej, gdyby pani Vaughan lubiła go bardziej.

Lecz przy kilku sposobnościach zdarzyło się, że słyszała, jak wygłaszał zapatrywania na religię i politykę, sprzeczne z jej własnymi poglądami; uważała więc jego towarzystwo niebezpieczne dla Roberta.

Widziała jednak, że mąż jej patrzył na Wilmotta z podziwem.

Ale co się jej jeszcze bardziej nie podobało u niego, to zachwyt, jakim, jak zauważyła, błyszcza jego oczy.

gdypatry na Adelinę.

Uważała, że było nieroztropnością z jej strony jeździć do domu Wilmotta i wystawiać się w ten sposób na żer plotkom; według niej było nieopatrzną słabością ze strony Filipa, że pozwalał jej na to.

Tegoż dnia, przed obiadem, zwrócił w tej kwestii uwagę Adelinie.

Droga pani Vaughan odparła Adelina z uśmiechem, który nie wróżył nic dobrego niech mnie pani nie strofuje za coś, co jest zupełnie niewinne!

Nie strofuję pani.

Ja tylko przestrzegam panią.

Przed czym?

Przed obmową.

Chce pani powiedzieć, że obmawiają mnie już?

Musi pani przyznać, że to, co pani robi, jest wbrew konwenansom.

Filip i ja nie uznajemy konwenansów.

Nie obchodzi nas goła, co o nas mówią plotkarze i ludzie, którzy lubią wścibiać nos do wszystkiego.

199.

Ale ci ludzie nie są ani plotkarzami, ani wścibskimi.

To saporządni, mili ludzie i pani przyszli sąsiedzi proszę nie zapominać o tym!

Och, pani Vaughan, proszę nie przybierać tego łajającego tonu, mówiąc do mnie! powiedziała dość ostro iz pałającymigniewem policzkami.

Zaraz jednakdodała spokojniej: Pókimieszkaćbędę tutaj, u pani, nie pojedę nigdy sama do domu pana Wilmotta.

Mam nadzieję, że to zadowoli wszystkich.

I poszła do siebie na górę, by przebrać się do obiadu.

Odczuwała dojmująco skrepowanie zbyt długoprzeciągającym się pobytem w obcym domu.

Zatrzymała się przydrzwiach dziecinnegopokoju i otworzyła je.

Mikołaj właśnie odbył swą kąpiel i siedziałnakolanach niańki, ociekający wodą i błyszczący jak muszla,świeżo wyjęta z wody.

Włosy, w mokrych falach, spływały mu odczoła na tył głowy.

Oczy jego śmiały się zuchowato dziecinną radością.

Przed chwilą porwałolbrzymią gąbkę i rzucił ją na podłogę, a teraz siedząc nakolanach

Matyldy,wyciągnął się,ile mógł,by dosięgnąć swych śliskich, różowych paluszków u nogi.

Matylda zaś,z niedorzecznym,pełnymniewczesnej dumy uśmiechem,właściwym niańkom, patrzyła na Adelinę , jakby powiedzieć chciała: "Mogłaś go urodzić, ale teraz on do mnie

należy, do mnie!

".

Mikołaj zaś nie troszczył się bynajmniej o to,do kogo należy.

W ogóleposiadałszeroki, wielkoduszny pogląd na życie.

Głównym jego zajęciem było niszczyćwszystko, co leżało w dostępdla niego odległości.

Aniołkumój!

wykrzyknęła Adelina .

Matyldo, jak onrośnie!

Jakież cudnesą te dołeczki!

Pewnie, że cudne przyznała niańka tak gładko, jakby jesama własnymi palcamiwyrzeźbiła.

Gussie podeszła do nich, piastującłalkę, którąjej podarowałWilmott.

Lalkamiąła biało-różowątwarzyczkę i czarne loczki,wymalowane na porcelanowej główce, a na sobie tylko koszulkę.

Patrz!

powiedziała Gussie, podnosząc w górę lalkę.

O, jakaż ładna!

rzekła Adelina , lecz oczy jejpowróciłynatychmiast do Mikołaja.

Patrz!

powtórzyła Gussie, podnosząc koszulkę lalki i pokazując jej nagie ciało.

Cudo prawdziwe!

powiedziała Adelina , nie patrząc wcalena lalkę.

Gussie włożyła teraz lalkędo wanienki Mikołaja i pchnęła ją

200

głęboko.

W chwili, kiedy woda zakrywała lalkę, dziwny wyrazzrodził się w oczach dziewczynki.

Coś przypomniało sięjej.

Zwróciła się do matki i powiedziała:

Haneefa.

Adelina wzdrygnęła się, bliska przerażenia.

Jakieżto wspomnienie obudziło się w tym dziecku?

Czemu wymówiła to imię?

I znowu zaczyna swoje psoty!  
zawołała niańka.

Przeżył dzień nie mogę dać sobie rady z nią!

Jak nie jedno, to drugie ciągle coś!

Może by pani ją ukarała.

To by jej dobrze zrobiło!

Gussiew tej chwili dostała ataku kokluszowego kaszlu, który skończył się siędziwym pianiem, tak charakterystycznym dla kokluszki.

Kaszleł wstrząsał wątłym ciałkiem Gussie.

Litość brała patrząc, jak szukając oparcia, chwyciła się krzesła.

Kiedy paroksyzm minął, twarzyczka jej była purpurowa, a czółko wilgotne od potu.

Adelina wytarła jej własną chusteczką.

Biedna Gussie szepnęła, pochylając się nad nią.

Jakże ty strasznie kaszlesz!

Widzisz Matyldo, nie trzeba jej było puszczać na podwieczorek do małych Pinków!

Proszę pani, sama pani życzyła sobie, żeby poszła.

Mnie się to nie bardzo podobało.

Nie można nigdy być dosyć ostrożną, kiedy małe dziecko jest w domu!

O Boże drogi!

Jakże mogłam wiedzieć, że dzieci Pinków nabawiły się kokluszki?

Proszę pani, możnaż to wiedzieć, czego nie są w stanie nabawić się dzieci pastora!

Na schodach dały się słyszeć kroki i zaraz ktoś zapukał energicznie do drzwi.

To doktor rzekła niańka, okrywając nagość Mikołaja obrzymym prześcieradłem kąpielowym.

Adelina otworzyła drzwi i wszedł doktor Ramsey.

Był to młody jeszcze człowiek dochodzący do trzydziestki kościstej budowy i o wyglądzie uderzająco zdrowym.

Silne, wystające kości policzkowe i mocny zarost ust dawały mu wyraz stanowczy, a nawet zuchwale wyzywający.

W obejściu był nieco prędko.

Przywitawszy się z Adelina, zwrócił się zaraz do swej małej pacjentki:

Jak się masz!

rzekł.

Znowu był atak kaszlu co?

Gussie z powagą przytaknęła głową.

Przesunęła rączką po czole, odsuwając przyklepione doń zwilgotniałe loki.

Doktor Ramsey usiadł i wziął dziecko na kolana.

Przyłożył palce do jej cieniutkiego napiętko, lecz patrzył przy tym na Adelina.

201.

Wolałbym, żebyśmy znaleźli sposób odosobnienia jej.

Byłoby mi bardzo przykro, gdyby pani zaraziła się kokluszem.

Mało to prawdopodobne, skoro nie nabawiłam się go, kiedy pięciu moich braci rozchorowało się równocześnie na koklusz odrzekła.

Szkoda, że pani nie nabawiła się go wtedy rzekł doktor.

Wcale nie szkoda, bo byłyby mnie ominęły wtedy wyścigi w Dublinie, na które wziął mnie z sobą dziadek, podczas gdy pięciu moich braci kaszlało i piał w domu!

Lepiej było wyrzec się wyścigów w dzieciństwie, niż poronić dzieckodzisiaj zauważył doktor.

Adelina wahała się ciągle między dwoma uczuciami; raz zdawało się jej, że ma zupełnie zaufanie do doktora Ramseya, raz znów, że go nie lubi.

Wprawdzie to nielubienie nie umniejszało zaufania, ale przyćmiewało je.

Wszystko, o co mi chodzi, to to maleństwo moje.

Nigdy jeszcze nie było chore.

Doktor Ramsey zwrócił się do Mikołaja, który wyciągnął się jak długi z miną rozanieloną na kolanach niańki.

Jeśli ten nabawi się koklusz, u będzie mu trochę tego pięknego ciała.

Żeby tylko panna Augusta chciała trzymać się z daleka od niego wmieszała się niańka alenie chce!

Żeby tylko pani Whiteoak starała trzymać się z daleka od Augusty rzekł doktor Ramsey.

Filip zastał Adelinę przebierającą się do obiadu w ich pokoju.

Przykrość z powodu krytyki pani Vaughan na temat jej odwiedzin u Wilmotta, której musiała wysłuchać, i pewnego rodzaju irytacja, którą obudził w niej doktor Ramsey, nie sprawiły Adelinie w najprzyjemniejszy humor.

Gdy Filip wszedł, stała z głową ukrytą wszafie między sukniami i stamtąd doszedł go jej głos, którego ton zdradzał niezadowolenie:

Powiem ci, że gardłem mijuż wyłazi to ciągle liczenie się ze wszystkim!

Od rana donocy nic innego nie robię, tylko uważam, żeby nie urazić kogoś!

Suknie moje stłoczone są tutaj jak łachy!

Moje dzieci duszą się w jednym pokoju!

Ty i ja nie mamy też żadnej swobody!

Cosię stało?

spytał Filip lakonicznie.

Tobie to dobrze!

Ty nie jesteś skrupowany, jesteś wolny jak ptak!

Ciebie nie łaja za to, że odwiedzasz sąsiadów!

Ty nie bę202

dziesz rodził dziecka!

Ty nie masz siedemnastu krynolin wiszących na jednym haku!

Ale zato muszę wytykać głowę za okno albo wpychać jądło komina, jeśli chcę zapalić cygaro odparł łagodnie.

Czy pani Vaughan mówiła z tobą o twojej bytności u Wilmotta?

Adelina wydobyła głowę z szafy.

Włosy miała w nieładzie i policzki jej płonęły.

Tak.

Kto mówił ci o tym?

Vaughan.

On jest zdania, że to za daleko posunięte nieliczenie się z konwenansami z twojej strony izdaje mi się, że marację.

Popuściłem ci cugli, Adelino, bo uważam, że to jest najlepszy sposób bycia z tobą i uważam Wilmotta za przyzwoitego człowieka.

Powiedziałem Vaughanowi, że rozmówię się z tobą.

Nie potrzebowałeś się trudzić; obiecałam pani Vaughan, że póki mieszkam będę tutaj, nie pojedę więcej do domu Wilmotta.

Doktor Ramsey powiedział, że źle będzie ze mną, jeśli dostanę kokluszę.

Filip nie potrafił ukryć przerażenia natę myśl.

Masz się trzymać z daleka od tych dzieci.

Nakazuję ci!

E, nie dbam o to!

Tylko ty doktor Ramsey nie bardzo mi się podoba.

Wolałabym, żeby doktor Charles był przy mnie.

Czy myślisz, że przyjechałby doглядać mnie, gdybyśmy go poprosili?

Zdaje mi się, że to trochę za daleko.

Co domnie, to myślę, że Ramsey jest bardzo zdolnym lekarzem.

W jaką suknię ubierasz się dzisiaj?

Wydobyła przedtem zieloną, taftową suknię z szafy.

Suknia miała bardzo głęboki dekolt i wydała się Filipowi zbyt strojna na zwykły obiad, więc powiedział jej to.

'Adelina rzuciła z pasją suknię na ziemię i zażądała, by w takim razie Filip wybrał w jej garderobie coś wystarczająco "ohydne", by mogło być odpowiedni na tę okoliczność.

Filip spojrzał na zegarek.

Spóźnimy się na obiad.

Głowa twoja wygląda jak kopasiana.

Jeśli chcesz pokazać się ludziom w tym uczesaniu, a wystrojona jak na bal, będę się starał znieść to w milczeniu, ale oświadczam ci, że będę się wstydził za ciebie.

Adelina usiadła przy oknie i patrzyła pośpiesznie w ogród.

Jak tam rozkosznie jest w County Meath, o tym czasie.

rzekła.

203.

W Warwickszire także musi być ładnie odpart.  
Wy, Anglicy, nie macie serca dla waszej ojczyzny.  
Nigdy nie zrozumiecie tej głębokiej, smętnej, żrącej miłości, jaką my Irlandczycy kochamy naszą Irlandię.

Całe szczęście!  
Bo byśmy nie byli dalej niż Irlandia w tejchwili!  
Towy, Anglicy, zrobiliście z nas to, czym jesteśmy!  
rzuciła zajadle.

Nie możemy poradzić sobie z wamiwiesz o tym dobrze.  
Adelina zaśmiała siętrochepocieszona izaczęła wybębnićpalcami jakąś melodię na parapecieokna.

Jak jawysłałam zwprawy!  
zawołała.

Palce skołczałymi.

A przecież doszłam do tego, że grywałam "Modlitwę dziewicy" ztrzemabłędami tylko!

Filip podszedł do niejz tyłu, włożył dłonie pod jej pachy ipodniósł ją z krzesła.  
Słuchaj ubierajsię naobiad albo wezmę kija naciebie.

Oparła się o jego ramię i westchnęła:

Taka jestemzmęczona rzekła.

Żebyś ty wiedział,coza dzień dziś miałam.

Nie włożyła zielonej sukni na ten obiad, lecz skromniejszą, zjasnożółtego, indyjskiego muślinu i starczyło jej tylko czasu nazwinięcie włosów w prosty węzeł z tyłu głowy.

Ale potrafiła podnieść trochę efektywność tej toalety długimi kolczykami z żółtawych diamentów i wpięciemwe włosy spóźnionej, jesiennej róży.

Wilmott był niezwykle ożywionyprzy stole.

Zazwyczaj bywałmniejalbo bardziejrozbowiony od resztytowarzystwa; humor jego nie odpowiadał nigdy w zupełności ogólnemu nastrojowi chwili.

Gdy oczy jego spotkały oczy Adeliny .

posyłał jej porozumiewawczespojrzenie.

W takich chwilach majaczyła przed obojgiem postać Henrietty.

Pani Vaughan pochwyliła jedno z owych spojrzeń;

wywołało ono w niej niepokojące uczucie, że jakąś intrygę knujesięwokoło niej.

Zachowanie bratanicy nie było również pocieszające dla niej.

Daisy nie kryła się z tym, żedąży do tego, byschwytać w swe sidła doktora Ramseya.

Była uczesana bardzowymyślnie, żeby okupićwspaniałościąfryzury skromność swej sukienki; włosy jejspadały połyskliwą, czarną falą aż na ramionai pani Vaughan nie mogła obronić się przed strasznym podejrzeniem, że Daisy ma uróżowane policzki!

Śmiała się zadużo, zagłośno i pokazywała przy tym za dużo zębów: pochylała się też

204

zbyt mocno nad siołem, by zaglądać w oczydoktorowi.

Tenzaśwracał właśnie z wyprawy myśliwskiej i Filip był ciekawy dowiedzieć się szczegółów o jej przebiegu.

Mówił, że naprzyszłyrok, kiedy już rodzinę umieści w Jalnies , projektuje wybraćsię z nim.

Daisy głośnymi okrzykami dawała upust bądźto przerażeniu, kiedy słyszała o niebezpieczeństwach, na jakie narażeni byli myśliwi, bądźteżzachwytowi nad wspaniałością myśliwskich trofeów.

Upolowano bowiem kilka jeleni, łosia i niedźwiedzia.

Wilmottutrzymywał, żeżaden człowieknie ma prawa zabijać więcej, niżjestw stanie spożyć.

Dowodził również, że siedzenie na własnym łodziu rzeki, w swoim czółnie jak to on czyni jest wystarczające jako sport dla każdego człowieka.

Daisy stanęła, nieledwiezaciekle, po stronie doktora; oświadczyła, że gdyby była mężczyzną, pojechałaby do Indii i polowałał na tygrysy, tak jak kapitan Whiteoak.

Miała zamiar wyjść za mąż za jakiegoś łowcę grubego zwierza i towarzyszyć mu w jego wyprawach.

Bardzo prędko miała pani dość tego, panno Daisy rzekł Filip.

To zależałoby od tego, komu towarzyszyłabym odparta.

Z mężczyzną, który by mi odpowiadał, stawiałabym czoło każdemu niebezpieczeństwu.

Niech pani w przyszłym roku pojedzie z nami na naszą myśliwską wycieczkę to będzie rodzaj przygotowania.

i Ale czy będzie wśród panów mężczyzna, który by mi od; powiadał i który by mi dał oparcie, jakiego potrzebuję?

W każdym razie będzie doktor Ramsey, a ten będzie mógł zawsze dać ci pomoc lekarską, gdybyś doznała fizycznych obrażeń

rzekł jej stryj.

To spowodowało rozmowę na uciążliwej podróży, jakie doktor zmuszony był nieraz odbywać, wykonując swój zawód, kiedy zdarzało mu się czasem jeździć do zapadłych miejscowości wśród głębokiej zimy.

Opuszczenie jadalni przez panie po skończonym obiedzie pozwoliło mu podać kilka ciekawszych szczegółów na ten temat ze swej praktyki.

Pułkownik Vaughan krążył naokoło stołu, dolewając portwajnu panom.

Zdziwilibyście się mówił Ramsey gdybyście wiedzieli, czego jestem w stanie dokonać, jak się zawezmę.

Kilka dni temu odwiedzałem chorego, kiedy nagle wpada po mnie z wielkim krzykiem jedna z sąsiadek.

Mąż jej rozciął sobie głęboko nogę siekierą.

Kiedy doszliśmy do ich małej farmy, człowiek ten wyg205.



ładał już bardzo źle.  
Ranabyłaniebezpieczna.  
Nie miałem ze sobą nici, by ją zaszyć.  
W domu teżniebyło lnianych nici.  
Takwięc poszedłemdo stajni, wyrwałem garść białego włosia z ogonajednej ze szkap i ono  
posłużyło doskonale!  
Nie było to dokonane bardzoaseptycznie.  
oczywiście,ale rana zagoiła się nie gorzejod innych, jakie w życiu widziałem.  
Opowiadał o innych jeszcze przeżyciach, których drastycznośćcraziła Wilmotta.  
Starał sięwięc zapić przykre wrażenie portwajnem.  
Kiedy z kolei panowie przeszli do salonu, żaden z nich niezwróciłuwagi, że chód Wilmotta  
stał siędość niepewny i że naglebardzo przycichł.  
Usiadł obok Adeliny .  
Na dworze zaczynał padać deszcz.  
Słuchać było.  
jak biło szyby.  
Cieszę się, jak słyszę ten deszczrzekł pułkownik Vaughan bardzo jest potrzebny.  
Wolałbym, żeby poczekał, aż dostanę się do domu odezwał się doktor Ramsey.  
Niewygodnie będzie jechać.  
Moja kobyła nie ominie nigdy ani jednejdziury czy kałuży, żeby niewleźcw nią.  
Słuchajcie!  
Ależ to leje!  
Czy panprzyjechał konno?  
zwrócił się do Wilmotta.  
Wilmott zdawał się zdziwiony pytaniem.  
Tak, tak zaczął powoli.  
Mamzamiar kupićdobregokonia.  
Parę koni,tak.  
A później wierzchowca.  
Pytałem przerwał mu niecierpliwie doktor Ramsey czy pan przyjechał konno?  
O nie, nie!  
Ja niejeżdżę konno.  
Filip siedział w drugim końcu pokoju obok Daisy.  
Wiedział,że dziewczynaczeka na to.  
żeby ją poproszono o zagranie na fortepianie.  
Zwróciłsię więc dopani Vaughan:  
Chciałbym,żeby pani namówiła bratanicę, by nam zagrałacoś.  
Na moje prośbyjest nieczuła.  
Pewnie,że miło byłoby posłuchać odrzekła paniVaugHan.  
Zagraj coś, Daisy.  
Och!  
ciociu!  
ja tak okropnie gram!  
Proszęnie nalegaj!  
Nie chciałabym cię przymuszać, ale zdaje mi się, że .  
byłabyto przyjemność dla wszystkich.  
Ale niedla doktora Ramseya jestem pewna!  
On niecierpi fortepianu!  
Czyż robię naprawdę takie wrażenie!

zapytał doktor.

Ja sam gram jednym palcem "Dzwonki ze Szkocji" i jestem z tego bardzo dumny!

206

O, proszę!

Niech pan zagra!

Tak bym strasznie chciała usłyszeć pana!

Dobrze, zagram, ale po pani!

No, dalej, panno Daisy!

nalegał Filip.

Niech pani niebędzie taka uparta!

To nieładnie!

Daisy wstała i ociągając się.

i mizdrząc, podeszła do fortepianu.

Okazało się, że taboret nie był odpowiednio nastawiony do jej wzrostu.

Filip pomógł zniżyć go, pomógł również w odszukaniu

nut.

Gdybyta dziewczynanie była taką pozerką.

to mogłabym ją jeszcze cierpieć rzekła półgłosem Adelina do Wilmotta.

Nienawidzę wszystkich kobiet prócz pani.

Głos jego był dziwny: jakiś nieopanowany.

Adelina bystro popatrzyła nań.

Co się z panem dzieje, James?

Nic odparł tylko wypilem trochę za dużo.

Daisy tymczasem młóciła z rozmachem Straussowskiego walca

Filip obracał jej kartki.

Ach, walc!

westchnęła Adelina.

Co bym dała, żeby zatańczyć walca!

A czemuż niemielibyśmy zatańczyć walca?

W tym pokoju?

I natym dywanie?

Niechże pan się zastanowi!

Ja bym chciała zatańczyć na prawdziwej sali balowej i przyorkiestrze, która by grała z uczuciem tęsknego, rozmarzonego

walca!

Podniósł się szmer uznania, kiedy Daisy skończyła grać, lecz stanowczo odmawiała dalszego grania.

Nie!

nie!

nie!

Postanowiłam sobie, że muszę usłyszeć panią Whiteoak i pana Wilmotta, jak śpiewają piosenkę z "Cygańskiej dziewczyny".

Wiem, że śpiewają to nadzwyczajnie, bo tak mówił mi pan Whiteoak.

Niechże pan każe żonie zaśpiewać, kapitanie!

Moja żona nie może utrzymać tonu odparł.

Ale jeżeli państwo chcecie, podejmuję się ją namówić.

Ależ tak, żądamy nawet!

wykrzyknął Ramsey.

Cóż pan na to, Wilmott?

zapytał go Filip.

Czy sądzi pan, że pan potrafi wspomóc Adelinę w śpiewie?

Wilmott zerwał się nagle bardzo ochoczy.

No! dalej, Adelino rzekł do niej pokazemy im, jak się śpiewa!  
i wyciągnął do niej rękę.

Pozwoliła mu poprowadzić się do fortepianu, lecz obserwowano ją.

ła go spod oka.  
Nie bardzo dowierzała mu.  
Jednakże usiadł przedklawiaturą z bardzo pewną miną.  
Umiał akompaniament na pamięć i uderzył wstępne akordy.  
Lecz pierwsza nuta, jaką wydał sobie, była podobna do nieartykułowanego sieknięcia.  
Czy coś panu przeszkadza?  
zapytał pułkownik.  
Nie, nie odrzekła prędko Adelina i pochyliła się do Wilmotta.  
Czy chce pan skompromitować nas oboje?  
szepnęła.  
Czy będzie pan śpiewał porządnie?  
Będę śpiewał wybelkotał.  
Filip, w rozdrażnieniu, wybijał marsza obcasem na podłodze.  
Miał ochotę zrobić awanturę, ale bał się pani Vaughan.  
Wilmott wziął powtórnie początkowe akordy.  
Wtem nagle zdjął ręce z klawiatury, skrzyżował ramiona na pulpicie i położył na nich głowę.  
Pani Vaughan zerwała się.  
Czy pan Wilmott jest chory?  
zapytała.  
Nie, nie jest chory.  
Trochę mu słabo odrzekła Adelina.  
Przyniosę sole trzeźwiące!  
powiedziała pani Vaughan i wybiegła z pokoju.  
Filip podszedł, by przyjrzeć się Wilmottowi.  
Widoczny był tylko jego profil na skrzyżowanych ramionach.  
Z drugiej strony pochylał się nad nim doktor Ramsey.  
Czy pan wie, co mu jest?  
zapytał doktor.  
Tak.  
Był mi podejrzanym już od obiadu.  
Lepiej wyprowadźmy go na powietrze, zanim pani Vaughan wróci.  
Adelino, musicie iść z Daisy do pani Vaughan; powiedzcie jej, że wyprowadziliśmy Wilmotta na dwór.  
Jakże mogłaś nie spostrzec, że ma wczubie?  
Nie powinnaś być łagodniejsza do śpiewania z nim!  
Tym razem Adelinie na razie zabrakło słów, tak była zmieszana.  
Pochwili dopiero wyszeptwała: z  
O, bo też biedak miał dziś straszny dzień.  
Opowiesz mi o tym później.  
Razem z doktorem Ramseyem postawili Wilmotta na nogi i poprowadzili przez pokój, pułkownik Vaughan szedł za nimi.  
Obie zaś panie udały się do pani Vaughan.  
Deszcz zacinał mocno na werandzie.  
Nie możecie go wyprowadzić na taki deszcz!  
rzekł pułkownik Vaughan.  
To mu właśnie dobrze zrobi, zawyrokował doktor.

Fotel kołysał się pod nim tak, że głowa bezwładnie opadła mu na ramię.

Wygląda, jakby miał dość nieprawdaż?  
zapytał Filip doktora.

Nie będzie mógł wrócić do domu tej nocy odparł doktor pośpiesznie.

Wilmott otworzył oczy i spojrzał na nich.

Przykro mi, ale niemożę śpiewać!

wybełkotał.

Nie mamy o to pretensji do ciebie, stary rzekł Filip i podszedł do pułkownika.

Czy mógłbyś przenoćować go?

zapytał niepewnym głosem.

Oczywiście odrzekł chłodno pułkownik Vaughan.

Może się przespać w pokoju Roberta.

Ale trzeba ukryć to przed moją żoną.

Byłaby oburzona do żywego!

Słowo daję mówił Filip do Adeliny, kiedy rozbierali się przed spaniem będąc szczęśliwi, gdy znajdziemy się we własnym domu!

Lubię mieć możliwość przenoćować u siebie przyjaciela, kiedy tego potrzebuje, nie kryjąc się z tym.

Vaughan rozpuścił żonę całkowicie!

Ale czemu ten dureń Wilmott wybrał sobie własny dom.

ażby się w nim upić?

On taki był zmęczony, biedak!

Zmęczony czym?

rzucił Filip, wpatrując się w masywne niebieskie niebo.

Siedzeniem w czóźnie i łowieniem ryb?

Czy też nauczaniem Titisza.

jak się robi zawijasy piórem?

Och, on ma kłopoty, o których nie wiesz.

Jakie kłopoty?

Nie mogę o tym mówić.

Słuchaj, moja pani rzekł surowo Filip nie chcę, żeby Wilmott zwierzał ci się ze swojej przeszłości.

Jeżeli ta przeszłość jest taka, że na samo wspomnienie jej ten człowiek musi ratować się, pijąc nad miarę, to niech zachowa ją dla siebie albo na powiernika poszuka sobie drugiego mężczyznę.

Masz rację, masz rację odrzekła łagodnie Adelina i westchnąwszy głęboko dodała:

Czuję się choradziś wieczór.

Jak myślisz, może to będzie poronienie.

Twarz Filipa nabrała zaraz strasznego wyrazu.

Musisz być zmęczona i trochę zdenerwowana zachowaniem Wilmotta.

Czego ci potrzeba, to dobrze wyspać się tej nocy.

I otuli ją troskliwie kocami.

No, a teraz, dobrze ci?

W mig będzie przy tobie łóżko.

Boże, słyszysz ten deszcz?

Leje jak z cebra!

14 Budowa J.

iln\

209.

#### XIV. Sporty zimowe

Ulewne deszcze trwały przez listopad.

Byłyczęsto połączone z wiatrem, przeważnie od wschodu 4 południowego wschodu.

Wiatry te zmiotły ostatnie liście zdrzew itylko szpilkowe drzewa ciemnymi koronamipanowały nad lasem.

Na drogach koła nurzały się w głębokimbłocie; cieśle musieli nieraz próżnować, czekając namateriał budowlany.

Lecz na ogół stawianie domu w Jalni postępowało zzadowalającą szybkością.

Robotnicy wybudowali sobie zbeleknieprzemakalneschronisko z pryzcami, a w szopie, gdziespożywali posiłki, postawiono piec.

Trzymali się krzepkoi na ogół byliweseli, bo wiedzieli, że czekają ich jeszcze całe miesiące dobrzepłatnej roboty.

Kilku z nichgrało na ustnej harmonijce, ajedennawet na flecie.

Przychodził do nich też Skrzypek Jock, a ten miałw sobie więcej muzykiniż niejeden artysta, oklaskiwany nakoncertach.

Byli też zawsze między nimi owi dwaj Francuzi-Kanadyjczycy, którzy tak świetnie umieli tańczyć; reszta zaś miała zawsze głosy nastrojone do śpiewek, tak że wieczory upływały imzazwyczaj wesoło a sobotnie, kiedy napili się nieźle, nawet hałaśliwie.

Zdarzyło się teżleilka krwawych bójekmiędzy nimi.

Wiatr zmienił się na północny, a wilgotna pogoda na mroźną.

Zdarzały się zawiejeśnieżne.

Nowofundlandczyk Nero obrósłstrasźliwie grubą sierścią i zużywał nadmiar sił i zdrowiana hasaniu po całej posiadłości Whiteoaków; uważałbowiem, że należyona równieżdo niego i że obowiązkiem jego było strzec jej.

Znałwszystkich cieśli, stolarzy i murarzy; był za pan brat z wszystkimidrwalami.

Ale gdy zdarzył się jakiś obcy wędrowiec, szukającypracy, Nero stawał się dziki i groźny.

Kierownik budowy podstawiał muczęsto kopiaste miski ziemniakóww wieprzowiną; stanowiły one dodatek do regularnych racji, które otrzymywał w Vaughanlands i Nero wypasł się bardziej, niż to było dlań wskazane.

Pożerał również kości dzikiego ptactwa, którerobotnicy rzucali mu.

Istniała jednakjakaś psia opatrność, która czuwała nad

210

nim, bo jeśli kiedy był chory, to nigdy dłużej niż kilka minut.

Niezdarzyło się też nigdy, aby drzazgiz kościprzebiły mu trzewia.

Był zdrow, zawsze równego usposobienia i szczęśliwy jak król!

Adelina zaraziła się kokluszem od Augustyi kaszłała z zatrważającą gwałtownością aż do Bożego Narodzenia, a właściwiekaszel nieopuścił jejażdo wiosny.

DoktorRamsey zapisał odwarz siemienia, a pani Vaughan kazała łykać wielkie ilości miodu zrumem; pani Pink,żona pastora, przyniosła flakon jakiejś niezawodnej nakokluszmiestury; paniLacey zaś przywiozła flaszkęsosnowo-kreozotowego syropu.

Filip po każdym pobycie w mieście przywoził jakieś nowe tabletki, które miały przynieśćjej ulgę.

Te rozliczne leki okazały się małoskuteczne,a tylkopsułyapetyt,w następstwie czego Adelina schudła.

To zeszczupleniebyłobywydatniło silniej jejodmienny stan, gdyby nie sznurowała sięumiejętnie.

Nosiła stale długi francuski gorset i szerokie krynoliny inadal wyglądała zgrabnie, a nawet elegancko.

Wprawdzie pani, Vaughan odradzała jejsznurowanie, mówiąc, że może tym zaszkodzić zdrowiu dziecka, lecz z drugiej strony była za tym, by Adelina starała się ukrywać swój stan, szczególnie dlatego, że Robert miał przyjechać na wakacje świąteczne do domu.

Byłoby rzeczywiście żenującym widzieć Adelinę, kręcącą się po domu zezdeformowaną talią w obecności Roberta i Daisy.

Pani Vaughan była tak przyjazna dla Adeliny w tym okresie, że ta nie zapomniała jej tego nigdy.

Wszystkie najrozmaitsze leki na kaszel, które Gussie łykała pospołu z Adelina, wywołały gorsze jeszcze skutki u córki niż umatki.

Gussie nie tylko straciła apetyt, lecz nie mogła należycie trawić tej odrobiny nawet, którą jadła. Oczy jej wydawały się ogromne, podkrążone ciemno; usta miały sinawy odcień i wracały do normalnego koloru tylko po atakach kaszlu, kiedy cała jej twarzyczka była prawie purpurowa. Mikołaj za to kwitnął i prosperował jak chwast na żyznej glebie.

Ważył więcej niż Gussie choć jeszcze nie zaczął chodzić, raczkował z niesłychaną siłą iszybkością.

Wpadał we wściekłość, kiedy tylko coś nie było po jego myśli i wtedy dom był pełen wrzasku.

Sypiał jak suseł, lecz budził się zesońcem i wtedy krzykiem i śmiechem dawał upust swej radości, że oto nastał nowy dzień.

Był.

ulubieńcem wszystkich i zapowiadało się, że będzie zepsutym i krnąbrnym chłopcem; miał jednak tyle wdzięku w sobie, że nikt w domu nie mógł oprzeć się jego uśmiechowi.

O, jakże zrobiło się zimno nagle!

Mróz miał w sobie jasnościostrość polerowanej stali.

Ciemny las wokółostał, jakby w oczekiwaniu czegoś.

Szeregi jego drzew ciągnęły się nieprzerwanie, ażnapotykały wielkie puszcze północne, a potem dalej i dalej, pókinie dobiegły swego kresu.

Wtedy zaczynało się bezdrzewne pustkowie, kraina lodowych jezior i skutej mrozem ziemi.

Tego wieczoru, kiedyRobert przyjechał, mróz zelżał i niebozawisłociężkimi chmurami nad ziemią;a potem przez całą nocpadał śnieg.

Zapowiadała się pogoda, jaka przystoina Boże Narodzenie.

Z chwilą kiedy wniesionowalیزی Roberta do jego pokoju, aon sam, smukły, jasny i uśmiechnięty ukazał się w domu, sercepaniVaughan jakby dostało skrzydeł.

Zdawałosię jej, że wreszcziezbliży sięsercem do syna, z którym tak małoobcowałaprzezubiegłe lata.

Lecz Robertowi łatwiej przychodziło być na poufałejstopie z Adelina niż z rodzicami.

Możeto dlategoomówił do Adeliny , kiedy wyjawił jej toswoje odczucie że oniza wiele spodziewają się po mnie.

.Chcieliby, żebym był lojalnymKanadyjczykiem, a ja zaledwie poznałemten kraj!

Spodziewająsię pomniewielkiej szlachetności charakteru, a ja mam dużo wad w sobie.

Chcieliby, żebym okazywał immoje przywiązanie, a ja jestem naprawdę diabelnie nieśmiały.

Panizaś nie spodziewa siępo mniewięcej, niż w rzeczywistości jestemzdolny dokonać mówiąc to,patrzyła nią wymownie: Gdyby pani znała moje myśli, kiedy pociąg niósł mnie tu, do domu,zdziwiłaby się pani.

Naprawdę?

spytała z uśmiechem.

Tak.

Zastanawiałem się, po co towszystko?

Po co napycham głowę tą książkową wiedzą natym uniwersytecie?

Jakiefatum rzuciło panią na moją drogę.

Jakie będzie moje życie.

Czy kiedykolwiek poczuję przynależność dojakiegoś kraju.

Czyw ogóle istnieję rzeczywiście.

I coznacząwszystkiete walki iborykanie nasze?

Aten dom, który państwo budujecie, czynaprawdę potraficie przylgnąć do niego sercem?

Czy daje on wampoczuciebezpieczeństwa?

Oto, o czymrozmyślałem.

Dla mnie wystarczy sięgać myślą od jednego roku do drugiego.

Kiedy mam mój własny dachnad głowę, a pod nim tych,co do mnie należą, dla mnie to jest rzeczywistość.

A moja przyjaźń nie znaczy nic dla pani?

212

Lubiłabym mniejten dom, gdyby pan nie byłmoimprzyjacielem odrzekła ciepło.

A ja nienawidziłbym tego domu, gdyby pani nie było wnim!

zawołał chłopak gorąco.

Czymże ten kraj jest dla mnie, jak nie wielką pustynią?

Może mój syn, jeśli kiedyś będęmiał syna, będzie go kochał: ja nigdy!

Niech pani patrzy na tenśnieg na długie miesiące pokryje tu wszystko.

A w Montrealujestjeszcze gorzej!

Adelina pogłaskała go po twarzy.

Ach, Bobby!



Ależ pan lubi mówić!

Chodźmy lepiej i porzucamy się trochę śniegiem.

W Ouebecu rzucalam się często śniegiem z dziećmi Balestrierów.

Ja więc mam być dzieckiem także?

zapytał żałośnie.

Jest pan bardzo miły odrzekła.

Pani Vaughan jęknęła, gdy ujrzała ich obrzucających się kulami śnieżnymi.

Nieostrożność Adeliny przerażała ją.

Bawić się śniegiem z tym kaszlem!

Tak się natężyć imęczyw jej stanie, to grzech nieledwie!

Niemniej wziętadzieci naręce.

by im przezokno pokazać, jak ich matka szaleje.

Kiedy Filip wyłonił się z lasu, przywitał go pocisk śnieżny, wycelowany wprost w piersi,

akiedy za chwilę on również przyłączył się do zabawy, walka stała się wprost zacieklą.

Nero gonił za kulami śnieżnymi, skakał nawalczących i przewracał ich.

Niech Bóg ma wopiece to biedne, nie narodzone jeszcze dziecko myślała pani

Vaughan, a zagarniajątku tyłowiłok, opadający na czoło Mikołajowi, rzekła: Patrzcie na waszą mamusię!

Mikołaj zaśmiał się, azmoczywszy palec w buzi.

smarowałnim poszybie.

Wasza mamusia jest taka żywa jak łania dodała pani Vaughan, głaszcząc kolei główkę Gussie.

Ale to może zaszkodzić temu braciszki, który ma się urodzić.

Proszę pani, ja nie chcę więcej braciszków odezwała się Gussie i zaraz poczuła, że kaszel zrywa się gdzieś w głębi jej piersi.

Jak będziesz starsza może już na twoje przyszłe urodziny urządę dla ciebie proszony podwieczorek.

Zaproszę z sześciu grzecznych dzieci.

Synków państwa Pinków także.

Tu przerwała, bo poczuła, że kaszel wstrząsa już piersiami Gussie.

I zaraz też przyszedł atak.

213.

Na Boże Narodzenie ziemia zamarzła; lecz nie był to mróz takostry i przykry, jak w Quebecu. Rozlewisko rzeczne w przystani Wilmotta utworzyło szklisty staw.

Razem z Titiszem odgarnęli namm śnieg i zamietli lód do czysta; pracowali pospołu rażno i wesoło.

Od owego wieczoru, kiedy to upił się, Wilmott unikał domu państwa Vaughanów.

Tej nocy również, nabrał antypatii do pani Vaughan i do doktora Ramseya.

Zaczęła się natomiast ustalać jego pozycja w towarzyskim życiu sąsiedztwa.

Bywał na wieście upaństwa Pinków i u państwa Lacey'ów, prowadził u nich dyskusje o religijne, czy polityczne.

Wielebny Heber Pink był krzepkim, rumianym na twarzy mężczyzną, ledwie w średnim, wieku;

żona jego była podobna do niego; ale podczas gdy pastor był wesół i pewny siebie w każdym towarzystwie, żona jego była cicha i nieśmiała.

Pastor był bardzo zapracowany; zwykł był wyjeżdżać dla spełniania swych obowiązków kapłańskich, bez względu na to, jakabyła pogoda.

Administrował trzema parafiami.

W jednej z nich, we wsi Stead, był okazały kościół, gdzie wierni z okolicy Jalny uczęszczali na nabożeństwa; w dwóch zaś innych wioskach, mniejszych i położonych w znacznej odległości od siebie, były tylko małe, drewniane kościółki.

Pastor Pink nieustannie walczył, by warunki te odmienić na lepsze.

Lubił perorować i dyskutować, ale był tolerancyjny i znajdował przyjemność w rozmowie z Wilmottem.

Lecz o wiele bardziej lubił Filipa; namawiał go, by podarował grunt pod nowy kościół i dał pomoc w gotówce do jego zbudowania.

Gdyby to nastąpiło, pastor Pink nie musiałby obsługiwać dwóch tak odległych od siebie drewnianych kościołów.

Syn kapitana Lacey'a dostał urlop na swoim okręcie, stojącym na kotwicy w Halifax, i przyjechał na święta Bożego Narodzenia do domu.

Był to dzielny chłopiec, zupełnie podobny do Roberta Vaughana, ale obaj młodzieńcy zaprzyjaźnili się od razu.

W całym sąsiedztwie panował nastrój świąteczny.

Budowanie Jalny przydało nowego zainteresowania życiu towarzyskiemu.

Omawiano dom na milę wokoło i ludzie zjeżdżali z daleka, by oglądać go.

Wilmott postanowił dać u siebie przyjęcie na lodzie.

Nikom w sąsiedztwie nie przyszłoby na myśl coś podobnego, a Wilmott sam nie urządzał nigdy jeszcze w życiu takiego przyjęcia.

Ponieważ domek jego był ciasny, więc o ile zdarzyłby się dzień niezbyt zimny, można by zaproszonych ugościć na ślizgawce.

Kupił parę łyżew dla siebie i drugą dla Titisza, i obaj ćwiczyli całymi dniami na lodzie.

Rezultatem tego były rozliczne sińce i obolałe mięśnie.

214

Pink z żoną państwo Lacey byli doskonałymi łyżwiarzami.

Wszyscy zresztą w sąsiedztwie uprawiali ten sport, nie wyłączając rodziny państwa Busby, która już od pokoleń całych zamieszkiwała Kanadę.

Mieli oni kilku synów i kilka córek.

Adelina nigdy dotąd nie miała sposobności ślizgać się.

Teraz jednak postanowiła nauczyć się jazdy na łyżwach, choć pani Vaughan robiła wszystko, co mogła, by odwieść ją od tego i nawet zebrała się na odwagę, by mówić o tym z Filipem.

Lecz ku jej zdziwieniu Filip zdawał się nie przypuszczać, by to mogło zaszkodzić żonie i sam zapalił się do ślizgawki.

Jeśli to dziecko będzie kaleką myślał pani Vaughan to nikogo innego, tylko ich można będzie winić to!

Doprawdy, na płacz mi się zbiera, jak myślę o tym biednym maleństwie!

Filip miał nieco wprawy w ślizganiu, nabrał jej bowiem w Quebecu; robił teraz wyrzuty Wilmottowi, że nie skorzystał z swego pobytu tamże, by nabrać jej.

Kupił łyżwy dla Adeliny i dla Daisy również.

Daisy była wniebowzięta, bo nie tylko ślizgała się dobrze, ale umiała robić ósemkę i holendrować.

Obiecywała Filipowi, że nauczy go tańczyć walca na lodzie.

Dzień Bożego Narodzenia upłynął miło i pogodnie.

Świętodorzewko w lesie dla dzieci i ubrano je świecidełkami i świeczkami.

Przyszły też paki całopodarunków od siostry Filipa z Devonshire;

z tych zaś, które nadeszły od rodziny Adeliny z Irlandii, przynajmniej kilkanaście było źle zapakowanych i zawartość ich, powiększej części, była poniszczona.

Adelina kupiła Filipowi ciemnozieloną, aksamitną bonżurkę i dobraną do niej myckę; wyhaftowała sama piękny wzór jedwabiami, o żywych kolorach, namankietach i kołnierzu bonżurki oraz wokoło mycki, ze środka której zwisał złoty kutasik.

Filip wyglądał tak zachwycająco pięknie, kiedy przystroił się w jedno i drugie, że Adelinie zbierało się na płacz z rozczulenia, kiedy nań patrzyła.

Trochę mu żal było, że nie może nosić tych pięknych rzeczy od razu, lecz musi odłożyć je do czasu, kiedy znajdzie się pod własnym dachem.

Przybrał smętną minę, kiedy pokazywał pani Vaughan podarunki od żony.

Alicja Vaughan zmieszała się nieco na ich widok, lecz nie zmiękła na tyle, by zachęcić go, aby przywdział je i usiadłszy wygodnie w fotelu, zapalił cygaro.

W dzień Bożego Narodzenia Gussie przywdziała pierwsze, długie po kostki majteczki i od razu nabrała w nich wyglądu już nie dziecka, lecz dziewczynki.

Były one uroczo białe, wystając

spod niebieskiej sukienki; Adelina sama wyszydełkowała koronkę, którą były obszyte. Sukienka miała krótkie rękawki i wycięty dekolt.

Wystrojona w ten sposób, Gussie wyglądała tak uroczo, że Adelinie znowu zbierało się na płacz z rozczulenia.

Porwała małą i zaczęła okrywać ją pocałunkami; potem podniosła, by obejrzał ją Filip.

Trzymała Gussie tak wysoko, aż wystające z białych majteczek nóżki w niebieskich pantofelkach dyndały w powietrzu.

Czy widziałeś kiedyś coś tak czarującego i komicznego?  
zawołała.

Gussie miała jednak nieco obrażoną minę; podejrzewała, że rodzice śmieją się z niej. Mikołaj zaś, przyzwyczajony do tego, że stanowią centrum ogólnej uwagi, nie mógł ścierpieć, że zdezonizowała go dziś siostra.

Przyrączkował do spódnicy matki i usiłował wspiąć się po niej, używając falban jako stopni. Filip podniósł go z ziemi i usadowił na szerokich swoich barach.

Ładna z nich para oświadczył.

Dzieci Balestrierównie umywają się do nich!

Ani dzieci Pinków!

Ani żadne dzieci, jakiegoś dotąd widziałem.

Ciekawa jestem, czy to, które urodzi się teraz, to będzie chłopiec czy dziewczynka?

Mam nadzieję, że chłopiec.

Ale bym wołał, żeby szelma nie urodziła się wcale.

A ja znów chciałabym, żeby był blondyni całkiem podobny do ciebie.

Pewnie!

Czas już, żeby jedno było podobne do mnie!

Ale gotów być podobny do twego ojca; mieć rude włosy itd.

A, niech Pan Bóg broni!

Miałbym ochotę nazwać go Karol, po moim ojcu.

Był pięknym mężczyzną i imię Karol dobrze wygląda przy Whiteoak.

Jeżeli mu dasz imię po moim ojcu, musi nosić także imię po moim.

Nie widzę, dlaczego "musiał".

Chciałbyś odsunąć mego biednego ojca od wszystkiego!

wybuchła.

Przed chwilą mówiłaś: Broń Boże, żeby dziecko było podobne do niego!

To co innego.

To znaczy, że chciałabyś nazwać twego syna Renny czytak?

216

Ojciec mój nosi więcej niż jedno imię.

Nazywasz się Denis Patrick Crawshaw St.

John Renny.

Hm, nie powiem, żeby mi się które z nich podobało.

Denis nie podoba ci się?

No, Denis, jeszcze ujdzie.

Ojca mego wołali Denis zaczęła cicho, w zamyszeniu aż do dwudziestego trzeciego roku życia.

Wtedy to stryj, po którym go nazwano, zaproponował mi tysiąc funtów, jeśli zaczniesz używać jednego ze swych imion.

Więc ojciec mój, który zgodziłby się na jakiekolwiek imię, kiedy pieniąż wchodził w grę, odrzucił mi Denis i stał się Renny.

Ale jesczedziś niektórzy w rodzinie nazywają go Denis, a to dlatego, że nienawidzą go do tego stopnia, iż nie chcą nazywać go imieniem dziadka.

Nie żeby dziadek był człowiekiem, którym można by się szczylić.

Lecz Filip popatrzył w tej chwili na zegarek.

Czas już ubierać się przerwał jej i jeżeli chcesz, abym zasnuł ci gorset, to lepiej zacząć już teraz.

W dzień naznaczony naprzyjęciu Wilmotta powietrze było krystalicznie czyste i zimne.

Lecz wiatru nie było i suche, ostre zimno miało coś ożywczego w sobie.

Lśniący pylny prószył od czasu do czasu, jakby ktoś przesiewał go przez powietrze tak czyste, że pozbawione było wszelkiej woni, a tylko uderzało w nozdrza swą niezmaconą świeżością.

Tropy zwierząt leśnych, jak drobnych rybek, znały się na skrzącym śniegu.

Dzień był jakby namówienie.

Wilmott i Titisz pracowali ciężko przez cały ranek, by odgarnąć śnieg z lodu i zamieść go na czysto miotłami, nie tylko na nowym rozlewisku wodnym koło przystani, ale na sporym odcinku góry rzeki.

Z desek zbili ławki dla pań i nakryli je czerwonymi iszarymi kocami.

Żona farmera z sąsiedztwa zgodziła się przyjść, by przygotować przyjęcie.

Dla uświetnienia uroczystości Wilmott zawiązał na szyi czerwony krawat, którego końce, ozdobione frędzlami, schodziły aż na kamizelkę.

Pierwszy przyjechał pastor Pink z żoną, co ucieszyło Wilmotta, bowiem pastor Pink potrafił rozruszać każde towarzystwo.

Teraz zmiejsca zaczął niby łajać Wilmotta, że to zaprowadza frywolne zwyczajew jego parafii.

Pani Pink śmiała się cichutko z każdego żartu męża, lecz uśmiechała się tylko lekko, kiedy Wilmottowi udał się również żart.

Zapytana o zdrowie dzieci, odpowiedziała, że synowie jej już zupełnie pozbyli się koklusu.

Zaraz po nich przybyli państwo Lacey.

Przywieźli ze sobą syna jedynaka, tak jak Robert Vaughan, lecz w tym wypadku był on jedynym, którego zdołali wychować z trzech synów, których mieli: był im więc potrójnie drogi.

Państwo Lacey żyli w najściślejszej przyjaźni z pastorem i jego żoną.

Wnet też utworzyli kółko tak zżyte, że Wilmott czuł się między nimi zbędny.

Spoglądał z niepokojem ku drodze, skąd dochodził .

odgłos dzwonekówsanek.

Za chwilę duże sanie, zaprzężone w parę jasnokościstych, na pół tylko ujeżdżonych koni, z trudem - wjechały w bramę.

Dziarski chłopak, który nimi powoził, namocował się niemało, nim zdołał zatrzymać je.

Wtedy drugi, równie dziarski młodzian, wyskoczył z sań i podbiegł do pysków końskich.

Trzy tęgie pannice poczęły gramolić się z sań, cwidząc młody Lacey skoczył pomagać im.

Zdążył jednak tylko pomóc wysiąść mamie ołbrzymiej tuszy.

Ojciec rodziny wysiadł ostatni.

Zwał się Elihu Busby i był pierwotnym właścicielem większej części gruntów w tej stronie prowincji.

Lat miał przeszło pięćdziesiąt, lecz mógł całkiem dobrze uchodzić za człowieka pod czterdziestkę.

Walczył w wojnie w 1812 roku pod generałem Brockiem i stracił rękę w bitwie pod Queenston Heights.

Był mieszanego pochodzenia, miał w żyłach angielską, irlandzką i szkocką krew.

Lecz żywił lekką pogardę dla każdej z tych narodowości a jeśli chodziło o Szkotów, to pogarda jego dochodziła do antypatii.

Najsilnie jednak uprzedzony był do Amerykanów ze Stanów.

Rodzina jego miała tradycje lojalistyczne; z początkiem rewolucji uszła do Kanady, zostawiając znaczny majątek w Nowej Anglii.

Prześladowania, jakich rodzin doznała, zanim opuściła Nową Anglię, były zawsze jak świeża, jątrząca się rana w jego sercu, bo kiedy był małym chłopcem, dziadkowie karmili go opowiadaniem o nich, Busby był człowiekiem dumnym i egoistycznym, lecz nabrał sympatii do Wilmotta.

Nic tak nie lubił, jak zaznajamiać go jako świeżo przybyłego z wszystkimi sprawami prowincji.

Najstarszemu córka, Kate, także pałała sympatią do Wilmotta, lecz jej sympatia była cieplejszej natury; teraz ledwie mogła doczekać się chwili, kiedy będą ślizgać się razem.

Sam Busby brał bardzo serio sprawę ślizgawki i natychmiast po przywitaniu się z gospodarzem usiadł na brzegu rzeki i kazał najstarszemu synowi, by założył mu łyżwy; sam bowiem nie mógł uczynić tego z powodu utraconej ręki.

Teraz Whiteoakowie wraz z Robertem i Daisy przyłączyli się

218

do towarzystwa.

Nieco później dopełnił liczby zaproszonych doktor Ramsey, który przybył konno; uwiązawszy wierzchołek do drzewa i okrywszy ją kocem, podszedł do Wilmotta i oznajmił mutonem, jakby mówił do pacjenta, który prawdopodobnie nigdy nie zapłaci mu za kurację:

Nie mogę pozostać tu długo, muszę jechać do Stead.

Mam tam chorego z złamana ręką i to w trzech miejscach!

Amputować ją!

radził Busby.

Tak, jak zrobili z moją.

Dać mu się napićwaterkę whisky amputować ją.

Doktor Ramsey udał, że nie słyszytej rady.

Założył ręcei patrzyłz wyrzutem na Adelinę .

Pani Whiteoak stanowczo ma tunicdo roboty!  
rzekł.

Wyszła co dopiero z koklusz, a w kwietniu ma mieć  
dziecko!

I popatrzcie, jak jest wyściskana!

j Wilmott uważał, że uwagi te są w złym guście.

Obecnośćdoki tora Ramseyamroziła go.

O, spodziewam się, że wszystko pójdziedobrze rzekłoderwanym tonem.

Doktor Ramsey zwrócił na niego swe jasne, chłodne oczy.

Dlaczego?

zapytał.

Nie wiem.

Rzadko tak jest, jakpanmówi.

Mogę panu coś o tym powiedzieć.

ElihuBusbybył pierwszy na lodzie.

Mknął gładkopo rzece ibyłby nawetwyglądał wdzięcznie w tym ruchu, gdyby nie  
pewnakanciastość jego postaci z powodu brakujednej ręki.

Nero,któryprzybiegł za Whiteoakami, nie widział dotąd nigdy człowieka nałyżwach.

Widok Busby'ego nappełnił go dziką radością.

Rzucił się'za nim, ślizgając się i potykając nalodzie.

Adelina i Filip poczęliwołaćna psa, lecz tenpędził dalej, nieczuły naich głosy, niby bolid  
wehniany.

Dopędziwszy łyżwiarza, skoczyłmu nabary i w jednejchwili obaj leżeli na lodzie.

Nie .

zdziwiłbym się, gdyby złamał jedyną rękę, jaka mu została!

rzekł zgryźliwie doktor Ramsey i,mając już łyżwy nanogach, szybko podążył na ratunek  
panuBusby'emu.

Gdy Nero zobaczył drugiego człowieka na łyżwach, stanął wobronnej pozycji,  
rozstawiwszy szeroko przednie łapy, gotów załatwić się z nim, jakporadził sobie z  
pierwszym.

Pójdziesz precz,bydlaku!

krzyknąłdoktor Ramsey.

Lecz Nero już wspiął mu się do piersi, szczerkając radośnie.

219.

Przez chwilę doktor tworzył razem z psem przedziwną i groteskową grupę, która byłaby mu zyskała poklask, gdyby produkowała się w pantomimie na lodzie; to jednak było ostatnią rzeczą, którą powstałaby doktorowi w głowie.

Teraz klęczał już na lodzie, niemając odwagi powstać.

W pozycji tej jednak nie byłonic z błagania przeklinał głośno i walił psa pięścią, gdzie popadło. Nerozaś obiegał go wokoło, szczekając zapamiętale.

Pan Busby, który nie ucierpiał wcale z powodu upadku, siedział nieco dalej na lodzie i śmiał się do rozpuku.

Kiedy to się stało, Filip miał przytwierdzoną łyżwę tylko do jednej nogi; w zdenerwowaniu daremnie próbował zapiąć sprzączkę u drugiej.

Wołał nieustannie "Nero!

", lecz to tylko podniecało dziką radość psa, że powalił dwóch ludzi.

Złap tego psa!

rozkazał Wilmott Titiszowi.

Panie jasię boję: odrzekł Titisz.

Mówięci, złap go!

Ze zwykłym swym wdziękiem chłopak zaczął skradać się po lodzieku nowofundlandczykowi.

Dla osób na brzegu było to jakby widowiskiem.

Pani Busby i jej dzieci, uspokojone już teraz, z mężowami nie stało się nic złego, cieszyli się wraz z innymi sceną, która rozgrywała się na lodzie.

Neronie zauważył Metysa, póki ten nie pochwycił go za obrożę.

Wtedy dał susa, porwał lekkiego chłopca, który jednak nie puszczał obroży, i ciągnął go za sobą, podczas gdy pan Busby dalej pękał ze śmiechu, a doktor Rainseynie przestawał głośno kląć.

Nagle pojawił się Patsy O'Flynn.

Był prawie równie szeroki.

jak wysoki tak okutał się przeciw zimnu.

Począł kroczyć po lodzieku psu.

Ujął go za obrożę z dumną miną poprowadził kuzbrzegowi,

Oklaski odezwały się wokoło, a Patsy zawołał:

On takuteńki jak ja.

Trzeba umieć zabrać się do niego, abędzie jak baranek.

Teraz wróciła wszystkim odwaga i pośpieszono na ratunek dwom panom, z którymi Nero obszedł się tak niedelikatnie.

Wszyscy już teraz śmiali się, nie wyłączając nawet doktora.

Wilmott zamówił Szkota Jocka, by przygrywał na skrzypcach.

Grajek przyłożył skrzypki do ucha i, do wtórskocznym rytmom szkockiego tańca, słyhać było dzwonięcie stalowych łyżew na lodzie.

Kate Busby dopięła swego i wnet sunęła po lodzie z Wilmottem.

Lecz żeby prawdę powiedzieć, ona raczej prowadziła go, niż on

220

ją, tak świetną była łyżwiarką!

Z ramieniem wsuniętym pod ramię pocziwej dziewczyny Wilmott zadawał sobie w duchu pytanie, jak też wyglądałoby życie z taką towarzyszką?

Daisy i Robert Vaughant tworzyli najwdzięczniejszą parę na lodzie.

Robert miał na sobie kurtkę, przepasaną w talii, z futrzanym kołnierzem i bardzo obcisłe spodnie; na głowie czapkę zpuszystego, żółtawego futra, spod której jasna jego twarz wyglądała jakby spod jakiegoś dziwnego, prehistorycznego okrycia głowy.



Daisy paradowała w czarnej spódnicy i szkarłatnym Spencerze, obramowanym złotym galonem. Wielkomierny ten strój wprawiał w nieśmiałe panie Busby, czuły się wobec niej niemal wieśniaczkami.

Pastorowa Pinkwręcz gorszyła się nim.

Uważała też, że ruchy Daisy były zbyt swobodne.

A Daisy w gruncie rzeczy pragnęła tylko jednego:

ślizgać się z doktorem Ramseyem.

Doktor zaś śledził z niechęcią i niepokojem, jak młody Lacey prowadził Adelinę po lodzie.

Wreszcie zbliżył się do niej i rzekł:

Jeśli już pani chce koniecznie wystawić się na niebezpieczeństwo, to proszę przynajmniej ślizgać się ze mną.

Jestem najsilniejszym łyżwiarzem tutaj i najpewniejszym w nogach.

Dobrze, że mi pan to mówi zaśmiała się Adelina, godząc się na jego propozycję. W każdym razie mam nadzieję, że łatwiej będzie panu kierować mną, niż Nerem.

Nie potrzebuje pani wierkać mi o tym!

odciął się.

Zostawili za sobą rozlewisko przy domu i sunęli wolno w górę rzeki.

Doktor zaczął dawać jej nauki, jak powinna uważać na siebie.

Odsunęła się gwałtownie od niego i zawołała:

Jeśli pan chce dokuczać mi, będę ślizgała się sama!

izrobiła długi, posuwisty krok, za trudna jej biegłość łyżwiarską.

byłaby upadła, gdyby Wilmott, ślizgający się z żoną pastora, nie skoczył i podtrzymał ją.

Uczepił się go, śmiejąc mu się wtwarz.

Na litość boską, niech mnie pan zabierze stąd!

blała go.

Co za tyran z tego doktora!

Pani Pink, czy niema pani nic przeciw temu, żebyśmy zamieniły partnerów?

Pokłóciliśmy się z doktorem Ramseyem.

Z przyjemnością odparła pani Pink.

Pan Wilmott jest za rączy dla mnie.

Głupi ma zawsze szczęście mruknął pod nosem doktor.

Topole nad brzeżem poczęły rzucać teraz długie, niebieskawecienie na lód.

Odgarnięty śnieg, spiętrzony na brzegu, robił wraże 221.

nie marmurowego wału z baśni.

Poczerwieniałe, zachodzące słońce zaczęło zniżać się ku kbronom sosen.

Titisz i sąsiadka obnosiligorący rosół ibliny pieczonena rozpalonych ceglach.

Na stole, nakrytym obrusem w czerwono-białą kostkę, ustawili olbrzymidzban kawy, filiżanki na spodeczkach, kopiaste półmiski cynamonowych ciastek i placek z suszonymi śliwkami.

W domu była przygotowana salatera ponczu, którą miano podać później.

Adelina kręciła się w pobliżu stołu z przekąskami, niespokojna ze względu na Wilmotta, czy przyjęcie odbywa się tak, jak należy.

Lecz wszystko szło doskonale.

Ten nowy rodzaj zabawy miał ogromne powodzenie.

Zebrań miało charakter niewymuszonej swobody i wesołości.

Większa część uczestników otoczyła stół, gdzie podawano kawę i ciastka, lecz kilkoro młodszych pozostało jeszcze na lodzie.

Jednym z tych ostatnich był Guy Lacey, którego Daisy uczyła figur na lodzie; oddawał się tej nauce z iście ma-irynarskim zapamiętaniem, pochłaniając równocześnie kawałek placka ze śliwkami.

Daisy mogła mu teraz poświęcić całą uwagę, gdyż doktor Ramsey odjechał już.

W chwilę po jego odjeździe ukazała się nianka Matylda, popychając przed sobą białe sanki, przywiezione z Quebecu; od samego Vaughanlands wiozła tak Augustę i Mikołaja.

Przywitano ich radośnie i natychmiast nakarmiono cynamonowymi ciastkami.

Teraz najmłodszy z chłopców Busby'ego zaczął jechać po lodzie, z nieco ryzykowną szybkością.

Nero, wyrwawszy się Patsy'emu O'Flynn, pędził radośnie obok sanek, wydając od czasu do czasu głębokie, basowe szczekanie.

Kiedy już podano poncz, a wszyscy orzekli, że był doskonały, Wilmott rzekł do Adeliny :

Zdaje mi się, że wszystko poszło gładko i dobrze.

A pan jak myśli?

Wszystko było doskonałe!

oświadczyła, patrząc na śnieg przez ognistoczerwony poncz w szklance.

Nie pamiętam, kiedy bawiłam się lepiej!

Niech pan spojrzy na Filipa.

Tak rozbrykany, jak uczeń!

Zażębi się na śmierć!

Nie powinien zdejmować czapki na takim mrozie.

Filip trzymał swoją futrzaną czapkę w ręku, jasne włosy zburzyły mu się w wilgotne fale.

Minajęgo wyrażała niewzruszona pewność, że system, według którego urządził sobie życie, jest doskonały i pogodną wiarę, że przyszłość nie przyniesie nic, z czym on i Adelina nie daliby sobie oboje rady.

222

Wdziej czapkę!

zawołała.

Filip udał, że nie słyszy.

Czapka!

wołała znowu.

Przeżębisz się!

Terę fere!

Ja się nigdy nie przeżębiam.

Lydia Busby wyrwała mu czapkę i, stanawszy na palcach, nałożyła mu ją na głowę, czerwieniąc się po uszyw poczuciu własnej zuchwałości.

Za daleko na tył!

wołała Adelina .

Wygląda, jakby miała dziecienną kapuzę na głowie!

Filip od razu zrobił minę dziecięco-niewinną.

Lydia czerwieniąc się jeszcze mocniej, zesunęła czapkę naprzódna czoło Filipa.

Strasznie wygląda!

oświadczył Wilmott.

Podobny jest teraz do tańczącego derwisza, z tymi kudłami na oczach

Więc Filip w jednej chwili zmienił wyraz twarzy rzucał teraz spojrzenia dzikiego barbarzyńcy.

Panie kapitanie Whiteoak , jakże mnie pan przestraszył!  
zawołała Lydia i zdarła mu czapkę z głowy.

Lydia!

powiedziała jej matka dość tego!

Proszę jeszcze raz, panno Lydio!

Jeszcze raz!

nalegał Filip.

Tym razem Lydia założyła mu czapkę zawiadacko, na bakier.

Czy tak będzie dobrze?

Filip mrugnął do niej okiem.

Teraz doskonale!

krzyczała pani Pink.

Doskonale!

Lydia!

wołała znów pani Busby.

Mówiłam już: dość tego!

Lecz Adelina patrzyła teraz ku bramie.

Dwóch mężczyzn wysiadło tam z wynajętych san i płacili właśnie woźnicy.

Adelina otworzyła szeroko zdumione oczy.

Patrzyła, ledwie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

Kiedy zbliżali się, zwróciła się do Wilmotta:

To Tomasz d'Arcy i Michał Brent!

A cóż oni tu robią?

Wilmott spojrział na nich z przestraszonym, graniczącym z paniką.

Nie chcę widzieć się z nimi!

zawołał.

Po tym, co się stało, zanic!

Och, Adelino , czemu pani powiedziała im o mnie?

Nie zdołała odpowiedzieć, bo Irlandczycy już dochodzili do nich.

Pośpieszyła im naprzeciw.

Ani słowa ożonie Wilmotta proszę!

przestrzegła ich, podając każdemu rękę.

Jakże panowie wyglądają świetnie!

I co

223.

za wspaniałe, nowe kapelusze!  
Jestem pewna, że kupiliście je w Nowym Jorku.  
Tak jest rzekł d'Arcy.  
A pani także wygląda wspaniale!  
Mamy szczęście zawołał Brent że zdążyliśmy jeszcze na tę zabawę na lodzie!  
My ślizgamy się równieź.  
Czy macie państwo jakieś wolne łyżwy?  
Jedziemy prosto z Wodospadów Niagary przerwał mu d'Arcy.  
Imponujące są w zimowej szacie.  
Naprawdę wspaniale!  
Jadąc tu, usłyszeliśmy odgłosy wesolej zabawy i zaraz powiedzieliśmy sobie: "To jest Jalna".  
Widzi pani, zapamiętaliśmy nazwę!  
Więc kazaliśmy furmanowi dowieść nas tu.  
Przywitali się teraz z Wilmottem.  
A, to pantu!  
rzekł Brent z szelmowską miną.  
Co za szczęśliwy traf!  
To jest mój dom odparł nieco sztywno Wilmott.  
Witam panów u siebie.  
A więc to nie jest Jalna!  
Cóż teraz będzie?  
Rzeczy nasze złożono przed pańską bramą!  
Ale tonic.  
Poniesiemy je do Jalny.  
A d'Arcy tymczasem mówił półgłosem do Wilmotta:  
Uwolniliśmy pana od niej.  
Pojechała do Meksyku.  
Ale coto za piekielnica!  
Byłbym zrobił to samo na miejscu pana!  
Wilmott przybrał twarz w obojętność i patrzył prostoprzedsiebie.  
Filip dopiero teraz zobaczył przybyłych.  
Nakarmiono ich i napojono, a potem pastor Pink i Wilmott odstąpili im swoich łyżew.  
Wilmott poszedł z Titiszem do bramy, zabrał bagaże przybyłych i wnieśli je do domu.  
Filip przyszedł naradzić się z nimi i zdecydowali, że Wilmott odstąpi im swoją izbę na noc, a sam przenocuje w łóżku Titisza, który prześpi się na ziemi.  
Rozmawiali jeszcze, kiedy przyłączyli się do nich kapitan Lacey.  
Oświadczył, że o ile Wilmott zdoła przenocować Irlandczyków tej nocy, on z przyjemnością przyjmie ich u siebie, potem syn jego bowiem wraca na jutro służby na swym okręcie; dobrze więc nawet będzie dla niego i dla żony, że towarzystwo tak wesołych ludzi rozzerwie ich po rozstaniu z nim.

#### XV. U Wilmotta

Zabawa na lodzie była skończona i sąsiadka z grubszą przątnęła po niej w domu.  
Skrzypek Jock dopił ponczu i zabrał się z powrotem do swej budy w lesie, śpiewając "Loch Lomond" na cały głos.  
Na niebie świeci jasno młody sierp księżycy.  
Zwierzęta leśne wychyliły się ze swych kryjówek i zewsząd słychać było krzyk słabszego, kiedy padał pastwą mocniejszego od siebie.  
W izbie Wilmotta było ciepło, bo gospodarz nie żałował szczap na kominie.

Dwaj Irlandczycy, Filip, Adelina i Daisy zasiedli przy ogniu i podróżnicy zaczęli opowiadać swoje przygody w Stanach.

Adelina próbowała namówić Daisy, by wróciła z Robertem do domu, lecz nie udało się jej to. Daisy była w siódmym niebie, że bierze udział w takim niezwykłym, nocnym zebraniu.

D'Arcy i Brent gadali na wyścigi.

Zdawali się, że widzieli wszystko i doświadczyli wszystkiego, co się dało zobaczyć i przeżyć w Nowym Jorku i w Chicago.

Mówili z entuzjazmem o życiu w Ameryce.

Potem rozmowa zesłana wspólną podróż z Irlandii na "Alannie" i napotykną Ouebecu.

Tyle było do opowiadania!

Jednakże Wilmott i Adelina nie mogli pozbyć się ani na chwilę myśli o Henriecie.

Nagle Daisy zawołała:

    Żeby tak poślizgać się przy księżycu!

To było zawsze największym moim marzeniem!

Czy mogę iść sama na rzekę, panie Wilmott?

Tak by to było tajemniczo tak niesamowicie!

    Znudziłam pannę Daisy, d'Arcy odezwał się Brent, Za dużo mówiliśmy sobie.

    Przeciwnie odparł jego przyjaciel.

Panna Daisy szuka samotności, żeby się namyślić, którego z nas woli.

    Filip wyjął dużą, białą chustkę do nosa i ocierając nią czoło, oświadczył:

    Cóż to za piekielne gorąco u pana, Wilmott!

Chyba pójdę poślizgać się z panną Daisy i pomogę jej w wyborze, jeśli na to pozwoli.

f 5 .

Budoua Jalny

225.

Ależ to byłoby bosko!

zawołała Daisy.

Ale czy pani będzie się czuła tajemniczo i niesamowicie, ślizgając się z kapitanem Whiteoakiem?

zapytał Brent.

Będziemymknęli po lodzie jak bezcielesne duchy!  
odparła.

Boję się, że pan się przeziębii rzekł Wilmott i patrząc niespokojnie na Filipa, ujął go za rękę, jakby był doktorem, badającym mu puls.

Filip popatrzył najpierw na obie złączone dłonie, a potem trochę zdziwiony, spojrzał woczy Wilmotta.

Wilmott czuł złość do tych trojga ludzi, którzy znali jego tajemnicę.

Miał uczucie, że Filip był jedynym szczerym i godnym szacunku człowiekiem spośród tych, co znajdowali się w izbie.

Kiedy zamknęły się drzwi za Daisy i Filipem, w izbie zapanowało na chwilę milczenie.

Jedna ze świec, palących się na stole, zaczęła pryskać: wąty jej płomień przygaszał.

Lecz, tym silniejsze jaśniało światło księżyca, rzucając odbicie ram okiennych na podłogę.

Wilmott wstał i oporządził knot świecy; teraz, choć małym płomieniem, paliła się spokojnie.

Tych troje ludzi z Irlandii, jakby wnieśli coś z atmosfery swego kraju do izby.

Była ona obca Wilmottowi i on sam poczuł się obcy między nimi.

Tamci czekali, by odezwać się.

We trójkę rzekł wreszcie postawiliście mnie państwow pięknej sytuacji.

Jaja nie rozumiem rzekł Brent, zmieszany.

Copan chce przez to powiedzieć?

Jestem człowiekiem, który najpierw porzucił żonę i dziecko, a potem pozwolił, aby wywiedziono je w pole, posyłając fałszywym tropem.

Ależ wyjąkał Brent myśleliśmy, że będzie pan zadowolony z tego.

z

Po tym, co pani Whiteoak napisała nam--zaczęła d'Arcy iobaj zamilkli, zmieszani.

Tunie chodzi o to, co zrobiliśmy w mieszała się Adelina ale o sposób, w jaki to zrobiliśmy.

Nikt teraz nie może uważać mnie za kogoś innego, tylko za jakiegoś z goryczą Wilmott.

No, powiem panu zaczął znów d'Arcy i przesunął ręką po włosach nie jestem kawalerem.

Rozwiodłem się z nią przed laty.

Rozumiem, co z panem się dzieje.

Czasem wydaje się panu, że może było w tym także trochę pańskiej winy.

226

Ale wystarczy zetknąć się z panią Wilmott przerwał mu Brent żeby zdać sobie sprawę, komu w tym wypadku należy przypisać winę.

Obleciałbym świat dookoła, uciekając przed tą kobietą!

Toż to prawdziwa zaraza ta pańska żona!

dodał d'Arcy.

Od razu widzi się to.

Nic tylko jaja ja i nieustaje gadać ani na chwilę!

Żaden mężczyzna by tego mówił przekonująco Brenl.

U mojej żony to znów była gwałtowność.

Stawała dęba obyle co zaraz rzucała co jej pod rękę podpadło we mnie czy w służbę.

Wilmott siedział zgarbiony, w zamyśleniu rozsunął wargi i dzwonił wzęby paznokciami.  
Przecież nie chciałby pan, żeby pozwoliła Henriette wtargnąć do pana, James?  
spytała Adelina .

Nie.

Chyba nie to martwi pana, że pozbyłam się jej z Kanady?

Jakżemógłbym martwić się tym.

Więc o co panu chodzi?

O wszystko.

Proszę nie myśleć, że nie potraktowaliśmy jej jak dżentelmeni rzekł Brent.  
Zachowywaliśmy się bardzo poważnie.

Mieliśmy dla niej wszelkie względy, ale postępowaliśmy stanowczo.

Tak wysłaliśmy ją szukać wiatru w polu, do na wpół cywilizowanego kraju!

Przepraszam!

odparł d'Arcy.

Meksyk był cywilizowany, zanim cywilizacja dotarła do tego zakątka Kanady!

Cała bieda z Wilmotem oświadczył Brent jest taka, że ma za czułe sumienie.

Nie, to nie to bronił się Wilmott ale to, co ja zrobiłam było w kategorii rzeczy  
wstydlivych, które mężczyzna powinien zachować w tajemnicy, we własnym sercu.

Kiedy tak rzecz wydobędzie się na światło dzienne, wygląda jeszcze gorzej.

Wygląda wtedy na zbrodnię może rzeczywiście jest zbrodnią.

Słyszałem tłumaczył dalej cierpliwie d'Arcy że pan oddał żonie właściwie wszystko, co  
pan posiadał.

Jest rzeczą oczywistą, że nie żyje pan tu w przepychności.

Wszystko, czego pan odmawia jej, to swojej obecności.

227.

A sądząc po tym, co pani Wilmott mówiła dodał Brent  
nie zgotował jejpaniszczęścia, kiedy panznią żył.  
Nie, daleko do tego!  
Wiecie, co zrobiliby dobrze temu biednemu człowiekowi?  
rzekła do dwóch Irlandczyków Adelina , patrząc życzliwie naWilmotta.  
Napićsięczegośmocnego.  
Zmęczył się, pełniącobowiązki gospodarza i tym wszystkim potem.  
Czy niema w domu żadnego alkoholu prócz tej kropelki ponczu?  
Jasnym było, że wszyscy troje odnosili się doWilmotta, jakbybył chory.  
On sam czuł się, jak zahipnotyzowany.  
D'Arcypodszedł na palcach do kredensu.  
Cięń jego, sunącypo ścianie, byłolbrzymi.  
Przyniósł dobre półbutelki rumu.  
Trzymał ją w wyciągniętej ręce i patrzył przez czerwonoognisty płyn na płomień świecy.  
Od strony rzeki słychać było śmiech Daisy.  
-  
Kieliszkisą na półce rzekł, nie ruszając się ze swegomiejscawilmott, jakby  
rzeczywiście był chory.  
Czy chce pani skosztować tego alkoholu, pani Whiteoak ?  
zapytał d'Arcy.  
Nie!  
Nie!  
Dziękuję panu.  
Dokończętego ponczu.  
Wilmott wypiłkieliszek i zaczął się śmiać.  
To wszystko jest raczejzabawne!  
Siedzimy tu, jakbyśmyznaleźli się znowu w kabinie "Alanny".  
Tylko że zamiast wodnego mamy śnieżne morze za oknem!  
Bogu dzięki, żeznajdujemy się tu, a nie tam!  
rzekła Adelina .  
Zapadło milczenie; słychaćbyłotylko ciche syczenie płomienia, dobierającego się do  
nowej kłodyna komjllie.  
Przerwał jeBrent:"  
Gdziekolwiek zwrócę swój krok, wszędzie życie wydaje mi się zabawne.  
Czasem, na chwilę, potrafię być smutny, ale wnetbawię się znowu życiem.  
To samo jest ze mną, rzekł Wilmott.  
Jażaś rzekł d'Arcy, dolewając sobie rumu nie jestemnigdy ani zbyt wesoły, ani zbyt  
smutny.  
Mam umysł krytyczny, lubię analizowaći filozofować.  
Ja również rzekła Adelina .  
Kiedy łyżwiarze wrócili, Nero wpadł z nimi; stanął na środkuizby i otrząsnął się z  
całych sił, tworząc wokół małą zawieruchęśnieżną.  
Potem zaczął wycierać skrupulatniepysk, szorując o podłogę raz jedną jego stronę, raz drugą.  
228  
Istnysłoń.  
kiedy znajdzie się w pokoju rzekł Wilmott.  
Jeśli sprawię sobie kiedy psa, to małego: takiego, żeby mógł nosić go pod pachą.  
Czy mówiłem państwu, że Titiś ma swojego szopa?  
Policzki Daisy i Filipa płonęły, jak róże, od ostrego powietrza rzece.



Oczy ich świeciły, żartowali międzysobą na jakieś imtylko znane tematy.

Kiedy ich częstowano rumem, oboje odmówili.

Umieram zgłodu rzekła Daisy, odwijając spory kawałek niebieskiej, szydełkowej szarfyz szyi.

Nie jadłam nic.

próczplackaze śliwkamii filiżanki kawy.

Ja też jestemstraszenie głodny!

powiedział Filip.

Czynie ma pan przypadkiem kawałkazimnego pasztetu w spizarni, Wilmott?

I butelkipiwa?

Nero ułożył się u nóg Adeliny i zaczął wylizywać śnieg zeswych potężnych łap.

Tenpies ziębi panią!

zawołał Wilmott.

Zerwał się i pociągnął go zaobrożę przed sam komin.

Nero spojrział na niegoprzeciagle, jakby z żalonym zdziwieniem i dalej lizał swe łapy.

Nie mam w domu nic do jedzenia rzekł Wilmott.

pochylając sięnad Filipem prócz kawałka wędzonki, paru jaj odwłasnych kur, odrobiny zimnych kartoflii słojaz jabłkową galaretką.

Książęca ucza!

oświadczył Filip.

Daisy i ja zajmiemy się kuchnią.

"PannoDaisy", kiedy szlisię ślizgać; "Daisy".

kiedy wrócili pomyślała Adelina .

Wolałabym, żeby ta dziewczyna zdecydowała się raz i polowała tylko najednego mężczyznę.

, To jest najszcześniejszy dzień w moim życiu!

mówiłaDaisy.

układając wdzięcznie lokina ramionach.

Gdybyściepaństwo wiedzieli, jak strasznie konwencjonalne miałam życie dotąd.

nie dziwilibyście się.

Aleteraz zostawiłam to wszystko dalekoza sobą.

Jestem pionierem!

Gdybymustyszała wycie wilka przeddomem, nie zląkłabym się.

Zdjęłabym tę strzelbęze ściany, wyszłabym i zastrzeliła go!

W tej chwili zabrzmiało gdzieś wciemnościach nocy posepne,przeciagle wycie.

Daisy krzyknęła i rzuciła sięFilipowi w ramiona.

Nero zadrzał i zerwał się.

Panowie patrzyli po sobie, czekając, czywycie się powtórzy.

Iodezwało się rzeczywiście tylko bliższe i głośniejsze.

Adelina

229.

zaśmiała się histerycznie, a Wilmott rozwarł na oścież drzwi dokuchni.  
Stał w niej Titisz, smukły i smagły z otwartymi ustami, z których już, już miało rozlegnąć się nowe wycie.

Ty łotrze smarkaty!  
zawołała Adelina .  
Zasługujesz, żeby cię oćwiczyć!  
lecz zaśmiała się.  
teraz już naturalnym swym śmiechem.

Kiedy Irlandczycy zrozumieli, jak rzecz naprawdę się miała a z trudem tylko udało się ich przekonać, że to Titisz tak wiernie udawał wycie wilka byli najpierw rozczarowani, a potem, jak mali chłopcy, wołali:

Jeszcze!  
Zawyj, jeszcze!  
Lecz Wilmott popatrzył surowo na Titisza.  
Nie!

Nie!  
krzyknęła Daisy.  
Nie mogę znieść tego!  
i zgłowa opartą na ramieniu Filipa, patrzyła wystraszonymi oczyma po obecnych.

Proszę, panno Daisy mówił Brent.  
podając jej strzelbę, którą zdjął ze ściany niech no pani nam pokaże, jak pani strzela wilki!  
Pani pamięta przecież, jak się pani dzielnie stawiała przed chwilą.  
I wtykał jej strzelbę rękę

W nagłym przypływie fanfaronady Daisy chwyciła strzelbę.  
Zagrzmiał strzał i kula wbiła się w ścianę tuż ponad głową Titisza.  
Dość tego, moją panno!

rzekł Filip, zabierając jej strzelbę z rąk.  
Popatrzył na nią ze zdziwieniem i dodał: Proszę się zachowywać przyzwoicie!

Daisy stała zdyszczając się, patrząc hardo po obecnych.  
Nie jestem z tych, których można bezkarnie wyzywać!  
odrzekła.

Czy ta panna miała zamiar zabić mnie?  
zapytał Titisz.

Wilmott wszedł do kuchni i zamknął za sobą drzwi.  
Żebyś mi już nigdy nie robił czegoś podobnego rzekł Surowo.  
Przestraszyłeś panie.

Zdawało mi się, że ta panna Daisy chciała słyszeć, jak wilk wyje a ja tak dobrze umiem wyc jak wilk.

Podśluchiwałaś więc pod drzwiami, Titisz!  
Tak.

Chciałem być pod ręką, gdyby pan czegoś jeszcze potrzebował odemnie, nim pójdę spać.  
Czy ta panna Daisy chciała mnie zabić?

Nieto tak z zabawy.  
Panie pytał po cichu Titisz czy pan myśli, że ona jest  
230  
ladacznicą?

Ta panna mówiła mi, że mam piękne, długie rzęsy i usta jak kwiat granatu.  
Jakem topowtórzył mojej babce, to ona powiedziała, że ta panna Daisy jest ladacznicą.  
Ale skoro teraz chciała mnie zabić, to może nawróciła się na dobrą drogę.

Przynieś ze spiżarni wędzonkę, jaja i gotowane kartofle!  
rozkazał Wilmott.

Bóg jeden wie.

co nam na jutro do jedzenia zostanie westchnął.

A innym znów razemnie dawał się zbić z tropu Titisz mówiła, że mamszyję jak posąg z brązu.

Znów powtórzyłem to babce, a ona powiedziała jak pierwej: .

Ladacznic!

"..

## XVI. Zima trwa dalej

Nie było gościnniejszych ludzi w okolicy, jak państwo Lacey.

Dom ich nie był duży, lecz serca szerokie.

Lubili ruchi wesołości siebie; dwaj Irlandczycy zaspokajali ich upodobanie pod tym względem, i to na szeroką skalę.

Prawie zawsze byli weseli i rzadko kiedy usiedzieli spokojnie.

Rozgościli się na dłuższy pobyt upaństwa Lacey.

Napodróżowali się tylko po szerokim świecie, że podobało im się, dla odmiany, pożyć trochę w tymcichymzakątku; a ponieważ podróż pociągnęły za sobą znaczne wydatki, byli radzi płacić za pobyt w domu państwa Lacey jedynie miłym swym towarzystwem.

Nieznaczy to, żeby niestarli się być użytecznymi.

Kiedy w środku zimy nastąpiły duże śniegi, uzbroiwszy się łopaty, pracowali szybko i zręcznie, odwalając śnieg, aż odkopali zupełnie domostwo państwa Lacey.

Chodzili zamarzną drogą do miasta po zakupy dla pani Lacey; z tych wypraw przynosili jej w podarunku marmolady szkockie, sery niemieckie i francuskie wina.

D'Arcy grywał w szachy z kapitanem, a Brent czytywał im głośno powieści Thackereya i Waltera Scotta.

Zabawa na lodziew Wilmotta otworzyła sezon balów; owej zimy było więcej potańcówek, zabaw na lodzie i teatrów amatorskich, niż pamiętano kiedykolwiek w okolicy.

Co niedzielę o ile nie było silnej zadyмки śnieżnej każdy wyruszał, by wysłu-

chać nabożeństwa w wsi odległej o osiem mil.

W niepogodę było to niemałym umartwieniem.

Nogi sztywniały z zimna, zdarzały się wypadki odmrożenia twarzy.

Lecz Whiteoakowie uważali, że klimat w Ontario w porównaniu z klimatem w Quebecu był łagodny.

Tutaj, kiedy termometr pokazywał zero, ludzie uważali, że jest bardzo zimno; tam zaś temperaturę 20 stopni poniżej zera ludzie przyjmowali jako normalną w zimie.

Niedługo wszyscy spostrzegli, że Kate Busby przeniosła zainteresowanie, jakim darzyła Wilmotta, na Brenta i wnet przeszło to w silniejsze uczucie.

Mówiono, że Brent był również pogrążony

ny. Nadszedłszy istniało się jawnym, że zakochał się w Kate "pouszy".

Na św.

Walentego, podczas zabawy u pastora Pink, oświadczył się jej, a sposób, w jaki to uczynił, była taką nowością, że całe towarzystwo było nim żywo poruszone.

Pomysłowość i oryginalność, z jakimi pani Pink starała się zabawić swych gości, nie miały granic.

Tego wieczoru położyła przy talerzu każdego z zaproszonych mały prezencik.

Były to serca, wycięte z czerwonej flaneli.

Pod czerwonym sercem znajdowało się kilka serc wyciętych z białej flaneli a wszystkie były razem spięte rozetkami z białej i czerwonej włóczki.

Jeśli obdarowaną była dama.

to w białe serca powtykane były świecące, nowe igły i w ten sposób powstawała książeczka na igły.

Jeśli zaś obdarowanym był pan, to piękne, nowe, gęsie pióro przetykało rozetkę; wystarczyło odpowiednio je zaciąć na pióro do pisania, a serca stawały się wycieraczką do piór.

Od razu, zanim jeszcze włożył kęs do ust, Brent wyjął szczyryk i zaciął gęsie pióro w piękny, cienki szpic.

Później zabrał Kate jej czerwone serce i kiedy wstano od stołu, znikł na chwilę w sąsiednim pokoju; kiedy powrócił, oddał Kate jej książeczkę na igły.

Lecz nie była to już ta sama książeczka, co pierwsi nieładaczaszczą misję przyszło jej spełnić!

Brent bowiem wyciął serce z papieru i wpiął je pomiędzy białe, flanelowe serce.

Na tym sercu napisał: "Drogojciej Yalentine najdroższej Kate!

Niczego bardziej niepragnę, jak spędzić resztę życia z tobą!

Uwielbiający cię Michał Brent".

Miał więc najpoważniejsze zamiary.

Mówił, że jeśli Kate niezechciałaby mieszkać w Irlandii, to on osiedzi w Ontario.

Jedyną przeszkodą do ich małżeństwa była religia.

Elihu Busby nie chciał dać zezwolenia nazwiązek córki z katolikiem.

Nie było nikogo w kółku jego znajomych, kto by nie próbował przekonać srogi gojca, wszyscy bowiem lubili Brenta; lecz było to na darmo.

Pogoda w lutym zrobiła się tak dokuczliwie mroźna, że budowadomowi w Jalinie prawie ustała; słychać było czasem bicie pojedynczego młota lub zgrzyt samotnej piły, ale to tylko po to, żeby zaznaczyć, że ciągłość budowy została zupełnie przerwana.

Św. Walentego przypada 14 lutego.

Istnieje ludowe wierzenie w anglosaskich krajach, że w dniu tym zaczynają się miłosne gody u ptaków.

W Anglii jest to dzień podobny do naszego św.

Andrzeja.

W dniu tym odbywają się zabawy po domach

młodzi pisują do siebie bądź to miłosne, bądź żartobliwe listy, zwane "Valentine", i pary, które się w tym dniu kojarzą, nazywają się również "Yalentine" (przyp. tłum.).

Tylko wyrąb drzew szedł całą parą naprzód.

Ścinano pięćdziesięcioletnie szlachetne drzewa, ćwiartowano je na części i zrąbane układano w sagi.

Drwale palili olbrzymie ogniska, by się ogrzać, a także by pozbyć się drewna.

Nieopatrzność tych wybrykach posuwali tak daleko, że nakładali olbrzymie stosy z najpiękniejszego, materiałowego drzewa dębowego, jaworowego i sosnowego na ogniska.

Tak samo robili myśliwi na północy, kiedy zabijali pięć jeleni naraz, z których jeden wystarczał na ich pożywienie, cztery zaś pozostałe porzucali za sobą, by zgniły w lesie.

Z takim samym nieumiarkowaniem.

graniczącym z szaleństwem, strzelało się ponad zapotrzebowanie dzikie ptactwo a śpiewające ptaki dla samej przyjemności strzelania.

Adelina spodziewała się przyjścia na świat dziecka w kwietniu.

W głębi serca pieściła nadzieję, że zamieszka we własnym domu jeszcze przed porodem.

W lutym, kiedy robota przy domu prawie ustała, nadzieja poczyniała lednąć.

Uprzednio i architekt, i przedsiębiorca budowlany, i majstrzy obiecywali, że dom będzie gotów na pierwszego kwietnia.

Dotąd niewątpiła nigdy w dotrzymanie tych obietnic.

Ale teraz zaczęły ją dręczyć wątpliwości i sama myśl, że nadzieja jej doznać może zawodu, wprawiała ją w rozpacz.

Można by sądzić jak mawiał Filip że jej własne życie i życie dziecka zależało od tego przeniesienia się do nowego domu.

Kiedy to raz powiedział.

Adelina, leżąc na łóżku, z twarzą zagrzebaną w poduszkę, odpowiedziała, że prawdopodobnie byłoby właśnie tak, jak mówił.

Filip zauważył na to, że jeżeli ktos ma powody do zgryzot, to chyba on.

Adelina wtedy zerwała się, usiadła na łóżku z pałającymi oczyma i spytała go, jakież to on ma powody do zgryzot?

Związły liczył je.

Zapomnieli, że byli w obcym domu i kłócili się z zacięłością i swobodą ludzi, których czas pędził gdzieś na tydzień i których plany zostały przez to pokrzyżowane. Oboje mówili podniesionym głosem, chcąc przekrzyczeć się nawzajem.

Pani Vaughan, w pokoju o piętro niżej, słyszała ich kłótnię i wstydziła się za nich.

Daisy, stojąc pod drzwiami ich pokoju, tak żywo czuła się po stronie Filipa, że ledwie mogła powstrzymać się

by niewpaść do pokoju i niewziąć udziału w kłótni małżonków.

Pani Vaughan, przy swej rezerwie, była prawie tak mocno rozczarowana jak Adelina, z powodu opóźnienia się robót przy budowie jej domu.

Myśl, że poród gotów odbyć się w jej domu.

nie dawała jej spokoju.

Tyle lat już minęło, jak sama była w położeniu

234

Adeliny, że okoliczności, wiążące się z takim przejściem, urastały w jej myślach do komplikacji nie doprzezwyciężenia.

Co na przykład zrobi w takim wypadku z Robertem, który właśnie w tym okresie miał przyjechać do uniwersytetu?

Oczywiście, trzeba go będzie wysłać do kogoś z sąsiadów całą radość z jego przyjazdu przestanie istnieć dla niej.

A poza tym w domu była Daisy.

Nie było widoków na to, by wizyta jej miała się skończyć przed upływem kilku najbliższych miesięcy.

Prawdę rzekłszy, pani Vaughan była prawie pewna, iż nic innego, tylko zamążpójście uwolni jej kółko rodzinne od Daisy.

Zbyt wygodnie zadomowiła się u nich.

Zachowanie jej dalekie było od wykazywania zalet, które mogłyby podobać się pani Vaughan. Kilkakrotnie nawet była zmuszona rozmówić się z Daisy na temat nieprzyzwoitej ostentacji, z jaką polowała na doktora Ramseya.

Ten ostatni wpadał kilkakrotnie w tygodniu, by odwiedzić Adelinę i za każdym razem, kiedy wchodził do niej lub wychodził z jej pokoju, można było być pewnym, że Daisy czatować będzie na niego.

Robiła dla doktora olbrzymiej długości szalik na drutach i utrzymywała, że trzeba go ciągle przymierzać.

Doktor poddawał się tym zabiegom z dosyć kwaśną miną.

ale ostatecznie nie sprzeciwiał się imi pani Vaughan nie mogła obronić się przed podejrzeniem, że w głębi duszy nie byłymu one bardzo przykre, bo cóż za błażypozór nadawała Daisy tym spotkaniom!

Tak jakby szalik w ogóle mógł źle leżeć i trzeba go przymierzać?

Ale bardziej jeszcze martwiło panią Vaughan to, że Daisy najwidoczniej zagięła parol nie tylko na doktora Ramseya.

Kiedy doktor był w pokoju Adeliny, można było przysiąc, że Daisy znajdzie się przy Filipie, o ile ten był wtedy w domu.

W owym czasie Adelina czuła się z.

męczona i wieczorami kładła się wcześniej spać.

Daisy zawsze manewrowała w ten sposób, by przesiadywać długo w noc z Filipem, któremu było obojętne, czy kładzie się wcześniej, czy później.

Jeździła z nim przez zasypane śnieżem do Jany na nartach, które dostała na Gwiazdkę.

W obecności Adeliny Daisy była samą ostrożnością i wstrzeźliwością; lecz kiedy Adeliny nie było przy stole.

Daisy w rozmowie zwracała się wyłącznie do Filipa i śmiała się dużo i głośno.

Pani Vaughan robiła z początku, co mogła, by polubić Daisy.

ale nie udało się to jej.

Na Adelinę patrzyła również krytycznie, a jednak nie mogła przestać ją lubić.

lecz bardziej jeszcze niż matkę polubiła dzieci.

Stają się z kaz-

235.

dym dniem bardziej urocze myślała, choć dom był pełen krzyku, hałasu i zamieszania z ich powodu.

W Mikołaju rodził się coraz bardziej złośnik.

Kiedy odmówiono mu czegoś, dom cały rozbrzmiewał echem jego wściekłości.

A potem, kiedy już wszystko zdawało się dosięgać szczytu posępnej nudy, nadszedł marzec, łagodny jak jagnię.

I to nie jak zwyczajne jagnię, ale radosne, ochocze jagnię, którego bekiem szumiały rozkute z lodu i rażno płynące wody którego oczyszczały jak gwiazdy w letni wieczór które figlarnym merdaniem ogonka zmiatało na bok wszelkie troski.

Jednym słowem, pogoda była niezwykle ciepła jak na tę porę roku i praca w Jalnii zawrzała ostro.

Robotnicy wstawali wcześniej i pracowali do późna.

Rzeczy, które zdawało się, iż nigdy nie dadzą doprowadzić się do końca, wykonywano teraz w rękaniu oka.

Tynkowano nawyścigi ściany, wprawiano okna szyby, zakładano zamki i klamki.

Jakby za dotknięciem cudownej różdżki, pojawiły się balaski i poręcz do balustrady u schodów, a rzeźbiony słup.

wokoło którego się okręcały, stanął nagle na swoim miejscu, gładki jak z atlasu, zeswymi kłębami winnych gron i liści.

Ludzie śpiewali przy robocie.

Ciepłe słońce padało na okazy dachy żarzyło się w nowych szybach.

A nad tym wszystkim przepływały powietrzem olbrzymie stada przelotnych ptaków.

Ziemia pęczniała życiem.

Tajemniegu odbyło się tak szybko, że zasiliło strumień ponad wszelką miarę.

Szalał teraz na dnio parowu, porwał kładkę z belek i zaniósł ją aż do jeziora!

Rzeka pod domem Wilmotta wylała również.

Jednej nocy podeszła pod same drzwi, jak że już zaczęła pakować książki.

Bał się kłaść spać i czuł przez całą noc.

Cochwila otwierał drzwi i, trzymając wysoko latarnię nad głową, obserwował postępy grożącej powodzi.

Lecz o wschodzie słońca woda opadła i książki Wilmotta wróciły na półki.

Był to wielki dzień dla Adeliny i Filipa, kiedy platforma zaprzężona w czwórkę koni, zatrzymała się przed bramą w Jalnii.

Były to ich meble, które wreszcie nadeszły!

I oto ukazało się obite malowaną skórą łóżko, które przywieźli z Indii, i komoda, zdobna wpuszczanym ornamentem z mosiądzu, kantorek i skrzynie, pełne cacek z adu kości słoniowej, których piękno podnosiły srebrne okucia.

Dalej wypakowano dywany, nad których wykonaniem ślęczały całe pokolenia tkaczy, i draperie, zdobne w delikatne hafty.

Wszystko to niosło w sobie głosy i zapachy dalekich Indii.

A potem przyszła kolej na wytwornie meble chippendale

236

krzesła i stoły, подарowane Filipowi przez siostrę i na empirową kanapę, którą kupił w Quebecu, i ciężką szafę na ubrania, zakupioną w Londynie, na irlandzkie srebro i bieliznę z irlandzkiego płótna lnianego dary lady Honorii.

Mieli wrażenie, jakby dawne ich życie wchodziło teraz w nowe.

Brakowało już tylko trzech dni do końca marca, a pogoda była ciągle dla nich łaskawa.

Gdyby dało się doprowadzić do porządku bodaj pokój Adeliny, tak aby gdzieś mogło urodzić się spokojnie pod własnym ich dachem, to reszta domu mogła poczekać.



Myśl ta nie dawała spokoju Adelinie we dnie ani w nocy.

Bonocami prawie zesypiać nie mogła, tak roilo się od planów w jej głowie i takie zmęczenie ogarniało jej ciało.

Pojęcie czasu stało się

2ymś dotykającym; miała uczucie, że czas dla niej to jakby współwzrostnik, z którym odbywa wyścig.

Pewnej nocy zobaczyła właśnie dziecko, które miało się urodzić, jako startera w tym wyścigu.

Miało postać maleńkiego gнома, siedzącego na skrzyżowanych nogach, ze złotym zegarkiem w ręku.

Wybuchnęła śmiechem na ten widok.

Co się stało?

zapytał Filip, zrywając się.

Śmieję się, żeby nie płakać.

Nonsens!

Czemu miałabyś płakać?

Wolałabym umrzeć, niż znowu przejść przez to wszystko!

Słuchaj Adelino!

Opanuj się!

Pomyśl o wszystkim, zaco powinnaś być wdzięczna Bogu!

powiedział, aby coś powiedzieć.

Czy zaliczasz siebie do tych rzeczy?

Pewnie!

To liczysz, w takim razie, o jedną rzecz za wiele.

, Filip wsparł się na łokciu i z góry patrzył na leżącą.

Jasne światło księżyca padało przez okno na jej otwarte.

Siostra Filipa, Augusta, przysłała mu haftowaną szlafmycę i w tej chwili miał ją nałożoną z fantazją, na bakier, na głowie.

Ach, Fil!

Wyglądasz czarująco!

wykrzyknęła.

Pochyliła jego głowę ku sobie i pocałowała go.

No, no, teraz musisz ułożyć się dobrze i zasnąć ręką głaszczącą jej ramię.

Zasnęłabym może, gdyby trochę otworzyć okno westchnęła.

Wiesz przecież, że doktor przestrzegał cię, szczególnie przed nocnym chłodem po kokluszu.

237.

O, proszę otwórz okno odrobinę przynajmniej!

Wstał, mrużąc z niezadowolenia, uchylił okno na kilka cali.

Potem ustawił krzesło między Adelina a oknem i rozciągnął na nim jej olbrzymią, marszczoną spódnicę.

Norzekł z zadowoleniem to ochroni cię od przeciągu.

Dziękuję ci, Fil!

mówiła, wdychając głęboko powietrze.

Jakże łagodny jest powiew tej nocy!

Szkoda, że mówią, że jest niebezpieczny!

i skuliła się cała w łóżku.

Lecz spódnica Adeliny nie chroniła od nocnego chłodu Filipa.

Czuł.

jak powiew muska mu policzki, co drażniło goniętych.

Lecz nie chciał zmieniać pozycji, - "z obawy, że obudzi Adelinę .

Czuł się coraz gorzej.

Nie, żeby się bał przeziębienia, tylko po prostu nie lubił przeciągu.

Wreszcie rozwiązał kwestię w ten sposób, że naciągnął szlafmycę aż po oczy i dalej na policzki, aż po usta.

Chronił to od chłodnego powiewu i pozwalał sobie swobodnie oddychać.

Nastał kwiecień zmienny i wietrzny.

Wiatr, odkrywając pięć nowych, wysokich kominów na domu w Jalnii, ryczał i wył w ich żeluziach, jak gdyby znalazł w nich ujście dla całej swej energii.

Nowe drzwi trzaskały i strzelały, wióry wiatru roznosił w wszystkie strony.

Robotnicy gwizdali, coś mieli wpiersiach; jednego z nich wiatr zwał ze szczytu drabiny; mógł się zabić, ale potłukł się tylko.

Odbito paki z meblami i pozdejmowano z nich opakowanie płótna.

Dywany ułożono w stosy w pokątach.

Olbrzymie łóżko, malowane w barwne wzory z kwiatów i owoców, przeplatane gdzieś postaciami ptaków i małeczek ustawiono w najokazalszej sypialni.

Nero, po pięćdziesiąt razyna dzień, wchodził po schodach na górę i schodził z nich, doglądając wszystkiego.

Z meblami, zabranymi z domu stryja Mikołaja, przyjechał również duży fortepian.

Przywieziono go na osobnym wozie.

Kiedy stanął w Jalnii, był tego dnia tyle innej roboty, iż zdecydowano, że zładują go tylko z wozu i zostawi w pace, póki nie znajdą się kilku ludzi chwilowo wolnych, by zająć się wyłożeniem i przeniesieniem takiego ciężaru.

Zaczęto cofać wóz na dogodne miejsce, niedaleko kraju parowu.

Lecz grunt był jeszcze obmarznięty w cieniu.

Koła poczęły się ślizgać, a olbrzymi ciężar fortepianu zaczął porywać w tył wóz razem z końmi.

Filip i Adelina patrzyli na to z przerażeniem, ona ze zgrozą.

Jeszcze

238

chwila, a cofające się konie, porwane ciężarem, runą za wozem w głąb parowu.

Przeciąć szleje!

krzyknął Filip.

Przeciąć szleje!

krzyczała Adelina .

Dwóch ludziskoczyło kukoniom.

Już masywna sylweta wozu i skrzyni rysowała się na niebie, nad skrajem parowu.  
Wozniczaeskoczył w czas zkozła i uratował się.  
Ciężkie, pociągowe konie ruszyły lekko naprzód, uwolnione od  
ciężaru, który runął z trzaskiem na dół, do strumienia, łamiąc bez miłosierdzia na swej drodze  
gałęzie i młode drzewa i wreszcie stanął, zahamowany przez dwa ogromne głązy tak, że  
ostatecznie nie znalazł się w wodzie.

Na Boga!

rzekł Filip.

O włos już było o włos!

Założyłbym się, że fortepian poszedł w drzazgi odezwał się jeden z ludzi, z czerwoną  
chustką naszyi.

Nikt już nie zagra na nim!

Wszyscy robotnicy, prócz woznicy, zbiegli porozmokłym śniegu na dół,  
by przypatrzeć się, co stało się z fortepianem.

Dziwne zaiste były jego losy; zrobiono go we Francji przebył drogę przez ocean stał przez  
długo lat w salonie domu przy ulicy św.

Ludwika wędrował polem na galarze, na łodzi, na wozie aż przybył na miejscenowego  
przeznaczenia i teraz oto leży tam, niemy i nieużyteczny już, na dnie parowu!

Jak myślisz, czy można będzie wydobyć go?

zapytała błąda jeszczez wrażenia Adelina .

Trzeba by czwórki koni, żeby go windować stamtąd.

I rozleci się do reszty po drodze!

odezwał się ten sam robotnik, copierwej.

;Oczywiście, że wyciągnie się go odparł Filip, chcąc pocieszyć Adelinę .

Jeszcze zagrasz na nim, nie raz!

A zwracając się do człowieka z czerwoną chustką na szyi rzekł: To wykierowaliście woznicę,  
jak maco fać się.

Gdyby nie wy, fortepiannie byłby tam, gdzie jest w tej chwili.

A teraz mówicie, że nie dasię wyciągnąć go w całości.

Nie potrzeba mi tu przyrobocie ludz i takich jak wy.

Idźcie do majstra, niech was wypłaci.

Zwalniam was.

Majster zgodził mnie rzekł robotnik, wybałuszając oczyna Filipa.

On tylko może zwolnić mnie, nie pan.

Wiecie, co mamochotę zrobić?

i Filip ujął go za czerwoną chustkę pod szyją.

Rzucić was tam na dół.

na fortepian.

239.

A teraz, raz dwa, załatw sprawę u majstra!  
i pchnął gozamaszyście.

Robotnik stchórzył zabrał się i poszedł.

Przez cały ten dzień Adelina niemogła przyjść do siebie potym przestrichu.

Kolana trzęsły się pod nią.

kiedy krzątała się posypialni, którą urzędzała.

Wybrali na swoją sypialnię pokój przykońcu hallu, za salonem; zapowiadało się, że będzie chłodny w lecie, a ciepły w zimie i nie dochodziły doń hałasy dziecinne.

Zgodzilirównież służącą, córkę rolnika z okolicy.

Dziewczyna

tachodziła krok w krok za Adelina, zawadzając jejraczej, niż będącpomocną; nieumiała czytać, anipisać.

Głupota jej i nieudolnośćwe wszystkim wprawiała Adelinę w zdumienie.

Lecz miała i dobre strony; była poczciwa i silnajak wół.

Z Devonshirew Anglii, wyruszyła już do nich para małżeńska; on wykwalifikowany ogrodnik, onadobra kucharka,zgodzeni przez siostręFilipa.

Spodziewano się, że przybędą do Jalny .

zanim nastąpi rozwiązanie Adeliny , które zapowiadało się mniejwięcej za dwa tygodnie.

Pokój dla nich, umeblowanywygodnie.

oczekiwałw suterenach domu.

Mieli przywieźć ze sobą zapas naczyń kuchennych i narzędzi ogrodniczych, dojakich byli przyzwyczajeni w Anglii.

Borykając się zchaosem,panującym wokoło, bychoćtrochę porządku zaprowadzić w domu.

Adelina z całego serca pragnęła widzieć ich już w Jalnie .

SłużącaLizzie łażąca za niąjakcień, topotykała się na rozpakowanej właśnie pościeli, topuszczała na ziemię najrozmaitsze przedmioty, to znówwykrzykiwała swój zachwyty na widok cudów, przywiezionych z Indii.

Czy to naprawdę do spania?

pytała, pokazującpalcemna malowanełóżko.

Tak.

Ale przysuń trochę bliżej materac do siebie.

Nieleżyprosto.

Ja bym chyba miałazłe snyw takim łóżku.

I nie dziwiłabym się temu!

Ale pomóż mi teraz odbić tępakę.

A co tam takiego, w tej pace?

Smoki.

Wyglądają na pogańskie cacka.

Bo są pogańskie.

Tewszystkie meble państwa to nie wyglądają na chrześcijańskie.

I słusznie.

Ale co to upuściłaś, tam na ziemię?

240

Lalkę.

Małeńka figurka porcelanowa na szczęście była zawinięta w kawał wschodniego haftu, kiedy dziewczynawyjęła ją z paki.

Adelina podniosła ją spiesźnie z ziemi i zaczęła oglądać z niepokojem.

Dzięki Bogu, nie stłukła się!

zawołała.

Gdybyś mi jaśtłukła, dziewczyno, zrobiłabym prędko koniec z tobą!  
mówiaćto, obejmowała z czułością figurkę dłońmi.

Była to bogini Kuan-Yin.

Czy to lalka?

pytała Lizzie.

Nie.

To chińska bogini piękna i mądra.

Tak się cieszę.

że cała, nie potłuczona!

Patrz, jakie ma cudne ręce i nóżki, jakkwiaty!

E, wygląda śmiesznie.

Wiesz co.

Lizzie, chciałabym zawieźć cię do Chin na pięćlat, żeby zobaczyć, co by się tam z tobą stało.

Może wyglądałabym jak ta lalka, jakbym wróciła stamtąd odpowiedziałachocząc  
Lizzie.

Tu ją postawię, na kominku mówiła Adelina niech strzeże tego pokoju.  
Zawsze będzie tu stała.

To grzech czcić bałwany.

Mój tata nie pozwolił mi służyć uludzi, którzy czczą pogańskie bożki!  
oświadczyła Lizzie.

Więc jak zobaczysz się z twoim tatą, to mu powiedz, że ja się modłę do tej pani odrzekła  
Adelina .

Zobaczmy, co z tego wyniknie.

Nie zrobię tego, proszę pani.

Ja chcę zostać tu!

Bardzo to pięknie z twojej strony, Lizzie.

A teraz pobieraj papiery i wióry, które leżą w hallu, i rozpal tutaj w kominku.

Zimno jest.

Ale pani nie wygląda, jakby pani było zimno.

Policzki pani są takie czerwone, jakby pani miała gorączkę zauważyła Lizzie, pakując ciasno  
zbite masy papieru i wiórów na kratę kominka.

Nie, nie tak się robi, Lizzie!

starła się mówić spokojnie Adelina .

Dziewczyna zamęczała ją swoją głupotą, lecz Adelina lubiła ją.

Ciekawa była, co też dobrze ułożona służąca, przybyła z Devonshire, zdoła zrobić z niej.

Później nieco zjawiała się pani Pink, by zapytać, w czym mogłaby pomóc sąsiadce.

Lecz na podziw nad tym, co już Adelina zdążyła wypakować, i przejęć się katastrofą z  
fortepianem użył Budowa Jahn

241.

ła lwią część energii, z jaką przybyła.  
Pastor Pink przyjechał potem po nią, obejrzał również dom i wyraził ubolewanie z powodunieszczęścia z fortepianem.  
Jeszcze później nadszedł Filip z kapitanem Lacey'em, Tomaszem d'Arcy i Michałem Brentem.  
Zrobił się całe zebranie towarzyskie.  
Filip zszedł dopiwnicy, gdzie już stała pierwsza paka z winem i przyniósł flaszkę madery.  
Znalazł się i kieliszki.  
Nadszedł jeszcze Wilmott i od razu oświadczył, że zna doskonały sposób, w jaki należy wydobyć fortepian z parowu  
i że w ogóle katastrofa nie zdarzyłaby się, gdyby był obecny przy całej operacji z wozem.  
Adelina poweselała nagle i nabrała ufności, że wszystko pójdzie dobrze.  
Kiedy później jechała z Filipem, wracając do Vaughanlands, czuła się silna i patrzyła jasno przed siebie; taka była szczęśliwa, że doprowadziła swój pokój do porządku, zanim dziecko przyszło na świat.  
To jednak fatalne, że Adelina ściska się tak gorsetem myślała pani Vaughan.  
Chociaż, ostatecznie, nie można brać jej tego za złe, zważywszy, że ciągle styka się z ludźmi.  
Stan jej może niezwrócić wcale uwagi.  
Takacienka jest w pasie, w tej bufiastej spódnicy.  
Kiedy nazajutrz Adelina obudziła się o świcie, padał łagodny deszcz, szumiący monotonnie, jakby kto szeptał pacierze; z jaworu zaś pod oknem dochodziło ćwierkanie czarnoczubej sikory.  
Adelina jednak miała wstrząsające uczucie, jakby jakaś rękach wyciąła ją i szarpnęła brutalnie.  
Leżała cicho, a tylko serce jej biło przyspieszonymi uderzeniami.  
Leżała tak, z szeroko otwartymi, wbitymi w okno oczyma blada w niepewnym świetle świtu i czekała.  
I znowu poczuła to samo dotknięcie i ból tak ostry, jakby kto nożem krajał jej wnętrzności.  
Ogarnęła ją trwoga.  
Czyżby to był zapowiedź porodu?  
Czy bóle przyłapią ją tu i zmuszą do urodzenia dziecka w tym domu, wbrew jej chęci i postanowieniom?  
Potwystąpił jej naczło jęknęła cicho.  
Potem poczuła się lepiej.  
To pewnie był tylko fałszywy alarm!  
Zdarzały się jej już takie bóle przed tamtymi dziećmi.  
Ale lepiej nie ryzykować!  
Niech Filip sprzeciwi się temu, ale ona tej nocy spać będzie we własnym domu!  
I zaczęła układać w głowie wszystko, co kolejno należało zrobić tego dnia a po chwili spała już znowu.  
Kiedy obudziła się poraz drugi, deszcz padał ciągle.  
Chociażowo niezwykle jak na tę porę roku ciepło ustąpiło, w powietrzu  
242  
czuć było wiosnę.  
Skonstatowała, że Filip już się ubrał.  
W domu panowała zupełna cisza.

Spała widocznie długo.  
Do śniadania zasiadły tylko we dwie z Daisy.  
Panowie wyszli już.  
a pani Vaughan była niezdrowa.  
Przyszła tylko, by wypić filiżankę herbaty i zmuszona była położyć się znowu.  
Cierpiała często na ostre bóle głowy.  
A Daisy nie zamykała ust.  
Tematem, który przykuwał obecnie wszystkie jej myśli, była miłość między Kale Busby i Michałem Brentem.  
Dzisiaj była zdania, że Kate powinna postawić się ostro ojcu i uciec z ukochanym: nawet poradziła jej.  
by zrobiła tak.  
Czy Adelina nie myśli, że miała rację?  
Bo, ostatecznie, cóż jest w życiu ponad szczerą miłość?  
Lecz Adelina była jakaś milcząca.  
Spiesznie spożyła owsiankę.  
trochę szynki i kilka kiełbasek, po czym poszła i zapukała do drzwi sypialni pani Vaughan.  
Proszę wejść usłyszała słowa wypowiedziane tonem osoby, która uprzednio prosiła, by zostawiono ją w spokoju.  
Weszła i zbliżyła się do łóżka pani Vaughan.  
Jakże mi żal, że pani tak cierpi.  
O, będzie mi zaraz dobrze.  
Pani wie, miewam takie migreny często.  
Ja także nie czuję się dobrze.  
Miałam ostre bóle dziś rano.  
Czy pani myśli.  
i pani Vaughan zerwała się.  
Ależ nie!  
To jeszcze nie mogą być bóle.  
Mówiła pani.  
że to ma być w trzecim tygodniu kwietnia.  
Tak powinno być.  
Ale zdaje mi się, że lepiej się pośpieszyć znaleźć pod własnym dachem dziś jeszcze.  
Nie!  
Nie!  
Musi pani zostać tutaj nie ruszać się!  
Proszę być spokojną.  
Damy sobie jakoś radę.  
Nagle Adelina uklękła przy łóżku i chwyciła panią Vaughan w swe mocne ramiona.  
Pani jest taka dobra!  
Jakże ja odpłacę się pani za tę dobroć?  
Więc zostaje pani?  
spytała słabym głosem pani Vaughan.  
Nie.  
Tak sobie wymarzyłam urodzić to dziecko w Jaltie.  
Ale jakże?  
Z tymi bólami.  
Gwarantuję pani, że wytrzymam do trzeciego tygodnia w kwietniu.

Pani Vaughan na to wybuchnęła płaczem.

Były to łzy, doktórych przyłączyło się rzeczywiste przywiązanie i troska o Adelinę.

Ja panią bardzo lubię rzekła o wiele bardziej, niż lubię Daisy.

A czy mógłby ktoś inaczej?

zaśmiała się Adelina.

Kiedy przechodziła koło drzwi dzieciennego pokoju, usłyszała paplanie dzieci przy zabawie.

Tym dwojgu jest dobrze; nie potrzeba się troskać o nie pomyślała i weszła do swego pokoju.

Tam-wzięła walizkę i poczęła pakować do niej toaletowe przybory.

Dodała do tego dwie bogato haftowane koszule nocne, sztywne odzakoładek, biegnących kołnierza po obrębek.

oraz czerwony, aksamitny szlafrok.

Kłęcząc przy walizce, poczuła lekkizawrót głowy i przysiadła na piętach, by odpocząć.

Lecz trwało to czas jakiś, nim przyszała do siebie.

Czy jest jeszcze coś, co powinna zabrać ze sobą?

Tak!

Ową srebrną manierkę z koniakim, której używali w podróży morskiej.

Znalazła ją w górnej szufladzie komody Filipa.

Potrząsnęła nią.

Była więcej niż do połowy pełna.

I znowu chwycił ją ból i poczęł szarpać jak dziki zwierz pazurami.

Krzyknęła, lecz zaraz przycisnęła ręką usta i zagryzła zęby.

Nie da się!

Nieustąpi!

Urodzi to dziecko w swoim własnym łóżku!

I ból ustąpił.

Przewracała w szafie, szukając płaszcza i kapelusza.

Kiedy je wkładała na siebie, przypomniała sobie, że nie kazała zaprząć do faetonu i zajechać pod dom.

Przez okno zobaczyła Patsyego, przechodzącego trawnikiem i zawołała nań:

Patsy Joe!

Podjedź siwka i faetonem.

Jeśli ci trzeba śpieszyć się kiedy w życiu, to dziś!

Zarzuć tylko uprzęż na konia i walcem tu podjedź!

Co to się stało, jaśnie panienko?

Potemci powiem.

Teraz leć śpiesz się!

Patsy Joe poleciał w kierunku stajni, wymachując ramionami, niby cepami, comiało przyśpieszyć jego bieg.

Boney, rozweselony nagłą dywersją w monotonię obecnego jego życia, zawiesił się nogami u szczytu klatki, wrzeszcząc z uciechy.

W podróżach swoich nauczył się słowa "good-bye" i wykrzykiwał je teraz raz po raz nie kładąc w nie specjalnie akcentu przyjaźni ani wdzięczności.

Cała drżąca, Adelina wdrapała się na faeton.

Wrzaski papug i narowiły starą kobylę; wywracała oczy, pokazując ogromne białe

ka; przestępując z nogi na nogę to chciała rwać naprzód, to cofała się.

Adelina chwyciła lejce.

Dzieckarychło patrzeć rzekła do Patsy'ego.



Stoisz!  
wrzasnął Patsy na kobylę, wkładając do faetonu walizę i klatkę z papugą.  
Stoisz, ty bydle przeklęte!  
Do grobuchcesz wpędzić moją panią!  
iskoczył na siedzenie obok Adeliny .  
O, panienko, po oczach widać, jak jaśnie panienka cierpi!  
Co i nie dziwota!  
Tyle się jaśnie panienka nabiegała po schodach, nadźwigała takie paki bielizny.  
Pan będzie niezadowolony, że panienka wyjechała od pani Vaughan, kiedy jeszcze w Jahnice nie jest gotowe!  
I patrzył niepokojem w jej twarz.  
Aleniec się jaśnie panienka martwi!  
Dowiezie panienkę naczas!  
Patsy, żebyś mi słowem nie pisał o tym do nikogo, póki nie pozwolę.  
Czuję się lepiej teraz.  
Jedź prędko, ale uważaj na korzenie!  
Wzięła klatkę.  
z Boneyem na kolana, żeby oszczędzić mu wstrząsów.  
Patsy postawił budę na faetonie, by ją ochronić od deszczu, który niby srebrną zasłoną, padał drobnymi kroplami z szarego, zamglonego nieba.  
Patsy postawił walizę i klatkę na łóżku w pokoju - Adeliny .  
Ona sama, dysząc, upadła na krzesło.  
Głośne uderzenia młotów rozlegały się pod domem.  
Każde z nich odzywało się boleśnie w jej nerwach.  
Patsy pochylił się nad nią i patrzył niepokojem w jej twarz.  
Czy mam rozpakować walizkę?  
zapytał.  
Powiedz im, niech przestaną bić młotami, Patsy Joe.  
Powiedz, że mnie bardzo głowa boli, ale tylko tyle.  
Nic więcej pamiętaj!  
Potem poszukaj gdzieś Lizzie i przyślij ją tu do mnie.  
Powiedz, niech zaraz przyjdzie.  
Potem pojedziesz na plebanie i poprosisz panią pastora, czy nie zechciałaby przyjechać tu z tobą.  
Ona już będzie wiedzieć.  
Zrobię wszystko!  
Ani się panienka nie obejrzy, jak tu będę żoną pastora.  
Ale czy nie lepiej jechać mi do doktora albo do położniczki, jakbym go nie zastał?  
Przecież panienka potrzeba pomocy wszelkiej pomocy, jaką można sprowadzić!  
Na to jeszcze czas.  
Mam tu pewne rzeczy do zrobienia.  
Ale czy panienka zdąży?  
Tak.  
Ale teraz prędko, Patsy!  
- A może by jednak polecić po pana.  
Nie!  
Nie !  
Zrób tak, jak ci kazałam.

I aby odjąć jej wszelką wątpliwość, czy potrafi wiernie i sprawnie wykonać polecenia, Patsy rzucił spojrzenie tak wymowne, że aż komiczne, po czym wysunął się z pokoju, stąpając napalcach swymi ciężkimi butami.

Następnie, już z mniejszymi osłownościami, przeszedł hali.

Walenie młotów ustało natychmiast.

Adelina usłyszała tętent kopyt siwki i turkot faetonu.

Cisza zupełna zaległa dom; tylko deszcz spokojnie opadał kroplami z dachu.

Adelina wydała długie, drżące westchnienie ulgi.

Siedziała z rękami wyciągniętymi na kolanach, dając odpężenie nerwom.

Wtem usłyszała, że Lizzie idzie na górę, schodami z suterenu.

Właśnie tu szłam, kiedy mnie spotkał pan O'Flynn.

Powiedział mi, że pani czujesz się jakoś niedobrze.

Czy mam zrobić panifilizankę herbaty?

Tak.

Z przyjemnością wypiję filizankę herbaty.

Rozpal prędko i postaw do grzaniawodę w dużym, miedzianym kociołku.

Czy mam zaraz zacząć szorować tę podłogę i umyć okno, proszę pani?

Nie.

A zresztą tak umyj okno.

Zaraz wyjmę firanki i zawiesimy je.

Bo wiesz, Lizzie, my ten pokój musimy przygotować do porodu.

iuśmiechnęła się chytrze do dziewczyny.

Boże miłosierny!

wrzasnęła Lizzie.

Ja nie mam żadnego pojęcia o tych rzeczach!

Nie mam jeszcze dwudziestu lat!

Nie może pani żądać ode mnie, żebym wiedziała coś o tym!

Jasieboję śmiertelnie!

Nie żądam od ciebie nic innego, tylko żebyś robiła to, coci każe.

Doktor tu będzie.

Mamy zresztą jeszcze dużo czasu przed sobą.

A teraz zrób herbatę i nastaw wodę, żeby się grzała.

Lizzie postukała obcasami po schodach nadół, prawie nieprzytomna z wrażenia.

Adelina czuła się silna i gotowa na wszystko.

Otworzyła skrzynię z pościelą i wyjęła z niej prześcieradła i koce.

Kiedy Lizzie wróciła, zabrała się razem dościelenia łóżka.

Adelina wybrała dwa małe dywaniki ze stosu leżącego w hallu i rozciągnęła je na podłodze sypialni.

Lizzie obmyła i wytarła do połysku okno, a ponieważ okazało się, że nie było aniprętów, ani kółuszek, by zawiesić firanki, zamiast nich przybiły okna kawałek indyjskiego haftu.

Silna herbata wzmocniła Adelinę.

Przeżyły czas rozmawiając wesoło z Lizzie, która ukradkiem rzucała nanią co chwila niespokojne spojrzenia.

Teraz pokój nabrał naprawdę mieszkalnego wyglądu.

Adelina miała ochotę śpiewać na myśl, że znajduje się w nim, bezpieczna, pod własnym dachem.

246 .

Wreszciana progu ukazała się pani Pink.

O, jakże tu ładnie!

Jak ślicznie!

zawołała i zaraz dodała:

Z tego, co powiedział mi służącypani, zdaje mi się, żepani nieczuje się całkiem dobrze.

Naprawdę, pani narażasiębardzo,pracując takdo ostatniej chwili.

A czy pani chciałaby urodzić dziecko w cudzymdomu, doktórego młody chłopak ma właśnie zjechaćze szkół na wakacje?

No nie.

Niedziwię się pani, rzeczywiście.

Ale to wszystko jakoś o wiele wcześniej, niż się spodziewano?

Tak, niestety, przeliczyłam się.

A potem ta historia z fortepianem, fikającymkoziołka do parowu.

Myślałam, że i konie pójdą za nim.

Był to prawdziwy wstrząs dla mnie.

Doktora Ramseya nie byłow domu.

Ale jego gospodyniprzyşłego tu, jak tylko wróci.

Zaparzonowiecej herbaty.

Pani Pink zakrzętnęła się okołorozpakowania walizki i poczęła układać przybory toaletowe Adeliny przed lustrem.

Figurka bogini Kuan-Yin zwróciła jej uwagę.

Jakaż piękna!

zawołała.

To chińska, nieprawdaż?

Tak.

To bogini Kuan-Yin.

Obiecała opiekować się mną.

Adelina powiedziało z takim akcentemszczerości, że paniPink przeraziła się.

O! pani Whiteoak !

Pani żartuje chyba?

Wie pani, mnie się zdaje, że jednak w tych wschodnich religiach tkwi coś.

Jednakże myślę, żechrześcijanie niepowinnipopierać ich.

A pani?

Pan Bóg popieraje od wielu, bardzo wielu stuleci.

Mójmaż mówi, że wyroki pańskie są niezrozumiałe dla nas.

Adelina kręciła się niespokojniepo pokoju wreszcie zwróciła się żywo do pani Pink:

Zdaje mi się, że należałoby posłać po Filipa.

Lepiej przygotować się na każdy wypadek.

Pani Pink wybiegła spieszenie.

Wysłała jednego zrobotnikówpo Filipa, sama zaś zeszła do kuchni, byprzekonać się, jak daleko postąpiłynakazane przez Adelinę przygotowania.

Adelina byławięcsama w pokoju, kiedy zjawił się Filip.

Obrzucił pełnym zdziwienia spojrzeniem pokój i świeżozasłane łóżko, na którym leżałprzygotowana koszula nocnai szlafrok.

Co to znaczy?

zapytał.

247.

Wprowadziłam się i uśmiechnęła się do niego.

Dom nie dokończony i nie będziegotów, aż za jakieśdziesięć dni.

To jestniemożliwe!

Możliwe, bo zrobione.

Ja to zrobiłam!

Iz zadowoleniem rozejrzała się po pokoju.

O, Fil, mój drogi!

Przecież niechciałbyś, żebym urodziła dziecko w Vaughanlands!

No, powiedz!

A przecież to miało być z końcem miesiąca?

Zdaje się, że to będzie dziś powiedziała cichutko.

Posłałam Patsy'ego po doktora.

Boże wielki!

wykrzyknął, wytrzeszczając oczy.

Przecież niechciałbyś, abymna to nie miała nawet własnego łóżka prawda, Fil?

Żebyś wiedział, ile mnie to kosztowało, żeby przygotować tu wszystko!

Ale powiedz czy nie ładnie?

Bardzo ładnie odrzekł posepnie.

Na to weszła pani Pink, pytając, jak czuje się Adelina.

Spodziewam się, że za cztery godziny będzie mi całkiemdobrze.

Czy pani nie pojechałaby teraz do domu, zobaczyć, co siedzieje z pani synkiem?

Jeśli pani może naprawdęobejść się beze mnie.

Tuzwróciła się do Filipa: Mój najmłodszy chłopczyk ma wisięk wuchu.

Przykładam mu pieczoną cebulę.

Nie bardzomogę spuścić się w tym na służącą.

Jestem pewna, że lada chwila przyjedziedoktor, a janiezabawiędługo.

Filip poszedł, by odwieźć ją na plebanię.

Adelina zostałaznówsama, lecznie robiła sobie nic z tego.

Czuła się wniebowzięta.

Otopod swoim własnym dachem, słuchając cichego szemrania deszczu, oczekiwała na nieuchronną mękę, raczej z dumą niż zestrachem.

Była we własnym domu; będzieodtąd robić, co się jejżywnie spodoba.

O, jakże kochała już ten dom!

Zdawało się jej, jakby przemawiał do niejgłębokim swym głosem, dając rękojmiętrwałego bezpieczeństwa.

Wyłonił się z chaosu budowy i przybrałpostać domujej domu !

i otoczyłjąswymi murami.

Zdawało się jej, że słyszy echa kroków, rozbrzmiewającychponim, kroki ludzi, którzy nastaną dopiero; że słyszy głosywołającena nią; nie tylko głos tego dziecka, które miała urodzić, ale głosydzieci swoich dzieci.

Tu spędzi wszystkie dni.

ażpo koniec swegożycia.

Ona i ten dom będą mieli dużo wspólnych tajemnic.

Domten, jak ul, zaroi się życiem i uczuciami.

Wszystko topomieści wswych murach, a te mury z czasem porosną dzikim winem izazielenia się jego liściem.

Wiosna w Jalinie

Filip powtarzał ciągle, iż ma nadzieję, że Adelina już nigdy więcej nie będzie miała dziecka i że w głębisierca modli się o to.

Już nie mówiąc o cierpieniach i niebezpieczeństwie, jakie zagrażało jej życiu, ale był to zaciężkie przejście dla niego samego.

Po tym ostatnim złała się po prostu nerwowo.

Przyjazd doktora opóźnił się tak, że zdawało się już, iż dziecko gotowe urodzić się bez jego pomocy.

Co zaś do akuszerki, to ta nie zjawiała się w ogóle, gdyż zajęta była przy innym porodzie.

Była taka chwila, kiedy wszystko wyglądało na to, że Filip i pani Pinkstanowicz będą jedyną pomocą dla Adeliny.

Na samą myśl o podobnej ostateczności zimny pot oblewał go.

Adelina na ogół była nieprzeciętnie wytrzymała; lecz tym razem, z niewiadomego powodu, straciła panowanie nad sobą i krzyczała, ilekroć chwyciła ją bole.

Od czasu do czasu oświadczała im, że umiera.

Kiedy nareszcie przybył doktor Ramsey, przyjęła go z nieufnością, lecz chwilowo była spokojna.

Zanim uczynił cokolwiek, by przynieść jej ulgę, doktor powiedział, co myśli o jej zachowaniu w ciągu owego ranka.

W pół godziny później dziecko płci męskiej przyszło na świat.

Mimo iż przecierpiała tyle, Adelina zaczęła szybko przychodzić do siebie.

Powodem tego było prawdopodobnie wielkie jej zadowolenie.

Pogoda również stała się ciepła i słoneczna.

Wszędzie wokoło, czy to na zewnątrz czy wewnątrz domu.

roboty szła rażnonaprzód.

Radość zapanowała między robotnikami na wiadomość o narodzinach w nowym domu.

I o ile im tylko zrzędną to pozwalała, starali się pracować cicho.

Kiedy niemowlę miało dziesięć dni, Filip wyniósł je, by im pokazać.

Dziecko było mniejsze i słabsze niż Mikołaj, lecz miało piękne rysy, prześliczną cerę, a oczkajego były koloru niezabudek.

Obrońcy, z rękami stwardniałymi od modzeli, robotnicy cisnęli się wokół niego, podziwiając delikatność długiej, białej sukienki i koronkowy czepeczek, w które był ubrany.

Mały spoglądał na nich z głębokim zażenowaniem.

stanowieniem, dotykając końcami paluszków jednej ręki końcepaluszków drugiej.

Filip był zachwycony, bowiem malec ten był pierwszymz jegodzieci, które wykazywało podobieństwo do jego rodziny.

Adelina ,trzymając dziecko przy sobie na poduszce, lubiła studiować jegodrobnutkierysy; mówiła, że chociaż wygląd małego był wyglądem Filipa, lecz rysy jego nie będą nigdy podobne do rysów ojca.

Dyskutowano wiele nad imieniem, jakie miał nosić.

Filip wybrałdla niego Karol, przez pamięć dla swego ojca.

Adelina wybrałaDenis, jako najmniejrażące z imion, jakie nosił jej ojciec.

Oświadczyła, że żadną miarą nie nadałabytemu dziecku imienia doktora, który był przy jego urodzeniu, jak to było z Mikołajem, któremunadano trzecie imię jejukochanego doktora. St. Charles.

Lecz niemogli zgodzićsię, którym z tych imion miano wołać dziecko.

Karol, to brzmi tak surowo utrzymywała Adelina .

Co teżty mówisz!

odpowiedział Filip.

To takie przyjemne imię, jak rzadko.

Denis raczej wygląda, jakby było wyjęte zjakiegoś irlandzkiego kawału.

Zarazwidać, że jesteśprzedzony, kiedy tak mówisz odpowiadała znów ona.

Denis to wspaniałe imię!

Kwestiętę rozstrzygnęła dopiero książka, którą Wilmottprzysłał Adelinie .

Tytuł jej brzmiał "Ernest Maltravers", a autorem był lord Lytton.

Adelina nie doczytała do połowy powieści, kiedy zawołała:

Będzie miała imię Ernest!

Filip musiał przyznać, że to było dobre imię; Wilmott zaś.

kiedy przyszedł obeerzecnorodka, oświadczył, że nie można byłoznaleźć imienia bardziejodpowiedniego dlańi lepiej określającegojego maleńką istotkę.

Tak więc nazwano dziecko Karol Denis Ernest, leczjeszcze przez pewien czas mówiono o nim dalej „dziecko”.

Serce Filipa wzbierało dumą, kiedy siedział przy łóżku Adeliny i patrzył nanią, jakleżała, wysoko oparta na poduszkach;

dwutygodniowe maleństwo gnieździłosię w zagięciujej ramienia.

a dwoje starszych usadowiło się obok nich.

Bładość Adeliny uwydatniała przepiękne kontury budowy jej twarzy, która nawet w podeszłym wieku z pewnością pozostaną uderzające.

Włosy, rozrzucone na poduszce, tworzyły efektowne tło dla twarzy.

Niańka przyprowadziła starsze dzieci z Vaughanlands, abyobejrzały maleńkiego braciszka.

Augusta, licząca obecnie trzy la250

ta, siedziała przykładnie, z rączkami złożonymi na kolanach i

wpatrywała się ze zdziwieniem w różową twarzyczkę Ernesta.

Mikołaja zaś zajmowały bardziej malowidła na wezglowiu łóżka.

Barwne kwiaty i owoce zachwycaly go swym dziwnym, realistycznym pięknem.

Podskakiwał, siedząc na pulchnym tyłeczku a toskładał rączkipod brodą z zachwytem, to znów wyciągał je, bypochwycić cuda.

Śmiał się i krzyczałz uciechy.

Doktor Ramsey mówi zauważyła Adelina że mogłabym miećco roku dziecko, bez żadnej szkody dla zdrowia, gdybym tylko chciała uważać na siebie.

Ani jednego więcej!

zaprotestował Filip.

Chyba, że Ramsey zobowiąże się ruszać z naszego progu w czasie ostatniego miesiąca ciąży. Ale w każdym wypadku troje wystarczy.

Mam córkę na pociechę starości i mamy dwóch synów; jesteśmy więc pewni, że nie zabraknie nam dziedzica imienia i majątku.

Z pewnością ty sama nie pragniesz mieć więcej dzieci?

Nie.

Troje to dosyć.

Postanowiłem coś, Adelino odezwał się Filip, zakładając ramiona na szerokiej swej piersi.

Ten chłopak, Ernest, będzie ochrzczony w naszym własnym kościele.

Wiesz oczywiście, że rozmawialiśmy dużo z pastorem na temat, jak bardzo przydałby się kościół tu w okolicy.

Pamiętasz, ile nacierpieliśmy się niewygody zeszłej zimy w tych długich jazdach na nabożeństwo niedzielne.

Zgodziłem się dać grunt pod budowę.

Może udałoby się, ale z wielkim trudem, zebrać drogą subskrypcji fundusz, wystarczający na wybudowanie nędznego kościółka.

Ale ja chcę mieć porządną, solidną świątynię, w której bym słuchał nabożeństwa w niedzielę.

A ponieważ itak subskrybowana przeze mnie suma będzie najwyższą z wszystkich, pomyślałem, że lepiej już wziąć całą budowę kościoła na siebie.

W ten sposób będę go miał takim, jakim gomicie chcę, inie będzie to sporów z nikim.

Nawet wybudowanie małego kościółka pochłonie masę pieniędzy.

Adelino, ten kościół zaspokajać ma twoje duchowe potrzeby, po koniec twego życia, a po tobie potrzeby twych dzieci.

Tonięła rzecz nieuważasz?

Ty masz kościół we krwi odparła.

Ja nie.

Pomyśl, jak to będzie cudownie: jeżeli pastor nie będzie mi się podobał, będę mógł prosto wyrzucić go!

O, tego nie mógłbyś zrobić.

Ale miałbyś duże wpływy.

251.

Jeżeli kościół byłby mój, to mógłbym!  
upierał się Filip.

Z chwilą kiedy kościół jest konsekrowany, przechodzi pod jurysdykcję biskupa danej diecezji.

Zaczerwieniła się i w uśmiechu zadowolenia dołeczki pokazały się na jej policzku, kiedy dodała: A ja będę bywała u biskupa!

Rozmowa ich toczyła się przy akompaniamencie krzyków Mikołaja.  
Wreszcie malec stał się tak głośny, że niemożna było niezwracać na niego uwagi.  
Porachkował dowozgłowa, bucałowaczłowski uśmiechnięty pyszczekmałpki, wyglądający spośród kwiatów.

Ukląkł przytym na włosach matki.

Ty mały łotrze!

krzyknął Filip, podejmując go i sadowiąc naswych kolanach.

Wyjął swój olbrzymi, złoty zegarek i przytknął go do ucha Mikołaja.

Ga ga gakrzyczał Mikołaj, a oczyskrzyły mu się jak gwiazdy.

Bowidzisz ciągnął dalej Filip chwila jest najsposobniejsza do budowania tego kościoła.  
Mam ludzina miejscu.

Pozostały mi duże ilości materiałów z budowy domu i stodoły i temogą być zużytkowane.

Pastor madoskonałą książkę z planami kościołów w koloniach, gdzie na ogół nie rozporządza się wielkimi sumami.

Początkowo nie ma to być budynek obliczony na wielki efekt, ale z czasem, kiedy gmina religijna rozwinie się, będzie można dobudować nowe części.

Pastor jest niesłychanie zadowolony z tego planu; powiada, że jest wielu między najbiedniejszymi jego parafianami, którzy rzadko tylko mają sposobność brać udział w nabożeństwie.

Możesz sobie wyobrazić, jak radośnie ludzie ci przyjmą taki kościół, przy nim salę na zebrania parafialne, gdzie będą mogli spotykać się utrzymywać życie towarzyskie.

Gą ga ga krzyczał znów Mikołaj.

Gaga!

Siostramo jastraszniesię ucieszy.

I jestem pewny, że przyśle pokazną dotację na budowę.

Myślę, że uda mi się wycisnąć też coś niecoś z dziekana.

Ale jeżeli wyobrazasz sobie, że wydobędziesz coś z mojej rodziny, to mylisz się grubo!

Nie powstało mi to też nawet w głowie odpał.

Ale matka moja wyhaftuje napewno piękny obrus na ołtarz.

To już będzie bardzo pięknie z jej strony.

Dziadek może podaruje parę srebrnych lichtarzy.

252

Wątpię, by świece były potrzebne na ołtarzu.

Pastor jest przeciwny zaprowadzaniu jakiegokolwiek rytuału.

Ga gaga!

krzyknął tym razem gwałtownie Mikołaj.

Potrząsał całym się zegarkiem i wreszcie spróbował ugryźć go.

Filip więc odebrał mu zegarek i włożył go z powrotem do kieszeni, po czym wstał, chwycił swego starszego syna pod pachy i zaczął podrzucać go w górę.

Twarz Mikołaja stała się prawdziwą maską statycznego uniesienia.

Nie miałby nic przeciw temu, gdyby go ojciec podrzucił do samego nieba.

Adelina leżała rozleniwiona, spokojnie uśmiechnięta.

Ręka jej klepała rytmicznie po plecach swego najmłodszego.



Gussie byłazachwycona; zgramoiła się z łóżka, podbiegła do ojca i objęła go za nogi.  
Jeśli kiedyś istniały jakieś urazy między nimi.  
dawnobyłyjużteraz zapomniane.

I mnie!  
krzyczała Gussie też!

Filip postawił Mikołaja na ziemi i porwał Gussie.  
Podrzucał jąw górę i chwycił z powrotem raz za razem, corazwyżej tak"że dotykała nieledwie  
sufitu.

Za każdymrazem, kiedy podlatywała w górę, Gussie wydawała krzyk, w którym strach  
mieszał się zuciechą.

Ciemne loki zjeżyły się jej na główce.

Sukienka z bladoniebieskiej.

lekkiej wełny, wycięta w dekolcik i z krótkimi rękawami, wydymała się jak balon, a drobne,  
obute w skórę nóżki zwisały bezradnie, wychodząc z białych majteczek.

Adelina zaśmiewała się, patrząc na nich.

Lecz Mikołaj nadał się trochę, Ernest zaś wpatrywał się w swymi niezabudkowymi oczkami w  
przestrzeń, trzymając paluszkijednej rączki przytkniętę do końców paluszków drugiej.

; Dość!

zawołała wreszcie Adelina .

Zawróć się jej w głowie!

Filip przestał podrzucać małą, lecz zanim postawił ją na podłodze, pocałował  
serdecznie w usteczka.

Córeczko moja!

powiedział cicho.

Córeczko!

Podczas gdy Filip odprowadzał dzieci do niańki.

Adelina leżała cicho i jak smakosz rozkoszowała się swoim szczęściem.

Leżała oto na swoich pięknych, haftowanych poduszkach i czuła miłe odprężenie nerwów: lecz  
nie była wcale senna.

Trudne zadanie wydania dzieckana świat było już poza nią, a przed nią tysiącerzeczy  
przyjemnych, których miała dokonać, skoro tylko się pozwolą jej na to.

Myślą wróciła wstecz, do swego życia w przeszłość 253.

ci, i miała uczucie, że chyba żyła już bardzo długo, skoro mogła doświadczyć aż tyle. Była najpierw w Irlandii jako młodej, samowolnej, nieskrepowanej dziewczyny; te niosły ku niej gwarchłopiących głosów jej braci i granie na rogu myśliwskim iszmer drobnego, letniego deszczu, bijącego w liście zielone.

Byłopotem życia jej już jako mężatki, w tych Indiach barwnych i słonecznych, namiętna miłość do Filipa, przyjaźń, jaka łączyła ją z tubylczymi księżętami.

A wszystko to zaczynało przybierać dziwne, nierzeczywiste kształty.

Myślała potem podróży morskiej z Indii.

Pamiętała: jednego ranka, na statku, wstała wcześniej i wyszła na pokład; ukazał się jej tam Filip, stojący jak go Pan Bóg stworzył, podczas gdy dwóch marynarzy polewało go wiadrami wody.

Przypominał sobie zachwyt, jaki malował się na twarzach tych dwóch ludzi.

Ale nikt nie spostrzegł, że podglądała.

A potem zaczęła układać sobie, że każde posadzi krzak bzu pod oknem swego pokoju.

Bzy pachną tak cudnie na wiosnę!

Pani Pink obiecała jej dać szczerp bzui sadzonki wielu innych roślin.

Będzie miała kwiaty wszędzie wokoło domu i sad z wszelkimi możliwymi owocami.

Posadzi brzoskwinie i winogrona, i poprosi kapitana Laceya, by nauczył ją robić nalewkę z brzoskwiń i wino gronowe.

O, jakże chciała mieć już siły, by odpakować skrzynię z cackami z kości słoniowej i zadu!

Awłaściwie, była już dosyć silna, by to zrobić, byle doktor Ramsey pozwolił.

Nagle zdjął ją niepokój, zaczęła rzucać się na poduszkach.

Czyż leżeć tak będzie wiecznie, beczynnienie?

Dziecko obok niej leżało pogrążone w głębokim, jakby jeszcze płodowym śnie.

W pół godziny później była już ubrana.

Nie włożyła tylko gorsetu.

Lecz za to miała na sobie koszulę z lnianego batystui długie, obszyte koronką pantalonki.

i ręcznie robione, jedwabne pończochy, z haftowanymi strzałkami po bokach, białą, flanelową spódnicę, i ciemnoczerwoną spódnicę z falbanami, obszytymi aksamitkami rubinowego koloru, i wdzięczny sącdek, spod którego wymykały się bufiaste, batystowe, zdobne koronką rękawki, i barwnie haftowane, indyjskie pantofle safianowe.

Poczuła się dziwnie zmęczona, kiedy ustroiła się tak i nie próbowała już ułożyć włosów we fryzurę.

Zwisały jej do pasa, niby gęsta, złotaworuda grzywa.

Otworzyła drzwi i zajrzała do hallu.

Potem obejrzała się i spojrzała na Ernesta.

Lecz w tej chwili nie było w spoj254

rzeniu jej śladu czułości.

Nanosila się go przez tyle miesięcy!

Teraz chciała uwolnić się od niego.

Pomimo że kręciło się jej trochę w głowie, w całym ciele czuła podniecającą lekkość, kiedy przechodziła przez hali.

W jadalni zobaczyła ciężkie karnisze nad oknami, czekające, by zawieszono nianich firanki.

Zobaczyła masywny kredens i stół jadalny, i krzesła do domu przy ulicy św.

Ludwika.

Wszystko to, niustawione jeszcze, stało tak, jak je wydobyto z pak.

W tym pokoju zawiesi żółte, aksamitne portiery, podpięte ciężkimi sznurami z kutasikami.

Zamówili już w Quebecu bogato wyciskane tapety, sprowadzane z Francji.

Na chwilę przystanąła obok słupa schodowego i pogłaskała śliskie jak atlas jego drzewo, wodząc z głębokim namysłem oczyma od drzwi nalewo, prowadzących do biblioteki, do drzwi salonowych, na prawo.

Uśmiechnęła się na myśl, jaką wagę Filip przykładał do tego, by mieli bibliotekę w domu dlatego, że w domu jego rodzinnym, w Anglii, była kiedyś biblioteka.

Przywieźli niewiele książek ze sobą, ale ona sama lubiła czytać.

Z czasem nabejdą porządną zbiór książek.

Światło, padające przez kolorowe szyby okien po obu stronach drzwi, rzucało na nią barwne plamy:

    zielone, fioletowe i czerwone.

Jakże śliczne są te okna!

pomyślała.

Okna te były jej pomysłem!

Popatrzyła przez nie i zobaczyła, że niebo przejaśniło się.

I świeciło słońce.

Otworzyła drzwi i wyszła na ganek.

Wtedy znalazła się twarzą twarzą z doktorem Ramseyem; który na jej widok poczerwieniał ze złości.

    Pani Whiteoak, jak pani śmie!

wykrzyknął zrywając kapelusz z głowy i rzucając go na ziemię.

    Wiedziała, że był porywczy; lecz ten wybuch nagle złości ubawił ją.

Oparła się okławkę drzwi, zanosząc się od śmiechu.

    Jak pani śmie!

powtórzył.

Pozwoliłem pani wstać za dwa dni dopiero i wtedy jeszcze miała pani opuścić swego pokoju!

A pani stoi tu, na ganku!

Isama do tego!

Muszę pani powiedzieć, że gotowa pani sprowadzić na siebie poważny kłopot, być zmuszoną położyć się na długie tygodnie!

    Zdrowa jestem jak rydz odrzekła, śmiejąc się ciągle.

Spojrzał na swój kapelusz na ziemi takim oczyma, jakby miał ochotę kopnąć go.

I nie podnosząc oczu rzekł:

    Jeśli pani tak dobrze potrafi dawać sobie radę ze swoim zdrowiem, to może pani sama poradzi sobie przy następnym porodzie.

    Nie będzie następnego odparła wyniośle.

25.5.

I pani to mówi!

Kobieta tak namiętna, jak pani!

zawołał z ironicznym uśmiechem i podniósł na nią oczy.

Mam męża, który ma wzgląd na moje zdrowie odrzekłajeszcze wyniosłej.

A czy mąż pozwolił pani nie liczyć się z moimi wskazówkami?

Robięto, co mi się podoba.

Ale teraz wróci pani natychmiast do łóżka.

Niewrócę!

Musi pani!

Proszę spróbować zmusić mnie!

Schwycił ją za ramiona i obrócił nią.

Przez chwilę czuła się bezbronna w żelaznym uścisku jego rąk, potem oparła się o jego ramię całym ciężarem i, podniósłszy rękę, pochwyciła pełną garść dosyć długich, kręconych włosów.

Proszę mnie puścić!

wykrzyknęła dysząc gwałtownie.

Ramsey, podniecony, zaśmiał się krótko.

Wciągnął głęboko powietrze w piersi, pochylił głowę i pocałował ją w usta.

Przez chwilę stali oboje bez ruchu.

Wtem dały się słyszeć lekkie kroki na świeżo posypanej żwirem drodze dojazdowej.

Doktor Ramsey schylił się i podniósł swój kapelusz z ziemi.

Kiedy się wyprostował, obłany jeszcze silniejszym rumieńcem, naprzeciw niego stała Daisy Vaughan.

Była zdumiona, widząc Adelinę na nogach.

O, pani Whiteoak !

Pani wstała!

zawołała.

Ależ.

toślicznie!

Nieprawdaż?

uśmiechnęła się Adelina .

I jak pani doskonale wygląda!

Jakieśliczne ma pan rumieńce!

Nieprawdaż, panie doktorze?

i spojrzała na niego przenikliwie.

O, tak odrzekł sztywno.

Zapadłoniego kłopotliwe milczenie, które jednakże wnet przerwała Daisy:

Zgadnijcie, co się stało?

zawołała.

Kate Busby uciekła z panem Brentem!

Pan Busby wpadł wewściekłąfurię mówi, że nigdy jej nie przebaczy.

Jak pan myśli, panie doktorze, przebaczy jej, czy nie?

Nie mam najmniejszego pojęcia.

Mnie się takie porwanie wydaje tak romantyczne!

Nic bymnie niepowstrzymało od wyjścia za mąż za człowieka, którego

256

bym kochała.

Uciekłabym z nim na koniec świata!

Wszyscy zresztą myślą, że pan Brent jest bardzo dobrą partią, mimo że nie wie się wiele o jego sytuacji finansowej.

Co pan myśli, doktorze, o takim ślepym zakochaniu się?

Założyłabym się, że pan potępiato!

Nie mam prawa wydawać sądu o zachowaniu bliźnich odparł.

Adelina patrzyła na niego śmiejącymi się oczyma.

Oparła się okamienny mur ganku i założyła ręce na piersiach.

Są szczęśliwi, jedno i drugie.

Będzie z nich ładna para.

O, jakżesie cieszę, że pani tak sądzi!

rzekła Daisy.

Ale żal mi, że nie będzie wesela.

Wiem, że nigdy panną młodą nie będę: chciałabym być družką przynajmniej!

Będzie pani jeszcze panną młodą, na pewno rzekła Adelina.

Z sypialni dał się słyszeć cichy płacz.

Zwróciła oczyw kierunku, skąd szedł.

W wyrazie ich było coś zpozornego oderwania, z jakim rasowa perska kotka patrzy przed siebie, czujna jednakżena najlżejszemiauknięcie swych młodych.

O, to kochanemalenstwo!

zawołała Daisy i pomknęła przez hali, by rzucić się na kolana przyłożku w sypialni.

Tyaniolecisku kochany, ty maleńki Ernestie!

i przytuliła go dopiersi.

Lecz ponieważ nie miała nic do zaoferowania mu, dzieciak płakał dalej.

Mały Ernest prosperował doskonale w ciągu następnych tygodni i nie przestawał być przedmiotem wielkiego zainteresowania dla wszystkich wokoło, bowiem urodzeniem swoim jakby przypieczętował powstanie nowego domu.

Mikołaj zaczął spostrzegać, że stracił naznaczenie.

Pozostawiano często Gussie przy Mikołaju, by uważała na niego i zabawiała go, podczas gdy maleństwo spało.

Chociaż sama była jeszcze taka malutka, miała jednak dobry sposób postępowania z bratem, tak że Mikołaj często był jej posłuszny.

Ale jeżeli kiedy zaciął się przeciw jej woli, nie miała nad nim żadnej władzy.

Wtedy zaczynał krzyczeć wrzeszczeć, i szarpał ją za loki.

Ważył już teraz więcej od niej; potrafiłodepchnąć ją, by porwać jakąś zabawkę lub zająć miejsce u kolan matki.

Gussie kochała bardzo małego Ernesta, był jej miłszy od najpiękniejszej z lalek.

Lecz nie lubiła Mikołaja; były wprawdzie chwile, kiedy go lubiła, ale były też i takie, kiedy chciałyby pozbyć się go.

Pewnego pięknego, jasnego poranka majowego nianka usad

17 Budowa Jalny

257

Jj.

wiła Mikołaja w wózek, na trawniku przed domem, niedalekoskraj parowu. Przechodzili tamtędy często robotnicy; widać była niebie powracające ptaki wędrownie. Ciągnęły w wielkich masach, sznurami i w zbitych chmarach, napętniając powietrze swymi głosami.

Wszystko to miało, w jej przekonaniu, zabawiać Mikołaja.

W ogóle w.

Jalnie było zawsze coś żywego, interesującego do obserwowania.

Parobek przepędzał właśnie piękną parę perszeronów, niedawno kupioną przez Filipa. Przeszły drobnym kłusem, szlachetnie w swej potężnej budowie i ujeżdżone tak, że czuły były na najłżejsze drgnięcie lejców.

Mikołaj przestał bawić się wełnianym barankiem i wychylił się z wózka, jakby oglądał je okiem znawcy.

Ciemne, błyszczące jego oczypatrzyły spod obszycia bładoniebieskiej, jedwabnej czapeczki. Potężne, lśniące boki perszeronów mieniły się, wznosząc i opadając za każdym oddechem; świecące, metalowe sprzączki u uprząży pobrzękiwały.

Uwagę Mikołaja ściągnęły czerwone taśmy, które ujmowały w węzeł bułaneogony koni.

Odwrócił swego baranka, by zobaczyć, czy go nek jego był taki sam.

Lecz znalazł tylko maleńkie, fryzowane pasemko białej wełny i naten widok wydał pogardliwie dolną wargę.

Gussie, siedząca na stołeczku obok wózka, myślała, że rozplacze się zaraz, wprawna rączką zaczęła poruszać w przód i w tył wózek.

Mikołaj spojrział na nią jakby z urazą.

Nie miał ochoty, by go poruszano w wózek; miał ochotę wyjść z niego i przejść się.

Usiłował więc odczepić taśmę, która więziła go.

Nie, nie!

rzekła Gussie.

Nie można!

Bądź grzeczny!

Wstała ze stołeczka i wzięła jego obie rączki w swoje.

To rozpętało atak furii u Mikołaja.

Rzucił jej złowrogie spojrzenie i zaczął się nią szamotać.

Gussie pomyślała, że uspokoi brata, jak zacznie go wozic.

Grunt był równy i gładki w tym miejscu, tak żędawała sobie doskonaleradę.

Popychanie wózka, choć surowo zabronione przez niańkę, stanowiło wielką przyjemność dla Gussie.

Lecz Mikołaj był już strasznie zdenerwowany.

Niemógł zapomnieć jej, że obezwładniła jego rączki.

Przed wszystkim wyrzucił pasją baranka z wózka, potem położył się na wznak i zaczął kopać nogami.

Z wielkim wysiłkiem Gussie dopchała wózek na skraj parowu do miejsca, gdzie stał skrzynia z fortepianem, wydobyta z jego dna.

Piękny fortepian!

mówiła mu.

Gussie będzie grała na nim.

I niefortunnie dodała: Ale Mikołaj nie będzie!

258

Mikołaj nie mógł zrozumieć, że w skrzyni był fortepian, ale zrozumiał, że było coś, co Gussie miała robić, a czego jemu odmawiano.

Odwrócił się, ukląkł z trudem, bo ciągle jeszcze hamowała jego ruchy taśma bezpieczeństwa.

Gussie nie widziała tego, bowiem spuściwszy głowę, z herkulesowym wysiłkiem pchała przed sobą wózek po gruncie coraz bardziej nierównym.

Mikołaj doczołgał się do tyłu wózka, schwycił za kryzę kapelusza Gussie i nacisnął go jej na twarz, szarpiąc przy tym boleśniej włosy, przytrzymane gumką. Gussie krzyknęła z wściekłości i bólu, i dalej pchała z całej siły wózek.

Dopiero poprzedniego dnia, przy akompaniamencie wielkich krzyków i trzaskania z batów, wyciągnięto fortepian nad brzeg strumienia.

Nie było cieśli, murarza, drwala czy parobka na folwarku, któryby nie rzucił roboty, by wziąć udział w tym emocjonującym zdarzeniu.

Ktożby w pobliżu, przybiegł, by patrzeć, jak czwórka koni prężyła się i biła kopytami, mierzwiąc się, by wywindować skrzynię z fortepianem.

Raz już ześliznęły się z niej liny, iskrzynia opadła znowu na dno.

Wreszcie fortepian stanął bezpiecznie na szczycie, nad stromą ścianą parowu.

Tego dnia mianogo właśnie wnieść do salonu.

Wszystko, co dotąd cierpiała przez Mikołaja, zakotłowało się w pamięci Gussie. Cokolwiek posiadała, Mikołaj chciał to mieć zaraz.

Cokolwiek robiła, musiał mieszać się do tego.

Stanowił centrum wszystkiego, co się działo w domu.

Mama i tata, nianka i Lizzie, wszyscy kochali go najbardziej.

Nawet Patsy O'Flynn zesadził ją z barków dzisiejszego ranka, by posadzić na tej wysokości Mikołaja.

Mały Ernest był miły, ale nie mógł znieść Mikołaja!

Długie, spadziste zbocze, po którym holowano fortepian, leżało przed nią.

Było wyślizgane względnie gładko przez ciężar paki.

Gussie zebrała wszystkie siły do ostatniego pchnięcia i puściła wózek.

Potoczył się na dół po zboczu z Mikołajem, ciągle jeszcze ucepionym z tyłu wózka.

Zdziwienie, malujące się początkowo na jego twarzyczce, przeszło w radosny zachwyt pędem, który go porwał i niósł na złamanie karku.

Wtem koło uderzyło o kamień, wózek podskoczył tak, że Mikołaja wysadziło w powietrze.

Wylądował jednak z powrotem w wózku, lecz w zmienionej pozycji, tak że Gussie nie mogła już widzieć jego twarzy.

Tymczasem wózek doleciał do brzegu rzeczki; tam przewrócił się i nakrył sobą Mikołaja.

Ten nie ruszał się wcale, ani niewydał się.

wał żadnego głosu.

Przednie koła wózka sterczały w powietrzu;  
nad wodą.

Nagle Gussie złękła się.

Poczuła się sama w tym ogromnym świecie.

Popatrzyła w dół stromej ściany.

Fortepian znajdował się jeszcze wczoraj tam, na dnie.

Teraz jest tu, na górze.

Wózek był na szczycie ściany, a teraz jest nadnie parowu.

Wielka jest zmienność kolei rzeczy!

Mikołaj krzychał i miotał się, teraz leży cicho i nie rusza się.

Stanowczo rzeczypodlegają za wielkim zmianom!

Gussie bała się już teraz bardzo.

Podreptała w kierunku, skąd dochodził odgłos rąbania siekierą i śpiew dwóch  
Francuzów-Kanadyjczyków.

Śpiew ich przypominał jej coś, co dawno już minęło, co było miłe i kojące.

Stała ukryta za drzewem, śledziła oczyma brysk siekier igrę mięśni, które nabrzmiewały w  
węzły na opalonych na brąz rękach robotników.

Nagle Gussie aż podskoczyła, tak się jej zrobiło przyjemnie.

Jakby ktoś na chwilę wymazał obraz lasu sprzed jej oczu.

Zobaczyła się w kuchni, w domu przy ulicy św.

Ludwika i poczuła ramiona Marii, jakobejmują ją i kołyszą usłyszała jej głos, śpiewający:

Alouette, Alouette, gentile Alouette

Je te plumerai.

U stóp swoich ujrzała nagle drobne, różowe kwiatuszki, jak gwiazdki wyzierające z  
młodej trawki i już schylała się, by przyłożyć swą twarzyczkę do ich twarzyczek, kiedy  
usłyszała głosniańki:

Augusta!

Augusta!

wołała niańka, a w głosie jej brzmiała nuta szalonego niepokoju.

Nagle niańka odkryła ją za drzewem i podbiegła pędem do niej.

Gdzie jest Mikołaj?

ledwo wymówiła, tak była zdyszana.

Tam, w dole rzekła Gussie, pokazując w stronę parowu.

Boże! litościwy!

krzyknęła niańka i znów pędem puściła się na skraj stromej ściany i zajrzała nadno parowu.

Gussie szła za nią; widziała jak niańka, oszalała z trwogi, biegła w dół po stromym zboczu.

Stała z palcem w buzi i przypatrywała się, jak Matylda podniosła wózek, chwyciła w ramiona  
Mikołaja i oglądała go bacznie całego.

A potem widziała, jak z trudem pięła się z powrotem na górę, purpurowa na twarzy z wysiłku.

W rezultacie więc Mikołaj nie ucierpiał bardziej przy tym

260

upadku, niż ucierpiał fortepian pomyślała Gussie, wpatrując się w  
twarzyczkę ocalonego.

Mikołaj miał minę spokojnie zdziwioną.

Czapeczka zsunęła się mu na jedno ucho.

Niańka posadziła go na ziemi, poczym raz jeszcze zeszła na dno parowu i wywindowała na  
górze wózek.

Była już zupełnie wyczerpana.



Wyjęła poduszczkę kołderki z wózka, i wytrząsała ziemię, którą były ubrudzone.  
Przewinęła potem poduszczkę i doprowadziła wózek do poprzedniego stanu.  
Od czasu do czasu rzucała trwożne spojrzenia w kierunku domu.  
Wreszcie, kiedy wyściskała już i wycalowała z całego serca Mikołaja, pochyliła się nad Gussie.

Jak to się stało?

spytała, patrząc na nią srogo.

Coś ty zrobiła, ty niedobra dziewczyno!

Popchnęłam wózek odrzekła Gussie i poleciała dół.

Wozłam go.

Cud prawdziwy, żenie zabiłaś go!

schwyła Gussie zaramię i potrząsnęła nią gwałtownie; potem dała jej klapsa po rękach, a wreszcie w policzek.

Masz!

rzekła.

I żebyś mi się nie ważyła pisać słowa o tym mamie albo tacie, i przestań płakać.

Nie dostała ci się ani połowa tego, coci się należy!

Tegoż popołudnia zdjęto opakowanie z fortepianu.

Stał teraz wystawiony na światło słoneczne.

Najwidoczniej nie miał się najgorzej, zważywszy wszystko, co przeszedł.

Pozostawało tylko jeszcze zbadać, jak miała się sprawa z jego brzmieniem.

Zbudowano platformę na kółkach, na której przyciągnięto fortepian do domu, i sześciu ludzi dźwignęło go, z krzykiem i szarpaniem, które wydały się Gussie raczej przerażające i poniosło.

Kiedy wreszcie stanął bezpiecznie w salonie, ludzie skupili się wokół niego i patrzyli z podziwem na piękne pudło z różanego drewna, na rzeźbione nogi srebrne lichtarze.

Przejęci byli taką dumą, jakby naprawę do nich należał.

Kiedy ludzie odeszli, w salonie pozostali: Adelina, Filip, Wilmott i Daisy.

No zawołała Daisy teraz już zaczyna wyglądać tu przytulnie!

Jazawsze mówię: fortepiano to dusza domu!

Mam nadzieję, że nie jest niemożliwie rozstrojony!

Proszę, niech pani usiądzie i zagra cokolwiek rzekł Filip.

Lepiej przekonać się od razu choćbyo najgorszym.

Daisy mościła się długo na taborecie; kręciła nim i dopasowywała bez końca, póki nie utrafiła wysokości, która jej odpowiadała.

I zaczęła grać Straussowskiego walca.

261.

Wcale nie jest tak rozstrojony oświadczyła.

I jak przyjemny maton!

Filip był uradowany.

Ujął Adelinę w pasie i nie zastanawiając się wcale, czy stan jej pozwalał na to, puścił się z nią w walca posalonie.

Hop-la!

krzyczał.

Wieki to już, jak nie tańczyliśmy walca razem!

Zwinnie ilekko Adelina muskała nogami podłogę, oparta najego ramieniu.

Wilmott stał trochę smętnie, on również chciałby mieć partnerkę.

Nagle, ujrawszy Gussie, zaglądającą przez drzwi, podszedł do niej, skłonił się przed nią głębokonafrancuską manierę, której nabrał w Quebecu, i rzekł:

Czy uczyni mi pani ten zaszczyt, panno Whiteoak, i zechce zatańczyć ze mną?

Gussie odkloniła musie z powagą i Wilmott, trzymającą zaręczki, kręcił się z nią po salonie.

Będziemy częstodawali tutaj przyjęcia wołała Adelina sponad ramienia Filipa.

Niech mi kto powie, czy nie jesteście najszczęśliwszymi ludźmi na ziemi!

opadła na kanapę, zaróżowiona ze szczęścia, lecz zmęczona też nieco tańcem.

Daisy odwróciła się na swoim taborecie.

.Ja także miałabym ochotę zatańczyć walca!

rzekła.

Tylko, czy zechce kto zatańczyć ze mną?

Zagrajnam do tańca, Wilmott rzekł Filip i podniósł Daisy z taboretu.

Daisy grała walca nawesoło, z zacięciem, choć czasem trochę nieczysto.

Wilmott grał go powoli, z odcieniem wyszukanej zmysłowości.

Giętkieciało Daisy niemal bezwstydnie dawało wyraz rozkoszy, jaką sprawia jej rytmiczny ruch walca.

Ubiegłej zimy tańczyła często z Filipem.

Tak lubię tańczyć z panem, kapitanie Whiteoak wyszeptała z westchnieniem.

O świecie całym zapominam, tańcząc z panem.

Filip roześmiał się wesoło, ujął ją jeszcze mocniej w pasie i wirował dalej po salonie.

Augusta stanęła obok Wilmotta i waliła piąstkami w basowe klawisze.

Wilmott kiwał jej głową, żeby przestała, ale Gussie robiła dalej swoje.

Gussie psujewszystko!

krzyknęła Daisy.

Niech pani jej każe przestać, pani Whiteoak!

Adelina rzuciła się na Gussie, podniosła ją i posadziła na kanapie.

Małeńkie nóżki dziewczynki, wystając z majteczek, dyndały bezradnie spod sukienki.

Czy nie ma nadziei na to, żebyśmy zatańczyli razem?

zapytał Wilmott Adelinę.

O, tak.

Kiedy odpocznę trochę.

Wilmott zagrał polkę, którą tańczący wykonał z niesłychanym zyciem.

Potem usiadł obok Adeliny i powiedział:

Zdajemy się, że wolałbym nie tańczyć z panią przy muzycetęj dziewczyny.

Ona gra okropnie!

Pan jest dziś w złym nastroju, James odparła ujmując go za rękę.

Mnie się wydaje, że Daisy gra ładnie na fortepianie.

A jakona świetnietańczy!

Wolałbymurzeć, niż zatańczyć z nią!

Kiedy zobaczycie tapety na tychścianach mówił Filip, podszedłszy do nich i piękne portieryu okien, i dywanna podłódze, wtedy będziecie mogli powiedzieć, że widzieliście naprawdęelegancki salon!

Że jest duży topewne!

rzekł Wilmott.

Na jegopodłódze zmieściłbysię dwa razy cały mój dom!

Tojest boski pokój entuzjazmowała sięDaisy.

Proszę wyobrazić go sobie wieczorem, w żarzącym świetle świec itancerzysunących po jego posadzce.

Wszędzie kwiaty w wazonach i orkiestrprzygrywająca słodko, gdzieś tam, z dworu, zgłębilasu.

O, zazdroścę wamtakiego salonu!

Kapitanie Whiteoak ,czy pan ma pojęcie, jak to "smakuje" być biednym?

Musi "smakować" nieźle, sądząc po wyglądzie pani odparł.

O, jakież pan okrutny!

Dlatego, że kryję moją nędzę uśmiechem, topan myśli, że nic sobie z tego nie robię!

Skazana jestemdosądnego dnia na samotne życie.

Jakiemuż mężczyźnie uśmiechać się będzie małżeństwo zpanną bez grosza?

W krajach pierwotnych kobietaceniona jest na miaręswych mięśnirzekł Wilmott.

Daisy z wyciągniętymi ramionami przebiegłaku niemu przeszsalon.

Pod tym względem sprawa przedstawia się jeszcze gorzejdla mnie!

zawołała.

Proszę patrzeć: skóra ikości, nic więcej!

Hop-la!

krzyknął Filip, posuwając się kuniej tanecznymkrokiem.

Wilmott, muzyka!

263.

I nie czekając porwał Daisy do tańca.

Z braku muzyki gwizdał walca, niezwykle słodko.

Mam pani coś do powiedzenia, Adelino mówił Wilmott, ujmując w rękę małą nóżkę Gussie, obutą w skórzany pantofelek.

Ale teraz jakoś nigdy nie mamy sposobności porozmawiać ze sobą.

Jak już raz urządzimy się w tym domu, będzie inaczej.

Wtedy będę miała morzewolnego czasu.

A cóż to chce mi pan powiedzieć?

Zacząłem pisać książkę.

To wspaniale!

zawołała z jaśniejącą twarzą.

Wspaniale!

Czy to powieść a ja jestem w niej?

Tak, powieść iniestety jest pani w niej.

Na darmo próbowałem nieudalomi się pozbyć pani!

O, byłabym wściekła, gdyby się topanu udało!

Kiedyż przeczyta mi pan, co pan napisał?

Nie wiem.

Może nigdy.

Bardzo czuję się niepewny wartości jej.

Tych dwoje powiedział Filip do Daisy jest w stanie rozmawiać ze sobą przez wieczność całą!

Och, bo są oboje tacy inteligentni!

Co do mnie, to nie mieszczą mi się w głowie więcej niż dwa pojęcia!

Proszę mi powiedzieć, jakie?

Być kochaną i kochać.

Wilmott powstał i podszedł do fortepianu.

Począł grać teraz coś poważnego, lecz pełnego namiętnego uczucia.

Gussie zsunęła się z kanapy i podeszła również do fortepianu.

Zacząła znów bębnić w basowe klawisze.

## XVIII.

Goście z Irlandii

Ilekcóż Filip rozglądał się wokoło, za każdym razem uderzało go na nowo to, jak wiele dokonano w Irlandii od czasu, kiedy razem z Adelina przybyli w te strony.

Lecz szczególnie tego wieczoru, kiedy spoglądał wstecz na ogrom dokonanej pracy zdjęło go coś w rodzaju trwożnego podziwu.

Nie upłynęło wiele więcej niż rok, kiedy kupił te tysiące akrów ziemi, a właściwie lasu, z wyjątkiem małej polany pośrodku.

A teraz stał na tej polanie solidny dom.

Wokoło niego ciągnęła się parka najpiękniejszymi drzewami, jakiego można było spotkać.

Poza parkiem złożyły się pola, wykarczowane z pniaków, zasiane owsem i jęczmieniem.

Były na nich nawet jarzyny, a na przyszły rok, na skraju, urządzi się kwiatowy ogród dla Adeliny.

Wykończono stodołę, a w stajni obok stały dwie pary pięknych, roboczych koni, dwa konie pod wierzchą jedna klacz, bez wyraźnego przeznaczenia, którą dosiadała na polowanie albo używał do cięższych robót w polu.

Nie śpieszył się z kupnem powozu i cugowych koni, pod tym względem Filip miał bardzo wybredny gust.

Teraz stał międzystodołą adomem.  
Ściany jego przezierały poprzez drzewa.  
Zachodzące słońce nasycalo jeszcze cieplejszym tonem ciemnoczerwonych kolor.  
Z dwóch kominów dobywał się dym i znaczył szaro-niebieską smugą na błękitnie nieba.  
Lecz nawet krowy rasy Jersey, sprowadzone z Anglii i pasące się w pobliżu tak pocziwie i spokojnie, jakby od pokoleń całych chowały się pasły w tym miejscu, nie wzruszały Filipa tak, jak widok dymu, unoszącego się ku niebu z jego własnych kominów.  
Zdawało mu się, że dym ten pisze na niebie słowo "dom".  
Nie ma co!  
Wróśl już sercem w ten kraj, w.  
tę ziemię swoją, nie chciałby już żyć gdzie indziej.  
Dziwnym mu się wydało, kiedy przypomniał sobie, jak powziął zamiar wystąpienia z wojska, gdzie śmiało mógł spodziewać się awansu; jak rzuciło wszystko dla tego skromnego, prymitywnego życia.  
Jako młody chłopak pragnął zawsze wstąpić do wojska.

ska. Kariera wojskowa należała do tradycji w jego rodzinie.  
Przedłużony czas czynne życie w pułku cieszyło go.  
Cóż mu sięstałowtędy?  
Wydałomu się nagle, żeod czasuożenienia jakbydziwny jakiś ferment niepokoju wszedł w jego życie.  
Nie to, żeby Adelina gardziła przyjemnościami, jakie niosłozycie w garnizoniew Indiach, było powodem zmiany w nim lub żeby była prostą, wiejską panną, kiedy żenił się z nią, i wszedłszy w jego życie, odciągnęła go od dawnego.  
Niew tym tkwiło coś o wiele głębszego.  
Było oto tak, jakby Adelina zawsze była w pogoni zaprawdą ikiedy połączyli swe losy, jakby wyruszyli razem najej poszukiwanie.  
Zapraęni rzetelnej rzeczywistości uwolnieniaod kanonów, ustalonych na długo przed ich urodzeniem możliwościurządzenia życia na swój własny sposób.  
W Kanadzieznależli właśnie warunki kutemu.  
Ani razu nie zdarzyło sięmu żalowaćtego wszystkiego, z czego zrezygnowali; przeciwnie, cieszył siętym, co zdołał osiągnąć.  
Popatrzył naswe nogi, obute w ciężkiebuty, na sztylpyskórzane, na spodnie z grubego aksamitu w prążki i takąż bluzę i ucieszył się, że czuł się w tym ubraniu wiejskim człowiekiem.  
Podszedł do najmłodszej z krów; ocieliła się niedawno po raz pierwszy i cielątko było przy niej.  
Filip położył rękę na jej łopatce, o gładkiej, kremowej sierści.  
Krowabyła łaskawa, nie płochliwa wcale zwróciła ku niemu pysk pełen świeżej trawy i podniosła oczy najego twarz.  
Ciele obok niej, węższe, lecz ruchliwe już, próbowało swych sił w niezgrabnych podskokach.  
Nie, nie zamieniłby ich za pułk kawalerii!  
Ogarnęło go uczucie głębokiej, radosnej pogody.  
Od wczesnego ranka donocy zajęcie jego polegało na samych sympatycznych czynnościach.  
Lecz, prawdę mówiąc, roboty miał tyle, że czasem czuł się przepracowany.  
A jednak tyle miał czasu przed sobą!  
Zbiegiem lat, razem z Adelina, uczynią ją taką, jaką ją wymarzyli sobie.  
Nie potrzeba się śpieszyć.  
Pieniędzy miał dość.  
Patrzył z ufnością w przyszłość.  
Posiadał pełną otuchy wiarę w Boga w Boganiezbyt osobowego przed którym okiem nie ukryje się żadne złudzkich przewinień, lecz gotowego zawsze podać rękę człowiekowi w potrzebie; Boga, który na końcu poskapimu wspaniałomyślnie przebaczenia grzechów, jeśli tylko nie przebrały miary niedziwości.  
Co-boss!  
przemówił do krowy, nauczył się bowiem pieszczotliwego tegomiana od miejscowych parobków mojaśliczna, malutkaco-boss!  
a cielak buchnął go w kolana, skacząc  
266  
niezgrabnie, lecz z wielką fantazją i z wyciągniętym, różowym j?  
-zorem.  
Wtem ujrzał pułkownika Vaughana, idącego ku niemu polem.  
W ręku niósł koszyk.  
Przywitali się i pułkownik otworzył go.  
Mam tu prezencik dla twojej pani rzekł.

Trochę sałaty udała nam się szczególnie tego roku trochę czereśni i paczkę tych gałąganów, które przysięgły się, żeby nam czereśniepożreć.

Patrzac we wnętrze koszyka Filip miał wrażenie, że spoglądana piękny obrazek. Dwie olbrzymie kule głowiaste sałaty świeciły zielenią młodziutkiej, najświeższej trawki. Soczyste ich liście, jędrne i gładkie, na brzegach tylko lekko fryzowane, poukładane warstwa na warstwie, otulały zamknięte w głębi bielutkie, kruche seica.

Na tle tej zieleni lśniły szklistym szkarłatem czereśnie.

Koszyk przedzielony był w połowie ścianką i w drugiej jego części leżała ciałka kilkunastu maleńkich, jaskrawo upierzonych ptaszków.

Gardziółka i czubki na głowie miały szkarłatne jak czereśnie.

Trudu było sobie wyobrazić coś bardziej lśniącego niż ich piórka.

Gałągany obsiadły chmurą czereśnię mówił pułkownik Vaughan.

Cudny to był widok, ale nie miałem czasu do stracenia na podziwianie go.

Chwyciłem strzelbę i wypaliłem w sam środek drzewa.

A potem wypaliłem jeszcze raz domaruderów.

Spadały z gałązek jak śliwki!

Do kaduka!

Piękne są.

Ale co Adelina mapocząc z nimi?

Każę je wypchać!

W mieście naszym jest całkiem dobry preparator.

Sprawi sobie szklaną klatkę i wsadzi je do niej, ładnie porozrzucane na gałązkach.

Nie można życzyć sobie piękniejszej ozdoby do salonu!

Zachowałem ich garść do wypchania dla siebie.

- . Dzięki w takim razie.

Adelina będzie zachwycona.

Co do tego miał jednak pewne wątpliwości, kiedy wchodził do salonu, gdzie Adelina siedziała, wykorzystując ostatki światła zachodzącego słońca, haftowała na krosnach.

Jak ona ślicznie wygląda pomyślał w tej sukni z białego kaszmiru, z tą kaskadą koronki na przedzie i u krótkich, po łokcie, rękawów!

Wyszukał w koszyku bliźniaczą parę czereśni i zawiesił je na złączonych szypułkach u jednego z jej uszu.

Mam tu kolczyki dla ciebie.

Podniosła rękę do ucha, by dotknąć ich.

Czereśnie!

zawołała.

O, daj mi garść!

Czy toż Yailghanlands przynieśli?

267.

Tak.

I to też.

Popatrz!

Zajrzała do koszyka i zbladła.

Och!

Cóż za okrucieństwo!

Kto je pozabijał?

Vaughan.

Bo widzisz, żarły mu jego czereśnie.

Byłyby wnetnie zostawiły ani jednej na drzewie!

To okrucieństwo!

Okrucieństwo!

powtarzała.

I naczóż on przysłał te ptaszki tutaj?

Sam je przyniósł dla ciebie żebyś jekazała wypchać.

Będąci się podobali, jak się je włoży do szklanej klatki.

Nigdy!

Zabierz mi je sprzed oczu!

Jakież kochane maleństwa!

Pokaż mi je!

Wyjęła jednego ptaszka z koszyka i przytuliła go sobie do policzka.

Łzy płynęły z jej oczu.

Słuchaj, Adelino bądź rozsądna!

Przejmujesz się rzeczami, które niewarte są, albowprawieniesą warte tego!

A cóż powiesz okuopatwach, bażantach i głuszcach, które sięprzecieżstrzela?

Polowanie to sport.

A to jestpo prostu mordowanie!

Tychptaszków się nie jada.

Te ptaszki tu przycisnęła do ust nieżywego ptaszka i podniosła na Filipa oczy pełne oburzenia  
teptaszki są na to, by zdobiły świat pięknością swoją i śpiewem!

Żejedzą czereśnie to i cóż ztego!

A gdybytak zjadływszystkie i nie byłoby czereśni?

Acóż by toszkodziło?

odrzekła, całując teraz piersiptaszka.

Cóż by to komu szkodziło?

Adelino , masz krew na wardze!

Wyjął swą wielką, batystową chustkę do nosa i otarłjej usta.

Ale dość już!

Oddaj mitego ptaszka.

Znajdzie sięktoś, kto ucieszy się nimi.

Nie chcę, żeby były wszklanejklatce!

wykrzyknęła, oddając mu posłusznie ptaszka.

Ja sama pogrzebię je.

Mówiącto zajrzała do koszyka i łzyjej zaczęły płynąć na nowo.

Wtej chwili weszła do pokoju pani Coveyduck.

Przyjechałaona wraz z mężemkilkatygodni temu do Jalny .

Nie można byłowyobrazić sobie bardziej odpowiednich ludzi na stanowiskaogrodnika i  
kucharki.

Samuel Coveyduck był niski, krępy i rumiany na twarzy.



Myśli jego od rana do wieczora zaprzętały wyłącznie rośliny, czyli rzeczy, które "rosną", i chyba już zupełnie zwiędły, zamarły osobnik roślinnego świata oparłby mu się i nie "rosł" pod jego opieką.

Miał głos o głębokim, miękkim brzmieniu i mówił z silnym akcentem swojej prowincji, Devonshire.

Żonajego była również niska, lecz szczuplejsza od niego.

Miała gładkie

268

lśniące włosy, twarz o wyrazie mniszki.

Była dobrą kucharką i pasją jej był porządek.

Rozgospodarowała się w Jalinie z wyraźną intencją, by rządzić parą młodych właścicieli w sposób dobroduszny, choć mimo to stanowczy.

Niech pani patrzy, pani Coveyduck zawołała Adelina na teko chane ptaszki!

Copani powie panu, który strzelatakie cudne stworzonka tak sobie, dla zabawy?

To nie było tak sobie, dla zabawy zaoponował Filip.

A właśnie, że tak: dla zabawy!

Bo inaczej, czemuż by przygalopował tu, żeby pochwalić się swym łupem?

Nie galopował wcale odrzekł Filip przyszedł.

Myślał, że sprawi ci przyjemność.

Nie chodzi o to.

jak przyszedł krzyknęła Adelina ale przyszedł, przynosząc temaleńkie ofiary swego okrucieństwa

i koniec!

Zawsze czułam, że jest w tym człowieku coś niegodziwego!

Teraz przypominam sobie: słyszałam o nim, że strzelał do tubylców w Indiach za jakieś tam maleńkie powstanie!

Ci tubylcy pomordowali angielskich cywilnych obywateli.

Była nawet kobieta między ofiarami.

A zresztą to nie był ten Vaughan, tylko inny.

- Można się spodziewać po tobie, że będziesz osłaniał nieprawość swoich przyjaciół!

A po tobie odciął Filip, patrząc złowrogo że będziesz zawsze myślała o ludziach wszystko, co najgorsze!

Umiem tak samo dobrze, jak każdy inny, rozróżniać rzeczy; potrafię nazwać sportem to, co jest sportem naprawdę, a okrucieństwem to, co jest okrutne.

A to tu jest okrucieństwem!

E, cóż tam rzekła łagodząc pani Coveyduck przyniosę pani filiżankę dobrej herbaty, żeby panią pocieszyć.

A co do tych ptaszków, sprawimy im prawdziwy pogrzeb.

Wyszukam ładne pudełko, wyłożę je liśćmi.

Coveyduck wykopie grób w ogrodzie, a dzieci ustroją go potem kwiatkami.

Czy chce pani, żebyśmy zrobiła kompot z tych czereśni, czy też placek z nimi?

Ani Filip, ani Adelina nie odpowiedzieli na to.

Oboje woleliby placek, ale w tej chwili żadne z nich nie przyznałoby się do tego.

Więc kompot czy placek?

powtórzyła pani Coveyduck patrząc po nich oczyma tak niebieskimi jak lazurnieba.

Wszystko mi jedno odrzekł sztywno Filip.

Mnie również dodała Adelina.

W takim razie kompot i do niego bita śmietana zawyro269.

kowała chytrze pani Coveyduck, która już dobrze poznała słabestrony swoich chlebobawców. Wzięła koszyki skierowała się ku wyjściu.

Wszelkie wzruszenia budziły u Adeliny niezwykle apetyt.

Spojrzała z nienawiścią na Filipa, zła na niego, że nie powiedział, iż chce mieć placek z czereśniami.

Filip zaś włożył ręce w kieszenie spodni i zaczął pogwizdywać pod nosem.

Tu nie jest stajnia rzekła Adelina anitynie jesteś parobkiem.

Jawole placek z czereśniami rzekł nato Filip.

Pan chce mieć placek z czereśniami rzekła Adelina do pani Coveyduck, uśmiechając się doniej porozumiewawczo i z zadowoleniem.

Tegoż dnia, kiedy się odbył pogrzeb ptaszków, Adelina dostała list od swego brata Conwaya, w którym donosił jej, że razem z Mary bawią w Montrealu i wkrótce wybierają się odwiedzić Jalnę.

Przyjechali, by zająć się interesami pani Cameron, która zmarła wczesną wiosną tegoż roku, pozostawiając Mary skromny, jednak nie do pogardzenia, majątek.

Oboje mieli się dobrze i stęsknieni już byli widoku Adeliny, Filipa i dzieci.

Szolto towarzyszyli im również.

Adelina była uradowana tym listem, lecz i skonsternowana zarazem.

Gdybyż byli poczekali trochę z tymi odwiedzinami!

radość byłaby zupełna, nie zakłócona niczym.

A tak, dom nie był jeszcze doprowadzony do zupełnego porządku.

Wprowadzić ścian salonu i biblioteki były już wytapetowane i portier w nich zawieszono, i pokoje te miały już wygląd z grubsza zamieszkały, lecz nie były jeszcze całkowicie urządzone. Brakowało w nich obrazów na ścianach różnych, dekoracyjnych szczegółów.

Co się zażyty jadłoni, to ta przedstawiała jeszcze kompletny chaos; meble w niej były stłoczone, jedne na drugich stały turusztowania, przygotowane dla tapicerów.

Narazie spożywano posiłki w bibliotece.

Pokoje zaś gościnne nie miały jeszcze w ogóle mebli.

Złożył się jednak tak szczęśliwie, że znalazł w gazecie ogłoszenie o licytacji wyposażenia domowego w niewielkiej odległości od Jalny.

Filip udał się tam choć nie bardzo rad był temu, bo miał pełne ręce roboty w domu.

Ale, w gruncierzeczy, lubił, kiedy trafiła się sposobność wydania pieniędzy.

Wrócił też w dobrym humorze, nabywszy dwa kompletne zestawy sypialniane jeden

270

orzechowy, bogato rzeźbiony, drugi mahoniowy, o pięknym rysunku.

Zakupił też komplety toaletowe, z olbrzymimi wiaderkami, miednicami, mydelniczkami, płukankami, nocnikami i stelażami na szczotki do zębów, tak potężnymi, że mastodonty mogłyby używać ich śmiało.

Do tego wszystkiego kupił jeszcze dużą, blaszaną wannę, pomalowaną na zielono, żelazną żardinierę na kwiaty w doniczkach, zegar z kukułką, wypchaną głowę rogacza, gruby tom „Antologii poetów brytyjskich” i psm budę.

Adelina musiała oderwać się od zawieszania portier w jadalni, żeby obejrzyć te zakupy. Oświadczyła, że wszystko jest bardzo piękne, a zobaczywszy „Antologię poetów brytyjskich”, chwyciła książkę przyciskając ją do piersi, pobiegła do biblioteki, gdzie umieściła ją na półce, na najwidoczniejszym miejscu, po czym stanęła z Filipem i trzymając się za ręce, podziwiali, jakie wspaniale robił wrażenie.

Pani Coveyduck nie miała równej sobie, jeśli chodzi o urządzenie pokoi.

Nietraciła nigdy głowy, ani nie irytowała się.

Potrafiła chodzić tam i napowrót, od strychu do suterenu, i zdawała się nie być nigdy zmęczona.

Spokojnie, nie robiąc w ogóle zamieszania, urządziła wszystko na swój sposób. Młoda Lizzie pod jej kierownictwem prędko stawała się zdolną pokojówką. Uważała panią Coveyduck za chodzącą doskonałość i zabawnie było obserwować, jak starała się wzorować we wszystkim na niej.

Cóż to była za radość dla Filipa i Adeliny, że wreszcie znajdowali się w swym własnym domu!

Filipnie musiał już wytykać głowy przez okno, ilekroć chciał zapalić cygaro. Teraz, nałożywszy swą piękną, aksamitną myckę, której złoty kutasik zawadziacko dyndał mu nad oknem, mógł palić, gdzie mu się żywnie podobało.

Adelina mogła biegać z pokoju do pokoju, śpiewając głośno, kiedy miała na to ochotę. Mogła rozrzucać rzeczy po całym domu, z bezpieczną pewnością, że pani Coveyduck lub Lizzie nie omieszkają zebrać ich i ułożyć na miejscu.

Dzieci mogły drzeć się niebogłose, ona zaś nie potrzebowała martwić się tym.

A Neroten nie był już teraz wyrzutkiem, jak w Vaughanlands.

Obecnie tak musi dawały we znaki letnie upały, że Patsy O'Flynn ostrzygł go znowu aż po łopatki.

Biegał cały dzień na wolności i pełno go było wszędzie; wejściowe drzwi nosiły już ślady jego pazurów, bo stał skrobał do nich, by go wpuszczono.

Goście z Montrealu przyjechali w gorący, słoneczny, lecz wietrzny dzień.

Wszystko zdawało się być w ruchu na ich przyjęcie 271.

cię od gałązek na drzewach począwszy, aż po wachlujący ogon Nera.

Jakże to boskowiedzieć was znowu!

wolała Adelina, chwytając braci kolejno w uścisku.

Droga siostruniu poddawał się tym czułościom biernie Conway zaprawdę, czujemy się tu jak w niebie po niewygodach, jakich zaznaliśmy!

Jakżety świetnie wyglądasz!

On sam nie zmienił się wcale, ani też Szolto.

Stali to przednią, smukli i prości jak topole z tymi jasnorudymi włosami, jak zawsze nieco przydługimi, z pociągłymi twarzami, o spiczastej brodzie i dumnie wyciętych nozdrzach, które zawsze przypominały Filipowi twarze waletów z talii kart.

Wyglądali tylko nieco dojrzalej niż wówczas, kiedy touciekli z okrętu.

Mary jednak zmieniła się bardzo.

Z nikłej dziewczynki stała się elegancką, młodą kobietą, chociaż, przy bliższym przyjrzeniu, miało się wrażenie, że toalety, które posprawiła sobie w Paryżu, przyćmiewają swą wspaniałością jej urodę.

Pomimo że majątek cały należał do niej, Conway potrafił wmówić w nią, że uczynił jej wielką łaskę, ożeniwszy się z nią.

Oczy jej, pełne uwielbienia, biegły za nim, gdziekolwiek się ruszył; a kiedy się oddalił od niej, była zaraz przygnębiona i czekała tylko, by rychło wrócił.

Nużyła go swoją miłością Conway wołał bardziej odpowiadające mu towarzystwo młodszego brata.

Cóż to za śliczny domeczek!

wykrzyknął Conway.

Wszystko w nim takie świeże i czyste!

A takie pustkowie wokoło!

O Boże!

Patrzcie na tego psa!

udawał przestraszonego Szolto.

A może to nie pies, ale lew?

Cóż to za potwór!

Pochodził z Nowej Fundlandii objaśniała Adelina, głaszcząc Nera.

Aż natury to raczej jagnię niż lew.

Jakież uroczedzieciaki!

i Mary podbiegła do dzieci, by przyjrzeć się im.

Niczegonie pragnęłabym tak, jak dziecka.

Ale zdaje się, że jakoś nie mogę mieć dzieci.

Nie ma nic na świecie, czego pragnęłabym mniej rzekł cicho Conway, mrugając okiem do Adeliny i poprawiając krawat.

Jakże tu wszystko jest utrzymane w doskonałym stanie podziwiał Szolto, rozglądając się wokoło.

Ależ dziecko rzekła Adelina ten dom jest ledwie zbudowany.

Jest świeży, jak z igły!

Patrzył na nią osłupiały.

Nie mógł wyobrazić sobie, że istnieją nowe domy!

272

Jak się miewa mamakochana?

pytała Adelina.

Wygląda ślicznie!

odrzekł Conway.

Pamiętasz, że straciła jeden przedni ząb.  
Otóż ma dzisiaj śliczny, wprawiony najego miejsce.  
To nowy wynalazek.  
ek. Graniczy z cudem, naprawdę.  
Powinnas zobaczyć to.

Mama mówi, że przyjedzie tutaj umyślnie, aby ci go pokazać rzekł Szolto.  
Przyjadą oboje z papą.  
Naprawdę?

wykrzyknął Filip, nie mogąc ukryć przerażenia.  
Mówisz, że wybierają się do Jalny?

Tak.

Papa nie wierzy w połowatego, co Adelina wypisuje o waszym domu.  
Chce przyjechać zobaczyć go na własne oczy.

A jak się ma papa?  
pytała w zamysleniu Adelina.

Srogi jak zawsze odparł z przejęciem Szolto.  
Nadzień przed naszym wyjazdem oblił mnie tak, że byłem cały w sińcach.  
Myślałem już, że będę musiał zostać w domu.

Dobrze ci było tak!  
skonstatował spokojnie jego brat.  
A gdzie są teraz ci dwaj panowie Irlandczycy?  
zapytała Mary.

Pan d'Arcy wrócił do Irlandii kilka miesięcy temu.  
A pan Brent wykradł tu pewną kanadyjską pannę.  
Wrócili niedawno ojciec panny przebaczył im.

Czy ona była bogata?  
pytała dalej Mary.

Jej ojciec jest majątny, jak natutejsze stosunki.  
A na stosunki irlandzkie?  
dowiadywał się znów Conway.

Na irlandzkie stosunki, nie słysz; się o pieniądzech.  
Ale teraz chodźcie, pokażę wam wasze pokoje.  
A potem siądziemy doobiadu.

I zaprowadziła ich na piętro.  
Biegali od pokoju do pokoju, oglądając wszystko z dziecinną ciekawością.  
Adelina cz.

uła się sama jak dziecko przy nich.  
Jakże to miło mieć ich u siebie!

Zrobili niesłychane wrażenie w sąsiedztwie niezwykłym wyglądem, strojami, według najkrzykliwszej europejskiej mody i swobodnym, niedbałym obejściem.

Państwo Lacey wydali garden party na ich cześć.  
Ale okazało się, iż nie oni byli środkiem największego zainteresowania na tym przyjęciu,  
tylko Michał Brent i jego młoda żona, którzy świeżo wrócili, uzyskawszy przebaczenie ojca  
Kate, teraz otoczeni i witani serdecznie przez kółko znajomych.

Kiedy zdołał uwolnić się na chwilę od tych objawów ogólnej złości, Brent  
odciągnął na bok Adelinę i rzekł do niej:

- Budo Uii Jahn

273.

Mam dobre wieści dla melancholicznego przyjaciela pani.

Niemam melancholicznych przyjaciół odparła żądam od każdego z moich przyjaciół humoru.

Lecz jeśli przypadkiem to, co pan mówi, ma odnosić się do Jamesa Wilmotta, to pan się myli. Byłby najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdyby.

Nie będzie więc żadnego "gdyby" odtąd przerwał jej Brent.

Niech go pani złapie, proszę, i przyprowadzi do mnie, a od razu zdejmę mu ostatni kamień z serca.

Adelina znalazła Wilmotta w kółku osób, zabawiających się strzelaniem z łuku.

Wilmott właśnie przyłożył łuk do ramienia i wpatrywał się bystro w cel.

Wyczekała, aż strzelała śmignęła i utkwiał w czarnym punkcie, w samym środku kartonu, a Wilmott, oklaskiwany przez wszystkich, ustąpił miejsca innemu zawodnikowi.

Wtedy powiedziała mu cicho:

O, James, czy nie mógłby pan rzucić to strzelanie i pójść z zemną?

Michał Brent mówił mi właśnie, że ma dobre wiadomości dla pana.

Czeka koło altanki.

Niech pan uwolni się i przyjdzie!

Pobiłem ich wszystkich rzekł może iść z panią.

Lecz Adelina ociągała się teraz zodejściem, by przypatrzeć się Daisy Vaughan, która z łukiem w ręku stawiała do zawodów w nowym zespole łuczników.

Kpiono z niej wokoło, bo nie mogła pojąć, jak należy trzymać łuk.

Filip podszedł do niej i opasawszy ją ramieniem, ustawił jej ręce w prawidłowej pozycji dostrzął.

Daisy podniosła oczy na niego, uśmiechając się bezradnie.

Kiedy uszli kilka kroków, Adelina spytała:

James, co pan myśli o Daisy?

To dziewczka odparł krótko.

Jako samo myślała początkowo.

A potem zdawało mi się, że to może tylko głupia dziewczyna.

Teraz sama nie wiem, co myśleć o niej.

Mówi, że jest moją przyjaciółką.

Panna Vaughan nie jest pani przyjaciółką żadną miarą!

Ani jakiegokolwiek kobiety na świecie.

Ona ma w sobie szalę prosto szalę na punkcie mężczyzny.

Kawalerowie jakoś nieubiegają się o nią; zdaje mi się, że zrezygnowała już ze swych widoków na doktora Ramseya.

Myślę, że poluje teraz na Filipa.

Zawsze zadawała sobie dużo trudu, by go przynęcić.

Lecz mnie bawiły tylko wszystkie jej triki.

Filip jest najpiękniejszym mężczyzną w tym kółku.

274

Ale on do mnie należy!

A cóż ją to może obchodzić?

Adelina, ta dziewczyna mówiła memu służącemu, Titiszowi, że ma czarujące rzęsy i usta jak kwiat granatu!

Adelina zaśmiała się w głos z uciechy.

O, James słyszeć, jak pan mówi takie rzeczy!  
zawołała.

Poetyczne rzeczy może nie brzmiałyby tak źle w moich

ustach powiedział nieco porywczo.  
Adelina spojrzała na niego prawie z czułością.  
Nie śmiałabym się, gdyby to były pańskie własne słowa.  
Ale słyszeć, jak pan powtarza je jako słowa wypowiedziane przez  
Daisy do Titisza, to wywołało moją radość.  
A cóż Titisz na to?  
Ano, podobało się to szelmie.  
Zaczął przeglądać się w moim lusterku, starając się dobrze przyjrzeć swoim rzęsom i robił  
przy tym przedziwne grymasy ustami.  
Filip mówi, że o-nma o wiele więcej Francuza w sobie  
niż z Indianina.  
Znaleźli Brenta, ukrytego w altance.  
Widząc ich, zawołał cicho:  
Tu jestem!  
Chodź pan, Wilmott, i dowiedz się wielkiej nowiny!  
Weszło do altanki.  
Adelina usiadła przy Brennie.  
Wilmott pozostał w drzwiach, jakby zachowując obronną pozycję.  
Po rumianej twarzy Brenta przewijał się dobry, przyjacielski uśmiech.  
Widziałem pańską żonę oznajmił.  
I co dalej?  
spytał Wilmott spokojnie.  
Jak wiecie, pojechaliśmy z Kate do Nowego Jorku, w podróż poślubną.  
Byliśmy tam zaledwie kilka dni, kiedy pani Wilmott przyłapała mnie.  
Stałem przed wystawą pewnej księgarni, a ona wychodziła z niej właśnie, niosąc wręku  
książkę, którą kupiła.  
Minał już prawie rok, jak widziałem ją po raz ostatni i pierwszą moją myślą było: jakże ona  
świetnie wygląda!  
Całkiem  
jakby innakobieta!  
Wilmott, nieporuszony, trzymał oczy utkwione przed siebie.  
Już nietroszczy się teraz o to, gdzie pan przebywa.  
Pańska żona zaangażowana jest ale-to po szyję!  
w walce przeciw  
niewolnictwu!  
Twarz Wilmotta przeciągnęła się.  
Z ust jego wydobył się jakiś  
nieartykułowany dźwięk.  
275.

Widzi pan ciągnął dalej Brent żona pańska z natury już jest kobietą, której się zdaje, że ma jakąś misję do spełnienia.

Teraz jest zupełnie pochłonięta tą ostatnią.

Nie pojechała do Meksyku, bo zaprzyjaźniła się z ludźmi, którzy jej wytłumaczyli, jak niepewną, beznadziejną prawie ekspedycją byłaby ta podróż.

Cinowi przyjaciele jej toentuzjaści ruchu przeciwniewolniczego.

Przystąpiła do nich.

Razem odbyli podróż po Południowych Stanach.

Teraz jest na objeździe Północnych Stanów, wygłaszając odczyty propagandowe.

Po ukończeniu tego objazdu wraca do Anglii, by tam prowadzić dalej swą misję i wygłaszać odczyty.

Odczyty ona!

wykrzyknął Wilmott.

Tak.

Odczyty.

Wskazała mi wiewieszkę w oknie księgarni, donoszącą o odczycie, jak miała mieć tego samego wieczora.

Prosiła usilnie,.

bym był na nim.

Naszcześnie, Kate nie czuła się całkiem dobrze tego dnia, więc mogłem udać się tam sam.

I pani Wilmott naprawdę wyszła na estradę i miała odczyt!

wykrzyknęła Adelina .

O, jakże bym chciała słyszeć ją!

Czy duży był tłum słuchaczy?

Sala nie była bardzo wypełniona, ale ci, cobyli obecni, niemogli przyjąć jej słów z większym zapalem, niż je przyjmowali.

Potrafił wzbudzić w nich wściekłość i pyry do zemsty.

Gotowi byli pomaszerować miejsca i zniszczyć ogniem każdy dom właściciela niewolników, gdyby napotkali takina swej drodze!

Co mnie w tym dziwi zauważył Wilmott to, jak zdołała mówić, nie przeskakując z tematu na temat.

Język jej miał zazwyczaj tę właściwość, że ponosił ją.

A właśnie, ponosił ją i tam!

zawołał Brent.

W tym była cała rzecz!

Słowa literalnie ciekły jej z ust!

Zalewała nimi słuchaczy.

Jednym itym samym tchem potrafiła dać nam skomplikowane dane statystyczne i opis wyszukanych tortur.

Gdyby niewzgląd na Kate, słowo daję, byłem prawie gotów przyłączyć się do tej kampanii.

Kiedy tym swoim cichym, wnikliwym głosem.

Ach przerwał posepnie Wilmott znam ten głos!

Nieraz, kiedy położyliśmy się spać, godzinami potrafiła bębnić mi po mózgu!

Kiedy coś pobudziło ją, zaczynała wykłady nadany temat!

Wykład!

O, utrafił pan znakomicie!

Tak kobieta jest urodzonym wykładowcą!

Za pańskich czasów miała jednego tylko słuchacza.



Teraz ma ich setki nie zdziwiłoby mnie, gdyby, nim dobiegnie do końca ta kampania, miała ich tysiące!

Po skoń276

czonym odczucie obiegli ją po prostu ludzie, których zainteresowała.

Potemodprowadziłem ją do hotelu i tam rozmawialiśmy długo.

Czy mówiła coś o mnie?

zapytał Wilmott.

Tak jest.

Powiedziała, że opuszczenie jej przez pana było największą łaską, jakiej w życiu doznała.

Powiedziała, że z wyjątkiem tego, iż dał jej pan Hettie, była to jedyna dobra rzecz, jaką pan uczynił dla niej.

Nie mówiła nic o tym, że zrujnowała się finansowo, by zabezpieczyć ją?

O tym ani słowa.

Mówiła zato o pańskim braku przedsiębiorczości i wszelkich ambicji.

Powiedział dalej, że poświęciwszy się swej szczytnej misji, nie chce już więcej słyszeć o panu i że, gdyby pan próbował kiedyś odszukać ją i prosić o przebaczenie przepędziłaby pana.

Tak powiedziała mówi pan tak powiedziała!

rzekł Wilmott, uśmiechając się zjadliwie.

Adelina skoczyła na nogi i objęła Wilmotta za szyję.

O, James, cóż za wspaniałe nowiny dla pana!

zawołała.

Potem zwrócił się do Brenta i uściskała go również.

Jakże świetnie spisał się pan!

wykrzyknęła.

Ale nie pisał pan o tym ani słowa Kate nieprawdaż?

Ani słowa i nigdy nie pisał!

Bo prawdę mówiąc, pani Whiteoak, jest tyle małych incydentów w mojej własnej przeszłości, które trzeba mi ukrywać przed Kate, że ten, z Wilmottem, to drobność w porównaniu z nimi!

O, co za łotr z pana!

rzekła i pocałowała go.

Nikt nie mógł nazwać Wilmotta „łotrem” w tym znaczeniu.

Stał więc patrzył po sepii na nich.

Cóż nie cieszy się pan?

zapytał go Brent.

Owszem, cieszę się.

Ale czy pani Wilmott nie mówiła nic o mojej córce?

Hettie?

Ależ tak, Hettie!

Matka cieszy się nią bardzo.

Dziewczyna odmieniła się zupełnie.

Ona też zabrała się do tego dzieła.

Wyrosła na dużą, silną dziewczynę i spoważniała.

Siedziała przy małym stoliku u wejścia na salę i rozdawała broszury przeciw niewolnictwu.

Sprzedawała też książeczkę, napisaną przez matkę i opatrzoną jej autografem po pięćdziesiąt centów egzemplarz.

Dochód przeznaczony jest na cele sprawy.

Kupiłem taką książeczkę dla pana.

Oto jest.

277.

To mówiąc rozpiął tużurek i z wewnętrznej jego kieszeni wyjął książeczkę.  
Wilmoll przyjął ją bez.  
zapału.

Dziękuję panu rzekł. Dziękuję bardzo.

Wiepan rzekł Brent jeśli kiedy coś z całej tej sprawy przecieknie choć.  
tak mi dopomóż Bóg, nie stanie się tonigdyz mojej winy to może pan po prostu powiedzieć, że  
pan rozszedł się żoną z  
powodu jej zapatrywań na kwestię niewolnictwa.

Może pan zasłonić się tym,  
że żywi pan głęboką sympatię dla Południowych Stanów.

Nie mógłby powiedzieć nic gorszego.

Wszyscy w tym kraju jesteście przeciw niewolnictwu rzekła Adelina .

W takim razie może pan powiedzieć, że nie chciał nigdy siedzieć w domu.  
tylko włóczyła się po świecie, wygłaszając odczyty. Może pan powiedzieć, że rozeszliście się  
za obopólną zgodą.

co mogę zawsze  
poświadczyć.

Dziękuję panu rzekł Wilmott, obracając wręku książeczkę.

Doskonale zgodziła się Adelina .

To najlepsze, co można wymyślić.

Na to nadeszła Kale Brent, która szukała ich wszędzie.

Podając truskawki zbitą śmietaną wołała do nich.

Chodźcie.

prędko!

Truskawki są jak smoki, a śmietana tak gęsta.

że można ją nożem krajać!

Skarbie mój rzekł Brent pójdę za tobą na koniec świata, jeżeli mi obiecasz truskawki!

Czy zechcecie państwo łaskawie usprawiedliwić mnie przed panią Lacey rzekł

Wilmott.

Muszę wracać do domu.

Nie mogli go odwieść od tego.

Lecz Adelina pozostała chwilę przy nim.

Wszystko skończyło się lepiej, niż mogliśmy się spodziewać nieprawdaż?

I już pan nie uważa, że źle zrobiłam, uczyniwszy Michała Brenta  
naszym powiernikiem prawda?

Uważam, że pani zrobiła cudownie.

Ale mimo wszystko, mimo tej ulgi ogromnej, czuję, że gram rolę komiczną w tym wszystkim.

To właśnie jest cały kłopot z  
panem, że pan zawsze liczy się z opinią ludzką!  
krzyknęła.

Ja nigdy nie biorę w rachubę tego.

co ludzie pomyślą!

i to jest częścią uroku pani, że pani nie liczy się z.

ludźmi.

Ale ja nie mam żadnego uroku w sobie.

278

James, jest pan jednym z najbardziej uroczych ludzi, jakich znam.

I powinien pan być też jednym z najszcześniejszych.

Awiecz będę najszcześniejszym z ludzi, przyrzekam pani.

Rozstali się i Wilmott szedł ku swemu domowi ścieżką przez las, stojący w przemyśle czerwcowego rozkwitu.

Ile razy zdarzyło mu się wyjść z domu, kiedy wracał potem, zawsze pierwszą jego myślą było: co też.

tam Titisz robi?

Teraz zastał go nad rzeką, malującego taczki na jasnoniebieski kolor; nabierał do tego farby ze świeżo otwartej, blaszanej puszk.

No, icóż ty tu robisz, Titisz?

zapytał.

Titisz wykonał wdzięczny ruch pędzlem i odrzekł:

Panie, dziadek podarował mi te taczki, bo są stare i niepotrzebuję ich już.

Ale ja nie lubię czerwonych tacek.

Przemaluje je więc na niebiesko.

Ależ.

to są doskonałe taczki.

Titisz, czy jesteś całkiem pewny, że dziadek podarował ci je?

Mówiłem ci, że twój dziadek jest bardzo biedny.

Bo jest rzeczywiście biedny, panie.

Dlatego nie ma nic, tylko te taczki, do zostawienia mi w spuściźnie.

Spodziewa się umrzeć niedługo.

A skąd wzięłeś tę puszkę farby?

Panie, znalazłem ją, jak unosiła się na wodzie.

Wilmott westchnął i wszedł do domu.

Izba tchnęła poczuciem niewypowiedzianego spokoju.

Usiadł przy stole i wyjął z kieszeni książeczkę Henrietty.

Przeczytał ją od początku do końca.

Poczym położył na krześle kominkę i przytknął do niej palącą się zapałkę.

W jednej chwili książeczka stanęła w płomieniach.

Pozostało czytelne tylko jedno słowo na tytułowej karcie: "Niewolnictwo".

Spokojny uśmiech rozjaśnił twarz Wilmotta.

No wyrzekł głośno uwolniła mnie, dzięki Bogu!

Mogę w spokoju zacząć życie na nowo!

Titisz wsunął głowę w otwarte drzwi.

Panierzek chciałbym coś powiedzieć.

Co takiego, Titisz?

spytał Wilmott, podnosząc głowę.

Panie, ci państwo, u których jest dziś przyjęcie w ogrodzie, podarowali mi koszyczek truskawek.

Ułożyłem na talerzu najpiękniejsze, dla pana a śmietanę mamy od naszej własnej krowy.

To brzmi bardzo zachęcająco, Titisz.

Jestem głodny.

Przynies te truskawki.

279.

Titisz upozował się wdzięcznie, oparty o odrzwia.

Panie, służącaz tego domu, który zwa Jalną , podarowałam kawalek placka ze śliwkami.

Naprawdę?

To bardzo pięknie z jej strony.

Zrobimy doniego herbatę.

Titisz dał naglego susa, jak młode zwierzę, które się wyżywa wruchu.

Ściągnął ze stołuwojłokową,czerwoną narzutę i w jej miejscepołożył kawał czystego, białego płótna.

Po czym zaczął ustawiać na nim nakrycie, w przykładnym porządku.

Wilmottpoczątkowo spożywałposiłki samotnie; lecz powoli polubił tak Titisza,że miłe mu było jego towarzystwo przy stole.

Chłopak był uprzejmy, czysty i miał wrodzoną delikatność w obejściu.

Wilmottżywiłpewne ambicje codoniego.

Kiedy tak siedzieli, jedząc truskawkiz gęstąmietaną, Wilmott rzekł:

Mam zamiar nauczyć cię wielu rzeczy, Titisz.

Historii, geografii, matematyki, fizyki, literatury angielskiej, a nawet łaciny.

To dobrze, panie odparł Titisz,krając uważnie placekze śliwkaminadwie równe części. Ja zawszegotów jestem nauczyć się czegoś.

#### XIX.Kąpiel w jeziorze

Te partie krokiet i strzelanie z łuku, to bardzo piękne rzekł Conway ale chciałbym, żebyś wymyśliłaćoś bardziej ożywionego, coś śmielszego jako rozrywkę.

Tam, gdzie byliśmyz Mary, na południuFrancji,byliśmy proszeni na kilka przemiłych zabaw na plaży.

Zabawapolegała na tym, żepito szampana i kąpano się wspólnie.

Tu podniósł swoje zielonkawę oczy na siostrę.

Siedział ujejstóp, na dywanie, zgłową opartą najej kolanie.

Z drugiej stronySzolto leżał wtej samej pozycji, zgłową opartą na drugim kolanie Adeliny .

Naprzeciwlich siedziała w krześleo wysokim oparciu Mary, szydełkując delikatną koronkę do obszycia batystowegoczepka nocnego.

Tak, rzeczywiście rzekłabawiliśmysię tam bosko!

Nie można wyobrazićsobie przyjemniejszych czasów.

Widywałosię kąpielowe kostiumy tak piękne, jak z obrazka!

A kiedy znudziło się nam siedzieć w wodzie, kładliśmy się na piasku i śpiewaliśmy.

Nie mogę wyobrazić sobie, żeby coś takiego można urządzićtutaj odrzekła Adelina .

O, możnaby i to bardzo łatwo odparł Conway jeślitylko pozwolisz zająć mi się tym.

Przede wszystkim trzeba wyeliminować tej zabawy tych podtatusiałych pedantów,którzy ganią wszelkąswobodę u nas, młodych.

Zaprośtylko odpowiednietowarzystwo, dostarcz przekąsek i napojów a resztę zostawmnie.

Jezioro tutaj to nie Morze Śródziemne rzekła Adelina .

Woda może byćza zimna.

Przytym upale?

Nie, będzie właśnie rozkosznie chłodna.

Słuchaj siostruniu, powiedz, że się zgadzasz!

Powiedz, że się zgadzasz!

powtórzył Szolto, bawiac siępierścionkami najej palcach.

Nie mamy kostiumówkąpielowych wahała się Adelina .

281.

Conway i ja mamy odrzekła Mary a wy możecie kupić albo kazać zrobić sobie kostiumy.  
Lydia Busbymówiłam, że ma wykrój kąpielowy kostium.

Powiedz "tak" Adelino !

Powiedz "tak"!

Tu naprawdę nie wiadomo, co robić grymasił Szolto.

Najedno by nam wyszło siedzieć nadal w Irlandii!

Jest teraz pełnia księżycyca mówił Conway.

Będz.

iemymieli tyle właśnie światła, ile nam potrzeba.

Macie więc zamiar siedzieć w jeziorze po zachodzie słońca?

zdziwiła się Adelina .

Oczywiście!

odrzekła Mary.

Upieklibyśmy się z gorąca, gdybyśmy wyruszyli wcześniej po południu!

Ach, Adelino, żebyś ty wiedziała, jaka to straszna przyjemność taka zabawa!

Ta swoboda, bez tych długich spódnic i ciasnych trzewików!

Aprzede wszystkim bez tych wszystkich konwenansów!

Nie myślałam, żeby konwenanse dały się kiedy bardzo weznaki wam trojgu zauważyła  
Adelina .

Właśnie, że tu czujemy konwenans na każdym kroku odparł Szolto.

Nie cierpimy być krępowani.

Wracajcie więc do domu odcięła się siostra.

Co za jędza z ciebie, siostruniu!

ipocałowała ją w rękę.

Adelina złapała po pełnej garści włosów na każdej z dwóch głów, spoczywających na jej  
kolanach i szarpnęła nimi.

Niechże będzie, jak chcecie.

Ale bezszampana.

Dobre francuskie wino wystarczy wam.

Wybierz, kogo mam zaprosić, Conway.

A ty.

Mary, wydostań od Lydii wykrój na kostium.

Jeżeli chcemy, żeby nasza zabawa odbyła się, nim księżyc będzie w nowiu, to musimy się  
śpieszyć.

I pośpieszyli się rzeczywiście, główną jednak trudnością do przezwyciężenia była  
kwestia, czym okryć grzeszne ciała.

Zaproszono na zabawę Roberta i Daisy Vaughan, Brenta z żoną, dwie panny Busby i ich brata,  
doktora Ramsey'a i Wilmotta.

Włączając do mieszkańców Jalny, miało być czternaścioro uczestników kąpieli w jeziorze.

Sprowadzono do Jalny szwaczkę, która z wielką szybkością choć z mniejszym oglądaniem się  
na właściwości poszczególnych figur wypracowywała kostiumy.

Było zresztą uderzające podobieństwo między nimi.

Kupiono bowiem sztukę granatowej flaneli i kilka sztuczek białej tasiemki dla  
obszyci adamskich kostiumów.

Panowie mieli ubrać swoje zwykłe, białe koszule, na dolne zaś części ich ciał sporządzono  
białe, po kolana

282

spodenki.

Krojenie tych ostatnich i zszywanie nogawek dały takniezwykłe rezultaty, że wybuchy histerycznegośmiechu rozlegały się po domu.

Mary śmiała się tak.

że łzy płynęły z jej oczu trzeba było trzeźwić ją wodą.

przez co cała robotana chwilę uległa przerwaniu.

W końcu zmuszono Szolta, jakonajmłodszego i najniewinniejszego z obecnych mężczyzn, by przymierzył pierwszywykończony kostium.

Oczywiście, koszula leżała na nim bez zarzutu, lecz spodnie, kończące się połowie łydki, robiły wrażenietak komiczne, że raz jeszcze musiano przerwać robotę z powoduniejających się pohamować wybuchów śmiechu.

Kwestia, czy spodnie należało przedłużyć, czy skrócić, czy obszyć je tasiemką, czy zostawić gładkie, była ważnym tematem, który poddano dyskusji.

Szczęście prawdziwe, że ani pani Vaughan, ani pani Lacey nie były przy tym obecne.

Kiedy Filip przymierzył kąpielowe spodnie w zaciszuswej sypialni, przekonał się, że nie jest w stanie usiąść w nich.

Adelino !

krzyknął.

Chodź tu zaraz!

Zjawiała się, bardzo zaciekawiona.

Możecie sobie urządzić beze mnie waszą zatraconą zabawę!

Nie mogę usiąść w tych spodniach!

Adelina obeszła go wkoło, oglądając krytycznym okiem spodnie.

Przecież nie potrzebujesz siadać w nich rzekła wreszcie.

Te spodnie są do pływania, nie do siadania.

Umiesz przecież

pływać?

Oczywiście, że umiem!

Ale czy ty myślisz, że będę bezustanku pływał, kiedy wy wszyscy będziecie siedzieć na brzegu, popijając wino?

Poza tym bardzo wątpię, czy będę mógł nawet pływać w nich.

Są niesłychanie ciasne i naprawdę niebiegają kroju!

Codo tego, masz rację!

przygnała Adelina .

Dam je Wilmottowi, a tobie zrobi się druga para.

On jest o wiele szczuplejszy w udach od ciebie.

Zaczęto więc szyc drugą parę, i to już resztki flaneli.

I chociaż z powodu niedostatku materiału były krótsze niż pierwsze, Filip nie podnosił przeciw nim zarzutu kontent, że teraz będzie mógł zarówno pływać, jak i siadać w swoich spodniach.

Upał panował niezwykle.

Poprzedniego lata gorąco nie miało nigdy tego nasilenia.

Ze zbliżaniem się pełni wzmógł się nawet jeszcze.

Zdawało im się, że już samo wyruszenie nad jezioro będzie

283.

wysiłkiem ponad ich możliwość.

Jednakże czwartejpo południucienie, jakie drzewa rzucały na drogę, uczyniły jazdę do jezioramniej uciążliwą.

Lecz liście na nich stały nieruchome, jakby wycięte z metalu.

Niebo zdawało się mieć twardość i oślepiającyblask drogiego kamienia.

Nowy szaraban Whiteoaków, zaprzężony w parę rączychkasztanów, którymi powoziłFilip,potoczył siędrogą dojazdową, potem przez bramę.

Filip był mistrzem w powożeniu.

Kasztany niosły pięknie.

Na siedzeniach, biegnących naprzeciw sobie wzdłuż pojazdu.

prócz towarzystwa z Jalny znalazło się również miejsce dla Roberta i Daisy Vaughan oraz dlaWilmolta.

Kosze z prowiantemipudła z kostiumami kąpielowymi ustawiono pod siedzeniami.

Podrodze spotkali Brenta z żoną, zdążających w świecącym nowością powoziku.

a dalej młodego Izaaka Busby'ego ijego dwiesiostry, w starym faetonie.

Izaak Busby, nie zważając na kanikule, wziął się.

by ścigać się swymi jasnokościstymi, na wpółdzikimikońmiz Filipem.

Temperatura wogóle nie miała żadnegoznaczenia dla członków rodziny Busby.

Izaak krzykiem i trzaskaniemzbata podniecał swe konie, lecz Filip trzymał swoje kasztany wkrótkim klusie.

Poculi świeży chłód jeziora, zanim jeszcze dojechali do niego.

Łagodnypowiew odrywał się od porysowanego leciutkimizmarszczkami zwierciadła wody.

A wokoło stał gęsty las.

jakbystraż trzymał nad tym małym, wewnętrznym morzem.

Gromadypliszek spacerowały, trzęsąc ogonkami, po piasku nadbrzeżnym.

Gdzieś zerwało się stado zimorodków i rzuciło ciemnoniebieskieplamy na sinoblękitną toń jeziora.

Kilkanaście kolibrów, oczerwonych gardziółkach, fruwało wokoło splątanego krzaka wonnego powoju, który rósł obok plaży.

Droga urywała się na wyboistej, wolnej przestrzeni.

Tam wyprężono konie i spętano je.

Ostatni przybyłdoktor Ramsey.

Przyjechał wierzchemna swoimsiwym wałachu.

Rzucając zawiniątko napiasek oświadczył, że nikt nie powinien się kąpać, póki porządnie nie ochłonie.

W takim razie nigdy nie będę się kąpała!

wykrzyknęłaMary.

Zdaje mi się, że już wżyciunie będzie mi chłodno!

Powinna pani bardzo uważać na siebie, pani Court odrzekł doktor.

Jest pani bardzo szczupła.

Kąpałam się dwa razy dziennie w Morzu Śródziemnymoświadczyła wyzywająco.

To byłoby bardzo nieostrożnie ze strony pani i przystąpił

284

do niej z minąbardzo urzędową.

Czy mogę zbadać puls pani?

Mary z miną rozbawionego dziecka położyła wątyły swój napięstek na ręce doktora.

Tak właśnie myślałem.

Ma pani puls przyspieszony.

Powinnapani unikać przemęczenia.

Proszę zbadać mój puls rzekła Adelina .  
Zdajemi się, że ustał zupełnie.

Nie przyda się to na nic, pani Whiteoak .  
jeśli powiem pani, by pani uważała na siebie odrzekł surowo.

Adelina wykrzywiła mu się komicznie mimo woli doktormusił uśmiechnąć się.  
Zaczerwienił się, zły na siebie, bowiem chciał surowością tonu wymazać z jej pamięci, że raz  
zapomniał się wobec niej i uległ miłosnemu popędowi.

Tam, gdzie kończył się piasek zatoki, rósł gąszcz pokrzywionych przez wiatr  
cedrowych drzew.

Pod jego osłoną Adelina , Mary, Daisy, Kate Brent i jej dwie siostry rozebrały się i  
nałożyły kostiumy kąpielowe, które, z wyjątkiem kostiumu Mary, były wszystkie identyczne:  
szerokie, flanelowe spódnice, sięgające do kolan i bluzy z rękawami do łokci.

Dół spódnic i marynarskie kołnierze u bluz były obszyte białą tasiemką.

Wszystkie pani miały na nogach długie, białe pończochy.

Mary nie pokazała nikomu swego kostiumu, zachowała go jako niespodziankę do  
ostatniej chwili.

Teraz, wyłoniła się z gęstwiny, raczej dumna z siebie, w błękitnym kostiumie,  
przepasany mognistoczerwoną szarfą i taką kokardą, którą związany był marynarski kołnierz.  
Na głowie miała małą, jedwabną, czerwona czapkę.

Wszystkie panie były zachwycone kostiumem Mary, chociaż nawidok niebywale krótkiej  
spódniczki zabrakło tchu Kate i jej dwóm siostrą, a Daisy aż pozieleniała z zazdrości.

Zastanawiam się, czy by nie podpiąć odrobinę mojej spódniczki rzekła chytrze do  
Adeliny .

Czy ma ktoś agrafkę?

Nie, nikt niema rzekła stanowczo Adelina .

I bez tego widać ci wystarczająco nogi.

Szkoda naprawdę, że pani Court wolno pokazywać nogi, cienkie jak wrzeciona a moje,  
które nie są ani zacienione, ani tak tęgie, jak nogi tych małych Busby, muszą pozostać zakryte!

Od panien żąda się skromności!

W każdym razie rozpuszczę przynajmniej włosy.

I poczęłam wyjmować szpilki, które przytrzymały loki; opadły zaraz bogatą falą na jej  
ramiona.

Po czym ujęła się pod boki i

285.



końcami palców potrafiła ująć spódnicę tak, że uniosła ją w górę.  
Kiedy razem z innymi paniami wyszła z gęstwiny, było jej widać tyleż nóg, co Mary.  
Panowie, zebrani już na brzegu, wpatrywali się z podziwem w grupę pań, tak piękny tworzyły obrazek.

Kostium Conwaya, jak i kostium jego żony wśród pań, różnił się od kostiumów panów.  
Miał na sobie trykot w czerwone i białe pasy, biegnące poziomo; kostium ten odkrywał oczom patrzących tyle białej i szczupłej jego postaci, że tylko dzięki młodości i podobieństwu do smukłego jelenka nie robił nieprzyzwoitego wrażenia.

Puścił się pędem na spotkanie Mary, która biegła ku niemu.

Skarbie mój!

zawołał.

Puśćmy się pierwsi w te słone odmęty!

Wcale nie są słone, ty głupcze!

rzekł Izaak Busby.

Więc będę w nie ronił łzy, póki nie napoję ich solą!

Wziąwszy się za ręce, w podskokach rzucili się do wody.

Mary krzyknęła, kiedy chłód objął jej ciało.

Lecz zaraz zaczęła wołać:

O, jakże zimna woda!

Jak rozkosznie chłodna!

Niemogła zrobić nic gorszego rzekł doktor Ramsey.

Podszedł statecznie na skraj wody i palcem nogi zmierzył jej temperaturę.

Zaopatrzył się sam w kostium kąpielowy, składający się z szarej, flanelowej koszuli i starej pary bryczesów.

Hop-la!

krzyknął Filip, chwytając Daisy za rękę.

Chodźmy dać nurka!

I, śmiejąc się, pobiegli śladem Mary i Conwaya.

Za chwilę już wszyscy rozkoszowali się miłym chłodem jeziora.

Było naprawdę cudownie.

Nero, który biegł od Janny za szarabanem i był ledwie żywy, kiedy przybył na miejsce, teraz dopiero zaczął spostrzegać, co się dzieje.

Wylazł spod wierzb, pod którymi leżał ciężko dysząc i zbliżył się do brzegu.

Spod czarnej strzechy brwi przypatrywał się bacznie gromadzie ludzi, najwidoczniej "tonących".

Ponieważ było to przeciwne jego zasadom pozwolić ludziom tonąć, zaszczekał najpierw głośno, żeby im dodać odwagi, jakby chciał krzyknąć: "Trzymajcie się!

Idę wam na ratunek!

"Iskoczył w wodę.

Nero nie hołdował zasadzie, że damom należy się pierwszeństwo; życie mężczyzny miało dla niego tę samą cenę, co życie kobiety.

Dlatego też, ponieważ doktor Ramsey znajdował się najbliżej niego, zaczął płynąć, ile mu sił starczyło, ku niemu, by go ratować.

286

Whiteoak, proszę zawołać swego psa!

krzyczał doktor, oganiając się wyciągniętym ramieniem od Nera.

Nero jednakże zrozumiał inaczej gest doktora; uważał go widocznie za błaganie o pomocy tym szybciej podpłynął do niego.

Potężnymi szczękami złapał za koszulę i począł ciągnąć go ku brzegowi.

Doktor Ramsey rozwścieczony, wyrzwał goz całych sił w łeb.  
Lecz łeb Nerabył tak dobrze chroniony gęstą i kręconą sierścią, że prawie nie poczuł tego.  
Zresztą, gdyby nawet ucierpiał od tego uderzenia, dałoby to ten sam wynik: Nero usiłowałby  
jeszcze zapamiętać ocalić życie doktora.

Nero!  
krzyczał Filip, hamując śmiech.  
Nero, do nogi!  
Nero!  
i zaczął płynąć nim.

Adoktor Ramsey nie przestawał okładać kułakiem głowy Nera.  
Lecz tymczasem pies przywłókł go do brzegu, zkoszując zupełnie wyciągnięte spodni.  
Co uczyniwszy wrócił do wody i zaczął płynąć Daisy.

Ratunku!  
krzyknęła.

Kapitanie Whiteoak, proszę mnie obronić przed tym psem!

Filip złapał psa za obrozę i przyciągnął go do brzegu.  
Tam znalazł tęgikawał kij i rzucił go jak najdalej mógł na wodę, każąc psu aportować.  
Wtedy Neronie obejrzał się nawet na kąpiących się ludzi, lecz skoncentrował całą swą  
skłonność ratowniczą na kiju.  
Za każdym razem, kiedy go rzucono, przynosił go bezpiecznie na brzeg, póki  
związany, zamachany do ostateczności, nie usunął się z kijem w cień nadbrzeżnych wierzb.

Nadjeziorem był teraz rozkoszny chłód.  
Na powierzchni zaczynały tworzyć się drobniutkie fale i stroić brzeg zatoki w wąskiobrzebek  
pian.

Kiedy kąpiący się wyszli z wody położyli się naciepłym piasku, mieli wrażenie, że coś  
nowego i dziwnego zrodziło się w ich wzajemnych stosunkach.

Tak jakby odrzucili skrzepowanie starymi konwenansami i leżeli teraz czując, jak odprężają  
się ich nerwy w dziecięcej bez trosce.

Brent wsparł głowę na ramieniu Kate, a ta bawiła się jego włosami, owijając ciasno ich  
kręcone kosmyki około palców.

Jeśli kiedy Kate miała przelotną słabość do Wilmotta, dawno zapomniała już o tym.

Była najzupełniej zadowolona ze swego męża.

Młody Vaughan próbował odciągnąć na bok Adeiinę.

Chciałbym, żebyśmy oboje tylko znajdowali się na tej plaży rzekł, sycząc oczy gibkimi  
jej kształtami.

287.

Musimy tu przyjechać któregoś dnia razem i wykapać się.

Naprawdę?

Przyjechałaby pani?

Ale pani nie mówi serio!

Widzę to po uśmiechu w oczach pani!

A cóż by w tym było złego?

Nic.

Ale ludzie sątacy wstrętni!

Wziął garść piasku wrękę i zaczął przesiewać go między palcami.

Czy pozwoli mi pani mówić do siebie Adelino ?

Chyba mam do tego to samo prawo, co ten jakiś Wilmott!

On jest moim starym przyjacielem.

Znam good wieków.

Poznała go pani przecież dopiero na okręcie!

O, to zdaje się już wieki temu.

Ale niech mi pan mówi po imieniu, jeśli pan chce.

Zaledwie słyszała, co Robert mówił.

Patrzyła na Filipa i Daisy.

Było coś nieuchwytnego w ich postawie, jakiś wyraz w oczach, co przykuło jej uwagę.

Daisy nagle wydała się jej inna.

Nie byłato już ta nieobliczalna dziewczyna, skłonna do pozy i wybryków, lecz kobieta, która wie, czego chce, pochłonięta nieokiełznaną namiętnością do mężczyzny.

Oczy jej pożerały Filipa.

Byłajak łowczyni, która przeszedłszy przez liczne doświadczenia łowieckie, naciąga mocno cięciwę, odkrywszy pożądaną zdobycz.

To, że Filip był żonaty, nie miało dla niej znaczenia.

Żadna była raczej przeżyć, niż ciągłości w świecie uczuć.

Adelina mogła dostrzec, że Filip jest świadom tego rozpętania czegoś dzikiego w Daisy.

Serce jej zawrzało gniewem, lecz zwróciła się z uśmiechem do Roberta:

Bardzo będzie mi miło, jak mnie pan będzie nazywał Adelina .

Dziękuję pani.

Adelino.

Oczywiście nazywałem tak panią tysiąc razy w myślach.

Właściwie, to ja nieustannie myślę o pani.

Jest pan bardzo miły, Robertcie powiedziała machinalnie.

Oczy jej bowiem zwróciły się znowu na Daisy i Filipa.

Obojesiedzieli bez ruchu, spoglądając na sinawy błękit jeziora, popstrzony różowymi plamami zachodu.

Jedna jedyna chmura wisiała nad nim, niby szkarłatna chorągiew.

Żar odbijał się na twarzach siedzących, tak że zdawały się płonąć od rozpętanej w nich burzy.

Znowu serce Adeliny zawrzało gniewem, lecz tym razem także gniewem na siebie samą, że była tak ślepa!

Była głupiana tyle, byśmiać się z Daisy, złością patrzeć na bezskuteczność jej pozy i trików!

Dziwnym sposobem w tej chwili Daisy wyglądała pięknie.

288

W tym samym momencie Kate, bez złej intencji, ubrała myślę w słowa:

Jak ta Daisy ładnie wygląda!

zawołała.

Wszyscy spojrzeli na Daisy, która z zagadkowym uśmiechem patrzyła dalej na jezioro.

Co za szczęśliwebydłę z ciebie, Filip odezwał się nagleConway.  
Ja to jestem zupełnie pod pantoflem mojej żony nie śmiem nawet spojrzeć na inną kobietę.  
Wy też musicie nauczyć się być wyrozumiali dla siebie, tak jak my jesteśmy z Adelina.  
O, proszę, nie wierzcie ani słowu temu, co Conway mówi!  
zawołała Mary.  
W rzeczywistości jest całkiem inaczej!  
Mary ma rację wmieszał się Szolto.  
Wczoraj nawet uderzył ją i ciągnął za włosy.  
Mogę zaświadczyć, bo byłem przy tym.  
Dostaniesz ty za to!  
zawołał, zrywając się Conway.  
Krzyżąc ztrwogi, Szolto zaczął uciekać wzdłuż brzegu zatoki, a Conway ścigał go.  
Pęd porywał w tył ich jasnorude włosy.  
Czy on zrobił coś złego?  
spytała zaniepokojona Kale.  
Nie zabije go odrzekła Adelina ale my już jesteśmy wszyscy tacy niepokonani w naszej rodzinie.  
Niemożna nigdy przewidzieć, co jesteśmy w stanie zrobić, kiedy nas coś wzburzy.  
Conway udaje tylko, że jest zły rzekła Mary.  
I ponieważ żywiła niepowstrzymaną ciekawość do wszystkiego, co Conway czynił, podniosła się i pobiegła za chłopcami, którzy tymczasem znikli już z oczu.  
Wszyscy troje wrócili dopiero, kiedy nakryto do podwieczorku imiano zasiąść do niego.  
Kostiumy kąpiących się wyschły zupełnie od ciepłego piasku i słońca.  
Wszystkim wrócił apetyt, który odebrał im w ostatnich dniach upał.  
Panny Busby i ich brat nazbierali drewna, które jezioro wyrzuciło, na ognisko.  
Za chwilę jasny jegopłomień wystrzelił z trzaskiem na brzegu zatoki.  
Było już po zachodzie słońca i aksamitny mrok nocy gnieździł się w cieniu.  
Zagotowano wodę w kociołku i zaparzone herbatę.  
Kuszące smakołyki, przygotowane przez panią Coveyduck.  
poustawiano na obrusie.  
Wszystko: tajemniczość oświetlenia, niekonwencjonalność ich strojów, doskonałe wino, dostarczone przez Filipa, ulga, jaką po denerwującym upałem przyniósł chłód wieczorny wszystko to złożyło się na

wesoły nastrój, pełen nieledwie ze galijskiej werwy.  
Przyczyniły się też do tego wspomnienia Conwaya i Mary z ich pobytu w południowej Francji, do których ciągle wracali.  
Francuskie słowa, którymi przeplatali swe opowiadania, dawały im pozór cudzoziemców a Szolto naśladował ich we wszystkim.  
Zdumiewającym było, jak zachowanie tych trojga, najmłodszych w tym gronie z wyjątkiem najmłodszej panny Busby, która prawie ust nie otwierała, tak była nieśmiała wpływało na zachowanie najstateczniejszych w towarzystwie.  
Nikt nie widział nigdy doktora Ramseya w takim wyśmienitym humorze.  
Opasawszy ramieniem pulchną postać Lydii Busby, wymachiwał kieliszkiem, recytując najgorętsze z miłosnych wierszy Roberta Burnsa.  
Wilmott najwidoczniej uraczył się nadto winem.  
Adelina wpadła w szalony humor.  
Zaśpiewała razem z Wilmottem "Śniłam, że mieszkam w marmurowych salach".  
Życie zdawało się wszystkim pełne uroczych i emocjonujących możliwości.  
Na towarzyszkę wyłonił się siężyc ze zwierciadła jeziora.  
Chodźmy się jeszcze kąpać!  
zawołał nagle Conway.  
I zerwał się.  
Stał teraz jasny i smukły na tle wody.  
W tych ciemnościach?  
zawołała Lydia Busby.  
O, zanic w świecie!  
Robiliśmy to często w południowej Francji rzekła Mary.  
To było cudowne!  
O całe niebo przyjemniejsza była ta nocna kąpiel od dziennej, bo nie dokuczał wtedy ten straszny blask.  
To jest wspaniały pomysł!  
zapalił się Izaak Busby.  
Japierwszy idę!  
puścił się pędem do jeziora i rzucił węć.  
Wspaniale jest krzyczał do nich z wody.  
Chodźcietu wszyscy!  
Całe towarzystwo rzuciło się ku nowej rozkoszy z dziecinnym zapamiętaniem.  
Adelina pozbyła się Roberta Vaughanai chwyciwszy za rękę Wilmotta, prowadził go po żłobionym w drobne fale piasku na dnie jeziora, aż woda sięgnęła im do piersi.  
Śmiejąc się patrzyła mu w oczy.  
Czy czuje się pan teraz lepiej, James?  
spytała.  
Czemu lepiej?  
Nic mi nie jest przeciw.  
Niech pan zanurkuje, James!  
Niech wodapanu zakryje głowę!  
Adelino, panimnie zupełnie nie rozumie!  
Kiedy czuję się najszczęśliwszy, wtedy pani myśli, że jestem podchmielony albo chory.  
Jednakowoż czuję pewne zamroczenie w głowie i może rze290  
czywiście zimna woda robi mi dobrze.  
I popatrzył jej pokornie w oczy.  
Czy dajemy nurka zaraz?

Tak.

Proszę najpierw nabrać głęboko powietrza w płuca i zatrzymać je.

I poszli pod wodę.

Na chwilę stali się mieszkańcami szumiącego, przedhistorycznego świata świata, w którym trzymając się za ręce, przeżywali przedziwne przygody.

A potem wynurzyli się znów na powierzchnię i ujrzeli na nowo księżyc i swoich towarzyszy.

Jestem niebotycznie szczęśliwy rzekł Wilmott.

Odkładam pewność, że Henrietta jest zadowolona z życia i nieszukamnie już, nie istnieje dla mnie troska na świecie.

Źle powiedziałem, że pani nie rozumie mnie.

Pani jest właśnie jedyną osobą, która mnie rozumie.

Powiedziałem pani, że piszę książkę.

Chciałbym przeczytać pani pierwsze jej rozdziały.

Potrzeba mi pani zdania o niej.

O, James!

Jak to cudownie!

Czy chce pan przynieść mi rękopis jutro rano?

Tak.

Spodziewam się, że powieść wyda się pani całkiem wzruszająca.

Czy zanurkujemy jeszcze?

Tak.

Chodźmy pod wodę!

I znów znikli, a potem wypłynęli na powierzchnię jeziora.

Śmiechy i głosy tamtych szły do nich stłumione, z oddali.

Lydia Busby wyglądała w kąpielowym kostiumie ładniej, niżby sobie ktoś mógł wyobrazić.

Krągłe linie jej ramion i szyi były czarujące.

Była jakaś kusząca słodycz w jej uśmiechu; nowa dla niej świadomość i poczucie własnego wdzięku.

Dotąd robiła raczej wrażenie wesołego trzpiota.

Ognisko przygasło.

Ktoś podszedł do niego i dorzucił drewno, tak że płomień strzelił jasno.

Nagle, jakby pchnięci tym samym pędem, wszyscy zebrali się wokół niego, przybierając przedziwne pozycje i gestykulując gwałtownie.

Doktor Ramsey znalazł pustą butelkę i wywijał ją, recytując Burns'a.

W tej właśnie chwili Elihu Busby wyłonił się z cienia wierzb i począł kroczyć ku nim przez piasek.

Nim jeszcze odezwał się, wszyscy odgadli, że poczucie "decorum" mocno było w nim obrażone.

Wymachiwał kikutem swej amputowanej ręki.

Nie spodziewałem się rzekł że dożyję dnia, w którym ujrzę moją dziewczynę, biorącą udział w takiej zabawie!

A doktor zaintonował w tej chwili:

291.

"Serce moje pozostało w górzystej Szkocji, Nie masz go tu.

Powinien się pan wstydzić, doktorze Ramsey!

Pan, który powinien dawać przykład innym!

Nie mam się czego wstydzić!

Zaproszono mnie na zabawę, więc przyszedłem.

Staram się być miłym i ożywionym w towarzystwie.

Jeżeli cudzoziemcom podoba się przyjeżdżać tu do nas i przywozić ze sobą zagraniczne zwyczaje ze Starego Świata, niemożemy przeszkodzić temu, ale możemy odmówić uczestniczenia w nich.

A co na to powie stary Bobby Burns?

odparł niefrasobliwie doktor Ramsey i znów zaczął recytować:

Towarzyski, przyjazny, miły człek Kimkolwiek by był, Wypełnia natury odwieczny plan Choć sto latby żył".

Elihu Busby odwrócił się od niego, przystąpił do swego najstarszego syna i rzekł:

Serce mnie boli, Izaak, na myśl, że pozwoliłeś siostrze brać udział w takiej rozpustnej zabawie!

Skakać po wybrzeżu, jak koniki polne pełnago i ociekając wodą!

Lydia i jej młodsza siostra zaczęły płakać.

A Izaak odrzekł:

Ojcie, nie widzieliśmy w tym nic złego; a ity.

i matka widzieliście przecież, że jedziemy na piknik.

Czy zachowywalibyście się w ten sposób w obecności mojej albo waszej matki?

Jeśli się o tym pikniku dowiedzą, będzie on zgorszeniem dla całej okolicy.

Byliśmy dotąd moralnym społeczeństwem.

Doktor Ramsey odrzucił butelkę i założywszy ręce na piersiach, znowu odpowiedział cytując Burnsa:

"O moralności!

Ty śmiertelny jądzie, Ilu już krociom zgotowałeś gubę!

". Elihu Busby udał, że nie słyszy go.

Zwrócił się teraz do córek:

Ubierajcie się, dziewczęta.

A co do ciebie, Kate, jesteś zamężną teraz i jeśli wołą twego męża jest, byś pozostała tu, niemożę zmusić cię do opuszczenia tego towarzystwa.

Ale gdybym wiedział, że takie są jego gusta, nieprędko byłbym przebaczył ci, żeś wyszła za niego.

Teraz Kate również zaczęła płakać.

292

Naprawdę, panie odezwał się Brent ze swoim rozbrajającym uśmiechem cała ta zabawa była najzupełniej niewinną rzeczą.

Żałuję, że nie był pan tu od samego początku, by przekonać się o tym.

Lecz jeśli siostry Kate mają opuścić to miejsce.

Katei ja opuścimy je też.

Chodź, Kate pobieraj swoje rzeczy.

Z płaczem pobiegły Katei jej dwie siostry pod osłonę cedrowych drzew.

Filip zaś przystąpił do Elihu Busby'ego i rzekł z godnością, lecz nieco zadzierzyście:

Czy mam rozumieć, że pan przybył tutaj, by krytykować mój sposób bawienia się i zabawiania moich gości?

Busby lubił Filipa i podziwiał go.

Łagodząc nieco swoją postawę, odrzekł:

Nie twierdzą, kapitanie Whiteoak, że coś haniebnego miało miejsce podczas tego pikniku.

Mówię tylko, że za dużo swobody jest rzeczą dobrą.

Z czasem może to doprowadzić do rzeczy gorszych.

Jeśli państwo tańczycie naokoło ogniska, pijąc wino jak poganie, co czynić będą wasi wnukowie, kiedy będą chcieli zabawić się?

Prawdopodobnie spiją się ginem i tańczyć będą nago.

Zwyczajem, tak jak moralność, nie stoją nigdy nieruchomo w miejscu albo podnoszą się, albo obniżają.

Tak jak państwa zresztą.

Chciałby pan więc odparć ze śmiechem Filip, aby wnukowie pańscy odprawiali pikniki w następujący sposób: panie umoczywszy w wodzie jeziora białe jak lilii kwiat paluszki swychnóg, zasiadają wokół z szydełkową robótką, podczas gdy najbardziej postępowy i najśmielszy z młodych ludzi, towarzysząc im, czytać będzie głośno poezję Longfellowa!

Doktor Ramsey usłyszawszy, o czym była mowa, zerwał się przybrawszy odpowiednio sztywną i kanciastą postawę począł recytować:

„ Bohaterów narodu dzieje  
Sądla nas wzniosłości przykładem.  
Na piasku wieków znaczyli  
Tę drogę, by kroczyć ich śladem”.

Wygłaszając ostatnie dwa wiersze, doktor Ramsey mocno wbił w mokry piasek bosą stopę. Po czym uniósł ją i z uwagą przyglądał się śladowi, jaki zostawiła.

Wyobraźcie sobie państwo radość wędrowca, który, licząc od dziś, za lat dziewięćdziesiąt trafi na ten ślad.

Od razu zabierzesię do uczynienia wzniosłym swego życia!

Tu zatarł nogą ślad na piasku.

Ech!

zawołał nie oddałbym jednego wiersza.



sza starego Bobby'ego za wszystko, co pan Longfellow napisał albo, co kiedykolwiek jeszcze napisze!

Elihu Busbywrócił się do Filipa i zapytał:

Czy doktor Ramsey jest pijany?

Ależ nie, nie!

Wcale nie!

Tak wymachiwał tą flaszką, jakby był pijany.

Chcecie państwo wiedzieć, co jest zemną?

To, że daję dziś odprężenie nerwom.

Ja za ciężko pracuję.

Powinno tu być trzech doktorów w tej okolicy, zamiast mnie jednego.

A czy może pan, Elihu Busby, powiedzieć, że kiedykolwiek zaniedbałem jakiegoś chorego?

Zaiste, nie mogę!

rzekł gorąco Busby.

Powiem więcej, nie jeden z nas nie żyłby już, gdyby nie poświęcenie pańskie.

Dziękuję panu rzekł doktor, napół tylko przejednany.

Trzy siostry wyszły z gąszczu cedrowego, zapięte na ostatni guzik, niosąc kąpielowe kostiumy w koszykach.

Kate odzyskała już humor i podeszła z pewnością zameżnej kobiety do męża.

Tenkiwnął do niej chytrze głową.

Lydia również uspokoiła się, lecz była czerwona i trzymała oczyszczone póki nie mijała doktora Ramseya.

Wtedy podniosła je i zamienili spojrzenia tak ciepłe, tak pełne czułości, że oboje poczuli się tym najpierw zdziwieni, a potem zachwyceni.

Najmłodsza siostra, Abigail, płakała jeszcze.

Ale bo też miała dopiero szesnaście lat!

Brat przyłączył się do nich i ojciec energicznym ruchem kazał im odmaszerować.

Zciemności, spod wierzb, doszedł krzyk Izaaka, którym przynaglał konie do ruszenia, potenturkot kół.

Pięć osób spośród uczestników zabawy opuściło ją.

Nero, który przed chwilą wyruszył na dalszy rekonesans wzdłuż brzegu, zauważył przyjscie Elihu Busby'ego, dopiero kiedy ten zabierał się już do odjazdu.

Aby wynagrodzić mu to zaniedbanie, towarzyszył jego faetonowi kawałek drogi, szcękając głośno i groźnie.

Po takim zademonstrowaniu swej czujności wrócił, brodząc po zatoce dla skrócenia drogi i poprosił Adelinę, by dała mu jeść.

Poszła z nim do koszyków z prowiantem i zaczęła nakładać kopiasty talerz.

Kto to był tendziad?

odezwał się Szolto swym ostrym, chłopięcym głosem.

Ośle jeden!

odrzekł mu brat.

Toż to był ojciec tych dziewcząt.

Trzeba nam było zanurzyć go w jeziorze.

Popsuł nam zabawę!

294

Zamknij buzię rzekł Filip albo ja ciebie zanurzę.

Zanurz mnie, Filip!

zawołała Mary.

Taką mamochotę jeszcze raz wykapać się.

Ledwie wyrzekłte słowa, kiedy Conway i Szolto porwali ją izanieśli do jeziora.  
Z jasnymi włosami, lśniącymi wświetleksiężyca,wyglądali jakdwa wodniki,  
porywające wodnicę i unoszące ją dopieczarynamorskim dnie.  
Takie właśnie porównanie przyszło na myśl Wilmottowi ipodzielił się nim z doktorem Ramseyem.

Odłączyli siębowiem od reszty towarzystwai doszukawszy się świeżo powinowactwa duchowego, puścili się spacerem po wybrzeżu zatoki.

Najbardziej uderzyła mnie uroda Lydii Busby.  
Prawdę powiedziawszy, jestem zakochany po uszy.  
I to wkim?

Wdziewczynie, którą znam od lat i na którą prawie nie zwracałem uwagi tyle tylko, że uderzał mniezawsze jej zdrowy wygląd.

Jest zdumiewające, co zbliżeniei nocksiężycowa może nagle odkryć człowiekowi!

Tak,tak potakiwałw roztargnieniu Wilmott, myśląc oczym innym i śledząc oczyma ruch podwójnego ich cienia na piasku wybrzeża.

Panna Lydia jest śliczną dziewczyną.

Podziwiam jej urodę bardziej, niż urodę pani Whiteoak ciągnąłdalej doktor Ramsey.

Oczywiście, pani Whiteoak maniesłychanie piękną twarz.

zamyślił sięna chwilę, potem odetchnąwszygłęboko, mówił dalej: ale to nie jest kobieta, z którąchciałbymsięożenić nawet, gdybym miał jakieś szansę na to.

i zaśmiał się.

Oczywiście, że nie.

Panu potrzeba kobiety całkiem innegorodzaju na towarzyszkę.

Wie pan, byłem zdumiony, słysząc, jakpan dzisiejszego wieczorurecytował poezje.

Nieodgadłbym nigdy,że pan ma literackie upodobania.

O, ja nie okazuję przy każdej sposobności, jaki jestem naprawdę zaśmiał się znowu doktor.

Jestem człowiekiempowściągliwym.

Ale czytam dużo, kiedy tylko znajdę czas na to.

Ma pan doskonałąpamięć.

Tojestszkodliwa rzecz pamięć!

Ja nigdy nic nie zapominam.

Jażaś przeciwnie.

I wielką przyjemnością dla mnie jest zapomnieć.

Lubię zbierać coraz tonowedoświadczenia.

A przy tym

spojrzał po cichym jeziorze i skończył miękko przy tym japiszęksiążkę.

;

295.

Doktor Ramsey zdawał się być bardzo przejęty tym wyznaniem.

Tego właśnie powinienem był spodziewać się po panu!

wykrzyknął.

Naprawdę?

zapytał z zadowoleniem Wilmott.

Tak.

I założyłbym się, że jest to dzieło beletrystyczne!

Zgadł pan.

I dobrze panu idzie?

Mam gotowych pięć pierwszych rozdziałów.

Czy może mi pan powiedzieć coś więcej o tym?

Wilmott puszczał dalej wodze zwierzeniom i kroczyli tak wolno przed siebie.

Rozkoszna świeżość wiała od jeziora.

Rosa padała na piasek zatoki.

Ptaszki whip-pool-will nawoływały się bezustannie w pobliskim lasku.

Gdzieś dalej puszczyk ozwał się przejmującym śmiechem.

Robert Vaughan czuł się zbędnym przy Filipie i Daisy, którzy rozmawiali przyciszonym głosem.

Był zły na Daisy i wstydził się jak to nazywał tych „

bezwstydných awansów”, które robiła Filipowi.

Na niego nie zwracała uwagi.

Miał ochotę kazać jej wracać do domu, lecz zamiast tego zerwał się i odszedł od nich.

Adelina zajęta była ciągle jeszcze karmieniem Nera.

Robert poczuł się samotny, nie pożądanym przez nikogo ani przez tych troje, baraszkujących tam na jeziorze, ani przez tych dwu, koczujących w przeciwnym kierunku, ani przez Filipa i Daisy, odosobnionych przy ognisku, ani przez Adelinę, karmiącą psa pod wierzbami.

Księżyc świecił dosyć jasno, by Adelina mogła dojrzeć, co jeszcze znajduje się w koszykach.

Nałożyła Nerowi kopiały talerz krawków z szynki i chleba, lecz zamiast postawić go przed psem, zaczęła karmić go z ręki.

Bardzo to odpowiadało Nerowi, bo właściwie był głodny, zjadłszy uprzednio dosyć; lecz z rąk Adeliny jedzenie smakowało lepiej.

Kochał ją głęboko, gorącą iskrytą miłością.

Zaledwie czuła, jak pyskiem dotykał jej ręki, biorąc kęsy.

Oczy jej utkwione były w Daisy z tak zimnym, twardym, prawie że martwym wyrazem, że ktoś patrzący z boku zdumiałby się, iż to te same oczy, promienne i zmienne, którymi zazwyczaj patrzyła na świat!

Filip siedział nieruchomo, objęty blaskiem ogniska, lecz na ustach jego błąkał się zagadkowy uśmiech.

Koszula, odpięta przyszyi, ukazywała białość jego piersi, a zawinięte rękawy odsłaniały

296

krągłe, lecz muskularne ramiona.

Daisy siedziała tuż przy nim, nieledwie oparta o niego.

Była widocznie przekonana, że Adelina poszła z doktorem i Wilmottem przejść się wzdłuż zatoki.

Ze swymi zmrużonymi, skośnymi oczyma, z krótko ściętą twarzą i zadartym nosem miała w sobie jakiś urok dzikiej, pierwotnej piękności.

Usta jej zochylały się ku Filipowi, jakby czekając na pocałunek.

Czy ta dziewczyna oszalała nagle, czy po prostu jest taka głupia?

myślała Adelina .

Przecieżnie jest wykluczone, że ktoś może zobaczyć ją.

I czemu ta bestia Filip nie odepchnie jej?

Na Boga, jeśli pocałują ją, zabiję go!

Nagle, jak gdyby nie mogąc już powstrzymać namiętności, Daisy rzuciła się całym ciałem w poprzek kolan Filipa i oplótłszy ramionami, przygięła jego głowę do swojej.

Adelina słyszała, że mówiła coś do niego, lecz nie mogła dosłyszeć słów.

Filip pochwycił Daisy i posadził ją prosto, lecz nie odejmował rąk od jej ramion.

Teraz on mówił do niej.

Ognisko oddzielało ich od jeziora, skąd słychać było coraz bliżej brzegu plusk i śmiech kąpiących się.

Daisy siedziała teraz nasłuchując, a gdy ukazali się, przywitała ich nienawistnym spojrzeniem.

Przybiegł do ogniska i Mary rzuciła się na ziemię obok niego, kuląc się.

O, jakże zrobiło się zimno!

zawołała.

Zimno?

zaśmiał się Conway.

Teraz dopiero jest rozkosznie chłodno.

A mnie jest zimno!

Szolto spojrzał w twarz Daisy.

Jak pani dziwnie wygląda, panno Daisy!

Czy pani jest zła o coś?

Zła?

powtórzyła niecierpliwie.

Nigdy w życiu nie byłam szczęśliwsza!

Jestem w siódmym niebie.

Proszę nie wpatrywać się tak we mnie!

O, jak mi zimno!

Jak zimno!

wołała Mary, wyciągając ręce nad ogniem.

Napój się lemoniady rzekł Conway.

Co pani mówiła mojemu szwagrowi, panno Daisy?

spytał Szolto, wpatrując się ciągle w nią.

Wstrętny chłopiec z pana!

zawołała i uderzyła go.

Doktor Ramsey i Wilmott wrócili z przechadzki.

Każdy z nich czuł się dobrze w towarzystwie drugiego, lecz kiedy doktor ujrzał Mary drżącą z zimna przy ognisku, zmarszczył się gniewnie.

297.

Przestrzegałem panią, pani Court rzekł poważnie mimo to po raz trzeci kapąła się pani.  
Zdaje mi się, że tym razem naprawdę przeziębła się pani.

I wzięła jej rękę badając puls.

Mary była bliska omdlenia.

Ale!

Nie mogła przeziębic się!

zawołał Conway.

Chcetylko, aby zajmować się nią.

Proszę patrzeć na ten długi splot mokrych włosów najejplecachi doktor ujął włosy,  
jakby to była wiązka sitowia.

Conway przyniósł płaszcz i rzucił go od niechcenia na ramiona żony.

Gdzie Adelina ?

zapytał.

A Adelina właśnie wychodziła spod wierzby; za nią szedł Nero.

Była spokojna, lecz oczy miała świecące.

Idąc ku nim uśmiechała się, błyskając białymi zębami.

Gdzieżeś była?

spytał podejrziwie Filip.

Tam, pod wierzbami.

Dawałam jeść Nerowi.

Ach!

Cóż to był zadzień!

Jak do brzebawiliśmy się!

Prawda, moi państwo!

Aleksiężyc już zaczyna zachodzić.

Zdaje mi się, że czas nam pozbierać rzeczy i jechać do domu, jeśli nie chcemy zabłądzić po nocy.

Wszyscy byli tego samego zdania i z pośpiechem, choć uczuciem żalu, każdy zaczął zbierać swoje rzeczy.

Rozrzucano ognisko; z jego zgaszeniem zabawa nad jeziorem skończyła się.

Mielniemało trudu z połapaniem koni, które pozrywały pęta i poszły się paść na pobliskie pola.

Nagle z ciemności wyłonił się Titisz.

Przyprowadził konia swego panai czekał.

Wilmott bowiem kupił niedawno konia, z którego był bardzo dumny, lecz nie bardzo był pewny jego wartości.

Co pan myśli o mojej kobyle?

zapytał doktora.

Doktor Ramsey wyteżył wzrok, by przypatrzeć się ciemnej masie konia przedsobą.

Nagle wybuchnął śmiechem.

Cóż za grzbiet!

zawołał.

Nie ma obawy, żeby pan wypadł z tego kabłąka!

Tenko doskonale odpowiada memu celowi odparł Wilmott sztywno.

O, to pewne!

Znam tę szkapę od lat.

Można bezpiecznie aufać jej.

Dobrze pan zrobił kupując ją.

Lecz Wilmott czuł się dotknięty.

Wspiął się na siodło.

Miałurazę do doktora o spostonowaniejego wierzchówki.

Wyobrażałsobie dotąd, że doskonale na niej wygląda.

Dobranoc!

zawołał, zwracając się do całego towarzyszy<sup>298</sup>

stwa i nieczekając na nikogo, odjechał.

Titisz biegł obokkonia

po miękkiej, piaszczystej drodze.

Po co przyprowadziłeś konia, Titisz rzekł Wilmott.

Mogłem doskonale pojechać z całym towarzystwem do Jalny istamtąd wrócić piechotą do domu.

Miałęmtaką ochotę przyjść, panie odparł Titisz.

Takchciałem zobaczyć, jakwygląda taka zabawa na wodzie.

I co myślisz o tym, Titisz.

No, jakby to powiedzieć?

Ja się myję, żeby być czysty, alekiedy widzę, jakludzie myją się raz i drugi, i trzeci, raz po raz to mnie to dziwi.

I dziwi mnie też, kiedy biali ludzie tańczą wojenny taniec wokół ogniska, jak robili to Indianie w dawnych czasach.

Miałem ochotę wydać wojenny krzyk moich przodków.

Szczęście dla ciebie, żeś powstrzymał się od tego, Titisz.

Panie ciągnął dalejMetys zdziwiło mnie też, kiedywidziałem, jakpanie rozbierały siępoddzwami.

Boże drogi!

wykrzyknął Wilmott.

Toś ty wcześniejprzyszedł przypatrzeć się zabawie!

Uśmiełem się mówiąc dalej wesoło Titisz kiedy zobaczyłem, jak jedna z nich ta, którą moja babka nazywa ładacznicą położyła się jak długa na kolanach kapitana Whiteoaka i przyciągnęła jego głowę do swojej, na dół.

Szkoda, że pana niebyło, żeby tozobaczyć!

Wiesz ty co, Titisz?

Jeżeli ty źle nie skończysz, to będzie cud z nieba!

Zapamiętaj sobie: nie masz pisać o tym słowa nikomu ani nawet twojej babce!

Dobrze, panie.

Choć żal mi, że nie będę mógł opowiedzieć jej tego.

Tak by się uśmieła!

## XX. Galop wśród lasu

Mary była blada imiała usta zsiniałe, kiedy dojechali do Jalny .  
Adelina kazała się natychmiast położyć, sama zaś zeszła do kuchni, by przygotować coś gorącego dopicia.  
Bracia poszli za nią.  
Obaj chłopcy mieli w sobie trochę małą ciekawość.  
Z zapalonymi świecami latali po suterrenach, zaglądając do każdej szafy każdego kąta.  
Doszli do końca wyłożonego cegłą korytarza, minęli pokój państwa Coveyduck i pokój Lizzie.  
Wiedzieli, że za tymi pokojami była piwnica na wino.  
Filip zaopatrzył ją dobrze.  
Pysznił się, że zna się na winie i jego zaletach.  
Kiedy chciał uraczyć przyjaciół, mógł podać im rzeczywiście, co było najlepszego.  
Adelina usłyszała, że chłopcy szepczą coś pod drzwiami do piwnicy z winem.  
Nikły ogienek tlił się na kominie; przystawiła na nim mleko do grzania.  
Potem, na palcach, podeszła do sklepionego wejścia do korytarza i zaczęła nasłuchiwać.  
Szolto mówił:  
Widziałem narzędzia w spiżarni.  
Gdybym miał śrubokręt, wyjąłbym z łatwością kłódkę.  
Poczekaj, aż pozasypiają.  
Wtedy zejdziemy i zbadamy, cóż Filip ma w tej piwnicy.  
A gałgany!  
Wina wam się zachciewa!  
zawołała Adelina .  
Wychodźcie stamtąd!  
Jeżeli będę musiała poskarżyć się nawas Filipowi, to pożałujecie!  
Przyszli, z zuchowatymi minami, trzymając świece w ręku.  
Twarze ich wyglądały niesamowicie pięknie w mrocznym korytarzu, oświetlone chwiejnym płomieniem świec.  
Kiedy przechodzili obok pokoju państwa Coveyduck.  
Conway uderzył w drzwi lichtarzem.  
Z wewnątrz dało się słyszeć siekniecie.  
Wstawajcie!  
-- krzyknął.  
Dom się pali!  
Jak śmiesz!  
krzyknęła Adelina .  
Co za psotnik z ciebie.  
Tonic, panie Coveyduck.  
Proszę spać dalej.  
To ja, zeszłam tu, by zagrzać mleka.  
Mleko kipi zauważył Szolto.  
300  
To je odstaw głupcze!  
sarknęła siostra.  
A pan Coveyduck przewrócił się na drugi bok i zasnął na nowo.  
Adelina włożyła szczyptę cynamonu do mleka i poniosła je odwa piętra wyżej; chłopcy szli za nią.  
Mary z wdzięcznością wypila mleko.  
Często brakowało jej pieczywa i opieki matki.

Terazopasała chudymi ramionami szyję Adeliny i ucałowała ją.

Dobranoc rzekła Adelina , całując ją również.

Śpijdobrze.

Cudowna była ta zabawa nad jeziorem!

O, tak cudowna.

Kiedy urządzimy następną?

Kiedy pozbędę się z ust niesmaku po tej odparła Adelina ,Odwróciła się szybko, wyszła spiesznie z pokoju i zbiegła schodami na dół.

Postawiła lichtarz na toalecie i popatrzyła w stronę łóżka.

Filipa nie było w nim.

Pojechał odstawić szaraban dostajni i pewnie zabawiał się tam, rozmawiając z parobkami.

Nie dowierzała swej sile panowania nad sobą, gdyby jej przyszło zamienić słowo z Filipem tego wieczoru.

Spiesznie rozebrała się nałożyła długą, bogato haftowaną, nocną koszulę.

Bujne włosy były jeszcze wilgotne, rozpostarła je więc jak najdalej na poduszce.

Zostawiła palącą świecę dla Filipa; oświetlała słabo pokój, w dziwny sposób wydobywając bogatsze niż dzienne światło koloryz pościeli i kotar łóżka.

Bony, na swoim pięcie, żarzył się w tym świetle jak kwiat okarminowych i zielonych płatkach.

Adelina starała się nadać swoim rysom spokojny wyraz, wpatrując się w płomień świecy. Serce tłukło się jej ciężko w piersi, jak u dzikiej, pierwotnej kobiety z wściekłości na Daisy Vaughan.

Świeca dogasała, kiedy Filip przyszedł.

Spod zsuniętych rzesz widziała, że rzucił okiem na świecę, jakby zastanawiając się, czy starczy mu światła do rozebrania się.

Wszedłszy, zostawił drzwi wejściowe szeroko otwarte dla chłodu.

Ożywcza świeżość nocna nappełniła hali i napłynęła do ich pokoju, gdzie napotkała powiew ciągnący z otwartego okna.

Filip również rozebrał się spiesznie i położył obok niej.

Nim zgasił świecę, obrzucił Adelinę baczny spojrzeniem nie dowierzał, że śpi.

Położył rękę na jej boku i wtulił głowę w poduszkę.

Jakby tknięta, prądem elektrycznym, Adelina skoczyła i odsunęła się od niego.

Nie tykaj mnie!

krzyknęła.

301.



Co się stało?  
zapytał.

Przewróciła się na drugi bok, a za nią popłynęła długa smugawilgotnych włosów.  
Dobrze rzekł jeśli podoba ci się być taką.  
nieskończył i odwrócił się do niej tyłem.

Jaką?

Narwaną dokończył.

I znów wtulił głowę w poduszkę, oddychając szeroko i swobodnie, jakby zadowolony z takiego obrotu rzeczy.

Czy rzeczywiście czuł się tak spokojny w sumieniu, jak okazywał?

Nie!

Po tysiąc razy nie!

Miała szaloną ochotę odwrócić się i spojrzeć mu w twarz, chwycić go za ramiona i wyrzucić z siebie wszystko, co ją trzymało w jej myślach.

Ach, szczęście jego, że odepchnął Daisy odsiebie!

I szczęściem też było, że miał żonę, kobietę z charakterem.

Toteż nie Filip, lecz Daisy napełniała serce jej wściekłością.

Dziewczyna ta nie miała żadnych skrupułów byłą zepsuta.

Nie było rzeczy, które jej nie zrobiłaby, żeby odebrać męża drugiej kobiecie, jeżeli zapragnęła go mieć.

Pożądanie, malujące się natwarzy Daisy, kiedy przyciągała twarz Filipa ku swojej, napełniło Adelinę zimną trwogą przed kusicielką.

Jakże mógł mężczyzna być odpowiedzialny za swoje czyny, jeśli kręciła się koło niego taka kobieta?

Ostatecznie był tylko istotą z ciała i krwi.

Jednakowoż, kiedy tak leżała bezsennie, a godzina płynęła zagodziną, nie tyle obawa przed tym, co Daisy może uczynić, zaprzętała jej umysł, ile kwestia, jaką karę wymierzyć jej za to, co już uczyniła.

Stary, pradziadowy zegar w hallu wybił pierwszą, drugą i trzecią, a Adelina jeszcze nie spała. Musiała pogodzić się z tym, że spędzi tenoc bezsennie.

Przyszło wreszcie pewne odprężenie wciągnęła głęboko w nozdrza łagodne powietrze nocne.

Jakto dobrze, że doktor Ramsey nie uważa powietrza nocnego w lecie za szkodliwe!

Jednakże wątpliwym było, czy zgodziłby się na taką ilość, jak ta, która przepływała przez pokój.

Dom zdawał się dziwnie żywy.

Stał wśród cichego, zasłuchanego w siebie piękna tej nocy; potężną masą swoją opierał się ciemności, jakby czuł w każdym ze swych kamieni żądło pierwszej gryzoty, jaką przyszło mu gościć w swych murach.

Tacy byli dotąd szczęśliwi tutaj!

Nawet ich miłosne uściski pod tym dachem miały w sobie coś z godności dumy, jakimi przeniknięty był dziewiczy grunt, na którym dom stanął.

Dnie nie były dość długie, by pomieścić ich spokojne szczęście.

"Pomyśl, ten dzień, w

302

którym zobaczymy, jak kosztą nasze własne zboże!

" mówili sobie.

„Jakie to my święta Bożego Narodzenia wyprawimy tutaj" układali sobie.

"Dom obwiesimy sosnowymi i jodłowymi gałęziami".

"Jak doczekamy się wiosny w Jannie .

" snuli plany.

Adelina miała uczucie, jakby katastrofa uderzyła w dom. Widziała go teraz starym, rozpadającym się w ruinę, chylącym doupadku pod ciężarem zgrzyot, które obsiadły go i wreszcie, jak zapada się, a dzikie wino, obrastające jego ściany, zamyka nad nim splątane pędy, tworząc zieloną mogiłę.

Otworzyła oczy, by przekonać się, czy dom stoi jeszcze cały i zdrowy i zobaczyła bielejącą plamę w miejscu, gdzie było okno.

Ranek się zbliżał.

Nie można zapomnieć podlać te młode pnącza, których szczepiła jej pani Vaughan. Zasadziła je koło ganku i rozwijały się doskonale, póki nie przyszły te upalne, suche dni. Nagle wyciągnęła rękę w stronę Filipa i dotknęła jego pleców między łopatkami. Filip oddychał głęboko.

Ogarnęła ją nagle senność.

Kiedy obudziła się, było już po dziewiątej.

Pani Covey duck stała przy niej z ranną herbatą na tacy.

Odnosiła się już teraz z macierzyńską troskliwością do Adeliny.

O, Boże mój!

zawołała.

Jakże można, proszę pani, obchodzić się w ten sposób z tymi pięknymi włosami!

Takie splątane, jakby je pani wlokła przez cierniste płoty!

Proszę pozwolić, a wyszczotkuje je porządnie.

Ale najpierw proszę wypić tę gorącą herbatę i powiedzieć mi, co mam podać na pierwsze śniadanie.

Jaja na wędzonce rzekła spiesźnie Adelina.

Czy ranek jest piękny?

Mam ochotę przejechać się konno.

Aj, o piękniejszy dzień trudno, jak lato długie!

Ale czy nie lepiej wypocząć po wczorajszej zabawie do późna nad jeziorem?

Nie!

Nie!

Wcale nie jestem zmęczona.

Usiadła na łóżku, podczas gdy pani Covey duck ustawiała przed nią tacę z czajnikiem i dwoma cienkimi kromkami chleba z masłem.

Mąż powiedział mi, że wczoraj, kiedy państwo wrócili do domu, schodziła pani do kuchni, żeby zagrzać mleko.

Trzeba było zawołać mnie i kazać podać je.

Źle zrobił mój stary, że pozwolił mi leżeć jak kłódzie i spać, podczas gdy pani musiała sama się obsługiwać.

Ale on już jest taki: innego rozgarnienia w głowie niema, tylko jak sadzić i pielęgnować rośliny.

Zakazałam mu budzić panią.

303.

Aj, aj!

5q rozkazy, których się słucha, a są inne, którychlepiej nie posłuchać.

Proszę wypić zaraz herbatę, a ja damśniadanie papudze.

Napełniła naczynko Boneya specjalnym ziarnem dla papug,którego flakon stał na kominku.

Boney przyglądał się czynności z zainteresowaniem, a kiedy skończyła,pofrunąłna szczyt klatki,zlazł po jej prętach z wielkim pośpiechem i wszedł do wnętrza.

Natychmiast zagłębiłczarny dziób w naczynku z ziarnem.

Potemprzez cały czas.

kiedy paniCoveyduck szcztokowałałosy Adeliny , rozmawiał ze swą panią, nadającgłosowigruchające tony.

Dilkoosha dilkoosha mera lal!

mówił, wykręcającsięna swoim pręcie.

Co on mówi.

proszę pani?

pytała pani Coveyduck.

Nazywa mnie Perłą Haremu.

Coś podobnego!

To mądry ptak nikt nie powieinaczej.

Pani Coveyduck, chciałabym, żeby pani powiedziała Patsy emuO'Flynn, byposzedł do Vaughanlands.

Niech powie, żeprzesyłam ukłony pannie Vaughan i pytam,czy nie zechciałabymnie ikapitanowi Whiteoakowi zrobić zaszczytu i przejechać sięz nami konno, dziś rano.

Zarazgo pošlę, proszę pani.

Adelina zesłała na śniadanie w amazonce i w kapeluszu.

Śniadała sama, bo Filip odwczesnego rana bywał już teraz zajęty wpolu; reszta domowników spała jeszcze.

Z jadalnego pokoju mogła słyszeć, jak Gussie iMikołaj paplali, bawiąc się podsrebrnymibrzozami.

Słyszała też, jak Ernestpłakał iz głosu jego odczuła, że był głodny.

Dzięki Bogu.

że niekarmiłasamatego dziecka!

Mleko kózki Maggie dopomagało w wykarmieniu jeszcze jednejlatorośli rodziny Whiteoaków.

Słyszała, jak niańka schodziładosuteren poflaszeczkę Ernesta.

Prawie równocześnie zpowrotem Patsy'ego,który przynosiłwiadomość, że panna Vaughan z przyjemnością przejedzie siękonno zkapitanem Whiteoakiem i panią Whiteoak , ukazała sięDaisy.

Naprawdę myślała Adelina tadziewczyna jest bezwstydna!

Obrzuciła ją spojrzeniemznawcy, kiedy siedziała przed bramą wierzchowceRoberta,ślicznej, młodejklaczce.

zwanej Prixe.

Daisy była bardzo starannie ubrana.

Włosy jej, związane na karku, zwisaływ trzech długichłokach, sięgających siodła.

Ach, a te małe loczki ponad uszami!

Adelina z rozkoszą byłaby je wydarła!

304

I te buty,o cholewach zdobnych kutasikami i te rękawiczki zeszytłpami!

Och, gdybyż ją zabićmogła!

Zamiast tego jednak powiedziała weselo: "Dzieńdobry" i z pomocą Patsy'ego wsiadła na swego konia.

Był to jasny kasztan, o przepięknej budowie i doskonały w ruchu.

Podarował go jej Filip na urodziny.

Jak pani ślicznie wygląda, droga pani Whiteoak!  
zawołała Daisy.

Nie widziałam nigdy pani wyglądającej lepiej.

Jakżeż zdroszcę pani umiejętności, z jaką pani trzyma się na koniu!

Czuję się całkiem zawstydzona przy pani.

Ach, a oto te cudne pieszczotki!

i zaczęła posyłać dzieciom całusy.

Dzień dobry Mikołaju!

Dzieńdobry Gussie!

Jakież cudne mają oczy!

A gdzież to kapitan Whiteoak?

Jest przy budowie kościoła.

Może przyłączy się tam donas.

Ale mam nadzieję, że nie będzie pani bardzo rozczarowana, jeżeli przejedziemy się bez niego.

Wcale nie!

Nic nie cieszy mnie bardziej, jak konna przejażdżka z panią.

Gdzieś daleko musiała być burza w nocy.

Orzeźwiła powietrze i miła świeżość panowała w lesie.

Drwale pracowali w nim ciągle jeszcze, oczyszczając teren z pniaków i niwelując grunt; cieśle zaś wykańczali ostatnie roboty przy domu i stodole.

Ale już siedzą przybrała charakter skończonej całości.

Zdumiewające było, ile Coveyduck zdołał dokonać, jeśli chodziło o trawniki i kwiatowy ogród.

Nie było dnia, żeby nie piał pochwalnych hymnów na cześć rozrodzanej potęgi, jaką ma w sobie dziewicza gleba.

Oba konie szły klusem obok siebie.

Panie minęły stado bydła, następnie świni i kaczki na podwórzu folwarcznym.

Jechały teraz polną drogą, która przecinała całość Whiteoaków, aż do gościńca, przy którym budowano kościół.

Filip oddał tę drogę do publicznego użytku i liczne wozy przejeżdżały nią, lecz ciągle jeszcze była pełna wyboi i las ścisnął jąz bliska.

Teraz ukazały im się masywne mury kościoła, wznoszące się na pagórku, zdobnym kępą drzew u szczytu.

Głośny huk młotów napęlał powietrze.

Zdawało się, jakby leśne ptactwo lubiło bicia młotów, bo śpiewało, jak mogło najgłośniej przy ich wtórze.

Dalej rzeka obejmowała zakrętem cmentarz, gdzie jeszcze nie było ani jednego grobu.

Ujrzały pastora Pinka, w kamizelce tylko i spodniach, jak pracował z robotnikami pospołu.

Lecz nigdzie nie było śladu Filipa.

Daisy, mimo wszystko, nie była w stanie dość zręczna.

ma J:ilin

305.

nie ukryć swego rozczarowania, kiedy się okazało, że nie można było znaleźć go nigdzie. Spojrzała podejrzliwie na Adelinę .

Czy pani jest pewna zapytała że obiecał pojechać z nami?

No, zdajemy się, że tak powiedział odrzekła Adelina i zaśmiała się.

Ale czy nam niedobrze bez niego?

Puśćmy konie.

I konie ruszyły galopem, bijąc podkowiemi w piaszczystą drogę.

Drzewa nieledwie dotykały gałęziami głów amazonek.

Poranne słońce sączyło złoto poprzez ich zieleni.

Kiedy ściągnęły uzdą konie, bicie młotów było już daleko za nimi.

Twarz Daisy była purpurowa.

Proszę, nie jedźmy już więcej galopem rzekła.

Teren jest wyboisty.

To mnie denerwuje.

Dobrze odparła uprzejmie Adelina nie będziemy galopowały już teraz.

Jedziemy przecież tylko na spacer.

Może wjedziemy w tę boczną dróżkę.

Nie jechałam nigdy jeszcze.

Skręciły na ścieżkę.

Była ona za wąska, by dwa konie mogły iść obok siebie.

Adelina jechała pierwsza; gniew wrzał w jej piersi.

Wreszcie, na zarośniętej trawie polance, ściągnęła cugle wierzchowca i zawróciła nim tak, że stanęła twarzą w twarz z Daisy.

Teraz rzekła odpowiesz mi za to, że chciałaś uwieścić mi męża, wczoraj wieczór!

Na chwilę Daisy kamieniała.

Nie byław stanie objąć myślasłów, które usłyszała.

Wreszcie pojęła znaczenie ich i rozumiała też wyraz twarzy Adeliny .

Szarpnęła koniem i zawróciła go, jakby chciała puścić się z powrotem ścieżką, którą przyjechały.

Stop!

krzyknęła Adelina i z całej siły uderzyła ją szpicrutą w plecy.

Daisy zawróciła klacz z powrotem i stanęła frontem doprzeciwniczki.

Ty diablico!

krzyknęła.

Jeśli jestem diablicą, to ty rozbudziłaś diablicę we mnie.

Każdy mężczyzna z mojej rodziny obibły szpicrutą drugiego mężczyznę, który by w tak wyuzdany sposób dobierał się do jego żony.

A tyco robiłaś wczoraj?

Okrecałaś się owijałaś nieledwie o ciało mego Filipa!

Rzuciłaś mu się na kolana wczoraj nad jeziorem.

Cóż ty myślisz kimże ja jestem?

Ślepą?

Czy bezdusznym, głupim stworzeniem?

Wiedz, że widziałam cię.

Nie spuszczałam zoka!

Masz!

Masz!

ty!

skończyła krzykiem, zamierzając się szpicrutą na nią.

Jeśli Adelina spodziewała się, że Daisy uciekniew popłochu, to myliła się. Daisy była rzeczywiście przerażona, lecz także wściekła. Było coś zwięza w gibkim jej ciele, skulonym na siodle wkrótkiej, kosookiej twarzy, z tymi wargami ściągniętymi w grymas, który ukazywał zęby. Skuliwszy się, by uniknąć uderzenia Adeliny, podniosła ona szpicrutę, groźącą przeciwnicze.

Nie waż się uderzyć mnie jeszcze!  
krzyknęła.

Oćwiczę cię, jak nato zasługujesz zawołała Adelina.  
Lecz koń zaczął się narowić pod nią.  
Żułwędziło inie chciałustać na miejscu.  
Nie mogła dosięgnąć Daisy.

Cóży wiesz o miłości!  
krzyknęła Daisy.

Ty, zapatrzona tylko w siebie!  
Za pyszna jesteś, żeby kochać Filipa, jak nato zasługuje.  
Wemnie nie ma dumy i zawsze od początku pragnęłam go!  
I będęgo miała!  
Filip kocha mnie.

To, co widziałaś wczoraj wieczór, to nie była nawet połowa tego, co naprawdę jest między nami!

Jesteśmy kochankami!  
żebyś wiedziała!

Kłamiesz!  
Kłamiesz!

Nie ma słowa prawdy w tym, co mówisz!  
Ale teraz nauczę ja cię!

I najechała z całym impetem na nią i raz po raz smagała szpicrutą. Za każdym uderzeniem Daisy wydawała krzyk wściekłości, bo w uniesieniu nie czuła prawie bólu.

Starła się dosięgnąć Adelinę swoją szpicrutą, lecz uderzyła tylko jej konia.  
Ten, trafiony znienacka, stanął dęba.

Klacz Daisy, jakby nie chcąc zostać w tyle, wspięła się również na zadnie nogi. Przechwilę obiewalczące kobiety stały naprzeciw siebie nieruchome, jak dwaj jeźdźcy ze spizu.

A las był zielony i gęsty wokoło i lśniący lazurnieba rozpinał nad nimi swoją kopułę. Szkoda naprawdę, że nie był świadkiem tej sceny; szkoda, że żaden z czworga czynnych w niej aktorów nie był w stanie zdać sobie sprawy z jej piękna.

Wtem koń Adeliny zaczął opuszczać zadartekopyta. Stanąwszy nimi na ziemi, zawrócił nagle na miejscu i w gwałtownym galopie uniósł ją w kierunku, skąd przyjechała; klacz zaś Daisy, jakby wykonując z góry umówiony manewr, rzuciła się jak strzała w ścieżkę, prowadzącą dalej w gęsty las. Odległość między dwoma przeciwniczkami rosłaż każdą minutą.

Adelina pozwoliła galopować koniowi.  
Pochylona na jego szyi, głąskała go i przemawiała doń pieszczotliwie, by gouspokoić:

To nie jauderzyłam cię, Prince.  
Tonie ja, mój stary!  
To tapodła Daisy.  
Obojgu nam mówiły od początku serca, że to jest

307.

zła dziewczyna.

Ale oćwiczyłam ją!

O, Boże!

Nie żałowałam jej!

I z płonącymi policzkami, z pałającymi oczyma gnała w szalonym galopie ku domowi.

Było już samopołudnie i upał zrobił się skwarny.

Poszła doswego pokoju i przebrała się w lekką, luźną suknię.

Po czym wjadalnym pokoju zaczęła krzątać się, ustawiając w szeregu wykwiłtne, kryształowe kieliszki we francuskiej serwantce.

Jadalniabyła już wytapetowana; podłogę zaścielały dywany; długie, złocisto-żółte portiery, przewiązane grubymi sznurami o ciężkich kutasikach, zwisały z ozdobnie rzeźbionych karniszy.

Oba portrety, jeji Filipa, wisiały obok siebie nad zastawionym srebrnymi naczyniami kredensem.

Piękny jest ten pokój pomyślała.

Nie powstydzę się przyjmować tu gości!

Krzątała się tak, nucąc półgłosem jakąś piosenkę.

Lecz we wszystkim tym brała udział jakby tylko połowa Adeliny ; drugą połowę trzymała zamkniętą na mocny spust.

Państwo Lacey przyjechali na obiad.

Kiedy zabierali się doodjazdu, a cień młodej brzozy zaczął wydłużać się na zielonym trawniku, Robert Vaughan pojawił się konno w bramie.

Był blady i zmieszany.

Co się stało?

zapytał, jakby wszyscy wiedzieli już, że zdarzyło się coś niezwykłego.

Stało się?

zdziwił się Filip.

Co pan przezto chce powiedzieć?

Czy pani Whiteoak jest cała i zdrowa?

Oczywiście!

Bo z moją kuzynką najprawdopodobniej jest inaczej.

Prix wróciła do domu bez niej.

Filip zdumiony zwrócił się do Adeliny :

Jeździłaś dziś konno z Daisyczy tak?

Tak.

Przemówiłyśmy się.

Doszło do sprzeczki.

i rozstałyśmy się.

Wróciłam do domu sama.

Och!

zawołała pani Lacey.

Biedna dziewczyna!

Musiała mieć jakiś wypadek!

Boże, mój Boże!

Musimy natychmiast zorganizować poszukiwanie rzekł kapitan Lacey.

I zwrócił się prawie że z wyrzutem do Adeliny : W którym miejscu rozstały się panie i kiedy widziała pani pannę Vaughan po raz ostatni?

Nie wiem dobrze odrzekła Adelina , marszcząc brwito byłoby bardzo daleko.

Jechałyśmy najpierw drogą koło kościoła,



308

potem wąską ścieżką aż do polanki i tam rozstałyśmy się.  
Musisz jechać z nami i wskazać nam to miejsce rzekł Filip.  
Czy myślicie, że tu są wilki w okolicy?

zapytała Mary.

Wilków nie ma rzekł kapitan Lacey, lecz słychać było niepokój w jego głosie.

Wezmę z sobą Nera.

Przyda nam się coś w rodzaju charta!

zawołał Szolto.

Obawiam się mówił kapitan Lacey że biedna dziewczyna mogła spaść z konia i odnieść jakiś szwank.

Jak zachowywał się jej koń, kiedy odjechała pani od niej, pani Whiteoak ?

Trochę niespokojnie.

Robert znalazł sposobność, by powiedzieć Adelinie :

Ja też pokłóciłem się z Daisy.

Moim zdaniem, zachowanie jej wczorajszego wieczoru było haniebne.

Ale teraz boję się o nią.

Nic się jej złego nie stało.

Skąd pani może wiedzieć?

Coś mi lak mówi.

Podczas gdy Filip i Adelina przebierali się na górze do konnej jazdy, Filip zawołał:

A to ładna historia!

Jeśli coś złego przytrafiło się tej dziewczynie, wszyscy złożą winę na ciebie.

Po co powiedziałaś, że pokłóciłyście się?

Jestem szczerą z natury.

Tak, ale nie ma potrzeby odkrywać wszystkiego przed ludźmi!

Nie odkryłam też powodu naszej sprzeczki.

Nastąpiła chwila zupełnego milczenia, po czym Filip rzekł:

Nie chcę dowiadywać się, o co wam poszło.

Nie.

Bo wiesz doskonale, o co.

Jamam wiedzieć?

i wytrzeszczył na nią swe niebieskie oczy.

Oczywiście, że wiesz.

Pokłóciłyśmy się o ciebie.

W takim razie mogę powiedzieć tylko: jesteście diabelnie głupie, obie!

Tak, jesteśmy.

Ale to na nasze nieszczęście leży już w naszej naturze.

Może Bogu dziękować, że nie miałam przy sobie nic więcej, tylko szpicrutę, żeby ją złoć przez plecy!

Filip został jak piorunem rażony tymi słowami.

Mój mocny Boże!

wyjął po chwili.

309.

O, nie została mi dłużna!

zaśmiała się Adelina .

Chciała uderzyć mnie także.

Nie myśl, że była zgnębiona.

Odjechała wściekła.

A teraz prawdopodobnie udaje, że zablądziła w lesie, żeby mnie zastraszyć.

Bardzo ryzykowne byłoby takie udawanie.

Adelino , powinnoci być jej żal.

Żal!

wybuchła Adelina .

Ja mam żałować, że ukarałam podle babsko, które chciało zbałamucić mi męża!

Nie!

Niech tysiąc wilków, niedźwiedzi, rysiów rozdziera ją nasztuki; jeszczenie będę żałować tego, co zrobiłam!

Zresztą, przecież nie moja towina, jeśli zablądziła w lesie, tylko jej.

Ale znajdzie się, znajdzie.

Jestem tego pewna.

I przyłączyli się do ludzi, wyruszających na poszukiwanie, którzy już siedzieli na koniach.

Wszyscy robotnicy rolni z majątku i parobcy folwarczni z okolicy, mężczyźni i chłopcy ze wsi, uzbrojeni w strzelby i latarnie, konno i pieszo, zebrali się o zapadającym zmroku, by pomóc w przeszukiwaniu lasu.

Adelina powiodła ich na miejsce, gdzie oba konie wspięły się na zadnie nogi i stały naprzeciw siebie, niby symboliczne bestie natarczy herbowej.

Wiele domysłów nasunął grunt, skopany i poślizgnięty śladami kopyt na większej przestrzeni. Cóż te panie mogły tu robić?

Adelina sama była zdumiona na widok tych śladów.

Wszystko, czego widownią była polanka, wydawało się jej teraz jak sen.

Nietrudno było iść za śladem kopyt Dixie aż do miejsca, gdzie zawróciła do domu.

Biegły one gładkościeżką przez niespełna trzy mile, potem nagle zawróciły.

W tym miejscu ślady kopyt były trochę głębiej wyciśnięte w gruncie, jakby koń przystanął tu na chwilę.

Lecz Daisy nie był nigdzie.

Adelina powróciła do Jolny, eskortowana przez obu swych braci.

Poszukiwania trwały przez całą noc przy świetle księżyca, a potem w ciemności, kiedy księżyc zaszedł.

Strzelano zestrzelb, ludzie krzyczeli, wołali, światło latarni przenikało gęstwiny, nie tknięte jeszcze stopą człowieka.

Tysiące ptaków wyrwano z nienacka ze snu.

Tysiące leśnych stworzeń drżało ze strachu w swych norach.

Lecz ciągle nie było nigdzie śladu Daisy.

Kiedy biorący udział w poszukiwaniu wrócili nazajutrz, byli wyczerpani całonocnym przetrząsaniem lasu; oddział złożony z nowych, przybyłych z dalszych okolic ludzi, wyruszył w las.

Prowadził go pułkownik Vaughan, a Filip, choć całą noc był w lesie,

310

przyłączył się do nich.

Cała okolica była w poruszeniu.

Tragiczny wypadek Daisy rzucił smutek na każdą rodzinę.

Pod wieczór czwartego dnia poszukiwań Filip wszedł do biblioteki, gdzie Adelina siedziała, haftując nakrycie na ołtarz do nowego kościoła.

Wyglądał na przemęczonego.

Rzucił się na krzesło naprzeciw niej i zauważył:

Wyglądasz ładnie i spokojnie.

Bo jestem spokojna odrzekła, wbijając igłę w serce lilii, lecz ręka jej zdrząła przy tym.

Dobrze jest ciągnął dalej surowo być w stanie oderwać się, tak zupełnie, od tego "co dzieje się wokoło.

Sądysz, że powinnam rozdzierać szaty zniepokojono Daisy?

Ja nie uważam, żeby to miało jakikolwiek sens.

Daisy odnajdzie się.

Chciałbym, żebyś poszła i odnalazła ją, jeżeli tak pewna jesteś tego.

O Boże!

Jakiż ja jestem zmęczony!

Wróci, wróci powtarzała z uporem Adelina .

Skąd wiesz?

Czuję to.

Nigdy dotąd nie popisywałam się takimi okultystycznymi przecuciami.

Nie ma w tym nic okultystycznego.

Takczuję koniec.

Chciałbym, żebyśmy wszyscy mogli czuć w ten sposób.

Ludzie są zniechęceni.

Farmerzy zaniedbują żniw.

Dawid Vaughan ofiarował sto funtów nagrody za odnalezienie jej.

To powinno przynieść pożądany rezultat.

Stanowisko, jakie zajęłaś w tej sprawie, jest ohydne!

Daisy jest też ohydna odrzekła nieporuszona.

Nazajutrz Wilmott zjawił się u Adeliny .

Był błydy i przestraszony.

Adelina właśnie wozila przed domem swoich dwóch synów wózek.

Przywitawszy się z nią wyraził swój zachwyt nad dziećmi, Wilmott nagle wykrzyknął:

Jestem zdruzgotany!

Czyżbyżnowu Henrietta?

zwróciła się przerażona do

niego.

Nie, nie!

Nie to.

Ale to, co się stało, jest dość przykre.

Więc cóż takiego się stało, James?

Chodzi o Tisza znikł.

Kiedy?

Tego samego ranka, kiedy panna Vaughan zginęła w lesie.

311.

Wyruszył wtedy na dwa dni w odwiedziny do krewnych i dotądnie wrócił.  
Wczorajbyłem jużtak niespokojny, że pojechałemkonnodo osady Indian.  
Odnalazłem tam jegobabkę, która bardzo zagadkowo powiadomiła mnie, że Titisz poszedł dalej, dopewnego indiańskiego rezerwatu, by odwiedzić jakichś krewnych.  
Nie zostawił żadnej wiadomości dla mnie.

Tonie wyglądało wcalena Titisza.

Piątyjuż dzień,jak poszedł.

O Boże!

Boję się, że cośstraszego się stało.

Mówią, żeIndianie nie bardzo są ściśli, jeśli chodzi o czas.

Ale nie Titisz.

Tenchłopiec ma chłodny, ściśly i jasnymyśl.

Co mnie najbardziej dręczy, tomyśl, czy podejrzenie.

Zresztą powiem pani:Titisz podobał się Daisy Vaughan idawała mu dopoznania, że się jej podoba.

Powtarzał mi rzeczy,któremówiła mu.

Titisz jest prostym chłopcem, ale to mieszaniec, dzika krew w nim.

Co mogło zajść, jeśli napotkał jąd lesie?

Obrazy gwałtu i mordu przeszyłyżłowrogą błyskawicą myśli Adeliny .

Zadrżała.

Lecz z taką samą stanowczością, jak dotąd,oświadczyła:

Daisy się odnajdzie żywa.

Jestem tego pewna.

I miała rację: w dwa dni później Filip przybiegł do niej nieledwie pędem, takbyłporuszony.

Odnalazła się!

krzyczał, a niebieskie jego oczy błyszcząły radością i ulgą.

.Daisy Vaughan jest w tej chwili bezpieczna,w domu stryja!

A mówiłam ci!

zawołała.

Mówiłam, że tak będzie!

Głos jejzabrzmiął jasną, młodzieńczą radością.

Ktoznałazł ją?

Ten Metys Wilmotta, ten mały Titisz.

Byłw odwiedzinachu krewnych i wracał właśnie, kiedy odkrył ją w opuszczonym szałasie, który niegdyś Indianie, polując w okolicy,zbudowali z gałęzi.

Przez ten cały czas żywiła się jagodami.

Czy widziałeś ją?

Nie.

Robert Vaughan przybiegł właśnie, żeby nam przynieść tę wiadomość.

Jakaż tam radość musi być!

Chodź, opowienamwszystko.

A jakże ona się miewa?

Nie poniosła żadnego szwanku, alebiedna dziewczyna skonana jest bardzo.

O, Adelino , kiedy myślę o roli, jaką w tym odegrałaś, zapewniamcię, że wdzięczny jestem Bogu.

Jatakże!

zawołała iwybuchając płaczem rzuciła się wjego ramiona.

Och, Filip, niech to będzie nauką dla ciebie!

312

## XXI. Nagroda

Znaleźli Roberta siedzącego na ganku.

Nie wyglądał wcale na ucieszonego, jak wyobrażała sobie Adelina.

Lecz uśmiechnął się do niej, kiedy powstał, by podać jej rękę na przywitanie.

Nie mogłem wejść, tak zabłoconym mam buty rzekł.

No, i co pani myśli o tej nowinie?

My dziękujemy Bogu, że nie potrzebujemy już niepokoić się.

Matka moja szczególnie.

Martwiła się tak, że aż rozchorowała się z tego.

Wiem odrzekła Adelina ja także martwiłam się.

Chociaż od pierwszej chwili byłam pewna, że Daisy odnajdzie się.

Cud prawdziwy, że wytrzymała to rzekł Filip.

A teraz niech paniada i opowiemam wszystko, jak było.

Czy bardzo

jest osłabiona?

Nie, właściwie nie jest osłabiona odrzekł oględnie Robert.

Tylko bardzo schudła i amazonkę poszarpała w strzępy

na jeżynach.

Usiedli na dębowej ławie.

Adelina patrzyła badawczo w twarz Roberta.

Wolałaby znaleźć się sama z nim, lecz rzekła:

Proszę zacząć od samego początku i opowiedzieć nam wszystko.

Kiedy doszła was pierwszej wiadomości o niej?

Ojciec mój drzemał w fotelu na werandzie.

Był zupełnie wyczerpany; przez dwa dni nie było go w domu, a w ciągu nich nie zmrużył oka, ani nie miał chwili wytchnienia.

Wiecie państwo, że nie jest już młody.

Nagle usłyszał czyjeś kroki; zerwał się, bociągłenkiem tracił nadzieję, że Daisy może wejść tak niespodziewanie.

Ale był to służący Wilmotta, ten Metys Titisz.

Podszedł do ojca i rzekł: "Panie, znalazłem waszą panienkę w lesie".

Cóż to musiała być za chwila!

Wykrzyknęła Adelina, Żałuję, że mnie tam nie było!

W pierwszym momencie ojciec nie bardzo chciał wierzyć Titiszowi, lecz ten wnet przekonał go.

Kiedy wracał z odwiedzin w rezerwacie, usłyszał płacz w szalasię z gałęzi i chrustu, który

dawno temu zbudowali Indianie.

Wszedł tam i ujrzał Daisy, leżącą na ziemi i głośno płaczącą.

Straciła już wszelką nadzieję ocalenia.

Biedna dziewczyna!

zawołał Filip, lecz niezbyt gorąco, gdyż Adelina nie spuszczała go z oka.

Biedna!

Tak, rzeczywiście przyświadczyła Adelina .

Biednadziewczyna.

A Robert opowiadał dalej i ciągle w dziwnie oględnym tonie:

Według tego, co Titisz opowiadał, miał on zesobą strzelbę i zarazpuścił się w las, by dostarczyć jej jakiegoś pożywienia.

Zabił jakoby głuszca, rozpałił ogień i upiekł go.

Daisy rzuciła się żarłocznie na jedzenie.

Kiedy zjadła i przespała się trochę, podprowadził ją do pewnej polanki w lesie, którą zna, i zostawił tam, sam zaś poszedł do domu po pomoc.

Więc nie słyszała wcale naszych wołań i strzałów!

wykrzyknął Filip.

Mówi, że nie słyszała.

Musiała więc zawędrować bardzo daleko w takim razie.

Tak zaszła bardzo daleko.

Ten młody Titisz musi dobrze znać tutejszy las.

Jakby goniał nadłoni!

Krótko mówiąc, pojechałem do lasu z Titiszem, podczas gdy ojciec poszedł dać znać szukającym, że Daisy odnalazła się.

Kiedy doszliśmy do polanki, siedziała tam Daisy, czekając na nas.

Suknie jej były w strzępach, włosy w nieładzie zwisały na ramiona i twarz miała brudną.

Wsadziliśmy ją na mojego konia, potem wsiadłem ja.

Schwyciła się mnie rękami i tak dowiozłem ją do domu.

Matka mało nie zemdląła, jak ją zobaczyła.

Zaraz przygotowała jej ciepłą kąpiel i świeże suknie doprzebrania.

Ja zaś przybiegłem ruprosto.

Musi pan być zmęczony i głodny rzekła Adelina łagodnie, ujmując go za ramię.

Filip, kochanie, idź poproś panią Coveyduck, żeby przyniosła nam tu gorące bliny, które właśnie smażyła, i imbryk czekolady.

Nogi moje tak drżą z wrażenia, że nie wiem, czy nie odmówiłyby mi posłuszeństwa.

Inaczej, Filip, niewysługiwałabym się tobą.

Wiesz przecież, że nie należę do żon, które tak robią nieprawdę?

Słyszysz ją pan rzekł Filip, mrużąc do Roberta figlarnie jedno oko, i poszedł poszukać pani Coveyduck.

A teraz rzekła spieszenie Adelina, przysuwając twarz nie314

ledwie dotwarzy Roberta proszę mi powiedzieć, co pan o tym wszystkim myśli!

Robert odwrócił twarz.

Przecież nie wierzy pan w tę całą historię, co, Robertcie?

Nie ma więcej ani słowa prawdy odrzekł chmurnie.

Ale w to wierzy pan, że Titisz znalazł Daisy?

Tak w to wierzę.

Ale że odnalazł jej właśnie dziś.

Ach, powiem pan! krzyknął gwałtownie wstrętnym mi było czuć ją za sobą, na koniu!  
Brzydziło mnie dotknięcie jej

ramion, kiedy opasała mnieniami!  
Przecież to nieprawdopodobne, żeby nie słyszała strzałów i  
wołań nieprawdaz?  
Proszę mnie nie pytać więcej.  
A dlaczego nie wierzy pan w to, co Titisz opowiedział, Robercie?  
Bo wszystko w Daisy jest fałszem.  
I to, co opowiedziałami, kiedy znalazłem ją na polance, też było kłamstwem.  
Każde drzewo w lesie zdawało się krzyzczeć, że to fałsz, fałsz żekłamie, jak samo piekło!  
I kiedy potem widziałem, jak matka całuje ją i płacze z rozczulenia, kiedy patrzyłem na mego  
ojca, sponiewieranego i postarzałego przez ten tydzień zgryzot i niewygód, och byłbym mógł  
zabić ją!  
Ona nie odpowiada za to rzekła Adelina, biorąc go za rękę.  
Teraz nie jestem już zła na nią.  
Jak nie ten mężczyzna, niech będzie inny taki on już jest.  
Jak przywitała się z pańską matką?  
Nie wiem.  
Wyszedłem wtedy.  
Filip wracał już przez hali.  
Pani Coveyduck jest w siódmym niebie.  
Czekolada sięgotuje, a bliny pachną rozkosznie.  
A co z taną grodą, którą pańskiojciec obiecał za odnalezienie Daisy, Robercie?  
O, Titisz już wiedział o niej i upomniał się od razu.  
To prawdziwa gratka dla niego!  
wykrzyknął Filip, śmiejąc się.  
Rzucił pewnie Wilmotta i ogłosił się wodzem swego szczepu.  
Właśnie kiedy nim mówili, ujrzeli Wilmotta, śpieszącego kuniem drogą.  
Twarz promieniała mu radością.  
Czy słyszeliście państwo wielką nowinę?  
krzyczał z daleka i ujrawszy Roberta, dodał: No, oczywiście, już wiecie.  
Co

za ulga!

Przyłączyłem się dziś do szukających.

Straciliśmy już wszelką nadzieję odnalezienia jej, kiedy pułkownik Vaughan nadszedł.

Usiadł na ławce obok nich i wachlował się kapeluszem.

Zwracając się do Roberta, zapytał: Musi tam być wielka radość w Vaughanlands?

Tak odrzekł Robert, lecz uśmiech jego więcej miał smutku w sobie niż radości.

Ale matka moja czuje się raczej chora.

Wszyscy przeszliśmy ciężkie strapienia rzekła Adelina, uśmiechając się przyjaźnie do Roberta.

Teraz musimy wyrzucić wszelkie przykre rzeczy z pamięci.

Zaprawdę mamy powody być bardzo wdzięczni Bogu!

Słuchajcie jej!

rzekł Filip.

Mówi jak z ambony!

Wrzeczywistości to raczej kawałek diablicy z niej, ale czasem nawet dla ją taki bogobojny nastrój.

Boję się zawsze tego, co gotowa powiedzieć w takich chwilach.

Wiecie wszyscy rzekła, nie przestając się uśmiechać, Adelina pokłóciłyśmy się z Daisy.

Czy mam powiedzieć wam, jak obeszłam się z nią?

Nierzekł Filip nikt nie jest ciekawy.

Ale oto czekolada.

Napijemy się a Robert opowiem, co więcej wydarzyło się dziś rano.

To mówiąc, przystawił mały stolik do ławki, na którym pani Coveyduck, promieniejąca radością, ustawiła ciężko obladeną tacę.

W godzinę później Robert wrócił do Vaughanlands, Filip pośpieszył do swoich robotników, Adelina i Wilmott pozostali sami.

Teraz rzekł Wilmott, przybierając twarz w obojętny wyraz kiedy całe to zamieszanie już za nami, może znajdzie pan czas, by okazać trochę zajęcia moim rękopisem.

Czyż to możliwe, James, że pan był staniem napisać coś w ciągu ostatniego tygodnia? zapytała, podnosząc wysoko brwizę zdziwienia.

Miałem sporą część gotową wówczas, kiedy odbył się piknik nad jeziorem.

Miałem zamiar przeczytać to pani nazajutrz.

Ale potem zdarzyła się ta fantastyczna historia.

Może to pani nie interesuje już teraz?

Bardzo mnie interesuje!

Proszę, niech pan przyniesie rękopis jutro rano.

Obiecuję panu, że nikt nam nie przeszkodzi.

Umieram z ciekawości, żeby usłyszeć, co pan mi przeczyta.

;

316

Jeśli panią znudzę, każe mi pani przestać.

To, co pan napisał, nie możemy nie znudzić.

James, czy pan myśli, że Titisz dostanie nagrodę?

Mam wrażenie, że ją dostanie rzekł, czerwieniąc się lekko.

A czy pan sądzi, że zasłużyła na nią?

No, jest rzeczą pewną, że on odnalazł pannę Vaughan.

Ale, czy nie czuje pan czegoś niejasnego w tym odnalezieniu jej?

Tak.



Co Titisz powiedział, kiedy wrócił do pana?  
Poprostu, że ją znalazł i że chce odebrać nagrodę.  
Wszystko to było dziwne.

rzekła.

;Tak, bardzo dziwne.

Strasznie się bałam, James.

Wiem.

Na chwilę zapadło milczenie, po czym Adelina rzekła:

James, cudownie jest mieszkać tak, z tym lasem wokół.

Pan pisze piękną książkę i łowi sobieryby wrzece.

Filip buduje kościół i uprawia zboże na polu.

A ja wśród tego wszystkiego ciągnęła dalej, kładąc rękę na sercu żyję tu sobie  
jak królowa, mając własny mój dach nad głową i dzieci moje przy sobie!

Zasługuje pani na to rzekł, lecz uśmiech, z którym to powiedział, w  
dziwny sposób błęczył w sobie czułość i głęboki smutek.

Nazajutrz przyniósł rękopis.

Oboje zasiedli w zacienionym, chłodnym salonie i Wilmott zaczął czytać jej głośno.

Gdy go tak słuchała, wzrok jej z uwagą śledził zmienne wyrazy, przebiegające po jego twarzy;  
lecz nad wszystkimi górował wyraz pełnej rezygnacji, tęsknoty i niezachwianej godności.

Kiedy przerywał czytanie, by odpocząć, Wilmott przybierał oblicze dziwnie oderwane, nawet  
chłodne.

W miarę jak rozwijała się akcja powieści, Adelina poznawała siebie w jej bohaterce i mimo  
wszelkich usiłowań, by ukryć to, bohater miał rysy Wilmotta.

Lecz tylko powiększało, zainteresowanie, z jakim słuchała.

Z łokciem napóręczy fotela i brodą opartą na dłoni, piła chciwie każdy wyraz czytanej i rzekła  
wreszcie, że powieść jest arcydziełem.

Błagała go, by nie tracił czasu, ale skupił wszystkie siły i dokończył  
romantycznego opowiadania.

Przepowiadała wielkie powodzenie powieści.

Będziemogła rywalizować co do wartości z "Tajemnicą Adolfa" mówiła.

Kiedy Wilmott wrócił do domu, znalazł Titisza przygotowującego pięknego łososia na kolację.

Srebrzyste łuski wylatywały spod ostrego noża, jak iskry spod młota na kowadło.

Smukły, brązowy tors chłopca był nagi, ale nagle miał stary, słomkowy kapelusz.

Podniósł głowę i uśmiechnął się do Wilmotta, pokazując rybę.

Panie rzekł topiękna ryba!

Tak, Titisz odparł Wilmott tym bardziej, że połowy były raczej słabe w ostatnich czasach.

Masz doskonały nóż, Titisz.

Chłopak obracał nóż w rękę, przypatrując mu się z uwagą.

Dostałem go od mego kuzyna, kiedy byłem w rezerwacie  
rzekł wreszcie.

Krewni twoi bardzo są łaskawi dla ciebie.

Tak, panie.

Ten kuzyn mój to potomek wielkiego wodza.

On jest czystej krwi Indianinem, ale ja mam trochę francuskiej krwi w sobie.

Wiem o tym.

Czy ty czujesz, Titisz, że jest jakaś różnica między tobą a czystym Indianinem?

Titisz usiadł napięty i patrząc na Wilmotta odrzekł:

Panie, jeśli "czysty" znaczy "dobry", jestem tak samo czysty, jak oni.

Ta panna Daisy mówiła, że mam usta Indianina, a czy Francuza.

Czy to prawda?

Titisz, jeśli raz jeszcze wymówisz imię tej panny, wyrzucę cię na złamanie karku!  
krzyknął Wilmott.

Dobrze, panie.

Ale mam coś, co chcę panu pokazać.

Mówiąc to zdjął kapelusz i z jego główki wydobyl zwitek papieru.

Kiedy rozłożył go, okazało się, że składa się z nowiużeńskich banknotów.

Nagroda!

wykrzyknął Wilmott.

Czy masz tutaj całą sumę?

Tak, panie.

Ale lepiej chodźmy do domu i porachujmy to.

Podniósł banknoty do nosa i powąchał je.

Lubię zapach pieniędzy, panie.

Ale pachną jeszcze lepiej, kiedy pochodzą trochę między ludźmi.

Pan Vaughn powinien był dawać tak znacznej sumy do rąk takiemu chłopcu jak ty.

Powinien był oddać ją komuś odpowiedniemu, by ją przechował dla ciebie.

Oczywiście, muszę to zrobić teraz.

Pan Vaughn chciał przechować te pieniądze u siebie.

Ale

ja powiedziałem, że chcę dostać całą sumę i to zaraz.

Zdaje mi się, że radbył pozbyć się mnie jak najprędzej.

Obmyj więc ręce i wejdźmy do domu, by policzyć je.

Titisz posłusznie włożył łososia do koszyka i obmył ręce w rzece.

Kiedy weszli do domu, Wilmott zasiadł w kuchni przy stole i zaczął liczyć pieniądze.

Sto funtów oświadczył.  
Jest to duża suma, którą przyszło ci łatwo zarobić, Titisz.  
Panie, nie było to tak łatwo.  
Przeszukiwałem zarośladość długo, nim ją znalazłem.  
Widzi pan, ja nie wymawiam jej imienia, tak jak mi pan kazał.  
Ciekaw jestem, czy moja babka będzie jeszcze mówiła o niej, że to ładaczka, kiedy się dowie, jaki mi majątek przyniosła.  
Nie będziemy mówili o tym uciął krótko Wilmott.  
Patrzył teraz w zamyśleniu na Titisza.  
Jakże ogromna zmiana zaszła w tym chłopcu od roku, kiedy to zaczęło się ich współżycie.  
Umiał pisać dobrze i czytelnie.  
Potrafił czytać każdą książkę, jaką dał mu Wilmott doreki, i czytanie absorbowало go zupełnie.  
Mógł zauważyć, jak codziennie słownik jego stawał się bogatszy.  
Uczył się historii, geografii, matematyki, fizyki i łaciny.  
I warte jest tego, by zadać sobie trud kształcenia, gomyślał Wilmott a głośno rzekł: Twoja przyszłość jest teraz zapewniona, Titisz.  
Ta nagroda dodawszy do niej to, co ja będę mógł zrobić dla ciebie wystarczy ci do ukończenia studiów.  
A potem, jeśli będziesz pilnie pracował, będziesz mógł wybrać sobie jakiś zawód.  
Kim chciałbyś być, Titisz?  
Czy myślałeś kiedyś o tym?  
Titisz przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw Wilmotta.  
Nie chciałbym być kim innym, tylko tym, kim pan jest odparł.  
Wilmott wybuchnął głośnym śmiechem.  
Nie można powiedzieć, że masz wygórowane ambicje!  
rzekł wreszcie.  
To dość dla mnie, panie odrzekł Titisz.  
Chciałbym, żebyśmy żyli tutaj dalej, we dwójkę.  
Chciałbym łowić ryby w rzece, uprawiać trochę jarzyny i zboża na polu, a wieczorami czytać książki.  
Niczego więcej nie chcę.  
Mnie tożycie odpowiada również rzekł Wilmott, wzruszony wyznaniem chłopca lepiej niż jakiegokolwiek, które można by wymarzyć.  
Jesteś dobrym chłopcem, Titisz i bardzo cię lubię.  
319.

Ja też bardzo pana lubię.

Rzęsy pańskiesą długie jak mojej szyja pańska jest podobna do kolumny z brązu.

Jednak nie mogepowiedzieć,żeby usta pańskie były.

Co ci mówiłem przed chwilą, Titisz?

przerwał mu Wilmott.

Jeśli myślisz, że mi się topodoba, kiedy stosujeszdomnie te głupstwa,które ta dziewczyna mówiła o tobie, to grubosię mylisz!

Pewnie, panie.

Jednakowoż myślę, że ona jest ladaczną.

A teraz rzekł Wilmott udając, że nie słyszał ostatniejuwagi Titisza złożę tę sumę w banku i wmiarę potrzeby będziesz mógł podejmować z niej częściowo kwoty.

Czy zgadzasz sięna to?

O, tak, panie!

Ale czynie można by zachować funta albobdwa, żebyśmy mogli kupić sobiecoś dobrego, na przykładkandyzowanych owoców albonadziwanych cukierków?

Kupię ci coś dobrego do jedzenia rzekł Wilmott.

Ale ja chciałbym kupić coś dobrego za moje własne pieniądze!

Widzi pan, pensja, jaką mipan wypłaca, niejest bardzo wysoka izawsze daję coś z niej babce. A właściwie, jak zastanowię się nad tym, to widzę, że wszystkie pieniądze, jakie zarabiam,oddaję rodzinie.

Tere-fere!

rzekł niecierpliwie Wilmott, jednak rzuciłmubanknot funtowy.

Weź sobie to i rób ztym, co ci się podoba.

Mille remerciements!

rzucił z uśmiechem Titisz.

Widzi pan, umiem też mówić trochę po francusku, kiedy sposobnośćsię zdarzy!

## XXII.

Kościół

W tydzień później Daisyopuściła dom stryja i wróciła do Montrealu.

Jako powód tego nagłego wyjazdu podawano, iż w rezultacie wstrząsu fizycznego i moralnego, jakiego doznała, zmiana taokazała się dla niej konieczną.

Whiteoakowie nie widzieli jej już przed wyjazdem, lecz ci, którzy widzieli ją, mówili, że nie wyglądała bynajmniej na chorą ani przygnębiałą.

Kate Brent utrzymywała, że Daisy nie wyglądała nigdy lepiej i nigdy nie była bardziej rozmowna, jak przed opuszczeniem Vaughanlands.

Słuchało się jak dobrej komedii ze sceny jej opowiadania o owych dniach, kiedy to błądziła po lesie.

Napotkała tam jakoby dzikie zwierzęta, o których istnieniu w okolicy nie słyszano już od pokoleń.

Lecz widocznym było, że chętnie wracała do Montrealu.

Mówiła, że niezniosłaby dłużej życia na takim partykularzu.

Pułkownik Vaughan odprowadził bratanicę.

Pobyt Daisy w jego domu był raczej kosztowny dla niego.

Oprócz całorocznego utrzymania, w co wchodziło też sprawienie kilkukosztownych sukien, poniósł dużewydatki na poszukiwania jej w lesie, nie mówiąc już oznacznej sumie, jaką stanowiła nagroda, wypłacona Titiszowi.

A teraz dołączył się jeszcze do tego koszt podróży do Montrealu.

Popowrocie do Montrealu Daisy przez jakiś czas korespondowała regularnie z Lydią Busby. Opisywała jej wesołe życie w tym mieście, przyjęcia i bale, na których bywała. Listy te wywoływały u Lydii silne pragnienie, by móc prowadzić życie podobne temu, jakie opisywała Daisy. Wreszcie nadeszła wiadomość o zaręczynach z pewnym artystą, rodem z Ameryki Południowej, który przyjechał do Kanady na malowanie pejzażu w Narodowym Parku Wawrzyńca. Po jakimś czasie przyszło zaproszenie na ślub. Młoda para miała natychmiast po nim wyjechać do Paryża, by osiedlić tam na kilka lat. Lecz chociaż listy te zachwiały silnie spokój i równowagę w

1 Budowlany

321.

sercach młodych panien Busby do tego stopnia, że ojciec ich musiał wkroczyć w to, by utrzymać dziewczęta w ryzach, w Jalnii nie wywołały one wielkiego wrażenia. Rozliczne prace i zadania, jakie stały przed jej mieszkańcami, mało zostawiały im czasu na zajmowanie się cudzymi sprawami.

Trzeba było zebrać letnie plony do spichlerza, pomyśleć o zaopatrzeniu i schronieniu na zimę dla ciągle powiększającego się inwentarza żywego, przygotować dom na bliski przyjazd rodziców Adeliny, doprowadzić budowę kościoła do takiego stanu, by można pomyśleć o jego konsekracji, tak aby chrzest małego Ernesta mógł odbyć się w nim.

Wobec tego wszystkiego Daisy została zaliczona do przeszłości w pamięci Filipa i Adeliny.

Prawdopodobnie, Filip byłby się doskonale obszedł bez odwiedzin swoich teściów.

Przeciągający się tak długo pobyt trzech członków rodziny Courtów w Jalnii zmęczył go już nieco.

Postanowiono, że mielioni powrócą do Irlandii z resztą rodziny.

Inaczej jak obawiał się Filip byłoby siedzieli w Jalnii przez całą zimę; wyraził bowiem ochotę wzięcia udziału w ślizgawce i jeździe na nartach.

W owym czasie twarz Filipa wyrażała takie zadowolenie i pogodę, iż mogłoby to wzbudzić zazdrość ludzi, żyjących w późniejszych czasach.

Wstawał prawie razem ze świtem; wieczorem czuł zdrowe zmęczenie w kościach tak był przejęty i pochłonięty myślą o tym, czego miał dokonać na jutro, że ledwie mógł się pogodzić tym, iż trzeba iść spać.

Serce wzbierało mu dumą, kiedy patrzył, jak ciężkie, robocze wozy, zaprzężone w potężne fornalki, naładowane jęczmieniem, pszenicą czy owsem wtaczały się do stodoły.

Nie dlatego, żeby już miał dużo ziemi przygotowanej pod uprawę, ale dlatego, że to, co obsiał, przyniosło mu tak piękny plon.

A potem cieszyło go bydło i świnię, i owce, które hodował wszystko to w kwitnym stanie, zaopatrzone w dobre schronienie i dostatek na zimę.

Ana i wszystko radość jego stanowiły: Adelina, prawdziwy obraz kwitającego zdrowia i tak szczęśliwa w nowym tym życiu!

i dzieci, których siły i inteligencja wzrastały z każdym dniem.

Gussie znała już abecadło, uczyła się czytać i umiała wyrecytować na pamięć i bez błędów kilka wierszyków, stosownych dla jej wieku.

Mikołaj, który nie miał jeszcze dwóch lat, wyglądał, jakby ich liczył trzy tak prosto się trzymał, taki szeroki był w piersiach i taki ruchliwy.

Czupryna w lokach dosięgała mu teraz już ramion; dom rozbrzmiewał

322

okrzykami jego wściekłości i bólu, kiedy rozchwytywano go rano i wieczorem.

Za to Ernest był grzeczny jak baranek.

Miał płowoblonde włosy, oczka niebieskie jak niezapominajki i uśmiech tak wzruszający, że pokazywał w nim bezżębne dziąsła staruszka.

Nero ubóstwiał całą trójkę dzieci.

Kochał je jakąś miłością tajemniczą, upartą i władczą.

Znosił cierpliwie, kiedy dwoje starszych gramoliło się równocześnie na jego grzbiet.

Lecz ilekroć Mikołaj zbliżał się za bardzo do skrajów parowu, Nero bez ceremonii chwytając za suknię i odciągał.

W pamięci psa musiał pozostać obraz fortepianu, lecącego w dół dórzeki, wśród chrzęstu łamanych gałęzi.

Pewnego sierpniowego poranka, kiedy astry i liliowe marcinkijaśniały w kwiecie wokół kościoła, Adelina i Filip stali razem w bramie kościelnej, podziwiając wspaniałość

długiego pasa szkarłatnego dywanu, który ciągnął się od miejsca, gdzie stali, przez stopnie prezbiterium, aż przed ołtarz.

Przychodzili do kościoła codziennie; śledzili każdy etap jego budowy, jednakże z zupełnie innym uczuciem, niż śledzili dawniej budowę domu w Jalinie .

Dom w Jalinie miał w sobie piękno i pewną wytworność.

Tu zaś powstawał prosty, surowy nawet, budynek.

Szeregi nowych, politurowanych ławek kościelnych wypełniły jego wnętrze, okolone na szaro tynkowanymi ścianami, których surowości nie łagodziło przyćmione światło kolorowych witraży.

A jednak budynek ten miał stać się ich duchowym domem.

Stanowił więź między nimi tajemniczą siłą, mocą, której powstało wszelkie stworzenie.

Tumiały być chrzczone ich dzieci, tu błogosławionymi miały być ich małżeńskie związki.

Tu, kiedy nadejdzie ich kres, miano odprawić pogrzebowe modły, nad martwymi ciałami.

Ale to ostatnie wydawało im się tak dalekie, tak mgliste w tajemniczej przyszłości, że myśl o tym nie była im wcale przykrą.

Ów dywan szkarłatny był ostatnim szczegółem, który nadał budynkowi charakter świątyni.

Był w doskonałym gatunku i bardzo drogi.

Lecz oboje czuli, że wart był tego wydatku.

Tworzył wspaniałą, świecą, purpurową ścieżkę, od wejścia aż po wielki ołtarz.

Kiedy stopa dotknęła go, cisza i ukojenie przenikały duszę.

Pieniądze na zakup przysłała siostra Filipa, Augusta.

Tego wieczoru Adelina miała zasiać do biurka i donieść Augustynie, jak imponująco wygląda jej dar w kościele.

Dziekan również nie pozostał tyle; on znów zafundował kościołowi organy.

Nie były to organy piszczałkowe, nie można

było marzyć o takich!

lecz fisharmonia, znana z dobrej marki;  
za piękno jej tonu ręczyłfabrykant.

Stała z boków prezbiterium, a obok niej wznosiła się ambona.

Wilmottzgodził się być organistą i tego ranka właśnie oczekiwano go, bo miał przyjść wypróbować instrument.

Co zaś do ambony, to zafundowała ją Adelina .

Od razu zapowiedziała, że chce, by ambona była okazała.

"Nielubię mówiła kiedy kaznodzieja wygląda na ambonie jak pajac, wyskakujący z pudełka za naciśnięciem sprężyny.

To, co ma do powiedzenia, łatwiej trafić do ludzi, jeśli wypowie toż wysokości kilku stopni i na tle pięknej rzeźby.

Tensam snycerz, który wyrzeźbił nasz słup do schodów, może wyrzeźbić ambonę, a ja zapłacę rachunek".

Byli tacy, którzy utrzymywali, że ambona była ozdoba dla tego kościoła, ale ona ogół podziwiano ją bardzo.

Chodźmy zobaczyć rzekła Adelina , ujmując Filipa zarękę jak siedzi się w naszej ławce.

Zaprowadziła go do ławki, którą wybrali dla siebie naprzeciw ambony.

Usiedli w niej uroczyście, uśmiechając się przy tym skrycie.

Przed nimi wznosiła się groźnie ambona, jakby już owianaduchem karcącego kaznodziei niedzielnego.

Musisz przyznać rzekła Adelina że nie mogłam wymyślić nic lepszego jako ambonę dla naszego kościoła.

Jedyne, co mogę zarzucić jej, to że Pink poczuje się tak imponującym na

niej, że będzie ciągnął kazanie bez końca; on już tak maskłoność dotego.

Wtedy zasnę i zacznę chrapać.

Posłyszeli kroki za sobą, odwrócili się i ujrzeni Wilmotta, idącego nawą ku nim.

Pod pachą niósł dużego formatu nuty.

Oto jestem rzekł.

Czy długo czekał państwo namnie?

Wprawdzie zapomnieli już, że miał przyjść, lecz powiedzieli teraz, że czekali chwilę.

Byłem naplebani!

i pani Pink dała minuty do hymnów.

Żałuję, że podjąłem się grać na tych organkach.

Nie myślę, że bym był dobrym wykonawcą muzyki kościelnej.

Ale zdaje się, że jestem jedynym człowiekiem tutaj, który mógł zgodzić się na to.

Kate Brent mogłaby również rzekła Adelina ale ona jest teraz katoliczką.

Jednakowoż ja zawsze wolę widzieć mężczyznę przy organach.

James, niech pan zagra "Marsza weselnego" zaproponował Filip.

Przynajmniej usłyszymy coś ochoczego.

324

Nie mam nut do "Marsza weselnego" odparł Wilmott, siadając do fisharmonii.

Otworzył ją i położył nuty na pulpicie.

Bardzo mi się podoba ten czerwony atłas jako tło mówił, aspoglądając na organy: To wcale piękny instrument.

Tak rzekł Filip.



Todar mego szwagra a siostrapodarowała dywan.

Słyszałem otym odparł Wilmott.

Bardzo szczodra okazała się pańska rodzina.

Ja, nawet gdybym miał pieniądze, towierni musieliby obywać się długobezkocioła, nimbym gowymbudował.

To nie skapstwo mówi przez pana, James rzekła Adelina to uprzedzenie.

Tak.

Nie jestem pewny, czy religia jest rzeczą dobrą dla ludzi.

A cóż mogłoby zająć jej miejsce?

zapytał Filip.

Założyłbym się, że nie ma pan nic do zaofiarowania zamiast niej.

Życie samow sobie jest dobre.

Wilmott, niechże pan będzie rozsądny!

Człowieknie możeżyć samymi tylko przyziemnymi rzeczami!

To niech patrzy w gwiazdy.

Nielatwojest patrzeć w gwiazdy, w burzliwą noc.

A religii niezdola skryć burza.

Lepiej niech pastor Pink nie słyszy, że pan tak mówi wtrąciła Adelina bo gotów zabronić panu grać na organach.

O, słyszał to już przy wielu sposobnościach zmoichust.

I nie był o to zły?

Ani trochę!

Pastor Pink jest człowiekiem dobrotliwym, a ledo szpiku kości nasiąkniętym chrystianizmem.

Jest przekonany, że każdy w końcu nawróci się do jego sposobu myślenia.

I tak stanie się z panem rzekł Filip.

Tak się stanie!

Może.

Tu Wilmott nacisnął pedały fisharmonii i położył ręce na klawiszach.

Zaczął grać hymn, który niedawno dopiero przetłumaczono z łacińskiego oryginału.

Lecz Filip i Adelina znalazły już i zaczęły śpiewać pierwsze jego wersety.

O przyjdź już przyjdź, Emanuelu,

I wykup z niewoli Izrael.

W żałobie trwa i samotnieniu

Czekając na przyjście Bożego Syna.

Ciesz się, więc ciesz, o Izraelu,

Bliska już chwila wolności twej!

325.

Ani Filip, ani Adelina nie zdawali sobie sprawy, jak dziwniebrzmiały te słowa, dobywające się z serca zielonej kanadyjskiej puszczy.

Śpiewali je z wielkim przejęciem, a kiedy skończyli, Filip zawołał;

Te organki są nadzwyczajne!

Jakże pan mógł ocenić je rzekł sucho Wilmott.

Śpiewaliście państwo tak głośno, że zagłuszyliście muzykę.

Cóż za stary zrzęda z pana, James!

skarciła go Adelina, stając obok.

Ależ państwo tu odprawiają nabożeństwo w całym tego słowa znaczeniu!

ozwał się głos od drzwi.

Był to doktor Ramsey.

Wszedł i oglądając nowe nabytki kościelne, rzekł:

Możecie mi państwo złożyć gratulacje.

Żenię się z Lydią Busby.

To wspaniale!

zawołała klaszcząc radośnie w dłonie

Adelina.

Wiedziałam, że coś się święci i bardzo się z tego cieszę.

Urocza dziewczyna zauważył Filip.

Gratuluje panu z całego serca.

Wilmott podszedł również i do ich gorących gratulacji dołączył swoje, bardziej umiarkowanym tonem.

Będzie to pierwszy obrzęd, jaki odbędzie się w tym kościele powiedział doktor.

Chcemy się pobrać jak najprędzej.

Nie rzekł Filip.

Chrzest mego syna będzie pierwszy.

A nie możemy ochrzcić godność Adelina póki rodzice moi nieprzyjadą z Irlandii.

Czy chcą państwo przez to powiedzieć zapytał doktor

ostro zmuszę odłożyć mój ślub, żeby ustąpić miejsca chrztowi waszego dziecka?

Przykro mi rzekł Filip ale niestety tak jest, nie inaczej.

Więc uważa pan, że pan jest właścicielem tego kościoła!

wykrzyknął doktor Ramsey, czerwieniejąc gwałtownie.

No, nie zupełnie odparł Filip.

W takim razie możemy wziąć ślub z Lydią gdzie indziej.

W Stead jest także kościół.

Czemuż się pan od razu obraża?

zapytał Filip.

Nie obrażam się.

Dziwię się po prostu, że może ktoś kazać mi odkładać ślub z powodu chrztu dzieciaka!

Myślałam rzekła Adelina, stając naprzeciw doktorowi

założonymina piersiach rękoma że skoro pan temu dzieciakowi ułatwił przyjęcie na ten

świat, to okaże pan niecowięcej względów dla niego.

Doktor Ramsey nie znalazł na to odpowiedzi.

Adelina ciągnęła więc dalej:

A o ileż znam Lydię Busby, wiem, że będzie jej potrzeba nieco czasu, by poczynić przygotowania do ślubu i żenie da się porywać przed ołtarz tak, jakby naprawdę naglące okoliczności zmuszały ją do tego!

I znowu doktor Ramsey nie mógł wymyślić nic, co by na to powiedzieć.

Kiedy tak stali, mierząc się oczyma, nie myśleli, że syn jej, który jeszcze się nie urodził, miał się ożenić kiedyś z jego córką, również nie urodzoną jeszcze i że tych dwoje miało kiedyś być rodzicami przyszłego pana na Jalnie.

Wejście Conwaya z Szoltem i z Mary przez zakrytą położyło okres tej kłopotliwej sytuacji.

Szolto od razu wszedł na ambonę i przybrawszy świątobliwą minę, wygłosił:

Na początku Bóg stworzył rodzinę Courtów.

Zejdź ty mistamąd, ty łotrze smarkaty!

zawołał Filip.

Lecz Szolto prawil dalej:

I ujrzał Bóg, że Courtów rodzina była dobra.

Apóźniej nie stworzył Bóg rodzinę Whiteoaków.

I spojrzal syn Whiteoak ówna córę Courtów i zobaczył, iż, choć była szpetna, była krzepka i pojął ją w małżeństwo.

Teraz pastor Pink wszedł również przez zakrytą.

Zaszedł cicho Szolta od tyłu, podniósł go i zesadził zambony na podłogę.

Twoje szczęście, mój chłopczek, że kościół nie jest jeszcze konsekrowany.

Ale itak zasługujesz na surową nagane, że z takim lekceważeniem odnosisz się do słów Pisma Świętego.

Kazałem mu przestać usprawiedliwiać się Filip.

Panie pastorze zawołała Adelina, chcąc odwrócić uwagę pastora od przewinienia brata szkoda, że pan nie przyszedł wcześniej!

Byłby pan słyszał, jak śpiewaliśmy z Filipem hymn!

Organki mają prześliczny ton wmieszał się Wilmott, chcąc przyjść pomocą Adelinie.

Czy nie zechciałby pan posłuchać, jak zagram coś na nich?

Ale w zakrytą stolarz zaczął głośno rznąć coś piłą, w przedsiomku zaś cieśla przybijać coś młotem" i wszystko potoczyło się spokojnie swoją koleją.

327.

### XXIII.

To i owo

W trzy tygodnie później do Jalny zjechali rodzice Adeliny .  
Zdążyli na czas, by wziąć udział w uroczystości konsekracji nowego kościoła.  
Po nabożeństwie biskup spędził noc w Jalnie .  
Był wielkoprozony obiad, który wzbudził ogromne poruszenie wśród sąsiedztwa.  
Wszyscy orzekli zgodnie, że kościół jest piękny, a biskup niezmiernie łaskawy; że pan Renny Court i lady Honoria są osobami z najlepszego towarzystwa.  
Podziwiano ich dobry humor; jednym słowem, wszyscy byli zdania, że są ponad wszelki wyraz ujmujący.

Pochwały tetyczyły się również brata Adeliny , Esmonda Courta, który nie zapowiedziany towarzyszył rodzicom w podróży.  
Nie mieli jakoby już czasu donieść o tym, gdy lady Honoria dopiero w ostatniej chwili zdecydowała się zabrać go z sobą do Kanady.  
Skoro Conway, który nie był ani w przybliżeniu tak przystojny jak Esmond, znalazł zupełnie dostatnią Kanadyjkę na żonę, lady Honoria nie widziała powodu, dla którego by Esmondowi nie udało się zrobić lepszej jeszcze partii.  
Esmond nie był zgoła podobny do swoich dwóch braci, przebywających już w Jalnie .  
Był pięknym brunetem, a z rysów podobny był do Adeliny .  
Esmond starał się być bardzo ujmujący względem Filipa; lecz Filip nie mógł obronić się od uczucia, że sześcioroosób z rodziny Adeliny w domu naraz, było to raczej za dużo.

W kilkadni po przyjeździe Renny Court muszony był położyć się, zapadł bowiem na dotkliwy atak lumbago.  
Skarżył się i lamentował tak głośno i tak mocno był przekonany, że nie podniesie się już z tej choroby, jakby był pierwszym śmiertelnikiem, któremu zdarzyło się cierpieć na nią.  
Tak nieustannie żądał, by aplikowano mu okłady od zewnątrz, a lekarstwa do wewnątrz, że domcały był w poruszeniu i prześcigał się w pielęgnowaniu go.  
Toteż kiedy atak minął, można powiedzieć, że przeprowadził gruntowną kurację.  
Kiedy pierwszy raz zdecydował się zejść na

328

dół, ukazał się w sparty z jednej strony na ramieniu lady Honorii, z drugiej na ramieniu Adeliny .

Sunęli tak powoli przez hali do jadalni.

Chory opierał się ciężko na swoich pielęgniarkach i od czasu do czasu wydawał okrzyki bólu.

Reszta rodziny postępowała z nim z oznakami żywego współczucia.

Lecz skoro raz zasiadł do stołu i postawiono przed nim pieczoną na grzance przepiórkę, a obok talerza stanęła szklanka doskonałego, czerwonego, francuskiego wina, Renny Court stał się na powrót sobą.

Wszystko wokół cieszyło go.

Oświadczył, że jeżeli kiedy mówił rzeczy dyskredytujące Kanadę, odwołuje je teraz.

Jalna była skończonym marcydziełem.

A kiedy ozdrowiał na tyle, by móc z Filipem dokonać oględzin majątku, nie mógł znaleźć dosyć słów na pochwałę ładu i porządku, panującego wszędzie.

Mówił, że nie ma dla niego większej uciechy, jak oglądać majątek i dom, utrzymane w takim doskonałym stanie.

Filip musiał przyznać, że uwagi, jakie czynił w czasie oględzin, były trafne.

Co się zaś tyczy lady Honorii, to odwiedziny w Jalnie były dla niej jednym pasmem niezmaconego szczęścia.

Wielką radością było widzieć córkę, żyjącą w tak doskonałych warunkach i w tak dobrze urządzonej domostwie, zwłaszcza że spodziewała się zastać ją w dzikim pustkowiu.

Cieszyła się również, że miała przysobiedwóch młodszych synów, choć tyleż martwienia doznała z ich powodu.

Lecz największą rozkoszającą byli wnukowie.

Gussie tak była inteligentna, tyle miała już kobiecości w obejściu, że można było mieć w niej miłą towarzyszkę.

Oczywiście, była trochę złośliwą ale któryż z potomków rodziny Courtownie był złośliwym?

Bili się często z Mikołajem i targali nawzajem za włosy ale cóż to było za szczęście, ten chłopiec!

Co zaś do Ernesta, był to urocze dziecko i tak jakby rozumiał, że w uroczystości, która miała nastąpić, miał odegrać główną rolę.

Lady Honoria zdawała się odmłodzona przez wprawienie zęba.

Było prawdziwy cud sztuki dentystycznej!

Wyglądała raczej na siostrę niż na matkę Adeliny.

Przy słonecznej, październikowej pogodzie, kiedy krajobraz stał się skąpany w złotych i szkarłatnych blaskach, wybrała się na oględziny ogrodu kwiatowego i warzywnego, które dopiero zakładano.

Kózka, której ongiś zawiązała własnoręcznie dzwoneczek na szyi, zdawała się poznawać ją. boszła ją krok w krok.

Lady Honoria zbierała najżywiej ubarwione, jesienne liście; mówiła, że zabierze je do Irlandii i według nich ułoży wzór na przesłonę, którą chce wyhaftować przed komi329.

nek dla Adeliny .

A co się tyczy kościoła, lady Honoria nie ustawała w wymyślaniu szczegółów dla upiększenia go.

Jeszcze w domu zrobiła piękny obrus wielkanocny na ołtarz, pracowicie haftowany w lilie, jak też piękną stulę dla pastora Pinka.

Teraz zaś zeskromnych swych dochodów zamówiła czerwoną poduszkę naławkę Whiteoaków w kościele i cztery także mniejsze na wymoszczenie jej klęcznika.

Czasem zabierała małą Augustę i szły razem do kościoła; rozmawiając, przechadzały się po nim.

Gussie była tak grzeczną dziewczynką, że można było prowadzić ją wszędzie ze sobą.

Kiedy potem dorosła, a nawet kiedy sama była już starą kobietą, przypominała sobie ten miły, przyjacielski stosunek, który łączył ją z babką, i na całe życie zapamiętała uroczy uśmiech lady Honorii.

Jalna roiała się więc odludzi i wrzała ruchem.

Dużo ożywieni przydał jej Esmond Court.

Miał rzeczywisty talent pobudzania żywotności w innych.

Był zadowolony z siebie i ze świata; zadowoleniatego nie mąciło mu nic od rana do wieczora, chyba że ktoś sprzeciwił mu się; wtedy wpadał w jak najgwałtowniejszą pasję.

Ale mijała ona prędko uniego.

Filip miał próbkę takiego napadu, kiedy pewnego dnia Esmond i jego ojciec popisywali się w bibliotece w walce na florety.

Obaj byli znakomitymi mistrzami, w fechtunku.

Nagle coś się zepsuło.

Powstała kwestia na punkcie zasad tego sportu.

Wybuchł z tego sprzeczek.

Twarze szermierzy w jednej chwili zmieniły się w maski wściekłości.

Każdy z nich upierał się, by zademonstrować w praktyce swój punkt widzenia na kwestię.

Florety rzucały błyskawice.

Zdawało się nieuniknionym, że jeden z nich osiągnie któregoś - szermierzy i przebije któryś z jego najżywotniejszych organów.

Lady Honoria i Adelina, przerażone, krzyczały.

Mary zemdlała.

Conway i Szolto, nie zastanawiając się długo, rzucili się między walczących.

Ku niemałemu zdumieniu Filipa burza ustała tak nieoczekiwanie, jak powstała.

Szolto jeszcze wisiał, przyczepiony do barków Esmonda.

kiedy ten cały drżący jeszcze z uniesienia, przeproszał już ojca, atwardę rysy Renny'ego Courta oblekały się w uśmiechu złośliwego triumfu.

Tatku!

zawołała Adelina .

Tyś bardziej zawinił.

Jeszcze trochę, a byłbyś przebił Esmonda!

Zawsze jesteś przeciwko mnie prawda, Adelino ?

odrzekł Renny Court z urazą.

Nawet gdyby mnie synposiekał nasztuki, jeszcze powiedziałabyś, że to moja wina!

330

Cicho już, cicho rzekła jego żona.

Skończyło się.

Odlóżcie te przebrzydłe pałasze, dzieci.

W owych dniach Adelina prawie cały swój czas poświęcała przygotowaniu do chrztu.

Okazało się, że Lydia Busby bardzo chętnie gotowa była czekać ze ślubem, póki nie odbędzie się ta ceremonia.

Doktor Ramsey zaś pragnąłby przyspieszenia ślubu tak, aby mógł przyłączyć się do wyprawy myśliwskiej, którą Filipurządzał dla swego teścia.

Renny Court skwapliwie wyczekiwał tej wyprawy; ciekawiły go północne puszcze i zwierzyna, którą można byłoby spotkać, jak: łosie, jelenie amerykańskie, niedźwiedzie i żbiki.

W miarę jak przeciągał się jego pobyt w Kanadzie, z mniejszym entuzjazmem pisał o niej pochwały.

Lady Honorie łączyła długoletnia przyjaźń z lordem Elginem, obecnym generalnym gubernatorem Kanady.

Obowiązki skierowały go właśnie wówczas do Kingston, tak że otrzymawszy list od lady Honorii, chętnie zmienił swój objazd bardziej na zachód, aby odnawiając dawną z nią przyjaźń, służyć zachrzesztem ojca jej wnukowi.

Przybył w wigilię dnia wyznaczonego na chrzest.

Był to piękny dzień, którego rysy namionowały silną wolę.

Okazywał szerokie i żywe zainteresowanie dla spraw Kanady.

Lecz kilka lat temu wzniesił prawdziwą burzę przeciw sobie, albowiem Kanadyjczycy angielskiego pochodzenia utrzymywali, że faworyzuje Francuzów.

Obrzuconego kamieniami w Montrealu, przy czym ciężko uszkodzono jego powóz.

Wszedł jednak zwycięsko z tych kłopotów i obecnie był najpopularniejszym człowiekiem w kraju.

Przyjechawszy do Jalnego, nie wydawał się zgoła zmęczony podróżą; prowadził ożywioną rozmowę z lady Honorią, wspominając dawnych, wspólnych znajomych.

W Jalnym panowała strój swobodny i pogodny.

Nawet dzień, wyznaczony na chrzest, wstał ciepły, jakby to był lato; październikowe słońce łociło lasy w barwnej, jesiennej szacie.

Pojazdy zawiozły całe towarzystwo z domu do kościoła, którego brama i okna były na oścież otwarte.

Wilmott, w najpiękniejszym swym sajanowym ubraniu, siedział już przy organach.

Zaproszeni goście wypełnili kościół do połowy, bowiem Whiteoakowie mieli teraz liczne grono znajomych.

Prawdę powiedziawszy, kościół nie był zbyt duży, tak że nie trzeba było wielkiego tłumu, by go wypełnić.

Wnet jednak puste ławki zajęli ludzie więcej, przybyli z bliska i z daleka, by przyrzec się gubernatorowi.

Nigdy nie było dotąd tak uroczystego chrztu w tych stronach.

nach.

Mały Ernest, osobistość stanowiąca centralny punkt uroczystości, leżał śpiąc w objęciach matki, a fałdy długiej, bogatohaftowanej i obszytej koronką sukni chrzcielnej spływały nieledwie do ziemi.

Czepeczek i czapeczka były istnymicudami wykwintu i wymyślności.

Obie różowego rączki, z paluszkami rozstawionymi jak rozgwiazda, leżały nieudolnie, jakby namalowane, na atłasie.

Pułkownik Vaughan i kapitan Lacey figurowali, obok lorda Elgina, jako dodatkowi chrzestni ojcowie, a chrzestną matką była pułkownikowa Vaughan.

Zaiste trudno było o chrzestną matkę wyglądającą wdzięczniej niż Alicja Vaughan, w jedwabnej, lawendowej sukni, ze swymi przedwcześnie posiwiałymi włosami, ułożonymi w piękne fale pod strojną kwiaty budką.

Adelina podałaję dziecko i pani Vaughan stała teraz, w otoczeniu trzechojców chrzestnych, przed chrzcielnicą, naprzeciw pastora Pinka.

Chrzcielnicę tę ona właśnie podarowała kościołowi.

Była to piękna chrzcielnica, a Ernest był pierwszym dzieckiem, które miano opatrzeć znakiem krzyżana poświęconym jej brzegu.

Adelina i Filip, w otoczeniu rodziny, stali obok.

Lady Honoria trzymała zaręczkę Gussie, która drugą rączką prowadziła znów Mikołaja.

Oboje byli ubrani w jednakowe sukienki; białe z krótkimi rękawami i wycięte pod szyją, ozdobione bladoniebieskimi kokardami naramionach i przepasane takimiż szarfami, zdobnymi we frędzle.

Dzieci wyglądały naprawdę tak ślicznie, że nawet obecność lorda Elgina budziła mniej zainteresowania niż one.

Teraz ozwał się donośny głos pastora Pinka:

Umiłowani bracia w Chrystusie.

Zważywszy, że wszyscy ludzie poczęci i urodzeni są w grzechu i ponieważ Pan nasz, Jezus Chrystus, rzekł, iż nikt nie może wejść do Królestwa Ojca Jego.

jeśli nie odrodzi się i nie urodzi nowo z wody i z Ducha Świętego.

I obrzęd szedł swoim trybem dalej, a obecni brali w nim udział, stosownie do starodawnej, przyjętej formuły.

Wreszcie pastor Pink, zwracając się do rodziców chrzestnych, postawił im przepisowe pytania, dotyczące się duchowych przekonań Ernesta Whiteoaka.

Pytał ich więc:

Czy w imieniu tego dziecka wyrzekacie się diabła i wszystkich spraw jego próżnej chwały i pychy żywota i wszystkiej poządliwości tego świata i wszystkich cielesnych pożądań, tak

aby ani nie szło ono za tymi popędami, ani nie dało im kierować sobą?

332

Wyrzekamy się odpowiadali rodzice chrzestni.

A Ernest ciągle spał.

Lecz kiedy przyszła chwila, że dostał się do rąk pastora Pinka i kiedy ten wymówił pełnym głosem jego imię, szczerze zlewając go wodą z chrzcielnicy, Ernest otworzył szeroko swe oczka jak niezabudki i wydał ogromny krzyk protestu i trwogi.

Gdy Mikołaj zobaczył, jak obchodzą się z jego braciszkiem, zrobił z buzi „sanki”, po czym lży potoczyły się z jego oczu i zaczął łkać głośno.

Co widząc Gussie, również wybuchł płaczem.

Nero.

który cierpliwie czekał przed wejściem do kościoła, niemógł znieść obojętnie płaczu dzieci.



Łapą i pyskiem otworzyły sobie drzwi, wetknął głowę do kościoła i rozglądał się po nim zgroźną miną.

Wreszcie dojrzał białą odzianą postać przy chrzcielnicy, trzymającą dziecko.

Wtedy wkroczył do kościoła, szczerzącęby i nie spuszczać z oka pastora.

Na miłość boską, wyprowadź to bydlę mruknął Filip do Szolta, który podskoczył, chwycił Nera za obrozę i wyciągnął go przed kościół.

Cichy chichot przeszedł po kościele.

Lady Honoria zaś starała się pocieszyć płaczącą dzieci.

Ernest Whiteoak, wyrzekłszy się diabła i ochłonawszy powstrząsając się, jakim było dlań zetknięcie z chrzcielnicą, zaczął rozglądać się wkoło i uśmiechać.

Przytknął koniuszki palców jednej rączki do koniuszków palców drugiej i łaskawie spoglądał po zgromadzonych.

Wilmott nacisnął pedał głośnikowy organów;

wszyscy połączyli swe głosy i zaśpiewali przy ich wtórze hymn, opiewający chwałę i wielkość Stwórcy.

Ołtarz zdobity białymi kwiatami stały na nim srebrne lichtarze, подарowane przez lorda Killiekegana, dziadka Adeliny.

Masazielonego, czerwonego i złocistego listowia, z kawałkami przezierającego przez nie lazuru nieba, nadawała oknom bogatszy wygląd, niż gdyby były złożone z kolorowych szkiełek witrażu.

W pogodnym nastroju wierni opuszczali kościół.

Mali chłopcy pastora Pink paradowali w ubrankach w szkocką kratę.

Matka musiała po prostu trzymać ich za ręce, żeby nie brykali w kościele.

Wszyscy uczestnicy uroczystości wysypali się teraz z kościoła na cementarz, który jak dotąd zawierał jeden tylko jedyny grób; była to mogiłka ptaszka, którego lady Honoria i Gussie znalazły martwego i pogrzebały tam.

Dzwon kościelny, dar Elihu Busby'ego, nieustawał napełniać powietrze radosnymi dźwiękami.

W Jalni otwarto na oścież drzwi między biblioteką a jadalnią

i wzdłuż obu pokoi zastawiono długie stoły z przekąskami.

Pito

zdrowie dziecka ponczem, przyrządzonym wedlespecjalnego przepisu lady Honorii.

Ścisłejsze grono gości zasiadło nieco później do obiadu, podanego przed odjazdem lorda Elgina.

Poza członkami rodziny byliobecni: pastorstwo Pink oraz członkowie komitetu parafialnegowraz z żonami.

Elihu Busby nie potrafił powstrzymać się od krytykowania głośno polityki generalnego gubernatoraw odniesieniudo francuskich Kanadyjczyków.

Nie było w tym nic dziwnego, że angielscy Kanadyjczycydali wyraz swej urazie i obrzucali kamieniami powóz Waszej Ekscelencji!

mówił.

Odpląciłemim pięknym za nadobnerzekł, śmiejąc siępobłaźliwie lord Elgin.

A wie pan jak?

Oto nie dałem naprawićtego poszczerbionego i połupanego powozu, lecz jeżdżę nim wszędzie, aby każdy mógł widzieć, jak brzydko zachowali sięwzględem mnie.

Niemogępogodzić się z tym, że Ekscelencja pobłaża tak tym Francuzom.

Ja, mówię, że trzeba siłą przerobić ich na Anglików.

Ach, nie!

rzekł lord Elgin.

Przeciwnie, otaczającich opieką, zachęcam, by wykorzystywali swoje przyrodzone zdolności dla większej korzyści państwa.

Kto ośmieliłby się twierdzić, żeostatniadłoń, podnosząca sztandar brytyjski na amerykańskiejziemi, nie będzie ręką Francuza-Kanadyjczyka?

Przed wyjazdem gubernator wyjawiał im, że wnet udaje się do Indii, gdzie ma zająć stanowisko wicekróla.

Na tęwiadomośćRenny Court zawołał:

Gratulacje, sir!

Któż nie wolałby Indii odtego dziwaczного pustkowie!

A jednak córka moja i zięć przyjechali tu z własnejwoli i widzę już, jak porastają mchem!

Szablę zamienił Filip na lemiesz, a co do Adeliny przecież ta dziewczyna była kiedyś pięknością; a proszę spojrzeć na nią dziś.

Ręce szorstkie od roboty,

policzki spalone słońcem i wiatremprawdziwa wiejskadziewka!

Gdybym spotkał w Indiach kogoś w połowie choćby takuroczego, byłbym zachwyconyodrzekłlord Elgin.

Goście rozjechalisię.

Nazajutrz po ich wyjeździe Filipi Adelina trzymając się za ręce, przechadzali się po trawniku, w pogodnym słońcu kończącego się babiego lata.

Omówili właśnie naj334

świeższewydarzenia i zgodnie uznali, że lord Elgin jest człowiekiem bardzo zasłużonym.

Teraz jedynym ichżyczeniem było cieszyć sięnawzajem swoim towarzystwem i przyglądać się z zadowoleniem domowi, który wybudowali.

Stał mocny i piękny, otoczony drzewami i zdawał sięmówić: "Jestem przygotowany nawszystko, cokolwiek sięzdarzy!

".

Ach, popatrz zawołałanagle Adelina na tęmałą sadzonkę dzikiego wina!

Liście jego zmieniły kolor na jasnoczerwony całkiem jakby był dorosłym krzakiem!

I tak było w rzeczywistości.

Delikatne wąsy roślinki zawzięcie czepiały się cegły, jakby chciała przydać wytrzymałości domowi i była w pewnej mierze odpowiedzialną za jego krzepkość, a każdy jej liść był szkarłatny.

A po chwili wykrzyknął Filip:

Patrz, patrz na te dzikie gołębie, Adelino!

Odlatują na południe.

Boże!

co za olbrzymie stado!

Pojedyncze ptaki leciały bez wytchnienia ponad ich głowami, by dołączyć się do stada tak, że zwiększało się ono ciągle;

wreszcie zawisło jak chmura, którą gna wiatr.

Chmura ta była sinoniebieska, lecz trzepoczące w niej skrzydła rzucały w słońcu jasne błyskawice.

Ciągnęła się na niebie, naprzestrzeni od domu dokościółka, i ściemniała się już bo była czwarta po południu kiedy przeleciały wszystkie i zniknęły.

Wtedy ciemność otuliła dom; zapalono świece, a potem je zgaszono.

Z głową opartą o ramię Filipa Adelina spała.

## Spis rozdziałów

- I. W Anglii -5
- II. W Irlandii .23'
- III. Pierwsza podróż morska.44
- IV! Reperacjew porcie .59
- V. Druga podróż morska .71
- VI. Dom przy ulicy św.  
Ludwika .101
- VII. Vaughanlands.121
- VIII. Własny kawałek ziemi.130
- IX. Fundamenty .;....143
- X. Ściany .157
- XI. Dach .171
- XII. Henrietta .181
- XIII. Jesienne deszcze .195
- XIV. Sporty zimowe .210
- XV. .U Wilmotta .225
- XVI. Zima trwa dalej .232
- XVII. Wiosna w Jalnie .249
- XVIII. Gościez Irlandii .265
- XIX. Kąpiel w jeziorze.280
- XX. Galop wśród lasu .300
- x XXI. Nagroda .313
- x XXII. Kościół .321
- XXIII. To i owo .328.